

GORDON KENT



STAN
WYJĄTKOWY



Powieści Gordona Kenta

NIEWIDZIALNA OFENSYWA

TAJNA WOJNA

TOTALNA ZAGŁADA

GORDON

KENT

STAN

WYJĄTKOWY

Przekład

JAN HENSEL

AMBER

Redakcja stylistyczna

Mirella Remuszko

Korekta

Katarzyna Nowakowaka

Katarzyna Pietruszka

Ilustracje na okładce

Apache helicopter © Jack Novak/CORBIS

Desert by Sgt. Craig Zentkovich/Photo courtesy of U.S. Army

Water droplets © David Zimmerman/CORBIS

Opracowanie graficzne okładki

Wydawnictwo Amber

Skład

Wydawnictwo Amber

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi

Tytuł oryginału

The Spoils of War

Copyright © Gordon Kent 2006.

All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2007 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-2942-3

Warszawa 2007. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

00-060 Warszawy, ul. Królewska 27

tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

T. Cyler Young
Donald G. Cameron

Dotarli dalej, niż wydawało się możliwe

Prolog

Granica kosowsko-albańska, 1997 rok

Przedwieczorny deszcz zagnał albańskich żołnierzy pod osłonę drzew. Dotychczasowe doświadczenia z Albańczykami napędziły Dukasowi strachu, więc ucieszył się, gdy zeszli z drogi i pomaszerowali w kierunku skupiska dębów, pokrzykując na siebie i niosąc karabiny na karkach niczym jarzma.

Deszcz bił o przednią szybę wypożyczonego land-rovera, wycieraczki pracowały z monotonnym skrzypieniem harmonizującym z szumem klimatyzacji i kropel dudniących o dach, zmywając część błota, które zebrało się podczas dziewięciogodzinnej jazdy przez „byłą Jugosławię”. Błota z Bośni, błota z Chorwacji, błota z Kosowa. Teraz spływało na zniszczony asfalt albańskiej drogi.

- Trochę wiary, dobrze? - mruknął z tylnego siedzenia facet z Mossadu.

Właściwie na tylnym siedzeniu było dwóch facetów z Mossadu, ale jeden z nich ewidentnie był urzędnikiem, więc Dukas nie zwracał na niego specjalnej uwagi. Starał się też zapanować nad językiem ciała, żeby nie dawać jednoznacznie do zrozumienia, co myśli o tym popołudniu. Zerknął do tyłu.

- Kiedy chcesz to odwołać? - zapytał.

- Dajmy facetowi jeszcze godzinę.

Agent nazywał się Shlomo, tak przynajmniej powiedział. Dukas uważał, że to zabawne imię, ale sam facet był poważny. Teraz machnął ręką, dając do zrozumienia, że też wątpi w

pojawienie się ściغانego, ale poczekają jeszcze godzinę, ponieważ on, Shlomo, jest pod nadzorem kogoś, kto przydzielił mu biurokratyczną niańkę.

Dukas lubił Shloma. I nie miał nic przeciwko pomaganiu Izraelczykom, póki zyskiwało na tym jego własne śledztwo w sprawie zbrodni wojennych bośniackich muzułmanów.

Wcisnął do ucha słuchawkę i włączył nadajnik radiowy.

- Słyszę cię. Kalmar, odbiór - usłyszał głos z drugiej strony.

Kanadyjczyków, których skaptował do drużyny operacyjnej, śmieszył fakt, że Dukas jest z amerykańskiej marynarki wojennej, i przezywali go Kalmarem.

- Poczekajcie jeszcze godzinę..

- Zrozumiałem, odbiór.

Kanadyjczycy siedzieli ukryci wzdłuż granicy, po stronie albańskiej. Dukas szukał ich kilkakrotnie wzrokiem i nie znalazł, ale odpowiadał na wezwania radiowe i tkwili na swoich pozycjach przez cały dzień. Teraz będą nie tylko zmęczeni, ale i przemoczeni. Albańczycy rozpalili wielkie ognisko za linią drzew. O zmroku dym i ogień musiały być widoczne z odległości wielu kilometrów. Ale Dukas nie zostałby tu wpuszczony bez „wsparcia” Albańczyków.

Na szczycie kosowskiego wzgórza na południu pojawiły się światła kolumny samochodów. Dukas i Shlomo natychmiast unieśli do oczu lornetki i po chwili opuścili je na kolana. Obaj westchnęli mniej więcej na tę samą nutę.

- Przyjedzie razem z tymi - powiedział biurokrata.

Dukas pokręcił głową, a Shlomo odrzekł:

- Nie, Davidzie. To tylko lokalna milicja przekracza granicę, żeby kupić broń.

- Dlaczego nie może być razem z nimi? Przecież to możliwe.

Urzędas z Mossadu, który przedstawił się jako David, sprawiał wrażenie, jakby wierzył, że przez powtarzanie swoich przekonań, nada im cechę prawdziwości. Byłby z niego niezły polityk, pomyślał Dukas.

- Nie ma tego rodzaju kontaktów.

- Nie możesz tego wiedzieć.

W głosie Davida dało się słyszeć rozdrażnienie.

Dukas słuchał ich obu i zastanawiał się, co sprawiało, że Libańczyk, którego szukają jest tak ważny, że David musiał ubłocić sobie buty, żeby go przejąć, zwłaszcza że to Dukas miał wykonać całą robotę i to on miał go przesłuchiwać. Jak prawie zawsze, gdy pracował z ludźmi z obcego wywiadu, podejrzewał, że jest wykorzystywany. Był cynikiem. Ale zwykle miał rację.

Odchrząknął. Dwaj mężczyźni na tylnym siedzeniu umilkli.

- Jak to jest, że muzułmanin z Libanu nie ma kontaktów w Kosowie? - zapytał.

- To chłopak z miasta.

- Mówiliście, że jest handlarzem bronią.

Dukas odwrócił się i spojrzał do tyłu. O zmroku twarz Shloma była prawie niewidoczna. David siedział pochylony do przodu. Zdawał się podekscytowany.

- Powiedziałem tylko, że dzięki jego pomocy muzułmanie w Bośni dostali broń - sprostował Shlomo.

Dukas nie odpuszczał.

- Czemu sprzedaje broń Bośniakom, a mieszkańcom Kosowa nie?

- Dlaczego nie skupisz się na własnej robocie i nie pozwolisz nam wykonywać naszej? - uciął dyskusję David.

Ręka Shloma drgnęła, jakby zamierzał pochwycić i cofnąć słowa, które wypowiedział jego towarzysz.

Dukas zerknął na zegarek i odwrócił się znowu, mnąc w garści połę swojego płaszcza.

- Moja robota polega na tym, że pomagam ONZ i Trybunałowi Zbrodni Wojennych w Hadze w ujęciu zbrodniarzy wojennych.

Odwrócił się i spojrzał Davidowi w oczy, lecz ten patrzył na niego obojętnie.

- Jeśli facet, na którego się zasadziliśmy, okaże się dla mnie nieprzydatny, moja robota będzie polegać na tym, że wysadzę was na lotnisku i po dziewięciu godzinach jazdy wrócę z pustymi rękami. Tylko ode mnie zależy, czy uznam, że moja robota ma cokolwiek wspólnego z pomaganiem wam.

David wytrzymał jego spojrzenie, a potem odwrócił wzrok, jakby stracił zainteresowanie rozmową. Wzruszył ramionami.

Shlomo pokręcił głową.

Dukas był gotów do dalszego wykładu na ten temat, gdy usłyszał w słuchawce sygnał radiowy.

- Tak?

- Palma Dwa donosi o aktywności na zboczu swojego wzgórza.

Dukas machinalnie obejrzał się przez ramię, lecz przez spływającą deszczem szybę nie zobaczył niczego poza żółtą smugą ogniska Albańczyków.

- To tylko Albańczycy - powiedział.

- Palma Dwa mówi, że snajper z celownikiem optycznym i w nieprzemakalnym ubraniu.

Dukas aż podskoczył do góry.

- Co się stało? - zapytał z tylnego siedzenia Shlomo.

Wycieraczki zebrały wodę z przedniej szyby. Pięćdziesiąt metrów pod nimi, przy punkcie granicznym, strażnicy przeszukiwali dokładnie starego białego ziła, podczas gdy kierowca i pasażerowie stali obok i palili papierosy. Jeden z mężczyzn miał w ręku walizkę. To przykuło uwagę Dukasa.

A to niespodzianka.

- To nasz facet. - Dukas zamachał. Wskoczył z wozu i ruszył przed siebie. Zatrzymał się, żeby lepiej wcisnąć słuchawkę do ucha. - Facet na godzinie trzeciej w samochodzie, który teraz przeszukują. Nie, nie w samochodzie. Obok samochodu. Tak! Z walizką. Brać go!

Zaczął zbiegać po skalistym zboczu, przystanął, żeby wyciągnąć z kabury ciężki rewolwer.

Shlomo dogonił go i obaj pobiegli dalej, ich płaszcze łopotały na wietrze jak niezgrabne skrzydła.

Nagle rozległ się głośny huk wystrzału. Dwaj kanadyjscy żołnierze, w połowie drogi z kryjówek, zatrzymali się i rozejrzeli w poszukiwaniu Strzelca.

Głos w słuchawce powiedział: „Snajper!”, a potem: „Palma Dwa, masz możliwość strzału?”

Ktoś wystrzelił dwukrotnie.

Dukas był teraz biernym obserwatorem, leżał płasko w mokrych zaroślach między dwoma głazami, a Shlomo obok niego.

- Jastrząb Jeden, tu Palma Dwa. Snajper zniknął. Żadnego trafienia. Odbiór.

- Możemy się stąd bezpiecznie ruszyć? - spytał Dukas.

Był przemoczony, spływająca po zboczu woda przesiąkała mu przez spodnie.

- Moment.

Zabezpieczenie terenu zajęło Kanadyjczykom dziesięć minut. Znaleźli kawałeczek poliestru w ciemnym kolorze khaki i kwadracik flaneli dwa i pół na dwa i pół centymetra.

- To z jego płaszcza - powiedział czarnoskóry sierżant z Nowej Szkocji. Pokazał oba skrawki Dukasowi i Shlomowi. - Flaneli użył do przetarcia celownika.

Mówił z takim akcentem, jakby był z Bostonu.

Dukas przykucnął obok ciała. Nie sposób było ustalić, czy to rzeczywiście facet po którego przyjechali: wielkokalibrowa snajperska kula urwała większą część głowy. Dukas zaczął obszukiwać zwłoki. Znalazł portfel z dolarami amerykańskimi i kilkoma dowodami tożsamości. Ubranie nie wskazywało na narodowość: bluza z kapturem firmy Gap, granatowe

dżinsy. Walizka była przykuta kajdankami do nadgarstka mężczyzny, kluczyki schowane w kieszeni dżinsów.

Shlomo pochylił się, żeby sprawdzić, co jest w walizce, a Dukas odwrócił ją tak, żeby mógł wszystko zobaczyć.

- Ten facet miał być handlarzem bronią? - warknął Dukas.

Shlomo wzruszył ramionami.

- Każdemu zdarza się pomylić, nam też.

Shlomo nie wydawał się jednak zaskoczony, gdy zobaczył zawartość walizki.

Dukas wskazał końcem buta pozostałości kości szczękowej i odstrzeloną głowę.

- To też była pomyłka? - zapytał.

Shlomo uniósł ręce.

- Nie podoba mi się to, co sugerujesz.

- Zamierzasz mi wmawiać, że to Albańczycy go załatwili? - Dukas prychnął. - Takim kalibrem?

Shlomo zerknął na land-rovera zaparkowanego na zboczu powyżej.

- To, co powiedział David, było nie w porządku, ale jest z politycznego nadania i myśli, że rządzi światem. Kapujesz?

Dukas przykłęknął znowu obok walizki i zaczął inwentaryzować jej zawartość. Z zamykanej na suwak kieszeni płaszcza wyciągnął foliowe torebki, przypisał każdemu przedmiotowi numer, pakował je następnie do torebek i przyklejał na zewnątrz numerek. Robił to dokładnie i starannie, ponieważ był wściekły, a nie chciał popełnić żadnego głupstwa. Shlomo przyglądał mu się przez chwilę, potem podszedł do samochodu, którym przyjechał zastrzelony mężczyzna, i zaczął przepytować jego trzech towarzyszy po angielsku, potem po turecku, a następnie po arabsku.

W wewnętrznej kieszeni Dukas znalazł kalendarz oprawiony w czerwoną skórę. Kiedyś krawędzie kartek były złocone, ale używano go przez wiele lat. Kalendarz pochodził z 1987 roku. Dukas otworzył go i przewertował - znalazł wypisane ołówkiem adresy i numery telefonów po arabsku i rzymskim alfabetem, w licznych miastach basenu Morza Śródziemnego.

David wyciągnął rękę.

- Ja to wezmę.

Dukas nie widział go, gdy ten schodził po zboczu, ale wybrał dłuższą i suchszą drogę po asfalcie.

Dukas nie odpowiedział. Włożył kalendarz do foliowej torebki, nalepił naklejkę i wypisał numer. Rzucił torebkę na stosik.

David obszedł go i pochylił się nad kupką. Dukas wstał gwałtownie, trącając młodszego mężczyznę biodrem i przewracając go na ziemię.

- Przepraszam - powiedział, podając mu rękę. - Straszna ze mnie niezdara.

David wycofał się na czworakach i podźwignął się z ziemi. Żuchwa pracowała mu, jakby coś przeżuwał, poczerwieniał na twarzy, ale wolał się nie zbliżyć.

Wrócił Shlomo.

- Zaatakował mnie - poskarżył się David.

Dukas pokręcił głową.

- Zwykle nieporozumienie.

- Zaatakował mnie - powtórzył David, podnosząc gniewnie głos. - Przeszkadza.

Ignorując go, Dukas rzucił do Shloma:

- Zabierz go stąd.

David zaczął wymachiwać rękami. Nie mówił już po angielsku, lecz po hebrajsku, tylko do Shloma.

Shlomo się nie ruszył. David gadał dalej. Shlomo ignorował go, spojrzał najpierw na walizkę, a potem na Dukasa, przekrzywiając lekko głowę, jakby o coś pytał. Dukas zatrzasnął zamki walizki i schował klucze do kieszeni płaszcza. Kanadyjski sierzant stał przy ziele, pilnując trzech przerażonych Kosowian i ćmiąc papierosa. Od czasu do czasu rzucał okiem na dwóch Izraelczyków.

David wytarł ręce o płaszcz, odwrócił się od Shloma z wyraźną pogardą i spojrzał Dukasowi w twarz.

- Oddawaj walizkę.

- Nie kuś mnie, żebym otworzył tu dochodzenie w sprawie zabójstwa.

David podniósł rękę, mierząc w Dukasa palcem.

- Nawet nie wiesz, w co się mieszasz. Oddawaj walizkę.

Dukas przeszedł obok Izraelczyka i ruszył pod górę. Po chwili się odwrócił. Zamiast złości czuł teraz tylko zmęczenie i znużenie, jakby zbyt wiele razy odgrywał tę samą scenę.

- To materiał dowodowy w śledztwie Trybunału Zbrodni Wojennych. W swojej prośbie o pomoc nie wspomnieliście o żadnej walizce. Mówiliście, że facet był jakimś ważniakiem wśród terrorystów. Nie wiem, dlaczego chcieliście go zabić, ale jest martwy. A teraz...

- My chcieliśmy? Zastrzelili go Albańczycy! - wykrzyknął David, odwracając się do Shloma w poszukiwaniu wsparcia.

Shlomo nic nie powiedział. Popatrzył teraz na Davida z niesmakiem, jak turyści patrzą na żebraków.

Dukas pokiwał głową, odwrócił wzrok, nagle kątem oka zauważył szybki ruch. Młodszy Izraelczyk gwałtownie ruszył w przód i mocno uderzył Dukasa w łokieć, tak że zdrętwiała mu ręka. Dukas upuścił walizkę, lecz zdołał wykonać obrót, odparować następny cios i stanąć nad walizką. Miał mnóstwo czasu, żeby zorientować się, że Kanadyjczycy są zbyt daleko, aby mu pomóc. Zerknął na Shloma, który nie ruszył się z miejsca.

David przykucnął, przyjmując postawę do walki wręcz. Był pewny siebie.

- Oddawaj walizkę, do cholery.

Dukas pokręcił głową. Nie sądził, żeby walizka przydała mu się na cokolwiek w sprawach, które prowadził, ale przyznanie się do tego byłoby głupotą. Podniósł ją z ziemi i przycisnął do brzucha jak uczennica książki. Miał nadzieję, że w razie czego osłoni go przed ciosem.

Shlomo podszedł do swojego towarzysza od tyłu i zdzielił go łokciem w kark tak, że tamten znowu usiadł na mokrej drodze.

Kanadyjczyk rozkazał wszystkim trzem Kosowianinom paść na ziemię i zaczął wołać przez radio o wsparcie.

- Byłoby lepiej, gdybyś dał nam tę walizkę - stwierdził Shlomo.

Sprawiał wrażenie równie zmęczonego jak Dukas.

- Zwróćcie się o nią oficjalnymi kanałami.

David jęknął.

- Ten facet jest niebezpieczny - zauważył Dukas.

- Bardziej niż myślisz, przyjacielu. - Shlomo otarł oczy z deszczu. - Myślę, że powinieneś się stąd zbierać.

Część I

1.

Tel Awiw, styczeń 2002 roku

Abe Peretz opowiadał stary dowcip o imigrantce z Polski i chłopcu, którzy jadą autobusem. Kawał miał długą brodę, przyznał Abe. Był niemal prehistoryczny, z pierwszych lat państwa Izrael, ale wciąż śmieszył: matka i synek jadą w Jerozolimie autobusem. Chłopczyk mówi po hebrajsku, ale matka wciąż zwraca się do niego w jidysz. Facet na fotelu obok pochyla się i pyta: „Proszę pani, chłopak świetnie mówi po hebrajsku, dlaczego więc pani cały czas zwraca się do niego w tym koszmarnym jidysz?” A kobieta na to: „Bo nie chcę, żeby zapomniał, że jest Żydem”.

Za oknem zmrok zapadał jak lawendowa kurtyna, ciemniejsza na wschodzie, lecz rozjaśniająca się na pomarańczowo na krawędziach chmur nad Morzem Śródziemnym. Mieszkanie znajdowało się wysoko nad Ben Jehuda, lecz i tak dolatywały tu odgłosy ulicy, a z nimi zapach wieczoru, słonego morza, spalin i gotowanego jedzenia.

- Podobno, jeśli wciągniesz głęboko powietrze, poczujesz zapach pustyni - powiedział Abe Peretz.

- Tylko jeśli jesteś Żydem - uściśliła jego żona z uśmiechem. - Ty, mój drogi, miałbyś z tym kłopot.

Peretzowie mieszkali w Tel Awiwie, ale dopiero od kilku miesięcy. Craikowie byli ich starymi przyjaciółmi, którzy wpadli z wizytą, korzystając z krótkiego wyjazdu do Izraela. Piętnaście lat wcześniej obaj mężczyźni służyli razem na jednym okręcie: jeden był w marynarce żółtodziobem, a drugi starym wilkiem morskim, który przygotowywał się do odejścia. Teraz Peretz pracował dla FBI jako zastępca attache prawnego w ambasadzie amerykańskiej, a Alan Craik, ówczesny żółtodziób, był oficerem wywiadowczym Piątej Floty rezydującym w Bahrajnie.

Peretz, uśmiechnął się szeroko do obojga gości.

- Bea uważa, że jestem niewystarczająco żydowski. Zabawne, bo nie wyglądam na Żyda.

Puścił oko do żony. Ta przewróciła ostentacyjnie oczami, roześmiała się i powiedziała do Rose Craik, która była w widocznej ciąży: - Oby tym razem urodziła się wam dziewczynka. Dwaj chłopcy to już dość.

- Naprawdę bardzo się staram.

- Dwie dziewczynki to dopiero urwanie głowy - zauważył Peretz. Jego dwie córki właśnie weszły do domu. Jeszcze niewidoczne, już robiły sporo hałasu przy drzwiach wejściowych. - Najcichszy głos, jaki znają, to krzyk. Jeśli myślicie, że Włosi są hałaśliwi, poczekajcie, aż zamieszkacie pod jednym dachem z...

Dziewczyny wpadły przez przeszklone drzwi na taras, obie w T-shirtach z hasłami, które dorosłym nic nie mówiły, jednym po hebrajsku i jednym po angielsku. Było mnóstwo całusów, biegania i krzyków. Powitały Rose entuzjastycznie, ten entuzjazm wydawał się trochę sztuczny, bo dziewczynki uwielbiały Rose Craik za czasów dzieciństwa, a teraz były już dorosłe - przynajmniej we własnym mniemaniu. Po licznych okrzykach, głównie ze strony Bei, wbiegły z powrotem do domu i na tarasie zaległa zdumiewająca cisza.

- Tak jak mówiłem, zanim mi przerwano - powiedział Abe Peretz i uśmiechnął się znowu od ucha do ucha.

Abe często się uśmiechał. W ten sposób dawał do zrozumienia, że nic, co mówi, nie jest do końca poważne, a w każdym razie nie tak poważne, jak by brzmiało.

- Tak jak mówiłeś - przerwała mu Bea Peretz - pora, żebym zabrała się do gotowania, bo inaczej umrzemy z głodu. - Wstała i skinęła na Rose. - Pomóż mi, kochanie. - Była postawną kobietą i robiła się trochę przy kości, ale miała piękne oczy i wciąż czarne gładko zaczesane włosy, spływające kaskadą na plecy. - Wy dwaj poopowiadajcie sobie wojenne historie, żebyśmy nie musiały wysłuchiwać ich przy kolacji.

Alan Craik uśmiechnął się do żony, która jako pilot śmigłowca, były dowódca dywizjonu, a obecnie zastępca amerykańskiego attache marynarki wojennej w Bahrajnie

mogła opowiedzieć nie mniej wojennych historii niż któryś z mężczyzn. Rose wzruszyła lekko ramionami i dała się wyprowadzić do kuchni.

Był to dzień, w którym najnowszy kruchy rozejm między Izraelczykami i Palestyńczykami przestał obowiązywać, gdy palestyński bojownik zginął od wybuchu samochodu pułapki na Zachodnim Brzegu. Brygady Męczenników al Aksa ogłosiły koniec zawieszenia broni. Zanim dzień dobiegł końca, w jednej z osad zabito dwóch żołnierzy, do ataku przyznały się Brygady Męczenników.

Był to również ostatni dzień w życiu niejakiego Salema Qatiba, który podobnie, tak jak zawieszenie broni, padł ofiarą obu stron konfliktu: najpierw torturowali go Palestyńczycy, potem Izraelczycy, aż wreszcie zmarł.

- Bea lubi sobie porządzić - powiedział Abe. - Spojrzał na opuszki palców i powąchał je starym zwyczajem. - Za dużo gadamy o tym, że jesteśmy Żydami, prawda?

Craik, zażenowany, wymamrotał coś niejasno.

- Nie, taka jest prawda. Odkąd się tu przeprowadziliśmy, Bea i dziewczynki zmieniają się jak Partia Republikańska: coraz bardziej odbijają w prawo. - Abe prychnął, wyraźnie dając do zrozumienia swój niesmak. - Bea ma nową przyjaciółkę od serca, nazywa się Esther Himmelfarb. Oczywiście, to dobrze, że znalazła przyjaciółkę, bo Bea rzadko zbliża się do ludzi. A ta kobieta dużo jej pomaga: wie, gdzie wszystko jest, wie, z kim należy się spotkać, co mówić, ale... - Machnął ręką. - Jemy koszernie, to nowość. A dziewczynki chcą zamieszkać w kibucu, chociaż wszystkie kibuce zmieniają się teraz w korporacje, a czasy, gdy dziewczęta i chłopcy ramię w ramię wydzielali ziemię pustyni, dawno minęły. Jeden wielki romans. Wszystkie trzy się zakochały.

Znowu powąchał palce.

- Tobie się tu nie podoba?

- Nie umieram z zachwyty na myśl, że mieszkam na ziemi, którą poprzedni właściciele oddali, ponieważ mieli pistolet przystawiony go głowy. A teraz siedzą w obozach dla uchodźców i patrzą, jak jem ich kolację.

- Palestyńczycy też nie mają czystych rąk.

- To absolutne dupki. Tak jak wielu Izraelczyków. Ale to Izrael najbardziej mnie wkurza, bo ci ludzie są tu okupantami, a to oznacza, że ciąży na nich obowiązek, żeby zachowywali się lepiej niż ci drudzy, ale nie potrafią pogodzić się z rzeczywistością. - Łypnął na Craika, żeby zobaczyć, czy tamten wie, o jaką rzeczywistość mu chodzi. - Nie można mówić:

„Żadnego prawa do powrotu, żadnych odszkodowań” i uważać się za autorytet moralny. - Skrzyżował ramiona na poręczach tarasu i oparł na nich podbródek. - Dlatego Bea mówi, że jestem złym Żydem. Bo nie daję się wciągnąć w ten narodowy romantyzm.

Craik wyciągnął swoje długie nogi prawie na krawędź tarasu i o mało nie zsunął się z siedzenia. Jego też dręczyły wątpliwości co do Izraela, ale musiał zachować je dla siebie i zająć się swoją robotą: za dwa dni był umówiony na spotkanie z przedstawicielami Shin Bet, izraelskiego wywiadu wojskowego, którzy mieli mu przekazać informacje potrzebne do operacji w Afganistanie.

Siedemdziesiąt kilometrów na południe, w Gazie, trzech mężczyzn bili Palestyńczyka Salema Qatiba. Dwaj trzymali ofiarę, podczas gdy trzeci wymierzał ciosy. Potem rzucali nim mocno o kamienny mur i krzyczeli: „Co jeszcze?! Co jeszcze?!” Też byli Palestyńczykami.

- Twój mąż wygląda jak siedem nieszczęść, jeśli wolno mi to powiedzieć - mówiła właśnie Bea Peretz.

- Jest po prostu zmęczony, to wszystko.

- Co robi w Izraelu?

- Och, sprawy marynarki. Sama wiesz. - Zawahała się i dodała: - Oprócz rozkazów ma parę dni wolnego, żeby się trochę odprężyć.

- Izrael jest super! Serio. Nawet Abe tak uważa. - Bea waliła pięściami w ciasto, rozplaszczając je na stolnicy. - Szkoda, że nie poznałaś mojej przyjaciółki Esther. Dzięki niej człowiek uświadamia sobie, jak można kochać ten kraj. Chcemy tu zostać na dobre, całą rodziną.

- FBI się na to zgodzi?

- Można znaleźć inną pracę, Rose. Niektóre sprawy są ważniejsze od tego, jak się zarabia na chleb.

Powiedziała to w taki sposób, że Rose odniosła wrażenie, jakby Bea już to kiedyś mówiła, może nawet wielokrotnie: odpadek starej małżeńskiej kłótni wyrzucony na plażę babskiej rozmowy. Rose spróbowała jakiejś potrawy z siekanymi oliwkami i wymamrotała:

- Jesteśmy w dużym stopniu tym, co robimy w pracy.

- I możemy się zmienić! - Bea uderzyła w ciasto, rozległo się głośnie plaśnięcie. - Sama chciałaś być kiedyś astronautką. Nie udało się, ale nie umarłaś z tego powodu.

Gdzieś w głębi jednak tak, pomyślała Rose.

- Tak czy siak, może Abe nie przywiązuje do tego takiej wagi jak ja do lotów kosmicznych - powiedziała.

- Och... Abe! - Zamaszystymi pociągnięciami noża Bea pocięła ciasto na kwadraty. - Abe mógłby sprzedawać chleb z wózka i nadal byłby szczęśliwy! On żyje jak we mgle...

- Jak Rose radzi sobie z tym, że nie została astronautką? - spytał Peretz Alana Craika.

Wciąż siedzieli na tarasie, z nowymi drinkami w dłoniach. Niebo przybrało barwę ciemnego granatu.

- Myślę, że o mało jej to nie zabiło, ale... znasz Rose. Życie musi toczyć się dalej. - Napił się dzinu z dużą ilością toniku. - Została wyznaczona do awansu na kapitana.

Peretz długo wpatrywał się w niebo, a gdy się odezwał, było jasne, że ledwo usłyszał odpowiedź na własne pytanie.

- Jeśli dostanę przeniesienie, nie sądzę, żeby Bea ze mną wyjechała. Ani dziewczynki.

- No tak, przecież chodzą tu do szkoły...

Peretz przycisnął kłykieć do górnej wargi.

- To dopiero zgryz: patrzeć, jak rodzina rozpada się z powodu... - Westchnął. - Chyba zawsze powodów jest więcej niż jeden, prawda? Między mną a Beą zawsze... no, wiesz, zawsze między nami iskrzyło. Ale nagle... przez ten cholerny kraj. Chryste. - Popatrzył na własne palce. - Tutejsza ziemia jest przesiąknięta religijnym fanatyzmem. Istna katastrofa ekologiczna, pustynna wersja Love Canal.

Pobity Salem Qatib leżał w kolejnie drogi w Gazie. Po jakimś czasie pewnie przejechałby go samochód, gdyby Palestyńczyk, który wiedział o torturach i był informatorem Mossadu, nie zadzwonił przez komórkę do oficera prowadzącego i nie powiadomił go o zajściu.

Podczas kolacji - przy świecach, bez dzieci, a za to z izraelskim winem i jagnięciną przyrządzoną według przepisu, który liczył tysiące lat - Craikowie starali się rozmawiać o starych znajomych, dawnych czasach i sprawach, które nie wiązały się z Izraelem czy z tym, że jest się Żydem. Ale im więcej dolewano wina, tym mniej Bea chciała mówić o czymkolwiek innym, jakby stołownicy mieli świerzbujące strupy, które koniecznie chciała rozdrapać aż do krwi. Często cytowała swoją przyjaciółkę Esther

„Esther mówi”. Nawet jedenasty września, temat, który był wtedy na ustach wszystkich, umiała sprowadzić do problemu Izraela.

- Teraz wiecie, jak to jest! - wykrzyknęła. - Teraz wiecie, jacy są Arabowie! - Wytknęła Abe'a widelcem. - Zaraz pewnie powiesz, że powinniśmy być bardziej wyrozumiali, bo Al-Kaida zaatakowała wieże World Trade Center dlatego, że nie została zrozumiana!

Abe zaczął tłumaczyć, że nigdy niczego podobnego nie mówił i tak dalej, lecz ona mu przerwała i dalej swoje.

- Bea lubi robić z siebie karykaturę - powiedział Peretz, uśmiechając się, żeby pokazać, że to dowcip, lecz tym razem bez powodzenia. - Beo, piękna Beo, świetle mojego życia, czy nie moglibyśmy porozmawiać o bejsbolu?

- Esther mówi, że Palestyńczycy są terrorystami i agresorami i że powinniśmy ich wyrzucić i trzymać stąd jak najdalej!

- „My” - podkreślił Abe, uśmiechając się do nich.

- Arafat jest potworem. Płaci terrorystom, którzy mordują kobiety i dzieci, i jeszcze udaje, że pragnie pokoju. Esther mówi, że oni żyją tam jak zwierzęta, mieszkają w budach, ledwo umieją czytać i pisać, a twierdzą, że mają „uniwersytety”, mój Boże!

- Kiedy nasi pradziadowie mieszkali w sztetlach, Rosjanie nazywali ich zwierzętami. Nie umieli czytać ani pisać i...

- I przyjechali tu, i sprawili, że pustynia rozkwitła! Wybudowali prawdziwe uniwersytety! Stworzyli naród!

- Na ziemi, którą zagarnęli siłą - zauważył zmęczony Abe.

- Ponieważ była nasza!

Abe popatrzył na Alana i wzruszył przepraszająco ramionami. Milczenie przedłużało się, aż wreszcie Abe, przybrawszy fałszywie radosny ton, zapytał:

- A co tam słyszeć u Mike'a Dukasa?

Może dlatego, że Bea wypila zbyt dużo wina, natychmiast wtrąciła:

- Nigdy nie wybaczę Mike'owi Dukasowi, że powiedział, że Jonathan Pollard jest zdrajcą! Nigdy, przenigdy!

- Ale przecież Pollard rzeczywiście zdradził - odezwał się niebacznie Abe.

Prawdopodobnie zamierzał wytłumaczyć, że ktoś, kto sprzedaje tajemnice Stanów Zjednoczonych innemu państwu, nawet Izraelowi, jest w rzeczy samej zdrajcą lecz Bea ściszyła złowróźnie głos i powiedziała:

- Wiem, jakie jest twoje zdanie - po czym odwróciła się i zaczęła rozmawiać z Rose o córkach.

Potem atmosfera na jakiś czas się uspokoiła i doszli do deseru, a Alan spojrział na zegarek i na Rose. Kiedy Bea wniosła kawę, wszystko byłoby w porządku, gdyby Rose nie poprosiła o mleko, czym wywołała konsternację gospodarzy. Abe wyjaśnił regułę koszernej jedzenia i uśmiechnął się na koniec, jakby chodziło o świetny żart:

- To prawo dietetyczne, którego logikę chętnie bym wytłumaczył, gdybym tylko sam był w stanie ją pojąć.

Na to Bea powiedziała:

- Gdybyś był choć w połowie takim Żydem, jakim powinieneś, na pewno byś rozumiał.

- Ale przecież jestem Żydem: moja matka była Żydówką. Tak, Beo?

Bea mruknęła jak rozdrażniona kocica:

- Abe ma na myśli to, że jest „nowoczesnym Żydem”. Tak jak wszyscy inni: żadnych dziwacznych potraw, pejsów, idiotycznych nakryć głowy ani akcentu... Aj waj! Zwłaszcza akcentu, bo nie daj Boże, nikt nie pomylił go z prezbiterianinem. Asymilacja, tak, Abe? Tak brzmi magiczne słowo, mam rację? Trzeba chłonąć europejską kulturę wysoką i nigdy nie oglądać się za siebie: przyswoić sobie Dostojewskiego, Mozarta i Wittgensteina, tak?

Niezręczną ciszę przerwał w końcu Alan, pytając:

- A kto to jest ten Wittgenstein?

Bea popatrzyła na niego, wybuchnęła głośnym śmiechem, a potem poklepała go po policzku.

- Uwielbiam cię, Al, jesteś naprawdę wspaniały.

Alan spojrział na żonę, która otworzyła szerzej oczy, sygnalizując: „Nic już nie mów, zaraz się ewakuujemy”.

Salem Qatib leżał teraz na stole. Rosły Izraelczyk pochylał się nad nim i przeklinał cały czas. Potem wydarł się na innego mężczyznę:

- Ty kretynie, zabiłeś go!

Akka, Izrael

Rashid Halaby siedział w ciemnościach oparty plecami o mur wybudowany w czasach, gdy August był cezarem. Amerykańska latarka, którą dostał od matki na urodziny, miała nową baterię, ale zaczynała się wyczerpywać. Telefon komórkowy okazał się tu

bezużyteczny, gdyż sygnał nie przenikał przez warstwy skał i cegieł nad jego głową. Był głodny. I brudny. Chciało mu się pić, a nie miał wody. Żebra bolały go za każdym razem, gdy brał głębszy oddech albo wykonywał niektóre ruchy.

Salem, jego najlepszy przyjaciel, został pojmany. Pobity.

Rashid uciekł z wykopalisk w Gazie, bił się z ludźmi, którzy usiłowali go zatrzymać. Potem schował się i wreszcie zabrał autostopem z robotnikami z cegielni, którzy wracali do domów w Izraelu. Podejrzewał, że zabił człowieka - człowieka z Hamasu. Kilofem.

Nie mógł wrócić do domu.

Niemal mimowolnie rozgrzebywał ręką starożytną ziemię. Usypał drobną kupkę bezwartościowych artefaktów, kości niedużego zwierzęcia, trochę muszelek, zwój mosiężnego albo brązowego drutu, coś, co mogło być paciorkiem albo skarbonizowanym ziarnem zboża. I brązowy grot strzały z charakterystycznym zadziorem, typ, którego używali Scytowie. Salem Qatib nauczył go tego wszystkiego.

Siedząc w ciemnościach, płakał. Nie mógł przestać szlochać, bo wydarzyło się zbyt wiele złego. Chciał się stąd wyrwać. Musiał odszukać Salema.

2.

Akka

Było po północy, gdy Rashid wydostał się z tuneli pod Akką. Wyszedł nowymi podkopami do miasta krzyżowców, były niestrzeżone i otwierały przed nim nowe drogi na powierzchnię. Wyłonił się tuż za północnymi murami, na tyle blisko morza, że przez ostatnie kilka metrów musiał brodzić w wodzie brudnej od odpadków, oświetlając sobie drogę słabnącym światłem latarki. Umył się, gdy tylko stwierdził, że woda jest trochę czystsza. Potem ruszył wzdłuż kamiennego nabrzeża zbudowanego, żeby starożytna Akka nie osunęła się do Morza Śródziemnego, aż wreszcie minął mury i znalazł się w dzielnicy przemysłowej na północy. Ociekając wodą, skierował się na przystanek autobusowy, oświetlony nowoczesnymi lampami. Kiedy autobus przyjechał, Rashid był już prawie suchy. Żaden z dwóch pasażerów nie zwrócił na niego uwagi.

Jechał do mieszkania dziewczyny Salema. Nie lubił jej, ale nie miał nikogo innego, do kogo mógłby się zwrócić. Ona powie mu, co się stało. Będzie wiedziała, gdzie znaleźć Salema.

Nawet buty miał już prawie suche, kiedy autobus wyrzucił go kilka metrów od jej bloku, ciężkiego budynku, w którym było zbyt dużo betonu i za mało szkła. Z ulicy widział siedzącego w holu ochroniarza. Przyjechał tu wcześniej wiele razy. Salem praktycznie zamieszkał z nią, odkąd się poznali.

Rashid obszedł budynek dookoła, głodny i spragniony i za każdym razem, gdy się poślizgnął, czuł w boku przeszywający ból jak od pchnięcia nożem. Wczoraj, a może przedwczoraj miał wszystko, czego mógłby pragnąć chłopak w jego wieku: pracę, dach nad głową, wspaniałego przyjaciela...

Zanim zdążył się znowu rozplakać, wszedł po schodkach do holu. Ochroniarz nawet nie podniósł głowy znad Koranu, kiedy Rashid go mijał. Budynek miał czynne windy. Rashid wcisnął guzik na górę i czekał. Kiedy drzwi się otworzyły, wsiadł i na chwilę wpadł w panikę, gdy ujrzał mężczyznę jadącego z podziemnego garażu. Potem zmusił się, żeby nacisnąć guzik na szesnaste piętro. Mężczyzna uśmiechnął się, a potem zmarszczył brwi, spoglądając na jego buty, porządne amerykańskie buty do koszykówki teraz oblepione brudem i wciąż wilgotne.

- Zabłądziłem - powiedział Rashid.

Słowa zawisły między nimi w powietrzu. Rashid natychmiast się zorientował, że odzywając się, popełnił błąd. Winda zatrzymała się na dwunastym piętrze i mężczyzna wysiadł, zerkając na Rashida, a potem na elektroniczny ekran, jakby sprawdzał, dokąd chłopak jedzie.

Rashid poczuł, że drżą mu ręce. Zaciśnął je w pięści.

Drzwi się zamknęły.

Rashid był pewien, że mężczyzna zadzwoni do recepcji, gdy tylko wejdzie do swojego mieszkania. Jeśli Saida nie zechce go wpuścić, zostanie zatrzymany i prawdopodobnie trafi w ręce policji.

Drzwi otworzyły się, ukazując pusty korytarz. Rashid wysiadł z windy roztrzęsiony i pełen złych przeczuc. Saida to harda kobieta, ale nie była zła.

Puszczalska, mówiła jego matka.

Podszedł do jej drzwi, wciąż nie wiedząc, co powiedzieć, kiedy mu otworzy. Zapukał. Powinien wcześniej zadzwonić, zanim się zjawił, ale miał mało pieniędzy, a w filmach ludzi często namierzano przez ich komórki. Zapukał znowu, przyłożył ucho do drzwi i zapukał jeszcze raz tak głośno, jak tylko śmiał.

Winda za jego plecami ruszyła z głośnym szumem hydrauliki i stalowych lin. Wsluchiwał się w jej odgłosy, aż zjechała na sam parter, bez postojów.

Zapukał jeszcze raz.

Nie było jej w domu.

Wiedział, że tylne drzwi od klatki schodowej są zamknięte. Nie chciał po zejściu schodami stanąć twarzą w twarz z ochroniarzem w recepcji.

Winda ruszyła znowu w górę.

Spróbował przekręcić gałkę w drzwiach. Oczywiście, zamknięte. Spróbował jeszcze raz, jakby mógł otworzyć zamek siłą. Nagle niepokój zmienił się w panikę, winda była coraz bliżej. Chwyił gałkę oburącz i przekręcił mocno, napierając się całym ciałem na drzwi.

Niespodziewanie gałka obróciła się swobodnie, wpadł do mieszkania i zatrzasnął za sobą drzwi. Potknął się i z hukiem runął jak długi na podłogę. Machając rękami, wylądował na porzrzuconych ubraniach, patelniach...

Na końcu krótkiego korytarza, przez suwane drzwi przenikało światło z balkonu. Podłoga w całym mieszkaniu, większym niż domek, który Rashid dzielił z matką, była zasłana papierami i śmieciami. Wszystkie rzeczy z każdej z szuflad, każda kartka papieru, zostały przejrzane i rzucone na linoleum.

Zamek został sforsowany. Dlatego tak łatwo udało mu się dostać do środka.

Do głowy przysły mu dwie myśli naraz: że ktokolwiek to zrobił wciąż może być w mieszkaniu i że windą jedzie ochroniarz z recepcji, który wkroczy do mieszkania i weźmie go za włamywacza. Skojarzenie obu tych rzeczy sprawiło, że przywarł bez ruchu do podłogi.

Winda jechała i jechała, podobne do pulsu wibracje umożliwiały mu liczenie pięter.

Winda się zatrzymała. Otworzyły się drzwi. Stanęła na tym piętrze, ktoś wysiadł i przeszedł szybkim krokiem przez korytarz, a potem zawrócił. Rashid wstrzymał oddech. To na pewno ochroniarz z recepcji. Rashid nie mógł się ruszyć. Od aresztowania dzieliły go tylko niezamknięte drzwi. Mężczyzna przeszedł parę kroków i przystanął.

Ruszył dalej.

I znowu przystanął.

W świetle lamp na korytarzu Rashid zobaczył pod drzwiami stopy ochroniarza. Zaczął się po cichu modlić. „Inszallah, Inszallah, Inszallah”.

Z woli Allacha ochroniarz poszedł dalej. Minął następne drzwi i przystanął.

Winda otworzyła się i zamknęła, wagonik znowu ruszył.

Rashid odetchnął.

A jeśli ona tu jest, martwa? Była to głupia myśl, zrodzona ze zmęczenia. Obce otoczenie, w jakim się nagle znalazł, też zrobiło swoje. Czuł się, jakby trafił na plan amerykańskiego horroru.

Nie mógł pozbyć się tej natrętnej myśli. W filmach ciała ofiar zawsze były w łazience. Do łazienki wchodziło się z przedpokoju.

Żałował, że nie ma żadnej broni. Mimo wewnętrznych oporów podczołgał się do kontaktu i go nacisnął. Zapaliły się wszystkie światła, ukazując spustoszenie w mieszkaniu Saisy wyraźniej niż światelko z balkonu. Zajrzał do łazienki i nie znalazł żadnych zwłok. Ośmielony ruszył do kuchni, na leżącym na podłodze papierze znalazł czystą szklankę i wypił drogą butelkowaną wodę z lodówki. Opróżnił trzy butelki, zanim ugasił pragnienie, a potem zjadł kanapkę, która miała kilka dni, lecz smakowała wspaniale.

Nieobecność Saisy oznaczała, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Bez pieniędzy, bez schronienia, bez nikogo, kogo mógłby błagać o pomoc. Ale jego umysł na nowo zaczął pracować, a na skraju świadomości znów pojawiła się panika.

Musi się wydostać z budynku.

Musi zdobyć pieniądze.

Musi znaleźć Salema, choć stawało się coraz bardziej jasne, że Salem ma poważne kłopoty. Rashid wiedział, że Salem coś znalazł - coś wspaniałego. Salem nie potrafił ukryć swoich uczuć przed Rashidem. I zabrał jakieś rzeczy z wykopalisk - Rashid widział je w sportowej torbie w samochodzie Salema.

Oprawcy, którzy bili Salema na terenie wykopalisk, okładali go pięściami i szpadlem. Obrzucali obelgami. Mówili, że Salem jest złodziejem.

A Rashid, jego wierny przyjaciel, uciekł i ukrył się w starych tunelach pod miastem.

Wszedł do sypialni. Epicentrum zniszczeń w mieszkaniu. Zaczął przeszukiwać stosy ubrań rzuconych przez włamywaczy na podłogę.

Rzeczy Salema leżały na osobnej kupce. Rashid sięgnął po marynarską kurtkę Salema, który nigdy nie nosił jej w Gazie, gdzie amerykańscy marynarze nie wzbudzali raczej pozytywnych uczuć, lecz często pokazywał się w niej w Izraelu, gdzie było na odwrót. W poduszkach na ramionach znalazł ukryte przez Salema pieniądze na czarną godzinę. Salem pokazał mu je kiedyś i zażartował: „Moja forsa na wylot”.

Tysiąc dolarów amerykańskich w nowiutkich, szeleszczących banknotach. I malutki twarde kwadracik, którego nie rozpoznawał w dotyku. Rashid wyciągnął go i spróbował sobie przypomnieć, do czego służy. Pociągnął następny łyk wody i wtedy mu się przypomniało. Karta pamięci flash, do aparatu cyfrowego. Salem specjalnie ją ukrył.

Rashid schował ją do kieszeni razem z pieniędzmi. Włożył kurtkę, bo była ciepła, sucha i należała do Salema. Czuł się w niej wyższy.

Nadal jednak musiał jak najszybciej opuścić budynek. Przetrzęsnał rzeczy, które pozostały po życiu Salema z Saida, i znalazł parę butów z ogumionymi nosami, które Salem rzadko nosił, bo mówił, że obcierają mu stopy i są za ciepłe. Kiepsko pasowały, ale razem z kurtką sprawiały, że wyglądał jak zamożny młody człowiek. Dawały mu więcej pewności siebie i odwagę, żeby zjechać windą i spojrzeć w twarz ochroniarza w recepcji.

Kiedy winda jechała na dół, wreszcie się uspokoił. Może był zbyt zmęczony, żeby wciąż się bać.

- Nie ma jej w domu - powiedział ochroniarz, gdy Rashid wysiadł.

Ton był niemal oskarżycielski.

- Wiem - odparł Rashid i ruszył równym krokiem do drzwi.

O cokolwiek ochroniarz mógłby go spytać, Rashid szedł obojętnie przed siebie - ta taktyka rzadko go zawodziła - w końcu znalazł się na ulicy, w zimnym zimowym deszczu. Wiedział, że kiedy ochroniarz wreszcie zajrzy do mieszkania, on, Rashid stanie się oczywistym podejrzanym. Wtedy szukać go będzie nie tylko Hamas, ale i policja.

Jego życie tutaj się skończyło. Zamierzał znaleźć Salema, a szukać należało z powrotem na terytorium palestyńskim. Niech więc tak będzie.

Rashid wymacał szeleszczące banknoty w kieszeni i szybko ruszył na przystanek.

*Siedziba Służby Dochodzeń Kryminalnych Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych w
Neapolu, Włochy*

- Cholera!

Mike Dukas patrzył na wiadomość z rozkazem, żeby zrobił coś pilnie, podczas gdy i tak brakowało mu ludzi i nie miał czasu na głupoty. Chwylił za telefon.

- Dick - warknął - chodź no tutaj.

- Twoje życzenie jest dla mnie, hm... sugestią.

Dick Triffler pełnił funkcję zastępcy dowódcy Służby Dochodzeń Kryminalnych w Neapolu. Był wysokim, szczupłym Afroamerykaninem z dziwnie wysokim głosem i manierami, które sprawiały wrażenie, jakby kogoś udawał - może Cliftona Webba albo Williama F. Buckleya. Pracował z Dukasem, jako podwładny, z pewnymi przerwami od lat i

zawsze bardzo mu zależało, żeby się przenieść gdzie indziej, dlatego Dukas wpadł w zdumienie, gdy Triffler sam poprosił o funkcję jego zastępcy, gdy objął dowodzenie w Neapolu. Triffler, który sam prowadził wtedy długie śledztwo na Zachodnim Wybrzeżu, zapytany dlaczego, odparł: „Uznałem, że potrzebuję większego wyzwania”.

Triffler wszedł do gabinetu Dukasa, zapinając guziki czarnego blezera, pod spodem miał koszulę w paski w dwóch odcieniach błękitu i gruby jedwabny krawat. Dukas ubrany był w starą koszulkę polo, przy nim Triffler wyglądał jak księżę Walii, który składa wizytę bezdomnemu.

- Dzwoniłeś? - zapytał Triffler, siadając i zakładając nogę na nogę.

Miał zaprasowane w kant nogawki.

- Dostałem e-mail z poleceniem, żebyśmy pilnie zbadali szczegóły śmierci jakiegoś byłego marynarza, który wykitował w Tel Awiwie. Co jest, do cholery? Tak prowadzimy wojnę z terroryzmem?

- Jaką wojnę z terroryzmem?

- Tę, którą toczymy bez przerwy na całym świecie. Czy o to chodzi w tej papierkowej robocie? Jezu Chryste, mam pięciu pijanych marynarzy w zagranicznych aresztach, trzech oskarżonych o przestępstwa seksualne, aferę na „Fort Klocku” i muszę jeszcze szukać pod łózkami pieprzonej Al-Kaidy! A teraz trzeba posłać kogoś do cholernego Tel Awiwu po jakieś bzdety! Niech się tym zajmie attache wojskowy!

- Znowu się pieklisz. Właśnie po to tu jestem, prawda? Żeby wysłuchiwać twojego marudzenia. Jak wiesz, attache wojskowi mają ważniejsze sprawy na głowie. Na przykład szukanie knajp, gdzie dają dobrze zjeść, a martwi marynarze za granicą to nasza działka.

Dukas westchnął.

- No, niby tak, to nasza działka... To kogo mamy teraz w pobliżu Tel Awiwu?

„Jefferson” wpłynął już do Kanału. Biuro w Atenach i tak jest zawałone robotą. Mamy kogoś, kto mógłby tam polecieć na jeden dzień?

Triffler zaśmiał się fałszywie.

- A Al Craik? Właśnie jest w Tel Awiwie.

- Skąd to, do cholery, wiesz?

- Twoja żona powiedziała mojej.

Dukas popatrzył na niego, wydał wargi i uniósł brew.

- Masz niezłą siatkę szpiegowską... dwie żoneczki. Zastanawiałeś się kiedyś nad pracą w wywiadzie?

Triffler wstał, rozprostowując imponująco długie nogi.

- Przestałeś się już pieklić? Skontaktuj się z Alem.
- Teraz ty wydajesz tutaj rozkazy?
- Ktoś musi.

Dukas rzucił za wychodzącym Trifflerem rozdrażnione spojrzenie, po czym chwycił za telefon i zadzwonił do biura Piątej Floty w Bahrajnie z pytaniem, gdzie w Tel Awiwie zatrzymał się komandor Craik.

Waszyngton

W nowiułkim Biurze Analiz Informacji Departamentu Obrony dzień pracy trwał nawet dłużej niż w Białym Domu. Atmosfera przypominała tę w wielkim przedsiębiorstwie u szczytu powodzenia - ludzie byli pełni zapału, żądni sukcesów, zdeterminowani i przepracowani.

Dla trzydziestopięciolatka Raya Spinnera biuro było wybawieniem. Wcześniej wywalili go z marynarki wojennej za przekazywanie zastrzeżonych informacji ojcu, a zarazem wpływowemu prawnikowi i w zamian za tę przysługę tatuś załatwił mu robotę w BAI. Teraz Spinner żył jak w gorączce. Zjawiał się w pracy z mieszaniną radości i trwogi (Czy się nadaje? Czy uda mu się wybić? Czy odważy się nosić kolorowe szelki jak jego szefowie?). Było to lepsze od służby w marynarce, ale zarazem straszne.

Siedząc w jednym z dwudziestu boksów w sali, patrzył, jak na ekranie komputera pojawia się wiadomość. Nowe dane trafiały najpierw do takich jak on, jego zadanie polegało na kasowaniu oczywistych bzdur i przesyłaniu reszty o szczebel wyżej. Kryteria oceny miały niewiele wspólnego z autentycznością tudzież wiarygodnością informacji. Liczyła się ich przydatność dla głównego celu biura - w tej chwili chodziło o rozkręcenie większej rozróby w Iraku. Przekonał się o tym, gdy zignorował raport uciekiniera, który donosił, że podsłuchał, jak osoby trzecie mówiły o produkcji gazu sarin, która odbywa się nocami i w weekendy w budynku szkoły podstawowej w Bagdadzie: dano mu wtedy bardzo jasno do zrozumienia, że właśnie tego rodzaju informacje są obecnie pożądane i że jeśli jeszcze raz popełni taki durny błąd, skończy w męskim kiblu, gdzie będzie rozdawał ręczniki.

Dlatego teraz Spinner naprawdę wgrzyzał się w każdą wiadomość. Ta, którą zobaczył właśnie na ekranie, nie wymagała jednak główkowania. Był to list policji z Tel Awiwu o jakimś martwym Arabie.

Policja dzielnicy Jarkow doniosła dziś wieczorem o zgonie Salema Qatiba, Palestyńczyka, mieszkańca Zachodniego Brzegu. W latach 1994-1995 przebywał z wizą studencką w USA, marynarz US Navy w stanie spoczynku.

Informator uznał więc, że nieboszczyk może wzbudzić zainteresowanie Biura, bo miał kontakty w Stanach Zjednoczonych. Błąd. Prawdziwe pytanie brzmiało: czy był terrorystą? No, dobra, sprawdźmy. Spinner otworzył listę opracowaną przez BAI, która różniła się od list CIA i FBI i była znacznie dłuższa, i nie znalazł na niej Salema Qatiba jako terrorysty, ale jego nazwisko pojawiło się na liście czyścicowej (nie w piekle, ale blisko) osób „monitorowanych ze względu na sumę czynników ryzyka”, to znaczy takich, które budziły podejrzenia z co najmniej dwóch różnych powodów. Na przykład: narodowość palestyńska i trzyletnia służba w rezerwie Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

W charakterze szyfranta.

„No, ładnie!”

Szyfranci mieli certyfikat bezpieczeństwa i byli monitorowani przez wiele lat po opuszczeniu służby, ponieważ dysponowali wrażliwymi informacjami, znali na przykład klucze kodów szyfrowych, których przez długi czas nikt mógł nie zmieniać. Tak więc Qatib musiał być monitorowany i uznano go za czystego, ale BAI wciąż trzymało go na swojej liście czyścicowej, ponieważ narodowość palestyńska plus kryptologia równa się możliwy szpieg, racja?

W porządku. Głupio byłoby znowu popełnić błąd. Co mógł zrobić, przesyłając wiadomość wyżej (krążyły słuchy, że Biały Dom jest już zmęczony problemem palestyńskim) albo ukręcając sprawie łeb (ale możliwe, że istniało potajemne zainteresowanie Palestyńczykami, o którym on nic nie wiedział).

Rezerwa Marynarki Wojennej. To oznaczało, że Marynarka będzie musiała wypisać czerwony druczek, czyli potwierdzić, że facet nie żyje, zamknąć jego akta, uregulować sprawy finansowe i załatwić inne urzędnicze pierdoły. A kto się tym zajmował?

Służba Dochodzeń Kryminalnych, oto kto.

Biuro najbliższej Tel Awiwu? Ateny. Przejrzał listę personelu, nie rozpoznał żadnego nazwiska - Spinner lubił mieć do czynienia ze znajomymi - i stwierdził, że Ateny podlegają SDK w Neapolu, więc sprawdził tamtejszy personel. No i proszę, bingo! Szefem biura w Neapolu był ten dupek Mike Dukas!

Spinner uśmiechnął się szeroko.

Mike Dukas był świnia, to przez niego wyleciał z Marynarki Wojennej.

Spinner przesłał więc raport o Qatibie szefowi SDK w Neapolu, agentowi specjalnemu Michaelowi Dukasowi, oraz kopię e-maila swojemu szefowi w BAI. Dopisał też surowy rozkaz: „Sprawdzić implikacje pod kątem wojny z terroryzmem oraz możliwe kontakty z terrorystami i przesłać raport jak najszybciej”. U dołu dopisał nazwisko szefa BAI - przegięcie, ale dopuszczalne. Wysłał e-mail jako pilny.

„Pieprz się, Dukas”. Już wyobrażał sobie, jak gruby, rozzłoszczony Dukas garbi się przed komputerem, usiłując zrozumieć, dlaczego kazano mu wziąć się do roboty i to migiem.

Spinner się uśmiechnął. Wstał, przeciągnął się i wyrzwał za przepierzenie boksu, obok przechodził właśnie facet w czerwonych szelkach. O tak, w takich szelkach wyglądałby doskonale.

Tel Awiw

Alan Craik siedział na hotelowym łóżku z telefonem w dłoni. Jego żona, prawie całkiem naga, wyszła z łazienki i odwróciła się do niego tyłem, szukając czegoś w walizce.

Uśmiechnął się do jej pleców.

- Hej, sexy.

Usłyszał warknięcie w telefonie.

- Tu Dukas.

- Boże, to znaczy, że na ciebie tak czekałem? Gdybym wiedział, od razu bym się rozłączył.

W kusej koszulce nocnej Rose wbiegła z powrotem do łazienki.

- Chcę, żebyś wyświadczył mi przysługę.

- Odpowiedź brzmi „nie”.

- Odpowiedź brzmi „tak”. To nic nadzwyczajnego, dzięki temu będziesz się miał czym zająć w Tel Awiwie, kiedy Rose pójdzie na zakupy.

- Skąd, do cholery, wiesz, gdzie jestem?

- Rose rozmawiała parę dni temu z Les. Les rozmawiała z żoną Trifflera. Nie utrzymasz niczego w tajemnicy, człowieku. - Les, czyli Leslie, nowa żona Dukasa była jak Rose w ciąży. Les i Rose się kumplowały. - W każdym razie...

- Tak?

- Sprawa jest zupełnie rutynowa: potrzebuję kogoś z marynarki, kto odbierze akt zgonu. Facet kopnął w kalendarz, a kiedyś służył w marynarce. Trzeba się dowiedzieć, co się stało, normalka. Każdy głupi by sobie poradził.

- To znajdź głupiego.

- Tylko że nikogo nie ma! Słuchaj, facet nie żyje, musimy zamknąć jego akta, powiadomić najbliższych krewnych i tak dalej. Po prostu to zrób, dobrze?

- To znaczy co?

- Kaszka z mleczkiem.

Dukas powiedział mu, dokąd pójść: na komisariat w Tel Awiwie na ulicy Dizengoffa. Podał też imię i nazwisko zmarłego: Salem Qatib.

- Arab?

- Palestyńczyk.

- Palestyńczyk, który służył w amerykańskiej marynarce, Mike? W Tel Awiwie...?

- Po prostu to załatw, dobrze? Prześlij mi faksem akt zgonu i inne dokumenty, które ci dadzą. Tylko bez przesady, zapomnij, że jesteś oficerem wywiadu, i zmień się na chwilę w chłopca na posyłki. Ja przefaksuję dokumenty do ambasady i cześć pieśni.

Nie zgodziłby się, ale Dukas zdążył się rozłączyć. Kiedy żona wyszła z łazienki i zobaczyła jego minę, zapytała:

- Co znowu?

Punkt graniczny w Bajt Da, Gaza

Przez całą drogę w autokarze Rashid ścisnął w dłoniach dokumenty i izraelski paszport i zastanawiał się, jak sobie poradzi z odprawą graniczną. Był brudny, czuł, jakby nawet oczy miał zabrudzone, chociaż inni pasażerowie jadący do Gazy nie wydawali się wiele czystszy.

Kiedy pracował na wykopaliskach, wszystko szło łatwiej, bo jeździł z Salemem samochodem, a Salem miał pozwolenie na pracę - lipne, bo fałszywie tłumaczyło powody obecności w Gazie, ale na tyle prawdziwe, że poparte pieczęcią Autonomii Palestyńskiej. Salem wiedział, jak zdobywać takie rzeczy na lewo.

W ciągu dwóch męczących i pełnych udręki godzin Rashid wymyślił prostą historyjkę, która miała tłumaczyć cel jego wizyty: poznał w Akce dziewczynę i chciał się z nią znowu zobaczyć. Opowieść była niemal prawdziwa, wystarczyło podstawić zamiast dziewczyny

Salema i wszystko się zgadzało. Powtarzał sobie w myślach swoje wyjaśnienia, wpatrując się w paszport i dokumenty podróży, w końcu autokar zwolnił i zatrzymał się w porannej kolejce przy granicy. Autokar był w połowie pusty. Rashid czuł się osamotniony, a niepokój sprawił, że zaczął go boleć żołądek. Musiał odłożyć paszport, bo trzęsły mu się ręce.

Autokar posuwał się powoli na przód kolejki. Po bokach ciągnęły się zwoje drutu kolczastego i pokryty graffiti beton. Stalowe pręty zbrojeniowe rdzewiały, znacząc mur długimi brązowymi zaciekami. Smród spalin wypełniał powietrze, przedostawał się przez otwarte okno i gryzł Rashida w gardło.

Zanim dotarli do punktu odprawy, do autokaru wsiedli uzbrojeni strażnicy Autonomii. Jeden z nich wziął od kierowcy listę pasażerów i zaczął ją czytać. Drugi, młodszy, sprawdzał dokumenty pasażerów, paszporty, pozwolenia na pracę, czasem tylko listy od zainteresowanych pracodawców i dowody osobiste.

Strażnik z listą pasażerów zadzwonił do kogoś z komórki. Znużony młodzieniec z karabinem na plecach przekartkował izraelski paszport Rashida.

- Miejsce zamieszkania?

- Akka.

- Cel wizyty? - zapytał, przyglądając się uważnie dokumentom.

Rashid widział, że strażnik nie zadawał tych pytań innym pasażerom, i znowu zaczął się trząść.

- Chcę... jadę zobaczyć się... z dziewczyną.

Młokos parsknął śmiechem. Był niewiele starszy od Rashida.

Rashid rozluźnił się trochę, a potem strażnik z listą pasażerów wskazał go palcem.

- Rashid Halaby? - zapytał.

Młodszy strażnik kiwnął głową, pokazując mu paszport Rashida.

- Bierz go.

Tel Awiw

Ubrany i przygotowany do wyjścia Alan Craik czekał na żonę. Nie myślał jednak o niej, tylko o tym, jak bardzo zmienił się ich świat po jedenastym wrześniu. Nie zastanawiał się nad tym w sposób uporządkowany, nie racjonalizował, nie szukał logiki, po prostu błędził myślami. Właściwie w samych faktach nie było logiki, tylko sekwencja zdarzeń, sam

pozbawiony sensu upływ czasu. Jedenasty września stał się w jego świecie obsesją, lecz o dziwo sam Craik nie czuł się nią owładnięty: jedenastego września przebywał na wysepce w zatoce Omanu, wiele kilometrów od telewizora, i nie widział obrazów tragedii w chwili, gdy wżerały się w świadomość świata. Oczywiście zobaczył je później, był wstrząśnięty, zasmucony, zły, ale nie poczuł nagiej wściekłości - i trwogi - która ogarnęła tak wiele osób. Różnica polegała na tym, że nie widział transmisji na żywo.

Wysepka była porośnięta górską roślinnością i piaszczysta. Pasły się tam kozy, mnóstwo kóz, wiele najwyraźniej zdziczałych. Ludzie zjawiali się w tym krajobrazie jakby z innej rzeczywistości, a potem znikali. Niebo sprawiało wrażenie szarej rozgrzanej blachy, a morze towarzyszyło Alanowi jako zapach, choć widywał je rzadko. Miał wyznaczyć miejsce na bazę sonarową - zadanie, z jakim poradziłby sobie lepiej jakiś porucznik, mający doświadczenie z sonarami, ale Craik wypadł z łask w Piątej Flocie, w nowej fladze i u nowego kapitana flagowego. Kapitan flagowy powiedział, że dla Craika nie ma już miejsca i że przeniosą go gdzie indziej. Nie chcą go w swoim wywiadzie, nie chcą takich jak on, cokolwiek to znaczyło. Ale Craik wiedział, co to znaczy: nie chcieli ryzykanta, który uważa, że najlepszą wiedzę wywiadowczą zdobywa się w terenie, z pierwszej ręki.

Tkwił na wyspie, patrzył na kozy i mijających go z rzadka beduinów. Nic się nie działo. Myślał, że w ogóle nie jest tam potrzebny. W tamtej chwili nigdzie nie był potrzebny. Wtedy zadzwoniła jego komórka i świat się zmienił. Dzwonił Sully, osiłek od spraw bezpieczeństwa w CIA, facet, który lubił się pastwić nad innymi, ale warto go było mieć u boku, gdy dochodziło do strzelaniny. Sully poniżał ludzi werbalnie, mówiąc rzeczy, jakich się nie mówi, kiedy morale w grupie siada albo atmosfera robi się wybuchowa - o seksie, polityce, religii - a teraz powiedział, bez żadnych wstępów: „Al-Kaida właśnie zapewniła George'owi Bushowi drugą kadencję”. Potem wyjaśnił, że w wieżę World Trade Center uderzył odrzutowiec, nikt nie wie, co się stało z paroma innymi samolotami pasażerskimi, i zrobiło się niezłe gównno.

To wydarzenie sprawiło, że przeniesiono go z Piątej Floty na stanowisko tymczasowego dodatkowego oficera dyżurnego Centralnego Dowództwa w Katarze. Był dwukrotnie w Afganistanie, trzy razy w Kuwejcie, raz w Pakistanie i raz w Iranie - wszystko w ciągu czterech miesięcy od tamtego zdumiewająco, może wręcz fantastycznie fardiarskiego, bezczelnego zamachu Al-Kaidy. W tym czasie przeszedł drogę od mściwości do rezygnacji, a potem ogarnął go sceptyczny smutek.

- O czym myślisz? - spytała Rose.

Wziął ją za rękę.

- O tym, że Al-Kaida dobrze się spisała, a my znowu coś schrzanimy.

- Wciąż się tym zadręczasz.

- A ty nie?

- Nie chcę wracać natychmiast do szwadronu, żeby rzucić się na bin Ladena, jeśli to masz na myśli.

Wiedział, że była naprawdę załamana, że nie przyjęto jej do programu lotów kosmicznych. Marynarka wojenna straciła wtedy dla niej część uroku. Przypuszczał, że właśnie dlatego pozwoliła sobie znowu na ciążę, zainteresowała się bardziej dziećmi, rodziną, nim.

- Będzie mnóstwo czasu, żeby wrócić do szwadronu - powiedział.

- Wiele lat.

- Myślisz, że czeka nas następna wojna.

- O, tak. Mnóstwo wojen. - Wstał i ją pocałował. - Bin Laden zaplanował za nas naszą przyszłość.

- Sami wykuwamy swoją przyszłość.

Wierzyła w to niezachwianie.

- Przedtem też tak myślałem, ale teraz... - Machnął ręką. - Ciągle zadzieram głowę, żeby sprawdzić, kto pociąga za moje sznurki. - Wygładził ubranie, poklepując się, jakby zamierzał ulepić swoje ciało na nowo. Kiedy szli do windy, powiedział jej, innym, poważniejszym tonem, że musi załatwić pewną sprawę dla Dukasa, podczas gdy ona będzie szukać prezentów dla dzieci. - Teraz tam pójde i powinienem wrócić na drugą, a potem zjemy lunch i pomaszeruję do ambasady, żeby przesłali dokumenty Mike'owi.

- Chcę pójść do kina. Wybierzmy się na jakiś film.

- Po hebrajsku? Tak czy siak, widziałem Harry'ego Pottera już tyle razy, że więcej nie wytrzymam.

- Po hebrajsku może być ciekawszy.

Na ulicy po raz trzeci, a może piąty, przestrzegł ją, na co ma zwracać uwagę, żeby ominąć samochody pułapki. Powiedział, żeby padła na ziemię, gdyby ktoś zaczął strzelać, bo bez względu na miejsce połowa przechodniów będzie uzbrojona, poprosił, żeby uważała na dziecko, a Rose odparła, że za bardzo się przejmuje, że go kocha i że zobaczą się o drugiej.

Wrócił myślami do jedenastego września.

- Wszyscy tutaj się boją - stwierdził. - Boję się ludzi, którzy się boją.

Mike Dukas podał Dickowi Trifflerowi kartkę.

- Co to, u licha, jest Biuro Analizy Informacji?

Triffler przyjrzał się kartce.

- To tajne biuro Departamentu Obrony, które monitoruje pracę wszystkich agencji wywiadowczych.

- Co, do diabła?

- Ci, którym się nie podoba, nazywają je Biurem Paraliżu Umysłowego. Ci, którym się podoba, uważają, że to najnowszy efekt tego, co nazywają „reformą wywiadu”, która oznacza osłabienie wpływów starych wyjadaczy, takich jak CIA, FBI i Służba Dochodzeń Kryminalnych Marynarki Wojennej. Jesteśmy, i to chyba cytując, „zużyci, starzy, liberalni i szukamy dziury w całym”. BAI to wywiad uprawiany domowym sposobem.

- Skąd wiesz to wszystko?

- Czytam „New Yorkera”.

- Też mi coś.

Triffler popatrzył na niego znad oprawek okularów.

- W „New Yorkerze” piszą doskonali dziennikarze. Powinieneś go czytać.

- Nie mam czasu na czytanie. Ale dlaczego, do cholery, ta tajna banda biurokratów wysłała mi wiadomość z poleceniem, żebym zrobił to, co i tak już robię, to znaczy, dowiedział się więcej o tym facecie, który kofnął w Tel Awiwie?

Triffler zdjął okulary.

- W końcu też jesteś biurokrata.

- To najcięższa obelga pod moim adresem, jakiej kiedykolwiek użyłeś.

- Mylisz się. Po prostu innych nie słyszałeś. Skończyłeś ze mną?

- Coś mi tu śmierdzi. Chłoptasie Rumsfelda nie wysyłają mi imiennych e-mailów. Ktoś chce mi się dobrać do tyłka. Co ty na to?

- Chyba masz rację.

- Sprawdź to, dobra?

Triffler westchnął.

- Czy jeśli powiem: „dlaczego ja”, zrobisz to sam?

- Nie mam czasu.

Triffler znowu westchnął.

- Brzemie czarnego człowieka - westchnął.

Wrócił do swojego gabinetu i zadzwonił do znajomej, która wykładała politologię na Uniwersytecie Howarda. Miała rozległe kontakty w waszyngtońskiej Partii Demokratycznej: dobry wybór, jeśli kiedyś chciałaby kandydować na jakiś stołek.

- Potrzebuję informacji - powiedział.

- Czy to ty jesteś tym wysokim, szczupłym Dickiem Trifflerem, który tak wystrzałowio się ubiera?

- Wolę raczej określenie „elegancko”.

- Twoja żona jest prawdziwą szczęściarą,

- Powiedz to jej.

- Informacja to moje drugie imię, kotku. Czego potrzebujesz?

- W Departamencie Obrony jest nowe biuro, Analizy Informacji. Chcę się dowiedzieć, kto tam pracuje.

- Ta administracja jest cholernie mrukowata, kotku.

- Zaskarbisz sobie moją dozgonną wdzięczność.

- Nie stać cię na nic lepszego?

- Obawiam się, że z tej odległości nie.

- Zobaczę, co da się zrobić.

Zadzwoniła do bardzo otyłego, ale niezwykle próżnego faceta z biura kongresmena, który był członkiem Klubu Czarnych. Grubas od dekady pracował na Kapitolu, wiedział, w której szafie są trupy i kto je schował. Uwielbiał zbierać informacje, a potem rozdawał jak karty w pokerze w jakiejś mordowni.

- Co będę z tego miał, złotko?

- Cóż, mnie właśnie zaproponowano dozgonną wdzięczność. Co ty na to?

Parsknął śmiechem.

- Za wdzięczność nie mówię nawet, która godzina.

Schlebiała mu, żartowała, przypomniwała, jak bardzo się przydała, gdy chciał zdobyć poparcie dla projektu ustawy wniesionego przez jego szefa, którego chwaliła jako prężnego członka komisji.

- Nie widziałaś jeszcze mojego prężnego członka, złotko!

- Daruj sobie dowcipy w stylu Clarence'a Thomasa. Pomożesz mi czy nie? - zirytowała się, co nie uszło jego uwagi.

W końcu biznes to biznes. Będzie jej potrzebował, przypomniwała mu, i to niejednokrotnie.

Westchnął.

- Twarda z ciebie sztuka. Odezwę się.

Grubas przyglądał faliste włosy - czarne i lśniące, takie same ma Cab Calloway, pomyślał - zerknął w swoje odbicie w okiennej szybie i zadzwonił do znajomego w Pentagonie.

- Komu mam zrobić laskę, żeby wydebić listę darmozjadów zatrudnionych w niejakim Biurze Analizy Informacji? - zapytał.

Tel Awiw

Tel Awiw jest miastem pięknych kobiet i brzydkiej architektury, widok tych pierwszych rekompensuje całą resztę. Craik przechadzał się po mieście z przyjemnością.

Posterunek policji przy ulicy Dizengoffa nie różnił się od innych budynków, ale przynajmniej sprawiał wrażenie, jakby zawód gliniarza był czymś fajnym - czysty, solidny i pozbawiony okien. Drzwi nie zapraszały do środka, ale wysyłały przekaz, że przekroczenie progu z odpowiednimi papierami jest łatwiejsze niż opuszczenie budynku z lewymi.

Alan pokazał swój paszport i odznakę SDK.

- Komandor Craik, Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych. W sprawie śmierci Salema Qatiba.

Policjantka w dyżurce mówiła lepiej po hebrajsku niż po angielsku, ale zanotowała coś i chwyciła za telefon. W tym czasie detektyw w cywilu przyglądał się Alanowi i prawdopodobnie doszedł do wniosku, że Amerykanin nie jest uzbrojony - Alan jak większość mężczyzn w Tel Awiwie miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami i jasne spodnie. Wybrzuszenie prawej poły koszuli detektywa skrywało prawdopodobnie kaburę przy pasie, a lekkie skrzywienie prawej stopy sugerowało, że mężczyzna ma pistolet przy kostce.

Ludzie przechodzili obok, jakby udawali się na jakąś ponurą uroczystość, szybkim krokiem i ze spuszczonej głowami. Sala była ogromna, niesło się w niej echo, oświetlały ją rzędy jarzeniówek na suficie. Odgłosy kroków brzmiały jak klekot rozregulowanego silnika. „Ruszaj się, ruszaj - zdawał się mówić ten hałas, cała ta atmosfera - wejdź i wyjdź, nie przestawaj bez potrzeby, wykonujemy tu poważną robotę”.

- Komandor Alan Craik?

Mężczyzna był krępy, sympatycznym blondynem. Miał browninga kaliber dziewięć milimetrów w rzucającej się w oczy kaburze na piersi i uśmiechał się, jakby naprawdę cieszył

się na spotkanie z Alanem. Może po prostu cieszył się, że widzi kogoś, kogo będzie mógł odhaczyć w terminarzu.

- Detektyw sierżant Berudh.

Wymienili uścisk dłoni. Berudh poprowadził go w kierunku rzędu wind, trzymając rękę na lewym ramieniu Alana i opowiadając o budynku - jaki jest duży, ile różnych biur się w nim mieści, iloma przestępstwami zajmują się tu każdego dnia.

- Pan z Marynarki Wojennej - odezwał się nagle. - Ale nie z okrętu, jak przypuszczam.

- Nie, nie z okrętu.

Z przyzwyczajenia nie powiedział, gdzie obecnie stacjonuje. Co oczywiście nie miało większego sensu, bo Izraelczycy i tak już to wiedzieli. A poza tym byli sojusznikami Ameryki. Do pewnego stopnia.

Berudh zamilkł, gdy wsiedli do windy i znaleźli się w otoczeniu smutnych ludzi, którzy z pewnością nie byli policjantami. Winda cuchnie nerwowością, pomyślał Alan. Wtedy do środka wsiadły dwie uśmiechnięte i energiczne młode kobiety, które rozmawiały, gdy winda wjeżdżała na górę. Pracowały tu i zdawały się mówić: „Czym tu się denerwować?”

- Tylko policjanci czują się na posterunku jak w domu - powiedział, kiedy wysiedli.

- Jakżeby inaczej? Każdy ma coś na sumieniu. - Berudh poprowadził go w głąb korytarza. - Większość przychodzi tu po pozwolenia, licencje, podstemplowanie jakichś dokumentów, ale i tak wszyscy czują się winni. Właściwie dzięki temu mamy łatwiejszą pracę. - Otworzył drzwi i przytrzymał je przed Craikiem. - Jest pan z SDK?

Alan wyjaśnił, że ma odznakę, ale to tylko pozostałość po dawniejszej służbie.

- Agent specjalny kierujący biurem w Neapolu poprosił, żebym to dla niego załatwił.

- Koleżeńska przysługa - stwierdził Berudh z uśmiechem. Mówił amerykańską angielszczyzną z lekkim akcentem, znał potoczne zwroty. - Współpracujemy z SDK, kiedy do Hajfy zawijają okręty. Marynarze schodzą tu na ląd, pakują się w kłopoty, jak to marynarze. Musimy ich aresztować, ale jesteśmy przyjaciółmi.

Prowadził Alana przez oświetloną jarzeniówkami salę z półtuzinem biur, z komputerem na każdym biurku oraz mężczyznami i kobietami przy pracy. Znowu widać było broń, niektórzy powiesili swoje kabury na oparciach krzeseł.

- Dobra. - Berudh usiadł przy jedynym pustym biurku i przysunął Alanowi metalowe krzesło. zaproponował kawę, herbatę albo gazowany napój, opowiedział krótki dowcip i zaskoczył Alana, prosząc, żeby się wylegitymował. - Wiem, że wylegitymował się pan oficerowi dyżurnemu przy wejściu, ale taką mamy zasadę. Śmierć to poważna sprawa,

prawda? - Obejrzał paszport i odznakę, wynotował sobie ważniejsze dane i rozsiadł się wygodnie. - Dobrze.

Miał nieduży plik kserokopii i wydruków komputerowych. Zaczął je przesuwać Alanowi przez biurko, wymieniając jednocześnie nazwę każdego z dokumentów:

- Raport wstępny... kopia dziennika z zapisem zgłoszenia... orzeczenie lekarskie... akt zgonu... billing telefoniczny, to tylko po to, żeby było wiadomo, kiedy poinformowaliśmy ambasadę...

Dokumenty były schludne, wszystkie wyraźnie wydrukowane na śnieżnobiałych kartkach, sprawiały wrażenie wiarygodnych i profesjonalnie przygotowanych, ale zostały napisane w języku, którego Alan zupełnie nie rozumiał. Berudh wyjaśnił, że Salem Qatib pojawił się w policyjnych aktach najpierw jako niezidentyfikowane zwłoki w Jaffie, jednej z dzielnic Tel Awiwu, potem zakwalifikowano jego sprawę jako zabójstwo, wreszcie zidentyfikowano go na podstawie zgłoszeń o zaginięciu ze strony rodziny.

Alan mógł po prostu wziąć dokumenty i wyjść, ale perwersyjne poczucie obowiązku kazało mu zadawać pytania, mimo że odpowiedzi w ogóle go nie interesowały.

- Skoro znaleziono go w Jaffie, to dlaczego wy zajmujecie się sprawą?

- Kwestia polityki wewnętrznej. - Berudh zrobił niezadowoloną minę. - Komenda dzielnicy Jarkowa przejmuje wszystkie sprawy zabójstw. Chociaż to nie my je prowadzimy. Detektywi wydziałów zabójstw bardzo pilnują swojego terytorium i nie lubią, jak ktoś wchodzi w ich kompetencje.

- Jak długo uważano go za zaginionego?

- Eee... - Berudh prawie wstał i wyciągnął szyję, żeby przyjrzeć się dokumentom przekazanym Alanowi. - Ma pan tutaj kartkę z naszego dziennika zgłoszeń osób zaginionych... bardzo drobny druk, bardzo gęsty... - Alan podsunął mu kartkę pod nos. Berudh zmrużył oczy i powiedział: - Zdaje się, że pierwsze zgłoszenie miało miejsce około jedenastej w nocy.

Berudh pośpiesznie przetłumaczył odpowiedni fragment: pierwszego zgłoszenia dokonała kobieta, która przedstawiła się jako narzeczona, bo ofiara nie zjawiała się na kolacji u kuzyna. Potem obaj pochyłili się nad orzeczeniem lekarskim. Ofiara zmarła od siedmiu do dwunastu godzin przed dokonaniem oględzin.

- Ale nie było sekcji zwłok - domyślił się Alan.

- Nie, nie, nie. Arabowie są temu przeciwni.

- Mogę zobaczyć ciało? - Miał nadzieję, że odpowiedź będzie negatywna.

- Przekazaliśmy je rodzinie praktycznie natychmiast po tym, jak lekarz z nim skończył. Pojechało na Zachodni Brzeg. - Berudh uniósł ręce. - Trumna była zamknięta.

Coś tknęło Alana, ale nie skojarzył od razu. Grając na zwłokę i czekając na olśnienie, powiedział bez przekonania:

- Nie macie żadnego podejrzanego.

- Na tym etapie, nie. Napad na tle rabunkowym? Kłótnia z dziewczyną? Porachunki między dwoma palestyńskimi ugrupowaniami? - Wzruszył ramionami. - Facet służył pod waszą banderą, ale jako Palestyńczyk mógł być zamieszany we wszystko. Związać się z Hamasem, Fatahem... mógł mieć gdzieś schowany pas z materiałami wybuchowymi, stchórzyć i ponieść karę. Oni wszyscy są fanatykami.

Alan podpisał protokół odbioru, poświadczając, że rzeczywiście otrzymał wszystkie wymienione dokumenty, a Berudh znowu się uśmiechnął i wręczył mu granatową plastikową walizkę z jakimś hebrajskim napisem i białym anglojęzycznym nadrukiem „Policja Tel Awiwu”.

- Pomoże utrzymać dokumenty w porządku, nie rozwieje ich wiatr, wie pan, tutaj zawsze wieje, to przez morze. Taki już jest Tel Awiw, przyjacielu, istny Fort Lauderdale wschodniego Morza Śród...

Odprowadził Alana do windy, dwukrotnie tłumacząc, jak ma się wydostać z budynku, i zapewniając, że gdyby czegoś potrzebował, czegokolwiek, zawsze może się do niego zwrócić... A potem zniknął.

W ogromnym holu, Alan znów zaatakowany przez odbijający się echem stukot kroków, minął smutnych ludzi kierujących się do windy i z rozkoszą spojrzął na cienki skrawek krajobrazu widoczny przez strzeżone drzwi wejściowe. Poczucie winy, które prześladowa człowieka, nawet jeśli nie popełnił żadnego przestępstwa. Pomyślał o jedenastym wrześniu. Tak, to poczucie winy, jak gdybym mógł powstrzymać zamach. Co zakrawało na absurd.

Właśnie w tym momencie skojarzył to, co wcześniej mu się wymykało. Według dwustronicowego dossier, które przefaksował mu Dukas - wypisu z akt i wypełnionego arkusza danych osobowych - Qatib miał rodzinę w Stanach. Ale ciało, jak powiedział Berudh, wysłano na Zachodni Brzeg. Może rodzina sprowadziła się z powrotem do ojczyzny? Albo rodzice się rozwiedli i jedno wróciło? Albo...?

Zamiast opuścić posterunek policji zlekceważył prośbę Dukasa, żeby zapomniał, że jest oficerem wywiadu, podszedł do dyżurki, gdzie siedziała ta sama młoda kobieta co wcześniej, i powiedział:

- Chciałbym porozmawiać z kimś z wydziału zabójstw. - Dlaczego nie poprosił o powtórne spotkanie z Berudhem? Bo wiadomości z jednego źródła powinien potwierdzić ktoś inny. Wskazał palcem podpis na pierwszej stronie granatowej teczki, którą dał mu Berudh. - Z tą osobą - oznajmił, uznawszy, że obojętne, z kim się w ten sposób skontaktuje, jeśli tylko jest to osoba związana ze sprawą.

3.

Gaza, Autonomia Palestyńska

Nie był pewien, gdzie jest - gdzieś na terytorium okupowanym. W pokoju przesłuchań czuło się stęchliznę. Znajdował się pod ziemią, biała farba na ścianach łuszczyła się z betonu wielkimi płatami, ukazując szorstką powierzchnię pod spodem. Oświetlenie było zbyt intensywne - dwie oślepiające halogenowe lampy sprawiały, że przebiegające po podłodze karaluchy rzucały wyraźny cień.

Rashid czekał tam przez trzy godziny. Ku swojemu zaskoczeniu zapadł w drzemkę. Obudził się, czując dokuczliwe swędzenie nogi i odkrył, że jeden z karaluchów wpełzł mu pod spodnie. Wpadł w panikę, podskoczył i wytrząsnął brudne stworzenie spod ubrania.

Potem usiadł, skrzyżował ręce na piersi i czekał.

Usłyszał kroki na korytarzu, rozmowy, strzępy śmiechu, a raz czyjś krzyk.

Znowu kroki, donośniejsze i stukot kobiecych obcasów. Otworzyły się drzwi.

Stali w nich mężczyzna i kobieta. On, w średnim wieku, chudy, palił papierosa. Kobieta była młodsza, ale niewiele, nosiła buty na obcasie i krótką spódnicę.

Ludzie z bronią wnieśli do celi dwa krzesła.

- Jestem pułkownik Mahmud Hamal, a to jest Zahira - powiedział mężczyzna. - Jesteś Rashid George Halaby?

Rashid pokiwał głową.

- Wiesz, kim jestem?

Rashid zaprzeczył.

- Może słyszałeś, jak nazywano mnie Poborcą Podatkowym. Hm? We władzach naszej Autonomii odpowiadam za bezpieczeństwo w sprawach zabytków. Pracujesz dla Hamasu?

Pytanie przebiło się przez inne obawy Rashida - przestraszył się, bo nie przygotował sobie zawnazu odpowiedzi. Milczał więc i siedział ze spuszczoneym wzrokiem. Oczywiście słyszał o Poborcy Podatkowym. Salem o nim wspominał - bał się go nawet.

- Od jak dawna jesteś w Harnasie?

Pułkownik Hamal zaglądał do tekturowej teczki.

Rashid łypnął na niego spod opuszczonych powiek. Pułkownik był w garniturze, z jedwabnym krawatem pod szyją. Na palcu nosił duży złoty sygnet. Rashid zamrugał, żeby się nie popłakać.

Pułkownik zamachał teczką.

- Jesteś Rashid George Halaby. Mieszkasz w Hajfie. Jesteś chłopcem na posyłki Hamasu. Miałeś dwóch braci, zabitych w intifadzie przez żydowskich żołnierzy. Twój ojciec zginął podczas zamieszek w Jordanie. Matka uczy w muzułmańskiej szkole. Dlaczego po prostu tego nie powiesz?

Wbrew sobie Rashid podniósł wzrok i spojrzał pułkownikowi w oczy. Tamten się uśmiechnął.

- Masz izraelski paszport. Nigdy nie zostałeś aresztowany w Izraelu. Jesteś muzułmaninem?

Rashid kiwnął głową.

- Jak to się stało, że masz izraelski paszport? - spytała kobieta.

Miała ciepły głos, mówiła po arabsku z lekkim obcym akcentem.

- Mieszkamy w Akce. Nie w Hajfie. - Rashid mówił cicho, jakby się bał, że ktoś może podsłuchiwać. Musieli wiedzieć te rzeczy. Hajfa była izraelskim miastem. Akka miała dużą populację palestyńską, jedną z największych w Izraelu. - Jestem Palestyńczykiem.

Pułkownik machnął ręką, wciąż przeglądał dokumenty.

- A więc w Akce. Tak czy inaczej, nie jesteś z Gazy ani z Zachodniego Brzegu. Masz izraelski paszport. - Hamal rzucił walizkę na stół, pod nos chłopaka. - Dlaczego tego nie oświadczyłeś? Nie mam nad tobą władzy.

Rashid nie wiedział, jak odpowiedzieć. Miał w głowie pustkę. Wszystkie odpowiedzi i tak musiały doprowadzić ich do tego samego - „Hamas, Salem, Hamas, Salem. Czy zabił tamtego człowieka kilofem? Czy o tym wiedzieli?” Wzruszył ramionami, gest okazał się nienaturalnie sztywny. Rashid otarł grzbietem dłoni czoło, potem wargi. Funkcjonariusze, którzy dokonali aresztowania, nie obesli się z nim łagodnie.

- Co tutaj robiłeś? - Hamal zawiesił dramatycznie głos. - W Gazie?

- Pracowałem. Z przyjacielem.

Rashid uznał, że zabrzmiało to niewinnie, ale zarówno mężczyzna, jak i kobieta się uśmiechnęli.

- Nad czym pracowaliście?

Rashidowi zadrżały wargi.

- Od jak dawna działasz w Hamasie? - spytał ponownie Hamal.

- Od śmierci braci - odparł z żarem w głosie.

Hamal pokiwał głową. Przez ponad minutę palił tylko papierosa.

- Pracowałeś z przyjacielem. Kopaliście może razem?

Rashid nie wiedział, co odpowiedzieć, ponieważ ci ludzie zdawali się zbyt dużo wiedzieć. A nie miał pojęcia, czego oczekiwali. Ale po zbyt długim wahaniu powiedział cicho:

- Tak.

Kobieta pochyliła się nad nim przez stół.

- Czy twój przyjaciel nazywa się Salem Qatib?

Rashid zdradził się swoją reakcją i wyczytał to w ich twarzach. Ale sam dźwięk imienia sprawił, że przestał się tak bać. Teraz więc wszystko było jasne. Podniósł wzrok, spojrzął kobiecie w oczy. Była atrakcyjna, miała duże oczy i patrzyła na niego przyjaźnie. Była uperfumowana.

- Tak - potwierdził.

- Jak dobrze znasz Salema Qatiba? - zapytał pułkownik Hamal.

Rashid skrzywił się, urażony.

- Jesteśmy przyjaciółmi.

Hamal zaszeleścił papierami i zerknął na zegarek.

- Salem... Salem bawił się z moim najstarszym bratem... kiedy obaj byli dziećmi - zeznał Rashid.

Hamal nie podniósł wzroku znad dokumentów przed sobą.

- Potem... potem wyjechał... do Ameryki - powiedział Rashid. - Kiedy wrócił, przyszedł z wizytą do mojej matki.

Kobieta pokiwała ze zrozumieniem głową.

Rashid mówił dalej:

- Chciał zaproponować mojemu bratu pracę, ale Ali... już nie żył. Salem wziął więc mnie zamiast jego.

- Opowiedz mi o tej pracy.

Kobieta pochyliła się do przodu, jej perfumy przebiły się przez stęchliznę celi, która nagle stała się jakby lepszym miejscem. Nie był to zapach seksu, tylko kwiatów.

- Kopaliśmy. Szukaliśmy starych rzeczy, zabytków. - Rashid wiedział, że nie może się już wycofać, że powiedział za dużo, ale oni wciąż patrzyli na niego z tym samym wyrazem twarzy, a on nie miał nic do stracenia. Interesował ich Salem. Tak samo jak jego. - Salem wyznaczał miejsce i we dwóch zaczynaliśmy kopać. Jeśli natrafialiśmy na coś, dołączali do nas inni, ale to my wykonywaliśmy precyzyjną robotę. - Rashid usiłował wyrazić, co znaczy „precyzyjna robota”, muskając blat stołu palcami. - Szczoteczkami do zębów... Wiecie? No i przesiewanie przez sito. Inni nigdy nie chcieli niczego przesiewać, do wszystkiego zabierali się kilofami i łopatami.

- A Hamas polecił ci przyjąć tę pracę.

Hamal teraz też pochylił się do przodu, dym z jego papierosa mieszał się z zapachem perfum. Kobieta machnęła ręką, odganiając dym, ale cały czas patrzyła na Rashida.

Rashid znowu skrzyżował ręce na piersiach i siedział w milczeniu. Ponieważ taka była prawda i ponieważ zdradził Salema, jeszcze zanim go poznał.

- Musiałeś się zgodzić, tak? Twoja matka na pewno by cię o to prosiła.

W głosie Zahiry słychać było współczucie i zmartwienie. Może i ona, mimo nowoczesnego ubrania, jest matką.

- Ludzie Hamasu zaopiekowali się nami po śmierci ojca.

- Oczywiście. A ty... co? Donosiłeś im, co Salem znalazł?

Rashid schował twarz w dłoniach. Zaszlochał.

- Nie po tym, jak się zaprzyjaźniliśmy! Ja... - zachłysnął się, połykając słowo „kochałem”. - Byliśmy przyjaciółmi.

Pokiwała głową. Hamal pochylił się bliżej.

- Kopaliście w Tel Sharm Heir’at?

Rashid potaknął. Widział przed sobą teren wykopalisk, dół od strony morza, wszystko przykryte płachtami niebieskiego brezentu przed zimowymi deszczami. Rząd urn pogrzebowych, ze względu na które postanowili kopać. Kamienną budowlę najbliżej brzegu, która zelektryzowała Salema.

- Byłeś tam, kiedy Qatib został pobity? - spytał Hamal.

- Ja... uciekłem.

Plaża pełna ludzi. Salem na kolanach, bity łopatą. Brodacz, którego Rashid uderzył kilofem.

Zahira pokiwała głową. Hamal zaznaczył coś w papierach.

- Salem Qatib jest archeologiem, tak? - spytał.

Rashid był myślami wciąż na tamtej plaży. Znowu drżały mu ręce, ale głos miał opanowany.

- Uczył się w Ameryce.

- Chodził na studia magisterskie z archeologii i historii starożytnej na Uniwersytecie Michigan - powiedział Hamal. - Co znaczy, że jest archeologiem. Chciałbym usłyszeć z twoich ust potwierdzenie.

- Tak, jest archeologiem.

- Prowadzi nielegalne wykopaliska.

- A czy tu są legalne wykopaliska? - zapytał Rashid, zaskakując sam siebie.

Ale nie bał się już tak bardzo jak przedtem.

Kobieta, Zahira, uniosła wyskubane brwi. Hamal uśmiechnął się, prychnął z rozbawieniem.

- Wykopaliska są legalne, jeśli wydamy na nie zgodę. Hm? A jeśli nie... to je przejmujemy.

Rashid spuścił wzrok na stół, bo teraz uświadomił sobie, kto pojmał i pobił Salema. Oblał go zimny pot, zrobiło mu się słabo.

- To wy... - wykrztusił i urwał. Zaczął jeszcze raz. - Gdzie jest Salem? Aresztowaliście go?

Potem pomyślał: czy wiedzą, że uderzyłem tamtego mężczyznę kilofem?

Hamal zaciągnął się papierosem, wydmuchnął dym kącikiem ust, tak, żeby dym nie leciał w kierunku Zahiry.

- Przejęliśmy wykopaliska w Tel Sharm Heir'at. Nie przetrzymujemy twojego przyjaciela Salema. Wiesz, że Salem Qatib został pojmany tamtej nocy? Po tym, jak moi ludzie przejęli teren?

Rashid wyciągnął ręce i chwycił się stołu, jakby obawiał się, że osunie się z krzesła.

- Nie.

- Został zabrany przez Izraelczyków, Rashidzie. Wiesz coś na ten temat?

- Nie! Nie!

Rashid patrzył to na Hamalą, to na Zahirę.

- Izraelczycy go zabili - oznajmił brutalnie Hamal.

Rashid siedział bez ruchu, w szoku.

Alan Craik i detektyw Miriam Gurion siedzieli w boksie w „pokoju” wydziału zabójstw, a właściwie w hali, w której można było rozgrywać mecze koszykówki. Miriam Gurion dobiegała pięćdziesiątki, jej ogorzała od słońca i wiatru twarz znaczyły zmarszczki, włosy były poprządkane siwizną. Mówiła po angielsku dobrze, ale z twardym, gardłowym „r”, które czasami brzmiało prawie jak dźwięczne „h”.

- Skąd pani wie, że zostałem okłamany? - zapytał.

Obserwował jej oczy. Patrzyła na niego z wyrazem szczerości, ale od czasu do czasu zerknęła na boki. Była czujna, jak ktoś, kto ciągle obserwuje, co dzieje się dokoła. Czujność policjanta w miejscu, gdzie wybuchają bomby. Albo detektywa wydziału zabójstw, który uważa, że ściany mają uszy.

- Formularz 27-14 - powiedziała. - To tylko zwykły dokument, który rutynowo wypełniamy za każdym razem, gdy stwierdzimy, że doszło do zabójstwa... Tu jest moje nazwisko, a to jest rzeczywiście mój podpis. - Pochyliła się do niego nad zwałonym papierami blatem biurka i zniżyła głos. - Sprzed dwóch lat.

Za jej plecami, do przepierzenia boksu były przyklejone trzy zdjęcia kotów i pięć zdjęć ludzi. Te ostatnie, zdążył się już przyjrzeć, przedstawiały te same dwie osoby, raz starsze, innym razem młodsze. Jedna z nich była w ślubnej sukni. Czyżby córki?

- Chodźmy na kawę - zaproponowała.

- Dobrze, ale ja nie...

- Ani słowa więcej w tej sali.

Mówiła teraz prawie szeptem. Wyprowadziła go bocznym wyjściem z budynku i przez całą drogę do ulicznej kawiarni-ogródka o przecznicy dalej nie wspomniała o Salemie Qatibie, o dokumencie ani o tym, co miała na myśli, mówiąc „sprzed dwóch lat”.

Zamówił kawę, a ona napój. Kiedy czekali, zapaliła papierosa, zaciągnęła się i po prostu pokręciła głową, kiedy spróbował podjąć rozmowę. Wydmuchnęła dym, a on machnął machinalnie ręką.

- Och, pan jest jednym z tych - powiedziała i odwróciła się do niego bokiem, trzymając papierosa nisko, od strony ulicy.

Kelner postawił przed nimi kawę i napój i stanął wyczekująco przy stoliku, w końcu odgoniła go gestem dłoni. Kiedy się oddalił, powiedziała:

- Niech mi pan opowie o detektywie, który dał panu te dokumenty.

- Co panią interesuje? - zapytał.

Mruknęła.

- Interesuje mnie moja praca. - Zaciągnęła się i wydmuchnęła dym kącikiem ust, w stronę ulicy. - Interesuje mnie dobro kraju: świat, w którym gliniarze nie kłamią. Detektyw, z którym pan rozmawiał, kłamał.

Opowiedział jej o Berudzie, opisał jego biuro i jego samego.

- Mossad - stwierdziła. Kiedy skrzywił się z niedowierzaniem, wyjaśniła: - To na pewno oficer łącznikowy Mossadu. Musimy z nimi współpracować, ale to dupki. I dlatego pana okłamali. - Wyciągnęła następnego papierosa, zaczęła się bawić plastikową zapalniczką i dodała: - Nie chciałam tego mówić na Dizengoffa. Rozumie pan. Ale podrabianie akt zabójstwa to poważna sprawa.

- Skąd pani wie, że są podrobione.

Westchnęła. Wyciągnęła rękę. Nie zrozumiał, o co jej chodzi. Poruszyła niecierpliwie palcami, zapaliła drugiego papierosa i znowu wyciągnęła rękę. Podał jej granatową teczkę z dokumentami od Berudha.

Miriam Gurion otworzyła dokumenty i pochyliła nad nimi głowę, jakby była krótkowidzem. Ćmiła papierosa i przewracała kartki, dzieląc je na dwie kupki.

- To wszystko lipa - powiedziała. - Wierzy pan w przeczucia? Mam złe przeczucie. - Zgasiła niedopałek i sięgnęła do przepastnej torby po następnego papierosa. Skinieniem głowy wskazała jedną z ułożonych kupek. - Te papiery, widzi pan? Są autentyczne. Wiem, bo pochodzą ze sprawy, którą prowadziłam dwa lata temu. Właśnie to miałam na myśli: podpisałam ten formularz 27-14 dwa lata temu. To wszystko jest z innego śledztwa. - Dotknęła palcem drugiej kupki. - Natomiast te są nowe. Widzi pan, Berudh albo ktoś inny wygrzebał dokumentację mojej starej sprawy, prawdopodobnie zeskanował akta do komputera, wymazał nazwisko i datę, wpisał nowe dane, wydrukował i proszę! Czary-mary i mamy akta nowego dochodzenia w sprawie śmierci Salema Qatiba. Można je wręczyć miłemu amerykańskiemu oficerowi, który chce tylko jak najszybciej mieć problem z głowy, żeby wrócić do domu. Hę?

Zapaliła nowego papierosa, odchyliła się do tyłu i rozkoszując się dymkiem, spojrzała na ulicę. Potem nie odwracając wzroku, ciągnęła:

- Nie wierzę w tę gadkę, że zwłoki tego faceta, jak mu tam?... Qatiba... przewieziono na Zachodni Brzeg na pogrzeb. Mówi pan, że rodzina mieszka w Stanach? A zatem historyjka z pogrzebem to bujda. Myślę, że tak samo jest ze zgłoszeniami zaginięcia, sprawdzimy to. Od razu. - Ze swojej wypakowanej torby wyjęła komórkę. Alan przypuszczał, że gdzieś tam ma

też pistolet: czy umiałaby go znaleźć w razie potrzeby? Wklepała numer i powiedziała do Alana: - Myślę, że musimy współpracować.

Potem rozmawiała z kimś po hebrajsku przez telefon, a następnie wystukała inny numer.

Kiedy skończyła, wrzuciła komórkę w czeluście przepaścistej torby, zgasiła niedopałek i zapaliła następnego papierosa.

- Akta z mojej sprawy sprzed dwóch lat wyniesiono z archiwum. Jasne? Poza tym w rejestrze osób zaginionych z wczorajszego wieczoru nie ma żadnego zgłoszenia w sprawie Salema Qatiba. - Położyła rękę na jednej z kupek dokumentów. - Wszystko bujda.

- Zgoda. Ale dlaczego?

- Sam mi powiedz, kochaniutki. - Wydmuchnęła kłęb dymu. - Co za cholerny bajzel! Będę musiała napisać sprawozdanie, otworzyć nową sprawę, poza tym jeszcze złożyć skargę na Berudha, a na domiar złego nie mam ciała denata. - Opadła plecami na oparcie krzesła, zaciągnęła się dymem, po czym spojrzała na dokumenty pochodzące ze starej sprawy. - Może pojedziemy poszukać ciała?

Uśmiechnęła się.

- Qatiba?

Jej otwarta, odwrócona do dołu dłoń zawisła nad stolikiem.

- Dlaczego wybrali akurat moją sprawę do swojego fałszerstwa? Przez przypadek? Nie. Mają coś przeciwko mnie? Nie. To dlaczego? Musiało im się bardzo spieszyć, kochaniutki, od wczorajszego wieczoru do dzisiejszego ranka musieli odwalić kawał roboty. Wybrali więc moją sprawę, bo dużą część pracy wykonano za nich już wcześniej, tak? - Dłoń zamknęła się w pięść. Kobieta się zaśmiała. - Dwie rzeczy są istotne: ktoś znał moją starą sprawę i przypomniał sobie o niej, a może istniał między nimi jakiś związek. Może ci sami ludzie znaleźli ciało? Albo uśmiercili obie ofiary? Hm? - Zgasiła niedopałek na spodku. - Pojedźmy do Jaffy.

Kawa była paskudna i Alan nie miał nic przeciwko opuszczeniu kawiarni, ale nie rozumiał, o co chodzi.

- Co takiego jest w Jaffie?

Machnięciem ręki przywołała kelnera i zagłębiła dłoń w torbie, szukając pieniędzy. Wyciągnęła je, zanim Alan zdążył sięgnąć po swoje.

- Dwa lata temu, w starych żołnierskich barakach znaleziono zwłoki młodego Palestyńczyka. Przydzielono mi sprawę. Mossad zabrał mi ją, kiedy zdawało się, że zaczynam do czegoś dochodzić. Teraz akta tej sprawy zostały wykorzystane do sfalszowania

dokumentów dotyczących zabójstwa innego młodego Palestyńczyka. I we wszystko znowu zamieszany jest Mossad. - Wstała. - Może Salem Qatib też trafił do Jaffy.

Spojrzał na zegarek. Miał się spotkać z Rose już za godzinę. Dukas prosił, żeby nie zachowywał się jak oficer wywiadu. Zrobił już dość.

- Myślę, że do podjęcia tego tropu potrzebowalibyśmy więcej informacji.

Popatrzyła na niego z czymś w rodzaju niesmaku, znów usiadła i wyciągnęła komórkę. Wystukała numer, uniosła palec, a jej brwi podskoczyły do góry, jakby chciała powiedzieć: „Patrz, co teraz wyciągnę z kapelusza!” Poczekała, westchnęła i zaczęła wrzeszczeć po hebrajsku do telefonu. Potem wysłuchała odpowiedzi, powiedziała coś, co brzmiało jak „gówna prawda” po hebrajsku, i zamknęła telefon z wyraźnym, choć cichym trzaskiem.

- Szcza w gacie, takiego ma pietra!

- Kto?

- Facet, kochaniutki, facet, który zarządza w Jaffie terenem, gdzie dwa lata temu znaleziono zwłoki! Wie coś i napędziłam mu takiego stracha, że o mało się nie zsiakł! Jedziesz czy nie?

Czuł się tak, jakby niewidzialne ręce ciągnęły go i wciskały w krzesło, ale wstał i, chociaż zupełnie mu to nie pasowało, powiedział:

- Chodźmy.

Gaza

Zarówno pułkownik, jak i jego towarzyszka wyszli z celi. Kiedy Rashid został sam, popłakiwał trochę po cichu. Wcześniej, gdy zobaczył mieszkanie Saidy, bał się właśnie tego: że Salem nie żyje. Teraz okazało się, że to prawda.

Kobieta przyniosła mu herbatę, a on ją wypił. Pułkownik wrócił z plecakiem Rashida i położył go na stole razem z foliową torebką, w której umieszczono rzeczy, które Rashid miał w kieszeniach w momencie aresztowania.

Kiedy znowu podjęli rozmowę, mówili już innym tonem, jakby chłopak przeszedł pomyślnie próbę i teraz wszyscy byli po tej samej stronie. Zadawali mu pytania, setki pytań, a on odpowiadał najlepiej, jak potrafił: na temat Salema, Hamasu i jego zainteresowania wykopaliskami, a także o samych wykopaliskach w Tel Sharm Heir'at.

Dali mu jedzenie. W ogóle nie pytali o mężczyznę, którego uderzył kilofem.

Po kilku godzinach Hamal wydawał się usatysfakcjonowany. To Zahira wciąż interesowała się wykopaliskami i wszystkim, co się z nimi wiązało, i to ona zadała pytanie, które wszystko zmieniło.

- Gdzie byłeś przez ostatnich dwadzieścia godzin? - zapytała. - Dlaczego chciałeś wrócić do Gazy?

Rashid jej powiedział. Przestał cokolwiek ukrywać, z wyjątkiem aktu przemocy, którego dopuścił się na terenie wykopalisk. Opowiedział o tym, jak ukrywał się w starych ruinach pod rodzinnym miastem Akka, i o tym, że pojechał do mieszkania Saidy. A na koniec opowiedział o karcie pamięci, którą znalazł w marynarskiej kurtce Salema.

Przyniesiono jego rzeczy. Pokazał im kartę.

Hamal zapalił następnego papierosa.

- Kto jeszcze był w jej mieszkaniu, Rashidzie?

Rashid wzruszył ramionami.

- Zostało wywrócone do góry nogami - wycedził powoli. - Jeden wielki bałagan.

Hamal spojrzał na Zahirę i uniósł brwi.

- Hamas - orzekł.

Zahira pokiwała głową a potem zwróciła się znowu do Rashida. Jej głos był szczególnie łagodny, prawie czuły.

- Kim jest ta Saida?

Po chwili Rashid podał jej nazwisko.

- Frayj. Saida Frayj. Ona... Salem.

Zamilkł rozdarty między żądzą obwinienia a chęcią ochrony przyjaciela. Gdy bił się z myślami, przesłuchujący wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Hamal wyszedł. Zahira zaś pytała go dalej o wykopaliska, o kamienną budowlę, o to, od jak dawna Salem się nią interesował. Rashid starał się odpowiadać ostrożnie. Mogli przecież kłamać, Salem mógł siedzieć w celi tuż pod Rashidem. Usiłował więc chronić przyjaciela, powiedział Zahirze, że Salem dopiero co odkrył kamienną budowlę.

- Wiesz, co to za budowla, Rashidzie? - spytała.

- Grobowiec?

Wiedział, co Salem o niej mówił. Nie chciał zdradzić zbyt wiele.

- Bardzo szczególny typ grobowca, Rashidzie. Tolos. Kamienna komora, którą budowali Grecy i tylko oni.

- Aha - wymamrotał, udając zaskoczenie.

Potem Hamal wrócił z laptopem. Włączył komputer, wsunął kartę i po chwili otworzył zapisane na niej pliki. On i Zahira pochylili się nad ekranem, który był ustawiony pod takim kątem, że Rashid nic nie widział.

- No proszę - odezwał się Hamal.

Potem parsknęła śmiechem, a Zahira odwróciła wzrok.

Hamal zaczął się uważnie przyglądać obrazowi. Zaklął.

- Zahiro, spójrz, co ona trzyma. Spójrz!

Spojrzała. Aż się zachłysnęła, pochyliła się wprzód i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć monitora. Jaskrawe kolory z ekranu oświetliły jej twarz tak, że wydała się Rashidowi młodsza i bardziej tajemnicza. Przez chwilę wciskała jakieś klawisze, a potem odwróciła ekran tak, że Rashid zobaczył obraz.

Na ekranie widział nagą kobietę, jej sterczące piersi lśniły w jasnym świetle flesza. Była ładna, miała mocne rysy, długi i kształtny nos, gęste i czarne brwi, w oczach odbijało się światło. Źrenice jarzyły się na czerwono. Uśmiechała się.

Saida, ta wywłoka, pomyślał.

W dłoniach trzymała puchar z dwoma uszami. Był ze złota.

- Znasz tę kobietę? - zapytał go Hamal.

Rashid splunął.

- Saida.

- Zabrałeś to z jej mieszkania? - spytała Zahira.

- Zrobiono je w grobowcu - powiedział Hamal. - Spójrz tu i tu. Te duże kamienie oświetlone błyskiem flesza.

Oboje uważnie przyglądali się zdjęciu, a potem następnemu i kolejnym. Często odwracali ekran i zadawali Rashidowi pytania. Saida w biżuterii, Saida trzymająca sztylet, Saida znowu z tym samym pucharem, Saida z butelką szampana.

W Rashidzie narastała złość. Nie powiedział Hamalowi, że widział płócienną torbę wypchaną tymi przedmiotami w samochodzie - to byłaby zdrada. Ale nie ukrywał, że Saida jest chciwą dziewczyną, którą jego matka nazywała puszczałką i dziwką i która nie była muzułmanką, lecz chrześcijanką z Betlejem i najbardziej zależało jej na pieniądzach oraz dobrej zabawie.

Oboje z uwagą przysłuchiwali się jego złości i wrogości. W końcu wyczerpał się jak stara bateria, mówił coraz bardziej chaotycznie i coraz rzadziej gestykulował. Wreszcie pułkownik Hamal wstał, a Zahira poklepała go po dłoni.

Zabrali laptopa i wyszli.

Tel Awiw

Po blasku i gwarze ulicy Dizengoffa Jaffa sprawiała wrażenie miejsca w innym kraju, w innych czasach. Stare ulice, kręte pasáže, Targ Wielbłądzi - była rzeczywiście stara, po części arabska, zwrócona plecami do klującej w oczy nowości centrum Tel Awiwu.

- Tutaj Pal'yam wysadził w powietrze dwie brytyjskie łodzie patrolowe - powiedziała Miriam Gurion. Gestem ręki wskazała na wodę. - W 1946 roku - dodała na wypadek, gdyby jego znajomość historii Izraela nie była zbyt dobra.

Tak naprawdę, zupełnie jej nie rozumiał i przyznał się do tego.

Zatrzymała się, odchyliła głowę do tyłu, uniosła brwi i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Musieliśmy walczyć przeciw Brytyjczykom, żeby dostać, co nam się należało.

Musieliśmy walczyć przeciwko wszystkim. Chodź.

Do Jaffy przyjechali samochodem, który zaparkowała prawie zupełnie beztrąsko pod kątem przy krawężniku, jakby oznajmiała: „Ośmielcie się wlepić mi mandat”. Teraz zaprowadziła Alana w stronę podniszczonego siatkowego ogrodzenia zwieńczonego zwojami zardzewiałego drutu kolczastego. Brama nieopodal była na tyle duża, że zmieściłby się w niej ciężarowy samochód, za nią stała betonowa strażnica. Strażnica nie wytrzymałaby wybuchu samochodu pułapki, pomyślał Craik, ale który terrorysta mógłby liczyć na zainteresowanie mediów wysadzeniem w powietrze prawie zrujnowanego obiektu? Była to właściwie zapuszczona baza izraelskiej marynarki wojennej, dawny teren stacjonowania Brytyjczyków, o którym zapomniano, gdy państwo Izrael okrzepło i urosło w siłę.

Na ogrodzeniu u dołu zatrzymały się przywiane przez wiatr plastikowe torebki i papiery, wewnątrz rozpleniły się chwasty, popękane betonowe ścieżki łączyły budynki, które wyglądały, jakby były opuszczone, namalowane farbą nazwy urzędów wojskowych wyblakły,

a urzędy już nie istniały. Craik dostrzegł jeden napis po angielsku: „4. Pułk Królewskiej Piechoty Morskiej”. Pozostałe, wymalowane nieco świeższą farbą, były po hebrajsku.

Młody wartownik obejrzał ich dokumenty. Obiekt był przynajmniej na tyle nowoczesny, że został stelefonizowany. Efekt okazał się zaskakujący: oficer w średnim wieku z dość groźną gnomowatą twarzą w której dominował orli nos, wyszedł pośpiesznie zza rogu, wciąż poprawiając czapkę na głowie. Alan zauważył, że facet jest tylko porucznikiem, o wiele za starym na tę szarżę, a groźna mina to tylko poza.

- Mosher - szepnęła Miriam Gurion do Alana. - Łajza.

Ruszyła w stronę Moshera, jakby zamierzała go załuc na śmierć, a on zatrzymał się i na twarzy odmalowały mu się najpierw wyrzuty sumienia, a zaraz potem strach. Powiedział coś, a ona wyrzuciła z siebie po hebrajsku potok słów, który brzmiał jak seria z karabinu maszynowego i spowodował, że Mosher aż drgnął. Próbował się zrehabilitować, powiedział coś, co zabrzmiało jak błaganie, i w odpowiedzi usłyszał następne złorzeczenia po hebrajsku.

Złapała Alana za ramię.

- Chodź.

Ruszyli w głąb bazy. Porucznik Mosher pozostał w tyle, patrzył na nich i nie przestawał błagać.

Alan spojrzął na zegarek, stwierdził, że na pewno spóźni się na spotkanie z Rose.

- Dokąd idziemy? - zapytał.

- Zobaczyć ciało. - Prychnęła. - Zapytałam go: „Mosher, gdzie ciało?” Myślałam, że się zśika. A potem: „Jest dokładnie tam, gdzie było tamto, tak, Mosher?” Myślałam, że się poroczy. - Pokiwała głową. - Tak naprawdę to miły z niego facet, tylko łajza.

Szli wzdłuż długiego budynku, który kiedyś należał do 4. Pułku Królewskiej Piechoty Morskiej. Okna były w większości ciemne, lecz Alan spostrzegł zapalone jarzeniówki w pokoju na piętrze - biuro Moshera, a może jakiś nieistotny urząd marynarki, który został tu zesłany? Zza zwyczajnie otwartych drzwi wejściowych wyłonił się tęgi mężczyzna, który wyglądał idiotycznie w workowatych bermudach. Równie dobrze mógłby być jakimś bezrobotnym mieszkańcem małego miasteczka zaciekawionym obecnością przyjezdnych. Alan kiwnął do niego głową, lecz tamten nie zareagował. Może słońce świeciło mu w oczy.

Z prawej strony minęli plac, który kiedyś mógł służyć do musztrowania albo ćwiczeń. Dawniej wysypany żwirem, teraz zarósł trawą. Za nim znajdowały się trzy identyczne budynki dawnych baraków. Teraz ich okna zostały zabite deskami.

Alan zastanawiał się, czym porucznik Mosher zasłużył sobie na taką służbę. Był o wiele za stary na porucznika, pomyślał. Wspięli się na wzniesienie, potem zeszli na dół.

- Tutaj - powiedziała.

Wskazała palcem kopiec, wysoki może na dwa i pół metra i długi na dziesięć metrów. Od końca bliżej nich we wzniesienie wrzynał się rów, który dzielił je na dwie nierówne części.

Skład amunicji, pomyślał Alan. I to właśnie tłumaczył Mosher, który nagle zaczął mówić po angielsku. Brytyjczycy, a potem Izraelczycy, wykorzystywali go do magazynowania amunicji, potem uznano, że nie spełnia nowych wymagań, i przeznaczono go do innych celów - w pewnym okresie była tu kantyna - a do czasu wojny w zatoce składowano w nim niebezpieczne odpady.

- Wtedy Saddam zaczął nas ostrzeliwać scudami, postanowiono więc przenieść odpady do specjalnego bunkra i zainstalowano tu klimatyzator. - Mówił do Alana. - Ale teraz nic tu nie ma. Obiekt niewykorzystany. Pusty!

Alan zastanawiał się, dlaczego słyszy działający klimatyzator.

Rów skrywał betonowe schodki prowadzące do stalowych drzwi dawnego składu amunicji. Nad nimi, za kratą wielkości okna, szumiał klimatyzator. Miriam Gurion powiedziała coś po hebrajsku i Mosher otworzył drzwi jednym z kluczy zebranych w pęk na dużej obręczy.

Alan poczuł odór śmierci, gdy tylko drzwi rozchyliły się ze zgrzytem. Najwyraźniej Mosher również go poczuł, bo powiedział:

- Klimatyzacja jest za słaba.

Pocił się obficie i często przełykał ślinę.

Ściany były z popękanego, niepomalowanego betonu, wzdłuż sklepienia, dwa i pół metra nad podłogą, zainstalowano w rzędzie pięć żarówek w drucianych osłonkach, połączonych kablami w staromodnych metalowych rurkach. W cieniu stały biurka, na których ustawiono krzesła, ciężkie maszyny do pisania, druciane kosze i książki. Klimatyzator szumiał i świszczał. Powietrze pachniało wilgocią, stęchlizną i śmiercią.

Miriam Gurion zaprowadziła ich w głąb pomieszczenia. Pod ścianą leżała stara brezentowa płachta, sztywna jak smołowany żagiel i wybrzuszona.

- Nigdy w życiu tego nie widziałem - oznajmił Mosher.

Pociągnął za brezent, który był ciężki i stawiał opór. Alan chwycił płachtę z drugiej strony i pomógł ją unieść, a następnie zdjąć z martwego ciała.

- Mam dla ciebie tę listę.

Dukas podniósł wzrok znad papierów. Triffler stał przed biurkiem, wszedł zupełnie niezauważony, a to, co powiedział, zdawało się pozbawione znaczenia. Dukas zmarszczył brwi.

- Listę? - powtórzył.

- Tej bandy z Departamentu Obrony. Z Biura Analizy Informacji.

- Aaa, tak, tak... - Dukas wrócił z Krainy Papierkowej Roboty na ziemię. - Szybko ci poszło.

- Dzięki sieci czarnych w Waszyngtonie. Używamy bębnow.

- Wiesz, ciągle podkreślanie, jak jesteś czarny, wcale ci nie służy. Właściwie jesteś równie czarny jak moja ciocia Olympia.

- Ciągle to podkreślamy, żebyście wy tego nie robili. - Triffler pisał coś na klawiaturze komputera Dukasa. - Przesłałem ci listę siecią, ale uznałem, że pewnie nie wiesz, jak ją otworzyć, zjawiłem się więc sam.

- Wolę mieć wszystko na papierze.

- Wiemy, Mike. Wszyscy się z tego podśmiewamy.

Pochylony, bo wciąż stał, wcisnął ostatni klawisz i na ekranie pojawiła się lista nazwisk.

- Ecco¹, jak mawiają tubylcy: personel BAI.

Mruknąwszy, że Triffler wykonał dobrą robotę i chyba zatrzyma go u siebie na dłużej, Dukas obrócił się na fotelu twarzą do komputera i zaczął przewijać listę. Było na niej tylko czterdzieści nazwisk i nie musiał czytać ich wszystkich.

- No, no, no.

- Masz trafienie?

- Dobrze się spisałeś. - Dukas postukał palcem w ekranie. - Spinner, Raymond L. Ha! - Uśmiechnął się. - Zabawne, jak rzeczy, które zrobiłeś, potrafią wrócić, żeby dziabnąć cię w dupę!

- Szekspir napisał coś podobnego.

¹ Ecco (wł.) - otóż to (przyp. red.).

- A co ty wiesz o Szekspirze?

- Andrew jest na pierwszym roku w Brownie. Jako ojciec staram się za nim nadążyć.

Dukas miał przez chwilę strapioną minę, może pomyślał, że gdy jego jeszcze nienarodzone dziecko pójdzie na pierwszy rok studiów, on będzie się właśnie wybierał na emeryturę. Otrząsnął się z tych rozważań i powiedział:

- Ten facet... - Znów popukał palcem w ekran. - Raymond Spinner. Przyłapałem go na przekazywaniu niejawnych informacji floty tatuškowi, który jest jakąś szyczą w Waszyngtonie. Przekonałem go, żeby się wyniósł z marynarki. A teraz morze wyrzuciło go na plażę w Departamencie Obrony, pewnie za sprawą tatusia, i facetowi wydaje się, że mnie załatwi.

Dukas mruknął:

- No, no.

- Zamierzasz zrobić coś paskudnego.

Bynajmniej. - Uśmiechnął się do Trifflera. - Zachowam się jak posłuszny, poczciwy urzędniczyna. Następnie zabrał się do pisania e-maila, który był odpowiedzią na list z BAI:

„Od: Agent specjalny Michael Dukas, dowódca Służby Dochodzeń Kryminalnych Marynarki Wojennej, Neapol, Włochy

Do: Młodszy Zastępca Sekretarza Obrony, Departament Obrony, Biuro Analizy Informacji

Temat: Pańskie polecenie

Wiadomość: Zgodnie z 1347.5 par. 11 proszę Pana o podanie swojej pozycji w hierarchii dowodzenia i uzasadnienie ww. polecenia. Jako osobę odpowiedzialną rekomenduję p. Raymonda Spinnera (GS-10)”.
- Co to jest 1347.5?

- Skąd mam, do cholery, wiedzieć?

Tel Awiw

- Światło - powiedział Alan.

Widział, że leży tam nagi martwy człowiek, a z boku jakiś podłużny metalowy kształt, ale nie widział szczegółów. Miriam zagłębiła rękę w torbie i wydobyla jedną z latarek, jakie

Alan widział na reklamach w droższych magazynach o broni palnej - była mała, dawała mocne światło i kosztowała krocie.

Zwłoki leżały na noszach, metalowa rama błysnęła w świetle latarki. Uszkodzenia ciała przyprawiły o mdłości.

- Pobity - orzekła Miriam.

- Przyczyna zgonu?

- Nie jestem lekarzem. - Poświeciła latarką w oczy trupa i otworzyła mu jedną powiekę, potem przyjrzała się potłuczonym wargom, które rozchyliła długopisem, żeby przyjrzeć się zębom. - Naprawdę źle - oceniła. Ucisnęła klatkę piersiową, ale nic się nie stało. - Myślałam, że może woda.

- Tortury.

- Mhm.

Zbadali ciało od góry do dołu, kończąc na stopach, które podobnie jak nogi były mniej obite niż głowa i tułów. Craik wskazał na dwie okrągłe ranki na lewej nodze.

- Papieros.

- To facet, którego szukasz? - spytała.

Wyciągnął kartkę z danymi osobowymi, które Dukas przefaksował do ambasady. W prawym górnym rogu były dwa zdjęcia twarzy, en face i z profilu, wielkości zdjęć paszportowych. Niewyraźne i rozmazane po przejściu przez faks zupełnie nie przypominały pokiereszowanego mężczyzny na noszach. Alan przejrzał formularz, w końcu dotarł do rubryki „Znaki szczególne” i przeczytał na głos:

- Dwucalowy tatuaż przedstawiający kotwicę oplątą liną na lewym przedramieniu. -
Uznał, że musi jej to wyjaśnić. - Dwa cale to około... pięciu centymetrów.

Uniosła lewe ramię nieboszczyka.

- Jest - potwierdziła.

- Blizna po operacji wycięcia wyrostka robaczkowego na brzuchu po prawej stronie.
Okolo... czterech centymetrów.

- Dobrze, jest.

- Trzy pieprzyki, wypukłe, gładkie i ciemnobrązowe, po lewej stronie klatki piersiowej tworzące wierzchołki trójkąta o boku o długości około... siedmiu centymetrów.

Schyliła głowę nad klatką piersiową nieboszczyka, oświetliła latarką woskową skórę, potem odwróciła głowę do Alana i powiedziała:

- Nie cieszysz się teraz, że ze mną pojechałeś?

Zagłębiła rękę w torebce, którą położyła na noszach i poświeciła do środka latarką, a następnie wyciągnęła plastikową fiolkę, sterylnie zapakowane waciki oraz pudełko na tyle duże, że pomieściłoby pół tuzina cygar. Wyjęła wacik, pobrała z ust denata próbkę śliny i krwi, wsadziła wacik do fiolki, po czym wyrwała Qatibowi włos z głowy, umieściła go w następnej fiolce i wydobyła małą poduszczkę do tuszu. Alan przypuszczał, że ma ze sobą cały zestaw przyborów do zbierania dowodów rzeczowych.

- Nie zrobi tego za ciebie ekipa techniczna? - spytał.

- Mossad, kochaniutki, Mossad.

Alan wyłączył swoją latarkę i wyprostował się, od długiego schylania rozboleły go plecy.

- Jak ktoś mógł przynieść tutaj zwłoki? - zapytał Moshera.

- Przez tyle lat przewinęło się tutaj wielu ludzi. Klucze...

Wykonał palcami ruch imitujący chodzenie.

- Ale nie wiedział pan, że zwłoki są tutaj?

Choć zdawało się to mało prawdopodobne, Alan mu uwierzył. Mosher był kapcanem i pewnie ofermą, wiedział, że jest wykorzystywany, i się bał.

- Czy pan... czy ktokolwiek mieszka na terenie bazy?

Mosher pokręcił głową, jakby sam pomysł wywoływał w nim obrzydzenie.

- A gdzie miałby mieszkać? Niektóre budynki nie mają nawet wody. Mieszkam w Tel Awiwie. Większość moich ludzi to rezerwiści. To fajna służba: wieczorem wraca się do domu do mamusi.

- Ale ma pan oficera na nocnej służbie.

- Niskiego rangą oficera.

- Który ma na wszystko oko.

- Tak, tak.

- I wartowników pilnujących teren?

Wzruszył ramionami.

- Dzieciaki, Dobre chłopaki. Ale...

- Kto jeszcze korzysta z bazy? Widziałem mężczyznę w drzwiach jednego z budynków...

Mosher wycofał się, unosząc ręce w obronnym geście. Pokręcił głową i wymknął się za drzwi.

Alan znalazł Miriam na zewnątrz. Stała na najwyższym stopniu schodków z telefonem przy uchu i rolką taśmy policyjnej w lewej dłoni. Skinęła na niego, żeby jej pomógł, i wspólnie zabezpieczyli stalowe drzwi i schody. Przez cały czas Miriam gadała z kimś po hebrajsku.

- Zgłosiłam przestępstwo w wydziale zabójstw - powiedziała. - Wyślą tu ekipę. Niech oni użerają się z Mossadem. - Zapaliła papierosa. - Jak to się stało, że nie palisz?

- Żona przekonała mnie, że moje dzieci zasługują na coś lepszego.

- Fajna żona?

- Wspaniała.

Odsunęła papierosa z dala od niego.

- Ja miałam przez jakiś czas fajnego męża. Potem go przegoniłam. Mam dwójkę dzieci. Córka wyszła za męża i mieszka w Londynie, a syn jest lekarzem w bet-Elan. - Wydmuchnęła dym. - Właściwie to wywaliłam męża za drzwi. Zaczął się zabawiać z innymi. - Spojrzała na niego z ukosa. - Zawstydzam cię.

- Nie tak łatwo mnie zawstydzić.

Poklepała go po ramieniu.

- Powinniśmy się więc dogadać.

Znowu zadzwoniła do kogoś z komórki.

Alan stał na niedużym wzniesieniu i spoglądał na wejście do bunkra, myśląc o martwym mężczyźnie w środku. Torturowanym, pobitym na śmierć. Skręcało go od tego w żołądku. Zawsze tak reagował.

On i starszy sierżant Fidelio, którego wszyscy przezywali Fidel, byli w północnym Afganistanie, zanim zaczęło się bombardowanie. Miał ze sobą pół miliona dolarów w gotówce, ale pojechał tam dlatego, że Fidel znał farski i pasztuński, a musiał mu towarzyszyć oficer. Byli w zachodniej części terytorium Sojuszu, mieli kupić pomoc w planowanym amerykańskim ataku. Okazało się, że watażka, do którego ich wysłano, mówił po turkmeńsku, potrzebowali więc kogoś z miejscowych do przetłumaczenia turkmeńskiego na farski, żeby Fidel mógł to przetłumaczyć na angielski Alanowi. Znaleźli się w kamiennym domu, w izbie o ścianach obwieszonych kilimami, z dywanem na podłodze, gdzie siedzieli po turecku, a przed nimi stały szklanki z herbatą i talerze z jedzeniem. Z zewnątrz dobiegały odgłosy, jakby ktoś trzepał dywan, tylko że towarzyszyły im krzyki. Alan położył ćwierć miliona dolarów obok talerzy, a watażka zapytał: „Ilu amerykańskich żołnierzy tu przyślecie?” Krzyki i odgłosy bicia nie ustawały, Alan zmarszczył brwi, patrząc na Fidela. Usłyszał następny wrzask. Watażka mruknął coś do jednego z adiutantów, a tamten wyszedł i hałasy ustały. Potem dobili targu. Watażka i jego wojsko będą walczyć po stronie Stanów Zjednoczonych, a w zamian oczekiwał broni, ciężarówek, paliwa i trochę ciężkiego uzbrojenia. Poprzez łańcuch tłumaczy Alan wyjaśnił, że te ćwierć miliona jest właśnie na to, a watażka westchnął i odparł przez pośredników, że ma bardzo duże wydatki. Większość jego funduszy, jak przypuszczał

Alan, pochodziła z Iranu: jego ludzie mieli irańską broń i irańskie mundury, a wśród nich kręcili się faceci mówiący, według Fidela, w języku farski, którzy prawdopodobnie byli z irańskiego wywiadu. Jednak żadna z tych spraw nie miała znaczenia, w tamtym momencie jego zadanie polegało na uzyskaniu zgody watażki, a Iranem mieli się przejmować później. Watażka się zgodził, Alan się zgodził. Watażka, Alan i Fidel wszyscy uścisnęli sobie dłonie i uśmiechali się, gdy stos pieniędzy został wyniesiony do innej izby. Potem wyszli na zewnątrz. Na podwórzu leżało zakrwawione ciało, a grupka żołnierzy zmuszała do patrzenia na nie wystraszonego mężczyznę, potem zaczęto na niego krzyczeć i go poszturchiwać. Miał być następny.

Myśląc o tym, Alan poczuł ochotę na papierosa i pewnie poprosiłby Miriam, żeby go poczęstowała, gdyby nie powiedziała:

- Idziemy stąd, kochanie.

Nie chciał dać się wciągnąć w intymność tego „kochanie” przez wspólne palenie papierosów.

- Tak szybko?

Roześmiała się i poprosiła, żeby był grzeczny.

- Odwiozę cię, ruszę z papierkową robotą, potem znowu przyjadę. To teraz moja sprawa.

- I będziesz mnie informować.

- Tak, oczywiście... - Prowadziła go z powrotem do bramy. Alan zapytał, czy Moshera czekają kłopoty, a ona odparła, że prawdopodobnie tak. - Ale nic poważnego. Myślę, że naprawdę nic nie wiedział.

- Nie ma tu zbyt wiele do roboty. Kiepska służba.

- Raz strasznie nawalił, teraz więc tylko czeka na emeryturę.

Na jednym z miejsc parkingowych przy bramie stał SUV, ale Alan ledwo go zauważył. Miriam pomaszerowała w stronę swojego samochodu. Przeszli przez ulicę i Alan usłyszał, jak SUV rusza, ale nie przykuło to jego uwagi. Po chwili potężny wóz znalazł się obok nich, otworzyły się drzwiczki i wypadło z niego trzech mężczyzn. Chwycili Alana za ręce i wpełnęli do samochodu. Zobaczył jeszcze, jak Miriam wsunęła rękę do torby, a jeden z mężczyzn uderzył ją tak mocno, że upadła. Wóz ruszył z miejsca, mimo że Alanowi leżącemu na podłodze, nogi wystawały na zewnątrz przez otwarte drzwiczki. Ktoś wpełnął mu je do środka, mężczyźni zaczęli coś krzyczeć i zatrzasnęli drzwiczki.

4.

Tel Awiw

Rose Craik nie zaniepokoiła się, gdy mąż nie zjawił się o drugiej w hotelu, bo uznała, że robota, której się podjął, zajęła mu więcej czasu, niż się spodziewał. Mimo to sama ta możliwość irytowała ją, bo chciała, żeby choć na jeden dzień oderwał się od pracy i spróbował zapomnieć o wojnie, która teraz zdawała się go pochłaniać. Tak naprawdę nie miała ochoty na kino, chciała, żeby on tam poszedł.

Czy też raczej, żeby zapomniał nie tylko o samej wojnie w Afganistanie, lecz i o świecie wojskowych, który gwałtownie się zmienił po jedenastym wrześniu. Wiedziała, że Alana dręczą wyrzuty sumienia, bo służby wywiadowcze USA nie przewidziały zamachu, i że odczuwa w związku z tym niejasny niepokój o przyszłość samej Ameryki. Kiedy powiedział: „Boję się ludzi, którzy się boją”, wiedziała, że próbuje w ten sposób wyrazić ten niepokój ze względu na nią lecz także ze względu na siebie. Czasami zdawał się oszołomiony precyzją zamachu i jego powodzeniem, kiedy indziej zdumiewała go reakcja, jaką wywołał. „Od dwudziestu lat Stany Zjednoczone są celem ataków terrorystycznych. Wszyscy wiedzieli, że Al-Kaida istnieje. Dlaczego wszyscy wpadli w taką histerię?” A praca dosłownie go zżerała, Rose widziała, że z miesiąca na miesiąc coraz bardziej chudnie.

Teraz znudzona i sfrustrowana zadzwoniła do domu w Bahrajnie, gdzie przyjaciółka z marynarki, która opiekowała się ich dziećmi, zapewniła, że mają się świetnie. Potem zadzwoniła do pracy, tęsknili za nią, ale jakoś sobie radzili. Pooglądała trochę izraelskiej telewizji. O trzeciej zaczęła się niepokoić.

O trzeciej dwadzieścia zadzwonił telefon. Najpierw poczuła wielki zawód, że to nie Alan, a potem jej serce zamarło, gdy usłyszała kobietę z obcym akcentem, która przedstawiła się jako policjantka. Kobieta powiedziała, że muszą koniecznie porozmawiać. Była w recepcji i spytała, czy mogłaby wejść na górę. Rose pełniła funkcję attache, miała dostęp do tajemnic państwowych i znała środki ostrożności, które powinna zachować jako Amerykanka w obcym państwie. Hotele, nawet w Izraelu, nie były do końca bezpieczne, spotkanie w miejscu publicznym wydawało się bezpieczniejsze.

- Zejdę na dół - powiedziała.

Kobieta była grubokoścista, miała harde spojrzenie, może trochę ekstrawagancka: rozwiane włosy, jaskrawa chusta. Miała siniec po lewej stronie twarzy od podbródka aż do oka, które spuchło i pociemniało.

- Sierżant Miriam Gurion, policja Tel Awiwu - przedstawiła się, pokazując odznakę.

- Czy chodzi o...?

Kobieta przyłożyła palec do ust.

Jeśli ktokolwiek w hotelowej recepcji zdziwił się, że kobieta pokazuje odznakę i wizytówkę, nikt nie dał tego po sobie poznać. Rose wzięła wizytówkę, przeczytała ją uważnie i oddała razem ze swoim paszportem dyplomatycznym. Rozejrzała się dookoła, sprawdzając, czy nikt ich nie obserwuje. Czego ta kobieta się obawiała?

Pani Gurion - powiedziała „pani”, nie „panna” - poprowadziła ją do głębokiej kanapy w alkowie, z której widać było wejście. Kiedy usiadły, sofa jęknęła cicho, a dookoła nich wyrosły wyrzucenia różowawego materiału.

- Myślę, że pani mężowi nic się nie stało, ale sytuacja nie wygląda dobrze. - W oczach kobiety zakręciły się łzy. - Jest mi tak strasznie wstyd. To moja wina... wszystko moja wina...

- Zachlipała. - Uwięzili mnie!

Serce waliło Rose jak młotem, ale pochyliła się do kobiety.

- Nic mu nie jest?

- Byłam z pani mężem. Wykonywaliśmy robotę, może pani wie, mężczyzna, który zmarł...

- Gdzie jest mój mąż? - zapytała Rose z naciskiem.

Kobieta pokręciła głową.

- Porwali go na ulicy. A mnie poturbowali. - Wskazała ręką na siniec na twarzy. - Czterej faceci w dużym samochodzie. - Zaczęła płakać. - Nie wiem, dokąd go zabrali. Wepchnęli mnie do innego samochodu i jeździli w kółko po mieście. Potem wysadzili mnie na Ayalon. Sukinsyny!

Rose patrzyła z niedowierzaniem.

- Nie rozumiem... kto mógłby... Czy to byli Palestyńczycy?

- Nie ośmieliliby się. Amerykanina? - W jej śmiechu pobrzmiwała pogarda. - Kto ośmieliłby się porwać Amerykanina z ulicy w Izraelu? Gangsterzy? Niemożliwe. - Wyciągnęła papierosa. - Może ośmieliliby się porwać policjantkę, ale nie Amerykanina. - Popatrzyła na Rose. - Pani mąż mówi, że przekonała go pani, żeby rzucił.

- Nie... och, palenie. Proszę się nie krępować. - Usiłowała być cierpliwa, gdy kobieta próbowała zapalić zapalniczkę, ale w końcu wybuchnęła: - Jak bardzo jest źle?

Zaczęła się gorączkowo zastanawiać, co powinna zrobić. Zadzwoić do ambasady? Do kogoś z marynarki w Bahrajnie? Do Mike'a Dukasa? Czula się zbita z tropu, bo kobieta była z policji, a właśnie policja jest instytucją, do której najpierw powinna się zwrócić.

- To Mossad, to musi być Mossad, nikt inny by się nie ośmielił. Wie pani, co mam na myśli? Mossad. - Opowiedziała Rose o tym, co robiła z Alanem: jak znalazł ją na posterunku policji przy ulicy Dizengoffa, jak opowiedziała mu, co wiedziała, a później zawiozła w miejsce, gdzie ukryto zwłoki. - Potem, kiedy wychodziliśmy, zostaliśmy napadnięci. Jego porwali, a mnie poturbowali i wozili po mieście samochodem. Nie jestem zadowolona.

- Jak poważna jest sytuacja?

Kobieta wydmuchnęła kłęb dymu.

- To muszą być naprawdę głupi ludzie, ale do jakiej głupoty są zdolni, nie wiem. Przypuszczam, że nie są na tyle głupi, żeby zrobić coś naprawdę złego. Ale kiedy dowiedzą się, że pani mąż jest amerykańskim oficerem, mogą się przestraszyć.

- A ludzie, którzy się boją, robią głupie rzeczy.

- Właśnie. - Kobieta popatrzyła jej w oczy otwarcie, z ciekawością, prowokacyjnie. - Jest pani odważna?

- Jestem oficerem marynarki wojennej tak jak mąż.

Kobieta zlustrowała ją wzrokiem i rozstrzygnęła jakąś wątpliwość.

- Dobrze. - Wgniotła niedopałek papierosa w popielniczkę. - Może pani zapomnieć o formalnościach, to znaczy o zgłoszeniu sprawy policji. Sama to zrobiłam. I powiedzieli mi, żebym trzymała gębę na kłódkę. Teraz musi pani zrobić coś, co przycisnie ich do ściany. Rozumie pani?

- Do muru.

- Tak, dobrze, do muru. Jak mówię, to ludzie Mossadu. - Wyciągnęła następnego papierosa. - Na pewno z Mossadu. Trzeba ich przycisnąć.

- Mogę zadzwonić do ambasady...

- Jeśli zadzwoni pani jako zwykły obywatel, upłynie wiele dni, zanim cokolwiek zrobią. Ma pani przyjaciół? Może pani... - zamachała ręką - mówicie „pociągnąć za sznurki”?

- Tak, tak właśnie mówimy. I owszem, mogę. Dlaczego policja mi nie pomoże?

- Kiedy z pani mężem znaleźliśmy zwłoki, zadzwoniłam do wydziału zabójstw. Nikt nie przyjechał. Dlaczego? Bo jakiś głos z góry powiedział, żeby tego nie robili.

- Ale napadnięto panią, a pani jest policjantką.

- Tak, dlatego twierdzę, że moi zwierzchnicy są... skołowani. To niezbyt odważni ludzie. Zdenerwowali się z tego powodu - Znów pokazała na swój siniec. - Ale w pewnym momencie

muszą zadać sobie pytanie: „Jak daleko ośmielimy się w to brnąć?” Dobre wyjście nie zawsze jest dobre. Rozumie pani? - Wzięła Rose za rękę. - Obawiałam się, że okaże się pani jedną z tych wrzaskliwych, rozumie pani?

- Nie, nie jestem wrzaskliwa. - Wstała. - Chyba że się wścieknę. Co zamierza pani teraz zrobić?

- Spróbuję znaleźć pani męża. Będę panią informować, przyrzekam.

Rose pokiwała głową, splotła ręce na piersi.

- A ja zacznę pociągać za sznurki.

Attache marynarki wojennej w Bahrajnie był komandorem, który miał polityczne wyczucie, jakiego nie powstydziliby się żaden szef kampanii prezydenckiej. Zapewne czekał go awans na admirała, ale nie dowodzenie żołnierzami, prawdopodobnie trafi do NATO albo do Rady Bezpieczeństwa Narodowego, a po drodze znów będzie attache w jeszcze ważniejszej placówce niż Bahrajn. Rose pracowała dla niego prawie przez dwa lata, szanowała go, lubiła i darzyła zaufaniem. Teraz zadzwoniła do niego z bezpiecznego telefonu w gabinecie Abe'a Peretza w amerykańskiej ambasadzie. Attache był niedostępny, póki nie powiedziała jego pomocnikowi, że sprawa jest na tyle ważna, że może wpłynąć na stosunki między Stanami Zjednoczonymi a Izraelem - Rose opracowała sobie tę strategię podczas jazdy taksówką.

- Rose, co się stało?

- Proszę pana, przepraszam, że odciągam pana od...

Głos jej drżał i usiłowała nad nim zapanować.

- Nie masz co przepraszać, ale wiesz, jak to tutaj jest. Co się dzieje?

- Izraelska policjantka powiedziała mi, że mój mąż został porwany na ulicy przez agentów Mossadu. - Odczekała chwilę, a gdy wciąż milczał, podjęła: - Jeśli rzeczywiście tak się stało, to Stany Zjednoczone powinny co najmniej narobić rabanu na wysokim szczeblu. Oficer amerykański...

- Alana porwano na ulicy?

- Wykonywał zadanie dla SDK. Nie znam szczegółów, ale powiedział, że to rutynowa sprawa, zwykła urzędowa upierdliwość.

- Jesteś pewna, że zaginął?

- Spóźnia się już dwie godziny. - Zorientowała się, jak niepoważnie mogło to zabrzmieć, ale przypomniawszy jej się poważna mina i podbite oko Miriam Gurion. - Policjantka, która mi o

tym powiedziała, jest sierżantem. Wylegitymowała się, i nie mam powodów, by jej nie wierzyć.

Znowu nastąpiła cisza. Potem się odezwał:

- Zdobądź potwierdzenie tej informacji. To paskudna sprawa, Rose. Nie możemy... ty nie możesz... zostać oskarżona o zbyt pochopne działanie. Musisz być w stu procentach pewna. - Rose czekała, nie chcąc go naciskać, w końcu zapytał: - Jak mogę pomóc?

- Proszę mi powiedzieć, jak skontaktować się z kimś ważnym, żebym po udowodnieniu tego wszystkiego mogła liczyć, że ktoś zechce narobić hałasu.

- Mam lepszy pomysł. Skontaktuję się z kumplem z Departamentu Stanu. Zdobądź potwierdzenie, Rose, bez tego sprawa nie ruszy z miejsca. I nie załamuj się, dobrze? Jeśli ta policjantka ma rację, Mossad będzie traktował Alana jak głowę państwa.

Tak, jasne, pomyślała, ale powiedziała, że jest mu bardzo wdzięczna, a potem attache się rozłączył.

W siedzibie SDK w Neapolu Mike Dukas rozmawiał przez telefon z kimś innym, ale Rose udało się złapać Dicka Trifflera.

- Cześć, Rose, co za miła niespodzianka.

- Ktoś porwał Alana. - Opowiedziała mu wszystko jak najszybciej, znów próbując zapanować nad drżeniem głosu. - Co mam robić?

- Policja wie i nic nie robi. Zadzwoń do swojego szefa. Powinnaś jeszcze zawiadomić ambasadę bez względu na to, jak ostrożnie podejść do sprawy. Musisz... - W słuchawce rozległy się jakieś dziwne dźwięki, potem Triffler powiedział coś do kogoś innego, po chwili znowu zwrócił się do Rose. - Mike połączy się z nami ze swojego gabinetu. Mike? Jesteś tam?

- Rose? Co się stało, do licha? - W jego głosie słychać było przejęcie i współczucie. Wiedziała, że myślał nie tyle o Alanie, ile o niej. Dukas był w niej zakochany, stara historia, wszyscy o tym wiedzieli. - Jak się trzymasz?

- Mike, Alan został pochwycony przez agentów Mossadu. Przez tę cholerną robotę, którą spuściłeś mi na łeb!

- Niemożliwe, to była rutynowa sprawa...

- Rutynowe sprawy też mogą się spieszyć, Mike - wtrącił się Triffler.

- Zamknij się. Rose potrzebuje rady.

- Ale dobrze się czujesz? - burknął Dukas.

- Tak, dobrze. Posłuchajcie, chłopaki, chcę wyrzucić na nich jak największą presję. Co mam zrobić?

- Mossad nie zrobi mu krzywdy - powiedział Dukas. - Nie odważyliby się. Ale... Jezu. Jak mogli się tak wygłupić! Cóż, skoro są tacy głupi, to mogą się wystraszyć. Słuchaj, kotku, musisz przekonać Departament Stanu do przystąpienia do Demarche. Wiesz, co to jest Demarche?

- Dyplomatyczna chryja.

- Tak, bardzo poważna dyplomatyczna chryja. Rząd jednego państwa mówi w ten sposób rządowi drugiego państwa, że tamci właśnie wdepnęli w gówno. Jeśli Mossad rzeczywiście porwał oficera Stanów Zjednoczonych, który wykonywał służbowe zadanie, to na Demarche się nie skończy. Izraelczycy przekonają się, że nagle mogą się pożegnać z ośmioma miliardami dolców rocznie. Tak właśnie zrobimy, kotku: skontaktujemy się z właściwymi ludźmi. - Dukas mówił zachrypniętym głosem. - Dick, kogo teraz znamy w centrali WMW?

Triffler wymienił kilka nazwisk z centralnego biura Wywiadu Marynarki Wojennej, a Dukas powiedział, żeby się skontaktował z tymi ludźmi.

- Najpierw podaj nam wszystkie szczegóły, Rose. Kto, kiedy, gdzie, nazwisko policjantki...

Powtórzyła im wszystko, co wiedziała, a potem Triffler się rozłączył, a Dukas zaczął mamrotać coś nieskładnie, próbując ją pocieszyć.

- A co ja mogę zrobić? - przerwała mu.

- Wciąż masz dojdźcie do dowódcy marynarki wojennej?

- Dowódca, dla którego pracowałam, dawno już nie służy w marynarce. Teraz jest ekspertem w jakimś ośrodku strategiczno-badawczym...

- Powiedz mu, żeby zadzwonił do obecnego dowódcy i przedstawił mu sprawę.

- Ale... to zajęci ludzie...

- Kotku, to marynarce! Ty tego nie rozumiesz. Oficer Stanów Zjednoczonych został pochwycony przez agencję innego państwa: obaj dostaną szalu! A teraz zacznij działać. - Dodał jeszcze łagodniejszym tonem: - I przestań się zamartwiać. Wszystko dobrze się skończy. Zaufaj mi.

- Och, Mike... - Głos jej się załamał.

W tym samym czasie zastępca radcy sekretarza stanu odebrał telefon od amerykańskiego attache marynarki wojennej w Bahrajnie. Kiedy go słuchał, zmarszczył czoło i zrobił grymas

ponurego zdziwienia. Odłożywszy słuchawkę, przez pięć sekund wpatrywał się w aparat, a potem wykręcił prywatny numer doradcy sekretarza stanu.

- Dick, myślę, że powinieneś powiadomić sekretarza, że Izrael właśnie uszczypnął nas w dupę.

Pół godziny później kontradmirał w stanie spoczynku, Paris Giglio zadzwonił do obecnego dowódcy marynarki wojennej w Waszyngtonie. Służyli razem w pierwszej wojnie w Zatoce i chociaż się nie zaprzyjaźnili, nigdy nie było między nimi animozji. Poza tym łączyła ich świadomość ludzi, którzy podjęli się tej samej trudnej roboty.

- Kopę lat, Jig! Chcesz wrócić na dawny stołek?

Giglio mruknął przecząco i przeszedł od razu do sedna sprawy.

- Chcę zwrócić twoją uwagę na pewną sprawę, Ron.

- Wal - odparł ostrożnie po chwili milczenia.

- Jeden z twoich oficerów został dziś przed południem porwany na ulicy Tel Awiwu.

Sprawa nie trafiła do mediów, ale wiem o niej bezpośrednio od żony tego oficera, która sama jest świetnym żołnierzem i służyła razem ze mną. Otóż ma ona dobre powody, by przypuszczać, że porwania dokonał Mossad.

- Co?!

Marynarka Wojenna miała swoje powody, by ostro zareagować na zniewagę ze strony Izraelczyków. W jej szeregach wciąż pamiętano Izraelczykom atak na USS „Liberty” z 1967 roku, kiedy to życie straciło trzydziestu siedmiu marynarzy.

Pięć godzin po tym, jak Alana Craika wepchnięto siłą do suwa, szef Wywiadu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych połączył się telefonicznie z szefem Mossadu. Nie wdawał się w żadne protokolarne uprzejmości i nie chciał słuchać żadnych grzecznościowych formułek. Wygłosił tylko oświadczenie:

„Mamy powody sądzić, że dziś przed południem na ulicy w Tel Awiwie wasi agenci porwali amerykańskiego oficera marynarki wojennej, komandora Alana Craika. Komandor Craik wykonywał służbowe zadanie naszej marynarki i przebywał w waszym kraju za wiedzą i zgodą waszych władz. Jedno z jego zadań miało polegać na wymianie tajnych informacji z waszym wywiadem. To, co zrobiliście, jest niewybaczalne i nie do przyjęcia. Domagamy się natychmiastowego uwolnienia komandora Craika, w przeciwnym wypadku wyciągniemy najsurowsze konsekwencje”. Rozumie pan?

Chłodnym, pozbawionym emocji - lecz wyraźnym - głosem szef Mossadu odparł, że rozumie.

Godzinę i czterdzieści trzy minuty później Alan Craik został przywieziony nieoznakowaną rządową limuzyną przed drzwi hotelu. W limuzynie, oprócz szofera w cywilu, siedziało dwóch agentów specjalnych Instytutu Zadań Specjalnych i Wywiadu, czyli Mossadu - Shlomo i Ziw, nie podali nazwisk. Obaj bardzo się starali przyjaźnie uśmiechać, kiedy Craik wysiadł z wozu, i obaj jeszcze raz najserdeczniej przeprosili „za ten niefortunny incydent”. Obaj wyciągnęli dłonie do uścisku.

Craik, stojąc na chodniku z lewą ręką na drzwiczkach limuzyny, poczekał, aż wysilone uśmiechy zniknęły im z twarzy, a ręce opadły, a potem pochylił się i powiedział:

- Pieprzcie się!

Demarche

Od: Sekretarz Stanu w rządzie Stanów Zjednoczonych Ameryki

Do: Minister Spraw Zagranicznych Izraela

Rząd Stanów Zjednoczonych pragnie w najbardziej stanowczych słowach wyrazić przekonanie, że zatrzymanie w Tel Awiwie komandora Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych Alana Craika przez agentów w służbie państwa Izrael jest niedopuszczalne. Nie dość, że komandor Craik przebywał w Izraelu za wiedzą i zgodą Waszego rządu, to na dodatek zbierał informacje dotyczące zgonu w Izraelu byłego członka Rezerwy Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, Salema Oatiba. Potraktowanie w ten sposób zasłużonego członka naszych sił zbrojnych obraża nie tylko jego honor, ale także honor naszego kraju, oraz pamięć zmarłego żołnierza.

Rząd Stanów Zjednoczonych pragnie dać wyraźnie do zrozumienia, że domaga się od państwa Izrael szybkiego i satysfakcjonującego wyjaśnienia okoliczności i przyczyn zatrzymania komandora Craika. Co więcej, pragnie dać jasno do zrozumienia, że zamierza przeprowadzić własne dochodzenie w sprawie śmierci Salema Oatiba, w czym oczekuje pełnej współpracy ze strony władz izraelskich.

5.

Waszyngton

Ray Spinner rozmyślał właśnie o ładnej dziewczynie o imieniu Jennifer, gdy zadzwonił telefon i facet o nazwisku McKinnon poprosił go, aby wstąpił na chwilę do jego gabinetu. To, że McKinnon ma gabinet, wystarczało, by zasugerować jego wysoki status, pora tym miał jeszcze tytuł naukowy, ale najważniejsze, że jednym słowem mógł zakończyć karierę Spinnera.

- Proszę pana ?

McKinnon podniósł wzrok znad zawalonego papierami biurka. Był piętnaście lat starszy od Spinnera i nieskończenie ważniejszy, jeśli chodzi o cenione w Waszyngtonie doświadczenia; osiem lat w Departamencie Stanu, potem w Departamencie Obrony za prezydentury Reagana, następne cztery lata w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony za Busha Pierwszego, zesłanie na profesorski stołek jednego z uniwersytetów Ligi Bluszczowej za Clintona. Opublikował dwie książki. Jego nazwisko nigdy nie pojawiało się w mediach - osiągnięcie sprzeczne z ogólną tendencją panującą w mieście z obsesją na punkcie mediów, ale takie, dzięki któremu trafił na obecne stanowisko, ponieważ są specjalizacje, które wymagają powściągliwości.

- Tak. Zamknij drzwi. Siadaj. - Złożył walizkę z dokumentami, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że on może je oglądać, a Spinner nie. Spinner miał jednak dość czasu, żeby przeczytać „Ściśle tajne” i „Wieczna Sprawiedliwość”. O dziwo, nazwa „wieczna sprawiedliwość” nie wydała mu się osobliwa, brzmiała jak mnóstwo innych kryptonimów operacyjnych ostatnimi czasy.

Spinner usiadł. Zupełnie, jakbym wrócił do college'u i profesor wezwał mnie do gabinetu, bo napisałem złą pracę, pomyślał.

McKinnon był łysawy i w związku z tym miał wysokie czoło - niezaprzeczalnie typ intelektualisty. Spinner zaczął się pocić. Do tego momentu tylko ojciec potrafił wzbudzić w nim taką nerwowość.

McKinnon podał mu przez biurko kartkę.

- To twoje?

Spinnerowi wystarczyło zerknąć na nadawcę i adresata. Była to kopia e-maila, którego wysłał Mike'owi Dukasowi do Neapolu w sprawie martwego marynarza w Tel Awiwie. Nagle e-mail nie wydał mu się aż tak dobrym pomysłem.

- No bo widzi pan...

- To twoje?

- Eee... tak. Bo widzi pan...

McKinnon uciszył go, po prostu przygarbiając plecy. Był bez marynarki, dobrze widoczne były więc czerwone szelki, które Spinner tak podziwiał. Nosił też jedną z tych luźnych koszul, o których wiadomo, że są bardzo drogie.

- Jak to zatem było? - zapytał,

- Zostałem powiadomiony... - Spinner odchrząknął - że osoba, o której mowa... nazwisko jest w moim e-mailu...

- Qatib.

- Właśnie.

- To arabskie nazwisko,

- Tak przypuszczam.

- Żadne „przypuszczam”. Znasz arabski? Znasz arabską kulturę?

- Cóż, przeszedłem tu...

- Przeszedłeś tu z marynarki wojennej, znam sprawę. I w związku z tym niewiele się po tobie spodziewam. Mów dalej.

- Eee... ten... Qatib... zmarł w Izraelu i ponieważ... ponieważ miał związki ze Stanami Zjednoczonymi... studiował tu, służył w marynarce... sprawdziłem go na liście czyścicowej. Był na niej, pomyślałem więc, że... - Zerknął na McKinnona, który nie odrywał od niego wzroku. - Pomyślałem, że powinienem się nim zająć.

- I dobrze! Dokładnie to powinieneś zrobić.

Ośmielony pochwałą Spinner powiedział mu o SDK i ekspozyturze w Neapolu.

- Kto to jest ten Michael Dukas?

Spinner zastanawiał się, czy nie skłamać i nic powiedzieć, że znalazł nazwisko na liście personelu, ale przypuszczał, że McKinnon wie już, kim jest Dukas. Uznał, że to test. Profesor znał już odpowiedzi. Spinner odparł więc:

- To wścibski sukinsyn, który mnie wrobił i zmusił do wystąpienia z marynarki.

McKinnon odchylił się daleko do tyłu i wciągnął głęboko powietrze, jakby chciał wywahać odpowiedź Spinnera. Zastukał dwukrotnie ołówkiem o biurko i nie spoglądając na Spinnera, powiedział:

- A więc uznałeś, że potrzebujemy więcej informacji o Qatibie. Dobrze. Dlatego zważyłeś robotę na łeb komuś, kogo nie lubisz, i zrobiłeś to w imieniu szefa. Niedobrze. - Popatrzył na Spinnera, wykrzywiając komicznie usta: wyduł wargi i wygiął je w podkówkę jak klaun. - Trzy z minusem.

Patrzyli na siebie, aż w końcu Spinner musiał odwrócić wzrok. Wiedział, że za chwilę zostanie wylany z roboty.

- Jesteś tutaj, ponieważ twój ojciec ma chody - oświadczył McKinnon. - Zgoda, mogę z tym żyć. Wierz mi, nie byłoby cię tutaj, gdyby nie to, bo ludzie z wojskową przeszłością są ostatnimi, jakich potrzebujemy. Przepraszam, przedostatnimi: ostatnimi są ludzie z wywiadu. - Pochylił się znowu do przodu. - Wiesz, co jest nie tak z wojskowymi?

Spinner usiłował sobie przypomnieć wszystko, co mu się w nich nie podobało.

- To trepy? - powiedział.

McKinnon parsknął śmiechem, naprawdę się śmiał.

- Można to tak ująć. To miernoty. Asekuranci. Zależy im tylko na nich samych. Na stopniach, orderach, przywilejach. To cholerni biurokraci wystrojeni w mundury, a do tego są głupi. Są timokratami. - Spojrzał na Spinnera, żeby się przekonać, czy tamten wie, co znaczy timokrata, stwierdził, że nie, i uśmiechnął się z satysfakcją. Wstał z fotela, Spinner przypuszczał, że McKinnon wraca do roli wykładowcy akademickiego i że brakuje mu tylko tablicy. - Na świecie nie ma znowu tak wielu bystrych ludzi, a tych nie pociąga służba w wojsku. Jeśli któryś trafi tam przez pomyłkę, szybko stamtąd zwiewa. Dlatego też polityki i strategicznych decyzji nie można zostawić wojskowym. Wojskowi są jak mechanicy: potrafią naprawić samochód, ale nie potrafią go zaprojektować. - Oparł się plecami o ścianę. - Bystry ludzie trafiają tutaj. A trafiają tu dlatego, że ich werbujemy. Niektórym z nich przyglądaliśmy się nawet dziesięć lat. Dlaczego?

Spinner wiedział, że McKinnon nie oczekuje od niego odpowiedzi.

- Ponieważ zwyczajni ludzie nie umieją się rządzić w demokracji. Znasz Platona?

Spinner wyteżył szare komórki i przypomniał mu się tytuł przerabianej na studiach książki: *Państwo*.

- Właśnie. Obecny prezydent Stanów Zjednoczonych jest współczesnym odpowiednikiem króla filozofa. Jest otoczony wyjątkowymi ludźmi. Ludźmi mądrymi. A oni muszą informować go tak, żeby mógł podejmować mądre decyzje, i muszą strzec go przed złymi informacjami, które mogłyby przeszkodzić mu w podejmowaniu mądrych decyzji. Poza tym muszą również doradzać mu w sprawie tego, jak panować nad informacjami dotyczącymi tych decyzji tak, aby ludzie je zaakceptowali.

Spinner zmarszczył mimowolnie brwi. Czy nie było w tym sprzeczności?

- Służyć mądrą radą, chronić przed fałszem, panować nad prawdą. Wiesz, kim był Leo Strauss?

Spinner, oddany teraz prawdzie, pokręcił głową. W odpowiedzi McKinnon popatrzył na niego z niesmakiem, ale wziął kartkę, nagryzmoilił coś i podał podwładnemu. Było na niej napisane: „Przeczytaj Leo Straussa”. Spinner zapewnił, że zabierze się do tego natychmiast.

- Nie zrozumiesz go, ale czytaj dalej. Strauss jest... - McKinnon popatrzył w dal, mocując się w myślach z fundamentalnym problemem tożsamości Straussa. - Czytałeś Alana Blooma? Nieważne. Chodzi o to, żebyś pojął, że nasze działania, ich cele i środki, mają głębokie filozoficzne podstawy. Musisz stale pamiętać o tym, że jesteśmy ludźmi wyjątkowymi i że ciąży na nas szczególna odpowiedzialność. Ta praca nie ma nic wspólnego z opieprzaniem się w biurze za państwowe pieniądze! - Usiadł znowu, ze zmęczeniem, jakby wykład pozbawił go sił. - Chcę, żebyś zajął się sprawą tego Qatiba i wycisnął z niej, ile się da. Teraz pracujesz przy pierwszym odsiewie danych i szczerze mówiąc, zatrzymałbym cię na tym stanowisku, gdybyś nie wyrwał się przed szereg i nie wysłał tego e-maila, teraz chciałbym się więc przekonać, czy jesteś w stanie sprostać wyzwaniu. To jest taki test. Bądźmy szczerzy. To test. Wątpię, czy dorastasz do tego poziomu, ale z powodu twojego ojca, który przekazał nam dobre informacje, i dlatego, że straciłeś robotę w marynarce, bo zbierałeś dla niego właśnie te informacje, chcę być sprawiedliwy. Załóż walizkę w sprawie Qatiba. Rozpracuj ją.

- Nie wiem, na ile Izrael będzie...

McKinnon machnął ręką.

- Izrael nie jest ani po tej stronie, ani po tamtej. - Uniósł palec wskazujący. - Ogólny obraz sytuacji. Problem Izraela sam się rozwiąże, jeśli będziemy mieli ogólną wizję. Kluczem do Bliskiego Wschodu jest Irak. Ty tego nie rozumiesz, dojście do tego wniosku zajęło mi sześć lat. Nie ulegaj sentymentalizmowi w sprawie Izraela. - Popatrzył na coś na biurku, a potem dodał z uśmiechem: - W ogóle nie ulegaj sentymentalizmowi. - McKinnon westchnął. Przygryzł paznokcie kciuka. - Wyobraź sobie, że masz wprowadzić w tę telawiwską aferę króla filozofa. To jest nasz standard. Ale nie baw się w szczegóły i nie szukaj dziury w całym. Myśl politycznie i strategicznie. - Potem zamilkł na tak długo, że Spinner wstał, uznawszy, że audyencja skończona. McKinnon nie podniósł na niego wzroku, za to powiedział posępnym głosem: - Strategia polega na tym, że zdemokratyzujemy Bliski Wschód poprzez zdemokratyzowanie Iraku, a każdy, kto nam w tym przeszkadza, jest wrogiem. To dotyczy również Departamentu Stanu i sukinsynów z wywiadowczego establishmentu.

Spinner chciał przypomnieć McKinnonowi, że przed chwilą mówił, iż Izrael nie jest ani po tej, ani po tamtej stronie, a teraz zdawał się mówić, że jest właśnie na odwrót. Ale czy jest po tej stronie? Czy raczej po tamtej?

Z tą myślą wykradł się z gabinetu, zostawiając McKinnona wpatzonego w ścianę.

Tel Awiw

Godzinę po wypuszczeniu na wolność Alan Craik był wyczerpany. Od godziny krzyczał na Mike'a Dukasa i gdy trzasnęła słuchawką, zdążył zachrypnąć, wyładowując złość na przyjacielu za to, że zlecił mu rzekomo banalne zadanie, które skończyło się poniżeniem. Został porwany z ulicy jak żółtodziób, uwięziony, zhańbiony. Pozbawiony wszelkich możliwości działania.

Potem zadzwonił adiutant dowódcy marynarki wojennej, po nim doradca sekretarza stanu, następnie Abe Peretz i generał ze Sztabu Głównego, a na koniec ambasador amerykański w Izraelu. Wszyscy zapewnili, że trzymają jego stronę i że krzywdy, które mu wyrządzono, nie ujdą Izraelczykom bezkarnie.

Złość na Dukasa minęła i ogarnął go wstyd.

- Poniosło mnie - powiedział z twarzą schowaną w dłoniach. Siedział na hotelowym łóżku, rozczochrany i spocony po dzisiejszym dniu. - To jeden z moich najbliższych przyjaciół, a ja go zgnoilem.

Rose usiadła obok i go objęła.

- Mike to rozumie. Nie przejmuj się tym.

- Chryste. - Spojrzał na własne dłonie. Drżały. - Co się ze mną dzieje?

- Potrzebujesz odpoczynku.

Miał trzydzieści osiem lat. Twarz, która na nią patrzyła, wyglądała starzej.

- Co mam teraz zrobić? - zapytał.

- Zadzwoń jeszcze raz do Mike'a.

- Nie mogę.

- Przepróś go. A potem pomóż mu dorwać tych bydlaków. - Wstała, przeszła przed nim, a on popatrzył na nią nieszczęśliwym wzrokiem, gdy podniosła słuchawkę, wykręciła numer i odczekała. Usłyszał, jak rozmawia z kimś w neapolitańskim biurze, a potem podała mu aparat. - Mike - powiedziała.

Przyłożył słuchawkę do ucha, ale milczał. Słuchał własnego oddechu, może także oddechu Dukasa. Wreszcie wydusił:

- Przepraszam, stary.

Nagle zakrztusił się łzami.

- Cóż, nieźle mi nawtykałeś.

- Nie chodziło mi o ciebie. Po prostu...

- O jej, a mnie się zdawało, że wręcz przeciwnie! Ciągłe powtarzałeś „Mike” i „skurwysynu”. Miałem wrażenie, że to do mnie się zwracałeś.

- Przepraszam, naprawdę przepraszam. Chodziło mi o nich, tylko że nie mogłem się na nich odegrać.

- Wiem, chłopie, takie życie. Wybaczam ci. W ogóle nie ma sprawy.

- Gdybym mógł cofnąć tamte słowa...

- Nie możesz, zapomnij więc o nich. Wciąż to ja jestem facetem, którego zmieszałeś z błotem. Skoro się uspokoiłeś, to wyznam ci, że na jakiś czas odłożyłem słuchawkę, kiedy mnie lżyłeś, i zająłem się czymś innym. Tak czy inaczej, masz rację: posłałem cię tam w ciemno i oberwałeś. To moja wina. Zapomnij więc o tym. Prawdziwe pytanie brzmi, co teraz zrobimy?

- Wypowiemy wojnę Izraelowi?

- Uuu, niegrzeczny chłopak. Sądzę, że rząd wystrzelił już z armaty, wyrażając niezadowolenie za pomocą Demarche. To, co się teraz stanie, zależy od tego, co sami zrobimy. Co zatem chcesz zrobić?

- Chcę przygwoździć do ściany kilku izraelskich bydlaków.

- Dobra, ale najpierw trzeba ich zidentyfikować. Wiesz, jak się nazywają?

- Ci dwaj, którzy odwieźli mnie do hotelu i po drodze próbowali włożyć mi w dupę, nazywają się Shlomo i Ziw. Żadnych nazwisk. Nie wiem, kim są ci kretyni, którzy mnie zgarnęli i przetrzymywali, ale uważam, że to zbiry od brudnej roboty: durni i nieporadni, paru z nich nie mówiło nawet po angielsku.

- Potrzebuję nie tylko imion, ale i nazwisk.

- Nie podali nazwisk. Daj mi spokój!

- W porządku! Dobrze się spisałeś.

- Chcę walnąć kogoś w pysk.

- Nie rób tego. Teraz to moja broszka.

- Zajmiesz się tą sprawą?

- Po ciągach, jakie od ciebie zebrałem? Jezu, chyba do końca życia będę miał po nich ślady na tyłku! Właściwie już dostałem rozkaz przeprowadzenia śledztwa „z najwyższą sumiennością”, na dodatek Departament Stanu wysłał Izraelczykom Demarche, które jest dyplomatycznym odpowiednikiem chryi, którą mi zrobiłeś, a kończy się solenną obietnicą dochodzenia w tej sprawie. To moja przepustka. Jadę na lotnisko, jak tylko uprzątnę biurko.

- Przylatujesz do Tel Awiwu?

- Nie ma mowy, żeby w tej chwili Izraelczycy spróbowali mi nie dać zezwolenia: za bardzo się boją. Ty wyjeżdżasz, ja przyjeżdżam i życie toczy się dalej.

Mimo zmęczenia Alan uśmiechnął się do telefonu.

- Dobry z ciebie facet, Mike.

- Skrzyknąłem ekipę kryminologów. Przeprowadzimy sekcję zwłok tego Qatiba, który nawiasem mówiąc, był szyfrantem, wiesz?

- Jakoś nie uznałeś za stosowne mnie o tym poinformować. Poważna sprawa?

- Może. Izraelczycy i zabójstwo byłego szyfranta... jakby chcieli poznać nasze kody.

- O cholera.

- Moje ulubione powiedzonko.

Porozmawiali jeszcze trochę, ale nie wymyślili już nic nowego. Na pożegnanie Dukas powiedział:

- Trzymaj się, chłopie.

- Dow ... jeden z nich nazywał się Dow - stwierdził jeszcze Alan.

Tylko tyle był sobie w stanie przypomnieć.

Kiedy Alan odłożył słuchawkę, wciąż trzęsły mu się ręce. Rose przytuliła go. Był zły, że nazajutrz rano musi pojechać do ambasady, żeby złożyć raport i przejść badania medyczne.

Powiedziała mu, że to rutynowe czynności i że wszystko będzie dobrze.

- Nic złego nam się nie stało. Wszystko jest w porządku. - Przytuliła go mocniej. - Wciąż zamierzasz odbyć jutro to spotkanie?

- Jasne, że tak! - Wstał. - Właśnie po to tu przyjechałem! Przecież nie z powodu tej cholernej bzdury...

Nie powiedział, że tajne spotkanie i wymiana informacji z Shin Bet pomoże zatrzeć wspomnienie dzisiejszego poniżenia.

Dukas odłożył słuchawkę, jakby obchodził się z jajkiem. Wydał wargi, pokiwał głową, a potem popatrzył na Dicka Trifflera.

- Bardzo jest zły? - spytał Triffler.

- No. Ty byś nie był? - Opadł na oparcie fotela, aż sprężyny jęknęły pod jego ciężarem. - Policjantka z Tel Awiwu mówi, że to morderstwo. Nie podała szczegółów, nie powinniśmy więc wyciągać pochopnie wniosków przed sekcją zwłok. Ale zarówno ona, jak i Al twierdzą, że Qatib był torturowany. - Wzruszył ramionami. - Peretz zapewnia, że FBI już się tym zajęło. Powiedziałem mu, żeby dali wyraźnie do zrozumienia, że to nasze dochodzenie i wszystko ma trafić do nas, a jeśli nie, to narobię takiego rabanu, że usłyszą mnie aż w Białym Domu. Rozmawiałem też z Kasserem. - Kasser był szefem SDK, bezpośrednim zwierzchnikiem Dukasa. - Mamy potraktować sprawę Qatiba priorytetowo. Dopóki jej nie wyjaśnimy, to biuro ma się zajmować przede wszystkim nią. - Spojrzał na Trifflera spod krzaczastych brwi. - Craik ma jutro jakieś tajne zadanie, a potem opuszcza Izrael. Ktoś musi pojechać do Tel Awiwu i wziąć Izraelczyków do galopu.

- Dopiero tu przyjechałem, Mike. Wciąż rozpakowujemy pudła.

- Albo ty pojedziesz, albo ja. Taki mam rozkaz od Kassera. Ten, który zostaje, musi prowadzić biuro. Co wybierasz?

Triffler, w rzadkiej chwili irytacji, zaczął się przyglądać własnym rękom i wyduł wargi. Dukas zastanowił się i powiedział:

- Dobra, ja pojedę. Kasser mówi: jak najszybciej. Jutro na pewno nie mogę. W sobotę?

- W sobotę masz spotkanie z przedstawicielami włoskich służb w siedzibie Szóstej Floty. Pamiętasz? Sobota to jedyny dzień, kiedy wszyscy mogą się spotkać. - Zanim Dukas zdążył dać upust dobrze znanej niechęci do urzędowych nasiadówek, Triffler dokończył: - Sam zwołałeś to zebranie, Mike! Powiedziałeś, że jest „niezwykle ważne z punktu widzenia współpracy w sprawach, które wszystkim leżą na sercu”!

- Dobra, pojedę w niedzielę.

- Kiedy wprowadzisz mnie w obowiązki szefa biura?

- Dobrze, pojedę w niedzielę wieczorem! Jezu. - Dukas pochylił się do przodu. Chwyił ołówek i notatnik (komputer przy jego łokciu mógłby równie dobrze nie istnieć) i zaczął pisać. - Chcę mieć wszystko, co da się zdobyć na temat Salema Qatiba. Może zamordowano go, bo posuwał czyjąś żonę, ale Kasser upiera się, że musimy się dowiedzieć, jakie znaczenie może mieć fakt, że był szyfrantem. Wiesz, ile by to kosztowało, gdyby ktoś wydobył od niego kody marynarki? Około stu pięćdziesięciu melonów. Dlatego potrzebujemy jak najwięcej informacji na ten temat: jakie kody znał, gdzie pracował, gdzie studiował, kto go pamięta. Chcę mieć jego szczegółowy życiorys, nic po łebkach. Sprawdź, co mają o nim w FBI i CIA. Nie cackaj się: przypomnij im o Demarche i daj jasno do zrozumienia, kto prowadzi ten autobus. Dobrze?

- Musimy wiedzieć, co działo się w jego życiu w Palestynie.

- Tak, pracuję nad tym. Peretz i ta policjantka też. Ale posłuchaj - wskazał ołówkiem w kierunku Trifflera - jeśli policjantka ma rację, to faceta wykończyli goście z Mossadu. To bardzo niewesołe podejrzenie. Wbrew plotkom Mossad nie zabija ludzi ot, tak. Zabójstwa są dosyć rzadkie, agenci potrzebują autoryzacji, przygotowań. Chyba że zabili przez pomyłkę.

- Co na to Craik?

- Jest za bardzo zdenerwowany, żeby powiedzieć coś sensownego. Jutro rano przepytą go FBI, może wydobędą od niego więcej. Ma również przejść badania medyczne, co też go wkurza. Zapamiętał kilka imion facetów, którzy są jego zdaniem z Mossadu, i uważa, że ci, którzy go zwinęli z ulicy, to raczej zbiry. Może na usługach agencji. Cały czas nawijali do niego po hebrajsku i go poszturchiwali, dopiero kiedy zajrzeli mu do portfela, zdali sobie sprawę, z kim mają do czynienia. Kiedy pojawił się facet, który mówił po angielsku, zaczął się gęsto tłumaczyć, że wzięli Ala za telawiwskiego gliniarza. Co każe zadać pytanie, dlaczego mieliby zgarniać z ulicy izraelskiego policjanta.

- Czy to ja mam założyć akta sprawy?

- Oczywiście. Weź się do roboty.

Triffler spojrział na zegarek. Było po siódmej wieczorem.

- Tak właśnie wygląda praca dla Mike'a Dukasa - powiedział. - Przypuszczam, że nie obchodzi cię, że dziś wieczorem mam próbę chóru.

- Próbę chóru! Przecież dopiero przyjechałeś do Neapolu!

- Ludzie z głosem takim jak mój zawsze mają wielkie wzięcie.

Dukas zgarbił się nad swoją robotą.

- Możesz nucić sobie Łaskę Pańską przy pracy. Tylko po cichu!

6.

Gaza

Strażnik, znacznie bardziej uprzejmy niż jego dwóch poprzedników, zaprowadził Rashida pod natryski, a potem do pokoju z łóżkiem. Rashid usłyszał szcęk zamykanej od zewnątrz zasuw, ale przynajmniej pokój nie znajdował się w piwnicy i miał okno z widokiem na piaszczyste podwórze.

Noc była zimna. Położył się, nakrył cienkim kocem i drżał, słuchając jęku rur w budynku. Czuł się wycieńczony, ale żółć zdrady - własnej, innych, może Salema - przelewała mu się w żołądku. Dygotał. Szczękał zębami. W końcu zasnął, a we śnie uciekał coraz dalej i dalej, podczas gdy Salem wołał go o pomoc.

Waszyngton

Po południu tego samego dnia McKinnon zaskoczył Raya Spinnera, zaglądając do jego boksu i mówiąc:

- Lepiej to przeczytaj.

Spinner zobaczył słowo „Demarche”, a także nadawcę i adresata. Przeczytał całą wiadomość: o oficerze marynarki i izraelskim rządzie, który wdepnął w gówno, fuj, fuj, nieładnie. Uświadomił sobie, że sprawa Qatiba, którą próbował zepchnąć na boczny tor, stała się nagle znacznie poważniejsza, niż przypuszczał.

McKinnon oparł się o ścianę.

- Departament Stanu dostał szalu, bo Mossad najwyraźniej wykonywał swoją robotę. Chodzi o tego Qatiba, intuicja nie zawiodła cię więc, gdy przekazałeś rzecz do dalszego zbadania. Piątka z plusem. Jakiś marynarz zaplątał się w trybiki izraelskiej maszyny czy coś w tym stylu. Dowiedz się, co się stało, i informuj mnie na bieżąco. Tak czy inaczej, ta afera z Qatibem urośnie i nada się co najmniej na temat ładnego studium przypadku.

Wręczył Spinnerowi następną kartkę. Tym razem się uśmiechał.

Spinner zobaczył odpowiedź od Dukasa bezpośrednio do Zastępcy Sekretarza. - O mój Boże! - pomyślał. - To jakiś biurokratyczny bełkot. Następnie spojrzał na McKinnona.

Czyżby teraz zamierzał go jednak wylać?

- Jakież pytania? - zapytał McKinnon.

- Co mam zrobić z wiadomością od Dukasa?

- Głupie pytanie, ale na jedno ci pozwalam. Odpowiedz mu, żeby darował sobie durne żarty i przesłał ci dane. Jasne?

- Jak słońce. - A jednak go nie wyleją. Czuł, że spocły mu się powieki. Spróbował się uśmiechnąć. McKinnon roześmiał się i wyszedł, a Spinner wciąż słyszał jego śmiech, gdy tamten szedł między rzędami boksów.

Był to dzień, gdy w Izraelu porwano i zamordowano starszego mężczyznę. Do przeprowadzenia akcji przyznały się Brygady Męczenników al Aksa. Tego dnia również dwóch Palestyńczyków ostrzelało samochód, zabijając Izraelkę.

7.

Gaza

Rano strażnik zaprowadził go pod natryski, a potem na podwórze, żeby mógł się pomodlić z innymi mężczyznami. Wszyscy wyglądali na strażników, nie więźniów. Bardzo się starał, żeby skupić myśli na chwale Allacha. Po modlitwie zjadł z nimi śniadanie.

Potem zabrali go do jakiegoś gabinetu. Zastał tam Zahirę, świeżo ubraną i umalowaną. Miała wydruki powiększonych zdjęć z karty flash Salema ułożone w równym rzędzie na biurku i przyklejone skoczem do ściany za plecami.

Miała też paszport i plecak Rashida. Te dwa przedmioty leżące na rogu biurka dały Rashidowi nadzieję. Usiadł cicho, podczas gdy Zahira pracowała przy komputerze, wystukując coś pośpiesznie na klawiaturze, w uszminekowanych wargach trzymała ołówek. Co jakiś czas brała go w dłoń i wypisywała notatki na karteczkach, które przyklejała do monitora.

- Chciałbyś nam pomóc, Rashidzie? - spytała po dziesięciu minutach. - Zamierzamy dowiedzieć się, co dokładnie stało się z twoim przyjacielem, Salemem. A potem, jeśli to będzie w naszej mocy, pomścić jego śmierć.

Ale to wy najpierw go pobiliście! - pomyślał wewnątrz rozdartego Rashid. Z jednej strony chciał pomóc Autonomii Palestyńskiej, lecz z drugiej widział w niej wroga każdego Palestyńczyka.

- Możemy ci pomóc - podjęła Zahira. - Jeśli ty pomożesz nam. Ludzie Hamasu ci nie pomogą, stracili teren wykopalisk i teraz będą się przejmować tylko straconymi pieniędzmi. Nie mogą wydostać się z Palestyny, żeby szukać odpowiedzi. Prawdopodobnie zatem będą za wszelką cenę chcieli odnaleźć ciebie. - Zrobiła dramatyczną pauzę. - I twoją matkę, którą możemy ochronić. Możemy. A ty możesz, jeśli zgodzisz się nam pomóc.

Rashid nie czuł się zobowiązany do lojalności wobec Hamasu: zapłacili rachunki po śmierci jego ojca i braci, a jego matka darzyła ich niemal ślepą miłością, ale pokazali, jacy są naprawdę, kiedy pracował dla Salema. W bardzo niewielkim stopniu odczuwał lojalność wobec Izraela, lata propagandy Hamasu i doświadczenia z izraelską policją sprawiały, że postrzegał Izrael bardziej jako wroga niż ojczyznę. Myśl o podróży, z dala od nieustannej wojny toczącej się wszędzie dookoła, wydała się bardziej kusząca niż wszystko, co do tej pory usłyszał. A możliwość pomszczenia Salema, nawet pośrednio, pomogłaby mu się pogodzić z faktem, że gdy Saleem go potrzebował, on uciekł.

A mimo to się wahał. Chociaż nie miał do czego wracać, nie miał pracy ani przyszłości, wciąż dręczyły go wątpliwości, czy zaangażować się po stronie Autonomii.

Zahira podniosła najwyraźniejsze zdjęcie tej wywłoki Saidy zabawiającej się ze złotym pucharem.

- Rashidzie, posłuchaj mnie, proszę. Ta dziewczyna, Saida, wyjechała z kraju. Tak, wiemy to. Popłynęła na Cypr... może na Kretę, za godzinę będę wiedziała dokładnie. Myślę, że wywiozła z kraju te zabytki i że zamierza je sprzedać na czarnym rynku.

Rashid uniósł ręce.

- Co to ma wspólnego ze mną? - spytał.

Zahira uśmiechnęła się szeroko, ukazując białe, równe zęby.

- Masz czysty izraelski paszport. Mówisz po angielsku. Znasz Saidę. Chcemy, żebyś pomógł nam ją znaleźć i sprowadzić z powrotem.

Zabrzmiało to tak zachęcająco, że Rashid odpowiedział jej uśmiechem. Był podekscytowany.

- Myślę, że mógłbym się tego podjąć.

Zahira zaczęła układać na zdjęciach stos dokumentów. Nacisnęła dzwonek pod biurkiem i w odpowiedzi w drzwiach pojawił się młody mężczyzna.

- To jest Ali, twój opiekun - przedstawiła go Rashidowi. - Musisz się wiele nauczyć. Dziś wieczorem stąd wyjedziesz. Ale zanim to nastąpi, pułkownik będzie chciał z tobą porozmawiać.

Ali był niewiele starszy od Rashida - w tym samym wieku co Saleem. Uśmiechnął się do Rashida, który spuścił wzrok, żeby ukryć zmieszanie. Potem odpowiedział delikatnym uśmiechem.

Dziesięć minut później uczył się już, jak używać telefonu komórkowego do tajnej komunikacji. I wybrał już stronę.

Waszyngton

Wiadomość, która czekała rano w komputerze Spinnera, wskazywała, że zmienił się jego status. Została mu przesłana imiennie - ogromny krok naprzód: z anonimowego „młodsze­go analityka” stał się kimś z nazwiskiem - i zawierała źródło informacji, także nowość dla Spinnera. Wiadomość nadeszła od „Habakuka”, który przekazywał informacje od „Debory”.

„Debora/Habakuk/Przekierowanie

Temat: Amerykański oficer zatrzymany przez Mossad

Oficer wywiadu Amerykańskiej Marynarki Wojennej Alan Craik został wczoraj zatrzymany rzekomo przez funkcjonariuszy Mossadu. Powodem mogło być jego zaangażowanie w nielegalne śledztwo w sprawie śmierci palestyńskiego terrorysty, niejakiego Salema Qatiba. Craik został wypuszczony wczoraj wieczorem cały i zdrowy, ale bardzo zdenerwowany. Uwolnienie zawdzięcza wysiłkom żony, Rose Siciliano Craik, także oficera marynarki i być może agenta wywiadu (zast. attache w Bahrajnie). Rzeczywisty powód ich obecności w Izraelu nieznan. Widoczne u nas świadectwa amerykańskiego potępienia Izraela za zatrzymanie Craika. Pytanie: skąd takie zainteresowanie śmiercią jednego terrorysty?”

Spinner zmarszczył brwi. Przeczytał wiadomość jeszcze raz, a potem znowu. Wiedział, kim są Alan i Rose Craikowie, bo Craik służył w sztabie Piątej Floty w Bahrajnie. Tym, co go zastanowiło, była wyraźnie osobista wiedza źródła na ich temat („bardzo zdenerwowany... Uwolnienie zawdzięcza wysiłkom żony”). Skąd piszący mógł to wiedzieć? A zarazem skąd wiedział o Demarche („świadectwa amerykańskiego potępienia Izraela”)?

Spinner napisał notatkę i dołączył ją do wiadomości. Notatka brzmiała: „Kim jest Debora?”

Przyszło mu na myśl - to było prawdopodobnym powodem, dla którego CIA redaguje wszystkie sprawozdania agentów, zanim je dalej prześle - że Deborah pisze raporty, w których zdradza zbyt wiele na swój temat. Chyba budził się w nim instynkt wywiadowczy.

Craikowie zaprosili Miriam Gurion na lunch. Chcieli zabrać ze sobą także Peretzów, ale Bea powiedziała, że nie może, Abe zaś oddzwonił, żeby ich przeprosić.

- Bea jest zajęta doradzaniem Likudowi, na czym polega żydowska tożsamość - wyjaśnił dość nieporadnie - właściwie cały czas jest zajęta sprawami, których nie rozumiem. Może znalazła sobie młodszego faceta, kto wie?

W efekcie Rose poczuła się zażenowana i zaprosiła Abe'a, żeby i tak przyszedł.

Teraz siedzieli przy stole w zatłoczonej restauracji, która według Miriam oferowała najlepszą kuchnię jemeńsko-etiopską w Tel Awiwie.

„Hałaśliwa, ale jedzenie jest tego warte”, powiedziała.

I miała rację. Rzeczywiście było hałaśliwie, a jedzenie stanowczo dobre.

Alan czuł się niezręcznie, że podniesionym głosem musi opowiadać o szczegółach porwania, żeby przekrzyknąć hałas dookoła, a zarazem panować nad kipiącą w nim złością, ale wszyscy cały czas zarzucali go pytaniami, zającąc soczewicę, mieloną jagnięcinę z koprem włoskim oraz zimną papkę z pomidorów z kminkiem i ostrą papryką. Opowiedział im o uprowadzeniu, o godzinach spędzonych w anonimowym pokoju, o nagłym uwolnieniu.

- A co z tym nieboszczykiem?! - krzyknął Abe.

- Nie tutaj - powiedziała Miriam.

Alan wzruszył ramionami.

- Później - rzucił do Abe'a.

Kiedy wszyscy byli już syci i szczęśliwi, Miriam zaprowadziła ich do podrzędnej kafejki na tej samej ulicy i posadziła przy stoliku w głębi sali.

- Knajpa gliniarzy - wyjaśniła. - No wiecie, kiedy policjanci robią sobie przerwę?

- To się chyba nazywa meta - odrzekł Abe.

Musiał jej wytłumaczyć, co to znaczy.

- Tak - stwierdziła. - Meta. Policyjna meta.

Roześmiała się wesoło, czym zaskoczyła Alana, który wcześniej widział ją tylko poważną.

- Dobra - powiedziała, gdy na stole pojawiły się kawa i talerz malutkich ciasteczek - porozmawiajmy o śmierci Qatiba. Ale po cichu.

Kiedy Alan, wspomagany przez Miriam, wyjaśnił, kim był Qatib i dlaczego Mike Dukas poprosił go o rzekomo rutynowe zebranie informacji o sprawie, Abe odparł:

- Nie rozumiem.

- My też nie, kochanie. To się nie trzyma kupy.

- Mossad nie robi takich rzeczy. - Abe wydawał się zażenowany. - Z reguły. To znaczy... bez urazy, pani Gurion, ale wie pani, jak to działa. - Miriam wydawała odgłosy podobne do silnika na wysokich obrotach. - To znaczy, chodzi mi o to, że... potrzebowaliby bardzo poważnego powodu, żeby zrobić coś takiego.

- Nie wspomnę już porwania mojego męża z ulicy - dorzuciła Rose.

- To dlatego, że jest taki przystojny, kochanie - zażartowała Miriam, klepiąc Rose po dłoni.

- Wcale nie mówili, że jestem przystojny - mruknął Alan.

- A co mówili?

- Wszystko, co mówili, wydawało mi się tak głupie, że nie mogłem uwierzyć w to, co się dzieje. Naprawdę nie do wiary, że są z Mossadu, - Potarł podbródek, poczuł szorstkość świeżego zarostu. - Ale są.

- Jasne, że tak! - Miriam otworzyła szeroko oczy, a potem szybko je zmrużyła. - Bo teraz przysłali się do mnie. Wczoraj rano prowadziłam sprawę, dobrze. Wczoraj o czwartej po południu, zdjęli mnie z jej prowadzenia. Dziś rano znowu ją prowadzę. Dlaczego? Najpierw Mossad skontaktował się z miejską policją: „Odbierzcie tej babie śledztwo”. Ale nazajutrz znowu się odezwali: „Ojej, tak bardzo przepraszamy, pomyliliśmy się, oddajcie tej miłej pani śledztwo”. Dlaczego? Bo ich nastraszyłeś. - Machnęła łyżeczką w stronę Alana, a potem spojrzała na Abe'a. - Mówisz, że potrzebowaliby bardzo ważnego powodu do tego wszystkiego. Nie. Uważam, że zachowali się głupio i popełnili błąd. - Posłała mu nagle dziewczęcy uśmiech. - To właśnie powiedziałam temu przemilemu panu, który zadzwonił do mnie z Neapolu.

- Dukasowi?

- Nie. Panu Trifflerowi. Znacie pana Trifflera?

Uśmiechnęli się. Abe popatrzył na swoje palce, a potem zerknął na nią z ukosa.

- Zgoda, byli głupi. Ale dlaczego zabili Qatiba?

- Bo to największa głupota! Musimy z Palestyńczykami żyć, bez względu na sytuację przesłuchiwanym nie wolno zabijać. - Uniosła podbródek i powiedziała niemal prowokacyjnie: - Izraelski Sąd Najwyższy orzekł w 1999 roku, że tortury są bezprawne.

- Al mówił, że ten człowiek został pobity.

- Tak, dotkliwie, bardzo dotkliwie. Ale pobicie, no nie wiem... jeśli zmarł od pobicia, to czy myślicie, że właśnie agenci Mossadu zatłukli go na śmierć? Czy są aż tak głupi?

- Jakkolwiek, pozostaje pytanie, dlaczego w ogóle cokolwiek mu zrobili? Kim był?

Wzruszyła demonstracyjnie ramionami.

- Palestyńczykiem. - Odłożyła łyżeczkę. - Muszę wracać do roboty na Dizengoffa. -
Zaczęła się żegnać, podając im po kolei rękę.

Kiedy ich opuściła, a Peretz, Alan i Rose ruszyli z powrotem do hotelu, Peretz zauważył:

- Interesująca kobieta. Myślisz, że zgodziłaby się na współpracę?

- Co, chcesz ją zwerbować? Nie, nie sędzę.

- Nie, nie. Ale... kontaktuję się z policjantami, a ona jest policjantką. Tak sobie myślę...
ta sprawa nie rozejdzie się po kościach. Nasz rząd oświadczył Izraelczykom, że
przeprowadzimy dochodzenie, i oczekuje od nich tego samego. Właśnie dostałem wiadomość,
że Dukas wysyła kogoś na miejsce. I tak spadnie mi to na łeb. - Peretz wyminął kobietę, która
oglądała wystawę sklepową, - A ty wyjeżdżasz.

- Jasne, że wyjeżdżam. I to jak najszybciej. - Powiedział, że jego zdaniem dochodzenie
należy przede wszystkim do Dukasa i SDK, a nie do Peretza, ale prowadzenie go z Neapolu
byłoby niemożliwe.

Kiedy się rozstawali, Peretz ostrzegł go:

- Mossad ma długie ręce, Alanie. I długą pamięć.

Wyglądał jak mądry profesor udzielający ważnej lekcji nierozgarniętemu uczniakowi.

Alan zerknął na zegarek i pokiwał głową.

- Zapamiętam to sobie.

Wybierał się na spotkanie, które było rzeczywistym powodem jego przyjazdu do Tel
Awiwu. Nie mógł się doczekać, kiedy się skończy, żeby móc jak najszybciej wyjechać.
Opuścił kiwającego posępnie głową Peretza, mimo że wiedział, że tamten nie skończył swojej
myśli, ale był zbyt pochłonięty zbliżającym się spotkaniem, by go słuchać.

Neapol

Dick Triffler stał w gabinecie Dukasa oparty o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersi
i nogą założoną na nogę. Wcześniej zdjął marynarkę, pod spodem miał białą i nieskazitelnie
wyprasowaną koszulę, a pod kołnierzem krawat z grubego włoskiego jedwabiu w kolorze
nocnego nieba.

- Tel Awiw już kręci nosem na naszych kryminologów - oznajmił.

- Jezu, myślałem, że chociaż przez dwadzieścia cztery godziny będą udawać, że się nas boją. - Dukas zrobił zbolaną minę. Miał na sobie ciemną koszulkę polo i znoszone drelichowe spodnie, a stopy, oparte o blat biurka, obute w tenisówki, wyglądały jak fioletowe kajaki. - Co mówią?

- „Kwestionują taką konieczność”.

Dukas zawarczał przeciągle.

- W porządku, skontaktuj się z Biurem Wywiadu Marynarki i postaraj się ich przekonać, żeby mocniej przycisnęli na Izraelczyków.

Triffler pokiwał głową.

- A jak tam ta policjantka, z którą Craik współpracował?

- Miła, ale bardzo ostrożna. Widocznie uważa, że próbuję ją zwerbować za pomocą swojej czarodziejskiej różdżki. Mówi, że przyznali jej teraz sprawę Qatiba, ale na razie jest na etapie wstępnym. Obiecali przekazać jej zwłoki pod koniec przyszłego tygodnia.

- Co, do diabła? Pod koniec przyszłego tygodnia? Zamierzają sklonować ciało, zanim je wydadzą? Gliniarze już je powinni mieć!

- „Komplikacje administracyjne”. Pani Gurion mówi, że woli nie zaogniać sprawy i nie wszczynać awantury.

Dukas znowu zrobił zbolaną minę i zaczął się bawić ołówkiem.

- Powiedziałaś jej, że w poniedziałek będę na miejscu?

- Nie posiadała się z radości.

- Kiedy SDK prowadziła dochodzenie przeciwko Pollardowi, CIA wreszcie się przełamało i dało nam wykres struktury organizacyjnej i listę pracowników Mossadu. Trzeba wyębnić te materiały z centrali. Szczególnie interesują mnie wszyscy agenci operacyjni o imieniu Shlomo, chcę wiedzieć, czym się każdy z nich zajmuje. Usiłuję się dowiedzieć, dlaczego Mossad interesował się Qatibem, jeśli nie chodziło o szyfry. Możesz to dla mnie zrobić?

- Jeśli dadzą mi te materiały.

- W tej chwili centrala da nam wszystko, o co poprosimy, bo jeden z naszych został porwany, a Mossad grzęźnie po uszy w gównie.

- Przynajmniej przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny.

- Właśnie. Musisz więc działać szybko.

- Wiesz, ilu facetów w Izraelu nosi imię Shlomo? Jest tak popularne jak u nas Bill.

- Tak, jeden z nich był ze mną w Bośni w dziewięćdziesiątym siódmym. Shlomo, nie Bill. Od czegoś musimy zacząć.

Następnie Dukas zadzwonił do Hagi. Chciał porozmawiać z Pigoreau, byłym francuskim gliną który teraz pracował dla Międzynarodowego Trybunału ONZ, a wcześniej był asystentem Dukasa w ekipie badającej zbrodnie wojenne w Bośni. Pigoreau nie zjawił się jeszcze w biurze - sztywne godziny urzędowania, pomyślał Dukas - ale wkrótce przyjdzie, oddzwoni i tak dalej. I oddzwonił, godzinę później.

- Mike! Jak wspaniale, że się odezwałeś!

Pigoreau miał wyraźny francuski akcent. Słuchając go, miało się wrażenie, że w tle zaraz rozlegnie się akompaniament akordeonu.

- Hej, Świnko.

W słuchawce rozległ się śmiech.

- Mike, jesteś jedynym facetem, któremu pozwalam, aby mnie tak przezywał. Wiesz, po francusku to bardzo obraźliwe słowo... *cochon*?

- Po angielsku to wyraz czułości. Świnki Trzy. Świnka skarbonka.

- Dobrze, potraktuję to jako przyjacielskie zdrobnienie. O co chodzi?

Dukas przypomniał mu operację z dwoma Izraelczykami w Bośni. Pigoreau nie od razu skojarzył - nie brał w niej bezpośredniego udziału, ale wiedział o wszystkim, co się działo w jednostce, w końcu uświadomił sobie, o którą sprawę chodzi.

- Facet został zabity! - wykrzyknął.

- Tak, właśnie. Chcieliśmy go przesłuchać, ale go zastrzelili.

- Pamiętam. Dawne dzieje, Mike.

- Owszem. Chcę, żebyś się dowiedział, na czym polegał udział Izraelczyków.

- O *mon dieu*... Mike, te dokumenty muszą być przywalone stosami innych akt.

- Tak, ale możesz je wydostać. W końcu jesteście biurokratami, niczego nie wyrzucacie.

Pigoreau znowu się roześmiał.

- Postaram się, Mike. To poważna sprawa?

- Zostaw mi wiadomość pod tym telefonem. Dobry z ciebie facet, Świnko.

- *Cochon*.

Dukas odłożył słuchawkę i pomyślał, jak bardzo nie chce mu się lecieć do Tel Awiwu. Z drugiej strony, dzięki temu wydostanie się z biura. A ponadto na tym polegała jego praca.

Nasłonecznione betonowe bloki Tel Awiwu tworzyły środowisko, w którym szukanie inwigilacyjnego ogona było koszmarem. Alan rozglądał się, czy jest śledzony, bo po wczorajszych wydarzeniach miał się na baczności i tak właśnie nauczono go postępować we wrogim środowisku. A teraz uważał, że to środowisko jest wrogiem.

Jest na terenie przeciwnika, duży minus. A w nowoczesnym mieście nie ma wąskich i krętych ulic ze ślepych zaułkami; są pasażerki i szerokie bulwary. Ciężkie budynki stojące wzdłuż szerokich chodników znajdowały się poza zasięgiem ewentualnego wybuchu samochodu pułapki. Natomiast, wśród setek sprzedawców ulicznych i tysięcy przechodniów potencjalni obserwatorzy mogli niezauważalnie śledzić jego ruchy.

Jeśli przeciwnicy dysponowali taką przewagą i użyli dużego, zróżnicowanego zespołu, nigdy ich nie zobaczy. Gdyby było ich za mało, okazali się leniwi albo zbyt schematyczni w działaniu - sytuacja wyglądałaby inaczej. Zwłaszcza gdyby udało mu się wprowadzić ich w otoczenie, do którego by nie pasowali, byłiby nieodpowiednio ubrani i wyróżniali się w tłumie. Na tym polegała właśnie jego technika, doskonalona na bazarach i w zachodnich hotelach państw Zatoki Perskiej. Planował swoje trasy tak, by przekraczać niewidzialne granice społeczne, które określają przynależność klasową i stanową, zawód i wykształcenie. Dzisiaj jego trasa wiodła z hotelu do dzielnicy jubilerów, przez centrum finansowe, między drapaczami chmur i ludźmi w biznesowych garniturach, bibliotekę i muzeum kampusu uniwersyteckiego aż na miejsce spotkania.

Pierwszą agentkę rozpoznał po dziesięciu minutach spaceru. Zauważył ją wcześniej, drobną młodą kobietę w burej chuście, z twarzą jak Julie Andrews. Oznaczył ją w myślach tym imieniem, automatycznie katalogując każdego, kto na niego spojrzał albo zdawał się zainteresowany jego poczynaniami. Jej sportowa koszulka, dżinsowe szorty i opalone nogi nie przyciągały uwagi na ruchliwej ulicy trzy przecznice od hotelu.

Cóż mogło być bardziej naturalnego niż widok amerykańskiego oficera przemierzającego dzielnicę jubilerską w poszukiwaniu biżuterii dla żony? Ale Julie Andrews przykuwała spojrzenia ortodoksyjnych Żydów na chodniku. Wyróżniała się z otoczenia jak Jane Fonda w Hanoi. Alan poczuł, jak serce rozpięta mu pierś, a pierwszy euforyczny przyływ adrenaliny uderza do głowy. Dzięki temu drobnemu zwycięstwu wspomnienie wczorajszego porwania, przerażenia i poniżenia stało się mniej dokuczliwe.

Nigdy wcześniej nie zdekonspirował prawdziwego agenta podczas inwigilacji. A to byli Izraelczycy, prawdopodobnie Mossad. Na własnym terytorium.

A żeby wam w pięty poszło, sukinsyny, pomyślał.

Alan pokazywał im, jak jest znudzony, jak mało przejmują się faktem, że szesnaście godzin wcześniej był ich więźniem. Musiał oprzeć się pokusie zdradzenia się, że ich zauważył. Żałował, że nie ma przy sobie aparatu - może zdjęcia zdałyby się na coś Mike'owi? Albo ambasadzie? Musiał i tak złożyć raport. Ambasady traktowały tego typu sprawy poważnie.

Opuszczając olbrzymi betonowy ośmiobok uniwersyteckiej biblioteki, odniósł kolejne małe zwycięstwo. Z operacyjnych zalet biblioteki zdał sobie sprawę podczas pierwszego pobytu w Izraelu. Wszędzie drzwi i jedno nieduże, lecz ogólnodostępne wyjście do ogrodu, którego jedynym celem było oświetlenie okna gabinetu rektora. Przez ogród biegła wąska kładka, która mijała akademik i prowadziła bezpośrednio na przystanek autobusowy usytuowany u podnóża wzniesienia.

Kiedy dotarł na przystanek, z ogromną satysfakcją zaobserwował, jak Panna Andrews zbiegła za nim po kładce, mówiąc coś do kołnierza koszulki i zatrzymując się, żeby porozmawiać z młodym mężczyzną, którego wcześniej nie zauważył. A potem trafiła mu się jeszcze jedna gratka - spostrzegł trzeciego agenta, przysadzistego faceta w średnim wieku ubranego w koszulkę z krótkimi rękawami, który zasapany wgramolił się do czekającego vana i przejechał obok przystanku, gapiąc się z otwartymi ustami na Alana z siedzenia pasażera.

Alan zapamiętał numer rejestracyjny. Właściwie nie miało to żadnego znaczenia i nie powinno w żaden sposób złagodzić wczorajszego pohańbienia, ale wyraźnie poprawiło mu nastrój. Głowę trzymał teraz wyżej i złapał się na tym, że pogwizduje pod nosem, gdy zbliżał się do miejsca spotkania. Spojrzawszy na zegarek, skonstatował, że wejdzie do holu dokładnie o umówionej porze.

Mężczyzna w hotelowej recepcji zupełnie nie wyglądał jak oficer wywiadu wojskowego. Był niski, z nadwagą graniczącą z otyłością i ubrany w bluzę safari, sprane dżinsy oraz sandały poplamione pomarańczową farbą. Miał łysą, prawie idealnie okrągłą głowę i masywne ręce, ciemne okulary nadawały mu wygląd kreta.

Alan spodziewał się raczej oficera w mundurze. Albo smukłego, opalonego mężczyzny w szortach. Sądził, że agent Shin Bet będzie się różnił od agentów Mossadu - ale nie do tego stopnia.

Mężczyzna uśmiechał się tak ciepło i ujmująco, że musiał to być szczerzy odruch.

- Komandor Craik? - zapytał. - Jestem Benjamin Aaronson. Proszę mi mówić „Ben”.

Ręka Alana zniknęła w dłoni Izraelczyka, a potem wsiedli do windy i ruszyli na górę.

- Żonie podoba się Tel Awiw? Brzydkie miasto, ale dużo dobrych sklepów.

Ben otworzył mu drzwi do pokoju, nie, raczej do apartamentu. Na ogromnym stole, przy którym mogłyby się odbywać zebrania rady nadzorczej, leżał laptop. Ben zamknął drzwi za Alanem i zarygłował zamek.

- Dostał pan wczoraj w dupę od Mossadu.

Nie było to pytanie.

- Tak.

Alan rzucił swój plecak na stół. Zaskoczył go gniew, z jakim to powiedział, jakby konieczność przyznania się do porażki stawiała go w gorszym świetle. Nagle zdał sobie sprawę, że zareagował jak zraniony macho. Jego męskość... zresztą do diabła z tym.

- Cóż, przykro nam. Naprawdę nam przykro, ale zaskoczył nas pan, przychodząc. Połowa chłopaków z mojego oddziału uważała, że się pan nie zjawi. Zresztą nikt nie miałby o to pretensji - powiedział.

Alan ugryzł się w język, żeby nie rzucić jakiegoś komentarza, ale to, co przychodziło mu do głowy, wydawało się nieprofesjonalne.

- Wolałbym o tym nie rozmawiać - stwierdził.

- Jasne. - Ben otworzył laptopa. - Ma pan dla mnie jakieś pliki.

Alan wyjął z plecaka przenośną pamięć i położył ją na stole. Oddał żółtą samoprzylepną karteczkę z bloczku i wypisał z pamięci ciąg liczb.

- Pliki są na pendrive'ie. A tu jest kod dostępu. - Wzruszył ramionami. - Tak naprawdę, to nie wiem, co tam jest.

Ben załączył pamięć do laptopa, zmienił ciemne okulary na dwuogniskowe i wpatrzył się w ekran, z przesadną ostrożnością wklepując kolejne cyfry.

- Chce pan coś do jedzenia? Mamy go tu dość, żeby nakarmić cały mój oddział.

- Jest pan dowódcą? - spytał Alan.

Wyglądał przez okno, zastanawiając się, czy nie powinien jednak zrezygnować ze spotkania.

- Tak. - Ben przewijał teraz obraz, bardzo szybko oglądając dokumenty dostarczone przez Alana. - Jestem pułkownikiem... myślał pan, że wystaliby na spotkanie z panem byle kogo? - Uśmiechnął się znad komputera. - Proszę się rozluźnić, komandorze. To trochę potrwa.

- Mam nadzieję, że pan też coś dla mnie ma.

- Na tym polega wymiana, czyż nie?

Znów uważnie popatrzył na ekran.

Może była to pozostałość wczorajszych doświadczeń, lecz Alan spodziewał się bardziej napiętej atmosfery, czegoś, co przypominałoby targowanie się na bazarze. Myślał już, że postawił się w gorszej pozycji, gdy pierwszy położył swój towar na stole, ale teraz wcale nie miał takiego poczucia. Ben sprawiał raczej wrażenie lotnika niż szpiega.

- Od początku służy pan w wywiadzie? - spytał.

- Nie, nie. Zaczynałem w czołgu. Byłem dowódcą czołgu w Libanie w osiemdziesiątym trzecim.

Mówiąc to, cały czas przewijał obraz.

Alan pokiwał głową, żeby dać do zrozumienia, że wie, co się działo w Libanie w osiemdziesiątym trzecim.

- Tutaj wszyscy idą do wojska... to znaczy, wszyscy powinni, wie pan. Tylko że są wyjątki z powodów religijnych i zbyt dużo dzianych rodziców, którzy posyłają swoje pociechy do Europy, Stanów Zjednoczonych albo Kanady, żeby uchronić je od służby, wie pan o tym, prawda?

Podniósł wzrok, jego oczy błysnęły nad oprawkami okularów.

To nie jest po prostu gadka-szmatka, pomyślał Alan, odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko Bena.

- Chyba myślałem, że wszyscy idą do wojska.

- To mit. A prawda jest taka, że dzieciaki obrzucane kamieniami na Zachodnim Brzegu nie są dziećmi członków Knesetu.

- To brzmi znajomo.

Alan był zaskoczony, że mu się to wyrwało. Nie krytykował swojego kraju w obecności obcokrajowców. Taka była zasada, przynajmniej w marynarce.

Oczy Bena powędrowały z powrotem do ekranu.

- Wiele z tych materiałów to zwyczajne gówno, wie pan?

Alan wstał.

- Proszę posłuchać...

- Nie ma co dosiadać konika, komandorze. - Znów spojrział na niego znad ekranu. - Wasz prezydent jest przyjacielem Izraela, ale fatalnym szefem wywiadu. Tak?

- Jest naczelnym dowódcą sił zbrojnych - odparł Alan bez specjalnego nacisku.

- Polityka i wywiad naturalnie się przyciągają, ale są fatalnymi kochankami, tak? Wie pan, co mam na myśli, komandorze?

Nie mam zielonego pojęcia, chyba że to kolejna próba werbunku. O czym on, do cholery, mówi? - zastanawiał się Craik.

- Nie jestem pewien, Ben. Mów mi Alan. Dobrze?

- Jasne. Chodzi mi o to, że dobry wywiad polega na ustalaniu prawdy, tak? Prawdy, którą widzimy tu, na ziemi? A dobry oficer wywiadu mówi prawdę.

Alan przytaknął niepewnie, niepokoił go kierunek, w którym zmierza rozmowa. Czy reagował tak z powodu wczorajszych wydarzeń? Niepokoił się, bo przyjazny oficer obcego państwa próbował rozmawiać o pracy w hotelowym pokoju.

Złapał się na tym, że znów wygląda przez okno. Ben czytał dalej. Zaczął czytać urywki na głos.

Alan szybko się zorientował, co Ben miał na myśli, gdy powiedział „gówno”. Przeczytał podsumowanie przesłuchania przeprowadzonego w nieznanym miejscu. Przesłuchiwany był określany jako „terrorysta”. Tekst brzmiał, jakby napisano go do hollywoodzkiego filmu. Ben przeczytał kilka podobnych dokumentów bez komentarza, choć jego angielszczyzna była na tyle dobra, by wyrazić rozbawienie... i niesmak.

Alan próbował rozładować niepokój. Wybiegł myślami daleko stąd. Do Afganistanu. Potem przywołał się do rzeczywistości.

Po dwudziestu minutach takiej lektury Ben podjął temat, jakby w ogóle go nie urywał.

- Politycy chcą, żeby prawda służyła ich celom, ich własnym celom. To już nie jest prawda. Nie ta prawda, którą widziałeś. A oni nigdy nie widzą ludzi... tych martwych, tych, których zniszczyły przedłużające się przesłuchania. - Nacisnął klawisz. - Okej, przyniosłeś to, co ci dali. Nie twoja wina, że to w większości gówno. Mój kontakt mówi, że będziesz dowodził tą operacją... to jeden z elementów Wiecznej Sprawiedliwości. Kto wymyśla te kryptonimy?

Zdjął okulary i wytarł je starannie o swoją bluzę. Potem wcisnął kilka klawiszy i odwrócił laptop do Alana. Był to starszy model IBM-a.

- My też dajemy wam gówno - powiedział Ben z naciskiem. - Polityczne gówno, tak jak wasze. Chciałem z tobą porozmawiać... naprawdę porozmawiać. Myślisz, że to podpucha, co? Ale nie. Dostarczamy sporo materiałów na poparcie operacji w ramach Wiecznej Sprawiedliwości... i część z nich to gówno.

Alan starał się udąć obojętność, lecz mięśnie grzbietu napięły mu się tak, jakby od siedmiu godzin siedział przypięty do fotela katapultowego.

- Może nie czuję się najlepiej z twoim doborem tematów.

Ben znowu wytarł szkła okularów.

- Czy zaskoczę cię, jeśli powiem, że całkiem dobrze cię znamy, komandorze? Afryka, Srebrna Gwiazda, niektóre mniej tajne odznaczenia. Praca operacyjna jest twoim żywiołem,

tak? I zgaduję, że jesteś też wyznawcą... - Uśmiechnął się, robiąc minę brata łąty. Idealnego przyjaciela. - Podobnie jak ja. Szczerym wyznawcą złożonego kanonu tego... kim jesteśmy.

Odwrócił się i wyjrzał przez okno.

Alan zaczął przeglądać pliki, żeby ukryć mieszaninę zadowolenia i obaw. Jak mogło mu nie schlebiać, że znają jego osiągnięcia? I dlaczego wciąż miał wrażenie, jakby usiłowano go zwerbować?

Realność spraw, których dotyczyły materiały, odciągnęła jego uwagę od słów Bena. Jego zadanie w ramach Wiecznej Sprawiedliwości miało polegać na porwaniu człowieka podejrzewanego o zarządzanie funduszami Al-Kaidy i po raz pierwszy uzmysłowił sobie paralelę między tym, co przydarzyło mu się wczoraj, a tym, co miał zrobić. Dopiero teraz fakt ten przedarł się do jego sumienia, powodując nieprzyjemny zgrzyt:

Potężny SUV sunął ulicami miasta, a dwaj mężczyźni na przednich fotelach awanturowali się między sobą. Osilek na tylnym siedzeniu miał pistolet. Alan zarejestrował te rzeczy jakby z oddali, bo nie był w stanie logicznie myśleć. Kiedy jego mózg wreszcie zaskoczył, zapętlił się w nieskończonej rekursji świadomości zagrożenia i strachu. Porwanie. Tortury. Zdał sobie sprawę, ile tajemnic zna i może zdradzić - operacje, Afganistan, strach i panika. Kto mnie porwał? Dlaczego? Złapali mnie! Tortury. Trzeba się przygotować. Kto mnie porwał?

Z trudem zmusił się do przeglądania plików. Ręce mu się trzęsły. Nie podniósł wzroku, żeby nie natknąć się na spojrzenie Bena.

Dokumenty, które miał przed oczami, dotyczyły zdobytych niedawno informacji na temat celu operacji i nosiły wyraźne ślady modyfikacji. Część danych usunięto, ale całość była staranna, pieczołowicie opracowana. Dokładnie to, czego potrzebował do zaplanowania akcji.

Następny plik okazał się przejrzystym podsumowaniem związków figuranta z Al-Kaidą i jego pozycji w jej finansowej hierarchii. Alan miał wrażenie, jakby czytał opracowanie naukowe bez przypisów. Wszystko było schłodzone i uporządkowane - rola odgrywana przez figuranta, jego stosunki rodzinne, konta bankowe. Alanowi cuchnęło to na kilometr. Praca wywiadowcza nigdy nie jest tak prosta. Terrorysty nigdy nie są tak nieskomplikowani. Popatrzył prosto w uśmiechniętą twarz Bena.

- Dobra, zdałeś. Naprawdę jesteś oficerem wywiadu. A już zaczynałem się martwić.

- To wygląda jak dokument na odprawę.

- Brawo! Podajcie temu panu cygaro. - Ben zrobił pauzę, wyraźnie zadowolony ze swojego bon tonu. - Jest tego więcej. Zepchnięto to na nas. Postanowiliśmy poinformować was o tym za twoim pośrednictwem. Między nami mówiąc, za raporty z inwigilacji i ustalenia

z miejsca pobytu mogę zaręczyć. Opracowali je moi ludzie albo ludzie, których znam. Natomiast powiązania organizacyjne, konta bankowe, podsumowanie nie są nasze? Mogę zgadywać, ale nie będę... ty nie chcesz krytykować swojego prezydenta. Obaj mamy podobne problemy. Racja?

Alan przewijał następny dokument, przyglądając się zrobionej w Excelu tabeli operacji bankowych, która wyglądała imponująco. Tylko że brakowało źródeł.

- Jezu. - Alan podniósł wzrok, zawstydzony. - Och, przepraszam.

Ben się uśmiechnął.

- Myślę, że słyszałem już wcześniej to imię.

Alan spojrział z powrotem w dokument i się skrzywił.

- Nie rozumiem, dlaczego brakuje źródeł.

- Kiedy przekazesz te materiały do Sztabu Głównego, staną się materiałami źródłowymi. Z izraelskiego wywiadu wojskowego. Bardzo wiarygodne, tak? Może w niektórych kręgach nawet bardziej wiarygodne niż z waszego CIA?

Alan znów bezmyślnie wymamrotał pod nosem „Jezu”.

- Uznaliśmy, że nie podejmiemy się wymiany, jeśli komuś tego nie powiemy... a tym kimś jesteś ty, komandorze. Próbują nas wydymać. Ale mamy w wojsku swoją dumę. Nie przekazujemy głównianych materiałów, chyba że sami chcemy kogoś wydymać. Dlatego poprosiliśmy o to spotkanie. Powiedzieliśmy: „Przyślijcie faceta prowadzącego operację”. Żebyśmy... żebym ja mógł przeprowadzić tę rozmowę. Tak to właśnie wygląda. Sprawa jest polityczna. Ktoś chce dorwać tego faceta. Czy gość jest z Al-Kaidy? Nie wiem. Ale myślę, że gdyby był, to w materiałach nie znalazłoby się tyle tego amatorskiego gówna.

Alan pokręcił powoli głową.

- Nie widziałem tego, co wam przywiozłem.

Ben uniósł dłoń, po czym przechylił ją w dół i w górę.

- To samo co u nas. Trochę gówna.

- Nie widziałem tego. To nie moje materiały.

- Oczywiście, że nie. Ja akurat jestem wścibski. Nie zgadzam się na żadną z tych „wymian”, jeśli wszystkiego nie przeczytam.

Alan wzruszył ramionami.

- My tak nie robimy.

Ben się uśmiechnął.

- Nie? A co mogłoby powstrzymać podwójnego agenta od zapelnienia pendrive'a wykradzionymi tajemnicami wojskowymi, żeby pan mi je przekazał? Nic prostszego.

Alanowi nigdy wcześniej nie przyszło to do głowy i teraz jego ręce zamarły na klawiaturze.

Ben mówił dalej:

- Mogę ci coś poradzić, jak zawodowiec zawodowcowi? Jeśli nie pozwolą ci przeczytać materiałów, to nie zgadzaj się na spotkanie. Niech znajdą sobie innego fuszera.

- Frajera - poprawił go automatycznie Alan. - Czy nasze materiały też wydają się nieautentyczne? To znaczy to, co dostarczyłem...

- Nasi politycy będą wniebowzięci. Bo materiały pochodzą od amerykańskiego wywiadu.

Alan zaczął kopiować dane na własny pendrive.

- Nie lubię być wykorzystywany.

Ben pokiwał głową. Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- Dobrze. Obawiałem się, że mnie nie wysłuchasz. - Zrobił pauzę i dodał: - Istnieje więcej niż jeden Izrael.

- Właśnie zaczynam to widzieć.

- Żałuję, że nie mamy więcej czasu na rozmowę... - powiedział Ben. Wstał od stołu. - Spiesz ci się.

Alan wziął swój plecak, położył dłonie na oparciu krzesła.

- Może byłbym bardziej skory do rozmowy, gdyby wczoraj nie zgarnęli mnie inni Izraelczycy. - Wzruszył ramionami, nie miał nic do stracenia. - Albo gdyby dzisiaj w drodze na spotkanie mnie nie śledzili.

Ben skrzywił się boleśnie.

- To nie moi ludzie.

Alan znów wzruszył ramionami, bo to nie miało znaczenia.

- Dziękuję za ostrzeżenie w sprawie polityki. Wierzę ci. - Kusiło go, żeby podzielić się dręczącymi go obawami. Życie po jedenastym wrześniu dało mu więcej powodów do zwątpienia we własną profesję niż reszta służby razem wzięta, ale uznał, że Ben nie jest właściwą osobą do rozmowy. - Będziesz miał z tego powodu kłopoty? Wiesz, że napiszę z tego spotkania raport.

Ben się uśmiechnął.

- Ja też. Mogę powiedzieć coś, co cię zaskoczy, komandorze? To dopiero początek. Nie lubię upolityczniania służb wywiadowczych. Kocham swój kraj. Nie będę przyglądał się temu beczynn timer. Teraz z tym walczę. I to nie tylko tutaj.

Kiedy przy drzwiach uściśnęli sobie dłonie, Ben wręczył Alanowi kartkę, na której było jego prawdziwe nazwisko - pułkownik Benjamin Galid - i numer telefonu.

- Na wszelki wypadek - powiedział.

Alan wyszedł, zanim sprawy mogłyby przybrać jeszcze gorszy obrót. Nie wiedział już, w co wierzyć, zbyt wiele z tego, co usłyszał, brzmiało bowiem prawdziwie.

Tego dnia palestyński bojownik zastrzelił w Izraelu sześć osób i zranił kilkanaście innych. Tłum pobił go, a policjanci zabili. Do ataku przyznały się Brygady Męczenników.

Tego wieczoru Craikowie wylecieli z Tel Awiwu do Bahrajnu.

8.

Cypr

Przez pierwsze dwa dni na Cyprze Rashid nawet nie szukał Saidy. Szabat trzech religii spędził głównie przy telefonie. Jego nowi przyjaciele, Zahira i Ali, szybko przenosili go z miejsca na miejsce, od jednej palestyńskiej firmy na wyspie do następnej. Nauczył się reguł postępowania i podstawowych środków ostrożności. I codziennie, w godzinach, które wykuł na pamięć jeszcze w betonowym budynku w Gazie, używał komórki albo automatu telefonicznego, żeby zadzwonić pod pewne numery, gdzie nowi przyjaciele czekali, żeby mu pomóc. Jeśli użył komórki, pozbywał się jej zaraz potem. Jeśli dzwonił z automatu, nigdy więcej nie wolno mu było skorzystać z tego samego aparatu po raz drugi.

Czasami wydawało mu się to ekscytujące. Kiedy indziej czuł się, jakby wciąż był pod opieką matki.

W Famaguście znalazł sklep dla turystów z powieściami po angielsku. Za pieniądze, które wziął z kurtki Salema i starannie oddzielił od pieniędzy otrzymanych od Alego na „wydatki operacyjne”, kupił książkę pod tytułem *Szpieg doskonały*. Język powieści był trudny, ale fabuła doskonała. Umiała mu czas, kiedy czekał na kolejne zadanie.

W niedzielę Zahira skierowała go na przystań promów w Kyrenii.

- Twoja znajoma kupiła bilet do Aten - poinformowała go z zadowoleniem w głosie. - Kupisz podobny bilet i popłyniesz tym samym promem. Zadzwonź do nas, kiedy ją namierzysz.

Na miejsce dotarł wczesnym wieczorem i obserwował pasażerów wsiadających na pokład, ale nie dostrzegł Saidy. Kiedy do wypłynięcia pozostała niecała godzina, zadzwonił na inny numer po instrukcje. Ali kazał mu wsiąść na prom. Zdawał się przekonany, że Saida będzie na pokładzie. I skarcił go za niepotrzebne nawiązanie łączności.

- Znajdź ją - powiedział jego nowy przyjaciel. - Nie zbliżaj się do niej i nie daj się jej rozpoznać. Nie dzwoń za każdym razem, gdy jesteś zdenerwowany. Zadzwoń, kiedy będziesz miał coś do przekazania.

Rashid zrobił tak, jak mu polecono.

Waszyngton

Stojąc przed lustrem, Ray Spinner uważał, że wygląda odlotowo w nowych biało-czerwono-niebieskich szelkach. Sobota wydawała się najlepszym dniem, żeby je włożyć - w robocie będą tylko najwięksi twardziele - ale gdy zjawił się w pracy, tchórz go obleciał i nie ośmielił się zdjąć marynarki. Pięć minut później wymknął się do kibla, zdjął szelki i wpakował je do kieszeni, gdzie powstało nieprzystojne wybrzuszenie. Na dodatek spadały mu spodnie.

Kiedy wrócił do boksu, czekała na niego wiadomość od McKinnona: „Zajrzyj do mnie”. Spinner włożył szelki do szuflady i w te pędy ruszył do szefa. Zdał sobie sprawę - i zezłościło go to - że gdyby nie McKinnon, nosiłby te cholerne szelki i nie musiał podtrzymywać portek ręką.

McKinnon stał za biurkiem i czytał książkę. Miał brązowe szelki i wyglądał zarówno profesjonalnie, jak i władczo, jakby był jednym z tych typów z Oxbridge, którzy służyli w MI5 w czasach Burgessa i MacLeana.

- Hm? - mruknął, nie podnosząc wzroku.

- Chciał się pan ze mną widzieć.

McKinnon przeczytał jeszcze kilka słów, a potem spojrzał na Spinnera znad okularów i najwyraźniej go rozpoznał.

- Co nowego w Izraelu? - spytał.

- Chodzi o szyfry. Ten zabity był w marynarce szyfrantem. Wygląda na to, że wygadał się swoim palestyńskim kumplom, a potem dorwał go Mossad.

- Jakie masz dowody?

- Dostaję masę wiadomości. Wszystkie dotyczą szyfrów.

- I ciebie to przekonuje? Jesteś pewien?

Spinner się zawahał.

- Oczywiście, że nie jestem pewien! - powiedział.

Był zły, że dał po sobie poznać irytację.

- To już coś. Ja też nie jestem pewien. Kiedy psy zaczynają gonić za własnym ogonem, robię się trochę sceptyczny. Myślę, że może w grę wchodzi coś innego. - Uśmiechnął się, unosząc jedynie kąciki ust. - No to do roboty. Ciach, ciach.

- Wie pan coś, czego ja nie wiem? - wyrwało się Spinnerowi.

McKinnon zagłębił się z powrotem w lekturze.

- Z pewnością, mam taką nadzieję - odrzekł i odprawił Spinnera machnięciem ręki.

Już w swoim boksie Spinner ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się przez parę minut w ścianę. Doszedł do wniosku, że naprawdę nie powinien dłużej tego znosić. McKinnon był nadętym dupkiem. Z drugiej strony, podobała mu się ta robota i jej potrzebował.

Wcześniej kupił w księgarni Barnes and Noble *Człowieka i miasto* Leo Straussa, bo była to najcieńsza książka tego autora, jaką znalazł na półce. Od tamtej pory zaglądał do niej od czasu do czasu. Przedzierał się przez nią z trudem, nie miała nic wspólnego z thrillerami, które zwykle czytał. O mało łeb mu nie pękł przy akapicie, który ciągnął się przez dwie strony. Odstęczały go też zdania w rodzaju: „Według Arystotelesa polityczną nierówność usprawiedliwiają ostatecznie naturalne nierówności między ludźmi”, bo wychował się w przekonaniu, że „wszyscy ludzie są równi”, ale założył, że bez względu na to, co znaczą podobne zdania, ostatecznie Strauss wyciągnie demokratycznego królika ze swojego filozoficznego kapelusza. Nie chciał zmierzyć się z przypuszczeniem, że ani Strauss, ani Arystoteles czy Platon nie byli tak naprawdę demokratami.

Neapol

W sobotę Dukas miał już zyciorys Salema Qatiba i wiedział, że Palestyńczyk studiował filologię klasyczną i archeologię na Uniwersytecie Michigan, ale nie zrobił magisterium. Dukas usiłował dodzwonić się na uniwersytet, ale podczas weekendów uczeni odpoczywają od umysłowego wysiłku. Wynotował sobie, czego jeszcze dowiedział się o Qatibie: wyemigrował do Stanów Zjednoczonych z rodzicami, gdy miał czternaście lat, ojciec wrócił

do Palestyny, gdy Salem skończył siedemnaście lat, a później rodzice się rozwiedli. Wtedy Salem zaciągnął się do marynarki, a potem pozostając w rezerwie, podjął naukę w college'u. Następnie sam wyjechał do Palestyny i odtąd jego kartoteka była właściwie czysta, jeśli nie liczyć tego, co wiedział o nim Mossad, a czego teraz nie chciał powiedzieć - ich obecne stanowisko brzmiało: „Kto, my? Nigdy o nim nie słyszeliśmy!” CIA miało Qatibu na swojej liście, ale tylko dlatego, że był Palestyńczykiem i raz wziął udział w demonstracji przeciwko izraelskim osadnikom w Strefie Gazy. Poza tym się nim nie interesowało.

- Cóż, ktoś jednak się nim interesował - powiedział Dukas do Trifflera.

- Albo koleżanka Ala Craika z policji myli się co do zaangażowania Mossadu.

- Myślisz, że Al został porwany przez czterech facetów, którzy po prostu znaleźli się akurat w okolicy?

- Zdarzały się dziwniejsze rzeczy. - Triffler spojrział na zegarek. - Za pół godziny mamy spotkanie na mieście.

Waszyngton

Po lunchu Spinner dostał wiadomość od McKinnona: „Do mnie”. Zupełnie jak „Kruczek, do nogi”. Naprawdę go to wkurzyło, bo nie był aż takim palantem, jakim czuł się w obecności McKinnona, (A może?) Wyjął z szuflady szelki, włożył je, i bez marynarki, z szelkami rażącymi w oczy jak kogut radiowozu, pomaszerował do gabinetu szefa,

McKinnon stał przy oknie, studiując raport ze złotą pieczęcią na okładce. Podniósł wzrok i gdy zobaczył szelki Spinnera, uśmiechnął się tak, jak zwykle ludzie uśmiechają się do dzieci znajomych,

- Chciał mnie pan widzieć.

McKinnon wskazał kartkę leżącą na biurku i wrócił do lektury. Był to wydruk wiadomości do szefa McKinnona - a więc dość wysoko w hierarchii, tylko jeden szczebelek niżej od samego Zastępcy Sekretarza - i dotyczył pogłoski, która krążyła na terytorium Palestyny, o tym, że jakiś Palestyńczyk został zamordowany za ukrywanie czegoś, co znalazł podczas tajnych wykopalisk, i że w sprawę są zamieszani Izraelczycy. Spinner był skolowany, ale jednocześnie poirytowany. To jak zabawa w zgaduj-zgadulę. Postanowił walić prosto z mostu.

- Nie rozumiem.
- Sokrates byłby z Ciebie dumny. - McKinnon zamknął raport, ale założył stronę palcem.
- Sprawdź to i zbadaj, czy mu jakiś związek z twoim trupem.
- Archeologia?
- Tak tam jest napisane,
- Nie rozumiem. Jaki może istnieć związek między Autonomią Palestyńska a archeologią.

McKinnon wydobyl z teczki następną kartkę. Była to tylko część większej wiadomości:

„2. Informator z wewnątrz mówi, że zrobiło się spore zamieszanie prawie na poziomie gabinetu w sprawie zatrzymania amerykańskiego oficera. Historia była taka, że Amerykanin wykonywał jakieś rutynowe zadanie w związku ze śmiercią Palestyńczyka, który służył w marynarce wojennej USA. Zrobił się smród, który nie jest jeszcze do końca skandalem, ale może mieć dalsze reperkusje z powodu prawdopodobnego zaangażowania Mossadu. Sam Mossad twierdzi, że Palestyńczyka zabili funkcjonariusze Autonomii, ponieważ prowadził w Gazie nielegalne wykopaliska, i Mossad nie miał z tym nic wspólnego, Niektórzy tutaj cieszą się, bo Mossad za bardzo się szarogęsi i robi się dokuczliwy”,

Nie podnosząc wzroku, McKinnon polecił Spinnerowi:

- Sprawdź to. Jeśli znajdziesz jakieś powiązanie, daj mi znać i zastanowimy się, co dalej.
- Kim jest ten informator?
- Gdybym chciał, żebyś to wiedział, powiedziałbym ci.

Spinner poczuł narastającą złość.

- Czego pan po mnie oczekuje?

McKinnon poparzył na niego jak na egzemplarz nowo odkrytego gatunku.

- Nie sądzisz, że może mamy w departamencie bibliotekę? Prawdopodobnie mają w niej coś o Autonomii Palestyńskiej? Czy nie jest możliwe, że znajdzie się też coś o archeologii? - Mówiąc to, odchylił lekko i przekrzywił na bok głowę, wybałuszył oczy, wydał usta. Spinner, widząc to, zaczął się zastanawiać, czy McKinnon przypadkiem nie jest gejem. W każdym razie przemknęło mu to przez głowę, - A może - dodał McKinnon - wyjdiesz na ulicę i zaczniesz rozpytywać, co sądzą na ten temat przeciętni Amerykanie?

Spinner, czując, że robi się pąsowy, odwrócił się i ruszył do drzwi. McKinnon powiedział mu na koniec:

- Musisz zasłużyć na te szelki, wiesz. - Potem się roześmiał. - Dodatkowe punkty za pracę w niedzielę,

9.

Waszyngton

W niedzielę Ray Spinner wciąż pracował w Pentagonie. Samego go to zaskoczyło, bo pojechał tam dobrowolnie: znajdował dziwną satysfakcję w śledzeniu wątku przez pełen udręk labirynt sprzecznych ujęć w książkach, starych reportażach prasowych, tajnych podsumowaniach i analizach oraz ogólnodostępnych źródłach, takich jak „Facts on File”, o których nigdy wcześniej nie słyszał do momentu, gdy bibliotekarz wskazał mu rzędy tomów stojących na półkach.

Nie zjadł kolacji. Choć kolacja niewiele dla niego znaczyła, jeśli nie chciał zaimponować jakiejś kobiecie, a zwykle żywił się w fast foodach. Jedzenie było paliwem, a reszta - smak, wygląd, egzotyka, przyprawy - to tylko zbędny dodatek. Mimo to spojrzął na zegarek, mruknął zaskoczony i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że pusty żołądek domaga się swoich praw.

Wątek dotyczył nielegalnego handlu zabytkami. Podążał za nim, w tę i z powrotem, czasami tracił go z oczu, innym razem szedł fałszywym tropem, od ogólnego stwierdzenia: „nielegalny obrót sztuką” do bardziej konkretnych określeń, takich jak „Palestyna”, „kradzież”, „archeologia”, „przemysł” oraz tuzina innych. Dowiedział się przede wszystkim, że chodzi o grubą forszę. Naprawdę grubą forszę.

Istniał ogólnoswiatowy czarny rynek dzieł sztuki, a pokaźna jego część dotyczyła zabytków z Bliskiego Wschodu. Podaż była duża i ciągła, a sumy wykładane przez ostatecznych kupców często ogromne. Jednak zanim przedmiot trafiał do kupca, przechodził wielokrotnie z rąk do rąk, a każdy pośrednik brał swoją dołę, tym większą, im dalej w łańcuchu się znajdował. Na jednym końcu był człowiek, który wykopał zabytkowy przedmiot z ziemi - Spinner porzucił temat kradzieży dzieł sztuki, bo w jego przypadku chodziło o archeologię, gdzie przestępstwo polegało nie na kradzieży, tylko na prowadzeniu nielegalnych wykopaliisk - i dostawał za nią nędzne grosze.

Między „archeologiem” a ostatecznym kupcem nie rozciągała się ani sieć, ani „kanał przerzutowy”, lecz chaotyczny zygzak. Ostateczny kupiec mógł się znajdować w Japonii albo

w USA, handlarz, który sprzedawał mu zabytek, mógł być w Londynie, Nowym Jorku albo Zurychu, lecz szlak pokonywany przez nielegalny towar mógł bieć przez Liban, Południową Afrykę, Brazylię i Singapur.

Forsa. We wszystkim chodziło o forszę. Grubą forszę. Dopiero po stronie ostatecznego kupca można się było domyślać umiłowania dla sztuki albo historii. Dla wszystkich innych w tym zygzaku liczyły się wyłącznie pieniądze.

I właśnie dlatego zarówno Autonomia Palestyńska, jak i Hamas angażowali się w cały proceder. Dla obu zdobycie funduszy i obrót pieniędzmi, zwłaszcza w twardej walucie, były niezwykle trudne. Ani jedna, ani druga organizacja nie miała dostępu do zysków z żadnej gałęzi przemysłu i nie dysponowała wykształconą siłą roboczą, a ich inicjatywy handlowe często kończyły się fiaskiem wobec szykan lub zbrojnych interwencji Izraela. W tej sytuacji znaleziska archeologiczne obiecywały stosunkowo łatwy zarobek, a na dodatek łatwo można je było transportować - oczywiście nielegalnie. Bliski Wschód powstał z pracy niezliczonych pokoleń ludzi, wyrósł na pozostałościach różnych starożytnych cywilizacji, które układały się piętrami jedne na drugich niczym warstwy wielkiego tortu. Zaczynij kopać w palestyńskiej ziemi, a możesz znaleźć orzełka z wojskowej czapki z czasów I wojny światowej albo rzymską monetę, kop dalej, a może natrafisz na rękojeść miecza krzyżowca albo ozdobę z chińskiego jadeitu z I wieku. Jeśli będziesz kopać jeszcze głębiej, może natkniesz się na ruiny zabudowań, kości, sprzączki, szpilki, gliniane naczynia, a nawet całe rzeźby ze starożytnego Egiptu, Asyrii, Babilonii, Krety albo Indii.

Dlatego właśnie Autonomia Palestyńska miała osobną sekcję archeologiczną, która „licencjonowała” wykopaliska na swoim terytorium, na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy. Inkasowała swoją działkę i wykorzystywała pieniądze „dla wspólnego dobra”, co oznaczało, że część tych cudownych zabytków trafiała przemytniczym zygzakiem do Tokio albo Beverly Hills.

Jeden z wygrzebanych przez Spinnera tajnych raportów dotyczył rzymskich monet, które palestyński przemytnik usiłował przewieźć przez granicę kosowsko-albańską w połowie lat dziewięćdziesiątych, aby potem, jak przypuszczano, sprzedać je w Grecji, ale został złapany i zastrzelony, gdy powstało zamieszanie na granicy. Na miejscu obecni byli dwaj agenci Mossadu - znak, że Izrael traktował ten rodzaj finansowania swojego głównego wroga bardzo poważnie. Jeden z analityków wskazywał jednak, że największy problem dla Autonomii Palestyńskiej stanowi nie Mossad, lecz nielegalna działalność wykopaliskowa w Palestynie, a mianowicie wolni strzelcy, którzy nie mają licencji i nie dzielą się zyskami z władzami. Z pomocą buldożera i kilkudziesięciu robotników potrafili uwinąć się z pracami w dwadzieścia

cztery godziny. Ale był to niebezpieczny interes, rabusiów ścigały władze zarówno Autonomii, jak i Izraela. Niejednokrotnie ginęli ludzie.

Spinner wysmażył na ten temat kilkustronicowy raport. O dziesiątej wieczorem w niedzielę, po paru czekoladowych batonach z automatu, był gotowy, aby położyć go McKinnonowi na biurku. Swoją analizę zakończył sugestią, że w Izraelu dzieje się coś, co wiąże nielegalne wykopaliska, Mossad i śmierć Salema Qatiba, j że najlepszym sposobem sprawdzenia, co to takiego, nie jest czekanie na jakiś wyjąłowany i pełen nadinterpretacji raport podsumowujący z CIA, tylko wysłanie na miejsce własnego człowieka, który pozna prawdę u źródła.

Spinner miał nawet jednego kandydata.

Wschodnia część basenu Morza Egejskiego

Rashid wypatrzył Saidę, gdy nad Chios zapadał zmierzch. Zobaczył ją na górnym pokładzie, gdy prom wpływał do portu. Kiedy ją ujrzał, obawy, że nie uda mu się jej znaleźć, ustąpiły miejsca innym: jak obserwować ją niepostrzeżenie w ograniczonej, zamkniętej przestrzeni statku. Saida nie zeszła jednak na ląd. Zebrawszy w sobie odwagę, Rashid śledził ją aż do jej kabiny. Na drzwiach widniał wydruk komputerowy z jej nazwiskiem i celem podróży: Lesbos. Rashid zszedł na główny pokład i przyjrzał się mapce z zaznaczoną trasą promu, Lesbos, wyspa w kształcie grotu strzały w pobliżu tureckiego wybrzeża, była następnym punktem podróży.

Przyglądał się mapie przez dłuższy czas. Lesbos była dużą wyspą z zatoką, zatoką Kalonis, zalewającą obszar, który w przeciwnym wypadku byłby głębią lądu, przez co sprawiała wrażenie jakby pustej w środku albo wydrążonej. Przerywana linia oznaczająca trasę promu biegła do miasta Mitylena na wschodnim wybrzeżu, od strony Turcji. W Mitylenie znajdował się również międzynarodowy port lotniczy.

Obok zawieszanej na ścianie mapy umieszczono drucziany stojak z broszurami turystycznymi po grecku, włosku, francusku i angielsku. Rashid znalazł broszurę na temat całej wyspy, a także osobne foldery o poszczególnych atrakcjach: oczywiście o Mitylenie, średniowiecznej warowni Molivos na północnym wybrzeżu, o skamieniałym lesie, miejscowości wypoczynkowej Kalonis w zatoce o tej samej nazwie i wreszcie o Skala Eressou, miasteczku na zachodnim wybrzeżu. Ta ostatnia broszura przyprawiła go o

rumieńce. Zaczynała się od zachęty: „Odwiedź miejsce narodzin Safony!” Rashid nigdy nie słyszał o Safonie i nie skojarzył wyspy Lesbos z lesbijkami, ale gdy przeczytał pierwszy akapit i spojrzął na ilustrację, związki między nimi stały się aż nazbyt jasne i pośpiesznie odłożył folder na miejsce, przestraszony, że ktoś mógł go zobaczyć. Resztę broszur zabrał ze sobą.

Potem wrócił do kabiny i czekał. Sześć godzin później siedł pięćdziesiąt metrów za Saidą, gdy schodziła na ląd w Mitylenie, i śledził ją aż do dworca autokarowego naprzeciwko muzeum. Saida kupiła bilet i poszła do przybrzeżnego baru dla turystów. Rashid zostawił ją tam, wrócił na dworzec, który był o tej porze prawie pusty, i zbliżył się do kasy z biletami, gdzie otyły mężczyzna z gęstą brodą oglądał mecz piłkarski, wpatrując się w ekran małego telewizorka.

Rashid dobrze mówił po angielsku, ale poświęcił minutę na przygotowanie sobie tego, co chciał powiedzieć, a potem podszedł do grubego kasjera.

- Mówi pan po angielsku? - zapytał.

Mężczyzna kiwnął głową, nie oderwawszy wzroku od telewizora.

- Eee... zgubiłem swoją... siostrę. - Rashid z rozpaczą stwierdził, że dokładnie przygotowane zdania rwą się w zderzeniu z obojętnością grubasa. - Zgubiłem ją, kiedy schodziliśmy z promu.

Grubas kiwnął głową i machnął ręką za siebie.

Gest był dla onieśmiałego Rashida zupełnie pozbawiony znaczenia.

- Czy ona kupić... kupiła... bilet? - spytał, zerkając za siebie na drzwi.

Mężczyzna powtórzył wcześniejszy gest.

Rashid podniósł wzrok i zobaczył rozkład jazdy autokarów. Wszystkie jeździły tą samą trasą: z Mityleny przez Molivos do Skala Eressou i z powrotem. Rashid nie umiał czytać po grecku, ale rozumiał wersję angielską.

- Mogę kupić bilet?

Grubas wzruszył ramionami i odwrócił się do niego, nie odrywając wzroku od ekranu, dopóki jego cielsko nie wykonało pełnego obrotu.

- Dobra - odparł. - Jedziesz do Skala Eressou tak jak ona?

Uśmiechnął się lubieżnie.

Rashid zrozumiał ten uśmiech, dopiero gdy przypomniał sobie broszurę.

- Oczywiście - powiedział.

- Dwadzieścia jeden euro.

Rashid zapłacił z pieniędzy, które dostał w Gazie.

- Kiedy mogę... wejść? Wsiąść?

Rashid już wcześniej postanowił, że musi wsiąść do tego samego autokaru. Gdyby spuścił ją teraz z oczu, może nigdy nie udałoby mu się jej znowu znaleźć.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Twój autokar jest tam. - Wskazał ręką na zewnątrz, gdzie po drugiej stronie ulicy stał stary autokar volvo, zasłaniając widok na port. - Kierowca śpi, ale możesz wsiąść. Jeśli chcesz.

Rashid wziął bilet, przeszedł przez ulicę i wsiadł do autokaru. Kierowca drzemał w swoim fotelu, a cały autobus rozbrzmiewał chóralnym chrapaniem. Rashid precyzyjnie przesunął się jak najdalej do tyłu, wepchnął plecak na półkę nad głową, położył się w poprzek dwóch foteli i nakrył marynarską kurtką.

Nie przyszło mu do głowy, że ta kurtka należała do Salema, a on śledzi jego dziewczynę.

O tej porze, w niedzielę wieczorem, Mike Dukas był już na pokładzie samolotu lecącego z Rzymu do Tel Awiwu, Alan Craik zaś w drodze z Bahrajnu do Tadżykistanu.

Część II

10.

Molivos, wyspa Lesbos

Jerry Piat przybył na Lesbos pod koniec lata z jedną walizką, poirytowany liczbą amerykańskich turystów przyplływających promem z Aten mimo osiemnastogodzinnego rejsu. Na szczęście, pod koniec września turyści zniknęli. Piat wynajął dom w Molivos na zboczu pod średniowieczną cytadelą tak wysoko, że nogi paliły go z wysiłku, gdy się tam wspinał. Dom wynajął przez agencję w Atenach, zapłacił gotówką i nigdy nie poproszono go o dowód tożsamości.

Pani Paleologos, kobietą która mu sprzątała i kupowała mleko, uznała go za pisarza, a on upewnił ją jeszcze w tym przekonaniu, gdy podczas wypadu do Aten kupił pięcioletniego laptopa i zaczął z nim chodzić po mieście. Służył mu równie dobrze jak malarska paleta komuś z dawniejszego pokolenia.

Nie miał samochodu. Kiedy musiał się udać do Mityleny, największego miasta wyspy, żeby stamtąd wsiąść na pokład promu, jechał tam autokarem albo okazją. Unikał używania swoich paszportów i kart kredytowych, unikał przedstawiania się i płacił gotówką. Kiedy ze względu na nową profesję musiał przetransportować towar, pożyczał furgonetkę od jednego z rybaków - za gotówkę. Nauczył się również sporo po grecku.

Jerry Piat nie był pisarzem. Był człowiekiem z przeszłością, przyplwy i odpływy tej przeszłości wyrzuciły go na brzeg Lesbos, a teraz zajmował się handlem antykami.

Jego wysiłki, by nauczyć się greckiego przysparzały miejscowym dużo radości. Ich pozdrowienia, z początku ostrożne, stały się bardziej skomplikowane oraz objęły świętych patronów i uroczyste okazje już w listopadzie, gdy opanował podstawy języka. Pozdrowienia nie pozwalały mu spocząć na laurach. A słyszał ich wiele, bo uwielbiał włączyć się po miasteczku od cytadeli na szczycie góry, stromymi uliczkami, które były zbyt wąskie, by

zmieściło się w nich choćby najmniejsze europejskie autko, w dół na uroczy w swoim niewyszukanym pięknie plac z jednym starym drzewem, przez arkady winorośli na XVIII-wiecznym rynku, dalej dół między zamkniętymi sklepikami jubilerskimi i straganami z pamiątkami oraz także nieczynnymi teraz warsztatami garncarskimi, w których mimo to właściciele nie próżnowali i wytwarzali ceramikę na następny sezon, aż wreszcie między murami z epoki brązu i dwoma stanowiskami archeologicznymi do rybackiego portu, gdzie miejscowi rybacy sprzedawali swój połów, ponad sto metrów pod murami cytadeli.

Wieczorami Piat jadł głównie ryby, bo były świeże, tanie i smaczne. Z tych samych powodów pił ouzo. I w czasie swoich wycieczek robił sobie przerwę, wstępując do jedynej prawdziwej kawiarenki w miasteczku, znajdującej się dokładnie między prawdziwym miastem a miastem dla turystów tak, że okna salki wyglądały na port znajdujący się siedemdziesiąt metrów poniżej i turecką bramę dzielnicy rękodzielników. Piat przychodził tam codziennie, otwierał laptopa, bawił się nim przez chwilę, a potem pił kawę i patrzył na morze.

Piat znalazł sposób zarabiania pieniędzy niewymagający zbytnej pracy. Odkrył, że bardziej bawi go zdobywanie potrzebnej wiedzy niż jej praktyczne wykorzystanie. Lata spędzone w college'u zmarnował na wkuwanie materiału tylko po to, żeby zaliczyć. Teraz czytał o przeszłości z ciekawością zrodzoną z chciwości. W handlu zabytkami można było zarobić mnóstwo pieniędzy, i to takich, które trudno namierzyć. A to bardzo się dla Piata liczyło.

Wiedział, że wiosną musi ruszyć dalej, lecz na razie życie okazało się lepsze, niż się spodziewał. Z zaskoczeniem stwierdził, że mniej pije. Po miesiącu na Lesbos po raz pierwszy od lat przestały mu drżeć ręce. Na kościstej twarzy pojawiło się trochę ciała. Umysł ożywił się dzięki nauce języka. Piat obserwował spóźnionych turystów, miejscowych i przyjezdne lesbijki ze Skala Eressou. Teraz potrzeba mi tylko dziewczyny, myślał.

Ten styczeń był najcieplejszy od lat. Wiedział to, bo wszyscy miejscowi mówili mu o tym każdego ranka od trzech tygodni. Przez kilka dni chodził w szortach. Stary nawyk i pokusa samodoskonalenia skłoniły go do włożenia starych tenisówek i zbiegania po stromych uliczkach do stanowisk wykopaliskowych i dalej za miasto wśród owiec i drzewek oliwnych na wulkanicznych zboczach wyspy.

Tego ranka ruszył pod górę, wspinając się powoli. Miasto to pojawiała się, to znikало po lewej stronie, gdy pokonywał zakręty drogi, która gdyby kiedykolwiek udało mu się pobiec dość daleko, zawiodłaby go aż do gorących źródeł w Thermi. Marzyło mu się, żeby przed

opuszczeniem Lesbos na zawsze, przebiec ponad dziesięć kilometrów do źródeł i położyć się w gorącej wodzie, gdzie kąpali się kiedyś Safona i Alkajos. Choć prawdopodobnie nie wspólnie.

Pokonał następny zakręt, miasteczko ukazało się ponad granią, mięśnie nóg były rozpalone z wysiłku. Nigdy do tej pory nie udało mu się dotrzeć tak daleko, i teraz biegł od zakrętu do zakrętu, obiecując sobie, że na następnym zawróci. Wysoko nad głową usłyszał odległy warkot silnika. Potruchtął dalej przed siebie, szukając miejsca, gdzie mógłby odbić od drogi. Sześćdziesiąt metrów dalej znów musiał się wspinać, a potem zobaczył kursujący codziennie autokar z Mityleny. Zmusił się do sprintu i zbiegł z jezdni na lewo na szeroką półkę zieleni. Gdzieś w dole słychać było dzwonki owiec, a bliżej warkot silnika.

Kiedy Rashid się zbudził, autokar wtaczał się już na wzgórze na spotkanie świtu.

Po chwili dezorientacji, a potem paniki spostrzegł Saidę siedzącą na przedzie. Miała tlenione blond włosy, pochylała głowę, jakby coś czytała. Rashid wyciągnął z plecaka grubą angielską powieść i zaczął czytać. Nie potrafił jednak się skoncentrować, bo co chwila spoglądał na Saidę, żeby sprawdzić, czy wciąż tam jest. Dziewczyna ani razu nie odwróciła głowy.

Autokar długo jechał pod górę, mijając gaje oliwne i nagie wulkaniczne skały, wreszcie dotarł do szczytu i daleko w dole po prawej stronie pojawiło się morze. Potem ruszył po krętej drodze w dół, a w oddali, po drugiej stronie przesmyku majaczyło tureckie wybrzeże. Autokar dwukrotnie zatrzymał się, żeby przepuścić owce, które przechodziły przez jezdnię, i raz zwolnił, kiedy mijał chudego mężczyznę w szortach.

Piat przystanął, wziął się pod boki i odsapnął. Autokar, w którego oknach odbijał się błękit morza, minął go powoli, kierowca zmienił bieg przed następnym wirażem. Piat poczekał, aż samochód przejedzie, i poczuł się zawiedziony, że zrezygnował z dalszego biegu. Pogodził się z tym, wdychając ciężkie, ołowiane spaliny. Poczekał, żeby się rozproszyły, zanim znacznie szybciej mszył w drogę powrotną na dół.

Pięć kilometrów. Wciąż wiele go dzieliło od upragnionego celu w Thermi.

Potem autokar minął nowoczesną stację benzynową, ulicę barów i restauracji, aż wreszcie zatrzymał się na brukowanym placu. Wysoko nad nimi wyrastało stare, otoczone murami miasto, a z drugiej strony, za autokarem i czarnym piaskiem plaży rozpościerało się morze.

Kierowca wstał i krzyknął:

- Molivos! - Powiedział jeszcze coś po grecku i wskazał palcem w głąb ulicy. A po angielsku dodał: - Godzinny postój.

Potem wyskoczył z autokaru i zapalił papierosa.

Większość pasażerów została w środku.

Saida wzięła torbę i wysiadła. Rashid musiał się spieszyć, żeby za nią nadążyć. Kiedy zapakował książkę do plecaka i wysiadł, była już daleko, a jej różowy płaszcz zniknął właśnie w tureckiej bramie prowadzącej na stare miasto. Rashid dobiegł do bramy i spojrzał w głąb uliczki, która skręcała w prawo i rozwidlała się przed kanciastym kamiennym budynkiem. Ani śladu Saidy.

Podszedł do podobnego do klina domu na rozwidleniu dróg i ruszył szerszą z ulic, biegnącą w lewo pod górę tak stromo, że uda rozboleły go, zanim uszedł sto kroków. Droga zwężała się coraz bardziej, pod różnymi kątami przecinały ją uliczki tak wąskie jak w jego rodzinnej Akce. Molivos było labiryntem, stromym labiryntem, ale przypominało mu dom bardziej niż jakiegokolwiek inne miejsce, jakie widział w ciągu trzech ostatnich dni, kroczył więc śmiało przed siebie, przekonany, że nie straci orientacji wśród starej architektury. Podobało mu się to miasteczko. Ludzie kiwali mu głowami, gdy ich mijał, a on kłaniał im się w rewanżu.

Mimo pewności siebie miał świadomość, że jest tu jedynym przyjezdnym.

Rashid zgrzał się podczas wspinaczki, a potem zmarzł i musiał włożyć kurtkę Salema, gdy chłodny wiatr owiał mu spoconą skórę. Co kilka minut spoglądał na zegarek. Przystanął u zbiegu dwóch stosunkowo szerokich ulic i spróbował myśleć jak Saida. Zabrała torbę, zamierzała się tu zatrzymać. I szła, jakby wiedziała, dokąd idzie.

Skręcił w lewo w dół - z powrotem do dzielnicy turystycznej. Przy założeniu, że Molivos jest podobne do Akki, to w dzielnicy turystycznej musiały się mieścić prawie wszystkie sklepy i wszystkie hotele. Szedł nowo wybraną ulicą w poprzek zbocza, przystając co jakiś czas na tarasach, aby spojrzeć w dół. Dwa razy dojrzał rzędy straganów osłoniętych winoroślą. Nie znał winorośli, ale skręcił w następną uliczkę w dół.

Dopiero gdy znalazł się wśród straganów i winorośli, w głębi ulicy zobaczył różowy płaszcz i plecak Saidy. Nosila modne buty, Rashid widział, że wysokie obcasy utrudniają jej marsz po kocich łbach. Dystans między nimi szybko się zmniejszał. Przystanął, żeby obejrzeć wystawę sklepów, ale nawet on się zorientował, że w ten sposób nie ukryje swojej obecności, bo oprócz Saidy był właściwie jedynym turystą na ulicy, ale dziewczyna nie zwróciła na

niego uwagi, ani razu nie obejrzała się za siebie, tylko od czasu do czasu zerkała na karteczkę w dłoni.

Rashid popatrzył na zegarek. Mieli niecały kwadrans na powrót do autokaru, jeśli Saida zamierzała wrócić. Miasteczko było tak opustoszałe, że czuł się zupełnie nieosłonięty, ale póki szła, nie mógł pozwolić, żeby się bardziej oddaliła. Jej nieporadność w odnalezieniu tego, czego szukała, zaczęła go irytować.

Nie przyszło mu do głowy, że celowo włączyła się po mieście.

W domu Piata nie było prysznic, a ciśnienie wody wysoko na zboczu było tak słabe, że stanął na posadzce w kuchni i umył się wilgotnym ręcznikiem. Potem w poplamionym plastikowym kubelku wyprał szorty, aby mieć na jutro znowu czyste ubranie do biegania, przynajmniej według jego standardów. Włożył starą czarną koszulkę polo i jeszcze starsze dżinsy, wsunął stopy w buty, wpakował do plecaka laptopa i butelkę wody, a potem wyruszył na miasto w poszukiwaniu kawy.

Trzydzieści metrów w dół zbocza wszedł do kawiarni. Sergio, jeden z braci, którzy prowadzili lokal, wnosił właśnie krzesła na balkon, który wisiał nad niżej położoną częścią miasta podtrzymywany przez dwie dwustuletnie drewniane belki. Piat upolował stolik z najlepszym widokiem i ostrożnie wsunął się na swoje zwykłe miejsce. Balkon był bardzo mały.

Sergio błysnął uśmiechem.

Piat odwzajemnił uśmiech.

- Tha thela Elleniko, parakalo². - Pierwsze zdanie po grecku, którego się nauczył.

Uwielbiał grecką kawę, gęstą słodką aromatyczną.

Sergio kiwnął głową.

- Effkaristo³.

Piat otworzył komputer i zaczął przeglądać dziesiątki plików, które poprzedniego wieczoru skopiował w kawiarence internetowej na twardy dysk. Skasował wszystkie e-maile, które napłynęły: większość stanowiły spamy, a reszta nie była warta zachodu. Miał mnóstwo zdjęć towarów na sprzedaż w Atenach, ale szybki rzut oka pozwolił stwierdzić, że dla żadnego z nich nie opłacało mu się płynąć do Aten. Kiedy kończył swój dzień pracy, mulisty osad z dna filiżanki oblepił mu zęby i język. Jakimś sposobem prawdziwi Grecy umieli tego uniknąć. Piat uniósł głowę, żeby zamówić następną filiżankę.

² *Tha thela Elleniko, parakalo (gr.) - poproszę kawę (przyp. red.).*

³ *Effkaristo (gr.) - dziękuję (przyp. red.).*

Na dziesięć minut przed odjazdem autokaru Saida skręciła w dół zbocza i weszła do jaskrawo pomalowanej kawiarni z czerwonymi ramami okiennymi i niebieskimi drzwiami. Szyld reklamował po grecku i angielsku czekoladki. Rashid wypatrzył nieopodal warsztat garncarski i przystanął przed nim, obserwując garncarza i oglądając się przez ramię na kawiarnię. Widział Saidę przez okno, różowy płaszcz rzucał się w oczy.

Po schodkach z ulicy wchodziła właśnie dziewczyna w różowym płaszczu. Piat otaksował ją jednym spojrzeniem, od chudych nóg aż po harmonijne rysy twarzy, harde oczy i gęste brwi. Nie była piękna, lecz umiejętne odsłonięcie nóg zrobiło swoje. Uśmiechnął się do niej bez zastanowienia. Wyglądała jak zła Audrey Hepburn. Zabawna myśl.

Dziewczyna też się do niego uśmiechnęła i przeszła przez salę, nie odrywając od niego oczu.

Piat miał się na baczności, jeszcze zanim zbliżyła się do jego stolika.

- Pan Furman? - spytała.

Miała akcent, którego nie udało mu się natychmiast zidentyfikować. Miała też srebrny kolczyk ze złotą kuleczką w pępku, a w ręku lśniąca papierową torebkę ze sklepu z pamiątkami. Na ramieniu niosła ciężki plecak.

- Tak - odparł Piat.

Postawiła przed nim na stole lśniąca torebkę i uśmiechnęła się, wyginając kąciki ust do dołu, a oczy jej błysnęły pod gęstymi brwiami.

- Proszę zaczekać. Zaraz wrócę.

Zostawiła torebkę i odeszła od stolika, olśniła Sergia uśmiechem i spytała, gdzie jest łazienka. Piat przypuszczał, że dziewczyna nie jest w stanie powstrzymać się od flirtowania z mężczyznami. Wydała mu się podejrzana. Nazwiskiem Furman posługiwał się podczas kilku transakcji w Atenach. Tutaj nikt nie powinien go znać. Zastanawiał się, czy nie dać nogi.

Ostatecznie doszedł do wniosku, że ucieczka nie ma sensu, skinął na Sergia i uniósł filiżankę. Paranoja nabyta w dawnej służbie kazała mu wyrzeć przez drzwi na wąską pustą uliczkę, a potem zaczął się wiercić, próbując sobie przypomnieć wszystkich, którzy znali go pod nazwiskiem Furman. Bez sensu.

Przyniesiono mu kawę. Napił się i dwukrotnie zerknął na zegarek. Tyle samo razy pożałował też, że nie ma papierosów, spojrział w głąb uliczki, a potem w stronę portu. Do autokaru wsiadała garstka pasażerów.

Zakurzony dzwonek alarmowy zadźwięczał mu w głowie. Piat wstał, wygramolił się zza stolika, zszedł z balkonu, a potem po kamiennych schodkach do salki na parterze, której w zimie nie używano. Z salki było wejście do cuchnącej łazienki lokalu. Stąd prowadziły również drzwi na uliczkę poniżej. Kiedy Piat pierwszy raz tu przyszedł, dostrzegł w nich potencjalną drogę ucieczki - dawne przeszkolenie kazało mu zwracać uwagę na takie szczegóły.

Oczywiście łazienka była pusta. Dziewczyna zniknęła.

Torebka, którą zostawiła na stole, wydawała się na tyle duża, by pomieścić bombę. Piat wrócił na górę na ostatni łyk kawy i po torebkę. Obmacał ją ostrożnie. Potem dopił kawę. Po namyśle wyciągnął scyzoryk i bardzo powoli odciął dno torebki.

Nie bomba. Tylko dysk kompaktowy w kopercie, do której przyklejono żółtą karteczkę z liścikiem:

„Saida2310@Yahoo.com

Jeśli chcesz to mieć, wystarczy »tak« i się spotkamy”.

Piat chciał się dowiedzieć, czym jest owo „to”, ale wolał nie otwierać dysku na swoim komputerze. Zamknął laptopa, włożył go do plecaka, zabrał torebkę, liścik i zostawił kilka euro dla Sergia. Sergio był Grekiem i mężczyzną, skinął więc podbródkiem w kierunku, w którym oddaliła się dziewczyna, i wzruszył ramionami. Odpowiedziawszy podobnym wzruszeniem ramion, Piat wyjrzał na ulicę i zauważył tylko kilku przechodniów - dwie kobiety idące pod rękę i młodego mężczyznę w granatowej kurtce obserwującego garncarza. Potem wyszedł z kawiarni i ruszył przed siebie.

Rashid stał i czekał. Godzina odjazdu autokaru nadeszła, a potem minęła. Zaczął się bać. A potem mężczyzna, z którym rozmawiała Saida, zbliżył się do wyjścia, spojrzał prosto na niego, a potem oddalił się szybkim krokiem.

Rashid miał wrażenie, jakby żołądek zmienił mu się w pralkę z przeładowanym bębnem. Podejrzewał, że Saida zniknęła, obawiał się tego, ale nie mógł pojąć, jak mogło do tego dojść. Przecież stał przed warsztatem garncarskim, jakby go wmurowało. Instynkt kazał mu iść za mężczyzną, ale wiedziony nadzieją, przystanął przed drzwiami kawiarni i zajrzał do środka. Nie było tam Saidy, były za to schody, które prowadziły do piwnicy. Rashid popędził na róg i zobaczył krętą uliczkę biegnącą obok kawiarni od strony portu, a za nią strome urwisko. Kawiarnia miała drugie wyjście. Saida wydostała się właśnie tędy, stracił ją z oczu na dobre.

Rashid, porzuciwszy wszelką ostrożność, pobiegł z powrotem na róg, a potem główną ulicą, przez turecką bramę. Zerknął w lewo i stwierdził, że autokar odjechał, spojrzął w prawo, i zobaczył szczupłą sylwetkę mężczyzny z kawiarni, który schodził do portu.

Rashid podążył za chudym mężczyzną.

Piat szedł do portu, myśląc o dziewczynie. Była za młoda na profesjonalistkę, uznał, chyba że ktoś wykorzystywał teraz dzieci do tropienia starszych mężczyzn. Ale nie podobało mu się, że znała nazwisko, którego używał, kiedy robił interesy w Atenach, i że znalazła go w ulubionej kawiarence na Lesbos. Ktoś w Atenach, ktoś, z kim robił interesy, za dużo gadał. Przeszedł przez turecką bramę, usiłując wydedukować, kto to mógł być.

Wszystko to mogło oznaczać pułapkę, ale jeśli tak, to była cholernie skomplikowana, a Piat wątpił, by ktoś, kto rzeczywiście chciał go dorwać, zadałby sobie tyle trudu. Lesbos to spokojna wyspa z przestrzegającą prawa ludnością, nie interesowały się nią policja ani służby bezpieczeństwa. Roilo się na niej od przemytników, handlarzy prochami i ciemnych typów, a Piat przypuszczał, że każdy z jego starych wrogów po prostu zgarnąłby go z ulicy albo zastrzelił. Finezyjne pułapki z dorastającymi dziewczynami i szyframi komputerowymi wydawały się zupełnie zbędne.

Mimo to po raz pierwszy od tygodni Piat zatęsknił za papierosem. Stłumił w sobie pokusę i wszedł do kawiarni internetowej. Tutaj też go znali, a w zimie miał cały lokal dla siebie. Zapłacił za godzinę, usiadł przy jednej z maszyn i wsunął CD do stacji.

Stacja zaszumiała. Pojawiło się okienko, z propozycją otwarcia zawartości dysku w różnych formatach. Z okienka dowiedział się też, że na dysku są zdjęcia. Wybrał pokaz slajdów i kliknął myszką.

Stacja znowu zaszumiała. Piat skinął do młodzieńca za barem, prosząc o filiżankę kawy.

Na ekranie pojawił się pierwszy obraz, a pod nim trzy mniejsze. Dysk był prawie pusty, lecz Piat jeszcze tego nie zauważył, bo nie mógł oderwać wzroku od zdjęcia.

Widniał na nim puchar z dwoma uszami podobnymi do skrzydeł.

Puchar miał szeroką podstawę i wąską, stożkową nóżkę, która wznosiła się z gracją do szerokiej czaszy z uszami. Stopka i nóżka były złote, zewnętrzną część czaszy pokryto starożytną techniką emaliowania niello dającą lśniące czarne tło, na którym złociły się i srebrzyły spiralne ornamenty. Gruba złota obręcz brzegu pucharu była pokryta symbolami, wśród scenek przedstawionych w spiralnym wzorze Piat zauważył kolejne symbole.

Fantastyczne.

Piat westchnął cicho i rozejrzał się po kawiarni, sprawdzając, czy ktoś jeszcze nie patrzy na ekran. Stara paranoja. Popatrzył znowu na zdjęcie a potem obejrzał trzy pozostałe - każde przedstawiało zbliżenie jednej z scenek na czaszy.

Mykeński, pomyślał. Widział już kiedyś podobny puchar, w kolekcji Waltersa w Baltimore. Tylko że tamten był gliniany, a ten złoty. Sprzed trzech tysięcy lat.

Nie dopatrzył się żadnych wad w wykonaniu. Na jednej ze scenek mężczyzna z tarczą w kształcie ósemki zamierzał się, żeby rzucić włócznią w innego ciężkozbrojnego mężczyznę. Pancernik się zgadzał, tarcza też. Ten sam mężczyzna w zbroi pojawiał się znowu w innej scenie: na rydwanie. Koła rydwanu miały cztery ramiona. Piat katalogował te szczegóły automatycznie, bo już zakochał się w pucharze. Dopiero po chwili dotarła do niego smutna prawda: puchar musi być falsyfikatem.

Niello. Jak znaleziska Schliemanna w Mykenach, pomyślał. Na świecie było niewielu rzemieślników, którzy mogli stworzyć coś takiego. To nie to co z ceramiką. Kliknął po kolei na wszystkie cztery zdjęcia, szukając śladów zużycia. Czarne tło niello odprysnęło w kilku miejscach, a na powierzchni pucharu widać było wklęsnięcia i bardzo drobne rysy.

Z jednej strony pragnął, żeby puchar był prawdziwy.

Z drugiej strony wiedział, że to falsyfiat.

A do tego dochodziły jeszcze symbole na brzegu. Piat rozpoznał pismo linearne B. Zachowały się tylko trzy albo cztery przedmioty z podobnymi inskrypcjami. To narażało fałszerza na ogromne ryzyko, zwłaszcza że bardzo niewielu uczonych potrafiło odczytać pismo linearne B.

Po półgodzinnym szperaniu w Internecie przekonał się, że większość symboli widocznych na zdjęciach to rzeczywiście pismo linearne B. Inskrypcja, jeśli była to inskrypcja, zaczynała się (albo kończyła) na brzegu pucharu, a potem biegła wokół spiralnego ornamentu aż do podstawy. Spora jej część była niewidoczna na zdjęciach, które otrzymał. Ale widoczna część wydawała się prawdziwa, a przynajmniej fachowo podrobiona.

Piat znał w Atenach faceta, który umiał odczytać pismo linearne B, a w każdym razie tak twierdził. Przechwalał się, że jest jednym z czterdziestu ludzi na świecie, którzy potrafią je rozszyfrować.

Piat napił się zimnej już kawy i wyjrzał przez okno. Jeśli puchar jest prawdziwy, to przedstawia ogromną wartość. Nawet jeśli to falsyfiat, można na nim sporo zarobić. Musiałby tylko popłynąć na dwa dni do Aten, ale i tak miał tam coś do załatwienia.

Wyjął dysk ze stacji i schował w torbie na laptopa. Korzystając z Internetu, sprawdził rozkład rejsów do Aten. Postanowił pojechać popołudniowym autokarem do Mityleny i wsiąść na nocny prom.

Wysłał krótki e-mail na ateński adres IP i podpisał się „Jack”.

Potem pół godziny poświęcił na naszkicowanie pucharu. Oddał tylko pobieżne zarysy scenek w niello i w ogóle nie zapisał inskrypcji. Rysował, używając aplikacji w laptopie i strawił całą godzinę na poprawianie kształtów tak, żeby wymiary mniej więcej się zgadzały. Ponieważ sprawnie rysował ołówkiem, program komputerowy wydał mu się mało poręczny, ale i tak miał sześć godzin do wyjazdu.

Kiedy skończył, napisał krótki e-mail do człowieka w Południowej Karolinie, który kupował cenne zabytki wątpliwego pochodzenia. Wiadomość była celowo niejasna i ogólnikowa, ale dołączył do niej swój szkic. Wykonawszy swoją robotę, dopił zimną kawę, skrzywił się z obrzydzeniem i wyjrzał przez okno.

Zauważył, że młody mężczyzna w granatowej kurtce, którego po raz pierwszy zobaczył, kiedy był u Sergia, kręci się teraz przy kawiarence internetowej.

11.

Tel Awiw

Zanim Dukas przyleciał z Neapolu do Rzymu, żeby wsiąść do samolotu Alitalia do Tel Awiwu, w Stanach Zjednoczonych FBI wszczęło śledztwo dotyczące pobytu Qatiba w USA, Abe Peretz zaś w Tel Awiwie wymieniał się wiadomościami z Dukasem, a także z Waszyngtonem i Neapolem, donosząc, czego się dowiedział - albo nie dowiedział - w Izraelu. Oświadczył, że policja Tel Awiwu współpracuje, a Mossad, po tym, jak Alan narobił rabanu, reaguje, jak należy, i deklaruje pomoc. Na deklaracjach na razie się jednak skończyło i gdy Dukas opuszczał tamtej niedzieli dom w Neapolu, wciąż nie wiedział o udziale Mossadu w całej sprawie nic ponad to, co usłyszał od Craika.

Przelot z Neapolu do Tel Awiwu przez Rzym trwa tak długo jak lot z Nowego Jorku do Londynu, ale pory podróży nie są tak dogodne. Dukas przybył do Tel Awiwu w poniedziałek o czwartej rano, pojechał do hotelu i w skarpetach oraz bieliźnie położył się w czystej,

chłodnej pościeli. Spał jak kamień do ósmej, kiedy zadzwonił telefon z zamówionym budzeniem. Usłyszał nagrany głos, który powiedział mu, która godzina, i oznajmił, że na dworze jest siedemnaście stopni i pochmurno. Dukas warknął do słuchawki:

- Gdzie jestem?

Położył się z powrotem na łóżku i zastanowił się nad tym.

Jeśli jest poniedziałek, to muszę być w Tel Awiwie, pomyślał. Czuł się tak, jakby przez całą noc zaklejał językiem koperty.

Wziął prysznic i wyszczotkował zęby, jak przed wizytą u dentysty, lecz nieprzyjemny posmak podróży pozostał. Na wpół ubrany - w czarnej koszulce polo, czerwonych bokserkach i skarpetkach - usiadł znowu na łóżku i zadzwonił do Trifflera na domowy numer w Neapolu.

- Chciałem sprawdzić, czy jeszcze nie śpisz.

- Za trzy minuty wychodzę do roboty. To nie jest bezpieczny telefon.

- Oczywiście, że nie jest! Gadam z tobą z hotelu. Chciałem, żebyś wiedział, że dotarłem tu bezpiecznie i wszystko u mnie w porządku, bo wiedziałem, że się martwisz.

- Przez całą noc byłeś w naszych modlitwach.

- Dziwię się, że taki temat przedarł się przez boski filtr antyspamowy. Dzwonię, bo myślę, że powinniśmy porozmawiać, kiedy załatwię pierwsze sprawy. Możesz czekać przy bezpiecznym telefonie o dziesiątej twojego czasu?

- Szef dał mi milion spraw do załatwienia.

- Tak, szefowie to dupki. Możesz?

- Będę mógł ci przekazać najnowsze wieści z urzędniczego placu boju. To do dziesiątej.

- Na razie.

Dukas wciągnął na tyłek drelichowe spodnie, które w połączeniu z koszulką polo sprawiały, że wyglądał jak emerytowany pięściarz z nadwagą. Nie wziął ze sobą pistoletu, nie miał więc powodu wkładać marynarki. Wprawdzie w marynarce wyglądałby lepiej, pomyślał, ale bez niej będzie mu wygodniej, a jeśli dobrze pamiętał, w Izraelu marynarki nosiło się równie rzadko jak plastry.

Właśnie miał iść na śniadanie, gdy zadzwonił telefon.

- Tysiąc siedemset czterdzieści sześć - powiedział, podając numer swojego pokoju zamiast nazwiska z ostrożności, która weszła mu w nawyk, choć w tym wypadku była irracjonalna.

- Pan Michael Dukas?

Dukas długo pamiętał i dobrze rozpoznawał głosy. Tego nie słyszał od prawie ośmiu lat, ale wciąż go pamiętał - głęboki, z lekkim akcentem, trochę powolny. Nie umiałby dopasować

do niego nazwiska, ale znał go i natychmiast skojarzył z miejscem, czasem i śmiercią oraz z imieniem, które było może tylko operacyjnym pseudonimem - Shlomo.

- Tak?

- Nie pamięta mnie pan pewnie, ale spotkaliśmy się przed laty w...

- W Bośni, na granicy albańskiej. Shlomo.

Moment wahania, a potem odgłos, który zabrzmiał jak coś między stłumionym śmiechem a westchnieniem.

- Teraz nazywam się Shlomo Eshkol. - Dukas czekał. Czy to ten Shlomo z przymilnym uśmiechem odwiózł Alana do hotelu po porwaniu? - Jestem na dole. Zastanawiałem się, czy moglibyśmy się spotkać.

Dukas zachował rezerwę, chciał, żeby to tamten mówił. Jednocześnie pomyślał, że nawet dobrzy agenci operacyjni używają własnych imion w czasie tajnych akcji, więc może ten naprawdę ma na imię Shlomo.

- Idę na śniadanie. To spotkanie zawodowe, a nie towarzyskie, mam rację?

- Można to tak ująć.

- Nie zepsuj mi śniadania. Zaraz zejść.

Shlomo Eshkol - jeśli tak się nazywał - wyglądał prawie tak samo jak w Bośni, pewnie był trochę bardziej pomarszczony i sterany, chociaż Dukas zapamiętał, że i wtedy zdawał się trochę „zużyty” i miał taką twarz, które jego żona określała mianem „przydeptanych”. Dukas pozwolił mu uścisnąć sobie rękę, a potem dał się przekonać, aby z nim pójść do hotelowej kawiarni.

- Jesteś jednym z facetów, którzy zgarnęli Ala Craika? - zapytał Dukas, kiedy siadali.

- Nie. Jestem jednym z tych, którzy przywieźli go z powrotem do hotelu.

- Czyli jednym z nich, bo należycie do tej samej paczki.

Eshkol ostentacyjnie zmarszczył brwi, lekko wyduł wargi. Faceci często w męskich rozmowach robią takie miny, żeby się czegoś wyprzeć. Uniósł też rękę, jakby chciał odsunąć od siebie zarzut. Dukas złapał go za rękę i odepchnął tak mocno, że Eshkol uderzył ramieniem w stół.

- Nie wciskaj mi tu kitu! To wy, Instytut, zgarnęliście amerykańskiego oficera z ulicy, i nie wymigasz się od tego głupimi minami! To jeszcze nie koniec... ani dla mnie, ani dla rządu Stanów Zjednoczonych.

Zaskoczył go własny gniew, miał satysfakcję, że wreszcie zna twarz winowajcy i może się zrewanżować za poniżenie Craika.

- Nie byłem jednym z tych, którzy go porwali!

- Ale byłeś jednym z tych, którzy po nich posprzątaali, racja? Dla mnie wszyscy jesteście z jednej bandy. - Twarz Eshkola nachmurzyła się, mięśnie zadrgały mu pod skórą, gdy zacisnął zęby. Też był wściekły. Dukas, nic sobie z tego nie robiąc, pochylił się jeszcze bliżej. - W Bośni dobrze się dogadywaliśmy. Myślałem, że jesteś w porządku. Ale w Tel Awiwie już tak nie myślę. Może ci się to nie podobać, możesz się wściekać, ile wlezie. Odejdź, jeśli chcesz. Powiedz szefom, że nie poszło ci tak gładko, jak się spodziewałeś.

Twarz Eshkola stężała, jakby była z betonu. Miał na sobie sportową marynarkę - co przeczyło przekonaniu Dukasa, że mężczyźni nie noszą tu marynarek, tylko że gdy go zobaczył, pomyślał, że Eshkol włożył ją, żeby ukryć spluwę - i teraz Dukas czekał, aż Izraelczyk chwyci za broń. Po kilku sekundach jednak Eshkol uśmiechnął się i zagadnął:

- Wiesz, kto jest moim szefem? - Roześmiał się i spojrzał na Dukasa, jakby właśnie opowiedział dowcip i czekał, kiedy rozmówca go zrozumie. - No?

- Nie bawię się w zgadywanki.

- Bośnia. Facet, który ze mną był.

Dukas pamiętał go dobrze - obelżywego typka, który sądził, że najlepszym sposobem radzenia sobie ze wszystkimi wrogami jest ich zabijanie.

- Myślałem, że pracował dla ciebie.

Eshkol pokiwał głową.

- Teraz ja pracuję dla niego.

Dukas spojrzał na menu.

- Dobra, współczuję ci.

Zobaczył, że restauracja oferuje belgijskie naleśniki, powinny być w sam raz dla Amerykanina w żydowskim kraju.

- Rozumiesz moje stanowisko?

- Takich rzeczy się nie wybacza.

- Takich rzeczy się nie zapomina i nie pozwala się o nich zapomnieć swoim szefom. -

Zamknął menu i rozejrzał się za kelnerem. - Czego chcesz?

- Odświeżyć znajomość.

- Gówno prawda.

- Nie jestem tu służbowo, moi przełożeni o niczym nie wiedzą. Słuchaj, Dukas... próbuję być z tobą szczery. Tak szczery, jak tylko mogę. - Eshkol zajął mu w oczy. - Chcę ci pomóc.

Dukas popatrzył na niego i wzruszył ramionami.

Eshkol poprosił o herbatę, podczas gdy Dukas zamówił naleśniki, kwaśną śmietaną, syrop, kawę, tost z dżemem z genewskich truskawek i o namyśle jeszcze dwa jajka po wiedeńsku. Kiedy kelner się oddalił, Eshkol splótł swoje grube, krótkie palce i kontynuował:

- Pewnych rzeczy nie mogę ci zdradzić. Wiesz, jak to jest. Ale są sprawy, o których mógłbym ci powiedzieć, bo... dobra, będę z tobą szczery... popełniliśmy błąd.

- Czy śmierć Salem Qatiba miała związek z kryptologią?

Izraelczycy korzystali z niektórych amerykańskich szyfrów i oczywiście musieli znać przeszłość Qatiba.

- Nie wiedzieliśmy, że służył w waszej marynarce.

- Palestyńczyk, który był amerykańskim szyfrantem, a wy o tym nie wiedzieliście?

Eshkol westchnął.

- Mieliśmy to w aktach. Ale nikt tam nie zajrzał.

- Nikogo to nie obchodziło.

- Dopóki nie znaleziono zwłok.

Dukas spojrział na niego z dezaprobatą, ale nie doczekał się żadnej reakcji.

- Co mieliście na Qatiba?

- Michael... mogę ci mówić „Michael”, prawda?... Nie chodzi o jakąś jedną rzecz. Qatib był Palestyńczykiem. Miał trefne kontakty w Autonomii Palestyńskiej i Hamasie, ludzie z jego towarzystwa związali się z Fatahem i Hamasem. Chodziło o setki, tysiące różnych czynników.

- Był terrorystą?

- Nie, szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby był terrorystą. Mój szef wolałby go może za takiego uważać, ale to raczej nieprawda.

Dukas spojrział na niego z lodowatą obojętnością.

- Przyjechałem tu, żeby dowiedzieć się, jak i dlaczego zabito Salema Qatiba. Po to tu jestem. Potrzebuję faktów, dokumentów, zeznań. Chcę dorwać ludzi, którzy go zabili. I dopnę swego. - Nie odrywał od Eshkola wzroku. Miał wrażenie, że facet nie jest w stu procentach taki, jaki się wydaje, ale prawdopodobnie mówił prawdę, gdy oświadczył, że chce pomóc. Szkopuł w tym, że ta pomoc musiała się przedzierać przez setki warstw gazy. - Dlaczego go torturowaliście?

- Nie torturowałem go! Michael... uwierz mi. Nie było żadnych tortur.

- Brałeś w tym udział?

- Nie...

- Byłeś przy jego śmierci?

- Tak samo jak z komandorem Craikiem. W obu przypadkach robili to inni ludzie.

- To dlaczego mówisz, że go nie torturowaliście? Nie byłeś przy tym, skąd możesz wiedzieć?

Eshkol mruknął pod nosem, że tortury są w Izraelu zabronione. Kelner postawił przed Dukasem talerze, duży talerz z naleśnikami, mniejszy z jajkami, jeszcze mniejszy z tostem. Obok umieścił rodzaj obrotowej tacki z dżemami, miseczką kwaśnej śmietany, dzbankiem syropu i filiżanką kawy. Kiedy upewnił się, że niczego nie brakuje, postawił przed Eshkolem herbatę i zniknął, a Dukas powiedział:

- Qatib zmarł wskutek tortur.

- Skąd możesz wiedzieć, co było przyczyną zgonu?

- Jeśli Craik mówi, że zmarł z powodu tortur, to ja mu wierzę.

- Dopiero sekcja zwłok może wykazać, czy tak było.

- I właśnie dlatego poprosiłem o ekipę kryminologiczną i dlatego ciało ma zostać przekazane miejscowym glinom, tak?

Eshkol wykonał kolejny gest. Dukas uznał, że Eshkol ucieka się do gestykulacji, gdy nie chce się angażować.

- To kiedy zamierzacie przekazać ciało?

- Nie my...

- Nie twoja sekcja. Nie było cię przy torturach ani przy porwaniu Craika, nie wiesz nic o zwłokach. To za co ci płacą? - Zanurzył kawałek naleśnika w żółtku, podniósł go na widelcu i zaczął wymachiwać nim Eshkolowi przed nosem. - Poprosiłem o ekipę kryminologów, a wasz rząd nie zgodził się, tłumacząc, że jest niepotrzebna. Poprosiłem jeszcze raz. O tym też nic nie wiesz?

Eshkol rozłożył ręce.

- Nie!

Dukas dojadł naleśnika i jajka i zaczął rozsmarowywać dżem na grzance.

- W czym się specjalizujesz?

Eshkol nieznacznie machnął ręką.

- Prowadzę śledztwa.

- Jakie?

- Michael... to ściśle tajne... sam rozumiesz...

Dukas przeżuwał, wpatrując się w niego. Myślał o Bośni. Dwaj Izraelczycy „pomagający” Stanom Zjednoczonym i ONZ w schwytaniu Palestyńczyka, którego w końcu zastrzelili i tak się złożyło, że akurat miał przy sobie walizkę pełną starożytnych monet.

- Finansowe? - spytał Eshkola.

- Śledzenie przepływu pieniędzy, tak, może. Robimy to, jasne.

Dukas postanowił, że musi powierzyć Trifflerowi dziurę w brzuchu w sprawie listy pracowników Mossadu, i zapytał:

- Interesowaliście się Qatibem, bo miał dostęp do pieniędzy? Co, prał brudną forszę dla Autonomii? Zdobywał fundusze?

Eshkol znowu machnął ręką.

- Jak się nazywa twój szef?

- Michael, nie mogę...

Dukas dokończył jedzenie i popijał kawę, patrząc na Eshkola, który zaczął rozprawiać o piłce nożnej. Dukas pozwolił mu skończyć, a potem podjął:

- Powinniśmy jeszcze kiedyś pogadać. Z

Zauważył w drzwiach do kawiarni Abe'a Peretza, pomachał ręką i oznajmił, że musi się zbierać. Peretz zgodził się podwieźć go do ambasady i pomóc w załatwieniu formalności.

Eshkol podążył wzrokiem za spojrzeniem Dukasa i zapytał:

- Znasz go?

- Ma mnie podwieźć.

- Myślałem, że ja mógłbym cię powozić po mieście, Michael. Wprowadziłbym cię w kontekst...

Dukas zapisywał właśnie numer swojego pokoju na rachunku.

- Dzięki, ale nie chcę się znaleźć w tym kontekście.

Wstał. Eshkol podniósł się, ale trochę za późno. Pochylił do Dukasa i poprosił:

- Byłoby lepiej, żeby twój znajomy nie wiedział, kim jestem.

- Przeciwnie.

Dukas przedstawił ich sobie, ale ugiął się i nie wspomniał o Mossadzie. Ale była to pierwsza rzecz, jaką powiedział Peretzowi, gdy rozstali się z Eshkolem. Siedzieli wtedy w samochodzie i jechali do ambasady.

- Pracowałem z nim nad pewną sprawą w Bośni - oznajmił Dukas. - A teraz próbuje mnie zbajerować.

- Mossad dostał od Jerozolimy po łapach z powodu Demarche, przez jakiś czas będą się więc przymilać, ale nie oczekuj zbyt wiele.

- Niczego nie oczekuję. Na jakim etapie jest teraz sprawa ekipy kryminologicznej?

- Ambasador jeszcze raz podpisał się pod twoją prośbą, gliniarze z Tel Awiwu wyrazili zgodę i zaległa wielka cisza.

- Znowu ją odrzuca?

- A czemu mieliby tego nie robić? Przecież za pierwszym razem nie poprosiliśmy o zwrot pomocy rządowej.

- Nie podoba mi się to.

Peretz parsknął śmiechem.

- Czasem zapominam, jak to jest, kiedy przyjeżdża się tu z prawdziwego świata. Musisz pamiętać, Mike, że tutaj wszystko obraca się wokół spraw bezpieczeństwa. Dla tych ludzi zawsze liczy się bezpieczeństwo... albo jego brak, w zależności od tego, jak się na to spojrzy. Ze względów bezpieczeństwa nie widzą specjalnego powodu, by obcokrajowcy badali ciało martwego Palestyńczyka.

- „Obcokrajowcy”, którzy bulą na nich mnóstwo kasy?

- Tutaj nic tym argumentem nie zwojujesz. Tutaj myśli się, że z jednej strony jest Izrael, a z drugiej obcy. Dajemy Izraelowi pieniądze, ale nic za to nie kupimy. Bo to Izrael łaskawie zgadza się przyjmować od nas fundusze.

- Zapomniałem, na czym polega pomoc zagraniczna.

Kiedy Dukasa oprowadzono już po ambasadzie i zapoznano z szefową gabinetu, zastępcą attache marynarki wojennej i automatem do kawy, wskazano mu tymczasowo puste biuro i oznajmiono, że może z niego korzystać. Nie było w nim komputera, kartoteki pozamykano na klucz, a telefon nie działał.

- Potrzebuję STU i telefonu.

STU, czyli *secure telephone device*, było urządzeniem zabezpieczającym telefon przed podsłuchami.

Peretz miał zażenowaną minę.

- Będziesz musiał korzystać z mojego. Względy bezpieczeństwa.

- To zatem nie tylko konik Izraelczyków.

- Od jedenastego września...

Dukas prychnął.

Peretz wręczył mu wydruk komputerowy: plan zajęć Dukasa.

- O pierwszej spotykamy się z przedstawicielami Mossadu. Coś w rodzaju lipnego spotkania polubownego, mają nam przekazać „ważną dokumentację”. Ambasador chce się z tobą zobaczyć o czwartej, a szefowa ekspozytury CIA o wpół do piątej. - Peretz spojrział na niego znad drucianych oprawek okularów. - Boi się, że wkraczamy w jej rewir, po prostu zapewnij ją więc, że to sprawa marynarki.

Położył kartkę przed Dukasem.

Dukas stwierdził, że poza tym jest zaproszony na koktajl o wpół do szóstej i na darmowy pokaz najnowszego filmu z Leonarda DiCapria w kinie ambasady o ósmej. Hurra!

- Chcę się jak najszybciej spotkać z policjantką, która wprowadziła Ala w sprawę Qatiba. Możesz to załatwić?

Peretz potaknął.

Dukas usiadł za biurkiem i zaczął przeglądać stos korespondencji dotyczącej Qatiba i kryptologii. Większość wiadomości widział już w Neapolu, ale musiał przejrzeć wszystko od początku do końca, żeby sprawdzić, ile informacji napływało do ambasady w Tel Awiwie i jak na nie reagowano. Marynarka Wojenna, Narodowa Agencja Bezpieczeństwa (która odpowiadała za szyfry) i FBI dostały kręcka na punkcie kryptologii - znowu miał do czynienia z bliską historii reakcją częstą po jedenastym września. Kiedy przekopał się przez wszystkie dokumenty, doszedł do wniosku, że nikt nie wiedział więcej niż przed trzema dniami, ale za to wielu ludzi było wzburzonych.

- Wyczuwam strach - zwrócił się do Peretza.

- W rodzaju: „Na Boga, nie popełnijmy następnego błędu”.

- Raczej: „Czy mój tyłek jest dostatecznie kryty?”

Nie powiedział, że wyczuł też coś innego: kwaśny smrodek urzędasów wyciągających w panice pochopne wnioski.

O dziesiątej czasu neapolitańskiego zadzwonił z bezpiecznego aparatu do Trifflera, który pokładał się ze śmiechu: najwyraźniej historia dotarła już na Pacyfik, bo Salem Qatib przez trzy miesiące uczył się w Moterey, a potem odbył dwutygodniowy rejs szkoleniowy na pokładzie jednostki wywiadowczej.

- Flota Pacyfiku nieźle się gimnastykuje, usiłując udowodnić, że facet nie mógł się dowiedzieć niczego przydatnego. Słowa „znikoma wartość” pojawiają się trzykrotnie w jednej depeszy. Miło wiedzieć, że szkolenia US Navy stoją na wysokim poziomie.

Dukas opowiedział mu o spotkaniu z Eshkolem.

- Dało mi to do myślenia. Masz tę listę personelu Mossadu?

- Obiecano mi ją na dzisiaj.

- Obiecanki, cacanki. Mamy drobny przełom: pamiętasz, jak mówiłem, że poznałem faceta o imieniu Shlomo? Teraz mówi, że nazywa się Shlomo Eshkol. Brał ze mną udział w pewnej szybkiej akcji w Bośni. Fajny gość, przynajmniej taki mi się wtedy wydawało. Teraz przysiadł się do mnie podczas śniadania, próbował mi „pomóc”, jak się wyraził, ale siedzi w tym po uszy i coś go chyba gryzie. Może poczucie winy, takie rzeczy się zdarzają. Poprosiłem Pigoreau, żeby wydobyl akta tej starej sprawy z Bośni i dowiedział się, o co właściwie

Izraelczykom wtedy chodziło. W tej chwili wiem tylko tyle, że facet, którego ścigali, przemycał starożytne monety.

- Nie widzę związku.

- Zdaje się nie pasować do śmierci byłego szyfranta marynarki, to prawda, ale monety to pieniądze. Może chodzi o pieniądze.

- Może to tylko zbieg okoliczności.

- Nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności.

- Mogę to sobie zapisać?

- Kiedy zdobędziesz tę listę, zleć komuś sprawdzenie każdego Shloma. A sam sprawdź Shloma Eshkola: w szczególności chcę wiedzieć, czy istnieje w ogóle jakiś Eshkol, czy też facet robił mnie w jajo. Potem sprawdź też jego szefa. Zaraz powiem ci jak. Eshkol mówi, że jego szef był poprzednio jego podwładnym, musisz więc szukać kogoś, kto osiem lat temu był szarakiem, a teraz został ważniakiem. Chcę znać jego nazwisko i stanowisko.

- Wiesz, że pracuję tu teraz za dwóch, za siebie i za ciebie? - spytał Triffler cierpiętniczym tonem.

- I idzie ci doskonale. Jak długo już to robisz... dwie godziny? Biedaczysko.

Kiedy mówił Trifflerowi, czego od niego oczekuje, przyszła mu do głowy jedna z tych nagłych, irracjonalnych myśli, które przynoszą albo prawdziwą, iluminację, albo są zupełnie chybione: Eshkol zjawił się w hotelu właśnie po to, żeby Dukas mógł go zapytać o informacje, których teraz domagał się od Trifflera. To znaczy, Eshkol dał mu dwie odpowiedzi - rzekomo prawdziwe nazwisko oraz informację, że jego szefem jest ktoś, kto przedtem był jego podwładnym. Dysponując taką wiedzą prawdopodobnie każdy agent wywiadu zdołałby ich namierzyć. A więc Eshkol chciał, żeby Dukas się dowiedział - a w każdym razie tak się w tym momencie zdawało - że on i jego szef zajmują się czymś, co ma znaczenie dla rozwikłania sprawy śmierci Qatiba.

Może był to efekt podróży samolotem, ale żołądek podpowiadał Dukasowi, że w Tel Awiwie nadszedł czas lunchu, a przynajmniej drugiego śniadania. W trakcie zbierania niezbędnych informacji na ten temat dowiedział się, że choć brakuje tu pięknej architektury, to dobrych restauracji jest w bród. Z miejsca więc zdecydował się na zarekomendowaną przez jednego ze strażników ambasady knajpę o nazwie Susannah, gdzie mógł się opchać mielonymi z baraniny, falafelami i tabule. Kolację, jak się już dowiedział, można zjeść w stu restauracjach, od Spagettim (pięćdziesiąt rodzajów spaghetti), poprzez Kimmel (wieprzowina, boczek, włoska kiełbasa - i to ma być żydowskie jedzenie?), Chimichange (kuchnia

meksykańska, jakżeby inaczej?), do restauracji rosyjskiej, tajlandzkiej, francuskiej, włoskiej (knajpa o nazwie Bellini specjalizująca się w pasta putanesca wydała mu się szczególnie nęcąca) i w dziesiątkach innych czekających w odwodzie.

Perspektywa spędzenia tygodnia w Tel Awiwie zaczynała wyglądać obiecująco.

12.

Tadżykistan

Boeing 747 z leasingu zakołował, schodząc do lądowania, i Alan wyrztał przez porysowane okienko na lotnisko poniżej. Trącił łokciem siedzącego obok Fidela i postukał w pleksiglas. Fidel pochylił się, wyrztał i mruknął:

- Jezu.

- Trochę się tu pozmieniało! - odezwał się Alan, przekrzykując szum silników.

- Cholernie się pozmieniało, komandorze.

Alan znów wyrztał przez okno. Kiedy przyleciał tu po raz pierwszy lotnisko składało się z dwóch skrzyżowanych pasów i terminalu oraz ze skupiska parterowych budyneczków wokół. Teraz oba pasy zostały wydłużone, a trzeci był w trakcie budowy, obok zaś stały dwa prawie gotowe hangary z betonu, dwie nadmuchiwane konstrukcje i rząd przyczep kempingowych. Fidel zerknął jeszcze raz przez świetlik, opadł na oparcie fotela, zapiął pasy i powiedział, pozornie bez związku z tematem:

- Mówiłem panu, że pewien facet zaproponował mi siedemset pięćdziesiąt dolców dziennie, gdybym wrócił tu jako cywil?

Związek był jasny: w Tadżykistanie, Afganistanie, na samej wojnie można było teraz mnóstwo zarobić.

- Zdecydujesz się na to?

- Mam jeszcze dwa lata służby. Może potem. Co pan sądzi?

Fidel znał pasztuński i farsi, jako profesjonalny żołnierz wywiadu był wyszkolony w taktyce bojowej, w użyciu materiałów wybuchowych i broni. Dlaczego nie miałby zarobić trochę grosza jak wszyscy inni w świecie cywilów - oprócz tego, że za całe to przeszkolenie zapłaciła marynarka? Zanim Alan zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Fidel dodał:

- Pan mógłby zarobić znacznie więcej, komandorze.

Zdawał sobie z tego sprawę. Stary znajomy z marynarki, który prowadził teraz agencję ochroniarską składał mu już lukratywne propozycje.

- Znam kogoś, kto bardzo chętnie by pana zatrudnił - oznajmił Fidel.

Taszczyli bagaże wśród niedokończonych ścianek ze sklejki i betonu z nieosłoniętymi prętami zbrojeniowymi, kiedy Fidel wrócił do tematu.

- Nie interesuje pana specjalnie taka praca, kiedy opuści pan marynarkę, prawda, komandorze?

Alan zmarszczył brwi. Szukał wzrokiem kogoś, kto miał po nich przyjechać.

- Chyba rzeczywiście jakoś nie podoba mi się, żeby ktokolwiek robił to w cywilu. - Zmienił ułożenie ręki na uchwycie torby. - Nie bez powodu mówimy o „żołnierzach w służbie obywatelskiej”, ale nie powiedzielibyśmy czegoś takiego o najemnikach.

- Człowiek ma prawo robić jak najlepszy użytek ze swoich umiejętności.

- A marynarka na to pozwala.

- Ale nie za te same pieniądze.

- To już inna sprawa.

Spostrzegł człowieka, który miał ich podwieźć, kapitana piechoty morskiej, z którym już wcześniej pracował. Jakby za obopólną zgodą przestali z Fidelem rozmawiać o wielkich pieniądzach i opuszczeniu marynarki, lecz Alan wciąż; o tym myślał, gdy jechali przez blokady, punkty kontrolne i progi zwalniające ogromnego kompleksu lotniskowego, gdzie jak zgadywał, mnóstwo cywilów, których widział dookoła, wykonywało prace, jakie były zarezerwowane dla wojska. Mówiąc prawie do siebie, ale zarazem na tyle głośno, by Fidel mógł go usłyszeć, zauważył:

- Istnieje dobry powód, dla którego chcemy, żeby ludzie zajmujący się tym co my dwaj, pozostawali pod rozkazami. Muszą być pod nadzorem. Bardzo ścisłym nadzorem.

Myślał o czterech mężczyznach, którzy porwali go w Tel Awiwie na ulicy. Ktoś ich nie dopilnował, pomyślał. Zastanawiał się też nad tym, co powiedział mu Ben.

Oddano im do dyspozycji jedną z przyczep kempingowych, żeby Alan miał gdzie zrobić odprawę. Mieli odlecieć za parę godzin, a on musiał wszystko dokładnie omówić, bo potem się rozdzielali i wsiadali do różnych samolotów. Oprócz Fidela, który miał mu towarzyszyć przez cały czas, w zespole znalazło się dwóch komandosów z SEAL, jeden żołnierz piechoty morskiej i jeden sierżant ze specjalnych oddziałów wojsk lądowych. Wspólnie tworzyli

Oddział Dziewiętnasty, który powołano z myślą tylko o tej jednej akcji, a po jej wykonaniu miał się rozwiązać.

- Cztery dni po jedenastym września prezydent podpisał specjalny rozkaz autoryzujący to, co zamierzamy zrobić. Jest nowy i na samej krawędzi legalności, dlatego chciałbym, żebyście wszyscy zrozumieli, jakie są reguły. - Popatrzył po kamiennych, hardych twarzach. - Nasze zadanie polega na schwytaniu człowieka podejrzanego o związki z Al-Kaidą. Mamy go uwięzić i przesłuchać, a potem przekazać innym służbom.

Nie powiedział im o własnych wątpliwościach i o tym, co usłyszał od agenta Shin Bet w Tel Awiwie. Wcześniej przekazał podejrzaną informację Sztabowi Głównemu i powiadomił o wątpliwościach ze strony Shin Bet, ale w odpowiedzi usłyszał, że to i tak najlepsze dane, jakimi dysponują, i ma przeprowadzić operację. Jeden pułkownik sztabowy podkreślił nawet, że dane pochodzą od Izraelczyków, muszą więc być wiarygodne, dokładnie tak jak przewidział Ben z Shin Bet. Teraz, skrywając własną niepewność, Alan powiedział do czterech mężczyzn przed sobą:

- Operacja wiąże się z naruszeniem suwerenności innego kraju. Czy ktoś z was ma z tym problem? - Twarze pozostały niewzruszone. - Oznacza również porwanie człowieka, który nie jest zamieszany w to, co robimy w Afganistanie. Komuś to przeszkadza?

Sierżant podniósł rękę.

- Był zamieszany w jedenasty września?

- Właśnie tego mamy się dowiedzieć. Znalazł się na liście, bo nasi ludzie uważają, że był zamieszany w ten atak. Jakiś problem?

- Nie.

Ta lakoniczna odpowiedź świadczyła, że chodziło o kwestię uzasadnienia: gdyby akcja polegała na schwytaniu kogoś, kto nie wtykał nosa w nie swoje sprawy, mogły pojawić się wątpliwości, ale porwanie kogoś zamieszanego w ataki z jedenastego września nie wymagało dalszych usprawiedliwień. Reguły - stare reguły sprzed jedenastego września - uginały się i wypaczały pod ciężarem tamtego wydarzenia. Alan nie był przekonany o moralnej słuszności tego punktu widzenia: jeśli się argumentuje, że wstrząsające wydarzenia uzasadniają radykalne działania, to w ten sposób można usprawiedliwić mnóstwo zbrodni. Ale może myślał tak pod wpływem tego, co mu się przytrafiło w Tel Awiwie, może był nadmiernie wyczulony, bo sam stał się ofiarą takich działań. Ludzie, którzy go porwali, czuli się usprawiedliwieni, wiedział to, bo kierowali się względami bezpieczeństwa, w obliczu zagrożenia. Ludzie, którzy się boją robią głupstwa. Odepchnął od siebie myśl, że to, co miał wkrótce zrobić, też jest głupotą a przynajmniej czymś źle przemyślanym, czego konsekwencji

nie sposób przewidzieć. Przypomniało mu się, jak miesiąc wcześniej powiedział Fidelowi: „Jeśli w walce przejmujesz metody wrogów, sam stajesz się swoim wrogiem”. Teraz oświadczył:

- Wy czterej macie do wykonania najtrudniejszą część misji. Schwytnacie tego faceta i sprowadzicie go do Kandaharu, a my go przesłuchamy.

- Gdzie przebywa?

- W Iranie.

Pokazał im na laptopie mapy z CD przygotowanego w Waszyngtonie. Widać było na nich każdą ulicę, każdy dom. Wcześniej człowiek, którego pochwylenie było celem ich operacji, mieszkał w Heracie w zachodnim Afganistanie i przekazywał irańskie pieniądze Sojuszowi Północnemu - ludziom po dobrej stronie, którzy teraz są sprzymierzeńcami Stanów Zjednoczonych - ale analitycy Departamentu Obrony podejrzewali, że przez cały czas pozostawał człowiekiem bin Ladena, a część irańskich funduszy zamiast do Sojuszu trafiła w ręce organizatorów ataku na wieże World Trade Center. W każdym razie tak przedstawiała się paranoidalna wersja zdarzeń. A przynajmniej podejrzenie albo wręcz konfabulacja ludzi w Waszyngtonie, którzy wysłali te informacje Shin Bet, aby potem Izraelczycy przekazali je Sztabowi Głównemu. Teraz podejrzany miał przebywać w Maszhadzie, na terytorium Iranu.

- Polecicie stąd do Aszkabadu, tuż za granicą Turkmenistanu. Turkmeni są po naszej stronie.

- Podobno - mruknął jeden z komandosów z SEAL.

- To ty mówisz po turkmeńsku?

- Tak.

- Nie uważasz, że Turkmeni są po naszej stronie?

- Myślę, że są po naszej stronie, dopóki im słono płacimy. Jeśli sądzi pan, że nie zawiadomią Irańczyków, że tam jesteśmy, to duży błąd.

- Geniusze z Departamentu Obrony mówią, że Turkmeni są po naszej stronie.

Komandos wzruszył ramionami.

- Dalej wszyscy czterej pojedziecie w konwoju ciężarówek. Do Maszhadu prowadzi ważny szlak komunikacyjny, transportuje się nim mnóstwo towarów z Rosji, jest także spory ruch przemytniczy. Na miejscu czeka na was kontakt operacyjny, o którym opowiem sierżantowi Fosce na osobności. Schwytnacie naszego faceta, dacie sygnał i sprowadzimy was z powrotem.

- Czym?

- Helikopterem. CIA umieszcza na tym terenie pasywne detektory promieniowania.

Jeden z ich helikopterów zabierze was przy okazji z powrotem.

- Gdyby zabrali nas także do Iranu, byłoby jeszcze lepiej - zauważył drugi komandos.

- Myślę, że chodzi o zminimalizowanie ryzyka. Irańczycy mają dobry radar.

- No - mruknął sierżant - dostali go od nas. Myślałem, że Irańczycy są teraz naszymi kumplami.

Alan chciał powiedzieć: „To było w zeszłym miesiącu, kiedy ich potrzebowaliśmy”, ale wymamrotał coś o rzeczywistości i irańskiej paranoi.

- Dlaczego ten facet mieszka tak blisko granicy, skoro jest w Al-Kaidzie takim ważniakiem?

- Może to jedyne miejsce, gdzie Irańczycy pozwolili mu się osiedlić. Może chcą, żebyśmy go sobie zabrali.

Tylko że jeszcze niedawno nie byliśmy jednymi z tych, którzy przekraczają granice, żeby kogoś porwać. Teraz jesteśmy, dodał w myślach.

Zaczął omawiać szczegóły akcji, element po elemencie. Fidel rozdał pozostałym fałszywe dokumenty - irańskie i turkmeńskie - a także dolary i miejscowe ubrania.

- Polecicie do Aszabadu jako czterej Amerykanie. Wjedziecie do Iranu jako czterej kierowcy ciężarówek. Kiedy helikopter wysadzi was z powrotem w Aszabadzie, odeskortujecie faceta samolotem do Kandaharu i przekażecie mnie. Na tym wasza misja się kończy.

Sierżant uśmiechnął się niewesoło.

- I wracamy do domu?

Jasne, że tak.

Alan rozdał broń, omówił plan awaryjny, zachowanie się w razie dekonspiracji i łączność. Drugi komandos z SEAL był łącznościowcem, dostał osobny pakiet informacyjny i paczkę wielkości tornistra ze sprzętem komunikacyjnym. Potem wszyscy uścisnęli sobie ręce i powiedzieli do zobaczenia później. Było już ciemno, gdy Alan i Fidel patrzyli, jak samolot z pozostałymi ruszył po pasie startowym, rozpędził się i odleciał. Alan poczuł wewnętrzną pustkę, brakowało mu adrenaliny, pozostał tylko niepokój. Nie podobała mu się ta misja, nie podobało mu się, że przeprowadził odprawę i wysłał żołnierzy na akcję, a sam został na lotnisku. Nie podobały mu się podejrzane ustalenia wywiadowcze, na których musiał się oprzeć.

- Kandahar to gorąca strefa - powiedział Fidel, gdy samolot rozpląnął się w mroku.

- Dość gorąca.

- Talibowie byli tam naprawdę mocni.

- Podobno.

Fidel westchnął.

- Czy podobałoby mi się to bardziej, gdyby płacili mi siedem i pół stówy dziennie?

Morze Egejskie

Prom z Mityleny do Aten płynie osiemnaście godzin. Piat zabrał ze sobą dwie książki, tani nylonowy płaszcz przeciwdeszczowy i laptopa. Młokos w niebieskiej kurtce kręcił się w pobliżu nawet na promie i Piat miał czas, żeby mu się dokładnie przyjrzeć.

Miał również zbyt dużo czasu na przyglądanie się pucharowi. Podczas trzeciej takiej „sesji” uznał, że popadł już w paranoję, i zaczął wydzielać sobie minuty na oglądanie zupełnie tak, jakby chodziło o papierosy. Przetłumaczył kilka wersów Ksenofonta, ale zbyt często oszukiwał, korzystając z komputerowego tłumacza, żeby się czegokolwiek naprawdę nauczyć. Dużo czasu poświęcał na obserwowanie chłopaka.

W instytucji, która szkoli młodych Amerykanów na szpiegów czy też właściwie oficerów wywiadu, kursantów uczy się nadawania przezwisk każdej ze śledzących osób: Marchewka, jeśli facet jest rudzielcem, albo Czarne Skarpety, jeśli gość nosi szorty i ciemne skarpetki. Piat był jednym z absolwentów. Zdążył już nadać swojemu młodemu towarzyszkowi przydomek „Czaruś”. Czaruś był młody, zbyt przystojny, by nie rzucać się w oczy, i miał tendencje do zbliżania się do Piata, gdy zachowanie dystansu byłoby bardziej wskazane.

U wybrzeży Naksos pogoda się pogorszyła i zimny zimowy deszcz chłostał morze i stare wulkany, sprawiając, że pokład widokowy stał się mało przyjemnym miejscem do spędzania długich godzin między sesjami na oglądanie pucharu. Jerry zszedł na dół, zastanawiając się, czy może pozwolić sobie na jedno cygaro i nie wrócić do kopcenia paczki papierosów dziennie. Ostatecznie zdecydował się na alkohol w barze. Czaruś nie poszedł tam za nim.

Piat uległ pokusie i zamówił szkocką. Whisky uderzyła mu do głowy mocniej, niż się spodziewał. Deszcz przyniósł ze sobą wzburzone fale i Jerry wrócił niepewnym krokiem do kabiny, i zaczął zastanawiać się nad tym, że puchar jest pewnie falsyfikatem. Chciało mu się kobiety, ale był zbyt pijany i zmęczony, żeby dopiąć swego. Zasnął ze świadomością, że za dużo wypił.

Dukas i Peretz spóźnili się o pięć minut na polubowne spotkanie z Mossadem, ale nikt nie robił im wyrzutów. Panowała niemal radosna atmosfera, choć zaczęło się poważnie, od szczerych przeprosin ważniaka z Mossadu z powodu nieszczęsnej pomyłki, jaka zaszła w przypadku komandora Craika. Dukas przyglądał się plakietkom z nazwiskami i zdał sobie sprawę, że nikt z obecnych nie ma nic wspólnego z porwaniem Craika - nie było ani Shloma Eshkola, ani faceta, który towarzyszył mu w Bośni, a teraz awansował na jego szefa, ani czterech zbirów, których Craik zapamiętał. Dukas uśmiechnął się krzywo do Peretza, dając mu do zrozumienia: „Mydlą nam oczy”. Pomyślał też, że to był kolejny powód, dla którego Eshkol zjawił się w hotelu - wiedział, jak będzie wyglądać to spotkanie i że żaden z ludzi, którzy mieli cokolwiek wspólnego z wpadką z Craikiem i śmiercią Qatiba, nie zostanie dopuszczony do stołu.

Siedzieli w sali konferencyjnej z dużymi oknami z widokiem na inne duże okna po przeciwnej stronie wąskiej ulicy. Na końcu długiego stołu stał metalowy wózek załadowany pięcioma kasetkami bankowymi. Najwyraźniej trzymano je na koniec jako wielki dar, odpowiednik złotego zegarka dla pracownika przechodzącego na emeryturę, tymczasem zaś ładne dziewczyny uwijały się, z gracją roznosząc kawę, herbatę i tace ze słodyczami, podczas gdy z niewidocznych głośników sączyła się muzyka klasyczna.

- Impreza towarzyska - mruknął Dukas do Peretza.

Mossad oddelegował na spotkanie pięć osób, w tym dwie kobiety. Peretz przestrzegł Mike'a wcześniej, że będą to oficerowie łącznikowi, a nie operacyjni. Troje z nich poznał już wcześniej poprzez swoją pracę, powiedział - mili ludzie, ale poza głównym obiegiem informacji. Facet najwyższy stopniem nazywał się Marcuse i nosił, jakżeby inaczej, garnitur.

Izraelczycy zapewniali po kolei, jak bardzo im przykro i jak bardzo chcą pomóc. Wreszcie Marcuse wskazał rozczapierzoną dłonią wózek z pudłami.

- Oto pierwszy dowód naszego szczerego pragnienia, aby naprawić krzywdy - powiedział. Mówił z akcentem, jakim zwykle posługują się hollywoodzcy aktorzy grający Rosjan. - Wciąż szukamy, ale to pierwsze materiały z naszych archiwów na temat kryptologii, marynarki wojennej i palestyńskiego wywiadu wojskowego.

Dukas z trudem powstrzymywał się od okazania obrzydzenia, bo i wciąż był rozstrojony po podróży i kończyła mu się cierpliwość. Zanim jednak zdążył powiedzieć coś

niedyplomatycznego, Peretz czym prędzej zapewnił, że właśnie na współpracy najbardziej w tej chwili zależy rządowi Stanów Zjednoczonych i obaj bardzo doceniają życzliwość i troskę, jaką Instytut okazał, udostępniając im swoje materiały. Dukas, świadomy, że jeszcze długo po jego wyjeździe Peretz będzie musiał pracować z tymi ludźmi, zmusił się do uśmiechu i powiedział, że naprawdę docenia ich wysiłki.

Wszyscy się uśmiechnęli.

- Jutro powinniśmy mieć więcej materiałów.

- I jeszcze więcej pojutrze, jak przypuszczam - burknął Dukas.

Wszyscy się uśmiechnęli i pokiwali głowami.

- A Salem Qatib? - zapytał Dukas.

Wszyscy popatrzyli na niego uprzejmie, jakby niczego nie rozumieli.

- Przyjechałem, aby zbadać okoliczności śmierci Salema Qatiba. Na razie jednak nie widziałem nawet aktu zgonu.

Marcuse odparł, że to sprawa policji.

- Podobnie jak przekazanie zwłok?

- Tak, tak, oczywiście.

- Wystąpiłem z prośbą o możliwość zbadania zwłok przez zespół amerykańskich specjalistów. Jak posuwa się ta sprawa?

Znowu uśmiechając się, odparli, że to nie ich działka. Trzeba rozmawiać z Ministerstwem Spraw Zagranicznych.

- Cóż, skoro jesteście oficerami łącznikowymi, to proszę dowiedzcie się w moim imieniu, jak wygląda sprawa mojej ekipy kryminologicznej, dobrze? To poważna sprawa. Mój rząd oznajmił waszemu rządowi, jak bardzo poważna, w ostatni czwartek. Czy dobrze się rozumiemy?

Odparli, że oczywiście przekażą, że rząd Stanów Zjednoczonych uważa, że sprawa ekipy kryminologicznej ma pierwszorzędne znaczenie.

Dukas poprosił o schemat organizacyjny Mossadu, ale spotkał się z uprzejmą odmową. Poprosił o listę pracowników Instytutu. Skwitowano to pobłażliwym śmiechem. Poprosił o możliwość przesłuchania ludzi, którzy byli obecni przy śmierci Salema Qatiba. Wszyscy przybrali niewinne miny, jakby chcieli powiedzieć: nie wiemy, o czym pan mówi.

- Jakbym walił głową w mur - mruknął Dukas do Peretza.

W drodze powrotnej do ambasady jechała za nimi furgonetka z pudłami pełnymi dokumentów. Dukas obejrzał się za siebie i pomyślał, że gdyby jakiś palestyński wariat postanowił wysadzić furgonetkę w powietrze, jego śledztwo nic by na tym nie straciło.

- Zasypują nas furą nic nieznaczących papierów - powiedział na głos. - Standardowa procedura operacyjna.

Waszyngton

Ray Spinner przez całe przedpołudnie czekał, aż McKinnon wezwie go na rozmowę w sprawie wysłania kogoś do Izraela, ale żadne wezwania nie nadchodziły. Wymyślił sobie powód, żeby przejść obok gabinetu McKinnona, myśląc, że może faceta nie ma w pracy, ale był: siedział za biurkiem, ze słuchawką przy uchu.

McKinnon podniósł wzrok, lecz jeśli w ogóle Spinnera rozpoznał, to wcale tego nie okazał. Spinner wrócił do swojego boksu i spróbował się zająć innymi sprawami. Czuł się zdradzony, choć wiedział, że tak naprawdę zdradziła go własna pycha. Bo niby czemu McKinnon miałby pochylić się z uwagą nad pomysłem, który pochodzi od - spójrz prawdzie w oczy, Ray - jakiegoś zera?

Wyciągnął z aktówki książkę Leo Straussa i na wszelki wypadek położył ją w miejscu, w którym zobaczyłby ją każdy, kto przechodziłby obok. Popracował trochę, a potem nawet poczytał trochę Straussa - nie mógł zmusić się do tego na dłużej niż piętnaście minut. Nagle zaczął się zastanawiać nad tym, co przeczytał. „Właściwa praca pisarska polega na tym, by przemawiać do pewnych czytelników, a zarazem pozostać niemym dla innych... Właściwa praca pisarska polega na pobudzeniu do myślenia tych, którzy są do tego zdolni...”. Czy oznaczało to również zanudzanie pozostałych na śmierć, bo choć Spinner nie chciał się do tego przyznać, tak właśnie działał na niego Strauss. Czy chodziło o to samo, co gdzie indziej napisał o perswazji? - „Aby spowodować pożądaną zmianę ze strony miasta, nie-filozofów lub tłumu, konieczna i wystarczająca jest perswazja... Niewyrobiony filozoficznie tłum jest poczciwy, a przeto podatny na perswazję”.

Czy oznaczało to propagandę? Czy nie tak właśnie postępował Hitler? Chciał zapytać o to McKinnona, ale oczywiście brakowało mu odwagi, McKinnon mógłby powiedzieć, że skoro Spinner nie rozumie, to znaczy, że się nie nadaje, ergo może zacząć szukać nowej pracy.

Spinner przyniósł sobie lunch ze stołówki i wrócił do boksu przed pierwszą. O pierwszej dwadzieścia pojawił się McKinnon i powiedział: „Chodź”, jakby byli gdzieś umówieni. Jeśli

zauważył książkę Straussa, zapobiegliwie położoną okładką do góry i otwartą, to nie dał tego po sobie poznać. Spinner poderwał się z krzesła i wybiegł za szefem na korytarz, o mało nie przewróciwszy przy tym kobiety, która niosła laptopa i stos papierzysk i która popatrzyła na niego z wyrzutem.

McKinnon zamknął drzwi gabinetu, gdy tylko Spinner znalazł się w środku.

- Rozmawiałem z zastępcą sekretarza - oznajmił. - Chcesz lecieć do Tel Awiwu, tak?

- Cóż... zasugerowałem taki... pomysł...

- Pomysł jest dobry i zły zarazem. Afera z Qatibem narobiła sporo szumu z powodu kryptologii. Podoba nam się przypuszczenie, że może nie chodzi wcale o kryptologię, ale jeśli chodzi o coś innego, chcielibyśmy dowiedzieć się o tym pierwsim. Nawiasem mówiąc, wykonałeś kawał dobrej roboty w kwestii archeologii. Ale z drugiej strony, to zły pomysł, ponieważ nie wysyłamy ludzi za granicę, chyba że na wyższym szczeblu, z oficjalnymi wizytami. Szpiegostwem zajmują się ludzie z agencji. I zobacz, co z tego wyniknęło: jedenasty września. - Usiadł za biurkiem. - Chcesz pojechać?

- Jasne!

McKinnon popatrzył na niego uważnie.

- Po co?

- Żeby poznać całą historię.

- I co będziemy z tego mieli?

- Dowiemy się prawdy, a nie tylko bzdur, jakie serwują nam ludzie z wywiadu.

McKinnon spojrział na kartkę leżącą na biurku, odepchnął ją na bok i powiedział:

- Jakie możemy osiągnąć korzyści? W szerszym kontekście?

Spinner był przygotowany na to pytanie.

- Cóż, głębsze zrozumienie Izraela i jego problemów. Lepszy wgląd w metody finansowania palestyńskich akcji terrorystycznych, co może stanowić krok w kierunku walki z terroryzmem.

- Skupmy się na Iraku.

- Cóż... - Spinner nie rozumiał tak naprawdę, o co chodzi z tym Irakiem, bo dyskusje o tym toczyły się przede wszystkim na wyższym szczeblu. - Tu i tam mamy do czynienia z terroryzmem - zaryzykował.

- Myślisz, że Saddam Husajn finansuje terrorystów palestyńskich, kupując od nich zabytki? - spytał z sarkazmem McKinnon.

- Saddam płaci grubą kasę rodzinom męczenników. A skoro już o tym mowa, niektórzy iraccy oficjele są bardzo zaangażowani w sprzedawanie na lewo skarbów z irackiego muzeum

narodowego. - Spinner sporo się wczoraj dowiedział. - Jestem pewien, że biorąc za to pokazną dółę, ale część z pieniędzy musi trafić z powrotem do irackiego programu zbrojeniowego.

- Ale nie ma to związku z Izraelem.

- Saddam jest największym wrogiem Izraela.

McKinnon odwrócił wzrok, musnął palcem dolną wargę i oparł jedną nogę o biurko. Ma piękne buty, pomyślał Spinner. Za czterysta dolarów, jeśli w ogóle coś za nie zapłacił.

- Jeśli cię wyślemy, to bez tej całej gównianej szpiegowskiej otoczki, rozumiano? - powiedział McKinnon.

Spinner uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Żadnych eksplodujących cygar?

- W ogóle nic. Polecisz tam jako zwykły obywatel, bez żadnych bajerów w rodzaju jednorazowych kodów szyfrowych czy sympatycznego atramentu.

Spinner zmarszczył brwi.

- Z dyplomatycznym paszportem?

- Absolutnie wykluczone! - McKinnon jęknął rozpaczliwie.

- To może w takim razie... fałszywa tożsamość...

McKinnon ściągnął nogę z blatu i pochylił się do przodu tak gwałtownie, że zdawało się, że wyleci zza biurka.

- Nie! Nie mamy takich uprawnień, rozumiesz? Fikcyjne dokumenty muszą być zaaprobowane przez cholerne CIA, a państwowe certyfikaty bezpieczeństwa nie są ważne bez akceptacji Senatu. Gdybyśmy choćby poprosili o jedno lub drugie, cała ogromna biurokratyczna machina wywiadu przerobiłaby nas na mielone. W ciągu dwudziestu czterech godzin mielibyśmy na głowie agentów, którzy przejęliby operację, a my siedzielibyśmy beczynnie na tyłkach i dłubali w nosie!

Spinner nie miał tak naprawdę pojęcia, co to są te „państwowe certyfikaty”, mimo że samo wyrażenie obito mu się wcześniej o uszy. Wiedział natomiast, na czym polega wykorzystywanie fałszywej tożsamości, i zawsze uważał, że to musi być świetna zabawa. Żałował, że go to ominie.

- Masz paszport? - spytał McKinnon.

- Jasne. Jeszcze z czasów marynarki, ale to tylko zwykły paszport.

- Zdjęcie w mundurze?

- Chyba nie.

A może? Nie był pewien.

McKinnon mruknął i się zasępił.

- Zastępca sekretarza pozostawił decyzję o twoim wyjeździe mnie. - Przygarbił się tak, że jego głowa zdawała się teraz wyrastać od razu z tułowia. - Jak wyobrażasz sobie swoją pracę w Izraelu?

- Myślałem, że będziemy mieli... ludzi na miejscu? Agentów?

- Gdybyśmy ich mieli, nie musiałbyś tam jechać!

- Tak, ale są tam ludzie, którzy dostarczają nam informacje. Deborah. Habakuk. Może także inni?

McKinnon ścisnął palcami prawej dłoni wargę i jeszcze bardziej się zasepił.

- O Deborze możesz zapomnieć. Deborah jest prywatnym źródłem Habakuka, nie wolno nam pytać o jej tożsamość.

- W takim razie pozostaje Habakuk.

McKinnon wciągnął przez zęby powietrze i przesunął kartkę tam, gdzie poprzednio leżała.

- Jak myślisz, kim jest Habakuk?

Spinner chciał krzyknąć: „Skąd mam, do cholery, wiedzieć?!” ale wymamrotał tylko, że nie ma pojęcia.

- Właśnie. I o to chodzi. Gdybyś ty albo ktokolwiek inny skontaktował się z nim osobiście, Habakuk straciłby anonimowość.

Westchnął.

- Habakuk sam się do nas zgłosił. A mówiąc ściślej, zgłosił się do kogoś spoza rządu, a ten ktoś skontaktował się z nami... - machnął ręką - ponad pięć lat temu. Jest bardzo oddany, bardzo zaangażowany, ale nie robi tego za darmo. Płacimy za wszystko, co od niego dostajemy. - Podniósł wzrok i popatrzył na Spinnera uważnie. - Nie mamy tu do czynienia z bezinteresownym idealizmem.

- Ach tak. Myślałem, że jest inaczej.

- Też bym tak wolał. Tak czy inaczej, jeśli skontaktujesz się z Habakukiem, będzie nas to kosztowało. Co samo w sobie nie jest problemem... mamy pieniądze w... funduszu... Ale do tego dochodziłaby sprawa przekazania ich i tak dalej. Nie możemy pozwolić, żebyś biegał po Izraelu z półmilionem dolarów w kieszeni.

Roześmiał się.

- Półmilionem!

- Tak się tylko wyraziłem. Chodziłoby raczej o kwotę rzędu kilkudziesięciu tysięcy. Nie ma nic za darmo. Cóż... - Odchylił się do tyłu. - Zobaczymy. To tylko szczegół. No więc.. - Założył ręce za głowę. - Skontaktujesz się z Habakukiem. Co dalej?

- Poproszę, żeby dał mi namiar na ludzi, którzy przemycają zabytki, i na tych, którzy próbują ich powstrzymać.

- Pierwsze niewykonalne, drugie też raczej nie. Habakuk nie zna handlarzy antykami. Jest wykładowcą akademickim. Nie jest w rządzie, tylko w Likudzie. Ma wiele znajomości, może więc by cię z kimś skontaktował, ale niekoniecznie. Co dalej?

- Potem porozmawiam z nimi i postaram się prześledzić losy Salema Qatiba.

- Jak?

- Nie wiem. Z pomocą policji? Widzi pan, myślałem, że będę miał specjalny status: paszport dyplomatyczny, może jakiś list polecający albo legitymację...

- Nic z tego.

Spinner odczuwał coraz większy szacunek dla agencji wywiadowczych i ich maszyny instytucjonalnej. Mogły nawiązywać takie kontakty i zbierać niezbędne informacje, ponieważ miały odpowiednie uprawnienia, środki i narzędzia działania. Gdyby poleciał do Izraela jako prywatny obywatel - a właściwie, turysta - jego możliwości byłyby bardzo ograniczone.

- Może to jednak zły pomysł - powiedział.

Zastanawiał się, jakby sobie poradził w kontaktach z ludźmi, którzy posługują się tylko hebrajskim. Ale w telewizji izraelscy politycy zawsze mówili po angielsku. Fakt, że brzmiało to tak, jakby krztusili się przy tym macą, ale mimo wszystko dało się coś zrozumieć.

McKinnon znów wciągnął powietrze przez zęby i się zamyślił.

- Przypuszczam, że moglibyśmy umówić cię na spotkanie z Habakukiem. Habakuk ma sporo kontaktów, za odpowiednią cenę mógłby ci więc jakoś pomóc. - Tak naprawdę nie mówił do Spinnera, tylko do siebie. - Chciałbym utrzyć trochę nosa Urzędowi w Departamencie Stanu.

Urząd Zbierania Informacji był biurem wywiadowczym Departamentu Stanu.

McKinnon spojrział na Spinnera z nagłym, zaskakująco chłopięcym uśmiechem.

- Wiesz, jaka była pierwsza reakcja zastępcy sekretarza? Powiedział: „Wywal tego faceta!” - Tubalny śmiech McKinnona przetoczył się przez pokój. Spinner się skrzywił. McKinnon przestał się śmiać i dodał: - Potem jednak zaczął mnie przekonywać do tego pomysłu, a w końcu stwierdził: „Co to może zaszkodzić?” - McKinnon spoważniał i pochylił się do przodu, splatając dłonie. - Szkody mogą być ogromne. Jeśli to spieprzysz i przez ciebie wdepniemy w gówno, możesz nie wracać do domu.

- To znaczy, że jadę?

- Nie powiedziałem tego? Tak, jedziesz. - McKinnon po raz trzeci przysunął do siebie kartkę. - Tutaj masz plan podróży. Nie wybierasz się z oficjalną wizytą, więc musisz lecieć

wojskowym transportowcem, a najwygodniej będzie ci w Continentalu. - Przesunął kartkę w kierunku Spinnera. - Weź trochę pieniędzy od Moniki... znasz Monikę? Monikę Od Kasy? Bilet jest opłacony, ale weź sobie tyle, żebyś miał na karcie kredytowej dziesięć tysięcy. Może zapłacisz Habakukowi pieniędzmi z bankomatu. Jeszcze dzisiaj przekażę ci, jak się z nim skontaktować. Upewnij się, że twój paszport jest nadal ważny. - Wstał i się uśmiechnął. - Odlatujesz o siódmej z BWI. Nie pakuj smokingu i nie bierz ze sobą pistoletu - zażartował. - Ale weź Leo Straussa.

A więc jednak zauważył.

Później tego dnia przyszła nowa wiadomość od Habakuka z raportem Debory:

„Amerykanin Michael Dukas, który pracuje dla Służby Dochodzeń Kryminalnych Marynarki Wojennej, pojawił się w Tel Awiwie i interesuje się nielegalnymi wykopaliskami archeologicznymi w związku ze śmiercią Palestyńczyka, ale możliwe, że chodzi też o szyfry amerykańskiej marynarki wojennej. Dukas jest wrogo nastawionym do Izraela antysemitą i może tylko zaszkodzić swojemu krajowi”.

Spinner usiłował porozmawiać z Dukasem od dwóch dni, lecz za każdym razem mówiono mu, że nie ma go w biurze, bo prowadzi jakąś sprawę. Teraz wiedział już gdzie.

Tel Awiw

Dukas dodzwonił się na Uniwersytet Michigan, gdy w Tel Awiwie był środek popołudnia. Odsyłano go od Annasza do Kajfasza, lecz w końcu połączył się z dziekanatem, gdzie kobieta powiedziała mu, że nie udzielają informacji o studentach przez telefon. Prosiłby więc o list na urzędowym papierze, najlepiej podpisany przez jego zwierzchnika. Dziesięć minut później Dukas wykorzystał swoją kurtuazyjną wizytę u ambasadora, żeby opowiedzieć zabawną historyjkę o rygorach śledztwa, a ambasador zrozumiał aluzję i natychmiast oddelegował do sprawy jednego z pracowników. Dwadzieścia minut później Dukas odebrał telefon od samego dziekana, który zaoferował wszelką pomoc i usprawiedliwił się, że nie wiedział, iż chodzi o sprawę bezpieczeństwa narodowego. Dukas doszedł do wniosku, że ktoś z Departamentu Stanu odbył z nim pogawędkę.

- Wasz były student, nazwisko Qatib, Q-A-T-I-B, imię: Salem, jak to miasto w Massachussetts. Tak, Salem Qatib. Studiował u was w roku akademickim 1995-1996. Chciałbym wiedzieć, co studiował i z kim?

Dziekan zapewnił, że wszystko ustali i oddzwoni.

Dukas spotkał się z szefową ekspozytury CIA, która okazała się dynamiczną czterdziestoparolatką o interesującej urodzie. Chętnie poznałby ją bliżej, gdyby nie miał wyrzutów sumienia z powodu żony. Peretz mówił, że kobieta jest z politycznego nadania. Może i tak, ale była energiczna, pracowita i chętnie spędziłby z nią popołudnie na rozmowie o polityce izraelskiej. Może też noc. Było jednak oczywiste, że miała inne sprawy na głowie i prawie na pewno innego faceta. Po kilku minutach pogawędki powiedziała tonem, który świadczył, że chętnie by się go pozbyła:

- Jest dużo szumu wokół pańskiej sprawy. Jak jest poważna?

Dukas nie widział powodu, aby coś ukrywać.

- W tej chwili rzeczywiście zrobił się spory raban. Może jednak wszystko wyolbrzymiono. Może Qatib był tylko facetem, który zadał się ze złymi ludźmi i dlatego stracił życie.

- Bo znał szyfry marynarki?

- Nie wiem. Może tak, ale...

- Ma pan inne przeczucie?

- Po prostu jakoś mi to nie pasuje. Palestyńczycy zainteresowani naszymi szyframi?

Trudno w to uwierzyć. Mossad? W to z kolei łatwo uwierzyć, ale facet mieszkał tu przez pięć lat i zdaje się, że nigdy nie złożyli mu wizyty.

- Jak mogę pomóc?

To zabrzmiało jak rzeczywista propozycja. Dukas był zaskoczony. Chęć współpracy? Chyba skutek jedenastego września...

- Mogę się pani przypomnieć w przyszłości, kiedy zajdzie taka potrzeba?

Na tym zakończyli rozmowę. Na tym etapie Dukas nie wyobrażał sobie, jak mogłaby mu w przyszłości pomóc, ale z drugiej strony...

Dziekan Uniwersytetu Michigan oddzwonił dopiero po siódmej czasu telawiwskiego - w Ann Arbor dochodziła pora lunchu, facet musiał się więc ostro napracować - i powiedział, że ma informacje, o które Dukas prosił.

- Świetnie.

- Pan Qatib przygotowywał się do magisterium z archeologii, ale ostatecznie nie zrobił dyplomu. Chodził na starożytną grekę dla początkujących, wstęp do geologii i na różne zajęcia z archeologii ze szczególnym uwzględnieniem problematyki bliskowschodniej. Czy jakoś panu pomogłem?

Dukas zapewnił, że tak, chociaż było inaczej, bo już wcześniej wiedział, że Qatib studiował archeologię, a w tym akurat momencie archeologia wydawała się raczej martwym tropem. Ale tak samo nieprawdopodobna była kryptologia, co sprawiło, że zadzwonił z bezpiecznego telefonu do swojego szefa w Waszyngtonie, Teda Kassera, żeby przekonać go do powstrzymania Marynarki Wojennej od wymiany kodów, dopóki nie dowie się czegoś więcej.

- Nie sądzę, żeby warto było wydawać sto pięćdziesiąt milionów dolarów, póki nie zbiorę więcej informacji.

Szef Służby Dochodzeń Kryminalnych odparł skrzekliwym głosem:

- Nie chcemy popełnić błędu, Mike.

- Dokładnie o tym mówię: nie chcemy popełnić błędu.

Kasser zachichotał, co zabrzmiało jak pocieranie kredą o tablicę.

- Mamy tutaj skłonność do unikania błędów poprzez sięganie do kasy.

- A my, podatnicy, bardziej jesteśmy skłonni powiedzieć Marynarce, żeby poczekała, dopóki nie zbierzemy faktów.

Kasser znów zachichotał.

- Fakty! A co to takiego?

Miriam Gurion była właściwie w typie Dukasa - duża, po czterdziestce, inteligentna. Kiedy jednak na nią patrzył, nie wyczuwał żadnego odzewu, dlatego uznał, że prawdopodobnie on nie jest w jej typie. Jednym z powodów - jak stwierdził z zaskoczeniem i było to, że po piętnastu minutach z nią i Abe'em Peretzem zauważył, że to Abe jest w jej typie. Może Dukas źle odczytywał sygnały, ale domyślał się, że ma przed sobą dwoje ludzi, którzy bardzo starają się ukryć, że dobrze się znają.

Gdzie w tym wszystkim było miejsce dla Bei Peretz? Dowie się tego później: umówił się z Peretzami na kolację. Jednak zachowanie Abe'a wydawało się dziwne, może zresztą jest tak zawsze, gdy kumpel, który powinien być szczęśliwy w małżeństwie, ma romans. Czy Alan Craik coś o tym mówił? Tak, że Izrael ich skłócił, ale Dukas słuchał go jednym uchem, interesowała go tylko sprawa Qatiba.

- Wydział zabójstw pracuje pełną parą - mówiła właśnie Miriam Gurion. Siedzieli w pokoiku w ambasadzie. - Ekipa zabezpieczyła i zbadała miejsce, gdzie znaleźliśmy zwłoki Qatiba. Mówią, że jest zbyt czyste. Wysprzątane.

- Pani Gurion kieruje dochodzeniem - wyjaśnił Peretz.

Siedział tak daleko od niej, jak tylko się dało bez opuszczania pokoju. Dukas usadowił się między nimi.

- Chciałbym obejrzeć to miejsce - powiedział Dukas.

- Przecież mówię, że jest czyste. Kiedy te zbiry z Mossadu porwały komandora Craika i mnie, ktoś na górze... - wskazała ręką sufit - skontaktował się z samym komendantem i kazał mu ukreślić sprawie łeb. Zdążyłam zadzwonić na Dizengoffa i poprosić o ekipę techniczną. Była już w drodze. Między innymi dlatego są dla mnie teraz tacy mili: mają Mossadu powyżej uszu, jeden facet powiedział mi, że ekipa była w połowie drogi do Jaffy, kiedy dostała rozkaz powrotu. Gliniarze nie lubią takich rzeczy.

- I tak chciałbym zobaczyć to miejsce. - Dukas siedział pochylony do przodu, z przygarbionymi plecami i splecionymi rękami. Był już bardzo zmęczony, ale wciąż potrafił się skupić. - A co z tymi agentami Mossadu, którzy panią porwali?

- Czary-mary.

Dukas spojrzał na nią pytająco.

- Zniknęli - odparła. - Rozpłynęli się w powietrzu.

Dukas popatrzył na swoje dłonie. Chciał przebrnąć przez to, nie popadając w oskarżycielski ton, zwłaszcza jeśli ją i Abe'a rzeczywiście coś łączyło: nie chciał zasugerować, że koleżanka po fachu nie zna się na swojej robocie.

- Jest pani pewna, że byli z Mossadu? - zapytał.

Nastroszyła się, ale nie zaczęła wrzeszczeć ani pluć.

- Oczywiście.

- Skąd ta pewność?

Zmrużyła oczy.

- Mówili, że są z Mossadu. Ostrzegali mnie, co Mossad może zrobić, jeśli będę prowadzić dalej śledztwo. Wiem, jak te dupki działają!

- Dotarli tam bardzo szybko - zauważył Dukas - skoro zdążyli was zgarnąć.

- Cóż... Byliśmy z komandorem Craikiem w bazie przez jakieś pół godziny. A więc nie aż tak szybko.

- Skąd przyjechali? Ruch uliczny w środku dnia... łatwo jest się dostać do Jaffy?

- Cóż... - Zerknęła na Abe'a Peretza, jakby już z nim o tym rozmawiała. - Mossad jest rozproszony po całym Tel Awiwie. Często nie wiadomo, że ma się do czynienia z ich agentami, bo siedzą w prywatnych przedsiębiorstwach, w firmach o ładnie brzmiących nazwach. Mogli być tuż obok.

- Dlaczego, pani zdaniem, wykorzystali tę walącą się bazę wojskową do ukrycia zwłok?

Znowu spojrzała na Peretza, zanim odpowiedziała:

- Miałam nadzieję, że dowiem się tego od ekipy technicznej. Niestety nic z tego.

- Mówiła pani Craikowi, że wykorzystali to miejsce już wcześniej. Dwa lata temu, ukryli zwłoki innego mężczyzny, a teraz spreparowali dokumenty dotyczące Qatiba na podstawie akt tamtej sprawy. W obu przypadkach sprawcy są ci sami?

- Cóż... - Zdawała się zakłopotana. - Sprawdzamy, jakie inne instytucje miały siedziby w bazie. Możliwe, że... - Wzruszyła ramionami. - Wszystko znalazłoby wyjaśnienie, gdyby okazało się, że Mossad był już na miejscu.

- To mój pomysł - powiedział Peretz. Potem wytłumaczył się pośpiesznie, jakby zrobił coś złego: - Sierżant Gurion i ja odbyliśmy kilka rozmów telefonicznych na temat tej sprawy.

- Odczekał, odchrząknął i wymamrotał: - Przyszło mi do głowy, że może agenci byli w bazie, bo mają tam siedzibę.

Miriam Gurion wtrąciła:

- Dwa lata temu ofiarą był gangster, wiedzieliśmy, kto to taki, wiedzieliśmy, co zrobił. Wydawało się dziwne, że wylądował akurat tam, ale było to możliwe. Kiedy wszczęliśmy śledztwo... wkrótce dostaliśmy z góry rozkaz, że mamy je zamknąć.

- Craik mówił, że zna pani człowieka, który jest dowódcą bazy w Jaffie.

Oblała się rumieńcem, który zniknął aż pod dekoltem.

- Poznałam go, kiedy prowadziłam tę starą sprawę.

Wiarygodne - chyba że z nim także sypia? Albo sypiała, pomyślał Dukas.

- Czy on też uważał, że to mogła być robota kogoś z wewnątrz.

Popatrzyła na niego. Nie starała się odwrócić wzroku. Ale nic nie powiedziała.

- Jak dobrze go pani zna?

Zerknęła na Peretza.

W porządku, jeśli sypiała z tamtym gościem, to nie przyznała się do tego Abe'owi, pomyślał Dukas i postanowił nie drążyć w tej chwili tematu. Zapytał tylko:

- Dwa ciała... w tym samym miejscu? Pierwsze też znaleziono w dawnym składzie amunicji?

Potaknęła.

- Powiedziano nam, że zwłoki znaleźli na obrzeżach bazy i przenieśli do bunkra, bo tam było chłodniej. Podobno zwłoki leżały tuż za ogrodzeniem, na tyłach bazy, teren jest dosyć duży. Leżały tam przez kilka dni, zanim je znaleziono, przynajmniej tak mi powiedziano. - Poszperała w torebce i wyjęła miętowego cukierka. - Myślałam, że postrzelono go za

ogrodzeniem, przeczołgał się na dragą stronę i skonał. - Obróciła miętówkę w ustach. -
Właśnie tak miałam myśleć.

- Teraz już pani tak nie myśli.

- Teraz nie wiem, co myśleć. - Znowu posłała mu to szczere spojrzenie, jakby przyznawała się do własnych słabości i pozwalała mu wyciągnąć wnioski. - Nie było żadnego powodu, żeby łączyć martwego gangstera z Mossadem. Dopóki nie nadszedł rozkaz wstrzymania śledztwa.

- A teraz?

Pokręciła głową.

- Sprawa jest wciąż otwarta, przydzieliłam do niej dwóch ludzi, może czegoś się jeszcze dowiemy. Tamten zabity nie był Arabem. Żadnego związku z Qatibem. Ale może miał związki z Mossadem. Mógł być na przykład informatorem, który zrobił się nerwowy.

Wszyscy zamilkli. Po jakimś czasie Dukas powiedział:

- Faceci, którzy zgarnęli panią i Craika, byli głupi. Może to jest ten wspólny mianownik: że są głupi.

- Mossad nie jest głupi.

- Może nie są z Mossadu.

- Są. Kiedy uderzy się w stół, nożyce się odezwą a w tym wypadku odezwał się Mossad. Dukas odchylił się do tyłu.

- W Stanach Zjednoczonych mamy ludzi, którzy pracują dla agencji wywiadowczych na zlecenie. Zwykle służyli kiedyś w SEAL lub innych jednostkach specjalnych. Zdarza im się robić głupoty, jeśli działają w terenie. Bez nadzoru. Wy też macie takich ludzi? - Wiedział, że mają. Już Al Craik to zasugerował. - Może postarałbyś się użyć swoich wpływów i dowiedzieć się, kogo Mossad ma na kontraktach, ale na wyciągnięcie ręki? - Zwrócił się do Abe'a, a potem znowu zapytał Miriam Gurion: - Mogłaby pani uzyskać informację od swojego przyjaciela, czy ma kogoś takiego na terenie bazy, prawda?

- Nie lubię wykorzystywać przyjaciół.

- Już go pani o to pytała?

Popatrzyła na niego, dając do zrozumienia, że tak.

- Bardzo się boi - przyznała niechętnie.

Dukas powiedział najdelikatniej, jak potrafił:

- To teraz sprawa policji.

Spojrzała na Abe'a, odwróciła wzrok i znowu zagłębiła rękę w torebce.

- Sądzę, że ktoś odbył z nim rozmowę. To tylko domysł.

Dukas czekał.

- Myślę, że powinna pani poprosić go, żeby przyjechał do centrum.

Skrzywiła się.

Później, kiedy się uspokoiła, a Dukas przestał pytać o faceta, z którym - był teraz pewien - miała dawniej romans, powiadomiła ich, że policja ustaliła, iż Salem Qatib miał w Izraelu dziewczynę. Trwały teraz jej poszukiwania, a Miriam była przekonana, że za parę dni ją znajdą. Zapytała więc, czy Dukas chciałby z nią porozmawiać?

- Jasne! Tak i jeszcze raz tak.

- Może dowiemy się czegoś ważnego.

- To by była miła odmiana.

Bahrajn

Rose Craik zdjęła buty i ułożyła się ze stopami w górze, delektując się guinnessem zmieszany pół na pół z włoskim piwem. Była to nagroda za to, że jest w ciąży i czuje się przepracowana. W ambasadzie miała tego dnia urwanie głowy, attache wyjechał do Rijadu, a ona oprócz wykonywania własnej roboty musiała go zastępować. Teraz dzieci jadły, a Rose miała dziesięć minut dla siebie.

Zadzwoniła więc do Leslie Dukas.

- Cześć, mam wolną chwilę i pomyślałam, że się odezwę. Jak tam ciąża?

- Czuję, jak brzuch mi rośnie. Czy zawsze ma się wrażenie, jakby się ważyło sto kilogramów?

- Nie, potem masz wrażenie, że ważysz dwieście. Jakies wieści od Mike'a?

- Tak, ale sama rozumiesz...

- To nie to samo co facet w łóżku.

- Właśnie.

- Al oczywiście się nie odzywał, ale w piątek powinien być już z powrotem.

- Nadal jesteśmy umówieni na sobotę?

Craikowie wybierali się do domu na miesięczną przepustkę, lecieli przez Neapol i umówili się na kolację z Leslie i Mikiem Dukasami.

- Jeśli wszystkim uda się dotrzeć na czas. Tak przy okazji, my stawiamy.

- Pomyślałam, czyby nie zaprosić także Carol Triffler z mężem. Oboje są bardzo mili. Ale lepiej umówmy się, żeby każdy płacił za siebie, jeśli ma być tyle osób.

- Czyżby Triffler też dokądś wyjechał?

- Nie, prowadzi biuro na czas pobytu Mike'a w Tel Awiwie.

- No to przynajmniej będziemy miały jednego faceta. Ale to my stawiamy. Alan chce, żebyśmy wszyscy poznali uroki restauracji, w której bywał w dzieciństwie, nazywa się Dante e Beatrice. Podobno bardzo neapolitańska.

- O Boże... jeden facet i trójka dzieciaków. I dwa następne w drodze.

- Zapowiada się miła imprezka. Neapolitańczycy uwielbiają rodziny.

Posprzeczały się jeszcze trochę o to, kto będzie płacił, lecz Alan zostawił dość surowe instrukcje, bo mieszkał kiedyś w Neapolu i znał dobre knajpy, a Mike i Leslie jeszcze nie mieli takiego rozeznania, ponieważ niedawno przyjechali. Ot, zwyczajna rozmowa przyjaciółek umawiających się na kolację podczas weekendu, pomyślała.

Tylko czy jej mąż wróci na czas z Afganistanu, a Mike Dukas z Tel Awiwu. A ona sama czy przetrwa jakoś ten tydzień; jest w ciąży i czuje się przepracowana. Położyła się do łóżka i zapadła w głęboki sen, śniąc o odpowiedzialności i egzaminach, do których nie przygotowano jej na żadnym kursie.

W Tel Awiwie było wtedy po trzeciej w nocy, Mike Dukas zdążył już wrócić z kolacji z Peretzami i rzucić się z rozkoszą na łóżko. Na Morzu Egejskim mijała druga, a Jeny Piat leżał pogrążony w pijackim śnie w swojej kabinie. W Afganistanie było po piątej rano, wschodnie niebo zaczynało się właśnie rozjaśniać, Alan Craik chrapał w śpiworze ułożony na słomie. W tym samym czasie Ray Spinner podsympiał na fotelu w samolocie lecącym do Tel Awiwu, seans filmowy już się skończył, przygaszono światła, a obsługa była coraz bardziej zmęczona i ledwie mogła zdobyć się na uśmiechy.

Tego dnia izraelski pocisk raketowy zabił na terytorium okupowanym wpływowego działacza Hamasu. Izraelscy żołnierze zabili pięciu Palestynczyków.

13.

Ateny

Piat obudził się z wrażeniem suchości w ustach i stwierdził, że w laptopie wyczerpała się bateria. Wypił trochę wody z butelki, wziął prysznic, poszedł do restauracji i zmusił się, żeby coś zjeść. Za oknami deszcz bił o falochron u wejścia do pireuskiego portu.

Pireus był kiedyś osobnym miastem, na tyle oddalonym od Aten, że miasta toczyły między sobą bitwy. Z miejsca, z którego patrzył Piat, oba ośrodki zlewały się w jedną wielką aglomerację, obejmującą ruchliwy, brudny port i las żuraw i przeładunkowych na pierwszym planie, szpetne betonowe bloki na pobliskich wzgórzach oraz ateński Akropol wznoszący się niczym ziemia obiecana w oddali, ledwo widoczny w strugach deszczu.

Jerry czekał w restauracji nad drugą filiżanką kawy i celowo zszedł na ląd późno, narażając śledzącego go amatora na ujawnienie się albo zgubienie go w tłumie na pirsie.

Piat miał tylko jedną niedużą torbę i niósł ją przewieszoną przez ramię, był ubrany w stary wełniany sweter i paskudny żółty płaszcz przeciwdeszczowy. Przeszedł po trapie bez konieczności czekania w kolejce. Kiedy znalazł się trzy pokłady niżej bliżej wyjścia, zobaczył tylko Czarusia i dwóch Amerykanów z ciężkimi bagażami.

Na nabrzeżu zostały już tylko trzy taksówki. Piat wybrał pierwszą z brzegu, wgramolił się do środka i zaczął się targować o stawkę, żeby poćwiczyć grekę. Kiedy słuchał taryfiarza, zauważył, jak Czarus wsiada do następnej taksówki, i uśmiechnął się do siebie.

Ruch uliczny był większy, niż Piat się spodziewał. Podzielił się tym spostrzeżeniem z taksówkarzem.

- To przez olimpiadę - powiedział taryfiarz, jakby to wyjaśniało, że sznury skuterów mijają ich z obu stron.

- Igrzyska olimpijskie są dopiero za trzy lata.

- Nie zdążymy się przygotować. Ech, to miasto.

Kierowca machnął ręką, wyrażając pogardę dla ateńczyków.

- A pan skąd jest? - spytał Piat.

- Z Aten! Od zawsze z Aten. - Taksiarz się rozpromienił. - Podobają się panu Ateny? Był pan tu już kiedyś?

Resztę podróży Piat słuchał opowieści o cudach Aten. Od czasu do czasu zerkał do tyłu, żeby przekonać się, że jedna z piruskich taksówek ciągle za nimi jedzie. Piat nie podejmował z reguły prób zgubienia ogona. Przeszedł twardą szkołę i wiedział, że w większości przypadków ucieczka prowadzi tylko do zdenerwowania inwigilatorów i wzmożenia ich czujności.

W tym jednak przypadku śledził go samotny młody człowiek, który był na dodatek zupełnie niedoświadczony. Piat obserwował go od dwudziestu godzin i czuł, że dobrze go zna. Korciło go, żeby wysiąść z taksówki przy stacji metra i prysnąć, ale był zbyt leniwy, a poza tym nie upatrywał w Czarusiu żadnego zagrożenia. Wsiadł więc w pobliżu starożytnej Agory, znalazł kafejkę internetową i podłączył laptopa do sieci. Kiedy płacił za usługę i korzystanie z prądu, przyglądał się, jak Czarus wsiada z taksówki. Piata kusilo nawet, żeby mu pomachać, bo chłopak nie mógł go znaleźć. Ściągnął na komputer pocztę elektroniczną. Czarus wreszcie go dostrzegł, wyraz ulgi na jego twarzy było widać mimo deszczu. Piat obserwował chłopaka, gdy ten skierował się do budki telefonicznej. Bez wątpienia dzwoni do dziewczyny, pomyślał Piat i skasował oferty sprzedaży viagry, zachodząc w głowę, w jaki sposób konsorcjum nastolatków zdobyło tak wyjątkowy przedmiot jak złoty puchar.

Ostatni e-mail był tym, na którym mu zależało. „Barry”. Znajomy z ateńskim adresem LP odpowiedział niecałą godzinę temu. Piat przeczytał wiadomość i spojrział znad ekranu na Czarusia, który wciąż rozmawiał przez telefon, w strugach deszczu spisując coś na kartce.

Piat zamknął laptopa, włożył go do torby i naciągnął na grzbiet płaszcz. Pora zgubić Czarusia. Niecałą przecnicę dalej była ruchliwa stacja metra. Zostawił jeden euro na stoliku i ruszył do wyjścia. Z przyzwyczajenia przystanął w drzwiach i omiótł wzrokiem Agorę.

Jeden z wysokich Amerykanów z promu stał po drugiej stronie placu. Piat zawahał się na ułamek sekundy, choć już kierował się w stronę stacji. Przestał przyglądać się wysokiemu mężczyźnie. Już wcześniej miał wrażenie, że facet obserwuje Czarusia, i stwierdził, że jest to zawodowiec. Zarzucił więc plecak na ramię i ruszył pod górę w labirynt uliczek, które tworzyły najstarszą dzielnicę Aten. Szedł w kierunku Akropolu jak każdy zwyczajny turysta.

Okrążył Agorę, przystanął, żeby obejrzeć pozostałości rzymskich wysiłków, aby poprawić dekadencją architekturę hellenistycznych Aten, a potem zostawił ruiny za sobą i skręcił w prawo między sklepiki z kopiami zabytków, maszerując szeroką ulicą. Po obu

stronach miał zamknięte restauracje z krzesłami ustawionymi na mokrych stołach. Ulica była prawie wyludniona i Piat stwierdził, że sam jest sobie winien.

Wybrałeś niewłaściwą część miasta, staruszkule, pomyślał. Mógł pojechać taksówką do śródmieścia i znaleźć się w międzynarodowym centrum biznesowym, ale był zbyt leniwy.

Czaruś skradał się tuż za rogiem. Piat przestał się nim interesować. Wątpił, by wysocy mężczyźni i Czaruś stanowili jedną drużynę. Był to jednak domysł, na który nie postawiłby swojego życia, od czasu do czasu więc, gdy skręcał, zerkał na Czarusia, a jednocześnie planował następny ruch.

Lało tak bardzo, że miał teraz mokre nogi. Dzień był paskudny, nie zaskoczyło go więc, że główna droga na Akropol jest pusta, a jedynymi ludźmi, jakich spotyka, są sprzedawcy w trzech kioskach z mapami turystycznymi. Zatrzymał się i kupił jedną z nich, drogą mapę powleczoneą przezroczystym plastikiem. Czaruś przystanął i utkwiał wzrok w ścianie. Mignięcie wysokiej sylwetki sto metrów w dół zbocza wskazywało, że Amerykanin wciąż tam jest, Piat przezwał go Żołnierzykiem ze względu na oliwkowoburą kurtkę w wojskowym stylu. Potem Piat owinał się szczelniej płaszczem, żałując, że nie wziął rękawiczek, i wpatrzony w mapę ruszył pod górę, pokonując ostatni, najcięższy odcinek drogi na Akropol.

Zawodowcy nie weszliby za nim na Akropol. Gdyby naprawdę go śledzili, uformowaliby na dole krąg „bańkę”, i poczekaliby, aż zejdzie. Akropolis było pułapką, wchodziło się tam i schodziło tylko jedną drogą, o czym przekonali się liczni najeźdźcy w ciągu ostatnich trzech tysięcy lat. Piat opracowywał plan podczas wspinaczki.

Minął kioski z biletami, zapłacił kosmiczną sumę za wstęp i ruszył po schodach na górę. Teraz wreszcie pojawili się ludzie. Nie tylu, ilu by sobie życzył, ale dość dużo. Dwie wycieczki szkolne i tuzin dorosłych. Wspinając się po schodach, zagał rozmowę ze szkolnym nauczycielem. Zazartował na temat swojej kiepskiej greki i natychmiast zaskarbił sobie sympatię rozmówcy.

Czaruś wspinał się za nim, sam.

Piat nie tracił czasu na szukanie Żołnierzyka ze szczytu. Przeszedł przez muzeum, przystanął zadziwiony, spojrzął znowu na mapę i zatęsknił za papierosem. Wyrzucając z siebie rwący potok greckich słów, nauczyciel biadał nad brakującymi częściami fizyku partenońskiego. Piat rozumiał go, ale musiał ruszyć dalej. Deszcz zelżał, siąpiła już tylko zimna mżawka.

Piat wołałby rześnistą ulewę, która ograniczyłaby widoczność, ale nie porzucił swojego planu. Przypuszczał, że Żołnierzyk ma kumpli i że wszyscy śledzą Czarusia. Gdyby hipoteza

okazała się błędna, Piat miał w zanadru drugi plan. Jeśli natomiast by się potwierdziła, zamierzał zidentyfikować całą ekipę, a następnie zniknąć.

Naciągnawszy na głowę kaptur, wbiegł po schodkach, potem wokół paskudnych rusztowań zasłaniających Partenon i po schodach w dół od strony portyku.

Jak się spodziewał, jego nagłe opuszczenie muzeum sprawiło, że Czarus został daleko w tyle. U podnóża schodów skręcił w lewo, w kierunku starożytnych amfiteatrów. Przeszedł przez labirynt ścieżek i drzew, z dala od Plaki i wkroczył na najszerszą drogę. Dokładnie tam, gdzie się tego spodziewał, dostrzegł potężnie zbudowanego mężczyznę w czerwonej goretexowej kurtce. Uważnie przyglądając się ścieżce, którą właśnie przeszedł Piat, rozmawiał przez komórkę. Mówił po hebrajsku.

Mam cię, pomyślał Piat, minął go i skręcił na schody między amfiteatrami. Gdy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku Czerwonej Kurtki przy minach Teatru Dionizosa, zdjął płaszcz, zwinął go i włożył do plecaka, ani na chwilę nie zwolniwszy przy tym kroku.

Zwolnił dopiero, gdy stał się znowu widoczny dla Czerwonej Kurtki, lecz Izraelczyk obserwował Czarusia, który pojawił się u podnóża schodów na Akropol i rozglądał się dookoła. Piat ruszył pod górę. Deszcz przestał mu już przeszkadzać.

Skręcił na północ nową ścieżką, przechodząc zaledwie pięćdziesiąt metrów poniżej miejsca, gdzie znajdował się Czarus. W ten sposób zrobił pełne koło i był gotów zejść z powrotem ze wzgórza Akropolu tą samą drogą, którą wszedł. Kiedy dotarł do bramy, zobaczył Żołnierzyka stojącego nieopodal z nogą opartą o betonową ławkę. On też obserwował Czarusia. W dłoni trzymał komórkę.

Piat minął go i szedł dalej aż do miejsca, gdzie główna droga schodziła do Plaki. Serce waliło mu od adrenaliny, ale z satysfakcją stwierdził, że pomimo szybkości, z jaką pokonał trasę na Akropol i z powrotem, nie dostał zadyszki. Bez pośpiechu zszedł po zboczu, mijając trzy kioski, gdzie wcześniej kupił mapę, a potem pomaszerował prosto przez Plakę, rozglądając się uważnie.

Spodziewał się jeszcze trzeciego człowieka, a nawet czwartego. Trzeciego zobaczył na szczycie wąskich schodków do rezydencyjnej części Plaki, mężczyzna palił papierosa. Piat musiał przejść niecały metr od niego i zapach dymu pozostał mu w nozdrzach jeszcze długo.

Piat potrafił odczytywać zachowanie zespołu inwigilującego tak, jak doświadczony rozgrywający umie odczytywać zachowanie obrony. Tę grupę, z którą się teraz zetknął, stanowili profesjonaliści, ale było ich za mało poza tym w ich zachowaniu dominowała dziwna kombinacja rozleniwienia i irytacji. Miał pewność, że Czerwona Kurtka mówił po hebrajsku. Jednak prawdziwy zespół Mossadu liczyłby sześciu, a nawet dziesięciu ludzi, i

trzymaliby się znacznie dalej od ściganego. Piat potrafił zrozumieć, że zachowanie Czarusia może prowokować rozleniwienie, lecz nauczyciele Piata mówili, żeby zawsze zachowywał się tak, jakby zagrożenie mogło okazać się realne, teraz sam stanowił takie zagrożenie. Ten zespół nie był jednak na to przygotowany.

Mimo to Piat nie zamierzał popadać w pychę. Po starych, śliskich schodach o stopniach zbyt wygładzonych milionami stóp, by pozwalać na gwałtowne ruchy, zszedł na malutki plac, gdzie rosło jedno drzewo. Tabliczka pod drzewem oznajmiała, że Wenecjanie wykorzystali plac do ustawienia swojej armaty odtylcowej w 1683 roku. Przypuszczał, że armata musiała być bardzo mała. Usiadł przy stoliku w tawernie dla turystów i zjadł lunch, obserwując drogę, którą przyszedł, i podziwiając bizantyjski kościółek z XI wieku, stojący po drugiej stronie placu.

Nieśpiesznie zabrał się do jedzenia, które okazało się zaskakująco dobre. Opróżnił ze smakiem obowiązkową miseczkę oliwek, a potem talerz kalmarów. Między kęsami zerkał na mapę, ustalając następny etap trasy tak, aby upewnić się, podwójnie, że nikt go nie śledzi. Uwzględnił przy tym osobiste załatwienie drobnej sprawy, choć poprzednio planował wysłać e-maila. Wszystkie ciemne interesy lepiej załatwiać twarzą w twarz.

Opuścił tawernę i pomaszerował prosto w dół zbocza, przez następny plac, gdzie roilo się od bezpańskich kotów. W końcu zostawił starą dzielnicę za sobą i wkroczył w nowoczesny świat ateńskiej aglomeracji. Na ulicy malarzy ikon tuż przy placu Syntagma zatrzymał się przed niedużym warsztatem z żelazną kratą w oknie. Przez okno zainteresowany sztuką turysta, jeśli nie uniemożliwiałyby mu tego brudne szyby, mógł dojrzeć kilka dobrze namalowanych współczesnych ikon w różnych stylach. Piat był takim turystą wiele lat temu. Teraz był nim znowu.

Właściciel siedział przygarbiony przy stole. Wstał, słysząc skrzypienie drzwi i narzucił na swoją pracę poplamioną szmatkę. Piat ucieszył się, że został rozpoznany i uściskany na powitanie.

- Michaił! - powiedział z entuzjazmem.

- Sasza! - Właściciel nie miał jeszcze czterdziestki, jego młody wiek zawsze zaskakiwał Piata, bo wszyscy inni malarze ikon sprawiali wrażenie, jakby urodzili się starzy. - Nie uprzedzałeś, że przyjdiesz. Czyżby telefon się zepsuł?

Piat pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- Pracujesz nad czymś interesującym?

- Nad tym i owym.

Michaił malował wspaniałe współczesne ikony. Restaurował też ikony dla muzeów i wybranych znajomych. Kilka razy sam stworzył „stare dzieło”.

Piat spojrział na najnowszą ukończoną pracę, małą ikonę w stylu macedońskim przedstawiającą świętego Jerzego walczącego ze smokiem. Skinął na nią ręką.

- Bardzo ładna.

- Styl rodzinnych stron jest zawsze najlepszy - powiedział Michaił. Wzruszył ramionami.

- Nic interesującego, Saszo. Staram się nie robić nic zbyt interesującego.

Piat pokiwał głową.

- Jasne. Podoba mi się ten obrazek. Ale śpieszy mi się, nie mam czasu na targowanie się.

Ile?

Wskazał świętego Jerzego.

- Chcesz komuś odsprzedać, Sasza?

- Przenigdy. To dla przyjaciela, który jest chory. Będzie wisiała u niego na ścianie.

- Dobry człowiek?

- Owszem.

To znaczy, był dobry, póki nie popadł w nałóg narkotykowy, pomyślał Piat.

- Dwieście euro. Nie naciągam cię.

Piat otworzył plecak i wyjął wydruk szkicu, który zrobił na komputerze. Podczas gdy Michaił pakował ikonę, Piat złożył kartkę i wsunął do niej sto euro. Wyjął jeszcze dwieście z portfela i wręczył wszystko Michaiłowi.

Michaił uniósł brwi.

Piat kiwnął nieznacznie głową.

- Za jakiś czas poproszę cię o opinię o pewnej rzeczy - wyjaśnił. - Chcę się dowiedzieć, czy to falsyfikat.

Michaił wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Musiałbyś mi ją przynieść.

Piat pokiwał głową.

- Może mógłbyś mi po prostu powiedzieć, czy można by ją było podrobić.

Brwi Michaiła podskoczyły jeszcze wyżej.

- To nie takie trudne.

Uściskał Piata znowu, ale nie rozłożył kartki, gdy Piat był w warsztacie.

Piat przystanął na schodkach przed drzwiami warsztatu i rozejrzał się na boki. Wokół było sporo ludzi, ale nie dostrzegł też żadnego zagrożenia. Dotarł do głównej ulicy i

podjechał taksówką na stację metra, stamtąd dotarł na obrzeża miasta i wysiadł. Powtórzył cały proces: krótka jazda taksówką, a potem podróż metrem.

Nic, stwierdził z zadowoleniem.

Kiedy się już upewnił, że nikt go nie śledzi, wstąpił do baru, wszedł do łazienki i włożył pięćdziesiąt gramów haszyszu z Lesbos w opakowanie ikony. Miał z tym niejaki problemy, bo trzęsły mu się ręce. Zarządził temu, golnawszy sobie szklaneczkę szkockiej. Potem poszedł się spotkać z Barrym.

Tel Awiw

We wtorek rano na pożyczonym biurku Dukasa czekał plik wiadomości. Jedna była od oficera służb bezpieczeństwa, który informował, że przywieziono sześć następnych pudeł z dokumentami z Mossadu. Druga od sekretarza ambasady, który zawiadamiał, że przydziela mu dwóch tłumaczy, bo wszystkie dokumenty dostarczone do tej pory są po hebrajsku.

- Marnowanie pieniędzy podatników - mruknął Dukas.

Peretz zostawił wiadomość, że o dziesiątej są umówieni z Miriam Gurion na oględziny „interesującego nas miejsca”, które - jak miał nadzieję Dukas - będzie się jakoś wiązało z Qatibem albo jego dziewczyną. Reszta wiadomości była mało istotna - dwa zaproszenia na imprezy urodzinowe w ambasadzie i jedno na otwarcie amerykańsko-izraelskiej wystawy obrazów o terroryzmie od osoby, o której nigdy nie słyszał. Dwie następne wiadomości miały jednak na kościach trochę mięsa: Pigoreau zadzwonił wczoraj o dziesiątej wieczorem z Hagi z nowymi wieściami, a z Neapolu telefonował Triffler.

Dukas wykręcił najpierw numer do Trifflera.

- Wczoraj po południu poinformowano mnie, że jesteś na spotkaniu - powiedział Triffler.

- Poszedłeś do kibla czy miałeś randkę?

- Byłem na spotkaniu. - Dukas zrelacjonował mu rozmowy z Mossadem, szefową ekspozytury, ambasadorem i Miriam Gurion. - Miałem mnóstwo spotkań.

- Nie podoba mi się, że Mossad tak rwie się do pomocy. To zły znak.

- Mnie też to śmierdzi. - Opowiedział mu o pudłach z dokumentami. - A ty co dla mnie masz?

- Listę pracowników Mossadu. Znalazłem nazwisko i funkcję. Shloma Eshkola podałeś mi na tacy. A ten drugi facet nazywa się chyba David Tar-Saloman i jest szefem, uwaga... Sekcji do spraw Zabytków i Sztuki.

- Sztuki? Czyli sztuk pięknych?

- Tak. Myślę, że zajmują się także poezją i tańcem współczesnym.

- Ale zabytki, to dobrze. Albo źle.

Opowiedział Trifflerowi o rozmowie z dziekanem Uniwersytetu Michigan.

- Czyżby rysował się jakiś trop?

- Cóż, w każdym razie lepszy od kryptologii.

- Dowództwo rozważa zmianę szyfrów w całej flocie.

- Wczoraj powiedziałem Kasserowi, żeby się z tym wstrzymali.

- Jestem przekonany, że cię posłuchają.

- Dick, wyślij w moim imieniu wiadomość do dowództwa. Napisz, że nie znaleźliśmy żadnych świadectw złamania kodów, pracujemy nad tym, ale przedwczesne działanie może się okazać gorsze niż brak działania.

- Wymyśliłeś to na poczekaniu?

- To schemat meldunków w każdej sytuacji kryzysowej. Wystarczy wypełnić puste pola. „Do chwili obecnej nie znaleźliśmy jeszcze dowodów, puste miejsce. Nie ustajemy w wysiłkach, by wyjaśnić, puste miejsce. Przedwczesne działanie może zaszkodzić interesowi narodowemu bardziej niż zaniechanie”.

- Puste miejsce.

- Właśnie.

- To brzmi niemal jak przemówienie prezydenckie. Ale mówię ci, Mike, Waszyngton panicznie boi się wycieku szyfrów. Jeśli zmienią kody, będzie po wszystkim i wtedy odzyskamy spokój i zapomnimy o całej sprawie.

- Za cenę kilkudziesięciu milionów dolców i kupy wstydu, jeśli okaże się, że Qatiba zabito z zupełnie innego powodu. Na przykład zabytków i sztuki.

- Co jest tylko hipotezą niepopartą faktami, jak ewolucja.

- I którą nie podzielimy się z nikim, dopóki nie dowiemy się więcej.

- Na razie dostałem wiadomość z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego z sugestią, że nie wykonujesz swojej roboty zbyt dobrze.

Dukas westchnął.

- Prawdopodobnie mają rację.

Porozmawiali jeszcze trochę o możliwych implikacjach archeologicznego wykształcenia Qatiba i faktu, że Mossad ma Sekcję do spraw Zabytków i Sztuki, wreszcie Triffler powiedział:

- Myślę, że powinienem zająć się zbadaniem palestyńskiego udziału w przemyśle i handlu zabytkami. Mogłoby nam to pomóc, a ja wyrwałbym się z biura.

- Zostawiłem cię w biurze, żebyś sam mógł się z niego wyrwać.

- Cóż, jako pełniący obowiązki szefa oddziału czuję, że zasługuję na wszystkie przywileje, jakie się wiążą ze stanowiskiem. Prawdę mówiąc, w domu poserfowałem trochę po sieci i okazuje się, że w Neapolu jest kilku ludzi, którzy bardzo się liczą na arenie międzynarodowej wśród grona osób starających się powstrzymać przemyt tych starych cudeniaków, które wykopuje się tu i ówdzie z ziemi. Jest na przykład biuro ONZ, a na dodatek kilku profesorów i dyrektor Muzeum w Neapolu. Gdybym błysnął swoją odznaką i zaśpiewał im coś z Monteverdiego, to założę się, że opowiedzieliby mi o zabytkach wywożonych z Izraela.

- To do roboty. Ale nie śpiewaj, dobra?

- To moja tajna broń.

- Zachowaj ją na wypadek, gdyby ktoś cię napadł i próbował wyrwać portfel.

Potem zadzwonił do Pigoreau, który rozmawiał właśnie z kimś na innej linii, ale sekretarka zapewniła, że oddzwoni. Oddzwonił po trzech minutach.

- Poszedłem na kawę, Mike - roześmiał się Pigoreau. - Czy byłoby lepiej, gdyby ci to powiedziała?

- W każdym razie bardziej po ludzku. Co dla mnie masz?

- Och, coś... niech no spojrzę... - Pigoreau milczał przez chwilę, potem wymamrotał coś, czego Dukas nie zrozumiał, a wreszcie powiedział: - Jak pewnie pamiętasz, mam na biurku bałagan. Jestem właściwie *un homme engage*⁴, a nie urzędnikiem. - Pigoreau uprawiał łyżwiarstwo szybkie i startował w olimpiadzie, potem został detektywem i dopiero przed paru laty awansował, i skazano go na bezczynność. - Mam tę twoją operację w Bośni. Przesłali mi akta pocztą elektroniczną. Ale po co ich potrzebujesz? Przecież byłeś tam, Mike.

- Ale oglądałem wszystko od środka. Dostałem z ONZ polecenie schwywania zbrodniarza wojennego, który chciał się przedostać do Kosowa. I góra przydzieliła mi tych dwóch nieznanych Izraelczyków jako „obserwatorów”. Możliwe, że trafiłem tutaj na sprawę, w której jeden z nich maczał palce.

⁴ *Un homme engage (fr.) I wolny strzelec, ochotnik (przyp. red.).*

- Poczekaj... - Pigoreau zaczął wydawać ciche pomruki jakby nucił coś pod nosem, tylko że Dukas nie mógł wyłowić melodii. Może był to francuski hip-hop. - Tekst, który tu mam, nazwałbym *bien vague*⁵, myślę więc, że ktoś go zredagował. W każdym razie mam tu, że dwaj, cytat: przedstawiciele Państwa Izrael, koniec cytatu, zostali dołączeni do grupy operacyjnej, cytat: w celach obserwacyjnych, koniec cytatu. Tyle że w charakterystyce napisano, że facet, który został zabity, jechał do Palestyny.

- Czego nam wtedy nie powiedzieli.

- Cóż, był na liście zbrodniarzy wojennych z Bośni. Palestyńczyk, który walczył w Afganistanie przeciwko Sowiecom, a potem pojechał do Bośni, kiedy Serbowie się zbiesili. Tak więc mieliśmy obowiązek go ścigać. Tyle że Izraelczycy namierzyli go pierwsi.

- Pozwolili nam więc odwalić za nich robotę, czyli... - Dukas się zawahał. - Facet został zabity. A co się stało z rzeczami, które wiozł?

- Jakimi rzeczami?

- Miał walizkę pełną złotych monet.

- Rzymskich? Jest tu coś o rzymskich artefaktach.

- Co się z nimi stało?

- „Państwo Izrael wystąpiło z roszczeniem ich zwrotu, co uczyniono po przedstawieniu przez Izrael dowodu własności w 1999 roku”. Nas wtedy dawno już tam nie było.

- Tak. Ale to ważne.

- Pomogłem ci?

- Nawet bardzo.

Dukas wiedział teraz, że Shlomo Eshkol i David Tar-Saloman z Sekcji do spraw Zabytków i Sztuki w Mossadzie działali na tym polu od dawna i traktowali robotę na tyle poważnie, że nie zawahali się kogoś zabić. Ich imiona i twarze zapamiętał z Bośni, a jedną z tych twarzy zobaczył wczoraj przy śniadaniu. Znał więc dwóch ludzi, którzy zdawali się jakoś powiązani z porwaniem Ala Craika i może także z zabójstwem Salema Qatiba. Ale jak?

Ateny

⁵ *Bien vague* (ff.) - bardzo niejasny, mglisty (przyp. red.).

Barry mieszkał na zboczu Akropolu po przeciwnej stronie Plaki, w małym XVIII-wiecznym domu, który miał ciężkie drewniane drzwi z umieszczonym pośrodku dzwonkiem. Piat nie znosił dzwonek i dlatego po prostu zapukał.

Kobieta, która mu otworzyła, była wysoka i mocno zbudowana, z gęstymi brwiami i bez makijażu, jakby wiek średni nie budził w niej w ogóle lęku. Jej brwi ściągnęły się, gdy tylko zobaczyła Piata.

- Patrz Barry, przyszedł jak mu tam. - Mara była zła, jak zawsze. - Czy ty w ogóle masz prawdziwe imię? Znowu przyszedłeś namącić mu w głowie?

- Cześć, Maro - powiedział smutno Piat.

Historia jego znajomości z Marą była prawie tak długa jak historia, która łączyła go z Barrym. Dało się w niej znaleźć szczęśliwe chwile. Większość jednak była taka jak ta.

- Jack! - Barry, mężczyzna mający prawie dwa metry wzrostu, wyszedł zza niskiej sofy, podpierając się laską. - Jack! Człowieku, fajnie cię widzieć. - Skinął głową na Marę, która właśnie zniknęła w mikroskopijnej kuchni. - Nie przejmuj się. dobrze? Wiesz, jaka ona jest.

W mieszkaniu cuchnęło starym jedzeniem i brudnymi garami. Barry pokuśtykał do kanapy i machnął niecierpliwie rękami w stronę papierów leżących na fotelu.

- Po prostu rzuć je na podłogę. Jack, dobrze?

- Ani mi się waż, Barry. Jack, poczekaj chwilę. Ślęczę nad tą gównianą pracą cały dzień i niech mnie diabli, jeśli wyląduje teraz na podłodze. - Mara wróciła do pokoju.

Roztrzęsionymi z gniewu rękami zaczęła porządkować papiery. - Nadal palisz, Jack?

Piat popatrzył na nią smutno.

- Teraz nie. - Mara zawsze zbijała go z tropu. Nigdy nie umiał z nią rozmawiać. - Myślę... myślę, że rzuciłem.

- Gówno prawda. Jack. Kiedy rzucisz, będziesz to wiedział. - Zachichotała. - Przyniosłeś mu hasz? Słuchaj, Jack, zamorduję cię, jeśli dzisiaj zobaczę go na haju? Barry jest czysty i ma pracę, robi redakcje. Dlatego...

Barry się wyprostował.

- Maro, wynoś się. Jack. przepraszam. Maro, poniżasz mnie. To jest...

Mara parsknęła śmiechem.

- Widzisz, jaką ma nadzieję, że mu coś przyniosłeś. Zresztą róbcie, co chcecie. Będę w sypialni.

Popatrzyła na Piata już nie ze złością, tylko błagalnie.

Miał wrażenie, jakby znowu odgrywali to samo przedstawienie co zawsze. Pięćdziesiąt gramów haszyszu Piata, które miał w plecaku, ciążyło mu tak, jak wszystkie inne grzechy.

- Piwka? - spytał Barry.

- Jasne.

Piat usiadł ostrożnie w fotelu uprzątniętym przez Marę. Jedna poręcz była umazana starym jedzeniem, a na podłodze obok leżało styropianowe opakowanie po spanikopie.

Barry odkapslował dwie butelki bez użycia otwieracza i podał jedną Piatowi.

- Masz pracę?

- Boże, Jack, to nic wielkiego. Redaguję uniwersyteckie gnioty, magisterki. Gównno! Kiepskie tłumaczenia, nieumiejętne wykorzystanie materiałów, powtórzenia, jednym słowem gównno. Ale to tylko tymczasowa fucha. Piszę książkę... - Spojrzał na Piata, szukając aprobaty.

Piat usiłował stanąć na wysokości zadania. Odkąd się znali, Barry zawsze pisał rozmaite książki. Jak dotąd żadnej nie ukończył.

- Tak? To świetnie, Barry. O czym będzie?

- O Scytach, Jack. O Scytach! Nikt jeszcze nie zebrał do kupy tego, co jest w archiwach. Są źródła perskie, greckie, chińskie, a ja znam te wszystkie języki! A opracowania z wykopalisk są po rosyjsku! Łatwizna. Potrzebuję tylko pieniędzy na materiały badawcze, to wszystko. - Kiedy to mówił, ostrożnie kładł się na kanapie. Był masywnym, wysokim facetem, a kolana ledwo wytrzymywały obciążenie, ten cały proces trochę więc trwał.

Piat patrzył na to z niechęcią, bo był przy tym, kiedy Barry został ranny. Wiedział, że ponosi za to część winy.

Mara też wiedziała.

- Ale co cię obchodzą moje naukowe bzdety, co, Jack? Widziałeś ostatnio kogoś ze starej drużyny? Jak tam Mark? Boże, jakżeż on potrafił chlać! Pamiętasz?

Nie żyje, pomyślał Piat. Barry i Mark zaprzyjaźnili się bardziej, niż powinni, na samym początku, w Afganistanie, kiedy Barry był młodym archeologiem i lingwistą zwerbowanym jako tłumacz, a Mark pełnił funkcję starszego agenta operacyjnego. Obaj studiowali w Yale i obaj pochodzili z „arystokratycznych” rodzin Nowej Anglii. Mark zginął w Angoli, zupełnie bez sensu. Piat nie opowiedział o tym Barry’emu.

- U Marka wszystko w porządku. Czytasz gazety, Barry. Wiesz, że nastroje w firmie nie są najlepsze. Mark niedługo przejdzie na emeryturę.

- Jasne, Jack. A ożenił się w końcu z tą dziewczyną, o której mi opowiadałeś?

Piat zawahał się na sekundę, obiecując sobie, że nie będzie więcej wymyślał dla Barry’ego nowych perypetii w życiu wspólnych znajomych, bo encyklopedycznemu umysłowi Barry’ego nigdy nie umykał żaden szczegół.

Jaką dziewczynę wymyśliłem? - zastanawiał się.

- Zdaje się, że nie Niedźwiedziu. Nawet nie pamiętam, żebym ci o niej opowiadał.

- Hej, Jack. Nikt już nie mówi do mnie „Niedźwiedziu”. - Roześmiał się. Trochę nienormalnie, trochę zbyt dziko. - Ani Czaarsi. Nikt nie mówi już do mnie Czaarsi. Myślisz, że talibowie zostawili przy życiu kogoś z naszych chłopców?

Piat wzruszył ramionami.

- Wszyscy praeują jako taksówkarze na Manhattanie, Niedźwiedziu.

Oprócz tych, którzy sami są talibami, dodał w myślach.

- Wiesz co, Jack, nalej mi czegoś mocniejszego. W szafeczce na przy prawy jest flaszka irlandzkiej whisky.

- Hej, Barry! To moja butelka!

Głos Mary wydobył się z sypialni niczym *deus ex machina*.

- Może wyskoczę i kupię butelczynę - zasugerował Piat.

Już pragnął pozbyć się z nozdrzy smrodu tego domu.

Barry machnął tylko swoją wielką łapą.

- Nie zwracaj na nią uwagi, Jack. Nalej nam po szklaneczce. Co u Dave'a? Dave'a Hammonda?

Piat zamachał butelką.

- Przecież nawet nie lubiłeś Dave'a.

Barry się roześmiał.

- To może nie żyje?

Piat prychnął. „Dave” nazywał się Clive Partlow i był oślizgłym sukinsynem, który, oczywiście, awansował i teraz piastował jakieś ważne stanowisko.

- Nie. Dave radzi sobie w nowym środowisku doskonale.

- Możesz nalać mi więcej, Jack. A ty? Jak sobie radzisz? Wyglądasz lepiej niż w lecie.

- No. Piat pochylił się, żeby podać Barry'emu pełną szklanekę black busha.

Barry natychmiast sobie gołnął. On z kolei wyglądał znacznie gorzej niż ostatniego lata. Piat potrzebował wtedy kryjówki i tak jak przy wielu innych okazjach wykorzystał Barry'ego.

- Nadal działasz pod przykrywką handlarza antykami?

- No, wiesz... - zaczął Piat.

- Nie możesz o tym rozmawiać. Jack, przecież to ja! Tak czy inaczej, bardzo mnie to bawi, sam pomyśl, że masz do czynienia z zabytkami. Przecież ty nawet nie znasz starożytnej greki, co?

Barry nigdy nie chciał nikogo urazić. Był geniuszem i w sposób naturalny przybierał w rozmowie protekcyjny ton. Kiedyś Piat by mu się postawił, lecz teraz po prostu się uśmiechnął, mając dwujęzyczne wydanie Platona z Biblioteki Loeba w kieszeni.

- Nie, nigdy nie studiowałem klasyków tak jak ty.

- A Mark, a Dave. Dave był dupkiem, Jack, i wątpię, żeby się zmienił, ale miał łeb na karku, trzeba mu to przyznać.

Potrafił też unikać operacji, w których dochodziło do strzelaniny. Trzeba mu to przyznać, pomyślał Piat, który podejrzewał, że istniał związek między roztrzaskanymi kolanami Barry'ego i tchórzostwem Partlowa, ale nigdy tak naprawdę nie chciał poznać na to pytanie odpowiedzi. Stare dzieje.

- Był prawdziwym myślicielem.

- Jasne, że był, Jack. Wszyscy byliśmy. Muszę przyznać, że idea walczących intelektualistów ma pewien powab. Dlaczego wszyscy mieliby siedzieć zamknięci w wieży z kości słoniowej? A Ajschylos? Słyszałeś kiedyś o Ajschylosie, Jack?

Piat się uśmiechnął.

- Owszem, słyszałem.

- Największy dramaturg starożytnej Grecji, jeśli chcesz znać moje zdanie. Jego brat zginął pod Maratonem. Walczył pod Salaminą może także pod Platejami. Wiesz, jaki napis wyryto mu na nagrobku? Nic o wygranych konkursach w Atenach i Delfach. Tylko że pod Maratonem walczył w pierwszej linii. To wszystko. I o to mi chodzi.

Z pewną dozą samoobrzydzenia Piat pochylił się do przodu.

- Też taki jesteś, Barry.

Barry pokręcił głową.

- Żaden ze mnie Ajschylos, Jack.

- Ale też widziałeś tego zwierza z bliska, Barry. W Iranie i Afganistanie, kiedy cię potrzebowaliśmy.

Piat pamiętał jeszcze czasy, gdy mógł mówić takie rzeczy bez wstydu. Do obowiązków każdego oficera operacyjnego: należało dbanie o to, żeby także podwładni czuli się kochani. Pociągnął solidny łyk irlandzkiej whisky.

Barry uniósł głowę z poduszki na sofie.

- Dzięki, Jack.

Piat pamiętał czasy, gdy ta głowa przypominała grecką rzeźbę: wielka, o harmonijnych rysach, z czupryną blond włosów. Teraz skóra obwisła, straciła rumieńce, a większość włosów wypadła.

Barry poruszył szklankę. Była pusta.

- Jeszcze kropelkę, jeśli nie masz nic przeciwko, Jack? I wyrzucić to wreszcie z siebie. Po co do mnie przyszedłeś?

Piat poszedł do kuchni i wrócił z butelką. Kiedy nalewał Barry'emu do szklanki, Mara wymaszerowała z sypialni. Miała na sobie płaszcz.

- A chłejcie sobie moją gorzałę. Idę na miasto.

Zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Boże, przepraszam, Jack. Ona cię lubi, wiesz. Tylko że... - Barry znów poruszył szklankę. - Jest po prostu nieszczęśliwa. Muszę napisać tę książkę, Jack. Muszę dać jej przynajmniej część tego, czego pragnie. Dom. Jakieś życie, na miłość Boską. Bo swoje marnowałem, Jack. A ona wytrwała przy mnie. Boże, jestem jej coś winien.

Głowa opadła mu na poduszkę.

Piat upił następny łyk irlandzkiej whisky. Już zaczynała na niego działać. Klapnął ociężale na fotel.

- Mam dla ciebie drobną pracę.

Barry zachichotał.

- Wiedziałem, że tak będzie, kiedy powiedziałaś, że chcesz wykorzystać przykrywkę handlarza zabytkami. Pomyślałem sobie: przecież on nawet nie czyta po grecku! Mara też się śmiała.

- Chodzi o coś ciut trudniejszego niż czytanie greki, Niedźwiedziu.

Barry uniósł się na łokciu i uśmiechnął do Piata.

- Ostatnimi czasy nie przekradam się przez granice, Jack. I nie mam już takiej wprawy z materiałami wybuchowymi.

Piat uśmiechnął się chłodno.

- To tylko inskrypcja.

- Jasne, Jack. Jasne. Po persku? Po elamicku?

- Pismo linearne B.

Barry miał przy ustach szklankę. Zakrztusił się i strużka whisky spłynęła mu po podbródku.

- Linearne B? Serio? Coś nowego? Czy tylko przeróbka? Podrabiasz coś?

Piat roześmiał się szczerze.

- Miło mi, że masz o mnie takie dobre zdanie. Nie, inskrypcja może być prawdziwa albo fałszywa. Sam musisz mi to powiedzieć. Czy umiesz... odczytać pismo linearne B?

W ostatniej chwili ugryził się w język i nie powiedział, jeszcze”.

- Jack. John Chadwick zmarł w 1998. Wiesz, kim był?

- Nigdy o nim nie słyszałem, stary.

- John Chadwick i Michael Ventris rozszyfrowali pismo linearne B. Ventris zmarł w latach pięćdziesiątych. Teraz obaj nie żyją. Przypuszczam, że to oznacza, iż jestem najlepszym znawcą pisma linearnego B na świecie.

Piat znów napił się whisky. Nigdy nie wiedział, co tak naprawdę myśleć, kiedy Barry popadał w taki ton. Wiedział jednak, że jego zadanie polega na zadawaniu pytań i sprawieniu, by Barry cieszył się swoją ulotną wyższością. Patrząc na wrak człowieka na sofie, trudno było mieć pewność, że jeszcze cokolwiek w nim się tliło.

Barry zsunął nogi z kanapy.

- Dawaj, Jack. Pokaż mi to.

Jego oczy były chciwe, głodne.

- Ale nie możesz pisać o tym nikomu ani słowem. Naprawdę musisz zachować tajemnicę, dobrze?

- Możesz na mnie polegać, Jack. No, daj.

- Dobra, ale powtarzam, Niedźwiedziu. To ważne. Ani mru-mru.

Barry wyraźnie się ożywił, prawdziwy uśmiech i zdecydowanie w ruchach sprawiały, że wyglądał młodziej i wydawał się bardziej pewny siebie.

- Wiem, że to ważne, Jack. Dlatego się do mnie zwróciłeś, prawda? No i oczywiście pieniądze. Ile dasz?

Piat podszedł do swojego plecaka i wyjął CD. Komputer Barry'ego zajmował honorowe miejsce na prawie czystym biurku z laminatu, które stało pod oknami. Duże okna wpuszczały odrobinę szarawego światła, ale widać z nich było tylko elewację bloku zaledwie kilka metrów dalej.

Piat wsunął dysk do stacji. Barry ruszył powoli przez pokój, dysząc na tyle głośno, że było go słychać mimo szumu komputera.

Jerry otworzył plik, zanim Barry usiadł ciężko na obrotowym krześle. Barry długo przyglądał się pierwszemu zdjęciu.

- Myślisz, że jest prawdziwy, Jack? - szepnął.

- Sam mi powiedz, Niedźwiedziu.

Barry przejrzał wszystkie cztery zdjęcia. Wcześniej Piat długo zastanawiał się, czy nie dać Barry'emu tylko jednego, dwóch zdjęć albo czy nie skopiować samych symboli odręcznie, ale ostatecznie uznał ten trud za jałowy. Barry będzie milczał albo się wygada, tak czy siak.

- Boże - wymamrotał Barry. - Boże, oby okazał się prawdziwy.

- No - powiedział Piat. - Też bym się ucieszył.

- Samo pismo jest prawdziwe. Nie widzę żadnego symbolu, który by się nie zgadzał.

- A co tam jest napisane?

- Zapytaj mnie za tydzień, Jack. Pismo linearne B jest bardzo wczesnym pismem Achajów. Jest sylabiczne, każdy symbol oznacza sylabę. Nikt tak do końca nie wie, jakie reguły w nim obowiązywały, nikt nie jest także pewien, co dany tekst znaczy, nawet ja. - Uśmiechnął się. W przypadku Barry'ego był to przejaw skromności. - Daj mi dwa dni. Będę miał wstępne tłumaczenie. O, tu jest łatwe słówko: Da-na. Widzisz? Już mamy postęp.

- Co znaczy Da-na, Niedźwiedziu?

- To Danajowie, Jack. Grecy. Długowłosi Achajowie. Poczytaj sobie Homera. - Barry odwrócił się od komputera, jego oczy lśniły ognistymi refleksami złota. - Mogę temu podołać, Jack. Ale za ile? Mara będzie się dopytywać.

Zdanie: „Mara będzie się dopytywać” miało aspekt rytualny. Barry uwielbiał pieniądze, ale nie lubił tego okazywać. Jeszcze jedno brzemień na barkach Mary. Piat jak zwykle miał gotową propozycję.

- Tysiąc dolców za odczytanie inskrypcji. Kolejny tysiąc za radę. Ale to później. I może jeszcze coś na dokładkę.

- Jack, zdajesz sobie sprawę, że to prawdopodobnie szósty kiedykolwiek odkryty przedmiot z pismem linearnym B. - Jeszcze raz spojrzął na zdjęcie. - Wszystkie inne są z terakoty.

- Wiem.

- Serio? Na odmianę odrobiłeś pracę domową, Jack? Puchar jest wspaniały. Musiał być ważnym przedmiotem. Jest wręcz cudowny. I tłumaczenie ma być warte marne dwa tysiące dolców?

- Jeśli puchar okaże się prawdziwy, to może więcej.

- Boże, oby był prawdziwy. Masz go?

- Nie.

- Możesz go zdobyć?

- Może.

- Jack, zdobądź go dla mnie. Boże, Jack, jeśli jest prawdziwy, to dostanę pracę na każdym uniwerku, na jakim zechcę. Cambridge! Oxford! Yale! Gdzie tylko zechcę. Wystarczy jeden artykuł.

Piat zdał sobie sprawę, że nie przemyślał wszystkiego do końca.

- Jest bardzo prawdopodobne, że to falsyfikat, Niedźwiedziu.

- Nie chcę o tym słyszeć, Jack. Spójrz na to niello! Jest doskonałe! Kto mógłby podrobić coś takiego? - A potem dodał, niemal oskarżycielsko: - Skąd pochodzi?

Piat nie zamierzał niczego przemilczać.

- Z Palestyny. - Wzruszył ramionami. - To tylko przypuszczenie. Sprawa jest skomplikowana.

- Bzdura. Z Palestyny? Rzymskie albo hellenistyczne bzdety, owszem. Ale to jest późna kultura pałacowa, Jack. Na pewno nie z Palestyny. Powiedziałbym raczej, że z Krety. Ewentualnie z Turcji.

Piat ziewnął, zakrywając ręką usta, i poczuł w oddechu whisky.

- Powiedz mi, czy inskrypcja nie jest podrobiona, Niedźwiedziu. Potem pogadamy.

- Ale pozwolisz mi obejrzeć puchar? Napisać o nim?

Piat zastanawiał się, czy może. Był Barry'emu coś winien, jasne. Czy artykuł obniżyłby wartość pucharu, czy wręcz przeciwnie? Usiłował myśleć w oparach irlandzkiej whisky.

- Jeśli jest prawdziwy. Jeśli go zdobędę. Wtedy pogadamy. - Zawahał się. - To nie takie proste, Niedźwiedziu.

- Nic nie jest proste - powiedział Barry. Obrócił się na krześle. - Jack, popatrz na mnie. Jeśli puchar jest prawdziwy... Jack, czy muszę to mówić? To może odmienić... moje... życie.

Potem wieczór przebiegał tak jak zwykle. Barry bawił się, próbując rozszyfrować inskrypcję, komentował sceny na pucharze, pił coraz więcej whisky, przyjął ikonę i powiesił ją na ścianie, a potem zużył część haszyszu.

Jak zwykle, kiedy Mara wróciła do domu, wyczuła hasz i bez słowa poszła do sypialni. Nie posłała Piatowi tego co zawsze nienawistnego spojrzenia. Piat zastanawiał się, czy rzeczywiście zamierzała go zamordować. Była do tego zdolna.

Barry znowu wypalił zbyt dużo i za dużo wypił. Przede wszystkim gadał, przede wszystkim o tym, jaki jest genialny. Ale bynajmniej nie ograniczał się do megalomańskich pierdoł - potrafił wyskoczyć z dobrym dowcipem, pamiętał o tym, by zatroszczyć się o gościa, a potem miał nawroty pijackiego słowotoku.

Piat wyszedł do toalety (najczystsze pomieszczenie w mieszkaniu), a gdy wrócił, Barry grzebał w jego plecaku. Nie przeprosił Piata, bo uważał, że wszystko jest w porządku, jeśli to mogło oznaczać więcej haszu. Wyciągnął z bocznej kieszonki wyświechtany egzemplarz *Państwa* Platona i pomachał nim przed Piatem.

- Platon i Ksenofont. Naprawdę nadrabiasz lektury.

Piat nie odpowiedział. Był zbyt pijany, by wdawać się w uczone dyskusje, a nie chciał się narażać na drwiny Barry'ego.

- Oczywiście żyli w tym samym czasie, prawdopodobnie nawet się znali. Zawsze chciałem udowodnić, że Ksenofont był postacią fikcyjną... może tyranem... trudno to dobrze uzasadnić. Ale mógłbym zyskać sławę. Dostać katedrę na dużym uniwersytecie.

- Ksenofont jest zbyt szlachetny jak na tyrana.

Piat dał się Barry'emu podpuścić. Pociągnął następny łyk piwa. Piwo? Skąd, do licha, wziął piwo?

Barry ciągle wertował książkę.

- Tyran... o tu to jest... tyran ustawicznie dąży do nowej wojny, żeby ludzie nie zauważyli, że odebrał im demokrację. Ludzie oddają wolność za odrobinę bezpieczeństwa. Dziś jest tak samo. Demokracja, tyrania, zastanawiam się, czy za to dostałbym katedrę. Książka: demokracja i tyrania. Przygotuj swoje argumenty... potrzebuję więcej haszu... uh.

Barry wciąż rojąc o katedrze, którą w końcu dostanie, zasnął w pół zdania.

Jak zwykle Piat okrył go starą kołdrą. Potem wstał i wychylił resztę swojej whisky. Skopiował dysk na komputerze Barry'ego, kopię zostawił Barry'emu, a oryginał wrzucił do plecaka.

Mara wyszła z sypialni. Miała rozpuszczone włosy i porozciągany wełniany sweter tak duży, że zakrywał jej biodra.

- Ty pieprzony sukinsynu.

- Przyznaję się do winy.

- Zrobi dla ciebie tę pierdołę, wiesz? Dla ciebie zrobiłby po prostu wszystko, ty potworze. Zawali swoją robotę i nie przestanie nad tym pracować, dopóki nie rozbolą go plecy. A wtedy będzie chciał, żebym go masowała i zajęła się nim. Wszystko po to, żeby wciąż czuł się potrzebny chłopakom.

Piat ruszył do drzwi.

- Jack?

Odwrócił się.

- Do diabła z tym wszystkim. Chcesz się pieprzyć?

Piat miał już rękę na klamce.

Jak zwykle, pomyślał.

Dukas czuł się tylko trochę zaskoczony, że Abe Peretz pojedzie z nimi obejrzeć mieszkanie, które należało do dziewczyny Salema Qatiba. Był to w końcu dobry dzień na wyrwanie się z Tel Awiwu, Peretz, jako prawnny attache interesował się zarówno tym, co robiła policja, jak i tym, co robił Dukas, miał więc wszelkie prawo pojechać. A po wieczorze spędzonym z Peretzami Dukas utwierdził się w przekonaniu, że Abe i Miriam Gurion mają romans: Peretzowie, pomyślał, są nieszczęśliwym małżeństwem. Nastrojowi wieczornego spotkania nie służyła też obecność kobiety, przypuszczalnie wdowy i zaproszonej może ze względu na Dukasa - która nazywała się Esther jakaś tam i była nową, lecz najwyraźniej bliską przyjaciółką Bei. Moralne wsparcie Esther zdawało się nadawać szczególną ostrość wszystkiemu, co Bea mówiła, Abe zaś wycofał się i stawiał jej bierny opór, udając dobry humor. Tak więc Abe jechał z nimi do Akki, czemu Dukas specjalnie się nie dziwił.

Podróż do Akki nadbrzeżną autostradą zajęła tylko półtorej godziny i może trwałaby jeszcze krócej, gdyby Dukas nie dał wyraźnie do zrozumienia, że nie lubi szybkiej jazdy. Izraelczycy, jak zdążył się zorientować, byli jeszcze gorszymi kierowcami niż Włosi. Abe wyśmiał go, ale zwolnił. Miriam Gurion, na przednim fotelu obok Peretza, pokręciła głową. Ale wydawała się równie zadowolona jak Abe, że wyrwała się z miasta i wkrótce trajkotała już jak najęta o śledztwie i dziewczynie Salema Qati-ba, której jeszcze nie udało się znaleźć, mimo że policja zlokalizowała jej mieszkanie.

- Nie ma jej zatem w domu? - zapytał Dukas.

- Nikt nie otwiera. Miejscowy glina mówi, że drzwi są zabezpieczone policyjną taśmą, ale tej taśmy nie założyli jego ludzie, więc...

Wzruszyła ramionami.

- Zajrzeli do środka?

- Myślę, że tak, ale boją się przyznać. Jeśli to Mossad założył taśmę, to lokalna policja przy tym była, ale chodzi o sprawę „bezpieczeństwa narodowego”. - Odwróciła się i popatrzyła z powagą na Dukasa. - Wie pan, co to jest „bezpieczeństwo narodowe”?

- Mamy w Waszyngtonie świątynię ku jego czci.

- My mamy ich setki.

Po jakimś czasie zapytał ją, czy rozmawiała znowu z facetem zarządzającym bazą w Jaffie. Pokręciła głową i burknęła coś odwrócona do niego plecami. Dukas pomyślał, że Miriam Gurion nie przycisnie faceta do muru, póki on nie przycisnie jej, ale nie był na to jeszcze gotowy. Jednak coś mu tam śmierdziało i chciał się przekonać, co.

Kiedy okrążali Hajfę, ruch robił się coraz większy. Miriam cały czas raczyła go wyjaśnieniami w rodzaju: „To jest Hajfa”, jakby czuła się w obowiązku wspierać rodzimą branżę turystyczną, a potem wjechali na niezamieszkaną fragment wybrzeża. „Krzyżowcy”, powiedziała Miriam i zaczęła gadać o rzeczach, które zupełnie go nie obchodziły - o Akce, gdy jeszcze nazywała się Acre, o krucjatach, o mieście krzyżowców pod ziemią współczesnej aglomeracji. Odetchnął z ulgą, gdy wreszcie dotarli przed dom dziewczyny.

Dukas spodziewał się obecności miejscowego gliniarza, lecz Miriam powiedziała, że wizyta nie jest oficjalna, a i tak będą musieli się włamać do mieszkania.

- Tak naprawdę nas tu nie ma.

Dukas popatrzył na Peretza, który uśmiechnął się z zakłopotaniem i wzruszył ramionami. To dopiero gratka aresztować prawnego attache i agenta SDK za wtargnięcie z włamaniem.

- Wzięła pani łom? - spytał Dukas.

- Wzięłam zestaw wytrychów. - Uśmiechnęła się do niego. - W wydziale zabójstw człowiek nabywa wielu umiejętności. - Zadzwoiła wytrychami. - I dostaje odpowiednie narzędzia.

Powiedziała coś do ochroniarza w recepcji i pokazała odznakę, ochroniarz nie był zbyt niezadowolony, ale nie dyskutował. Miriam dorzuciła coś szeptem tak, że Dukas nic nie usłyszał. W windzie wyjaśniła, że pogroziła, że go aresztuje, jeśli do kogoś zadzwoni.

- Mossad prawdopodobnie nieźle go nastraszył. Oczywiście nie mogę go aresztować, bo nie jesteśmy w Tel Awiwie. Facet prawdopodobnie zdaje sobie z tego sprawę, ale dzięki temu będzie ostrożny.

- A jak pojawi się Mossad? - zapytał Peretz.

- Wtedy nas już tu nie będzie.

Wsunęła wytrych do zamka, pomanipulowała nim i drzwi się otworzyły.

- Dobra pani jest - pochwalił Dukas.

- Zamek został wyłamany. Ktoś był tu przed nami.

Zatrzymali się tuż za progiem.

- Tak, rzeczywiście ktoś tu przed nami plądrował - powiedział Peretz. Mieszkanie zostało przewrócone do góry nogami. Ktoś dokonał nieudolnego przeszukania: rzeczy wywalono z szuflad, same szuflady wyciągnięto i rzucono na podłogę, stoły powywracano, poduszki z kanapy porozcinano i ciśnięto na bok. Dukas wiedział, że zespół zawodowców zrobiłby przy tym znacznie mniejszy bałagan, a nawet mógłby dokonać przeszukania, nie zostawiając najmniejszych śladów.

- Amatorzy - stwierdził.

- Ludzie z Mossadu nie są amatorami.

- Nie był to więc Mossad. - Skinął na błotnisty odcisk buta. - Prawdziwi amatorzy.

Miriam zmarszczyła brwi.

- Nie tego się spodziewałam.

Niczego nie dotykając, obeszli mieszkanie, a potem rozdzielili się i każdy zajął się osobnym pokojem. Było to nieduże lokum, ale dosyć ładne, w wystroju widziało się kobiecą rękę. Właścicielka miała sporo ciuchów, odkrył Dukas, znajdowało się tu teraz wiele ubrań męskich, co powiedziało Dukasowi nie tyle, że lubiła się przebierać za mężczyznę, ile raczej, że prawdopodobnie miała faceta, który u niej mieszkał. Dukas przyjrzał się metkom, poobmacywał tkaniny. Zapytał Miriam o niektóre marki.

- Tanie - powiedziała. - Modne, ale niedrogie.

- Z galerii handlowych. Tak?

Peretz obejrzał kuchnię.

- Nie była zbyt dobrą kucharką. - Zrobił zniesmaczoną minę. - Żarcie w lodówce jest zepsute.

Wszyscy ruszyli w tamtą stronę.

- Komuś chciało się pić - zauważyła Miriam.

Pokazała na szklankę i trzy puste butelki po wodzie przy zlewie. Dukas wziął z łazienki papier toaletowy i włożył wszystkie cztery naczynia do plastikowej siatki z Wal-Martu, którą znalazł na podłodze. Popatrzył na Miriam Gurion.

- Zbadajcie ślady na tych rzeczach, dobrze? - poprosił i położył torebkę przy drzwiach do mieszkania.

Wrócił do sypialni i czubkiem buta rozdzielił męskie ubrania od damskich. Zadanie okazało się łatwe, podejrzewał, że rzeczy były pierwotnie porozdzielane w szafie i szufladach, więc ci, którzy przeszukiwali mieszkanie, rzucili je na osobne kupki. A raczej prawie osobne. A właściwie...

- Myślę, że dwukrotnie przeszukano to mieszkanie - powiedział do Miriam, która wciąż była w kuchni. - Myślę, że ktoś znowu przeszukał ubrania... nie, tylko męskie ubrania... i w rezultacie trochę je pomieszał z damskimi. Rzucił parę męskich rzeczy na damskie, ale tylko na wierzch.

- Jeśli były dwa przeszukania, to Mossad nie pojawił się tu pierwszy. W przeciwnym razie nikt inny nie dostałby się do środka. Ale Mossad nie narobiłby takiego bajzlu.

- Trzy przeszukania? - zdziwił się Dukas. - Popularna dziewczyna.

- Raczej: popularny facet.

Dukas pokiwał głową, spojrzął na Peretza, a potem na Miriam.

- Salem Qatib - stwierdził. - Bardzo popularny facet.

Dukas odwrócił się i zajął oględzinami męskich ubrań. Też zdawały się anonimowe - młodzieżowe, tanie, dosyć modne, z dużą liczbą dżinsów i T-shirtów.

- Gdzie są rzeczy do prania?! - krzyknął.

- W łazience - Peretz łąził po całym mieszkaniu, nie zatrzymując się nad niczym dłużej. - Ktoś wrzucił je do kabiny prysznicowej.

Pomalowany na biało pleciony kosz leżał przewrócony na bok pod umywalką, dalej, w głębi, plastikowa kabina prysznicowa była na wpół otwarta, a brudne ubrania wały się na niebieskozielonej posadzce. Dukas zaczął w nich przebierać - więcej dżinsów dających się podzielić na jej i jego dzięki innym rozmiarom i fasonom, kilka par męskich kąpielówek, pół tuzina damskich majtek i cztery biustonosze, kilka bluzek. Dukas przyjrzał się dżinsom. Męskie były pobrudzone zeschniętym błotem na kolanach i u dołu nogawek, również jedna z męskich koszulek nosiła ślady błota. Tylko jedna para damskich dżinsów sugerowała jakikolwiek kontakt z ziemią - ubłocone kolano i pośladki.

- On kopie, ona się przygląda. - Wrócił do sypialni i rozejrzał się w poszukiwaniu butów, znalazł parę męskich butów pustynnych. Ubłocone tak jak dżinsy.

- Holmes, masz podręczny zestaw próbek osiemdziesięciu siedmiu rodzajów gleby Izraela? - zawołał do Peretza.

Miriam roześmiała się z dowcipu, zrozumiała też, do czego Dukas pije i weszła do sypialni. Rozkruszyła w palcach odrobinę błotnej skorupy.

- Piaszczysta - powiedziała. Wzruszyła ramionami, zaśmiała się. - Cały Izrael jest piaszczysty.

- Qatib był archeologiem - stwierdził Dukas.

Jeśli ta wiadomość ją zaskoczyła, to nie dała tego po sobie poznać.

- Nie miał pracy. Z tego, co wiadomo policji, utrzymywała go ta kobieta.

Wyszli na korytarz, który biegł do suwanych drzwi na mały taras. Kiedy Dukas był w sypialni, Miriam pozagłądała w miejsca, gdzie inni szukali już materiałów dowodowych - w dnach szuflad, w spluczce, pod kuchennym blatem. Niczego nie znalazła.

- To miejsce jest dla nas bezużyteczne. Albo nic tu nie było, albo ktoś inny wszystko zabrał.

Peretz, który właśnie wrócił z tarasu, wskazał na płataninę kabli i listwę przepięciową.

- Miała komputer.

- Albo on.

- Nie była biedna.

- Czym się zajmowała?

- Znaleźliśmy ją na stronie internetowej z ofertami pracy, gdzie określiła się jako „specjalistka w dziedzinie badań ankietowych”. Sądzymy, że pracowała jako wolny strzelec. Dopóki nie zobaczyłam tego mieszkania, myślałam, że była jedną z tych dziewczyn, które nagabują ludzi w centrach handlowych i zadają głupie pytania o to, co kto kupuje, ale teraz sądzę, że musiała zarabiać więcej niż ankieterka. Może rzeczywiście jest jakąś specjalistką

- A może to on zarabiał więcej, niż pani myśli.

Dukas wrócił do przeglądania ubrań, po chwili Peretz i Miriam Gurion dołączyli do niego i we trójkę posprawdzali każdy ciuch z osobna, zwracając uwagę na szwy i obmacując materiał w poszukiwaniu ukrytych przedmiotów. Niczego nie znaleźli.

Podczas jazdy z powrotem do Tel Awiwu zapytał Miriam, jak Palestyńczyk z dyplomem z archeologii mógł zarabiać na życie. Roześmiała się. Opowiedziała o przepisach zabraniających nielegalnych wykopalisk, o przepisach zabraniających wywożenia zabytków z kraju. Opowiedziała o łamaniu tych przepisów i finansowaniu terroryzmu ze sprzedaży antyków na czarnym rynku.

- Oczywiście, po drodze ciągle dochodzi do korupcji. Palestyńczycy domagają się swojej doli, nawet gdy zakładają na siebie pas z materiałami wybuchowymi. - Zagłębiła się w fotelu.
- Palestyński idealizm - prychnęła.

Kiedy wysadzili ją przy ulicy Dizengoffa, Dukas wysiadł i odprowadził Miriam kilka kroków, żeby oddalić się od Abe'a.

- Nie chcę jeszcze bardziej komplikować pani pracy, ale chciałbym porozmawiać z tym facetem z Jaffy. - Spojrzał jej w oczy. - Porozmawiam z nim tak czy inaczej.

- Ma pan do załatwienia mnóstwo innych spraw.

- I je załatwiam. Ale zamierzam załatwić i tę sprawę.

- Powinien się pan skupić na swoim dochodzeniu, panie Dukas. Jeśli dowiemy się czegoś więcej o Jaffie, powiadomimy pana.

Złapał ją za ramię, bo odwróciła się, żeby wejść do komisariatu.

- Proszę nie dopuścić, żeby pani życie osobiste przeszkadzało w moim śledztwie.

Zarumieniła się i zacisnęła mocno zęby. Zaraz powie coś paskudnego, pomyślał, ale odrzuciła tylko głowę do tyłu, wydeła nozdrza i nie odzywała się przez kilka sekund. Patrząc na niego, zmarszczyła brwi i odgadł, że zrozumiała jego podejrzenia wobec jej kontaktów z mężczyzną z Jaffy i Abe'em Peretzem.

- To dla mnie bolesne - powiedziała.

- Rozumiem. Ale to nie moja wina.

Zerknęła na samochód. Silnik był włączony, Abe zaś siedział z odwróconą głową i patrzył na jezdnię.

- Dobrze, umówię pana z nim. Czy muszę przy tym być?

- Musi mnie pani wprowadzić na teren bazy i przedstawić. Potem może się pani ulotnić.

Cofnęła ramię, ale nie odeszła.

- Ten facet i ja... nasza znajomość przybrała osobisty charakter. Teraz to dla mnie wstydlive. - Zerknęła znowu na samochód.

- Jestem tu po to, żeby dowiedzieć się, kto zamordował Salema Qatiba. Pani życie osobiste to wyłącznie pani sprawa.

Uśmiechnęła się do niego połową twarzy.

- Mam nadzieję.

W jej słowach był jakiś smutek. Jeszcze raz pożałował, że nie jest w jej typie.

W drodze do swojego tymczasowego gabinetu zatrzymał się przed pokojem, gdzie tłumacze pracowali nad kupą bezwartościowych papierów przesłanych przez Mossad. Kiedy zajrzał do środka, jeden z tłumaczy, ciemnowłosy chłopak o smutnej twarzy basseta, podniósł wzrok, zobaczył Dukasa i zrobił skwaszoną minę. Dukas uniósł pytająco brwi. Chłopak zatkał sobie nos. Uniwersalny język migowy.

Dukas odpowiedział na e-maile, z których większość zawierała sugestię, że dochodzenie posuwa się zbyt powoli. Przeczytał dwa wstępne raporty o konsekwencjach wprowadzenia nowych szyfrów w całej Marynarce Wojennej USA. Były tak zniechęcające, że zszedł na dół do baru, kupił dwa kawałki pizzy podgrzanej w mikrofalach, milkshake'a w puszcze i dużą torbę czipsów ziemniaczanych, klapnął na krzesło w gabinecie, odepchnął na bok papiery i spróbował poprawić sobie humor, jedząc i robiąc notatki do raportu, który, jak wiedział, będzie musiał pewnego dnia napisać. Niestety, po zsumowaniu wszystkich spostrzeżeń wyszło mu jedno wielkie zero.

Co, jesteś tu od trzydziestu sześciu godzin i jeszcze się niczego nie dowiedziałeś? Ale z ciebie ciapa! - pomyślał. Skrzywił się z obrzydzeniem.

„Co ja tu robię? - nagryzmolił w notesie. - Usiłuję wyjaśnić cały ten bajzel: dlaczego porwano mojego przyjaciela, dlaczego mój kraj znieważono i dlaczego zamordowano faceta, który służył w marynarce, a którego nigdy nie poznałem. I co do tej pory osiągnąłem?”

Nic.

Spojrzał w notatki z wizyty w mieszkaniu dziewczyny. Błoto na jej tyłku, błoto na kolanach i butach jej faceta.

Zadzwoił na Uniwersytet Michigan i połączono go od razu z dziekanem, który podał mu nazwisko kobiety z wydziału archeologii, niejkiej profesor Gianetti, i nawet osobiście przełączył na jej linię. Przez telefon miała całkiem sympatyczny, lekko nosowy, jakby rozedrgany głos. Zapytał ją, jak można ubłocić sobie dzinsy na kolanach. Roześmiała się.

- W moim fachu większość czasu spędza się na kolanach! - Zachichotała.

- Podczas kopania?

- To zależy. - Spoważniała. - Jeśli chodzi o małe wykopaliska w kraju, można kopać samodzielnie. Wyciąga się starą łopatę i do pracy! Większość roboty wykonuje się na stojąco, ale potem, kiedy dziura jest już głęboka, trzeba uklęknąć, owszem. Żeby naprawdę się tam dostać, rozumie pan? Jednak w przypadku większości wykopalisk, szczególnie tych dużych, ma się dodatkowych pracowników od ciężkiej roboty: zatrudnia się miejscowych. Właśnie wróciłam z Belize, prowadzimy na wybrzeżu wykopaliska osady Majów. Miałam do dyspozycji dziewięćdziesięciu miejscowych robotników. Kopiają rowy... wie pan, jak to jest... Robi się siatkę... Zresztą nieważne. Chodzi o to, że kiedy coś znajdą to wtedy trzeba samemu pracować na kolanach. Nie można dopuścić, żeby ktoś zniszczył zabytkowe przedmioty łopatą. Klęczy się więc nad rowem, zwykle głową w dół, i pracuje najpierw rydłem, a potem łyżką i pędzelkiem. Moim ulubionym narzędziem jest pędzel do akwareli z włosiem z sobolego futra. Jest bardzo miękkie, nie zarysuje nawet przegniłej kości. Ale zarazem jest na tyle sztywne, że można odgarnąć nim ziemię.

- Słyszałem, że na nielegalnych wykopaliskach używa się buldożerów.

- Och, Boże, to nagminne! W ten sposób szybko dociera się do warstwy, gdzie są cenne rzeczy, ale przy okazji niszczy się tony innych przedmiotów. To zbrodnia. Gorzej. Horror.

- Ale udaje im się coś znaleźć?

- O, tak.

- Po co potrzebny by im był profesjonalny archeolog?

- Górne warstwy rozkopują buldożerem, potem posyłają robotników z łopatami, a gdy tylko ci na coś się natkną wzywa się zawodowca, który postępuje tak samo jak ja. Na kolana, rydelek i zasuwą.

- Słyszała pani, żeby coś takiego robili w Palestynie?

Roześmiała się znowu.

- A czy papież jest katolikiem? Cały Bliski Wschód to jeden wielki teren wykopalisk. A poza tym żyje tam mnóstwo ludzi, którzy nie mają pracy ani pieniędzy. To bardzo niebezpieczna mieszanka. To samo jest w Ameryce Środkowej, w zachodnich Chinach, w wielu miejscach. Po prostu koszmar.

Czy na rynek trafia dużo palestyńskich znalezisk?

Prychnęła.

- Mogłabym zaprowadzić pana do galerii, która ma całe tony rzymskich i greckich zabytków pochodzących rzekomo z Pakistanu. Pamięta pan na pewno, jak wyglądała obecność Greków i Rzymian w Pakistanie. Myślę, że Pakistan znaczy tak naprawdę Palestyna. Albo Afryka Północna. Ale owszem, na rynku jest sporo rzeczy pochodzących z Palestyny, w ciągłej sprzedaży, jak to się mówi. Za duże pieniądze.

Dukas zapytał, czy słyszała ostatnio o jakichś nielegalnych wykopaliskach na terenach Palestyny, ale powiedziała, że to nie jej specjalność. Podała mu parę nazwisk i numerów telefonu i obiecała, że popyta w środowisku, ale że o takich sprawach nie mówi się raczej głośno. Zapytał też, czy znała studenta Salema Qatiba, ale jeszcze wtedy nie wykładała na Michigan. Obiecała sprawdzić, kto wtedy uczył.

Potem Dukas usiłował się skontaktować z osobami, które mu poleciła ale jeden z wykładowców był akurat na zajęciach, a drugi na konferencji zagranicznej. Wynotował sobie organizatora konferencji - Międzynarodowe Towarzystwo Archeologii Praktycznej, Madryt - i przez chwilę zastanawiał się, na czym mogłaby polegać archeologia niepraktyczna, a potem znowu zadzwonił do Pigoreau do Hagi. Pigoreau był „na zebraniu”, ale młoda kobieta ze smakowitym holenderskim akcentem powiedziała, że dopilnuje, aby otrzymał wiadomość, którą Dukas poddyktował: „Dowiedz się czegoś o niedawnych nielegalnych wykopaliskach w Izraelu albo na terenach palestyńskich”.

Potem zadzwonił do Trifflera.

- Nie ma go. - Telefon odebrał jeden z agentów specjalnych, facet o nazwisku Bilson. I od razu wziął Trifflera w obronę. - Ale pracuje nad jakąś sprawą.

- Czy sugerowałem, że jest inaczej?

- Chce go pan skontrolować?

- Powiedz mu, żeby do mnie oddzwonił subito⁶.

Rozsiadł się wygodnie i popatrzył na ścianę. Ten, kto wcześniej zajmował gabinet, pozostawił mnóstwo dziur po gwoździach, a nad samym biurkiem liczne ślady po taśmie klejącej. Może po zdjęciach. Albo po notatkach i numerach telefonów.

Pomyślał o obojgu Peretzach, potem o samym Peretzcu i pani Gurion, a wreszcie o Salemie Qatibie i o tym, jakim musiał być człowiekiem, skoro wyuczył się trudnego, trochę niepraktycznego zawodu i skończył bez pracy. Ale może - może - uprawiał swój zawód

⁶ subito - (wł.) natychmiast (przyp. red.).

nielegalnie. Najpierw Marynarka Wojenna - w jego aktach nie znalazł nic złego, ale musiał to jeszcze sprawdzić - potem dwa lata studiów magisterskich, nic nie wskazywało na to, że przeciągnął termin wizy albo złamał amerykańskie prawo. Potem powrót do domu, a kilka lat później mieszkał z kobietą w ładnym mieszkanku, do którego przynosił dużo błota.

Dukas zanotował: „Żadnych narzędzi archeologicznych w mieszkaniu: rydli, pędzelków. Gdzie one są?”

Kiedy zadzwonił telefon, Dukas wciąż wpatrywał się w ścianę i uzupełniał notatki.

- Dukas - powiedział, spodziewając się Trifflera.

- Tu sierżant Gurion.

- Sierżant! Ach, pani Gurion.

- Proszę mi mówić Miriam. - Jej głos nie brzmiał zbyt przyjaźnie. - Możemy pojechać do Jaffy o czwartej, jeśli ma pan czas.

- Świetnie!

Nie sprawdził, czy nie ma innych zobowiązań. Jaffa była ważniejsza od wszystkiego, co mogłaby mu zorganizować ambasada.

- Mój przyjaciel jest bardzo nerwowy. Chce wiedzieć, dlaczego pan przyjeżdża - powiedziała z wyrzutem.

Zachowywała się jak kwoka broniąca swoich piskląt.

- To chyba oczywiste.

- Nie dla niego. On się boi.

Dukas się zawahał. Przez telefon nie mógł powiedzieć nic, co uspokoiłoby czy to porucznika w Jaffie, czy też Miriam Gurion.

- Wezmę wóz ambasady i szofera. - Tak naprawdę zamierzał wziąć faceta z ochrony ambasady jako szofera. Nie chciał skończyć tak jak Al Craik. - Podjechać po panią?

Powiedziała, że pojedzie własnym samochodem i spotka się z nim na miejscu. Podała mu adres i wskazówki, jak tam dotrzeć. Wciąż miała nieprzyjemny głos.

Dukas zszedł znowu do baru, kupił następny kawałek pizzy, pudełko ciasteczek Ho-Ho-Ho i dużą kawę. Kiedy wrócił do gabinetu, okazało się, że w czasie jego nieobecności zadzwonił Triffler i zostawił wiadomość, że zadzwoni znowu. Na biurku leżała też karteczka z wiadomością od „pana Shloma” z prośbą o spotkanie o piątej „tam, gdzie spotkali się poprzednio”. Dukas wykręcił numer do Trifflera.

- Naprawdę pracowałem - zapewnił Triffler. - Rozmawiałem z ekspertami.

- Mam nadzieję, że o czymś istotnym.

- Jesz coś? Masz taki głos, jakbyś mówił z pełnymi ustami.

- To tylko przegryzka.

- Jasne. Rozmawiałem ze specjalistami od kradzionych dzieł sztuki i nielegalnego handlu antykami. Neapol to prawdziwe centrum biznesu, wiedziałeś o tym? Wytwarza się tu około trzydziestu procent fałszywych zabytków dostępnych na światowym rynku. Specjalizują się raczej w sztuce zachodnioeuropejskiej, szczególnie z okresu renesansu i średniowiecza, a nie w zabytkach bliskowschodnich, ale jeśli chciałbyś mieć ładną, świeżo zrobioną grecką rzeźbę z wielowiekową patyną, to mogę ci taką kupić jakies trzy przecznice od biura.

- Nie tego akurat szukam.

- Jeśli chodzi o prawdziwe zabytki pochodzące z takich miejsc jak Gaza, moi eksperci radzą Ateny. Mają tam mnóstwo takich cacuszek, zarówno oryginalnych, jak i podrabianych. Dostałem kilka nazwisk.

- Myślę, Dick, że szukamy miejsca bardzo niedawnych wykopalisk bo może właśnie tam zabili naszego faceta. Niewykluczone zresztą, że z ich powodu.

- Eksperci mówią, że jeśli władze Autonomii Palestyńskiej albo Hamas złapią człowieka na kopaniu bez ich zgody, to śmierć w takim wypadku jest i tak najłagodniejszą karą.

- Ale nasz gość, żywy czy martwy, trafił w ręce Mossadu.

- Czy jesteśmy tego pewni? Zresztą jeśli robił w tym biznesie, to możliwe, że Mossad wziął go w obroty, żeby dowiedzieć się, kto za tym stoi. Mówiono mi, że zarówno Autonomia, jak i Hamas finansują część działań terrorystycznych właśnie z zysków z nielegalnego handlu zabytkami. To dobry powód, by Mossad zajął się tym na poważnie.

Dukas mruknął pod nosem, a potem powiedział:

- Popytaj swoich nowych kumpli o najnowsze wykopaliska. Oczywiście nielegalne. Chcę znać miejsce i nazwiska ludzi, którzy byli w nie zaangażowani.

Triffler spytał, czy to już wszystko, czy też ma jeszcze ściągnąć gwiazdkę z nieba, ale obiecał, że się tym zajmie, a potem oświadczył, że ma pomysł. Dukas jęknął - tylko *pro forma*, bo Triffler często miewał dobre pomysły - a Triffler powiedział, że chce polecieć do Aten.

- Przestań się wykręcać od pracy biurowej.

- Mike, to krótki przelot. Mogę tam być jutro rano. Chciałbym się spotkać z sześcioma ludźmi, mam ich nazwiska, adresy, wiem, jak do nich dotrzeć. Możliwe, że już po pierwszym dniu będę coś wiedział.

- Mamy w Atenach biuro z agentami, którzy to mogą bez trudu zrobić za ciebie.

- Ale nie są tak dobrze poinformowani jak ja.

- Czyżby w Atenach nie działały telefony?

- Ci ludzie nie będą rozmawiać przez telefon.

Pospierali się, bo Dukas chciał mieć w biurze kogoś tak dobrego jak Triffler, a nikogo takiego nie było. Ale z drugiej strony...

- No dobra. Jeden dzień. Jutro wieczorem będziesz z powrotem, dobrze?

- Jasne. Mamy bilety na *Madame Butterfly*.

- Cieszę się, że tak dobrze rozumiesz swoje obowiązki.

Potem Dukas zadzwonił do szefowej ekspozytury CIA i zapytał, czy może zająć jej trochę czasu. Zgodziła się poświęcić mu pięć minut około trzeciej. Potem uporał się z papierkową robotą, której do tej pory unikał, zjadł coś, pogawędził z Peretzem i na koniec stawiał się w jej gabinecie.

- Antyki - powiedział. - Terytorium palestyńskie.

- Duży interes - odparła. - Duży problem dla Izraelczyków.

- Jak duży?

Nie dysponowała dokładnymi liczbami, ale mogła przytoczyć sporo faktów dowodzących, że mnóstwo samobójczych zamachów bombowych i ataków raketowych finansuje się właśnie w ten sposób.

- Palestyńczycy temu zaprzeczają i może rzeczywiście część gotówki pochodzi z jakiegoś innego źródła. Ale to tylko kwestia księgowości. W każdym razie, większość pieniędzy mają z handlu zabytkami, legalnego i nielegalnego.

- Po drodze dochodzi do przekrętów?

- Jasne, przecież to Autonomia Palestyńska.

Dukas popijał kawę z tekturowego kubeczka.

- Myślę, że zabójstwo, które badam, może być z tym związane. - Uniosła brwi, dając do zrozumienia, że nie jest zaskoczona. - Kto rozdaje karty po stronie palestyńskiej?

Zachichotała.

- Nazywają go Poborcą Podatkowym. Bo tyle pieniędzy zdobywa. Facet nazywa się Mahmud Rahman Hamal. Kiedyś był szeregowym żołnierzem Fatahu, potem awansował, dostał się do aparatu bezpieczeństwa Autonomii. W latach siedemdziesiątych przeszedł solidne przeszkolenie w KGB. Wyślę panu jego życiorys.

- Są jakieś szanse, żeby z nim pogadać?

- Prawdopodobnie żadne - mruknęła, a potem zreflektowała się i dodała: - We własnym mniemaniu Hamal jest ważną osobistością. To tak, jakby pan był zwyczajnym izraelskim gliną proszącym o spotkanie z Johnem Ashcroftem. A ponadto Palestyńczycy podejrzliwie traktują wszelkie spotkania.

- A gdybyśmy zaproponowali pieniądze?

- Niech pan nawet o tym nie myśli! Sądzę, że Hamal jest dumnym człowiekiem, ma się za człowieka honoru, człowieka szlachetnego. Obraziłby się, gdyby go pan tak potraktował.

Dukas zerknął na zegarek i stwierdził, że pięć minut minęło.

- Wystarczyłaby mi rozmowa z kimś z niższego szczebla, jeśli wiedziałby coś na temat ostatnich wykopalisk. - Wstał i pochylił się w jej stronę. - Mogłoby to leżeć również w ich interesie.

- Nie, jeżeli to oni zabili Qatiba.

- A potem zlecieli Mossadowi zajęcie się zwłokami? Nie wydaje mi się to możliwe. Czy mogłaby pani przynajmniej ich wysondować?

Popatrzyła na niego jak na niezbyt świeżą rybę w sklepie.

- Ocenię sytuację. Ale bez względu na wszystko, panie Dukas, nie chcę, żeby spotykał się pan z jakimkolwiek wysoko postawionym Palestyńczykiem. Nie mówi pan po arabsku, prawda? Nie orientuje się pan zbyt dobrze w tutejszej sytuacji. Nic spełnia pan naszych wymagań i nie realizuje naszych celów. Certyfikat bezpieczeństwa nie czyni z pana jeszcze oficjalnego przedstawiciela rządowego. - Teraz i ona wstała. - Może mogłabym przekazać im wiadomość albo zadać kilka pytań. Ale musiałby pan działać poprzez pośrednika, który spełniałby moje wymagania.

O dziwo, nie wkurzyła go, mimo że często irytowali go ludzie z Agencji. Uznał, że uczciwie postawiła sprawę. Wyciągnął rękę.

- Z wdzięcznością przyjmuję wszystkie warunki.

Z Michigan zadzwonił ktoś nowy, tym razem był to uczony o głębokim głosie nazywający się Joe Bernstein, który sprawiał wrażenie, jakby bardziej pasował do klanu harleyowców albo drużyny strażackiej.

- Salem Qatib był moim studentem. Miałem być promotorem jego pracy magisterskiej, ale nigdy jej nie napisał.

- Dlaczego?

- Pisanie przychodziło mu z dużym trudem. Potrafił się nauczyć materiału, zdawał testy, dyskutował na zajęciach, ale nie umiał pisać. W terenie był świetny: dobre oko, doskonały na wykopaliskach. Ale nie potrafił sklecić sensownego akapitu. Tak więc nie napisał pracy, nie uzyskał magisterium, a bez magisterium nie miał szans na pracę. Ani na późniejszy doktorat.

- Dlatego wrócił do Palestyny?

- Tam też liczą się tytuły naukowe.

Nie w przypadku nielegalnych wykopalisk, pomyślał Dukas.

Jaffa

Kierowca-ochroniarz przywiózł Dukasa do podupadłej bazy marynarki w Jaffie kilka minut przed czasem, dając mu możliwość obejrzenia terenu zza bramy. Dzięki temu Dukas lepiej zrozumiał, co Craik mówił o rozmieszczeniu budynków i ich opłakany stan. Przypomniawszy sobie, co jeszcze Craik powiedział: facet, z którym miał się spotkać, nazywał się Mosher, był porucznikiem, za starym na tę rangę. Craik spekulował, że facet popełnił kiedyś jakiś poważny błąd i został tu zesłany, aby czekać na emeryturę.

Mosher. Dukas szukał wolnych skojarzeń dla żydowskich nazwisk. Słyszał o kimś, kto nazywał się Mosze Oiszer - kantor? Dukas wychował się w dzielnicy zamieszkaną częściowo przez Żydów, w greckiej piekarni jego ojca nauczono się wypiekać niekoszerne żydowskie ciasta. Do szkoły średniej chodziło pełno żydowskich dzieciaków, wiele z nich było pod presją rodziców, którzy wymagali ciężkiej nauki i osiągnięć. Dukas dobrze się z nimi dogadywał, słuchał, jak mówią, przyswajał nazwiska w rodzaju Mosze Oiszer, usiłował dobrać się niektórym żydowskim koleżankom do staników, do czasu, gdy ich matki wyraźnie mu tego nie zabroniły.

Zasymilowani Żydzi, pomyślał. Wczoraj wieczorem Bea Peretz wypowiedziała te słowa, jakby były obelgą. Dukas zauważył żartobliwie:

- Nie sądziłem, że są jeszcze jacyś inni.

A ona odparła jadownicie:

- Wielu z nas próbuje znowu być prawdziwymi Żydami!

Wielu z nas aspiruje do powrotu do prawdziwych korzeni, pomyślał. Prawdziwi chrześcijanie, prawdziwi muzułmanie, prawdziwi Żydzi, prawdziwi hindusi. On na przykład starał się być prawdziwym gliniarzem.

- Do pana?

Usłyszał głos opartego o bok samochodu kierowcy, rosłego, budzącego respekt faceta w okularach z lustrzanymi szklami i czarnej koszulce polo, której krótkie, obcisłe rękawy uwydatniały mięśnie ramion podobne do górskich łańcuchów.

Dukas wyjrzał i zobaczył Miriam Gurion, która zaparkowała kilka długości samochodów dalej. Wsiadł.

- Tak, spotykam się z nią.
- Chce pan, żebym z panem poszedł?

Szofer wiedział, po co tu są.

- Za Chiny nie wniesiesz broni za bramę.

Facet nosił przypasaną do brzucha kaburę, czytelny znak, że ma spluwę. Zresztą o to chodziło. Powiódł wzrokiem wzdłuż ogrodzenia i powiedział:

- Idę o zakład, że mógłbym przerzucić pistolet przez siatkę i podnieść go po trzydziestu sekundach, i nikt by się nie kapnął.

Dukas spojrział na bramę, na umundurowanego chłopaka pełniącego wartę. Wyglądał na jakieś trzynaście lat. Nawet jego karabin szturmowy H&K wydawał się starszy.

- Masz ukrytą spluwę?
- Mogę mieć.
- Zostaw ten pas z kaburą i chodźmy.

Nie widział wykrywacza metalu, a wątpił, by dzieciak miał dość ikry, żeby urządzić dryblasowi rewizję osobistą, wyglądał raczej na kapcana.

Dukas uśmiechnął się do siebie - „kapcan”. W szkole osłuchał się trochę z jidysz. Kapcan, hucpa, siksa. Słowa, które nie przydały mu się na razie w Izraelu, pomyślał. Wetknął głowę z powrotem do samochodu, właśnie w chwili, gdy szofer pakował pas z kaburą pod swój fotel.

- Chcę, żebyś był uosobieniem milczącej groźby, dobrze? Nie zdejmuj okularów, rób ponurą minę, skrzyżuj ręce na piersiach i nic nie mów. Kapujesz?

Facet się wyprostował.

- Mam na imię Roger.
- W porządku, Roger.

Miriam Gurion zaprowadziła ich do bramy, mruknęła coś do dzieciaka, który poprosił o okazanie paszportów, a potem ich przepuścił. Miriam wskazała drogę ledwo uniesionym palcem. Nie była w nastroju do rozmowy. Dukas starał się patrzeć oczami Ala Craika, przypominając sobie, co tamten mówił. Czwarty Pułk Królewskiej Piechoty Morskiej. Obok biuro na piętrze w opuszczonym poza tym budynku, Craik widział tam otwarte okno, teraz wszystkie były zamknięte. Widział też w drzwiach, dziś także zamkniętych, faceta w szortach i miał wrażenie, że to jeden z tych, którzy zgarnęli go z ulicy.

Wtedy porucznik Mosher - to musiał być Mosher - podszedł do nich z zalęknionym uśmiechem. Drobny, pochylony człowieczek, mało przypominał żołnierza. Kapcan. Miriam

przedstawiła ich sobie, Dukas uściśnął mu dłoń, ale nie przedstawił Rogera. Miriam powiedziała, że jest umówiona gdzie indziej, i poszła. Mosher był przerażony.

- Jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać? - spytał Dukas.

- Nie rozumiem, dlaczego pan tutaj przyjechał.

- Lepiej gdzieś usiądźmy.

Dukas rozejrzył się dookoła, jakby miejsce, gdzie można usiąść, miało się za chwilę zmaterializować na zaniedbanym trawniku.

Mosher zaprowadził ich za róg budynku po prawej stronie, a potem kamiennymi schodami do środka. Budynek był otynkowany, prawdopodobnie wzniesiony przez Brytyjczyków, może jeszcze w czasach pierwszej wojny światowej. Szli korytarzem, podłoga skrzypiała pod ich stopami, a na rogu znajdowało się biuro Moshera. Kiedy Roger podążył za nimi, podłoga zadudniła, jakby biegło po niej stado bizonów.

Żadnej recepcjonistki ani sekretarki. Oprócz nich, pomyślał Dukas, w budynku nie ma żywego ducha.

- Czym pan się tu zajmuje? - zapytał.

- Administruję bazą.

Mosher miał stary, sześć- albo siedmioletni komputer z przedpotopowym monitorem kineskopowym. Metalowe kartoteki przy ścianie wyglądały jak z lat pięćdziesiątych. Z jednego okna widać było budynek naprzeciwko, a z drugiego, zapuszczony plac musztrowy.

Dukas spojrział na plac.

- Bunkier na amunicję jest tam?

- Eee... tam, gdzie znaleźliśmy tego... no...?

- Gdzie znaleźliście Qatiba.

- Tak, tam.

- Nie widzę.

- Stąd nie da się go zobaczyć.

Dukas stanął przy krawędzi okna i przycisnąwszy policzek do ściany, dojrzał zarośnięty trawą wzgórek z ocienionym rowem od przodu.

- Owszem, można - powiedział.

Mosher siadł za biurkiem. Dukas przysunął sobie spod ściany krzesło i też usiadł - nie najlepsza sytuacja: jako przesłuchujący zajął niewłaściwe miejsce, a przesłuchiwany mógł się czuć bezpiecznie na własnym terytorium i osłonięty ciężkim meblem. Roger oparł się o ścianę naprzeciwko i zrobił groźną minę.

- Jeśli pański przyjaciel chce usiąść.... - zaproponował Mosher.

- Tak jest w porządku.

Dukas położył na biurku dyktafon.

- Ma pan coś przeciwko?

- Ja... nie... tak...

Mosher był zdezorientowany, nie bardzo zrozumiał.

- Czy zgadza się pan, żebym pana nagrywał?

- Cóż... nie.

Dukas patrzył na niego tak długo, aż w końcu tamten odwrócił wzrok. Schował dyktafon do kieszeni uniósł brwi, wysunął podbródek jakby chciał powiedzieć: „To na pańską odpowiedzialność”. W rzeczywistości nagrywanie rozmowy nie miało większego sensu, bo nie wiązało się z żadnymi prawnymi konsekwencjami. Dyktafon był tylko przydatnym rekwizytem teatralnym. Mimo to Dukas nie wyłączył go w kieszeni.

- Proszę opowiedzieć o znalezieniu ciała.

- To nie ja je znalazłem. Tylko oni.

- Znalazł pan inne zwłoki dwa lata temu.

- Tak. - Zdawało się, że Mosher zaczyna odzyskiwać siłę - jak facet z greckiej mitologii w zetknięciu z ziemią, tak on zyskiwał moc w zetknięciu z biurkiem. - To był zły chłopak, gangster, został zastrzelony i wciągnięty przez ogrodzenie do środka. - Skinął podbródkiem w stronę okna.

- Za ziemianką na amunicję?

- Daleko za tym, co pan nazwał ziemianką na amunicję.

- To nie jest więc ziemianka na amunicję?

- Bunkier na amunicję, myślę, że to lepsze słowo. Ale od dawna nie ma tam żadnej amunicji.

Mosher poczuł się na tyle mocny, że pozwolił sobie na ton wyższości.

Dukas zapisał: „bunkier na amunicję”, powtarzając słowa pod nosem.

- Został wciągnięty przez ogrodzenie do środka?

- Tak.

Zanotował i wymamrotał „wciągnięty przez ogrodzenie”, a potem zapytał:

- Przez kogo?

Mosher pozwolił sobie na uśmiezek.

- Gdybyśmy wiedzieli, postawilibyśmy winnych przed sądem.

- Cóż, powiedział pan „wciągnięty do środka”, zdaje się więc pan wiedzieć, jak się tu znalazł, dlatego pomyślałem, że wie pan również coś więcej o tym, kto to zrobił.

- Nie. - Mosher znów się uśmiechnął. - Nie.

- Dziwne miejsce na porzucenie zwłok.

- Jest zdziczałe i znajduje się na uboczu. - Mosher znów skinął brodą w stronę okna. -

Tam, na tyłach bazy.

- W płocie była dziura?

- Nie, z całą pewnością nie. Ogródzenie jest z drucianej siatki. Dolny kawałek został odcięty i tamtędy wciągnięto ciało.

- Ktoś musiał być po drugiej stronie, żeby je wciągnąć.

- Przecież powiedziałem: druty zostały przecięte! Potem ktoś przelazł na drugą stronę i wciągnął ciało. To było dwa lata temu! Co to ma wspólnego ze mną?

Dukas udał, że sprawdza coś w notatkach.

- Powiedział pan, że pierwsze zwłoki leżały tam przez kilka dni.

- Owszem.

- Ale... - Przewertował notes. - Powiedział pan komandorowi Craikowi, że strażnicy patrolują teren codziennie. - Podniósł wzrok. - To prawda?

- Oczywiście! Ale... to żółtodzioby, rezerwiści... a chaszcze są tam wysokie. Nie zauważyli, to wszystko.

- To było w... lutym? - powiedział na chybił trafił.

- Nie! W sierpniu!

- Aha. Gorąca pora roku. Zwłoki leżące kilka dni na słońcu musiały paskudnie cuchnąć.

- Właśnie dzięki temu je znaleziono,

Dukas długi czas przewracał kartki i przeglądał notatki. Te akurat dotyczyły sprawy przemocy małżeńskiej w Neapolu.

- Od jak dawna zarządza pan obiektem, poruczniku?

- W marcu upłynie sześć lat.

- Sześć lat! - Dukas się uśmiechnął. - To długo jak na jedno stanowisko.

Mosher znów pozwolił sobie na uśmiech.

- Odpowiada mi to.

- Widzę. - Dukas zamknął notes. - Co pan takiego zrobił?

Mosher popatrzył na niego zdezorientowany.

- Słucham?

- Co pan takiego zrobił, poruczniku, że zesłano pana do tej dziury na sześć lat? Nie ma pan personelu ani dowództwa, tylko zarośnięty chaszczami teren i kilka wałujących się

budynków. W Ameryce facetów, którzy dostają taką służbę, nazywa się dupami wołowymi. Jest pan dupą wołową, poruczniku?

Mosher wytrzeszczył oczy.

- Nie muszę się z niczego... Obraża mnie pan!

Poderwał się z krzesła i sięgnął po telefon. Dukas zerknął na Rogera i skinął głową. Umięśniony ochroniarz dwoma krokami przemierzył pokój, podniósł telefon z biurka, wyjął wtyczkę z gniazdka, a potem oparł się plecami o drzwi i skrzyżował ręce na piersi.

- Co pan takiego zrobił? - zapytał Dukas.

Moshera znowu opuściły siły.

- Złożę zażalenie!

- Spieprzył pan coś tak, że został zesłany tutaj, na tę cholerną Syberię. Potem pojawił się trup i miał pan romans z sierżant Gurion, a ona jakoś zamiotła aferę pod dywan.

- To bardzo obraźliwe!

- Jest pan żonaty, poruczniku?

- Nie miałem romansu z sierżant Gurion!

- Owszem, miał pan. Opowiedziała mi o tym. - Dukas otworzył znowu notes i zaczął go kartkować. - Ma wyrzuty sumienia. Z powodu pańskiej żony. - Odczekał. Mosher siedział teraz uczepiony krawędzi biurka. - I ze względu na swoje policyjne obowiązki. Dlatego teraz otwiera znowu dochodzenie. - Przynajmniej to ostatnie było prawdą. A może wszystko. - Co pan takiego zrobił? Co pan spieprzył?

Mosher popatrzył na niego, na Rogera, na budynek za oknem. Jego wargi wyglądały jak ponton, z którego uchodzi powietrze. Pomyślał o czymś, co go zabolalo, a potem wziął się w garść i powiedział:

- Byłem w załodze łodzi podwodnej, która osiadła na mieliźnie.

- Na mostku?

Mosher wzruszył ramionami.

- Za sterami?

- Nie! - zezłościł się w końcu. - Nie miałem nic wspólnego z dowodzeniem okrętem.

Znalazłem się na mostku, ze względu na... charakter swojej służby... - Zacisnął zęby. -

Zginęło dwóch ludzi. Były sądy wojskowe. Mnie nie postawiono przed sądem.

- Ale zesłali pana tutaj.

- Zostałem oczyszczony z zarzutów.

- Złożył pan zeznania obciążające innych.

Dukas był tego prawie pewien. Wiedział, jak to się załatwia we współczesnej marynarce wojennej.

Mosher przygryzł dolną wargę.

- Ta rozmowa jest skończona - oświadczył.

- Poruczniku Mosher, wie pan, co to znaczy „robić wszystko na jedno kopyto”? Zna pan to wyrażenie? Właśnie z takim przypadkiem mamy do czynienia. Z ludźmi, którzy zabijają i znają tylko jeden sposób pozbycia się zwłok. Widzi pan, nie wierzę w zbieg okoliczności. Sierżant Gurion też. Nie uwierzy w nie także wasz sąd wojskowy. - Uniósł dwa palce. - Dwa ciała. Jedna przyczyna. - Jedna przyczyna, jeden palec. Zrobił pauzę. - Robota kogoś stąd.

Mosher patrzył mu w oczy, rozciągając w palcach gumkę recepturkę i oblizując wargi.

- Kto to zrobił?

Dukas czekał. Mosher odwrócił wzrok. Dukas znowu poczekał jak kotlista odliczający takty ciszy, a potem pochylił się gwałtownie do przodu, przygrzmocił pięścią w blat i krzyknął:

- Kto to zrobił?!

Mosher aż podskoczył i z przerażoną miną sięgnął do kieszeni po komórkę. Dukas, który wciąż trzymał pięść na biurku, pochylił się jeszcze bardziej, tak że głową prawie dotykał nosa Moshera warknął:

- Spróbuj zadzwonić, a jeszcze dziś wsadzę cię do izraelskiego pierdła.

Mosher zawahał się z aparatem w lewej dłoni i prawą ręką gotową do wciśnięcia klawiszy. Odchylił się do tyłu, ale do nikogo nie zatelefonował.

- Nie zrobiłem tego.

- Ale wie pan, kto zrobił.

- Wie pan, kto ukrył ciała.

- Nie, nie...

- Poruczniku, nie obchodzi mnie pańska przyszłość. Nie chcę prowadzić dochodzenia przeciwko panu, ale jeśli wejdzie mi pan w drogę, to pana zdepczę. Wie pan, kto ukrył tu ciała, i z tego powodu robi pan w gacie ze strachu. Czego się pan boi? Tego, że zabiorą panu tę głównianą robotę, a razem z nią emeryturę? Poruczniku, jeśli mi pan nie pomoże, dopilnuję, żeby stracił pan i robotę, i emeryturę, i żonę! Kto to zrobił?

Mosher oblizwał wargi.

- Kto ukrył tu ciało? Oba ciała. - Nie wiem. Ale mogę się... domyślać.

- Proszę mówić dalej.

- Był tu... jeden oficer. O tam. - Skinął głową w stronę okna po prawej stronie, na budynek, gdzie Craik widział biuro i faceta w szortach. - Może oni... mieli coś wspólnego z... pewnymi sprawami.

- Kto?

- Pracownicy biura. Wie pan.

- Jakiego biura?

Mosher wzdrygnął się, wzruszając ramionami.

- Nazywało się... Muszę przetłumaczyć z hebrajskiego... Dział... Sprawdzianów...

Wodnych... nie, Morskich... Sprawdzianów?

Dukas zerknął przez ramię na Rogera, ale ten stał nadal obojętny jak posąg.

- Dział Sprawdzianów Morskich. „Sprawdziany” mi tu nie pasują?

- Eksploracji Morskiej? Byli naukowcami?

- Eee... nie wydaje mi się.

- Ilu?

- Czterech. Czterech facetów.

- Sekretarka? Jakież kobiety?

- Nie. Tylko ci czterej.

- Mundurowi?

- Nie. Cywile.

- Czterej cywile, nienaukowcy, w firmie o nazwie Dział Eksploracji Morskiej. Był pan kiedyś w ich biurze?

- Nie miałem tam dostępu. - Mosher przełknął ślinę. - Czasami nie pojawiali się w ogóle.

- Jeden, dwóch... wszyscy czterej?

- Wszyscy czterej.

- Żadnych gości, zakaz wstępu, ale musieli się jakoś komunikować. Linia telefoniczna? -

Dukas odchylił się trochę do tyłu, ale nie odrywał wzroku od twarzy Moshera. Teraz

dostrzegł, że Mosher próbuje się wymigać, i uderzył otwartą dłońią w blat. - Poruczniku!

- Myślę, że na dachu jest... antena.

- Satelitarna.

- Może.

Dukas rozsiadł się wygodnie i przerzucił stronę w notatniku.

- Dobrze, już prawie skończyliśmy. - Uśmiechnął się. Twarz Moshera lśniła od potu. -

Kto panu powiedział, żeby trzymać gębę na kłódkę?

Mosher oblizwał wargi, zamrugał i otarł rękami policzki. Trzęsły mu się dłonie. Dwukrotnie chciał coś powiedzieć, ale milkł. Odwrócił głowę na bok jak ludzie, którzy mają się do czegoś przyznać. Wreszcie wyszeptał:

- Miałem telefon. Od człowieka, którego kiedyś poznałem. Był tu, kiedy zaczynałem służbę. Potem wrócił, kiedy znaleźliśmy pierwsze zwłoki. A tym razem zadzwonił. Powiedział coś w rodzaju, że... wiem, co mam robić, i zdaję sobie sprawę, ile od tego zależy.

- Cywil?

Potaknął.

- Nazwisko?

Pokręcił głową.

- Nie powie mi pan czy po prostu pan go nie zna?

- Nie znam jego nazwiska. Za pierwszym razem pojawił się z oficerem, którego znałem. Tamten jest już na emeryturze.

Dukas zanotował nazwisko emerytowanego oficera, ale uznał, że na niewiele mu się przyda.

- Czy ci czterej faceci z Działu Eksploracji Morskiej kiedykolwiek o czymś z panem rozmawiali?

- Oni... - Mosher wyprostował się, zadawnione urazy znalazły ujście. - Traktowali mnie jak obiekt żartów. Zawsze ze mnie pokpiwali. Jakby dzielili ze mną jakiś paskudny sekret. - Popatrzył na Dukasa z cierpieniem w oczach. - Ale ja nigdy niczego im nie mówiłem.

Dukas zamknął notes, wstał i polecił Rogerowi, żeby odstawił telefon na miejsce. Uścisnął Mosherowi dłoń, poklepał go po ramieniu i powiedział:

- Teraz chciałbym obejrzeć ich biuro.

Mosher wyglądał, jakby miał za chwilę paść trupem albo wybuchnąć, lecz Dukas nakłaniał go i przekonywał tak długo, że wreszcie poszli do biura. Było zamknięte na dwa zamki, a Mosher nie miał kluczy. Dukas poprosił go, żeby ktoś przyniósł drabinę, a potem wspiął się i zajrzał do środka przez okno. W biurze nie było widać nic specjalnego - żadnych kartotek, komputerów, tylko parę biurek, kanapa i telefon. Oprócz tego jeszcze lodówka, kuchenka mikrofalowa. Butle z tlenem. Sporo kolorowych pism - z dziewczynami i sportowcami - i duży telewizor. Potem wdrapał się na dach i obejrzał antenę satelitarną.

Kiedy już jechał z Rogerem z powrotem do Tel Awiwu, zapytał:

- Znasz takich facetów? Takich jak z tego biura? Biura bez pracy biurowej?

- Może.

- Byłych żołnierzy jakiejś formacji. - Roger popatrzył na niego w lusterku. - Może dawnych komandosów. Na przykład z SEAL?

- Mnóstwo takich facetów pałęta się po świecie.

Kiedy wrócili do ambasady, Roger podjechał samochodem na tyły i pokazał Dukasowi, gdzie jest wejście. Potem obaj wysiedli. Roger zdjął okulary, ukazując mądre, uważne oczy byłego żołnierza. Uśmiechnął się do Dukasa.

- Dobry pan jest. - Uścisnął mu dłoń. - Przyjemnie było popatrzeć. - Roześmiał się. - Chociaż porucznik Mosher musiał to widzieć inaczej.

Dukas nie czuł się przyjemnie. Pragnął raczej schować się w jakimś ocienionym miejscu, gdzie przez dziurkę mógłby poprosić o rozgrzeszenie.

Zamiast rozgrzeszenia doczekał się kary. Gdy tylko zasiadł w swoim tymczasowym gabinecie, zajrzał do niego Peretz, który oznajmił:

- Izraelczycy znowu odmówili ci zgody na ekipę kryminologiczną. Ambasador mówi, że decyzja jest ostateczna: nie ponawiaj próby.

Dukas spojrział na zegarek. Był już spóźniony na spotkanie, które zaproponował Eshkol. Przed wyjściem spróbował się jeszcze raz dodzwonić do Pigoreau w Hadze i usłyszał ten sam smakowity holenderski głos. Pigoreau był w tej chwili nieuchwytny, ale zostawił wiadomość, że jego znajomy z Sekcji do spraw Kradzieży Dzieł Sztuki ONZ słyszał coś o niedawnych nielegalnych wykopaliskach w Gazie. W Atenach też się o tym plotkowało. Sekretarka przeczytała Dukasowi nazwisko człowieka, z którym powinien się skontaktować, a ten zadzwonił do Neapolu i kazał przekazać je Trifflerowi. Potem udał się na spotkanie z Eshkolem.

Afganistan

Alan powiedział podczas odprawy, że będą w Kandaharze, lecz w rzeczywistości byli z Fidelem we wsi nieopodal, gdzie znajdowało się stare więzienie i kilka chatynek na krzyż. Miesiąc wcześniej wioska została zbombardowana, ale pozostały tu także zniszczenia dokonane przez Sowieców w latach osiemdziesiątych i później przez talibów. Budynek obecnego więzienia wzniesiono kilkaset lat temu, był to wówczas pałacyk, meczet lub magazyn - a tę funkcję zaczął pełnić dopiero dzięki komuś, kto wiedział, czym jest rozpacz.

Armia amerykańska zagnała tam teraz sporo „zatrzymanych”, jak nazywano każdego, kto choćby pokazał żołnierzowi Stanów Zjednoczonych środkowy palec.

Alan przypuszczał, że dawno temu z więzienia korzystali też Brytyjczycy. Z pewnością ceglana wieża, która stała nieopodal, przypominała mu inną, którą widział w Afryce i którą wzniesli Brytyjczycy. Ta, podobnie jak tamta, była prostą budowlą na planie kwadratu, pustą w środku, wysoką na trzy kondygnacje i zaopatrzoną w schody, dach oraz umieszczoną wysoko platformę. Służyła do wieszania ludzi.

On i Fidel schronili się pięćdziesiąt metrów dalej, w domu, który mógł kiedyś należeć do dyrektora wiejskiej szkoły albo do Brytyjczyka. Jeden z narożników domu był zburzony, a wewnątrz zrujnowane, ale oczyścili jeden z pokoi i rozłożyli tam sprzęt i śpiwory. Było to i tak lepsze od namiotu. Pod jedną ze ścian ostały się jeszcze półki, a na nich książki, niektóre w farsi, inne po angielsku. Wśród tych ostatnich przeważały lektury dla młodzieży z lat dwudziestych poprzedniego stulecia, ilustrowane niewyraźnymi czarno-białymi zdjęciami egzotycznych krajów i ludów, a poświęcone takim tematom, jak uprawa ryżu. Znalazło się też kilka wydanych w epoce wiktoriańskiej, tak zniszczonych przez czas, że ich posklejane kartki zmieniły się w miękką, podziurawioną przez robactwo masę. Alan przywiózł własną lekturę, lecz Fidel musiał sobie czegoś poszukać. Wreszcie znalazł angielskie tłumaczenie *Iliady*, wydanie z 1898 roku, z nalepioną po wewnętrznej stronie okładki karteczką z napisem: „Biblioteka Kolegium Nauczycielskiego Świętego Jerzego w Peszawarze”.

- Wie pan, że nigdy tego nie czytałem? - powiedział Fidel.

- To teraz masz szansę.

- Uzupełnić lukę w wykształceniu, tak. - Fidel spojrzał na pierwsze wersy. - A pan to czytał?

- To o wojnie trojańskiej.

Fidel przeczytał z nadmierną, komiczną w założeniu emfazą:

- „Gniew, Bogini, opiewaj Achilla, syna Peleusa, zgubę niosący i klęski nieprzeliczone Achajom, co do Hadesu tak wiele dusz bohaterów potężnych strącił, a ciała ich wydał na pastwę sępom drapieżnym oraz psom głodnym”⁷.

- Rzeczywiście o wojnie. Achilles był bogiem, prawda?

- Hm, myślę, że półbogiem. Jego matka była boginią.

Alan miał czytać, które kupił w Bahrajnie: jedną z tych mało przekonujących powieści wojennych, w których bohater na ostatnich trzydziestu stronach ocala świat, a przedtem

⁷ Fragmenty *Iliady* w przekładzie Kazimiery Jeżewskiej.

przeżywa więcej przygód niż prawdziwi żołnierze w ciągu całego życia. Ale przynajmniej miał się czym zająć, czekając na przybycie reszty oddziału z porwanym jeńcem. Jeśli w ogóle mieli na kogo czekać.

- Kto to jest Agamemnon? - spytał Fidel.

Alan, który siedział na ziemi, opierając się plecami o ścianę - bo nie było żadnych krzeseł - oderwał się od lektury, która i tak wydawała mu się beznadziejna, i spróbował wyjaśnić to, co pamiętał z dawnych zajęć w college'u. Potem znów wrócił do czytania, ledwie jednak zdążył złapać wątek, Fidel powiedział:

- Ten facet, Achilles, tak się wkurzył, że ten drugi zabrał mu kobitkę, że odwołał cały atak. O co mu, kurde, chodzi?

Alan wygrzebał z pamięci fragment dawno przerabianego opracowania.

- O honor?

Czytali dalej. Od czasu do czasu Fidel bez zapowiedzi czytał na głos jakiś kawałek. Zdawał się zdumiony samą historią, brutalnością opisów, rozlewem krwi, całą tą jatką.

- I to wszystko z powodu kobiety? - zdziwił się.

- Nie sądzę, żeby chodziło o samą kobietę. Raczej o utratę twarzy i statusu.

- Powiedział pan, że o honor.

- No... honor był czymś publicznym... dotyczył tego, jak cię postrzegają inni,

- I wszyscy cały czas się przechwalają.

- Cóż, zdaje się, że to też mieści się w ich pojęciu honoru.

Fidel pokręcił głową i zabrał się znów do lektury. Po kilku minutach się odezwał:

- Cała ta pieprzona wojna też była z powodu kobiety. Heleny.

- Tak, Heleny. Bo jej porwanie okryło Agamemnona hańbą. Zdaje się, że hańba też stanowiła ważny element ich pojęcia honoru.

- Chrzanić to, komandorze. Gdyby ktoś nawiał z panią Bush, to czy pan poszedłby z tego powodu na wojnę?

- My jesteśmy inni.

- No chyba.

- Ale... Może Helena była dla nich tym, czym dla nas jedenasty września. - Wsparł się na łokciu i odłożył książkę. Pytanie Fidela wydawało mu się teraz znacznie bardziej interesujące niż wyssana z palca fabuła powieści. - Myślę, że chodzi o to, jak ludzie sami się postrzegają. Kim są w środku, w głębi serca. Kiedy się uderzy w ten czuły punkt, w człowieku budzi się prawdziwa bestia. Dla nich to była Helena, dla nas jedenasty września. Jedenasty września

zachwiał naszym przekonaniem, że jesteśmy dobrzy i niezwycięzeni, że Bóg jest po naszej stronie, a John Wayne nas ocali.

- Zostaliśmy zaskoczeni, chodziło o tysiące ludzi, o furę pieniędzy. A tamtym poszło o jedną kobitkę!

Alan sięgnął po swoją książkę, lecz rozmyślił się i położył tylko dłoń na lśniącej okładce.

- Trzeba sobie zadać pytanie, o co warto toczyć wojnę. - Sam wierzył w wojnę, jeśli przyświecał jej jakiś wielki cel, wierzył w wojnę sprawiedliwą, wojnę konieczną. Wojnę z prawami, konwencjami, regułami. Ale taką, którą trudno wywołać. Wojna homerycka, musiał przyznać, nie miała sensu. Czy też raczej jej sens był zupełnie inny: nie chodziło o wolę czy przeznaczenie narodu ani o narodową konieczność, tylko o osobisty „honor”. Przypomniało mu się coś jeszcze. - Wcale nie jest tak, że Homer twierdzi, iż wojna to coś wspaniałego. Jeśli dobrze pamiętam, pod koniec wszystko wydaje mu się bezcelowe. Tak jakby się z tobą zgadzał, zadaje pytanie: i to wszystko z powodu kobiety? - Alan chciał dodać jeszcze: „To wszystko z powodu jedenastego września?”, lecz zachował tę uwagę dla siebie, bo jako oficer wywiadu wiedział, że jedenasty września nie był tak wyjątkowy, przerażający i potężny, jak większość myślała. I żaden bohater nie zapobiegł mu na ostatnich trzydziestu stronach. Jednak nie był to pogląd popularny, a nie chciał się posprzeczać z Fidelem, z którym kiedyś miał pewne przejścia.

Obaj wrócili do lektury. Raz Fidel powiedział ze śmiechem:

- To dobrze uchwycił. - A później dodał: - Chryste, znam faceta, który jest zupełnie taki sam.

Dzień miał się ku końcowi, zrobiło się szaro i zimno, Alan siedział teraz w śpiworze, zaczął prószyć śnieg. Wcześniej zjedli parę puszek konserw i Alan uciął sobie drzemkę. Obudził się i doczytał powieść prawie do końca i można się już było tylko spodziewać jakiegoś zupełnie niewiarygodnego połączenia trzech czy czterech wątków i wspaniałego wyczynu przystojnego, białego, inteligentnego oficera amerykańskiego, który ocali świat, a przynajmniej całą Flotę Pacyfiku.

- Niech pan posłucha tego! - powiedział Fidel. - To naprawdę bomba. Bez jaj. - Nie zapytawszy, czy Alana w ogóle to interesuje, przeczytał na głos: „Odysejowi Meryjon luk wręczył razem z kołczanem oraz swój miecz. Głowę jego hełmem przyodział ze skóry szczelnym. A hełm ten rzemienie liczne i gęsto splecione wewnątrz wzmacniały. Po stronie zewnętrznej zaś zęby białe błyszczącokłęgo odyńca tu i tam były rozsiane pięknie, ozdobnie. A w środku hełm pilśnią był wyłożony”.

Podniósł wzrok na Alana.

- Fajne, nie? Zęby odyńca! Jak, u licha, można zrobić hełm z zębów odyńca?

Alan nie pamiętał tego fragmentu. Myślał, że wszystkie hełmy starożytnych Greków były metalowe.

- Może to symbol. No, wiesz, jak te głupie miecze, które się widuje na okładkach powieści fantasy: nie przekroiłbyś takim nawet chleba, ale fajnie wyglądają.

- Może zęby odyńca sterczą na wszystkie strony jak w koronie. Myśli pan, że to by się zgadzało? „Zęby odyńca tu i tam rozsiane, pięknie, ozdobnie”. To musiało być mnóstwo zębów. Odyńce to prawdziwe bestie, prawda? Trudne do upolowania.

- Może właśnie o to chodziło: „Patrzcie, ile odyńców zabiłem. Jaki jestem wspaniały”.

- Nie, hełm był przekazywany z pokolenia na pokolenie, przechodził z rąk jednego wojownika do rąk następnego, jakby był naprawdę cenny.

- Odys, nazywany przez Rzymian Ulissem - Alan zacytował znów to samo stare opracowanie - jest bardzo ważną postacią. Zawsze towarzyszy mu określenie „roztropny” albo „przezorny”. To właściwie archetyp oficera wywiadu.

- No tak, zakłada ten hełm, żeby w nocy wypuścić się na przeszpiegi. Może właśnie tego nam trzeba, komandorze: hełmów z zębami odyńca.

- Ludzie na pewno zwróciliby na nas uwagę.

Alan westchnął, zastanawiając się, czy czytać zakończenie powieści, bo wiedział, co się kroi. Wielkie bum i tra-ta-ta, które nie ma zupełnie nic wspólnego z prawdziwym życiem żołnierza, bo ten siedzi przede wszystkim w zimnym, pustym domu i czeka na to, co się stanie. Pomyślał o „fajnym” hełmie Fidela. To prawda, hełmy rzeczywiście są fajne. Tak jak w ubiorze pilota wojskowego - hełm zawsze był najważniejszy, na nim umieszczano swoje nazwisko oraz znak dywizjonu. Pilot w hełmie z zębami odyńca prezentowałby się doskonale.

Alan ziewnął i wrócił do lektury.

- O, cholera - rzucił Fidel. Wyglądał na zdegustowanego. - Odys i ten drugi facet idą na zwiad i łapią chłopaka wysłanego na przeszpiegi przez Trojan, i... uwaga, komandorze... Odys mówi do tego dzieciaka... gdzie to jest?... a, tutaj. Więc mówi tak: „Nie bój się! Niechże w twojej duszy o śmierci myśl nie postoji!” A ten chłopak jest nieuzbrojony, nie? Jest jeńcem. Odyseusz przesłuchuje go, a dzieciak mówi wszystko jak na spowiedzi, a potem... a potem... ten drugi facet go zabija: „Diomed w środek szyi go ugodził mieczem z nienacka i przeciął obydwie żyły zarazem. Jeszcze coś mówił, gdy głowa jego upadła w kurzawę”. To ma być „honor”? Chryste, to nawet nie jest dobra robota wywiadowcza: jeśli zabije się jeńca, który wszystko wyśpiewał, to następny będzie milczał jak grób!

Fidelowi chodziło o to, pomyślał Alan, że zabijanie jeńca było zarówno głupie, jak i naganne z moralnego punktu widzenia. W każdym razie teraz, bo wtedy najwyraźniej nie. Teraz honor polega na dotrzymaniu słowa: mów, a ja cię nie zabiję. I na przyjmowanym milcząco etycznym przekonaniu: Nie będę cię torturował bez względu na wszystko. Nawet dla nagrody, chwały, wyróżnień...

- Cóż... - Alan był zaskoczony, że tak dużo pamięta z Iliady. - Grecy nie postępowali w zgodzie z Konwencją Genewską, prawda?

- „Przezorny Odys”, gówno prawda. Nie nadałby się do taktycznej jednostki wywiadu piechoty morskiej, bez dwóch zdań. - Fidel pokręcił głową. - Ci ludziska byli dziwni, po prostu dziwni.

Pół godziny później Alan po raz trzeci tego dnia poszedł do jednostki sił specjalnych znajdującej się w odległej części więzienia, gdzie była aparatura komunikacyjna. Kiedy wrócił, Fidel wciąż czytał z zainteresowaniem.

- Przykro mi, że muszę ci przeszkodzić - powiedział Alan - ale grupa operacyjna wy dostała się z Iranu. Mają go.

Fidel miał rozczarowaną minę.

- Tak szybko?

- Są już w powietrzu, lecą do nas. Będą za parę godzin. Mamy robotę.

- Racja.

Fidel włożył książkę do jednej z kieszeni spodni i wstał, przeciągając się i rozprostowując nogi po godzinach siedzenia na podłodze. Strzeliło mu w kolanie. Dogonił Alana, który był już w drodze do więzienia, gdzie wcześniej wybrali stare biuro, miał to być pokój przesłuchań. Fidel zażartował:

- Niech pan obieca, komandorze, że nie utnie pan facetowi łba, kiedy już z nim skończymy, dobrze?

Neapol

Carol Triffler była sceptyczką z charakterem. Zbliżała się do czterdziestki i przyjmowała to z filozoficznym spokojem, miała kościstą figurę i pociągłą twarz, wcześniej pracowała jako nauczycielka, a teraz, gdy dzieci prawie dorosły, robiła magisterium z zarządzania. Podobnie jak Rose Craik, matkowała po trosze Leslie - co było o tyle dziwne, że Leslie doskonale radziła sobie we wrogim świecie.

- Czy chcę przyjść na kolację? - mówiła właśnie Carol. - Jasne, z przyjemnością bym poszła. Ale będzie też Noreen.

Noreen miała siedemnaście lat i w związku z tym potrafiła dać się we znaki.

- W porządku. Wybieramy się całymi rodzinami. Rose weźmie swoją dwójkę. Mówi, że neapolitańczycy uwielbiają rodziny.

- Kochanie, neapolitańczycy umieją powstrzymać się od uwielbienia, gdy widzą kolor skóry. Nigdy nie darowali sobie Etiopii, jeśli wiesz, co mam na myśli. Rose sądzi, że Alan naprawdę zdąży wrócić?

- Przypuszczam, że nie wyjedzie z Bahrajnu bez niego. Mają urlop na miesiąc. Marynarka im to obiecała.

- Och, Marynarka obiecała, no to świetnie! Wiesz, ile warte są te obietnice? Jakies ćwierć dolca. Czy twój mąż też wróci?

- Powiedział, że wyjeżdża na jakiś tydzień, a wie, że jesteśmy umówieni. Będzie się starał.

- Wiesz, że właśnie wysłał mojego męża do Aten? Myślisz, że ci dwaj mówią nam wszystko, co wiedzą?

- Och, Carol, musisz myśleć pozytywnie!

- W tym wypadku jedno wyklucza drugie. Jestem pewna, że Marynarka znajdzie sposób, żeby popsuć nam plany. A jak tam dzidziuś?

Leslie, osoba prawdomówna i w podświadomości feministka, wymamrotała, że to jeszcze nie dzidziuś. Potem rozluźniła się i usiadła wygodnie, czekając na wykład. Carol Triffler miała zdecydowane poglądy.

Tel Awiw

Dukas spóźnił się o godzinę, gdy dotarł z powrotem do hotelu, a kawiarnia była już zamknięta. Przynajmniej wydawało mu się, że Eshkol chciał się umówić w kawiarni, „gdzie spotkaliśmy się wcześniej”. Ale kwadrans po szóstej w gorący wieczór ludzie nie spotykali się w hotelowych kawiarniach - bo te zamykano.

Dukas zajrzał do dwóch hotelowych restauracji, nie spodziewając się wiele i niczego nie znajdując. Większe nadzieje wiązał z barem, który mieścił się w podziemiach. Stał w nagłym mroku i poczekał, aż oczy przyzwyczajają się do ciemności i dymu papierosów. Ze

schronienia, jakie dawał ozdobiony lustrami wiktoriański wieszak rozmiarów kolonialnego monumentu ku chwale imperium, rozejrzał się po sali. Eshkol siedział samotnie na tapicerowanej ławie, w miejscu, gdzie był łatwo widoczny od samych drzwi - bez wątpienia właśnie na tym mu zależało. Dukas obserwował go przez chwilę. Eshkol palił, pił piwo i rozglądał się po sali. Nie wyglądał na faceta, któremu by się spieszyło.

Dukas skinął na kobietę w średnim wieku, która roznosiła drinki, a ta podeszła z uśmiechem, który mówił, że chętnie przyjęłaby napiwek, ale jest już przepracowana. Dukas wyciągnął notes i przeczytał jej fonetyczny zapis „Działu Eksploracji Morskiej”. Popatrzył na nią. Powiedziała coś po hebrajsku.

- Rozumie pani, co powiedziałem? - zapytał.

Kiwnęła głową, powiedziała po hebrajsku coś innego, bardziej niecierpliwie i bez uśmiechu. Wręczył jej pieniądze i poprosił, żeby przekazała mężczyźnie siedzącemu na ławie, że ktoś z Działu Eksploracji Morskiej chce się z nim tutaj widzieć.

Wzięła banknot, uraczyła go szerszym uśmiechem i ruszyła do Eshkole. Dukas wycofał się za wieszak i czekał, aż Eshkol podszedł do wyjścia. Minę miał poirytowaną i trochę zaniepokojoną. Krępy, powściągliwy facet z lekko przygarbionymi barkami, wyglądał, jakby chciał komuś przylać. Zlustrował wzrokiem wejście, nieduży bar, fotele, dwie kobiety i mężczyznę, którzy tam stali, i wreszcie zobaczył Dukasa, który opierał się o ścianę z taką miną, jakby czekał, aż ktoś usiądzie na pierdzącej poduszce.

- Szalom - powiedział Dukas. - Od całego Działu Eksploracji Morskiej.

Eshkol podszedł bliżej. Wciąż wyglądał, jakby miał ochotę komuś przylać. Może Dukasowi.

- Porozmawiajmy - zaproponował Dukas i wyminął go, idąc w kierunku ławy.

Niezręcznie jest wyciągać od kogoś informacje, gdy siedzi się do tej osoby bokiem. Może właśnie dlatego Eshkol wybrał ławę. Skoro jednak sam umówił się na spotkanie, zdawało się, że zależy mu raczej na przekazaniu informacji niż ich uzyskaniu. Jednak sam wybór miejsca sprawił, że Dukas pomyślał, że informacje mogą okazać się niewiele warte. Mimo to usiadł, a Eshkol osunął się ciężko na siedzisko obok, tak że zetknęli się ramionami. Dukas zamówił maccabee.

- Długo czekasz? - spytał Dukas.

- Jest pan, jak to mówią Amerykanie, „słodki”, panie Dukas.

- Gdzie tam, jestem przystojniakiem i twardzielem. Tamta dziewczyna z odkrytym pępkiem jest słodka.

Eshkol napił się piwa i spojrzął w głąb sali.

- Zabawił się pan ze mną jak z dzieckiem.

- Cóż, wciąga się coś na maszt, a potem się patrzy, kto saltuje. - Dukas spróbował piwa, zasmakowało mu. Po chwili się odezwał: - No dobrze, dość już o mnie. Co wiąże cię z tymi facetami z Działu Eksploracji?

Eshkol zaczął odklejać ze swojej butelki etykietę.

- Chciałem się z panem spotkać, żeby powiedzieć, że odwiedziny w mieszkaniu tej dziewczyny w Akce to niemądry pomysł.

- Właśnie to kazał ci powtórzyć Tar-Saloman?

Eshkol milczał przez chwilę, zanim odpowiedział. Była to jego jedyna reakcja, gdy usłyszał nazwisko szefa.

- Ja to panu mówię.

- Inni pojawili się tam wcześniej. Cała kupa ludzi.

- My też, oczywiście. - Eshkol odwrócił głowę i spojrzał na Dukasa. - Myśli pan, że jesteśmy głupi? Oczywiście, że tam byliśmy. Nie zaprzeczam.

- Dlaczego tam poszliście? Co was interesowało?

- Zdjęliście taśmę policyjną, żeby się tam dostać.

- Taśma już wcześniej została zdjęta, leżała na podłodze. Drzwi nie były zaryglowane.

- Ta policjantka narobi sobie kiedyś dużych kłopotów. Działała poza swoją jurysdykcją. Wiele kilometrów poza nią.

- Nie zostawiliście nam zbyt wiele do przejrzenia. Właściwie straciliśmy tylko czas. A wy coś znaleźliście?

Eshkol roześmiał się nieszczerze.

- Wie pan, że nie mogę tego powiedzieć. Nie byliśmy tam jednak pierwsi.

- A kto był wcześniej?

Eshkol znów zaczął skubać etykietę.

- Jeśli będzie pan nadal wpychał się w różne miejsca bez pozwolenia zostanie pan wydalony z Izraela. Może do tego dojść.

- A zatem to jest ten komunikat? Powód spotkania? „Wycofaj się albo cię wyrzucimy z kraju”?

- Przebywa pan tutaj za zgodą państwa Izrael. Demarché daje panu niejaką ochronę, ale proszę nie sądzić, że ma pan pełną swobodę.

- Rzeczywiście. Właśnie się dowiedziałem, że znowu odrzuciliście moją prośbę o sprowadzenie ekipy kryminologów. „Witajcie w Izraelu proszę zgłosić wszystkie narzędzia dochodzeniowe na granicy”. Zamierzam złożyć skargę.

Eshkol znów się zaśmiał.

- Szaron będzie przerażony.
- To opowiedz mi o Dziale Eksploracji Morskiej.
- Nigdy o niczym takim nie słyszałem.
- No nie, daj spokój!

Eshkol pokręcił głową.

- W bazie w Jaffie jest biuro: czterech facetów, butle z tlenem do nurkowania i stos magazynów z gołymi babkami, przy których można walić konia przez resztę życia. Czterech facetów z anteną satelitarną, dużym telewizorem, kanapą i mnóstwem pisemek dla przygłupów. Czterech facetów, którzy wykorzystują biuro do tego, żeby się wałkonić i czekać na rozkazy.

- To jakaś kiepsko prowadzona firma.
- A mnie się wydaje, że to czterech zbirów na zamówienie.

Eshkol wzruszył ramionami.

- Gdzie oni są?

Eshkol skinął na kelnerkę, a gdy podeszła, powiedział coś, co wcale nie zabrzmiało jak „następna butelka maccabee”. Rzucił na stół trochę pieniędzy i wysunął się zza stolika.

- Zawiodłeś mnie, Michael. Myślałem, że jesteś mądrzejszy.
- I to jest ta twoja wiadomość?

Eshkol stał teraz nad nim i pochylił się tak, żeby nikt go nie podsłuchał.

- Przestań na nas tak mocno naciskać, to jest moja wiadomość. Musimy sobie radzić z innymi, naprawdę poważnymi problemami, Michael, z naprawdę złymi ludźmi. Ciągłe naciski z twojej strony są nam naprawdę niepotrzebne. - Spojrzał Dukasowi w oczy. - Pozwól nam wykonywać swoją robotę. Nie wchodź nam w drogę. - Zabrzmiało to jak prośba, a nie żądanie.

- Kiedy dostanę zwłoki do autopsji? - nie ustępował Dukas.

Eshkol wyprostował się i wymamrotał:

- Jezu!

A potem odszedł. Dukas wrócił na górę do swojego pokoju, zadzwonił do żony i zachciało mu się seksu. Potem zamówił do pokoju kanapki i lody truflowe, zasiadł z książką telefoniczną na kolanach przed włączonym telewizorem i zaczął szukać Działu Eksploracji Morskiej - trudna sztuka dla kogoś, kto nie czyta po hebrajsku.

W Izraelu mieszkało pełno ludzi, których matka Raya Spinnera zwykła nazywać „osobami narodowości żydowskiej”, bo słowo „Żydzi” mogłoby ich urazić. Byli tam nie tylko ludzie, którzy wyglądali jak amerykańscy Żydzi, ale i tacy, którzy wyglądali jak Żydzi etiopscy, jemeńscy, rosyjscy i palestyńscy. Spotykało się tu także Żydówki w bluzkach bez pleców i obcisłych szortach oraz Żydów w czarnych kapeluszach i z pejsami. Królowały tu żydowskie jedzenie, żydowska muzyka, żydowskie zapachy, żydowski język, który sprawiał na Spinnerze wrażenie hałaśliwego i szorstkiego, mimo że nie rozumiał ani słowa z tego, co się mówiło. Było nawet mnóstwo ludzi, którzy nie wyglądali na Żydów.

Departament Obrony znalazł mu hotel trochę z dala od centrum miasta, zupełnie porządny i nieduży, doskonały na przykład dla turysty z Danii, któremu zależałoby na tanim miejscu noclegowym. McKinnon prawdopodobnie zadrwił sobie z niego, lokując go właśnie tam - Spinner wyobrażał sobie, że szef polecił agencji znaleźć coś „mało amerykańskiego”. Amerykanie na oficjalnych delegacjach musieli się zatrzymywać w naprawdę dobrych hotelach, bo w grę wchodziły względy bezpieczeństwa. Spinner, bez delegacji i żadnych oficjalnych gilejtów, został zakwaterowany w miejscu, gdzie bombą domowej roboty mógłby go wysadzić w powietrze dwunastolatek. Gdyby komukolwiek w ogóle chciało się wysadzać w powietrze taki przybytek. Łazienka, rozmiaru budki telefonicznej, nie miała wanny i została wygospodarowana kosztem sypialni, która i przedtem nie była zbyt przestronna. W wystroju dominował plastik i tandetne okleiny.

- Szalom i aj waj - powiedział Spinner.

Rozpakował się, wydobyl kartkę z urzędowymi instrukcjami i strasznie się namęczył, przemierzając tak zwaną „trasę antyinywigilacyjną” i wykonując mnóstwo skomplikowanych procedur, aż wreszcie spotkał się twarzą w twarz z Habakukiem w kawiarni, gdzie jak sądził, żaden z klientów nie mył rąk po skorzystaniu z kibla.

- Jestem Habakuk - oznajmił mężczyzna, jakby był jakąś znaną osobistością. Miał około pięćdziesiątki, blond włosy poprzetykane siwizną, garnitur, krawat i minę srogiego kaznodziei. Spinnerowi przypomniało się, że McKinnon mówił, iż Habakuk jest wykładowcą akademickim, i facet rzeczywiście tak wyglądał. Tak się również zachowywał: jak krytykant przekonany o własnej wyższości, i człowiek, który nie ma czasu dla nikogo oprócz Boga. - Czego chcesz?

Spinner pomyślał, że powinien wstać i odejść, bo każdy mógłby powiedzieć, że jest Habakukiem, ale kim jeszcze mógłby być - Jasserem Arafatem? Spinner położył więc łokcie na stole, zrobił najbardziej wojowniczą minę, jaką tylko potrafił, i powiedział:

- Salem Qatib.

- Chcesz spotkać się z kimś, kto nazywa się Salem Qatib?

- Był powiązany z nielegalnym handlem zabytkami. Chcę nawiązać kontakt z ludźmi, którzy się na tym znają.

Teraz, gdy wypowiedział tę myśl na głos, zabrzmiała głupio. Wręcz idiotycznie.

Habakuk zachował jednak powagę i skupienie.

- Informacje kosztują. Trudne kontakty kosztują jeszcze więcej. - Ku zaskoczeniu Spinnera, zaczął się uskarżać. - Moje życie w tym kraju jest bardzo drogie. Zdobywanie informacji, które dostarczam, nie jest łatwe. Ani tanie! I tak dość się już dla was poświęcam.

- Wiemy o pańskich potrzebach. - Spinner nie miał zielonego pojęcia o potrzebach tego faceta, ale zorientował się, że powinien okazać pewność siebie. - Możemy... zrekompensować pańskie wyrzeczenia. Do pewnej sumy.

- Robię to z umiłowania wolności.

- Oczywiście.

Habakuk uderzył się pięścią w pierś.

- Moje serce bije dla wolności Izraela jak dzwon! Wolność! Wolność! Wolność! Tej sprawie oddałem życie. Mam jednak swoje potrzeby. Wy nie docenicie moich potrzeb ani poświęceń. Mam dwie córki i syna. I żonę, która jest... cudowną kobietą, ale nie... Ona nie rozumie mojego zaangażowania. Nie wie nic o tym życiu... - Wykonał charakterystyczny gest, pokazując palcem to Spinnera, to siebie. - Zachowywanie pozorów normalności ma w mojej pracy pierwszorzędne znaczenie. To znaczy, pracy, którą wykonuję dla was. Ale ona nie może żyć samym powietrzem! Moja żona, ma się rozumieć. A moje dzieci. Czy je też mam poświęcać dla swojej namiętności? Czy mają chodzić w łachmanach, niewykształcone, niedożywione? Nie. Muszą pozostać dziećmi inteligentnymi, tak bym mógł kontynuować naszą pracę.

Powtórzył znów ten sam gest. „Naszą” pracę.

McKinnon mówił, że facet jest przekupny. A jednocześnie idealistycznie nastawiony. Cóż, McKinnon miał rację.

- Możemy panu zapłacić. Pewną sumę.

- Potrzebuję dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

W pasie pod spodniami Spinner miał schowane dziesięć tysięcy w studolarowych banknotach. Mógł zdobyć więcej forsy, gdyby zaszła taka konieczność: McKinnon wydedził od wyżej postawionych neokonserwatystów z Departamentu Obrony nazwę banku skłonnego do współpracy.

- Zapłacimy za konkretne rezultaty - oświadczył.

Nie chciało mu się iść teraz do kibla, żeby spuścić spodnie i wyjąć forszę.

- Potrzebuję dwudziestu pięciu tysięcy.

- Zobaczymy. Musi mnie pan skontaktować z ludźmi, którzy wiedzą coś o nielegalnym handlu zabytkami. Z Palestyńczykami.

Habakuk zassał ze świstem powietrze, jak gdyby kontakty z Palestyńczykami kosztowały znacznie więcej.

- To jest niebezpieczne - powiedział. - Zrobiłbym to z umiłowania wolności... - znów uderzył się w pierś - ale mam określone potrzeby. Moje życie nie jest łatwe. Olbrzymia presja. Wrogowie. Usługi wywiadowcze.

- Dostanie pan wynagrodzenie. Ale najpierw muszę mieć jakieś wyniki. - Spinner zacisnął mocno zęby, starając się wyglądać nieugięte i stanowczo. - Chcę również, aby skontaktował mnie pan z Deborą.

Habakuk aż się wzdrygnął.

- Przenigdy! - Uderzył pięściami w stół, ale lekko, bezgłośnie. - Nawet za milion dolarów w gotówce nie wydam wam Debory!

Spinner usiłował go przekonać rzeczowymi argumentami, a potem błagalnymi prośbami. Na próżno. Habakuk nie mógł przekroczyć pewnej granicy, powtórzył tylko, że nie ustąpi nawet za duże pieniądze. Koniec rozmowy. Obaj naburmuszyli się, a potem zmienili temat.

Habakuk zadał kilka pytań o to, czego dokładnie Spinner chce: kontaktu z rzeczywistymi handlarzami zabytków, z Palestyńczykami, którzy wykopują je z ziemi, a może z Palestyńczykami, którzy rządzą całym procederem? Albo z policją?

- Ten człowiek, o którym pan wspomniał: kto to taki?

- Salem Qatib.

Właśnie.

- Qatib nie żyje.

Habakuk znowu zassał powietrze. Cena rosła. Spinner streścił mu to, co wiedział o śmierci Qatiba. Habakuk oznajmił, że ma kontakty w policji - wszędzie miał zresztą kontakty, był wart tyle złota, ile ważył - i zapewnił, że wysonduje sprawę.

Potem zastanawiali się nad tym, jak się znowu spotkać, i Habakuk powiedział, że te całe szpiegowskie gierki nie są warte funta kłaków i że zawsze można się z nim skontaktować poprzez pewien sklepik z cygarami, pytając o pana Ashplanta.

- Myślałem, że to pan wymyślił tę całą pokrętną trasę - powiedział Spinner. - Te wszystkie procedury.

Habakuk wzruszył ramionami.

- Chciałem pana trochę pośledzić. Zobaczyć, z kim mam do czynienia.

Rozstali się. Spinner czuł się wyczerpany tą pierwszą szpiegowską przygodą, lecz jednocześnie się cieszył. Udało się! Odbył prawdziwe tajne spotkanie. Nadał sprawom bieg. Odniesie sukces!

Trzej agenci Mossadu, dwie kobiety i mężczyzna, śledzili go przez całą drogę z kawiarni do hotelu. Wcześniej dwaj inni agenci dokładnie przeszukali jego pokój.

Godzinę później sprawozdanie Habakuka ze spotkania ze Spinnerem trafiło do analityka Mossadu, który przekazał je szefowi Shloma Eshkola, Davidowi Tar-Salomanowi.

Tego dnia w Tel Awiwie zamachowiec samobójca, przypuszczalnie Palestyńczyk, wysadził się w powietrze i ranił ponad dwadzieścia osób. Izraelskie samoloty zburzyły kompleks wojskowy Autonomii Palestyńskiej i siedzibę sił bezpieczeństwa w Gazie. Izraelscy żołnierze zabili dwóch bojowników Hamasu.

14.

Ateny

Piat wymknął się z łóżka Mary szarym świtem następnego deszczowego dnia ateńskiej zimy. Zziębnięty wyszedł z domu Barry'ego i chłód, który czuł na karku, nie odstępował go, gdy maszerował na południe, coraz dalej od Akropolu, przez robotnicze osiedla, między brzydkimi betonowymi blokami. Zawahał się na szczycie ruchomych schodów do stacji metra i zawrócił w nadziei, że dłuższy spacer pomoże mu się pozbyć obrzydzenia.

Nie pomógł.

Piat był wciąż pijany, gdy ruszył w drogę. Otrzeźwiał dopiero, kiedy mijał niekończące się rzędy salonów samochodowych. Potem zaczęło go suszyć. Trafił na godzinę porannego szczytu, był prawie jedynym pieszym w zmotoryzowanym świecie. Tam, gdzie w ramach przygotowań do Olimpiady poszerzono jezdnie, zlikwidowano chodniki. Piata to nie zrażało. Lubił chodzić. W Afganistanie i na Dalekim Wschodzie wyrobił sobie markę agenta gotowego przejść setki kilometrów, podczas gdy inni amerykańscy oficerowie domagali się transportu. Piat wykradł raz Chińczykom w Birmie cennego informatora: minąwszy granicę

przemaszerował sto kilometrów, odebrał faceta i przeprowadził go z powrotem, a szefowie w tym czasie zastanawiali się nad helikopterami i wsparciem z powietrza.

Wspomnienia z Dalekiego Wschodu sprawiły, że pomyślał o George'u Shreedzie. George był zwierzchnikiem Piata, potem jego bohaterem i mentorem, a teraz nie żył. „Wszyscy dobrzy już nie żyją, Niedźwiedziu. Zostali tylko wstrętni manipulatorzy tacy jak ja, biurokraci tacy jak Partlow i frajerzy tacy jak ty”.

Podczas pobytu na Lesbos zaczął się łudzić, że może rzucić to wszystko na zawsze. Teraz z żalem patrzył, jak łatwo wróciły stare nawyki, wyrzuty sumienia i poczucie władzy nad innymi.

Na myśl o tym znów zatęsknił za gorzałą, ale nie napił się, tylko przemaszerował w słocie i spalinach ponad dziesięć kilometrów, zatrzymując się i klucząc z zawodowego przyzwyczajenia. Gdy stanął przed warsztatem Michaiła, młody malarz właśnie otwierał drzwi.

- Dwie wizyty w ciągu dwóch dni! - powiedział Michaił.

Uśmiechnął się i uściskał Piata.

Piat odwzajemnił uścisk. Michaił, trzymając klucze do warsztatu w dłoni, wzruszył ramionami i skinął ręką na ulicę.

- Napiłbym się kawy. A ty?

Kawiarnia miała lśniący szklany kontuar, wytrawione szyby i świeżo malowane ściany, zapach farby przebijał nawet przez aromat kawy. Lokal był nowy, w miejscu kasy stał komputer, a obsługa była szybka i sprawna. Wyglądał jak reklama Unii Europejskiej.

O tak wczesnej porze w kawiarni panował wielki ruch, klienci wchodzili i wychodzili - mężczyźni w garniturach, kobiety w spódnicach, ale także robotnicy budowlani i rzemieślnicy. Michaił zaniósł swoją kawę do stolika i skinął na Piata, żeby usiadł.

- Słuchaj, Saszo - zaczął.

Piat musiał się przystosować do zmiany imienia. Wyszedł z wprawy. Musiał pamiętać, że dla Michaiła jest Saszą.

- Zamieniam się w słuch.

Piat pochylił się do przodu uśmiechnięty, usiłując ukryć zmęczenie i nagłe napięcie związane ze zmianą ról.

- Zamieniasz się? Ach... więc słuchasz mnie uważnie. Jasne. Ta kartka...

Zawahał się.

- Tak? Wiem. - powiedział Piat.

- Masz zdjęcie? Czy ten puchar jest prawdziwy?

- Sam mi powiedz.

- Z rysunku?

Michał pokręcił głową.

- To dobry rysunek. Sam go naszkicowałem.

Michał popatrzył na niego, napił się kawy i wyciągnął rysunek - kartka była już mocno pomięta i trochę zabrudzona. Piat domyślił się, że młody malarz spędził nad nią mnóstwo czasu. Michał położył rysunek na stole, a potem zakrył go rękami i pochylił się do Piata.

- To złoto? - zapytał.

- Tak. Na rysunku jest adnotacja.

- No, jest. Widziałem. Ale musiałem zapytać. A więc to złoto. Z niello? Tam, gdzie zaciemnienia?

Piat zmrużył powieki.

- Tak. Michaile. Przecież to też napisałem.

Michał sprawiał wrażenie nieszczęśliwego.

- Pokaż mi zdjęcie.

Piat rozważył poziom ryzyka, wyciągnął laptop i załadował dysk. Michał przyglądał się ekranowi w milczeniu, lecz gdy pojawiło się pierwsze zdjęcie, mimowolnie otworzył usta.

Piat pozwolił mu oglądać zdjęcia przez minutę. Potem zatrzasnął laptop.

- Dobrze, Michaile. To ten puchar. Falsyfikat?

Michał w zruszył ramionami.

- Czy można by coś takiego podrobić? - spytał Piat.

Michał popatrzył na niego smutno.

- Może tak. Może nie. Kryste. to piękna rzecz! Prawda, Saszo?

Piat przyznał mu rację.

- Daj mi go obejrzyć jeszcze raz.

Piat otworzył komputer. Michał napawał się obrazem na ekranie, popijając kawę.

Wreszcie sam zamknął laptop.

- Dobrze. - Wskazał na rysunek. - Złoto? Pięciu ludzi w Atenach, może dwudziestu w Rzymie i Neapolu i jeszcze dziesięciu w Maroku i Hiszpanii... wszyscy mogliby to zrobić. Złoto, patynę, wklęśnięcia... wiesz?

Piat wiedział. Pokiwał głową.

- Dobra. Niello... może pięciu ludzi na świecie. Może więcej... nie wiem, jak to wygląda w Ameryce. Ja sam mógłbym zrobić takie niello, gdy bym mógł popróbować tego i tamtego,

poeksperymentować, może schrzaniłbym robotę pierwsze dwa albo trzy razy, dopóki bym nie opanował techniki... wiesz?

Tym razem Piat nie wiedział: Michaił mówił teraz jako rzemieślnik, a nie fałszerz. Ale Piat szanował jego opinię, znów więc pokiwał głową,

- Ostatnia rzecz to postaci i... jak to się mówi? Litery? Symbole?

- Pismo linearne B - odparł Piat.

- Wiesz, co to jest? Dobrze. Narysowanie postaci tak, żeby wyglądały, jak należy... czysto, dokładnie, proporcjonalnie i zgodnie z regułami sztuki mykeńskiej... Zostaje ci bardzo niewielu ludzi. A pismo linearne B... nie mam pojęcia, gdzie znaleźć faceta, który jest w stanie coś takiego napisać.

Piat znów pokiwał głową.

- Ale można by tego dokonać.

- Jasne - odpowiedział Michaił, ale pokręcił przecząco głową. - Za pół miliona dolarów mógłbym się tego podjąć.

Piat zrobił zdziwioną minę.

- Aż tyle?

- Zajęłoby mi to z pół roku i musiałbym opłacić wielu ludzi. - Michaił wzruszył ramionami. - Nie podpuszczasz mnie, prawda? Chcesz się po prostu dowiedzieć, czy można by coś takiego zrobić? Można. Ale myślę, że to bardzo mało prawdopodobne. - Michaił wstał, pozostawiając kartkę na stole razem z filiżanką po kawie. - Mam robotę. Posłuchaj, Saszo. Słyszę to i owo. O rzeczach wykopywanych z ziemi, wiesz? Może też o tym pucharze. Bądź ostrożny.

Uściskał Piatowi rękę, a potem wyszedł z kawiarni.

Pół godziny później Piat wsiadł na prom do Lesbos. Wiedział, że nikt go nie śledzi.

Czaruś czekał na pokładzie. Piat spostrzegł go w barze dla pasażerów. Siedział w towarzystwie dwóch starszych mężczyzn w wiatrówkach i stylowych dżinsach. Resztki kaca natychmiast wyparowały Piatowi z głowy: Czaruś miał sprzymierzeńców, którzy nie byli nastolatkami, a to wszystko zmieniało.

A gdzieś tam czaili się jeszcze Izraelczycy. Na tym samym promie? Piat zamknął się w swojej kabinie i pomyślał, że dzięki przestępczości i szpiegostwu turystyka przeżywa rozkwit

Następnego dnia Dukas nudził się jak mops, póki nie odebrał telefonu z Aten od Dicka Trifflera.

Triffler przyleciał do Aten poprzedniej nocy i od ósmej rano wziął się do pracy. Do jedenastej zdążył porozmawiać z czterema z pięciu osób, do których dostał namiary. Z piątą, kobietą, spotkał się na kawie o jedenastej piętnaście i w południe czasu ateńskiego miał dla Dukasa sprawozdanie i był gotów aby wrócić do żony, dzieci i *Madame Butterfly* w San Carlo. Nie odbył tylko rozmowy z pewnym typem spod ciemnej gwiazdy, o którym wspomniał kumpel Dukasa w Hadze, lecz Triffler był przekonany, że to spotkanie i tak nic by nie wniosło do sprawy.

- Miejscowość o nazwie Tel Sharm Heir'at - powiedział Triffler, gdy mieli już za sobą wstępy.

Triffler był dobry w językach obcych, potrafił świetnie wymawiać gardłowe głoski. Może dzięki śpiewowi.

- Co to za miejscowość?

- Znajduje się w Strefie Gazy, niedaleko wybrzeża. Krążą wieści, że całkiem niedawno odkryto tam coś niezwykłego i znaleziska powoli wypływają na rynek. A w każdym razie mówi się o nich.

- Przeliteruj.

Triffler przeliterował „Tel Sharm Heir'at” i powtórzył nazwę kilka razy, żeby Dukas mógł sobie ją fonetycznie zapisać.

- Dobra, co się mówi?

- To bardzo interesujące. Mówi się... taka jest plotka w środowisku archeologicznym, Mike: nikt jeszcze niczego nie widział... w każdym razie mówi się, że zabytki są greckie. Nie egipskie ani inne, jakich można by się spodziewać, tylko greckie, czyli...

- Tak, tak, Aleksander Wielki i tak dalej. No i co z tego?

- Nie, chodzi właśnie o to, że nie z czasów Aleksandra Wielkiego, tylko wcześniejsze! Zabytki są wczesnogreckie, Mike. Wczesnogreckie!

- Sam jestem Grekiem. Co, do licha, znaczy „wczesnogreckie”?

- Nikt nie jest do końca pewien, ale mówi się, że znaleziska są bardzo stare. Zastanów się, Mike. Odlóż komiks... jesteś w Izraelu, co ten kraj może mieć wspólnego z wczesnymi Grekami?

- Nic, do cholery.

- No właśnie.

Dukas skrzywił się do telefonu. Czasami myślał, że Triffler jest od niego bystrzejszy, a czasami, że po prostu wymądrza się dla zgrywy.

- Dobra, jazda z tym wykładem: co takiego mam zobaczyć, czego nie widzę?

- Nie załamuj się. Sam też musiałem poprosić o wyjaśnienia. Właśnie byłem na kawie z fascynującą Greczynką. Około pięćdziesiątki, chuda jak tyczka, wielkie czarne oczy i cholernie inteligentna. Mówiąc jednym zdaniem, choć to skomplikowana i elegancka hipoteza, przypuszcza się, że jeśli Grecy osiedlili się na wybrzeżu tak wcześnie, to spora część historii Żydów jest fałszywa. - Odczekał. - Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

- Jak to „fałszywa”?

- Po prostu. Nigdy się nie wydarzyła. Biblijna gadka o Izraelu jako „ziemi obiecanej” jest nic niewarta. Żydzi, a także chrześcijanie, zbudowali swoje roszczenia do Izraela na ruchomych piaskach, Palestyńczycy mają więc do tej ziemi równe prawa.

- Czyli sensacja.

- Właśnie.

- Ale na razie to tylko niepotwierdzone domysły.

- Tak i nie. Wszyscy, z którymi rozmawiałem, słyszeli tę plotkę. Trzej archeolodzy, a przede wszystkim fascynująca pani z ogromnymi oczami, dysponują pewnymi szczegółami. Ona mówi, że ma „źródło”, a to źródło twierdzi, że podobno komuś zlecono przetłumaczenie czegoś z języka, którym Grecy posługiwali się, zanim wymyślili pismo, które znamy dziś jako starożytną grekę. Ta sama Greczynka mówi, że zna kogoś innego, kto widział zdjęcie jakiegoś przedmiotu z tych wykopalisk. Jak dodasz jedno do drugiego, możesz wywnioskować, że ktoś wykopał zabytek z inskrypcją, która może wstrząsnąć światem.

- Ale to tylko plotka.

- Na razie.

- I wiąże się z tym... - wczytał się w swoje gryzmoły - Tel Sharm Heir’at?

- Tak głosi plotka.

- A Palestyńczycy?

- Trzej z moich rozmówców mówią, że wykopaliska zostały przeprowadzone nielegalnie przez Palestyńczyków „jak zwykle”, ale ci, którzy o tym słyszeli, twierdzą, że pogłoska o greckim pochodzeniu znalezisk ma inne źródło, tylko że wolą się na ten temat nie wypowiadać. Jestem pewien, że niektóre informacje biorą początek właśnie tu, w Atenach, ale ta Greczynka mówi, że jest w to zaangażowana jakaś międzynarodowa siatka, bo o inskrypcji słyszy się z różnych źródeł. Mogę teraz wracać do domu?

- Odhaczyłeś już wszystkich na swojej liście?
- Niezupełnie, został mi jeszcze facet, do którego dał nam namiary twój kumpel Pigoreau, niejaki „Barry”. Spytałem o niego moją superbystrą panią, a ona parsknęła śmiechem. Mówi, że „Barry” jest uzależniony od haszyszu i że to bardzo podejrzany typ: rozmowa z nim kosztowałaby sporo pieniędzy i czasu...
- Lepiej z nim porozmawiaj.
- Myślę, że nie warto.
- Tak naprawdę myślisz, że możesz nie zdążyć na operę. Porozmawiaj z nim.
- Rujnujesz moje życie kulturalne.
- I tak potrafisz zaśpiewać Madame Butterfly znacznie lepiej niż jakaś Włoszka.

Ateny

W Atenach było zimno i deszczowo bez względu na to, jak reklamowano je na plakatach. W końcu to styczeń, gdy wyjeżdżał z Neapolu też zmarł. „Słoneczny klimat śródziemnomorski”, też coś! Triffler spojrzął po raz kolejny na karteczkę z adresem „Barry’ego” i przystanął na skrzyżowaniu, patrząc na tablice z nazwami ulic zapisanymi alfabetem, którego nie potrafił odczytać. Na szczęście, w pobliskiej tawernie znalazł rozwiązanie wszystkich swoich problemów - lunch, obsługę mówiącą po angielsku i wskazówki, jak dotrzeć na miejsce. Kelner zdawał się trochę rozbawiony faktem, że Afroamerykanin o jasnej skórze, w garniturze za tysiąc dolców szuka kogoś w tej części miasta, ale mu pomógł, za sowity napiwek.

Triffler wspinał się teraz pod górę, a okolica co chwila zmieniała: najpierw mijają anonimowe bloki z lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, potem XIX-wieczne budowle, w końcu zaniedbane ruiny średniowieczne i tradycyjne greckie domki.

Tak, jakbym opuścił Ateny i trafił do Grecji, pomyślał. Podobało mu się tutaj. Czyżby był na zboczu Akropolu? Kręte uliczki, niskie dachy, okiennice w oknach. Zapukał do drzwi domu, gdzie jak przypuszczał, mieszkał facet, którego szukał. Odpowiedziała mu cisza. Głęboka, ciężka, mokra cisza. Triffler zapukał jeszcze raz, a potem znalazł guzik dzwonka w miejscu, gdzie można by się raczej spodziewać judasza. Kto był na tyle głupi, żeby zamontować dzwonek pośrodku drzwi? - pomyślał. Nacisnął go, ale nic się nie stało. Po chwili zorientował się, że to wcale nie guzik, tylko pokrętko dzwonka mechanicznego - a

propos głupoty: dlaczego był na tyle głupi, żeby sądzić, że ktoś podłączyłby elektryczny dzwonek do samych drzwi, a nie do framugi? Obrócił pokrętkę. Nie tylko usłyszał, ale też poczuł dźwięk dzwonka: przechodzące w łoskot dryndanie.

Gdy upłynęło dość czasu, by mógł się domyślić, że nikogo nie ma w domu, a on zdąży jeszcze na *Madame Butterfly*, rozległo się szuranie, a potem zgrzyt odciąganych zasuw i otwieranych zamków. Drzwi otworzyła wysoka, szczupła kobieta, która chyba nie uśmiechała się od dziesięcioleci. Powiedziała coś po grecku.

- Szukam Barry'ego. Poleciała mi go pani Merkouri.

Pani Merkouri była tą właśnie dynamiczną kobietą z wielkimi oczami, którą wcześniej zachwyił się Triffler, ale nikogo mu nie zarekomendowała. Triffler wolał jednak nie mówić, że dostał cynk od faceta, który ściga zbrodniarzy wojennych.

Kobieta popatrzyła na niego. Niektórzy ludzie mają zdolność przyglądania się innym z obojętnym wyrazem twarzy, bez mrugnięcia okiem i bez odwracania wzroku - ona tak potrafiła. Trifflerowi zawsze kojarzyło się to z obłąkaniem. Wyciągnął portfel i podał jej wizytówkę:

- Agent specjalny Richard Triffler. Służba Dochodzeń Kryminalnych Marynarki Wojennej USA.

Może nie mówiła po angielsku. Może była głucha. Ale nie, po chwili otworzyła usta i powiedziała:

- Ile?

- Przepraszam, nie rozumiem.

- Ile? Barry jest zapracowany, a czas to pieniądz.

Triffler przerabiał problem agentów i pieniędzy wielokrotnie. Barry oczywiście nie był agentem, ale kobieta przypominała mu żony, dziewczyny i kochanki agentów, które zawsze chciały wynegocjować lepszą umowę. Tak więc Triffler natychmiast odnalazł się w sytuacji.

- To zależy od tego, jak dużo Barry ma mi do powiedzenia - odparł, myśląc jednocześnie: A może Barry jest jednak czymś agentem? Na pewno ma odpowiednią żonę.

- Mój mąż jest uczonym o międzynarodowej renomie. Nie ma panu nic do powiedzenia.

W greckiej mitologii, pomyślał Triffler, był taki pies, który czegoś pilnował: Cerber. Ta kobieta była Cerberem Barry'ego. Ktoś znalazł na pierwotnego Cerbera sposób, coś mu chyba dał. Ach, tak, Cerber strzegł wejścia do Hadesu. Ktoś dał mu ciasto, a ktoś inny dla niego zaśpiewał.

Triffler wątpił, by wskórał coś piosenką, a nie miał żadnych łakoci.

Wydobył portfel i wręczył kobiecie jeden z dwóch banknotów studolarowych, które trzymał tam na podobne okazje.

- To dla pani. Resztę zapłaty wynegocjuję z Barrym później.

Cerberzyca spojrzała na studolarówkę. Wcześniej nawet nie zerknęła na wizytówkę. Pieniądze mają dar przykuwania uwagi, wizytówki nie. Odsunęła się i wpuściła go do środka.

Barry też bardzo przypominał agenta.

Ponieważ Triffler znał wielu agentów, rozgryźł więc Barry'ego w ciągu kilku minut. Fakt, że Barry był nałogowym palaczem haszyszu, okazał się pomocny, ale jeszcze bardziej przydało się zawodowe doświadczenie. Po pięciu minutach Triffler wiedział, że Barry jest niedowartościowanym egocentrykiem i żalonym arogantem, a także fantastą, który zawsze potrafi spieprzyć to, na czym mu najbardziej zależy. Do tego był Amerykaninem, człowiekiem niechlujnym, autodestrukcyjnym i próżnym.

- Jestem bardzo zajęty ważnym, niezwykle ważnym, projektem naukowym - powiedział Barry już po raz trzeci. - Nie mogę ciągle przyjmować gości, którzy odrywają mnie od pracy.

- Powiedziano mi, że jest pan jedynym człowiekiem w Atenach, który może odpowiedzieć na moje pytania. Może jedynym na świecie.

Barry wymamrotał, że to duża przesada, ale był z pochlebstw zadowolony.

- Kto tak mówi? - spytał.

- Słyszałem, że jest pan jedynym człowiekiem, który może mnie oświecić w kwestii pewnych wczesnogreckich przedmiotów.

- Trudno mi sobie nawet wyobrazić, co może znaczyć „wczesnogreckie” - powiedział szyderczym tonem napuszonego profesora, który wypomina potworną gafę komuś, kogo uważa za kompletnego nieuka.

- Proszę mi więc to wyjaśnić.

- Miły panie, niektórzy mówią „wczesnogrecki”, gdy mają na myśli Bizancjum. Zachichotał. - Albo te paskudne rzeczy z okresu hellenistycznego. Czy te terminy coś panu mówią?

- Myślałem raczej o okresie, gdy Grecy trafili na wybrzeże w pobliżu Egiptu.

Barry odwrócił na chwilę wzrok, a gdy spojrzał znowu na Trifflera, miał lekko rozszerzone źrenice. Kąciki warg drgnęły mu w tajemniczym uśmiešku.

- Przypuszczam, że ma pan na myśli tak zwane Ludy Morza.

- Proszę opowiedzieć coś więcej.

Panie... mmm... zapomniałem, jak pańska godność... Bardzo mi przykro, ale nie mam czasu na wykład z wczesnych dziejów Greków. Wystarczy panu każdy dobry podręcznik. Chętnie coś polecę.

- Ale pan jest światowym autorytetem.

- Nie rozumiem, dlaczego się pan tym interesuje. Dlaczego interesuje się tym... Spojrzał na wizytówkę, którą dał mu Triffler. - Służba Kryminalna Marynarki jakiejś tam. Czy chodzi o to wybrzeże, a więc o morze?

Triffler odniósł jednak wrażenie, że Barry doskonale wiedział, czym zajmuje się Służba Dochodzeń Kryminalnych Marynarki Wojennej, gdy pierwszy raz przeczytał wizytówkę, bo przez, jego twarz przebiegł spazm strachu.

- Otrzymaliśmy bardzo tajną informację, że niedawno pojawiło się coś, co może rzucić zupełnie nowe światło na historię wczesnych Greków i wybrzeża Gazy. - „Bardzo tajna informacja” była oczywiście kłamstwem, ale Triffler wiedział, że Barry jest zbyt łasy na pochwały, by to dostrzec. - Złaziłem całe Ateny w poszukiwaniu jedyne go człowieka, który może nam pomóc. - Uśmiechnął się i wskazał Barry’ego. - Pana.

Barry mruknął przecząco i z fałszywą skromnością spuścił głowę.

- Podobno - ciągnął Triffler - odkryto zabytek, który wywoła prawdziwą burzę wśród historyków tego okresu. Może... z czasów wojny trojańskiej...?

Barry wybuchnął gniewem.

- Kto panu czegoś takiego nagadał? Kto opowiada takie, takie...

- Takie mamy informacje. - Na podstawie sugestii rzuconej przez jedno z ateńskich źródeł dodał: - Z Internetu...

- Ci głupcy! - Barry uderzył pięściami w poręczę fotela niczym rozzłoszczone dziecko. - Głupcy i kłamcy... Otaczają mnie sami głupcy i kłamcy! - Czerwony na twarzy, popatrzył na Trifflera. - Jestem u progu dokonania wielkiego naukowego odkrycia. Jestem w trakcie negocjacji warunków profesury w Cambridge! A oni wszyscy chcą mi to ukraść!

- To okropne, to obrzydliwe! Jak ludzie mogą być tak niegodziwi?

Triffler wygłosił krótką przemowę o nauce i świętości wiedzy oraz przyznał, że sam jest tylko laikiem, który potrzebuje informacji, zaledwie drobnej cząstki ogromnej wiedzy Barry’ego. Jednocześnie obiecał pełną dyskrecję, nikt z ludzi, którzy próbują wykraść Barry’emu jego osiągnięcia, nie dowie się od niego absolutnie nic, a on dobrze zapłaci: rzetelna wiedza zasługuje na hojne wynagrodzenie.

Barry uderzył pięściami w poręcze jeszcze parę razy, a potem rozwarł dłonie, odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i odetchnął głęboko, a następnie z tajemniczym uśmiechem popatrzył na Trifflera i powiedział:

- Przypuszczam, że nigdy nie słyszał pan o piśmie linearnym B, prawda?

Bingo, pomyślał Triffler i zaczął się zastanawiać, ile pieniędzy może wziąć na kartę bankową i gdzie jest najbliższy bankomat.

Potaknął, że nigdy nie słyszał o piśmie linearnym B - była to nieprawda, pani Merkouri napomknęła mu o nim - ale koniecznie chce się dowiedzieć, co to takiego. Zgrywał głupiego tak długo, że w końcu, po piętnastu minutach, Barry zaprowadził go do innego pokoju i pokazał zdjęcia metalowego, podobnego do wazy naczynia, tłumaczył też, że tylko on umie przełożyć inskrypcję, która wstrząśnie światem.

Tel Awiw

Dukas umówił się z szefową ekspozytury, potem wypożyczył z biblioteki w ambasadzie kilka książek i zadzwonił do kilku poznanych niedawno osób z Uniwersytetu Michigan. O trzeciej zatelefonował do Miriam Gurion, która powitała go z wyraźnym chłodem, ale przynajmniej nie rzuciła słuchawką.

- Tel Sharm Heir'at - powiedział.

- Co to takiego?

- Miejscowość w Strefie Gazy. Teren niedawnych nielegalnych wykopalisk. Możliwe, że właśnie tam pracował Salem Qatib. Zechciałaby mnie pani tam zawieźć?

- Nie chcę mieć z panem nic wspólnego, panie Dukas.

- Ale interesuje panią, kto zabił Salema Qatiba, prawda?

- Nie może pan pojechać do Gazy. Pańska ambasada się nie zgodzi.

- Załóż się pani? Odezwę się później. W tym czasie proszę się dowiedzieć, gdzie jest to całe Tel Sharm Heir'at.

O czwartej miał już zgodę szefowej ekspozytury na podróż do Gazy i odebrał z sejfu ambasady swój stary paszport ONZ, który złożył tam zaraz po przyjeździe. Szefowa ekspozytury zaoferowała mu znów usługi Rogera, lecz Dukas odmówił.

- Facet z pistoletem nie obroni mnie przed pięcioma milionami ludzi. Zaryzykuję.

Powiedziała, że jej zdaniem dokonał dobrego wyboru, ale większość ludzi zaczyna zachowywać się nerwowo, gdy chodzi o kwestie bezpieczeństwa

- Ja też, ale mogę z tym żyć. Jak wygląda sprawa spotkania z tym palestyńskim ważniakiem, Poborcą Podatkowym?

Pracowała nad tym. Spotkanie prawdopodobnie odbędzie się w Kairze, lecz wciąż byli na etapie omawiania planu i niczego jeszcze nie ustalono. Czy wysłać jednego z agentów CIA? Czy też Dukas ma jakiegoś kandydata?

- A może Abe Peretz?

- Attache prawny? Trochę dziwna kandydatura.

- Wcześniej służył w marynarce, niezłe dogaduje się po arabsku, a najważniejsze, że go znam i mu ufam.

Uniosła brew i uśmiechnęła się szeroko.

- Najważniejsze, że nie jest z CIA.

Nie podzielała jego poglądów w tej sprawie, ale też się nie obraziła.

Potem jeszcze raz zadzwonił do Miriam Gurion. Tel Sharm Heir'at znajduje się tuż za granicą, oznajmiła. Godzina jazdy, góra dwie godziny, jeśli na granicy będzie kolejka.

- Jutro rano? - zaproponowała.

- Teraz.

- Jestem zajęta.

- A ja mam już dość Tel Awiwu. Teraz albo nigdy.

- Kusi mnie, żeby powiedzieć „nigdy”.

- Decyzja należy do pani.

- Mosher o mało się przez pana nie załamał. To słaby facet, mój Boże, sama wiem to najlepiej!... ale potraktował go pan okrutnie. Teraz wyrzucili go, dali dowództwo komuś innemu i zamknęli bazę „ze względów bezpieczeństwa narodowego”. Sam napytał pan siebie biedy: już nigdy nie zajrzy pan do tego biura.

- Cóż, nie ma to żadnego wpływu na wyjazd do Tel Sharm Heir'at. Teraz albo nigdy.

Prychnęła gniewnie.

- Proszę po mnie przyjechać na Dizengoffa.

Spinnerowi przekazano w recepcji wiadomość, że ma zadzwonić do pana Assplana, ale domyślił się, że chodzi o Ashplanta. Zajrzał do swoich procedur komunikacyjnych, wrywając najpierw strony z mnóstwem upierdliwych poleceń dotyczących telefonów, znaczka „X” na kiosku i sklepu z cygarami - za parę minut miał je spalić w kiblu. W tej

chwili szukał sygnału telefonicznego. Pan Ashplant. W odpowiedzi miał udać się do budki telefonicznej i wykręcić pewien numer.

Bułka z masłem.

Spalił kartki w klozecie i spuścił wodę. Płonęły jeszcze, gdy unosiły się na wodzie, narażając na niebezpieczeństwo plastikową deskę, która jednak się nie roztopiła. Spopieliałe resztki wciąż pływały w muszli, spuścił więc wodę jeszcze raz. Ubrał się i poszedł do tej samej budki, z której korzystał wczoraj. Wykręcił numer i ktoś odezwał się po angielsku:

- Tak, Ashplant.

- Kwiaty pana Ashplanta są gotowe. - Właśnie to miał powiedzieć.

Zastanawiał się, kto to wymyślił, co zainspirowało wybór kwiatów, a nie koszul albo samochodu?

- Spotkaj się z nim tam, gdzie ci mówił.

Potem połączenie zostało zerwane.

Spinner poszedł do sklepu z cygarami, o którym wspomniał Habakuk. Habakuk był w środku i kupował cygara.

- A, tu pan jest - powiedział. - Pali pan?

- Nie, nie. Nigdy nie paliłem.

Habakuk i mężczyzna za kontuarem spojrzeli na niego z politowaniem. Z rąk do rąk przeszło pudełko cygar, a potem spora suma pieniędzy.

Nic dziwnego, że facet żąda od nas coraz więcej forsy, pomyślał, patrząc na to, Spinner.

- Chodźmy tylnym wyjściem. - Habakuk poprowadził go przez zaplecze i obok śmierdzącej toalety aż na parking. Weszli do supermarketu i Habakuk zaczął spacerować, pchając przed sobą wózek. Jak się okazało, rzeczywiście robił zakupy. Lubił też drogie jedzenie. - Za godzinę ma pan spotkanie z pewnym człowiekiem - oznajmił. - To prawdziwa gratka, nie sądziłem, że uda mi się to załatwić. Wie pan, z kontaktami wywiadowczymi jest jak z rybami: czeka się i czeka, a potem zaczynają brać przynętę, ciągnie się więc i ciągnie, aż wreszcie trafiają do koszyka. Trudne, ale warte zachodu. Potrzebuję pięciu tysięcy dolarów.

- Co, teraz?

- Tak, tak, nie sądzi pan chyba, że ci ludzie robią to za darmo, prawda? Mnie można zbywać, mnie można zmuszać do czekania na pieniądze, ale z tymi ludźmi to nie przejdzie. Ten żąda pięciu tysięcy za rozmowę.

- Kto to?

- Z wywiadu. Na dosyć wysokim szczeblu. Rozczarowany cynizmem swojej profesji. Gotów pomóc sprawie wolności i prawdy. Za pięć tysięcy. - Obrzucił Spinnera wzrokiem. - Ma pan pięć tysięcy?

Spinner wciąż nosił pas z gotówką. Rozejrzał się po sklepie, który wyglądał zupełnie jak duże supermarkety w Stanach.

- Muszę pójść w jakieś ustronne miejsce...

- Tam za sałatą. Obok mężczyzny z gumowym węzem. I proszę przynieść także coś dla mnie.

Spinner uznał, że może mu już coś zapłacić, bo Habakuk wykonał pierwszą część zadania. A w każdym razie tak się wydawało. Zamknął się więc w kabinie, ściągnął spodnie i przekręcił pas tak, by otworzyć suwak kieszeni. Odliczył dziesięć plików studolarówek, zamknął suwak, podciągnął portki, poupychał w bocznych kieszeniach marynarki po pięć tysięcy i wyszedł. Musiał zajrzeć w każdy korytarz między stoiskami, zanim wreszcie znalazł Habakuka.

- Jak to zrobimy? - zapytał.

- Niech mi pan po prostu da te pieniądze. Proszę się nie bać. Myśli pan, że są tu ukryte kamery?

W rzeczy samej, na końcu korytarza była kamera telewizji przemysłowej. Spinner odwrócił się do niej tyłem i trzymając łokcie przy bokach, wyłowił pliki banknotów z kieszeni, i wrzucił je do kosza, mamrocząc:

- Dla niego, dla pana.

Potem wyszli na parking i pakując zakupy do samochodu, Habakuk przekazał Spinnerowi hasło i odzew, dzięki którym rozpozna i zostanie rozpoznany przez dość wysoko postawionego funkcjonariusza wywiadu. Niby nic wielkiego, ale jednak frajda.

Kontakt wywiadowczy okazał się ponuro wyglądającym, czterdziestoparoletnim facetem o twarzy i posturze boksera. Miał na sobie sportową marynarkę i dość obszerne, luźne drelichy. Wysłuchał wypowiedzianego przez Spinnera hasła jakby z niesmakiem, a potem wyrecytował odzew tonem, który podejrzenie przypominał kpinę. Spinner uznał to za oznakę obrzydzenia i rozczarowania wieloletnimi doświadczeniami w służbie wywiadowczej.

Facet powiedział, że ma na imię Shlomo.

- Chce pan się dowiedzieć, co się stało z Salemem Qatibem? - zapytał, a potem wyłożył to Spinnerowi wszystko bez zbędnych dygresji i owijania w bawełnę: - Saleem Qatib został zamordowany przez ludzi Autonomii Palestyńskiej, którzy zakatowali go podczas tortur,

próbując zmusić go do wyjawienia szyfrów amerykańskiej marynarki wojennej. Autonomia Palestyńska rozpaczliwie szukała pieniędzy... było tyle korupcji... i dlatego zbierała informacje o amerykańskich szyfrach wojskowych, a potem sprzedawała je Al-Kaidzie za miliony dolarów. Niektórzy funkcjonariusze izraelskiego wywiadu usiłowali ukryć to, co się stało, ponieważ nie chcieli, by Amerykanie pomyśleli, że spaprali swoją robotę. Dlatego twierdzili, że Qatiba zabito, bo miał coś wspólnego z nielegalnymi wykopaliskami, ale było to zwykłe mydlenie oczu.

- Nie chodzi więc o archeologię!

- Nigdy nie chodziło o archeologię, lecz o kryptologię. - Shlomo odwrócił się, żeby na niego spojrzeć. Siedzieli obok siebie na ławce w parku. Potem dodał: - Niech pan powie swoim ludziom, żeby ścigali Palestyńczyków. Czy, na litość Boską, nie rozumieją, co się dzieje?

To rzekłszy, wstał i odszedł.

Spinner pomyślał, że jest po prostu w dechę. Bo było w dechę! Szpiegostwo sprawiało mu znacznie większą frajdę niż robota analityka.

Gaza

Dukas wjechał na nieduże wzniesienie, które musiało być kiedyś ostatnią nadmorską wydumą. Z jego szczytu zobaczył rozciągającą się na półtora kilometra równinę, a dalej Morze Śródziemne. Bezpośrednio przed nimi na drodze, w odległości stu metrów, stało sześciu izraelskich żołnierzy i samochód wojskowy, a w poprzek asfaltowej jezdni rozłożono taśmę z kolcami.

- Stop! - Miriam Gurion chwyciła go za ramię, miała głos ostry z irytacji i niepokoju. Dukas zahamował zbyt gwałtownie i opony zapiszczały na nawierzchni. Miriam odwróciła się i powiedziała coś do mężczyzny na tylnym siedzeniu, Palestyńczyka, którego zabrali na granicy i który był swego rodzaju łącznikiem między izraelską policją a siłami bezpieczeństwa Autonomii. Wyjaśniając Dukasowi wcześniej rolę Palestyńczyka zrobiła minę i powiedziała:

- Są naszymi wrogami, ale mamy wspólne problemy. Musimy współpracować. Tak czy inaczej, dzisiaj nam się przyda.

Teraz Palestyńczyk pochylił się i wyjrzał przez przednią szybę.

- Tel Sharm Heir'at - oznajmił, wskazując palcem przed siebie.

Dukas zredukował bieg i podjechał powoli do blokady. Młody i opryskliwy izraelski żołnierz obejrzał ich dokumenty i po krótkiej wymianie zdań Miriam powiedziała, że nie mogą jechać dalej. Mogli zaparkować wóz na poboczu, wyjść i się rozejrzeć, ale nic więcej.

Po lewej stronie od drogi znajdowało się nieduże wzniesienie. Weszli na nie i spojrzeli w dół. Pod nimi było Tel Sharm Heir'at: dwie mieszkalne przyczepy kempingowe i cysterna z wodą na półtora hektara ziemi wyrównanej buldożerami. Trzej cywile z karabinami szturmowymi stali na straży obok przyczep.

- Co mówi napis na tej tablicy? - spytał Dukas.

- Nowe Osiedle Żydowskie Sharm Heir'at.

- Proszę zapytać swojego znajomego, czy to było tu wczoraj.

- Mówi, że nie.

- Proszę zapytać, czy to tutaj prowadzono wykopaliska.

Słowa, kiwanie głowami.

- Tak. W zeszłym tygodniu był tu teren wykopalisk.

Dukas pokiwał głową.

- To łatwe do przewidzenia.

Palestyńczyk wskazał sześć buldożerów zaparkowanych sto metrów dalej. Powiedział, że obsługujący je robotnicy mogą coś wiedzieć.

Dukas podrzucił Miriam Gurion na ulicę Dizengoffa i pojechał do ambasady. Zanim oddał samochód i dotarł do swojego gabinetu, ona zdążyła już zatelefonować i zostawić pilną wiadomość, żeby oddzwonił. Kiedy to uczynił, powiedziała:

- Przekazano nam szczątki Salema Qatiba.

Z tonu jej głosu domyślił się, że coś jest nie tak.

- Czy pani ludzie mogą przeprowadzić sekcję zwłok?

- Zwłoki zostały skremowane - odparła i się rozłączyła.

Spinner obudził się po północy. Czuł się odprężony i lekki, jakby ktoś odkręcił kran w jego stopie i wylał wszystkie soki. Potem przypomniał sobie Elanę. Pomacał pościel obok, ale już jej tam nie było.

Z łazienki dochodziły jakieś odgłosy. Spinner uśmiechnął się w ciemności.

Elana była szyfrantką w sekcji kontrwywiadowczej Ministerstwa Obrony. Potrzebowała pieniędzy, jak go poinformował Habakuk, i dlatego była skłonna się z nim spotkać. Była samotną matką, jej mąż zginął w wybuchu samochodu pułapki. Habakuk poradził mu, aby nie traktował jej zbyt szorstko, bo jest bardzo wrażliwa. Spotkanie z nią skończyło się wspólną kolacją, a potem seksem, dla którego można umrzeć, myślał sobie teraz Spinner. Po pierwszym orgazmie aż się popłakała i wyznała mu, że jest pierwszym mężczyzną, z którym była od... od...

W ogóle układało się świetnie, tylko że wewnętrzny głos wciąż powtarzał, że poszło mu zbyt łatwo. Spinner usiłował przekonać głos, że jest przystojnym facetem, a ona była napalona, dlatego to zrobili. Głos wciąż się upierał: „Za łatwo poszło”. Spinner zirytował się i kazał mu się zamknąć.

Usiłując zignorować wewnętrzny głos, pomyślał o czymś innym i zaczął planować raport, który miał wysłać McKinnonowi. Zamierzał rozpocząć go od cytatu ze Straussa o stanie nieustającej wojny, w jakim znajduje się oczyszczone państwo: „Pokój oznacza właściwie tylko tyle, że sprzymierzone jednostki działają na rzecz neutralności, nie ma nigdy czegoś takiego jak po prostu pokój”. Bomba!

„Za łatwo”, nie ustępował głos.

Morze Egejskie

Piat leżał w swojej kabinie i nie mógł zasnąć, ale nie mógł też czytać po grecku ani oglądać zdjęć pucharu, bo obie czynności przywodziły mu na myśl Barry’ego. Uznał, że jeden drink, może kieliszek wina, ukoi mu nerwy. Poszedł do baru.

Kieliszek wina zmienił się w szklankę szkockiej. Wypił ich parę. Gonitwa myśli nie ustała.

- Pan Furman?

Piat podniósł wzrok znad pustej szklanki i zobaczył, że dwaj mężczyźni w stylowych dżinsach, których wcześniej widział z Czarusiem, stoją nad nim przy barze. Byli postawnymi facetami, a potężniejszy z nich usiadł na stołku obok.

- Tak?

Piat przyjrzał się temu większemu, który tak mocno pachniał wodą kolońską, że Piatowi zrobiło się niedobrze.

- Niech nam pan poświęci parę minut.

- Tak?

Piat zebrał myśli i uporządkował je jako tako.

Arabowie albo Palestyńczycy. Znajomi Czarusia. Szykują się kłopoty, wywnioskował. Taki zastrzyk adrenaliny przyszedł mu w sukurs.

- Sprawa jest delikatna. - Facet stojący przy łokciu Piata prawie nie miał obcego akcentu.

- Może moglibyśmy pójść do pańskiej kabiny?

- Nic z tych rzeczy.

Głupio, że przyszedłem do baru, pomyślał. Powinienem siedzieć w kabinie.

- O co chodzi?

Ten uperfumowany odparł:

- Sądzymy, że ma pan coś, co należy do nas, panie Furman.

- Nie wydaje mi się. A tak w ogóle, kim, do cholery, jesteście?

Piat był dobry w odgrywaniu niewinnego pijackiego oburzenia.

- Jesteśmy przedsiębiorcami, panie Furman. I mamy powody sądzić, że może pan mieć coś, co należy do nas.

Facet stojący przy jego łokciu miał włosy prezentera telewizyjnego, przystrzyżone tak starannie jak trawa na polu golfowym.

Piat ochrzcił ich mianem: Woda Kolońska i Fryzura.

- Nie mam pojęcia, o czym mówicie. Napijcie się piwka?

Uniósł szklankę w stronę Wody Kolońskiej.

- Nie, panie Furman. Zależałoby nam na pańskiej współpracy. Jesteśmy gotowi zapłacić.

- Ej, co to ma być, ankieta? - Piat pomyślał, że może udałoby mu się uciec, ale nie był tego pewien, na razie więc postanowił nie ryzykować. - Skąd w ogóle wiecie, jak się nazywam?

Fryzura pochylił się nad nim.

- Handluje pan antykami, panie Furman. Skontaktowała się z panem Saida Frayj. Wiemy to. Sprzedała panu coś, jak sądzę?

Piat wyprostował plecy, jakby dopiero teraz usiłował się skupić.

- O czym, do cholery, gadasz, kolego?

- Nie ma powodu się denerwować, panie Furman.

- Nie denerwuję się, po prostu was nie znam i nie wiem, o co wam, chodzi. - Piat odwrócił głowę do Fryzury. - Stoisz trochę za blisko, koleś. Odsuń się.

Fryzura się nie odsunął. Pochylił się jeszcze bliżej.

- Panie Furman... - zaczął.

Piat wstał.

Fryzura się cofnął. Inaczej by się przewrócił. Miał kiepski refleks.

Piat znów usiadł i wyciągnął ręce tak, że Fryzura nie mógł się zbliżyć. Wszystko dzięki właściwemu ustawieniu ciała.

- Tam będzie dobrze. A teraz jeszcze raz, kim jesteście?

Fryzura się zdenerwował. Woda Kolońska próbował zatrzeć złe wrażenie.

- Jesteśmy biznesmenami, panie Furman, i chcielibyśmy zapłacić panu za pewne informacje o pannie Frayj. Dobrze?

- Panowie, nie mam zielonego pojęcia, o kim mówicie. - Piat był teraz w pełnej gotowości. Płynęli jednym promem, a nie chciał zostać aresztowany, bo to doprowadziłoby do mnóstwa pytań, na które wolał nie odpowiadać. Z drugiej strony, nie wydawało mu się, żeby z rozmowy z tymi dwoma mogło wynikać coś dobrego. I naprawdę nie chciał zostać z nimi sam na sam. Wyglądali na agresywnych, ich język ciała świadczył o tym aż nazbyt jasno. - Nie mam pojęcia, o kim mówicie.

Wzruszył ramionami.

Woda Kolońska popatrzył na Fryzurę.

- Ej, mógłbyś po prostu usiąść?

Piat skinął na stołek za Wodą Kolońską.

- Wolę stać.

Fryzura uraczył go powściągliwym uśmiechem.

Piat czuł, że we Fryzurze wzbiera agresja. Usiłował się domyślić, kim naprawdę są i o co im chodzi. O puchar, oczywiście, ale dlaczego? Mogli być z organizacji przestępczej, ale... zorganizowana przestępczość i Arabowie? Autonomia Palestyńska.

A także Izraelczycy na ogonie Czarusia. To by nawet pasowało.

Woda Kolońska uniósł rękę, żeby zwrócić uwagę Piata, ten gwałtowny gest sprawił, że Piat aż drgnął.

- Panie Furman, postarajmy się załatwić to bez wrogości. Czy panna Frayj coś panu sprzedała?

Piat uznał, że musi się stąd wyrwać. Na pokładach pasażerskich było niewiele osób, a Piat wątpił, by ci faceci przetrwali interwencję policji lepiej od niego.

Z drugiej strony, przedłużająca się nieobecność barmana wskazywała, że ktoś dał mu w łapę, żeby się zmył.

Piat z przesadnym skupieniem odstawił szklankę na blat i znów się podźwignął. Tym razem Fryzura położył mu dłoń na ramieniu i przycisnął do dołu. Piat nie stawiał oporu, udał, że potknął się o własny stołek i runął ciężko na podłogę. Te pozornie nieporadne próby złapania równowagi i chwycenia się Fryzury skończyły się tym, że klęcząc za Fryzurą, wykręcił mu prawą rękę za plecy i przygiął boleśnie przedramię.

Lewą ręką obszukał mężczyznę i wyciągnął zatknięty za pasem mały, płaski pistolet. Poziom adrenaliny skoczył mu jeszcze wyżej. Nie spodziewał, że będą mieli broń. Teraz już wiedział, że nie są zwykłymi zbirami tylko zbirami na usługach jakiegoś państwa. Piat wstał, uwalniając Fryzurę i rozładowując pistolet. Nabój pacnął na miękką wykładzinę. Piat przesunął kciukiem bezpiecznik, zastanawiając się, jakim trzeba być głupkiem, żeby trzymać w portkach naładowanego i odbezpieczonego gnata. Głupcy budzili w nim lęk. Teraz wystraszył się nie na żarty.

- Na podłogę. Obaj.

Piatowi drżał głos.

- Panie Furman, popełnia pan poważny błąd.

Woda Kolońska rozłożył szeroko ręce. Twarz Fryzury wyglądała jak maska gniewu i bólu. Trzymał się za prawe przedramię.,

Piat odsunął się od nich.

- Nieważne. - Zrobił jeszcze jeden krok do tyłu i podniósł słuchawkę barowego telefonu.

- Na podłogę, bo inaczej wezwę ochronę statku. Niech obejrzą sobie wasze dokumenty. I wasze pieprzone pistolety.

Głos mu drżał, a barki się trzęsły, ale lufa pistoletu ani drgnęła. Piat przywykł do strachu tak jak do alkoholu. Potrafił bardzo dobrze funkcjonować, kiedy był przerażony i pijany.

Fryzura rzucił coś po arabsku. Woda Kolońska się nie ruszył.

- Zgoda, panie Furman. Naprawdę nie chcę kłaść się na podłódze. Myślę, że niewłaściwie się do tego zabraliśmy. Proszę przyjąć moje przeprosiny.

- Na podłogę.

- Nie. Nie zastrzeli nas pan. To grecki statek, resztę swojego życia spędziłby pan w więzieniu. A nie chce pan mieć do czynienia z ochroną tak samo jak my.

Piat rozważył ryzyko pozostawienia Wody Kolońskiej z pistoletem i porównał je z ryzykiem wszczęcia jakiejś awantury, żeby zmusić tamtego, aby położył się na podłodze. Podjął racjonalną decyzję. Był zbyt dojrzały, by zgrywać twardziela za wszelką cenę.

Zrobił następny krok w tył, odwrócił się i przeszedł przez obrotowe drzwi, chowając pistolet do kieszeni. W ciągu paru sekund znalazł się wśród pasażerów i załogi. Został wśród nich przez godzinę, dopóki nie minęła fala strachu. Potem postanowił wrócić do swojej kabiny.

Musiał to zrobić. W kabinie miał wszystko, czego potrzebował do życia, a jeśli tamci naprawdę chcieli go dorwać, żaden moment na powrót nie był dobry. Wolał przyjąć, że jednak nie zależy im na nim tak bardzo.

Na razie. Całe rozumowanie opierało się na tym, że zwracali się do niego panie Furman. Jeśli znali go tylko pod takim nazwiskiem, to dlatego, że zobaczyli je na drzwiach kabiny, a to oznaczało, że wszystkie inne obawy związane z przeszłością i obecnym położeniem były bezpodstawne. „Furman” donikąd ich nie zaprowadzi. Piat zbudował tożsamość Furmana, posługując się kartą do czytelnicy Muzeum Ateńskiego. Miał też przy tym odrobinę szczęścia i Furman nie miał kart kredytowych, paszportu, nie składał zeznań podatkowych. Nie był też związany z Molivos. Stał się zwyczajną przykrywką do robienia interesów i Piat stworzył go właśnie w razie takich kłopotów. Powtórzył to sobie dwadzieścia razy niczym mantrę i otworzył drzwi do kabiny. Zajrzał do łazienki i sprawdził koję, zanim drżącymi rękami zaryglował drzwi.

Potem wyciągnął kartkę i napisał:

„Dziewczyna w Molivos = Saida Frayj

Saida + Czarus?

Zbiry chcą zdobyć przedmiot, który ma Saida
przedmiot = puchar”

Dowiedział się zatem czegoś o pochodzeniu pucharu. Pisał dalej:

„Palestyńczycy chcą zdobyć puchar?

Izraelczycy? Chodzi im o Czarusia? Czy o puchar?”

Zastanawiał się, gdzie, do cholery, są teraz Izraelczycy, jeśli w ogóle byli Izraelczykami. Nie sądził, żeby płynęli promem. Zastanawiał się, czy może ma do czynienia tylko z gangsterami. Była w tym pewna logika, już wcześniej robił interesy z palestyńskimi kartelami. Zależało im wyłącznie na forsie.

Tylko że faceci na Akropolu mieli ten syty, zadowolony wygląd ludzi dobrze wyposażonych za rządowe pieniądze. Znał takich dobrze, sam był jednym z nich przez ponad dwadzieścia lat.

Tak naprawdę nie wiedział zbyt dużo poza tym, że wdepnął w kłopoty i musi się z nich wydostać. I tak planował, że na wiosnę ruszy dalej, używając ostatniego bezpiecznego paszportu i funduszy zarobionych na handlu antykami. Teraz jednak rozważył sprawę dokładnie i uznał, że musi zniknąć szybciej, może nawet natychmiast. Pytanie brzmiało: z pucharem czy bez?

Znów przejrzał jego zdjęcia. Nie widział w nim nic, co mogłoby wywołać szczególne zainteresowanie władz państwowych, jeśli nie wykradziono go z dużego muzeum, a tę ewentualność wykluczył, bo to na pewno nie uszłoby jego uwagi ani tym bardziej uwagi Barry'ego.

Stary dobry Barry.

Przygotowania do przeprowadzki zajęłyby mu dzień albo dwa dni. Wiedział już, dokąd się wybierze. Do tego czasu Barry będzie coś miał. Piat postanowił, że zaczeka na wieści od Barry'ego i dopiero wtedy podejmie decyzję.

Nie spał od dwudziestu czterech godzin. Ze zmęczenia oraz nadmiaru adrenaliny i alkoholu rozboleła go głowa. Połknął aspirynę i wypił butelkę wody, wyjął załadowany nabój ze zdobycznego pistoletu, włożył go z powrotem do magazynka, i zabezpieczył broń. Potem zwinął się w kłębek na koi, przykrył się swetrem i wsunął pistolet pod poduszkę. Prom kołysał się razem z morzem, Piat zasnął.

15.

Tel Awiw

Dukas był zły. Nie kipiał ze złości, był raczej przygnębiony i posępny. Na każdym kroku natrafiał na trudności, przebywał w kraju rządzonym przez ludzi, którzy te trudności piętrzyli,

i w tym momencie nie mógł na to kompletnie nic poradzić. Wiedział, że wygląda to na ucieczkę - nawet w jego własnej ocenie - ale postanowił wrócić do domu.

Najpierw jednak udał się do szefowej ekspozytury CIA. Powiedział jej o nowym osiedlu w Tel Sharm Heir'at, o skremowaniu zwłok Salema Qatiba i przypomniał, że Izrael odmówił jego ekipie kryminologicznej wstępu do kraju.

- Czego pan się po mnie spodziewa? - spytała.

- Niczego. To nie pani sprawa.

- Na razie nie, ale mogłabym się nią zainteresować.

- To dochodzenie kryminalne. Przyjechałem tu, żeby zbadać okoliczności zabójstwa.

Was to nie dotyczy. - Siedział w fotelu, który był dla niego za mały, i trzymał ręce skrzyżowane na brzuchu jak Budda. - Nie chodzi o to, że zrównali z ziemią teren wykopalisk. Mam gdzieś archeologię, sztukę i historię. Jeśli o mnie chodzi, ci ludzie mogą powykradać wszystkie cholerne monety i rzeźby z całego Bliskiego Wschodu. Wisi mi to, że Autonomia Palestyńska bogaci się, łamiąc izraelskie prawo. Interesuje mnie tylko jeden facet, który kiedyś służył w marynarce i został zabity.

Patrzyła na niego z głową opartą na dłoni. Dzień pracy dopiero się dla niej zaczynał. W przeciwieństwie do niego nie wyglądała jeszcze na swój wiek. Dukas wyglądał na czterdzieści pięć lat, odkąd się urodził. Ale w tej chwili był zainteresowany tylko tym, jak wyglądała oprócz tego, że sprawiała wrażenie inteligentnej i zaintrygowanej.

- Czego pan ode mnie oczekuje? - ponowiła pytanie.

- Chcę doprowadzić do spotkania z tym Palestyńczykiem od zabytków, z Poborcą Podatkowym. Skoro Izraelczycy nie zamierzają mi pomóc, chcę się przekonać, co usłyszę od niego.

- Nie może się pań z nim spotkać.

- To już ustaliliśmy. Zaproponowałem Abe'a Peretza. Co pani na to?

Założyła nogę na nogę, przekrzywiła głowę. Miała na szyi jedwabną apaszkę od Hermesa - pamiątkę ze służbowej wizyty przed dziesięciu laty w Brukseli - zawiązała ją asymetrycznie pod brodą, jeden koniec zarzuciła na ramię i przypięła ozdobną szpilką. Włosy ufarbowała na kolor apaszki.

- Mogę to zaakceptować. Chociaż bez entuzjazmu. - Uśmiechnęła się. Bardzo rzadko akceptuję coś z entuzjazmem. - Oparła podbródek na dłoni. - Palestyńczycy wyroili wstępną zgodę na spotkanie, Ma się odbyć w Kairze albo Ammanie, będę nalegać na Kair, bo jest tam mniej „nieprzewidywalnych czynników”. Nie mamy jeszcze szczegółowego planu, ale sądzę, że dzisiaj go opracujemy. - Strzepnęła coś ze spódnicy. - Palestyńczycy mogą prowadzić

długą obserwację, żeby upewnić się, że nie wyśledzą ich Izraelczycy. Poprosimy o to samo, ale tak naprawdę nie będzie takiej potrzeby.

- Ufa pani Palestyńczykom?

- Boże, nie. Ale ufam sytuacji. Palestyńczycy nie mają nic do zyskania na rozróbie. Oddeleguję tam dwóch swoich ludzi... przyda im się trening... a Egipcjanie wykonają dobrą robotę. Lepszą niż Jordańczycy, którzy są właśnie jednym z „nieprzewidywalnych czynników”. Poinformował pan Peretza?

- Jeszcze nie. Nie miałem pani zgody.

- Teraz ją pan ma. Chce go pan sam wprowadzić w sprawę?

- Jasne.

- Chcę wiedzieć dokładnie, co Peretz będzie mówił, o co będzie prosił. Nie wolno mu wykroczyć poza ustalone kwestie. Dobrze? Nie chcę potem słyszeć, że zawarł z Poborcą Podatkowym jakąś durną umowę, narażając mnie na izraelski ostrzał.

- Żadnych umów, zgadzam się. Chcę tylko informacji, za które oferuję wdzięczność. Poza tym jestem wkurzony na Izraelczyków i w przyszłości będę patrzył na Palestyńczyków przyjaźniejszym okiem.

- Wątpię, żeby to wywarło na nich większe wrażenie.

- Marynarka Wojenna USA jest wkurzona i będzie patrzeć na Palestyńczyków przyjaźniejszym okiem. Co pani na to?

Uśmiechnęła się.

- O Marynarce Wojennej USA przynajmniej słyszeli. - Wstała. - Myślę, że spotkanie odbędzie się w sobotę. Proszę powiadomić Peretza i uzyskać jego zgodę. Potem chcę się spotkać z wami oboma, a później może go pan wprowadzić w szczegóły. Kiedy wszystko ustalimy, zorganizujemy mu podróż i skontaktujemy go z ludźmi na miejscu. Akcja będzie prosta i zależy mi na tym, żeby wszystko przebiegło szybko. Palestyńczycy wiedzą, o czym chcemy rozmawiać, nie ma potrzeby więc kluczyć i owijać w bawełnę.

- Myśli pani, że odpowiedzą na moje pytania?

Odprowadziła go do drzwi.

- Rozmiękczyłam ich trochę - zapewniła. - Pomogłam im we wzmocnieniu sił bezpieczeństwa w Gazie. Myślę, że coś panu powiedzą. Nie wszystko, oczywiście. Oni nigdy nie mówią wszystkiego.

Przystanął w progu, przytrzymując ręką drzwi.

- Jestem wdzięczny, ale fakt, że ich pani rozmiękczyła, wydaje mi się podejrzany.

- Nielegalny handel zabytkami. Ostatnio zrobiło się o nim głośno. Mam trzymać rękę na pulsie.

Oparła się mocniej o drzwi i zamknęła mu je przed nosem.

Dukas wrócił do swojego tymczasowego gabinetu i zastał dwie wiadomości: miał zadzwonić do Dicka Trifflera do Neapolu i do szefa SDK w Waszyngtonie z zabezpieczonej linii. Żeby to zrobić, musiał skorzystać z innego gabinetu. Ludzie zaczęli patrzeć na niego jak na wrzód na dupie, którym, zdawał sobie sprawę, rzeczywiście był.

Najpierw zadzwonił do Trifflera w nadziei, że uzyska informacje, które przydadzą się w rozmowie z Kasserem. Na początku Triffler truł mu o tym, że nie zdążył na przedstawienie w operze, a potem jeszcze streścił to, co powiedział wczoraj: o wczesnogreckim zabytku, Gazie i plotkach.

- Potem poszedłem zobaczyć się z Barrym, jak rozkazałeś, o panie. Myślę, że to szpieg.

- O cholera!

- Może były szpieg. Ma odpowiednie słownictwo i zagrywki i zachowuje się, jakby służył w wywiadzie. Poza tym, ale to może nic nie znaczyć, wspomniał o swoim „amerykańskim kontakcie”, który jest bardzo ważnym gościem i jak zrozumiałem z kontekstu, to od niego pochodzą informacje, które ma Barry. Stwierdzenie „bardzo ważny gość” należy traktować z przymrużeniem oka, bo Barry jest jednym z tych żalonych nieudaczników, którzy na każdym kroku podkreślają, jakie mają wspaniałe znajomości. Ale... i to jest duże „ale”, Mike...

- Lubię duże ale.

- Ale Barry’emu trafiło się coś, co może się okazać ważne. Pokazał mi zdjęcie zabytkowego przedmiotu, który wygląda jak waza, a co on nazywa pucharem. Na naczyniu widnieje inskrypcja, a Barry mówi, że to pismo linearne B, bardzo rzadko spotykane i bardzo stare pismo wczesnych Greków, którego nie jest w stanie odczytać prawie nikt na świecie. Barry twierdzi, że on akurat to potrafi... chociaż może się tylko przechwalać, bo nie chciał przetłumaczyć dla mnie ani słowa i nie pokazał nawet najmniejszej próbki przekładu. Ale jest jednym z tych facetów, którzy nie mogą się powstrzymać przed mówieniem o tym, czym się akurat fascynują. Dał mi dość jasno do zrozumienia, że cały ten szum dotyczy właśnie inskrypcji. Podobno przez nią trzeba będzie napisać na nowo historię Żydów. Kosztowało mnie to całe popołudnie, operę i dwa tysiące dolarów z osobistego konta, byłbym więc wdzięczny, gdyby udało mi się odzyskać chociaż pieniądze. Halo?

- A co powiesz na moją dozgonną wdzięczność?

- A co powiesz na moje dwa tysiące?

- Napisz wniosek. Może szef rozpatrzy go pozytywnie, kiedy wróci do Neapolu.

Dukas rozłączył się i przez parę chwil zastanawiał nad pisaniem historii Żydów na nowo. Nie wydawało mu się to jakoś ogromnie ważne - ale z drugiej strony, w ogóle uważał że historia nie jest zbyt ważna. Potem zadzwonił do szefa SDK.

- Tu Kasser.

Skrzekliwy głos był cichy i spokojny.

- Dukas. Dzwoniłeś do mnie.

- Tak. Sprawa wygląda następująco: zaczynają na mnie coraz bardziej naciskać, żebym przyklepał decyzję o zmianie szyfrów. Sztab coraz bardziej się niepokoi, a w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego dostają fioła. Uważają że nie mogą ryzykować pomyłki i czekać z założonymi rękami na to, aż udowodnimy, że w zabójstwie Qatiba nie chodziło o szyfry. Nadeszła jedna z tych nieprzyjemnych chwil: albo srasz, albo złaż z nocnika, Mike.

- Tak, fajnie by było, gdybym mógł wyciągnąć z tyłka jakiś dowód. Ale nie mogę.

- Jak źle to wygląda?

- Na tyle źle, że wracam do domu przynajmniej na weekend. Czekam tylko, aż mój człowiek spotka się z wysoko postawionym funkcjonariuszem Autonomii odpowiedzialnym za handel zabytkami. Może uzyska jakieś odpowiedzi, ale może nie. - Streścił szybko to, czego się dowiedział w Jaffie i Tel Sharm Heir'at, i to, co udało się ustalić Trifflerowi w Atenach. - Triffler uważa, że ten starogrecki trop jest istotny i może dlatego Izraelczycy tak ostro reagują. Mnie też to trafia do przekonania: jeśli zagrożona jest sama tożsamość twojego kraju, jej idea, to może nie zawahasz się kogoś zabić, zasypać buldożerami teren nielegalnych wykopalisk, założyć tam nowe osiedle i utrudnić śledztwo poprzez skremowanie zwłok.

- A może robisz to wszystko z powodu szyfrów.

- To też możliwe, ale wtedy po co zasypywać teren wykopalisk i angażować do akcji sekcję Mossadu zajmującą się zabytkami i dziełami sztuki. Nie, Ted, myślę, że nie chodzi o szyfry. Tylko że jeszcze nie potrafię tego udowodnić.

- Ale czy jesteś gotów powiedzieć, że na pewno nie chodzi o szyfry?

Dukas spojrział na zdjęcie czyichś dzieci i psa.

- Nie. Jeszcze nie.

Kasser milczał. Dukas wiedział, że szef mu ufa. Był w końcu numerem pięć w SDK, jego opinii nie należało lekceważyć. Jednocześnie jednak zdawał sobie sprawę, że Kasser jest człowiekiem, który dokładnie wie, jakie naciski z góry on sam i SDK mogą wytrzymać.

- Może uda mi się ich jeszcze przystopować - powiedział Kasser ponurym głosem. - Ale musisz zdobyć jakieś dowody albo pozwolić im zmienić szyfry, Mike. - Jego głos stał się

niemal dobroduszny. - Ostatecznie, jeśli to zrobią, stracimy tylko pieniądze. W przeciwnym razie ryzykujemy straty w ludziach i okrętach.

- No i jest jeszcze prawda - dodał Dukas.

- Tak. Jest jeszcze prawda.

Waszyngton

Izraelski biznesmen, który ciągle podróżował między Jerozolimą, Waszyngtonem i Los Angeles, poprosił młodszego zastępcę sekretarza obrony o pilne spotkanie. Mógł sobie na to pozwolić, bo obaj mężczyźni byli starymi znajomymi, nawet starymi sprzymierzeńcami, a właściwie starymi wspólnikami w interesach do czasu, gdy młodszy zastępca sekretarza obrony musiał się pozbyć wszelkich interesów, zanim objął urząd. Ale nazwisko izraelskiego biznesmena bardzo się liczyło. Miał koneksje. I pieniądze.

Poszli na drinka do zaskakująco skromnego baru w północnozachodnim Waszyngtonie - bynajmniej nie jednego z tych, do których zwykle chodzą wysocy urzędnicy państwowi. Bar był dyskretny. Bez dziennikarzy. Panowie pogawędzili, przewalowali tematy wstępne - twoja żona, twoje dzieci, moja nowa praca, moje bóle głowy, cholerni Demokraci, następne trzy lata. Jedenasty września. A potem przeszli do meritum:

- Miałem telefon z Jerozolimy, przyjacielu - oświadczył biznesmen.

Odpowiedziało mu czujne spojrzenie.

- Wygląda na to, że doszło do krępującej gafy w Tel Awiwie. Poproszono mnie, abym podzielił się tym z tobą, zanim... - Gest rąk i kiwnięcie głowy sugerujące reperkusje. - Nie chcę owijać w bawełnę... - Uśmiechnął się i bystro spojrzął spod oka. - Zdaje się, że twoi ludzie, to znaczy twoje biuro, wysłało kogoś bez państwowego certyfikatu bezpieczeństwa. - Wykonał przepaszający gest ręką. - Ta osoba, ten mężczyzna, niejaki... Raymond Spinner jest, jak słyszałem, w Tel Awiwie, zadaje pytania, szuka informacji. Oczywiście, ja wiem i ty wiesz, że informacje są ważne, ale istnieją różne sposoby ich zdobywania. Doskonale rozumiesz, jak sądzę, sytuację, w jakiej znalazł się Izrael... wyobraź sobie, proszę, że dowiadujesz się, iż Izrael wysłał tu agenta bez pytania waszego rządu o zgodę i ten agent nie ma nawet certyfikatu bezpieczeństwa własnego kraju. Jesteśmy przyjaciółmi. Nie tylko ty i ja, lecz również nasze kraje, tak? A w szczególności, twoje biuro i pewne... elementy struktury wywiadowczej mojego kraju. Czy mam rację? Od czasu nastania nowej administracji w

Waszyngtonie wiemy, że mamy przyjaciół i sprzymierzeńców w... że tak powiem, ważnych miejscach?... A w szczególności w obszarze, za który ty odpowiadasz. Tak więc nagle mamy do czynienia z tą osobą, która tak tajemniczo... tak osobliwym sposobem... pojawiła się wśród nas. Niektórzy w Izraelu byłiby skłonni aresztować tego człowieka, bez dwóch zdań. Aresztować i osadzić w więzieniu. Mogliby uznać go za *persona non grata*, co znaczyłoby... zresztą sam wiesz. Postawić go przed sądem za szpiegostwo... wielki wstyd. Być może spróbować go wymienić, powiedzmy, na Jonathana Pollarda. Jak myślisz?

Młodszy zastępca sekretarza zmarszczył brwi.

- Mało atrakcyjna możliwość. Na szczęście, na razie przeważa trzeźwiejszy osąd. Uważa się mianowicie, że to doskonała okazja, żeby to drobne nieporozumienie przekuć w nowe kontakty, w ściślejszą współpracę. Tak między nami, niektóre osoby są niezadowolone z... mówiąc bez ogródek, z CIA. Niezadowolone z nastawienia dominującego w Agencji, i pewnych przyjmowanych założeń.

Młodszy zastępca sekretarza pokiwał głową i rzucił:

- Z liberalizmu.

- Tak. Podczas gdy w twoim biurze pracują ludzie bliżsi, powiedzmy, pewnych intelektualnych kręgów politycznych w Tel Awiwie i Jerozolimie. Łączy nas pewne powinowactwo. Sympatia. Dlatego na sugestię przyjaciół z ojczyzny chciałbym rozważyć z tobą możliwość wykorzystania pana Raymonda Spinnera z korzyścią dla wszystkich. Żeby uniknąć aresztowania, a w zamian poinstruować go waszymi kanałami, aby skonsultował się z... odpowiednimi osobami w sprawach interesujących obie strony. Na przykład, w sprawie, która zaprowadziła go do Izraela. Niektóre osoby chętnie mu pomogą. A to po to, by... mówiąc szczerze... twoje biuro mogło zyskać przewagę nad innymi amerykańskimi instytucjami, które zajmują się tą sprawą. Dostrzegamy tu sytuację, w której obie strony wygrywają. Poza tym, aby okazać dobrą wolę Izraela, poproszono mnie o zapewnienie, że jeśli się dogadamy, strona izraelska udostępni wam pewne informacje o irackiej broni masowego rażenia. Nowe informacje. Bardzo konkretne. - Uśmiechnął się. - Zamiast, Boże broń, aresztowania i sądu.

Młodszy zastępca sekretarza powiedział, że jego zdaniem mogą dokonać tu ważnych ustaleń i czy w związku z tym rozmówca jeszcze by się nie napił?

Alan i Fidel biegli przez czarną noc, powietrze było zimne i pozbawione światła jak piwnica. Alan słyszał tupot ich nóg piaszczystej drodze, obaj dyszeli jak zziązane psy. Ich oddechy parowały. Przed nimi majaczyła sylwetka wieży z szubienicą odcinającą się czernią od ciemnoszarego nieba rozjaśnionego odległymi światłami Kandaharu. Biegli, ponieważ przestraszona kobieta E-2 właśnie krzyknęła do wnętrza ich domu:

- Lepiej chodźcie! Mają waszego faceta!

Alan przeprowadził dwie dwunastogodzinne sesje z więźniem. Sesje polegały na ciągłym, nużącym powtarzaniu w kółko tych samych pytań: Jak się nazywasz? Ile masz lat? Ilu masz synów? Czy współpracowałeś z talibami? Jak się nazywasz? Czy pracowałeś dla Al-Kaidy? Dlaczego uciekłeś do Iranu? Jak się nazywasz? Między sesjami trochę się przespał, lecz więzień nie miał takiej możliwości, bo zostawili zapalone światła i puszczali mu hałaśliwą muzykę.

Jeniec był starszym mężczyzną pachniał potem i przyprawami, miał długą brodę i bladą twarz osoby chorej na serce. Nosił chustę na głowie i długie szaty, z których wystawały dłonie i stopy podobne do korzeni drzewa: żyłaste, pomarszczone i brązowe. Jako pobożny muzułmanin (w każdym razie tak się przedstawił) poprosił o bieżącą wodę, żeby móc się umyć przed modlitwą. W budynku nie było bieżącej wody, ale Alan załatwił mu pełne wiadro.

Alan zachowywał się wobec starca jak ojciec, jak bóg, który daje i odbiera. Kiedy potrzebował przerwy, zastępował go Fidel, pomniejszy bóg, surowszy i mniej cierpliwy. Ale żaden z nich nie tknął starca ani mu nie groził.

Alan wiedział, że same warunki przesłuchania stwarzały dostateczne poczucie zagrożenia.

Robili postępy. Wcześniej Alan powiedział Fidelowi, że jego zdaniem potrzebują jeszcze trzech dni. Alan musiał pogodzić się z myślą, że nie wróci do Bahrajnu na czas, aby pomóc Rose spakować bagaże i straci pierwsze dni urlopu w Neapolu. Nie zdąży też na kolację, którą zaplanował ze starymi przyjaciółmi. Ale to było bez znaczenia, ponieważ za dzień albo dwa starzec zacznie mówić.

A potem przestraszona młoda kobieta krzyknęła: „Lepiej chodźcie! Mają waszego faceta!” Alan z Fidelem wyskoczyli ze śpiworów i pognali w stronę więzienia. Kobieta stała za nimi w ciemnościach, krzycząc: „Nie tam... w tym ceglanym budynku... w tej wieży!” Była strażniczką więzienną, Alan znał ją z widzenia. Dopiero później zdał sobie sprawę, jak wiele ryzykowała, powiadamiając ich o tym, co się stało. I dlatego biegli w mroku.

Alan zapalił latarkę. W jej świetle ceglana wieża przybrała żółtobrunatną barwę, z czarnym prostokątem wejścia na parterze. Drzwi dawno spróchniały i leżały gdzieś w chaszczach. Fidel dotarł tam przed Alanem i wpadł do środka, zmieniając się w czarną sylwetkę, gdy światło jego latarki odbiło się od ścian. Alan wbiegł za nim i jego wzrok natychmiast powędrował do góry, gdzie jarzyło się ostre białe światło - lampa gazowa. A na suficie majaczyły cienie postaci, wydłużone, zniekształcone, nieludzkie.

Przed schodami stał żołnierz. Fidel świecił mu w twarz tak, że tamten krzywił się i mrużył oczy. Alan stwierdził, że to jeszcze dzieciak, który powinien jeździć na deskorolce i paradować w workowatych dzinsach obwieszonych łańcuchami. Ale znalazł się tutaj, bo był zamieszany w coś paskudnego. Fidel warknął:

- Z drogi.

- Nie możecie wejść na górę!

Chłopak podniósł głos, nie tyle ze strachu, ile z ekscytacji, pomyślał Alan.

Alan rzucił się do przodu.

- Komandor Alan Craik, US Navy, z drogi! - krzyknął.

- Sir, nie może pan...

Fidel znowu warknął:

- Zamknij się, gówniarzu, zanim narobisz sobie poważniejszych kłopotów.

Alan wyminął go i po chwili obaj biegli już po schodach. Nad ich głowami ktoś krzyczał i nawet mimo tupotu butów po ceglanych stopniach usłyszeli wrzask kogoś innego. Alanowi wydawało się, że to głos starca, po chwili był już tego pewien. Oddychał teraz ciężko, paliło go w gardle, czuł się, jakby kończył maraton, finiszując pod górkę. Fidel biegł obok i wyprzedziłby go, lecz Alan zablokował mu drogę ręką i biegł wyżej i wyżej. Kiedy zbliżali się do platformy, zobaczył stryczek dyndający w powietrzu i linę znikającą w jasnym świetle nad nimi.

Wbiegł na platformę zdyszany. Nawet nie mogąc złapać tchu, wiedział, że musi natychmiast objąć dowodzenie.

- Ten człowiek... - wysapał - jest moim więźniem! Wara wam... od niego!

Dwaj młodzi żołnierze trzymali starca za ręce. Ściągnięta chusta i ubranie leżały na podłodze. Włosy, długie i siwe, w mokrych strąkach okalały twarz i spływały na nagą pierś. Biały plastikowy kubek stał przy ścianie, podłoga wokół była ochlapana wodą.

- Co się tu, do cholery, dzieje?! - ryknął Alan.

Czwarty mężczyzna kuczał przy zewnętrznej barierce. Kawał chłopca, większy od Fidela i starszy, dobiegał pięćdziesiątki. Miał na sobie mundur polowy, ale bez naszywek ze stopniem wojskowym. Był kiedyś żołnierzem jakiejś formacji, osilek do wynajęcia, pomyślał Alan.

- Zadałem pytanie! - krzyknął Alan.

- Pieprz się.

Alan stłumił gniew.

- Alan Craik, komandor US Navy. To mój więzień. Z kim mam do czynienia?

- Spadaj.

- Nazwisko, stopień, numer... jesteś aresztowany...

Alan ruszył do przodu, oświetlając latarką ciemność za barierką. Zobaczył zwisającą linę i pomyślał: grozili staruszkowi, że go powieszają, straszliwa śmierć dla muzułmanina.

Zbliżył się do dryblas na wyciągnięcie ręki i rzucił przez ramię:

- Aresztuj tych ludzi, Fidelio. I zajmij się naszym więźniem.

Spojrzał facetowi w oczy.

Tamten nie odwrócił wzroku, przyjął postawę obronną, czytelny znak, że nie zamierza się wycofać. Po lewej stronie od niego szyb wieży ział pustką, zdejmowana część barierki została zdemontowana i leżała przy ścianie.

- Ej, ty - burknął i wytknął Alana palcem. - Spieprzaj stąd. Będzie dla ciebie znacznie lepiej, jeśli weźmiesz dupę w troki i zapomnisz o całej sprawie.

- Łamiecie reguły traktowania więźniów!

- To terrorysta! - reguły się zmieniły! - Jego twarz wykrzywiła się gniewnie. - Z tymi metodami, facet gównem by wam powiedział. A teraz wypieprzać mi stąd!

Potem wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Alan usłyszał, że coś porusza się z tyłu i z lewej strony, coś się działo ze starcem, po chwili rozległ się straszny, przeciągły jęk, jakby ktoś wyciągał z deski gwoździe. Dryblas natarł na niego, zamierzając zdzielić go w twarz, a potem w tył głowy i powalić na ziemię, ale obaj przeszli takie samo szkolenie i Alan zablokował cios ramieniem, i zamachnął się latarką. Facet stęknął, zrobił krok w bok i kopnął Alana, spychając go w stronę wyrwy w barierce. Alan, lecąc prosto w dziurę, zahaczył ręką o barierkę i upuścił latarkę, która wirując, spadła w otchłań, uderzyła o podłogę na dole i zgasła. Alan, wisząc nad otchłanią, podciągnął się na prawej ręce, lewą chwycił się barierki po drugiej stronie i tak zawisł, z lewą nogą dyndającą w mrocznej pustce.

Dryblas zbiegał już po schodach. Fidel ruszył za nim, ale wrócił, słysząc wołania Alana. Dwaj młodzi żołnierze także rzucili się do ucieczki, przeskakując po dwa, trzy stopnie, a Alan krzyczał, żeby wszyscy się zatrzymali, że to rozkaz, że są aresztowani. Oczywiście na próżno.

Starzec leżał na podłodze w kałuży obok białego wiadra. Nagie ciało było trupio blade w mocnym świetle lampy, a stara skóra żałośnie pomarszczona i obwisła, mięśnie zwiotczały. Alan pochylił się nad nim, starzec otworzył powieki, rozpoznał go. W jego oczach nie było ani ulgi, ani wdzięczności.

- Musimy zdobyć nazwiska i numery tych facetów - powiedział Fidel. - Smarkacz, który stał na warcie przy schodach, też zwiął. Dobierzemy im się do tyłków.

Alan sprawdzał staruszkowi puls.

- Potrzebuje opieki medycznej. Bóg jeden wie, co z nim robili.

- Na pewno go podtapiali. I grozili, że go powieszą.

- Znasz tamtego faceta?

- Nigdy wcześniej go nie widziałem.

Starzec miał tętno szybkie i słabe. Oddychał przez usta, płytko i gwałtownie, jakby nie był w stanie zaczerpnąć powietrza do płuc.

Kiedy spojrzał Alanowi w oczy, wyciągnął prawą rękę i poklepał się w klatkę piersiową po lewej stronie, potem przesunął rękę wyżej, w kierunku ramienia.

- Myślę, że ma zawał. Jezu Chryste.

Fidel pochylił się i we dwóch przenieśli go tak, żeby nie leżał w kałuży, i podłożyli mu pod głowę zwiniętą chustę. Fidel mówił właśnie, że pójdzie po sanitariusza, gdy na dole rozległ się hałas, a potem rozbłysły światła. Alan podszedł do barierki, spojrzał w dół i zobaczył pół tuzina ludzi biegnących po schodach na górę.

- Potrzebujemy lekarza! - zawołał. - Niech ktoś sprowadzi lekarza!

Nikt nie zawrócił.

- Mamy ofiarę zawału! Sprowadźcie lekarza!

Pierwszy dotarł do nich wystraszony porucznik wojsk lądowych. Za nim, dysząc podczas pokonywania ostatnich schodków, pojawiła się kobieta, w której Alan rozpoznał dowódcę więzienia, w stopniu podpułkownika. Jej twarz wykrzywiła się w brzydkim grymasie gniewu i strachu.

- Wynoście się stąd, do cholery! To rozkaz! - krzyknęła.

- Mój jeńiec ma zawał. Sprowadźcie pomoc. - powiedział Alan.

Za jego plecami Fidel robił staruszkowi masaż serca, co brzmiało jak trzepanie dywanu.

- Wynocho.

- Pani podpułkownik, mój więzień był torturowany. On umiera!

Rzuciła przez ramię jakiś rozkaz i jeden z jej podwładnych ruszył po schodach na dół.

- Zostawcie to nam - zwróciła się do Alana i stanęła z boku. - Chcę dorwać tych czterech, którzy tu byli. Zajmę się tym. - Była stanowcza, ale bardziej uprzejma, jakby właśnie zrozumiała, z kim ma do czynienia. I jakby też nie wiedziała, co się dzieje.

- Facet odmówił mi podania nazwiska i stopnia! Co to za jeden? Z CIA? Cywil? I dlaczego, do cholery, torturował mojego więźnia?

Gwałtownym ruchem odwróciła do niego głowę.

- Powiedziałam, że się tym zajmiemy! Teraz to nie pańska sprawa!

- W traktowaniu więźniów musimy przestrzegać określonych reguł.

- To terrorysta, inaczej by go tu nie było.

Alan o mały włos nie powiedział czegoś, czego by później żałował, lecz zawołał go Fidel. Podszedł i przyklęknął obok starca.

Pani podpułkownik zbliżyła się do nich.

- Niech pan po prostu zostawi to nam, komandorze - rzuciła. - Dowiemy się, co się tu wydarzyło. Dopilnujemy, żeby przepisom stało się zadość. Pańskiemu więźniowi nie stanie się nic złego.

Przybrała teraz niemal błagalny ton, wiedziała, że ma się czego bać.

- Nie. Myli się pani. - Alan wstał. - On nie żyje.

Spojrzała na martwego starca.

- Możemy to zatuszować - zaproponowała. - Zgon nastąpił z przyczyn naturalnych.

Zaczęła wydawać swoim ludziom rozkazy, lecz Alan uniósł rękę, powstrzymując ich.

- Pani podpułkownik... to miejsce przestępstwa!

Popatrzyła na niego. Potem jej twarz wykrzywił strach.

- O Chryste - jęknęła. - O Chryste...

Tel Awiw

Na biurku piętrzył się stos papierów, bo Dukas lubił mieć wszystko na papierze i nie ufał elektronicznej magii komputera. Mimo to korzystał z niego, gdy musiał, i wiedział, że wiadomości dotrą szybko na miejsce: do Neapolu, do innych ludzi w ambasadzie, do Waszyngtonu. W związku z tym przez sporą część dnia pisał skargi i sprzeciwy, przede wszystkim w sprawie kremacji szczątków Salema Qatiba i niszczenia materiałów

dowodowych. Pisał też o utrudnianiu śledztwa (zrównanie z ziemią stanowiska wykopalisk w Gazie). O tuszowaniu przestępstwa i ukrywaniu winnych.

Udało mu się złapać Abe'a Peretza w przerwie między spotkaniami - Abe jako oficjalny pośrednik w kontaktach z miejscowymi władzami był niezbędny, aby doręczyć niektóre skargi Dukasa, zresztą i tak wybierał się na rozmowę z przedstawicielami policji. Dukas zaprowadził go do gabinetu i zamknął drzwi. Opowiedział mu o spotkaniu, które miało się odbyć w Kairze albo Ammanie.

- W sobotę? To pojutrze!

- Sprawa jest bardzo ważna.

- Ale to szabas, Mike.

- Na pewno jest jakaś specjalna dyspensa na ważną pracę w szabas. Wszystkie religie mają specjalne dyspensy, inaczej by nie przetrwały.

- Bea mnie zabije!

- Abe, to będzie kaszka z mleczkiem: krótki przelot, zjawiasz się w mieście, dostajesz wsparcie, potem rach, ciach, ciach na spotkanie, krótka rozmowa i wracasz do domu. Abe, zaufaj mi. To bardzo ważne.

Peretz uśmiechnął się, powąchał opuszki palców, zgodził się, ale stwierdził, że żona i tak go zabije, i zapytał, czego Dukas od niego oczekuje.

- Spotkasz się z Palestyńczykiem, zadasz kilka pytań. Wcześniej ich listę przejrzy i zaaprobuje ta miła pani z CIA. Widzisz, sam bym pojechał, ale nie chciała mi pozwolić.

Peretz parsknął śmiechem. Rozbawiło go, że Dukas mógł w ogóle pomyśleć, że pozwoli mu na takie spotkanie.

Później tego dnia udali się do gabinetu szefowej ekspozytury. Śpieszyło jej się, rozmowa ograniczyła się do zdawkowej wymiany zdań. Przebiegła wzrokiem listę pytań, którą wydrukował dla niej Dukas: „Co wiecie o śmierci Salema Qatiba? Jak zabito Salema Qatiba? Jak jego ciało trafiło z Tel Sharm Heir'at do Jaffy? Jaka rolę odgrywał Saleem Qatib w nielegalnym wykopywaniu zabytków na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy?”

- Pytania się powtarzają i są zbyt szczegółowe - stwierdziła.

Spojrzała na zegarek.

- Możliwe, że za pierwszym razem nie uzyskamy odpowiedzi.

- Mocne założenia: przyjął pan, że bardzo dużo wiedzą. Są na tym punkcie wrażliwi.

- Ludzie, którzy wykorzystują zamachowców samobójców... są „wrażliwi”?

Peretz miał pytania na temat środków bezpieczeństwa. Szybko streściła mu plan operacji, dała Dukasowi dwa wydruki, po jednym dla każdego, z ich nazwiskami wypisanymi

ołówkiem u góry, wprowadziła ich w szczegóły organizacyjne. Spotkanie miało się odbyć w Kairze, o piątej po południu tamtejszego czasu. Dała też Peretzowi bilety.

- Muszę uciekać - powiedziała.

Miała inne spotkanie.

Peretz zatrzymał ją, zanim zdążyła wyjść.

- Jadę tam z własnym paszportem, oficjalnie, w sprawach służbowych, tak?

- Jest pan dyplomatą. A to jest misja dyplomatyczna; - Uśmiechnęła się. - To jeden z powodów, dla których pan Dukas się nie nadawał. - Wyszła za drzwi, ale zawróciła. - Samo spotkanie jest jednak tajne, proszę więc nie paplać o nim znajomym i rodzinie. Gdyby musiał pan coś powiedzieć, proszę mówić, że ma pan do załatwienia jakąś służbową sprawę na Cyprze, ale nie może pan o niej rozmawiać.

Potem wyszła.

Dukas odprowadził Peretza z powrotem do jego gabinetu.

- Czuję się trochę niedowartościowany - stwierdził Peretz. - Liczyłem na jakąś próbę generalną i co najmniej trzy odprawy. O co w ogóle w tym wszystkim chodzi?

Kiedy Dukas zaczął mu tłumaczyć, Peretz przerwał mu, mówiąc, że nie ma teraz czasu.

- Pojedź ze mną do domu - zaproponował. - Możemy obgadać to po kolacji.

Dukas powiedział, że zwalenie się Bei na głowę praktycznie bez uprzedzenia nie jest najlepszym pomysłem.

- Może po prostu spotkajmy się po kolacji? - zasugerował.

Ostatecznie umówili się na dziewiątą, czyli godzinę, gdy Dukas miał nadzieję leżeć z piwem przed telewizorem, ale zaakceptował to wyrzeczenie jako nieuchronne. Wieczorem porozmawiał z Leslie, potem zjadł kolację w meksykańskiej knajpie polecanej przez szefową ekspozytury, a kiedy dotarł do mieszkania Peretzów, było już po dziewiątej. Leslie chciała z nim omówić planowaną kolację z Craikami i Trifflerami i bardzo zależało jej na tym, żeby był obecny. On jednak uprzedził jej nalegania: uznał, że ma już Tel Awiwu powyżej uszu i wraca do domu.

- Może tu jeszcze przyjadę, a może nie. Ale na razie, kotku, spieprzam stąd, jak tylko pozbię swoje zabaweczki.

Nie przeszkadzało mu, że Mossad może mieć jego hotelowy telefon na podsłuchu, spodziewał się, że tak właśnie jest.

Kiedy zjawił się w mieszkaniu Peretzów, w powietrzu unosił się mocny zapach cebuli, a ze stołu jeszcze nie sprzątnięto resztek kolacji. Bea, zaskakująco ciepło usposobiona, uściskała go i powiedziała, że koniecznie musi zjeść chociaż deser. Próbował się wymigać,

tłumacząc, że najadł się w Chimichandze, ale pozostała nieugięta: miała ciasto orzechowe, które sama upiekła, a on nie mógł odmówić. Bea jest zabawną kobietą, pomyślał, raz było się u niej w łasce, innym razem w niełasce. Teraz okazała się bardzo łaskawa. Nie rozmawiała o chęci zamieszkania w Izraelu na stałe ani o rzekomo zbyt luźnym stosunku Abe'a do żydostwa. Może w ich małżeństwie się poprawiło, pomyślał Dukas. Może romans Abe'a z Miriam Gurion korzystnie wpłynął na atmosferę w domu. To się czasami zdarzało.

- Jeszcze, Mike?

- Chyba pęknę.

- Dlaczego w ogóle nie tyjesz? Jeden kawałek tego ciasta, a ja już wyglądam jak ludzik Michellina. A ty wyglądasz jak zdrowy zapaśnik.

- Chyba masz na myśli zapaśnika sumo. Zresztą, Beo, nie chciałabyś chyba wyglądać jak zdrowy zapaśnik.

Roześmiała się, córki Peretzów też się zaśmiały, potrafiły zachować się uprzejmie w towarzystwie dorosłych. Potem zebrały brudne talerze i wyniosły je do kuchni. Dukas powiedział Abe'owi i Bei, że jutro wyjeżdża.

- Mam lepsze rzeczy do roboty. Ludzi, z którymi chętnie się zobaczę.

- Tylko mi nie mów, że nie podoba ci się Tel Awiw! - Zreflektowała się jednak, uniosła dłoń i powiedziała: - Nic nie mów, nie chciałam wygłaszać jednej ze swoich tyrad. - Roześmiała się. - Bea Peretz, jednoosobowa telawiwska izba handlowa. Moja przyjaciółka Esther uważa, że powinnam pójść do pracy. Potem zapytała o jego żonę, o jeszcze nienarodzone dziecko. - Mike Dukas tatusiem! Nie sądziłam, że kiedyś dożyję tej chwili. - Poklepała go po ręce. - Mieliśmy swoje utarczki, Mike, ale po prostu taka już jestem. Cieszę się, że jesteś szczęśliwy.

Dukas nie mówił, że jest szczęśliwy. Tam, do cholery, może rzeczywiście był. Potem Abe zaprowadził go do swojego gabinetu, czyli kanciapy, gdzie mieściło się małe biurko, dwa fotele i - dziwny pomysł aranżacyjny - niszcarka do dokumentów. Dukas wprowadził go w sprawę Qatiba, następnie wyjaśnił, czego właściwie oczekuje od Palestyńczyków.

- Jeśli uda ci się wyciągnąć od nich choć połowę, będę wniebowzięty.

Później szczegółowo omówili plan operacji. Żeby nie zabierać swojego egzemplarza z powrotem do hotelu, Dukas zostawił go na biurku i poprosił Peretza, żeby go zniszczył.

Dukas pożegnał się przed jedenastą. Abe Peretz od razu położył się do łóżka, tłumacząc, że ma jutro nawał pracy. Córki siedziały w swoich pokojach, prawdopodobnie przy

Internecie. Bea odczekała pół godziny, a potem weszła do sypialni i upewniła się, że Abe już leży. Okazało się, że prawie śpi, otworzył jedno oko, wymamrotał coś i znowu je zamknął.

Bea ruszyła długim korytarzem do jego gabinetu. Weszła do środka. Miała wymówkę, zostały tam filiżanki po kawie. Abe był bałaganiarzem i dawno zdążył się przyzwyczaić, że po nim sprzątała. Zebrała filiżanki - właściwie kubki, bez spodków - i stanęła nad biurkiem, przyglądając się rzeczom na blacie. Przewertowała stosik dokumentów, nie zobaczyła nic nowego, a potem podniosła słownik i atlas i wyciągnęła trzy kartki, których brzeg wystawał spod spodu.

W prawym górnym rogu pierwszej kartki ktoś napisał ołówkiem: „Dukas”.

Reszta była wydrukowana, prawdopodobnie z komputera. „Plan operacyjny kairskiego spotkania przedstawiciela USA i wyznaczonego przedstawiciela Autonomii Palestyńskiej”.

Uniosła kartki i pobieżnie je przejrzała. Zorientowała się, że jest to instrukcja dotycząca tajnego spotkania w kairskim centrum handlowym.

Włączyła drukarkę, która służyła także jako skaner i fotokopiarka.

Skserowała każdą ze stron.

Odłożyła kartki pod atlas i słownik.

Wzięła kubki i wyszła z pokoiku.

Mitylena, Lesbos

Piat obudził się, kiedy zmienił się odgłos silników, co świadczyło, że prom znalazł się w przesmyku między Lesbos a Turcją. Zrzucił z siebie ubranie, wziął prysznic, ogolił się i spakował swój skromny bagaż. Był czwartą osobą w kolejce do zejścia z pokładu w Mitylenie. Nie widział Czarusia ani żadnego ze zbirów.

Późnym wieczorem, pomimo martwego sezonu i deszczu, wszystkie bary i dyskoteki nad brzegiem morza były otwarte i gwarne, gdy więc ucichły silniki, ich stłumione dudnienie zastąpiła kakofonia basowego łomotu i wysokiego śmiechu. Piat zszedł z trapu prosto na ulicę i ruszył przez port w kierunku swojego ulubionego baru. Miał tam wszystko, czego potrzebował: alkohol, automat telefoniczny i trzy wyjścia. Nie zamierzał jechać do Molivos autokarem.

Na zachodnim krańcu portu skręcił w lewo i obejrzał się za siebie. Czarus, samotnie, zszedł właśnie z trapu i pośpieszył za nim. Piat zazgrzytał zębami. Czarus był tak

niedoświadczony, że nie potrafił zachować odpowiedniej odległości: uczepił się go jak rzep psiego ogona właśnie wtedy, gdy Piatowi to najbardziej nie na rękę.

Odwrócił się i szybko ruszył wzdłuż wybrzeża. Zaalarmował go nagły ruch mężczyzny siedzącego w tawernie, który gwałtownie odwrócił głowę. On z kolei przygarbił się, co w deszczu zdawało się naturalne, i zwolnił kroku. Był to facet, którego Piat nazwał Czerwoną Kurtką, Izraelczyk ostatnio kręcił się pod Akropolem, a teraz popijał ouzo w Mitylenie.

Jak dotarli tutaj tak szybko? - zastanawiał się Piat. Stało się teraz jasne, że musi zgubić Czarusia tak szybko, jak to możliwe.

Lotnisko, pomyślał, przylecieli tu z cholernych Aten, bo Czarus zabukował rejs powrotny. Ponieważ ja też go zabukowałem. Muszę się stąd wydostać i to nie autokarem, gdzie łatwo mnie namierzyć.

Piat zmodyfikował plany podróży podczas marszu. Nie lubił sytuacji podbramkowych, nie wiedział, czy sam jest w niebezpieczeństwie, ale instynkt podpowiadał mu, że powinien przyjąć takie założenie. Wcześniej czy później Czerwona Kurtka i jego kumple zwrócą na niego uwagę. Szybkim krokiem dotarł do hotelu Athinos, przez patio wszedł do baru na parterze i skierował się prosto do automatu telefonicznego zamontowanego tuż przy najczystszej męskiej toalecie w Mitylenie.

Przeczytał z karteczki numer i go wykręcił.

Nikt nie odbierał. Odczekał dziesięć sygnałów, a potem wrócił do baru. Zamówił szklankę ouzo, postanowił, że to tylko dla niepoznaki i nawet jej nie tknie. Po chwili odkrył, że szklanka jest pusta. Przeszedł przez salę do telefonu i zadzwonił jeszcze raz.

Nikogo. Piat miał na Lesbos trochę znajomych, lecz plan podróży zakładał pomoc jednego zapracowanego przestępcy i sprawy nie wyglądały najlepiej. Zastanawiał się, czy mógłby opłacić kurs taksówką aż do Molivos. Kosztowałyby to małą fortunę, ale w ostateczności zapłaci.

Wrócił do baru i zamówił szkocką. Zaczynał się złościć na tych wszystkich ludzi i ich głupie gierki. I oczywiście w tym momencie w drzwiach do baru stanął Czarus.

- Chryste - powiedział Piat na głos.

Zdał sobie sprawę, że jeśli tak dalej pójdzie, za chwilę będzie nie tylko wściekły, ale i pijany: bardzo nieprofesjonalna kombinacja.

Zsunął się z barowego stolka i znów ruszył do telefonu.

Facet odebrał po ósmym sygnale, kiedy Piat tracił już nadzieję.

- Halo, kto dzwoni?

- Andros? Tu Georgio,

- Hej, Georgio! Jak mogę ci pomóc?
- Potrzebuję transportu.
- Zamów taksówkę.
- Wolałbym, żebyś zabrał mnie do Molivos łajbą.
- Zazdrosny mąż?
- Pięćset euro. Teraz.
- Gdzie jesteś?

Piat odetchnął głęboko.

- W Athinos.
- Mam łódź pełną ludzi. Eee... Powiem, że ten rejs to część wycieczki. Dobra, Georgio.

Za piętnaście minut będę.

- Za pół godziny, przy zamku. Proszę? *Effkaristo?*
- *Parakalo*, przyjacielu.

Rozłączył się.

Piat znał Mitylene jak własną kieszeń. Wyszedł tylnymi drzwiami, zostawiając swoją szklankę na barze. Niestety, nie udało mu się zostawić Czarusia, który deptał mu znowu po piętach.

Piat stęknął. Zaczął się szybko zastanawiać, czy mógłby zgubić teraz Czarusia bez wzbudzania czujności jego opiekunów i tych, którzy go śledzili, czy też raczej lepiej by było, gdyby...

- Cholera - powiedział na głos. Wyciągnął zza pasa zdobyczny pistolet, przystawił go Czarusiowi do żeber i zaciągnął go do bramy. Czarus nawet nie pisnął.

- Przestań za mną łązić, dobrze?

Teraz, poniewczasie, zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Nie wiedział dlaczego, ale chłopak pełnił ważną rolę w całej aferze i teraz cokolwiek zrobi, będzie się pograżać coraz bardziej. Zastanawiał się nad jeszcze jedną możliwością: zastrzelić smarkacza i po prostu odejść. W Afganistanie albo w Południowozachodniej Azji... Odwrócił głowę z odrazą. Nie był już taki twardy.

Chłopak po prostu na niego patrzył. Może spodziewał się kulki w łeb.

Piat poczuł zabójcze drgnienie litości.

- Wiesz, że śledzi cię trzech, może czterech Izraelczyków? Co?

Teraz przemawiał przez niego alkohol. Nie powinien zdradzać, że dostrzega takie rzeczy, za bardzo się odsłaniał. Ale chłopak był odważny i starał się, jak mógł, i gdzieś w głębi serca, pomimo irytacji i tego, że się upił, Piat go polubił.

„Izraelczycy” wzbudzili pewną reakcję. Chłopak spojrział w stronę tylnych drzwi do baru.

- Nie chcę cię i nie chcę bandziorów, którzy cię śledzą. - Wszystko trwało zbyt długo. Piat nie widział dobrego rozwiązania. Wsunął pistolet z powrotem za pas. Musiał improwizować. - Idziesz ze mną.

- Widziałem ich. - Chłopak skinął głową w stronę baru. - Dwóch dużych facetów.

- Więcej niż dwóch, mały. Jak ci na imię?

Piat ruszył przed siebie, z prawą ręką trzymając na kolbie pistoletu.

Chłopak, nie mówiąc nic, poszedł za nim. Piat pomaszerował na północ, przez nowoczesny plac za nabrzeżem i pod górę, z dala od Izraelczyków i portu, do starej dzielnicy z czynszowymi kamienicami, które kiedyś były wielkimi rezydencjami z drewnianymi balkonami w stylu tureckim. Minawszy kilka przecznic, skręcił na północ, równoległe do nabrzeża. Tu mijali coraz mniejsze, skromniejsze domy, zbudowane bliżej siebie. Znow zaczęło padać.

W połowie drogi na szczyt wzgórza, które wznosiło się po północnej stronie portu, chłopak przemówił:

- Rashid.

- Co?

Piat odwrócił się, trzymając rękę na pistolecie i spojrział w głąb biegnącej po łuku, brukowanej uliczki, którą właśnie minęli.

- Tak mam na imię. Rashid.

- Mów mi Jack. - Piat przyzwyczał się do tego imienia i uznał, że nie zaszkodzi, jeśli jeszcze jedna osoba będzie się do niego tak zwracać. Idąc, zastanawiał się, co zrobić z dzieciakiem. Z Rashidem. - Jesteś Palestyńczykiem?

Zadawszy pytanie, odwrócił głowę, żeby widzieć reakcję chłopca.

Chłopak umie trzymać język za zębami. Lepiej niż ja, pomyślał Piat. Adrenalina i ruch wypłukiwały alkohol z organizmu. Przystanął i spojrział na zegarek, fosforyzujące wskazówki były ledwo widoczne. Obawiał się, że nie zdąży na czas.

- Tak.

Na szczycie wzgórza Piat skręcił na wschód, w kierunku wybrzeża. Nad nimi wznosiła się bizantyjska forteca, masywna kamienna budowla czarna na tle ciemnoszarego nieba. W tutejszej ziemi spoczywały szczątki z czasów Bizancjum, imperium otomańskiego, Genuńczyków, starożytnych Rzymian i Greków, z epoki brązu. Piat skręcił w jedną z błotnistych ścieżek, które biegły wokół murów.

- Patrz pod nogi - powiedział.

Zatrzymał się, żeby przepuścić chłopaka przodem.

Pod drzewami, które rosły przy murach, panował mrok. Piat ledwo widział ciemną kurtkę chłopaka przed sobą. Ślizgali się w błocie i szli powoli. Po pięciu minutach wyłonili się spod osłony drzew i latarnie wzdłuż nabrzeża zaczęły oświetlać drogę. Przyspieszyli kroku.

- Dokąd idziemy? - spytał Rashid przerażonym głosem.

Piat zorientował się, że chłopak wciąż spodziewa się, że zostanie zabity. Miejsce było do tego odpowiednie. Piat popatrzył wzdłuż wybrzeża i zauważył przycumowanego przy falochronie zodiaka, który lśnił żółto w świetle latami.

- W stronę pontonu.

Piat zszedł błotnistą żwirową ścieżką po stromym zboczu, ześlizgnął się z ostatniego wału na drogę, która biegła wzdłuż brzegu, i chwycił chłopaka za ramię.

- Mogę cię tu zostawić, mały. Po prostu wróć do miasta, nie oglądając się za siebie.

- Co dała panu Saida?

- Co? Słuchaj, Rashid, bardzo mi się śpieszy.

- Widział się z nią pan, w tym drugim mieście. Dała coś panu.

Piat spostrzegł przemoczoną kobietę, która stała z petem - prawdopodobnie z marihuaną sądząc po smrodzie - i patrzyła niecierpliwie na nich obu, trzymając cumę od pontonu.

Mogła zaczekać. Szkoda byłoby przegapić taką dobrą okazję. Piat odwrócił się do chłopaka.

- Kim ona jest? Twoją siostrą?

Chłopak o mało nie splunął.

- Nie.

Obraz sytuacji, jaki wyrobił sobie Piat, zaczął pękać.

- Nie wiesz, co mi dała?

- Nie. Ale...

Rashid zaczął mówić po arabsku.

Piat nie rozumiał arabskiego ni w ząb, ale widział, że dzieciak płacze, próbuje wziąć się w garść, ale nie jest w stanie.

- Hola, chłopie. Po angielsku, dobrze?

Złapał chłopaka za ramię, usiłując go uspokoić. Biedak się trząśł.

- Ona ukradła coś... Salemowi... Wiem, że ukradła. Znajdę ją...

- Salemowi?

Piat zerknął na kobietę przy pontonie. Stała zaledwie parę metrów dalej i uniosła brwi, patrząc na nich.

- Mojemu przyjacielowi... on nie żyje, tak? A ona... -

Rashid wymachiwał rękami i mówił coraz szybciej, aż w końcu zaczął bełkotać.

Piat nie miał pojęcia, o czym chłopak gada, lecz z tego niepowstrzymanego słowotoku wyłowił dość wskazówek, by zmienić zdanie.

- W porządku Rashidzie. Chcesz ze mną pójść?

Chłopak szarpnął się, odepchnął jego ramię, ale nie uciekł.

- Chcesz znaleźć Saidę? Zgadza się?

- Tak!

- Dobra. Ja też.

I zobaczymy, co wiesz o niej i o pucharze, pomyślał.

Rashid się zawahał. Piat odszedł, zostawiając go samego. Oba rozwiązania były dla niego dobre. Przeszedł przez drogę i zbliżył się do kobiety z jointem.

- Przepraszam, że musiałaś czekać.

- Jest dla ciebie za młody - powiedziała.

Zaciągnęła się głęboko, zaoferowała skręta Piatowi, a gdy odmówił, wyrzuciła go do morza.

- To nie tak.

- Och?

Uśmiechnęła się, wyraźnie pewna swego.

Miała dwadzieścia kilka lat. Nawet okutana w żółty nylon była ładna, jak wszystkie dziewczyny z Lesbos. Z haremu Androsa, zgadywał.

- Czy twój przyjaciel też płynie?

- To zależy od niego.

Piat przelazł przez balustradę nabrzeża i wszedł do pontonu.

Rashid poszedł jego śladem, a dziewczyna wskoczyła zwinnie na rafę i szybko zapuściła silnik. W ciągu kilku sekund ostry blask latami zmienił się w kroplach deszczu w rozproszoną poświatę. Kadłub zodiaka odginał się, skacząc na falach.

Rashid od razu zmókł od wody rozbryzgującej się o dziób. Nie miał płaszcz przeciwdeszczowego.

Silnik ryczał, uniemożliwiając wszelkie rozmowy, a gdy oddalili się od brzegu, fale spiętrzyły się na tyle, że kobieta przy sterze musiała się wykazać sporymi umiejętnościami. Kiedy znaleźli się między Mitylena a Therą, następnym przybrzeżnym miasteczkiem,

zawróciła w stronę lądu. Do tego czasu wszyscy byli przemoczeni do suchej nitki. Piat był zziębnięty. Przypuszczał, że chłopakowi jest jeszcze zimniej, mimo że miał starą marynarską kurtkę US Navy.

Po pół godzinie kobieta zwolniła obroty silnika i przybiła do motorówki Androsa, ciężkiej łodzi z sześciostopowym kadłubem w kształcie cygara i dużymi silnikami, na tyle szybkiej, że była w stanie przegonić każdą inną jednostkę na tych wodach. Kobieta przycumowała pod rufą i wspięła się na drabinkę. Na górze zatrzymała się i wyciągnęła rękę, żeby pomóc Rashidowi

- Przytrzymaj mu głowę: będzie rzygał. No tak, już. Myślałam, że to miejscowy. Ale nie, chyba jednak nie. Jest przemoczony. - Przeszła na grecki: - *Esti kalos, ee?*

„Jest bardzo ładny”.

Piat nie pojmował, dlaczego miałby mu się podobać chłopak wymiotujący do morza i na rękaw jego taniego żółtego płaszcza. Rashid rzygał i rzygał, a Piat starał się utrzymać równowagę na śliskim poszyciu zodiaka.

- Podaj go do góry.

Piat zadarł głowę i zobaczył Androsa, dwie dziewczyny i zwalistego Greka, którzy tłoczyli się na rufie.

Andros zamachał.

- Podaj go, stary.

Piat spojrzął na fale, na wymiociny, zastanawiał się, ile może ważyć bezwładny Rashid i już miał odmówić, ale jednak macho wziął w nim górę. Zarzucił sobie chłopaka na grzbiet, odczekał, aż fala prawie całkiem opadła, i wstał. Podniósł Rashida jednym ruchem, a silne ramiona chwyciły go i podciągnęły, zdejmując ciężar z barków Piata. Potem ktoś przytrzymał zodiaka przy samym kadłubie większej łodzi.

Piat chwycił drabinkę i ruszył na górę. Zdołał wspiąć się na pokład i nie paść ze zmęczenia na mokrą zejściówkę. Z głównej kabiny dobiegała głośnie muzyka z dudniącym basem. Rashid już zniknął pod pokładem, niesiony przez kobietę, która sterowała zodiakiem.

W głównej kabinie Piat przebrał się w pożyczone suche ubrania. Andros nie obserwował go, ale usiadł na koi, obracając w palcach papierosa. Muzyka dudniła, niosąc się przez pokład.

Piat korzystał z usług Androsa, gdy chciał przetransportować różne rzeczy i czasem kupował od niego towar z Turcji, na przykład hasz dla Barry'ego. Było to dość, żeby namówić go na rejs do Molivos, ale za mało, by uniknąć teraz wyjaśnień.

- Co to za chłopak? - spytał Andros. Podniósł wzrok. - Ma jakieś kłopoty?

Piat wzruszył ramionami, próbując włożyć przez głowę za mały sweter.

- To długa historia.

- Mam czas.

Andros wetknął papierosa między wargi i zapalił, a potem machnięciem ręki zatrzaskał zapalniczkę.

Piat postanowił nie oddalać się za bardzo od prawdy. Możliwe, że zanim to się skończy, będzie jeszcze potrzebował pomocy Androsa, a jeśli puchar jest autentyczny, dla wszystkich starczy pieniędzy.

- Negocjuję zakup pewnego przedmiotu.

Andros wzruszył ramionami, jakby nie było w tym nic nadzwyczajnego.

- Jasne.

- Na tym przedmiocie zależy wielu ludziom.

Andros wstał. Był niskim, chudym mężczyzną, jeszcze drobniejszym niż Piat. Nie uciekał się do gróźb, nie należał do tego typu przestępców. Ale pochylił się i położył dłoń na ramieniu Piata, ubranego teraz w jeden z jego starych swetrów.

- Jasne. Słuchaj, Georgio. Opowiedz mi tę historię. Pachnie mi poważnymi kłopotami, co?

Piat żałował, że nie ma papierosa.

- Chłopak jest Palestyńczykiem. Śledzi go banda Izraelczyków, którzy są teraz w Mitylenie. Nie wiem dlaczego. Chłopak za mną łąził. Postanowiłem zabrać go ze sobą i dowiedzieć się czegoś więcej. A ty jesteś po prostu moją taksówką do domu i mam nadzieję, że na tym sprawa się skończy.

Andros zaciągnął się głęboko.

- Co to za przedmiot?

- Dzieło sztuki. Greckie. Jeszcze go nie widziałem. Kiedy się nim zainteresowałem, okazało się, że interesują się nim także inni.

Andros kiwnął lekko głową.

- I trafiłeś na moją łajbę. Dobrze, Georgio. Jeśli będę miał przez to kłopoty, odeślę ich prosto do ciebie, zgoda? Zwłaszcza że gównu mi powiedziałeś. - Zaciągnął się znów papierosem. - A moja córka uważa że chłopak jest ładny.

- Nie będziesz miał kłopotów. - Piat nie wyobrażał sobie, jak mogłoby do tego dojść. - Słuchaj, Andros, sam jeszcze nic nie wiem. Ale sądzę, że można będzie na tym zarobić, i to dobrze. A część tych pieniędzy mogłaby pójść na koszty transportu.

- Jasne. Dokąd?

- Nie wiem. Mógłbyś mnie na przykład przewieźć do Turcji.

Andros usiadł i palił dalej.

- Dobra, dobra. Mam tu imprezę. Znajomi mojej córki. Chodź i na coś się przydadaj. Rano wysadzimy cię w Molivos.

Piat wydobyl przemoczony portfel i zaczął odliczać pięćset euro.

Andros machnął ręką.

- Zachowaj sobie te pieniądze. Jest ich za mało na poważny problem a za dużo na drobną przysługę. Dołącz do zabawy.

Piat spojrział na swoje odbicie w lustrze na drzwiczkach luku: chudy facet w za małym ubraniu. Balangowicz.

W imprezie uczestniczył tuzin dwudziestoparoletnich ludzi i dwóch członków załogi Androsa. Pomimo dudniącej muzyki zabawa wyglądała inaczej, niż Piat się spodziewał. Nie było dragów, wyuzdanych dziewczyn, czegoś obrzydliwego, lecz dobre jedzenie, i wszyscy tańczyli w ciasnej kabinie mostku kapitańskiego. Wszyscy mówili po grecku, Piat też. Podniesionym głosem prowadzili rozmowy, które brzmiały jak kłótnie: o George'u Bushu, greckiej polityce, Unii Europejskiej.

W pewnym momencie łodzią zaczęło tak chybotać, że taniec graniczył z akrobacją. Jerry siedział wciśnięty za róg stolika na mapy w towarzystwie dwóch bardzo młodych kobiet i córki Androsa, którą teraz znał jako Marię.

- Jak tam chłopak?! - krzyknął przez stół.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Dobrze! Znowu rzyga, ale dobrze.

Jedna z dziewczyn się roześmiała.

- Zakochała się w nim!

Spierali się, przytulali, śmiali, pili wino i tańczyli.

Piat ograniczył się do jedzenia owoców morza i picie wody mineralnej. Taniec był ponad jego siły, samo ustanie na pokładzie wymagało dużej zręczności.

Maria wróciła do jego kąta.

- Jesteś Amerykaninem?

- Tak.

- Wy, Amerykanie macie mnóstwo problemów, wiesz?

Spadło to na niego jak grom z jasnego nieba i poczuł się w tej rozmowie bezbronny. Była to jednak prawda, wzruszył więc ramionami.

- Wiem! - odkrzyknął.

- Nie wszystkie dziewczyny z Lesbos są lesbijkami! - krzyknęła po angielsku.

- Wszystkie kobiety Lesbos są piękne - odpowiedział klasyczną greką.

Safona, pomyślał. Od czterech miesięcy pragnął ją zacytować.

Maria się roześmiała. Jej przyjaciółki również. Znowu pili wino i jedli. Piat zauważył światła na tureckim brzegu. Andros przecisnął się obok córki, żeby spojrzeć na mapę, i oświadczył, że pogoda się zmienia.

- Zabierz tego chłopaka z mojej łajby, zanim skradnie mi córkę! - posiedział. Popatrzył na Marię z udawaną złością. - Jak dziewczyna przy zdrowych zmysłach mogłaby zapragnąć zarzyganego chłopaka...

- *Pater!* - pisnęła Maria.

- Niemki są najgorsze - oceniła inna dziewczyna. - Biorą wszystko strasznie poważnie...

- Dlaczego nie mogą się po prostu bawić?

- Wydaje im się, że dopiero one odkryły, że faceci to durnie?

- Dlaczego muszą wykorzystywać akurat nazwę naszej wyspy?

- Amerykanie są najgorsi - oświadczyła Maria, wytykając Piata palcem. - Uważają że to wszystko sprawa polityki. Są gorsi od Niemców. Czy Amerykanie w ogóle się zakochują?

- Znane są takie przypadki.

Piat nie był już pewien, czego rozmowa dotyczy. Zdawało mu się, że tematem przewodnim są irytujący turyści. Ale poza tym współczesna greka Piata okazała się niewystarczająca.

- Małżeństwa jedнопłciowe - zaskandowały wszystkie po angielsku i zachichotały.

Piat zastanawiał się, czy tak wygląda grecki odpowiednik herbatki u cioci.

Dziewczyna siedząca obok objęła go ramieniem, gdy mocniej zarzuciło łodzią.

- Czy w Ameryce naprawdę organizują protesty w takich sprawach?

- Dawno tam nie byłem.

Przytuliła się do niego.

- Szkoda.

- O czym wy wszyscy gadacie?

- O lesbijkach. O dziewczynach z zagranicy, które przyjeżdżają tu i chcą żebyśmy wszystkie były „aktywistkami” i „szły za przykładem Safony”. I chcą rozmawiać o „prawach gejów”. Ale nigdy o miłości. W Ameryce musi być okropnie, jeśli ludzie tak strasznie się przejmują tym, kto może uprawiać seks.

Piat przyznał jej rację i wygramolił się zza stolika. Przepchnął się do Androsa, który stał za sterem, jego ogorzałą twarz oświetlała zielona poświata wskaźników na desce rozdzielczej. Z prawej strony, nad tureckim wybrzeżem zarysowała się różowa linia.

- Zapowiada się piękny dzień - powiedział Andros. - Za godzinę wysadzę was na ląd.

Piat patrzył, jak różanopalca jutrzienka rozpościera dłonie nad morzem w kolorze ciemnego wina.

Tel Awiw

Ray Spinner był zaskoczony - wręcz zdumiony - gdy otrzymał od McKinnona wiadomość z poleceniem „skonsultowania się i podjęcia współpracy” z Mossadem, Izraelczycy sami mieli się do niego wkrótce zgłosić. Tak po prostu, bez wyjaśnienia, jak doszło do nawiązania kontaktu ani czego Mossad chce. E-mail McKinnona był celowo zdawkowy: żadnych dowcipów, sarkazmu czy ogólniejszych wniosków. Jakby o współpracy z Mossadem dyskutowali, zanim Spinner wyjechał z Waszyngtonu. Na końcu listu McKinnon dodał: „Kluczowe słowa: współpraca, dzielenie się informacjami, konsultacje”. Te słowa będą na egzaminie.

- Konsultacje i współpraca nad czym? - powiedział Spinner na głos w hotelowym pokoju. Wysłał e-maila z odpowiednim pytaniem. Odpowiedź nadeszła dopiero nazajutrz wieczorem, gdy było już za późno, ale zawierała tylko polecenie: „Działaj z głową i w nic nas nie angażuj”.

Do tego czasu Spinner miał już za sobą niespokojną noc i wspaniały dzień, który zaczął się od tego, że kobieta o młodzieńczym, miłym głosie zadzwoniła do niego przed śniadaniem i zaprosiła go na zwiedzanie głównej siedziby Mossadu.

I na obiad w sali dla VIP-ów. Mamy nadzieję, że uda się panu przyjść?

Odebrali mu całą frajdę zabawy w szpiega. Ale z drugiej strony, fajnie było polatać z orłami.

Tego dnia w Jerozolimie doszło do samobójczego zamachu bombowego. Oprócz Palestynki, która wysadziła się w powietrze, śmierć poniósł jeden Izraelczyk, a sto osób zostało rannych.

16.

Molivos, wyspa Lesbos

Piata obudził dzwoniący telefon. Ponieważ przespał niecałe trzy godziny i rzadko używał telefonu, zidentyfikowanie dźwięku zajęło mu parę sekund, a znalezienie słuchawki prawie minutę. Podniósł wreszcie słuchawkę.

- Halo? - powiedział pytającym tonem i zabrał się do przygotowywania kawy w swojej mikroskopijnej kuchni.

- Jack? To ty, Jack?

Nowoangielski akcent Barry'ego wydawał mu się wyjątkowo irytujący, szczególnie teraz, zanim nie napił się kawy.

- Tak, Barry, która godzina? Dziesiąta rano?

Teraz gdy uświadomił sobie wreszcie, że to Barry, przez zmęczenie przedarły się wyrzuty sumienia.

- Niektórzy ludzie pracują o tej porze, Jack. Właściwie większość z nas o tej porze pracuje. Poza tym myślałem, że czekasz na mój raport. Nie masz nawet automatycznej sekretarki? Dzwonię do ciebie cały dzień.

Piat poczuł iskierkę podniecenia. Dotarła do niego za pośrednictwem linii telefonicznej z Aten. Barry był jak dziecko: kiedy coś go rajcowało, nie potrafił się od tego oderwać. I teraz miał ten szczególny ton głosu - to i wczesna pora wiele Piatowi powiedziało.

- Nie cierpię automatycznych sekretarek, Niedźwiedziu. Ale chcę usłyszeć ten raport. Jasne, że tak.

- Hej, Jack, jeśli jest za wcześnie, pozbijam trochę baki i zadzwonię później.

Piat postawił czajnik na spirytusowym palniku, który służył mu za kuchenkę, włożył do dzbanka filtr. Z pokoju doleciał hałas, od którego zamarł. Czarus, uzmysłowił sobie.

Przyprowadził przecież dzieciaka do domu.

- Jack?

- Przepraszam, Niedźwiedziu. Wiele się tutaj dzieje. Dobra, wal.

- Myślę, że jest autentyczny.

- We wtorek wieczorem też myślałeś, że jest autentyczny.

- Tak? Mało z tamtej nocy pamiętam oprócz tego, że nie bawiłem się tak od trzech miesięcy i znowu poczułem, że żyję. W każdym razie chcę się w to włączyć. Zamierzam napisać artykuł...

- Hola, Niedźwiedziu! Poczekaj, chłopie! Powiedziałem, że pogadamy, kiedy będę wiedział więcej. Sprawa jest cholernie delikatna i nie chcę rozmawiać o tym przez telefon. - Piat zaczął dyszeć, sprawiły to poranna złość, brak kawy i podniecenie. Barry naprawdę wierzył. Piat głęboko odetchnął. - Przepraszam, że na ciebie naskoczyłem, Niedźwiedziu. To przez brak kawy, człowieku. Dobra, powiedz mi coś.

- Jack, naprawdę nie wiem od czego zacząć. Symbole są... trudne. Co najmniej jeden nie występuje w leksykonach pisma linearnego B. Jest zapożyczeniem od Fenicjan. Wiesz, co to oznacza, Jack? To jak... Jezu, Jack, można to porównać do odkrycia brakującego ogniwa, Jack.

- Czy ktoś nie mógłby tego podrobić, Niedźwiedziu?

- Kto? Kto, do cholery, zna samogłoski pisma linearnego B tak dobrze, że wie, w którym miejscu można się posłużyć literą zapożyczoną z semickiego alfabetu?

- Ty. Może także ktoś inny.

- Gównu prawda. Może ja, ale musiałbym... nie, Jack. Nie sądzę, żebym potrafił to zrobić. Wątpię, żeby był do tego zdolny nawet Michael Ventris. Tak czy inaczej, kto by pomyślał, że semicki alfabet przeniknął do greckiego poprzez kolonię? Herodot pisze, że Fenicjanie przybyli do samej Grecji.

- O czym ty mówisz, Niedźwiedziu?

- Powiedziałeś, że jest z Palestyny, prawda? Pamiętam, że to mówiłeś. Proszę, powiedz, że naprawdę to mówiłeś.

- Zgadza się, dobrze pamiętasz. A potem, z całym przekonaniem stwierdziłeś, że to bzdura.

Woda w czajniku się zagotowała. Chłopak chrapał w drugim pokoju. Piat zalał kawę wrzątkiem i wciągnął w nozdrza jej magiczny aromat.

- Myliłem się. Jest tam takie słowo, prawie na samym początku. *Pe-la-se*. Peleset, Jack. I litera zapożyczona z semickiego pisma... Jack! Będziemy sławni!

Piat poważnie zastanawiał się, czy nie napić się kawy prosto z dzbanka. Oparł się pokusie, lecz ledwo nadązał za Barrym, miał z tym zresztą kłopoty nawet wtedy, gdy spotykali się twarzą w twarz.

- Powiedziałeś, że pierwsze słowo, które odczytałeś, ma coś wspólnego z Danajami, Niedźwiedziu.

- Istotnie. I nikt poza garstką specjalistów nie odczytałby tego słowa bez słownika. I rzeczywiście tam jest: Danajowie i Peleset. Opracowałem szkiecowe tłumaczenie około jednej trzeciej inskrypcji. Oczywiście, reszty nie mogę odczytać, bo nie widać jej na zdjęciach. Masz więcej zdjęć, Jack? Powiedz mi, że masz ich więcej. Są mi potrzebne.

Piat nalał sobie kawy i wyjrzał przez okno, które dawało widok na miasto w dole, morze i tureckie wybrzeże. W bezchmurne dni wyobrażał sobie, że widzi Troję. Dzisiaj na niebie nie było najmniejszego obłoku, a morze miało barwę nowych dżinsów.

- Co tam jest napisane, Niedźwiedziu?

- Jeszcze... nie wiem. Mam przecucie...

- Na razie przecucie mi wystarczy.

Piat napił się kawy. Nie widział już morza. W myślach sprzedawał już puchar. Entuzjazm Barry'ego wydawał mu się wystarczającą rekomendacją. Puchar mógł być podróbką, ale to nie miało większego znaczenia, skoro nawet Barry dał się nabrać...

- To traktat. Albo upamiętnienie traktatu. Między jakimś ludem, Grekami i jakimś królem.

- Peleset? Co to takiego?

- Tak Egipcjanie nazywali Ludy Morza. Prawdopodobnie byli to Grecy.

- Jest to więc traktat między tymi Peleset i Danajami?

- Nie. To znaczy, może. W każdym razie tak myślałem. Ale wygląda na to, że stroną układu był raczej ten król, jest przedstawiony na jednej ze scen, wiesz?

- Wiem. U góry pucharu.

- Właśnie! Król, Peleset i Danajowie. Zawierają traktat z kimś jeszcze.

- Jestem pewien, że to fascynujące, Niedźwiedziu.

- Nie nabijaj się ze mnie, Jack! To jest cholernie fascynujące. Chcę mieć te zdjęcia!

Barry'ego ponosiły teraz emocje. Krzyczał.

- Nie mam już żadnych zdjęć, Barry.

Skłamał, ale tylko trochę. Nie pokazał Barry'emu jedyne zdjęcia, na którym widać było cały puchar. Ale wątpił, by przy tej rozdzielczości Barry zdołał w ogóle zidentyfikować symbole.

- Masz! - jęknął Barry. - I pokazałeś je komuś za moimi plecami. To jest moje! Jack!
Błagam!

Piat miał wrażenie, jakby czas zwolnił.

- O czym ty mówisz, Niedźwiedziu?

Po drugiej stronie słyszał tylko ciężki oddech.

- Niedźwiedziu! Co jest, do cholery?

- Widziałem jedno. Od jakiegoś podrzędnego teksańskiego bibliisty, który pewnie ma kłopoty nawet z czytaniem *koine*. Jack. Jack, ja jestem od niego o niebo lepszy! - wydyszał cicho.

Piat wypił łyk kawy.

- Poczekaj, Niedźwiedziu. Widziałeś inne zdjęcie, z Teksasu?

- Nie udawaj zaskoczonego.

- Jestem cholernie zaskoczony, Niedźwiedziu. I bardzo niezadowolony. Jak natknąłeś się na to zdjęcie?

- Ktoś wysłał je temu błaznowi w Teksasie. Facet kieruje bardzo dobrze finansowaną katedrą na uniwersytecie chrześcijańskim. Chrześcijańskim, na litość boską! Gość męczył się i pocił nad tym zdjęciem straszliwie, a potem przesłał je... mojemu znajomemu. Z Cambridge. A on przekazał je mnie, bo jestem jedynym człowiekiem, który może temu podolać, Jack!

Piat zaczął żałować, że nie został w Atenach. Barry wymagał zawsze dodatkowej opieki, nawet w najlepszych czasach należał do najbardziej kłopotliwych agentów Piata. W obliczu podwójnego kryzysu - utraty zaufania agenta i faktu, że ktoś inny dysponuje zdjęciem pucharu - Piat bez wahania zabrał się najpierw do ugłaskania Barry'ego.

- Niedźwiedziu. Hej! - Piat znów słyszał po drugiej stronie tylko ciężki oddech. Może płacz. - Hej, Niedźwiedziu? Przecież to ja, stary. Nie wysłałem żadnych zdjęć nikomu oprócz ciebie. Zastanów się, Niedźwiedziu. Przecież chcę zachować sprawę w tajemnicy, tak? Po co miałbym mówić o tym komukolwiek innemu?

- Żeby mnie odciąć - sapnął cicho.

- Nie, Niedźwiedziu. Nie zrobiłbym tego. Jezu, powiedziałem, że nie jestem pewien, czy będę ci mógł pozwolić na publikację, ale to jeszcze nie znaczy...

- Żeby jakiś pupilek Agencji w pieprzonym Teksasie mógł zebrać wszystkie laury! Tak, Jack! Właśnie tak sędzę. Myślisz, że zapomniałem, jak się to wszystko skończyło, Jack? Pamiętasz Afganistan, Jack? Nawet wiem, co znaczy *quid pro quo*.

- Niedźwiedziu! - Piat za bardzo podniósł głos, usłyszał własny krzyk i wtedy znowu przypomniał sobie o chłopaku w drugim pokoju. Ciekaw był, ile z tego słyszy? - Cholera jasna! Nie robię cię w wała! Nie wysłałem żadnych zdjęć do Teksasu. - Niedźwiedź zawsze miał manię przesładowczą, która pozwalała mu usprawiedliwić własne niepowodzenia. Piat rzadko stawał się obiektem oskarżeń. Zastanawiał się, jak radzi sobie z tym Mara. - Niedźwiedziu, przysięgam ci. Zwróciłem się z tym tylko do ciebie.

- Tak? - ktoś inny ma zdjęcia? Może powinienem się z tym kimś porozumieć? Ja tego potrzebuję, Jack. To mój bilet powrotny.

- Niedźwiedziu. Weź się w garść. Słuchaj, możesz się dowiedzieć, kto wysłał zdjęcia temu facetowi w Teksasie? Bo naprawdę chciałbym to wiedzieć.

- Może - odparł Barry, wciąż naburmuszony. - Ale musisz mi coś obiecać.

Gdyby to tylko było takie łatwe, pomyślał Piat.

- Co takiego, Niedźwiedziu?

- Obiecuj mi, że będę mógł to opublikować. Bo inaczej pomogę temu facetowi z Teksasu.

Piat uzmysłowił sobie nagle, że Barry jest naprawdę niezwykle inteligentny, a on właśnie dał się zrobić na szaro. Barry pragnął pucharu i naukowych zaszczytów, jakie się z nim wiązały. Dlatego potrzebował pomocy osoby, która ma puchar, a Piat właśnie przyznał się, że nie jest jedynym graczem na boisku. Barry naprawdę się zezłościł, ale jednocześnie wyciągnął od Piata informację, że teksańskie zdjęcia pochodzą z innego źródła. Piat znał Barry'ego. Barry nie respektował żadnych zasad, gdy coś naprawdę się dla niego liczyło. Szanse na zachowanie istnienia pucharu w tajemnicy znacząco zmalały.

Pierwsza zasada obchodzenia się z agentami: nigdy nie składaj agentowi obietnicy, której nie możesz dotrzymać. Chyba że sprawa jest naprawdę ważna. Wtedy obiecuj nawet gruszki na wierzbie.

- Dobra, Niedźwiedziu. Umowa stoi.

- Pokażesz mi puchar. Powiesz, komu go sprzedasz.

- Absolutnie.

Odpowiedziało mu przeciągłe westchnienie.

- Dobra, Jack. Naprawdę myślałem...

Piatowi znów trzęsły się ręce.

Odłożył słuchawkę po przejściu przez wszystkie rytuały pacyfikacyjne, na jakie tylko umiał się zdobyć. Połączenie telefoniczne było mało bezpieczne. Piat miał to gdzieś, bo gdyby teraz stracił Barry'ego, konsekwencje mogłyby się w przyszłości okazać niewyobrażalne. Czasami na całe dnie zapominał, że jest ścigany, ale tak właśnie było i gdyby Barry powiedział coś nieodpowiedniego odpowiedniej osobie...

Jerry Piat spędziłby resztę życia w amerykańskim pierdlu.

Czekał go teraz następny kryzys. Chłopak na kanapie.

- Pijesz kawę, mały?

Rashid wręcz się uśmiechnął.

- Jestem Arabem. To my wynaleźliśmy kawę.

Patrząc na jego uśmiech, Piat zaczął rozumieć, co widziała w nim Maria. Rashid był bardzo przystojnym młodym człowiekiem - wyspany, czysty i porządnie ubrany. Tę twarz trudno będzie ukryć. Piat musiał o tym pamiętać.

Podał chłopakowi kubek. Rashid wypił parę łyków i się skrzywił. Potem znów się uśmiechnął.

- Cukier?

Piat wskazał kuchnię i opadł na fotel.

- Na blacie.

Chłopak wrócił, mieszając kawę.

- Jesteśmy bezpieczni?

Piat pokiwał głową.

- Na jakiś czas.

- Nie będą szukać pana domu?

Rashid wyglądał przez okno.

- Słuchaj, mały... - Piat umilkł, omal nie wtajemniczył chłopaka w swoje sprawy. Gdyby go wyszkolić do prowadzenia przesłuchań, dzieciak mógłby okazać się zabójczy. Miał coś w twarzy i zachowaniu. Piat widział takich już wcześniej. Sam był po trosze taki.

Mimo wszystko, czemu by się z nim nie dogadać? - pomyślał Piat. Wątpił, by chłopak stanowił jakiegokolwiek zagrożenie, chyba tylko jako pionek w rękach innych.

Rashid patrzył na niego z uwagą.

Piat pochylił się do przodu.

- Wczoraj wieczorem powiedziałaś, że ktoś zabił twojego przyjaciela.

- Tak. Salema. Chcę się dowiedzieć, kto to zrobił.

Piat pokiwał głową.

- Myślisz, że zabiła go Saida?

Piat chciał wysłać jej e-maila i musiał się dowiedzieć, z kim będzie miał do czynienia. Na oko wydała mu się zaabsorbowaną sobą flirtującą, ale pod tymi pozorami mogła wiele ukrywać. Faceci rzadko doszukiwali się we flirtujących czegoś więcej.

Rashid pokręcił głową.

- Nie, raczej nie. Nie. Ale ona sporo wie. I może mi dużo powiedzieć.

Piat przyglądał się temu stwierdzeniu pod różnymi kątami, usiłując dotrzeć do sedna sprawy. Na razie mu się nie udawało.

- A co z policją?

Słowo „policja” przeszło Rashida jak strzała trafiająca celu. Wzdrygnął się cały.

- Jestem Arabem. Mieszkam w Izraelu. I Salem? Policja...

Piat pomyślał, że chłopak kręci.

- Jak Salem zginął?

Wreszcie coś.

Rashid opowiadał przez resztę przedpołudnia. Usiłował ukryć przed Piatem, że dla kogoś pracuje. Piat miał przewagę, jaką rozkoszowałby się każdy przesłuchujący: wiedział już, że Rashid dla kogoś pracuje, bo widział go na promie w towarzystwie dwóch facetów. Tak więc Piat był cierpliwy. Pozwolił Rashidowi rozwodzić się nad Salemem, zadawał pomocnicze pytania na temat działalności Salema i czekał na odpowiedni moment.

Kiedy Rashid kończył opowieść, Piat zaatakował.

- Jak wyśledziłeś Saide?

Rashid popatrzył na niego osłupiały.

Piat pochylił się do przodu, jakby zamierzał coś wyznać, a nie wydobyć wyznanie.

- W mieszkaniu jej nie zastałeś. Jak więc udało ci się ją potem znaleźć? I wyjechać za nią z Izraela?

Rashid zrobił okrągłe oczy. Skrzyżował ręce, pochylił się do przodu... i nic nie powiedział.

Piat czekał. Napił się zimnej kawy. Pomyślał o papierosie, a potem o chłopaku, Saidzie, Barrym i facetach na promie...

- Chcę znaleźć ludzi, którzy zabili Salema - mruknął pod nosem Rashid.

Piat odchylił się i westchnął.

- Słuchaj, mały... Nie obchodzi mnie to. To znaczy, przykro mi z powodu twojego przyjaciela. Mam gdzieś to, dla kogo pracujesz. Ale nie dostałbyś się tutaj bez pomocy. Prawda?

- Chcę po prostu znaleźć ludzi, którzy zabili Salema.

Piat wzruszył ramionami. Pomyślał o facetach na promie. Spojrzał na chłopaka siedzącego na kanapie i uznał, że nie ma czasu ani ochoty go łamać. Mogło to mieć jakieś znaczenie ale niekoniecznie.

Przede wszystkim liczyło się teraz to, że puchar jest prawdopodobnie autentyczny. Zastanawiał się, czy kiedy pójdzie nawiązać kontakt z Saidą, nie zostawić dzieciaka w domu. Nie mógł go jednak zamknąć, a nie chciał, żeby mu się wymknął. Zabranie go ze sobą, jak wszystko inne, było skalkulowanym ryzykiem.

- Dobra, mały - powiedział, podnosząc się. - Chodźmy znaleźć Saidę.
- Dokąd idziemy? - spytał Rashid, kiedy schodzili ze schodów cytadeli.
- Schodzimy do wody.
- Ale to tam w dole.
- Owszem.

Rashid obejrzał się nagle za siebie, a potem przyspieszył kroku, żeby dogonić Piata, który pokonywał właśnie pierwszy zakręt drogi, która wiła się od twierdzy aż do brzegu morza.

- Czy... ktoś... czy ktoś nas śledzi?
- Nie.

Rashid zerknął za siebie na cytadelę.

- Skąd pan wie?

- Przestań oglądać się za siebie. Nigdy nie oglądaj się za siebie, dobrze? - Piat przeszedł następne dziesięć metrów i się ugiął. - Dobra, mały, posłuchaj. Wyszliśmy z domu i wspięliśmy się na górę, tak?

- No, tak. Do zamku.

- A potem obeszliliśmy cytadelę... zamek dookoła. Na otwartej przestrzeni, tak?

- Zobaczylibyśmy więc, gdyby ktoś nas śledził!

- Szybko się uczysz. Wstąpiliśmy do kawiarni, tak? Żeby marsz na górę wydał się sensowny komuś, kto by nas obserwował z daleka. I ani razu nie obejrzeliśmy się za siebie, tak?

Szli dalej w dół zbocza. Obok przejechał na osiołku mężczyzna, który sprawiał wrażenie śpiącego. Rashid obserwował go, jakby tamten miał za chwilę wylecieć w powietrze. Kiedy pokonali następny zakręt, zapytał:

- Dlaczego to musi się wydawać sensowne? Powiedział pan, że nikt nas nie obserwuje.

Piat westchnął. Prawdopodobnie najlepiej byłoby nie reagować na pytania Rashida. Piat nigdy nie lubił się tłumaczyć. Ale z drugiej strony, zawsze lubił uczyć nowych agentów podstaw gry.

- Nie powiedziałem, że nikt nas nie obserwuje. Nie sądzę, żeby tak było, ale ktoś mógłby nas jednak obserwować. - Piat skinął głową na szczyt wzgórza, które wznosiło się za cytadelą jakiś kilometr dalej. - Widzisz tamtą górę? Nie gap się na nią. Mógłby na niej siedzieć facet z lunetą albo lornetką. Jeden facet, tam na górze, widziałby całe zbocze tego wzgórza, tak? Każdy samochód, każdego osła. Nas. A my w ogóle nie wiedzielibyśmy, że tam jest.

Rashid zrobił osłupiałą minę i się potknął.

Piat złapał go za ramię.

- Hej! Nie powiedziałem, że ktokolwiek tam jest. Ale zawsze trzeba się zachowywać tak, jakby w pobliżu rzeczywiście czaił się jakiś facet albo dziesięciu facetów. Postępujesz tak, jakby ktoś naprawdę za tobą chodził, i zachowujesz się tak, jakby nigdy nie przyszło ci do głowy, że ktoś może cię obserwować. Bo jeśli facet ci się przygląda, to chcesz, żeby był święcie przekonany, że nic o nim nie wiesz.

Rashid szedł teraz bliżej Piata. Bał się. Piat uważał, że chłopak dobrze radzi sobie ze strachem - byli pod tym względem podobni - ale uporczywy, ciągły lęk przed inwigilacją jest dla niego czymś nowym.

Rashid starał się na nic nie patrzeć. Piat widział to w jego oczach: wahanie zastąpiło ciekawość.

- Dlaczego? - spytał chłopak prawie szeptem. - Dlaczego zawsze trzeba udawać, że nic się nie wie?

Piat pomyślał o zadowolonych z siebie facetach na Akropolu. Uśmiechnął się.

- Żeby potem łatwiej ich wykiwać.

Młoda kobieta za kontuarem kawiarni internetowej była zaskoczona, że Piat przyszedł z chłopakiem. Kiedy spojrzała na Rashida, uniosła brew.

Piat uśmiechnął się w odpowiedzi. Nie chciało mu się wymyślać wiarygodnego wyjaśnienia, a w tak małym miasteczku ludzie i tak dojdą do własnych wniosków. Błędnych, ale nieszkodliwych. I lepszych od niedowarzonej bujdy, jaką Piat mógłby upichcić.

- *Nescafe, parakolo?* - Piat uniosł dwa palce.

Położył na barze dość pieniędzy; by wystarczyło na połączenie internetowe.

Kobieta wzruszyła ramionami, Piat widział, że nie może się doczekać, aż będzie mogła o nim plotkować. Usiadł przy komputerze, zalogował się i stracił sporo czasu na kasowanie spamu. Miał w skrzynce cztery e-maile od Barry'ego, wszystkie sprzed jego telefonu i coraz bardziej nerwowe.

Facet z Południowej Karoliny przysłał zaszyfrowaną odpowiedź. Piat przeczytał ją z satysfakcją. Facet z Południowej Karoliny był jego najbardziej amoralnym klientem, kolekcjonerem sztuki z dużymi pieniędzmi, który nie troszczył się ani o legalność, ani o pochodzenie, jeśli tylko towar był dobry. Piat nie wiedział, kim jest ten człowiek ani czy później odsprzedaje dzieła komu innemu. W każdym razie, kontrahent był już gotów do złożenia propozycji. Prosił o zdjęcia i opis pochodzenia. Piat pokiwał głową i zaczął pisać.

- To najgorsza kawa, jaką kiedykolwiek piłem - powiedział Rashid.

Piat podniósł głowę znad ekranu. Chłopak uśmiechał się półgębkiem, a kobieta za barem udawała urażoną.

- To neska - odparła. - W proszku.

Piat pomyślał, że za minutę zaczną się rozbierać. Prostą przykrywkę, że poderwał sobie chłopaka, właśnie diabli wzięli.

- Robicie tu prawdziwą kawę? - spytał Rashid.

- Skąd jesteś? - spytała kobieta.

Rashid się uśmiechnął. Wstał i podszedł do baru.

- Z Izraela. Ale jestem Arabem. Mam na imię Rashid.

Wyciągnął rękę.

Uścisnęła ją.

- Irene - odparła.

Piat znał ją od trzech miesięcy i do tej pory nie wiedział, jak ma na imię. Skupił uwagę na pisaniu e-maila. Zajęło mu to pół godziny, a do tego czasu Rashid i Irene byli już dobrymi znajomymi i gadali swobodnie o niczym. Rashid napomknął, że był na Cyprze. Piat skrzętnie to zapamiętał.

Potem napisał znacznie krótszą wiadomość do Saidy: „Jestem zainteresowany. Muszę zobaczyć towar. Spotkajmy się”.

Odpowiedziała, zanim jego druga kawa zdążyła ostygnąć. Przeczytał wiadomość i spojrzał na zegarek.

Trochę dalej na tej samej ulicy mieszkał Stefan, rybak, który czasami wypożyczał Piatowi swojego starego nissana pikapa. Do Skala Eressou gdzie mieli się spotkać w porze kolacji, było osiemdziesiąt kilometrów żwirową górską drogą. Piat zostawił Rashida rozmawiającego z Irene przy barze, było to następne wkalkulowane ryzyko, i udał się na wybrzeże. Wypożyczenie pikapa zajęło mniej czasu niż znalezienie właściciela. Rybak wspomniał, że policja ustawiła w górach blokadę. Piat dorzucił do ceny wypożyczenia dwadzieścia euro i po kwadransie siedział znów przy komputerze. Rashid sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie zauważył jego nieobecności.

Piat wysłał Saidzie odpowiedź, potwierdzając miejsce i czas spotkania. Potem wprowadził ociągającego się Rashida z kawiarni.

- Jedziemy na spotkanie z Saidą - powiedział, gdy znaleźli się na dworze.

Rashid był oszołomiony. Przed chwilą znajdował się jeszcze w innym, lepszym świecie. Teraz wrócił do ponurej rzeczywistości.

Piat spojrzał znów na zegarek.

- Masz dokumenty, mały?

- Ach... Tak? Paszport?

Wahanie w głosie sprawiło, że odpowiedź zabrzmiała jak pytanie.

- Będziemy musieli przejechać przez blokadę policyjną. To dla ciebie jakieś problem?

Rashid popatrzył na niego spłoszony. Ale potrząsnął przecząco głową.

Gdy tylko ruszyli pikapem pod górę, Piat rozpoczął lekcję numer dwa: jak przejeżdżać przez blokady policyjne, i lekcję numer trzy: jak rozpracowywać zespół inwigilacyjny w samochodzie.

Drogi na Lesbos były koszmarem, dla kogoś, kto chciał się ukryć - żadnych tras alternatywnych, żadnych dróg równoległych, rozwidleń ani nawet miejsc na postój. Przez większość trasy nie znalazło się nawet miejsce, by zjechać z jezdni na pobocze. Niecałe pół godziny po wyjeździe z Molivos Piat był absolutnie pewny, że nikt ich nie śledzi. Podzielił się tym wnioskiem ze swoim uczniem.

Dwaj młodzi policjanci przy blokadzie byli sumienni i okazali pewne zainteresowanie dwoma obcokrajowcami jadącymi miejscowym pojazdem i dwiema skrzyniami obłożonych lodem ryb, ale znali ten samochód i rozbroiła ich greka Piata. Okazało się, że ledwo spojrzeli na dokumenty Rashida. Starszy z nich powiedział do młodszego, że tego dnia trafiło im się sporo Izraelczyków.

Piata ścisnęło w gardle. Uśmiechnął się z przymusem i stłumił chęć zadawania pytań. Kiedy ich przepuszczono, miał problemy z wrzuceniem biegu.

Droga prowadziła tylko do jednego miejsca, tam czekała Saida z pucharem.

Kiedy dotarli do Skala Eressou, było już dawno po zmroku. Wieczór zapadł szybko i teraz Piat mógł obserwować światła innych samochodów i dostrzec potencjalny „ogon” z jeszcze większej odległości. Zaczął też obmyślać strategię wymknięcia się... hm... wymknięcia się potencjalnym przeciwnikom.

- Jak dobrze znasz tę dziewczynę, Rashidzie?

- Słucham?

- Saidę. Jak dobrze ją znasz?

- Dobrze. Znam ją dobrze.

- Czy może się wystraszyć, kiedy cię zobaczy?

Rashid mruknął tylko pod nosem.

W ciemnej kabinie Piat nie mógł odczytać wyrazu jego twarzy; kontrolki na desce rozdzielczej były zbyt zmatowiałe, by dawać jakiegokolwiek światło.

- Słuchaj, mały. Możliwe, że Saida ma kłopoty. Jeśli się z nią spotkamy, niewykluczone, że będziemy musieli... zabrać ją ze sobą. Możesz z tym żyć?

- Saida? W opałach? Chciałbym to zobaczyć.

- Nie byłeś pierwszym Izraelczykiem, jakiego ci gliniarze na drodze dzisiaj widzieli. Chyba nie muszę ci tego tłumaczyć.

- Co ich obchodzi Saida?

„Właśnie, co?” Piat miał wrażenie, że wie.

- Czy wy dwoje możecie ze sobą jakoś wytrzymać? Czy też zaczniecie sobie skakać do oczu?

- Skakać do oczu? - Rashid poprawił się na siedzeniu. - Jak koty, tak? Nie. Ale mam jej do zadania mnóstwo pytań.

- Ja też. - Piat zmienił bieg, biorąc ostatni zakręt przed równiną rozpościerającą się wokół Skala. - Będiesz umiał ją rozpoznać?

- Jasne. Ale...

- Tak?

- Jeśli mnie zobaczy, może uciec.

Piat pokiwał głową.

- Właśnie na to liczę.

Lekcja numer cztery: ofensywna taktyka operacyjna. Lekcja numer pięć: odwaga w działaniach operacyjnych.

Skala Eressou jest w lecie popularną miejscowością wypoczynkową - jako miejsce narodzin poetki Saffo, stało się ono ulubionym celem wakacyjnych podróży europejskich i amerykańskich lesbijek. Miejscowa ludność jest tolerancyjna albo po prostu obojętna, a kobiety, które tu przyjeżdżają, są dobrymi gośćmi.

Miasteczko jest niewielkie. Jedyne drewniany deptak, przy którym roi się od restauracji, biegnie wzdłuż pięknej wulkanicznej plaży. Od południa miasto kończy się falochronem z epoki brązu, który łączy trzy skaliste wysepki, od strony lądu naturalną granicę wyznacza natomiast wzgórze starożytnego akropolu. Jak na całej wyspie Lesbos, w Skala Eressou nie sposób uciec od historii.

W zimie miasteczko kurczy się i zmienia w osadę rybacką. Wciąż można tu spotkać garstkę turystów, a w starych willach za akropolem mieszka niewielka grupka osiadłych tu

obcokrajowców. Wszystkie restauracje na wybrzeżu zamyka się o tej porze roku i zostaje tylko jedna, o nazwie Tawerna. W lecie Tawerna obsługuje przede wszystkim miejscowych. Nie serwuje się tu modnych rodzajów kawy, tofu ani potraw przyrządzanych tak, aby zaspokoić gusta przyjezdnych. W zimie jest to jedyna restauracja w mieście.

Piat wiedział, jak Skala wygląda w zimie. Ta wiedza oraz fakt, że jego samochód sprawiał wrażenie tutejszego, stanowiły podstawy jego planu. Kiedy jechał w tunelu, utworzonym przez szpaler drzew oliwkowych na ostatnim kilkukilometrowym odcinku drogi z Eressou do Skala Eressou, przedstawił swój plan Rashidowi i uznał, że całe przedsięwzięcie jest brawurowe, a może wręcz głupie. Wiedział, że prawdopodobnie powinien pojechać z powrotem do Molivos i spróbować umówić się gdzie indziej.

Ale czuł, że czas ucieka. A on jest już na miejscu.

Skala była pusta i ciemna. Tylko blask z okien tawerny i nieliczne latarnie dawały trochę światła. Drzwi i okiennice w większości budynków pozamykano.

Piat dojechał do skrzyżowania w kształcie litery T, które zastępowało miejski plac, i skręcił w lewo, zauważył przy tym czerwonego dzipa zaparkowanego przy zabitej deskami siedzibie agencji turystycznej z rzeźbą Safony od frontu. W zasięgu wzroku nie było żadnego innego pojazdu oprócz kilku rowerów opartych o mur Tawerny. Musiał założyć, że jeśli Izraelczycy tu są, to przyjechali tym samochodem.

Piat wyminął dzipa, skręcając w wąską uliczkę, która biegła na tyłach restauracji, równoległe do deptaka. Jego wóz ledwo się tam zmieścił.

Rashid siedział w milczeniu na fotelu obok. Ostre światło latarni sprawiało, że jego skóra przybrała trupio blady odcień kontrastujący z lśniąca czernią włosów. Chłopak bardzo się pocił.

Piat nie mógł go winić. Rashid miał za chwilę wejść do jaskini lwa.

- Wiesz, co robić?

- Tak...

- Postaraj się tym nie przejmować. Po prostu to zrób. Jeśli Saida się ruszy, po prostu nie pozwól, żeby się zatrzymała, i zostaw mi resztę. Jeśli nie ucieknie, powiedz, żeby z tobą wyszła i że ja wszystko wyjaśnię. Tylko się nie wahaj. Szybkość i zaskoczenie to nasze jedyne atuty. Musisz działać zdecydowanie. - Piat uświadomił sobie, że równie dobrze Izraelczycy mogą być pięćdziesiąt kilometrów stąd, cała akcja jest zbędna, a niebezpieczeństwo urojone.

Ale zawsze lepiej mieć pewność.

Zatrzymał pikapa na jasno oświetlonym chodniku za Tawerną.

- Gotowy?

Rashid pochylił głowę, jakby bolał go kark. Z napięcia.

- Tak.

- Chodźmy.

Piat otworzył drzwiczki, wysiadł, wziął skrzynię ryb i ruszył z nią do tylnych drzwi restauracji. Nie zapukał, tylko wszedł i zawołał po grecku na powitanie.

Pojawiła się niska, przysadzista kobieta w poplamionym fartuchu i z chochlą w dłoni.

- Ryby - powiedział po grecku. - Ryby, tak? Od Stefana?

- Dobrze, dobrze.

Machnęła na niego ręką, wskazała jeden z blatów i odpowiedziała coś szybko po grecku. Piat niewiele zrozumiał oprócz słowa „zapłata”.

Ryby postanowił wziąć w ostatniej chwili - miały pomóc przedostać się przez policyjną blokadę. Nic wielkiego.

- Zapłaci pani Stefanowi - spróbował wybrnąć.

Już martwił się, że trwa to zbyt długo.

Wzruszyła ramionami.

- W porządku.

Wyszedł po drugą skrzynię. Rashida nie było. Powinien być teraz z drugiej strony i wchodzić do Tawerny od frontu. Piat musiał się pospieszyć. Chwycił drugą skrzynię, wniósł ją na zaplecze i postawił na pierwszej, o mało nie wywracając obu z pośpiechu.

Usłyszał jakieś poruszenie i zobaczył Saidę, która weszła do kuchni, oglądając się przez ramię. Piat wycofał się za drzwi, a ona podążyła za nim, jakby znała jego plan.

- Saida? - spytał cicho.

Odwróciła się gwałtownie w jego stronę, zaskoczona i przestraszona. Złapał ją za nadgarstek, a ona wymierzyła mu policzek. Głowa odskoczyła mu do tyłu, ale nie wypuścił dziewczyny.

- Saido! Jestem Jack. - Trudno było sprawiać wrażenie godnego zaufania i dobrotliwego i jednocześnie uchylać się przed jej ciosami. - Cholera jasna! Polują na ciebie. Wsiadaj do samochodu.

Nadal się szamotała, nie miał więc innego wyjścia: obrócił ją, przyciskając ręce do ciała dziewczyny, a potem podniósł i wepchnął do kabiny samochodu. Coś paskudnego działo się w Tawernie za jego plecami: podniesione głosy, poruszenie i tupot. Krzyki.

Piat pochylił się nad Saidą, która leżała na tylnym siedzeniu.

- Jestem po twojej stronie. Kupię puchar, tylko nie krzycz!

Nie tak to sobie zaplanował.

Rashid coraz bardziej się spóźniał.

- Pieprz się - fuknęła z tylnego siedzenia.

Piat przeturlał się po masce i wylądował przy drzwiczkach od strony kierowcy, wskoczył do środka.

- Ściga cię mnóstwo ludzi - powiedział.

Rashid wybiegł na ulicę przed samochodem, choć powinien się pojawić z tyłu. Piat przekręcił kluczyk w stacyjce i nacisnął pedał gazu. Saida krzyknęła, gdy zobaczyła Rashida, który wgramolił się obok niej.

- Zostaw mnie w spokoju - wrzasnęła.

Nawet mimo warkotu silnika krzyk słycać było w całym mieście.

Piat wcisnął gaz do dechy, wycofał wóz, kilkakrotnie ocierając karoserią tynek, nieprzepisowo wjechał tyłem na skrzyżowanie i zakręcił tuż przy niezapalonych reflektorach dżipa. Dwadzieścia sekund później pędził już sto kilometrów na godzinę, wyjeżdżając ze Skala Eressou. Trzydzieści sekund później zobaczył we wstecznym lusterku światła samochodu.

- Co się stało? - spytał Rashida i zerknął na swoich pasażerów.

Siedzieli ściśnięci na tylnej kanapie i wyglądali na niezadowolonych.

- Byli tam Izraelczycy. Przy sąsiednim stoliku. Zobaczyli mnie. Uciekłem. - Rashidowi drżał głos. - Mieli broń.

- Jacy Izraelczycy? - fuknęła dziewczyna. - Jacy Izraelczycy?

- Ci, którzy cię ścigają.

Piat był już na obrzeżach samego Eressou, sporego rolniczego miasteczka, i po obu stronach migwały staromodne drewniane drzwi domów. Musiał pokonać studwudziestostopniowy zakręt na miejskim placu i podjechać pod górę. Kiedy wpadł na pusty plac, zredukował bieg tak, że silnik zaryczał i cała półciężarówka zadrżała jak młot pneumatyczny. Pozwolił, by tylne koła zniosło na bok, następnie przystopował je, szybkim ruchem zaciągając i spuszcżając ręczny hamulec, a potem przyśpieszył, wjeżdżając pod górę. Światła we wstecznym lusterku na chwilę zniknęły.

Piat wyłączył światła. Musiał zwolnić, ale niewiele.

Pasażerowie krzyknęli jak na komendę.

- Cicho! - powiedział. Pierwszy wiraż pokonał z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę. Zauważył jaśniejszy wylom w skale przed sobą gdzie droga wrzynała się we

wzgórze. Wcisnął pedał gazu, zadowolony, że widzi następne sto metrów. - Tkwimy w tym teraz wszyscy razem. Saido...

- Kto nasłał na mnie tych Izraelczyków? Ty? Czy ten smarkacz?! - krzyknęła piskliwie Saida. - Zraniłeś mnie, bałwanie.

- Jak zginął Salem? - spytał Rashid.

Nastąpiła ostra wymiana zdań po arabsku. Piat minął grań i musiał zwolnić: gdzieś tu był zakręt. Jazgot arabskich słów go rozpraszał. W ostatniej chwili zobaczył zakręt i ledwo udało mu się ominąć kamienny murek. Zgrzyt tylnego zderzaka rysującego kamienną powierzchnię uciszył pasażerów, ale tylko na parę sekund.

- Zamknijcie się! - huknął Piat.

- Dlaczego wzięłeś ze sobą Rashida? - zapytała Saida. - On nic nie wie.

- Wie znacznie więcej, niż myślisz - odparł Piat.

Eressou było teraz pod nimi i Piat zobaczył światła drugiego samochodu w połowie pierwszego zakrętu. Miał nadzieję, że dżip się zatrzymał, ale nie mógł na to liczyć. Starał się obserwować światła, jadąc po ciemku. Dwukrotnie kierownica zadrgała mu w rękach, gdy prawe przednie koło zjechało poza krawędź jezdni.

- Skąd mam wiedzieć, że po prostu nie ukradniesz pucharu? Porwałeś mnie.

Saida uspokajała się powoli.

Piat zredukował bieg z czwórki do dwójki i wóz o mało nie wpadł w poślizg. Potem wyjechali z ostatniego wirażu na tym zboczach i ruszyli znowu pod górę.

- Nie porwałem cię, tylko uratowałem. Kupię puchar. Najpierw chcę go zobaczyć. Rashid... to długa historia. Teraz muszę was prosić, żebyście ze mną współpracowali i udawali parę zakochanych, żebyśmy mogli przejechać przez blokadę policyjną dwadzieścia kilometrów stąd. Saido, swoim krzykiem w Skala mogłaś kogoś sprowokować, aby zawiadomił policję.

- Oni wszyscy i tak mnie tam nienawidzili. - Powiedziała to ot, tak jakby antypatia ze strony całej społeczności nie miała większego znaczenia. - Nikt z nich nie zadzwoni na policję.

- Nie liczyłem na to. Para zakochanych. Zrozumiano?

- Z nim? To jeszcze dzieciak.

Rashid nic nie powiedział. Spoglądał przez boczne okienko w mrok.

- Dziesiątki Greczynek są innego zdania.

Piat zmrużył oczy, wpatrując się w drogę przed sobą.

- Phi - skwitowała Saida.

Piat dojechał do szczytu wzgórza. Ostatni raz widział światła drugiego samochodu na zakręcie w połowie drogi w dół pierwszego wzgórza od Eressou. Powoli przetoczył się o dwadzieścia metrów i znowu włączył światła. Prowadzenie wozu znów stało się łatwe.

Piat miał nadzieję, że blokady już nie będzie. Liczył na lenistwo i niedobory kadrowe w greckiej policji. W najgorszym razie spodziewał się tych samych dwóch funkcjonariuszy, z którymi miał do czynienia poprzednio.

Niestety się przeliczył. Teraz przyglądało mu się dwóch starszych policjantów, ich latarki raziły go w oczy.

Pokazał im fałszywe prawo jazdy ze stanu Maryland oraz autentyczny międzynarodowy dokument, który wyrobił sobie na podstawie tamtego. Przyglądali się obu dokumentom na tyle długo, żeby zaczął się niepokoić. Starszy z funkcjonariuszy, który dosłużył się stopnia sierżanta, cały czas pocierał marylandzkie prawo jazdy kciukiem.

- Mówi pan po grecku? - spytał. - Dlaczego?

Piat niemal czuł za sobą światła zbliżającego się czerwonego dżipa. Bez względu na to, jak dużo czasu stracili w Eressou, Izraelczycy nie mogli być daleko.

- Jestem pisarzem - odparł, jakby to wszystko wyjaśniało.

Drugi gliniarz pokazał ręką na tylne siedzenie.

- Powinien pan im powiedzieć, żeby wynajęli sobie pokój - powiedział ze śmiechem.

Piat odwrócił głowę i zobaczył, że Saida i Rashid złączyli się w objęciach i wpili w siebie ustami, jakby robili sobie nawzajem sztuczne oddychanie.

Piat wzruszył ramionami i uniósł brwi. Gliniarze roześmiali się, oddali mu prawo jazdy i przepuścili samochód.

Przez kilka sekund Piat miał kłopoty z oddychaniem i ręce trzęsły mu się na kierownicy. Saida odsunęła się od Rashida i zachichotała. Rashid wciąż się nie odzywał.

Piat obejrzał się do tyłu. W dolinie wciąż widać było blokadę. Daleko nad nią, na szczycie wzgórza, z którego właśnie zjechali, pojawiły się światła samochodu.

Piat wcisnął gaz do dechy.

Piat wrócił do Molivos tuż przed świtem - kluczył okrężnymi drogami, po całej wyspie, i w końcu zaparkował nissana na nabrzeżu. Jego największa obawa: że czerwony dżip będzie już czekał przed portem, na szczęście się nie spełniła.

Piat poprowadził chłopaka i dziewczynę pod górę do swojego domu zimnymi, pustymi ulicami. Saida szła w milczeniu, garbiąc się pod ciężarem jaskraworóżowego plecaka, a Rashid zdawał się zupełnie zamknięty w sobie.

Piat uznał, że tak jest najlepiej. Był za bardzo zmęczony, by myśleć i rozmawiać, klócić się czy radzić sobie z żądaniami Saidy. Wprowadził ich do domu, dał Saidzie ostatnią czystą zmianę pościeli i padł na łóżko. Nie okazał się na tyle szarmancki, by je odstąpić dziewczynie. Była prawie dwa razy młodsza od niego, a on potrzebował snu.

Sen jednak nie przychodził. Wyczerpany leżał na wąskim tapczaniku, a pod powiekami migały mu sceny z ostatniego dnia i podsuwane przez wyobraźnię obrazy bliskiej przyszłości. W końcu wkurzyła go ta bezsenność, miał za złe własnemu ciału, że nie potrafi zaspokoić swoich potrzeb.

Uznał, że musi się napić, podreptał po zimnej podłodze do kuchni i strzelił sobie kielicha. Spojrzał na telefon wiszący na ścianie i podjął decyzję - całą serię decyzji mieszczących się jedna w drugiej jak chińskie szkatułki. Zanim przemyślał rzecz do końca, chwycił za telefon i zadzwonił na bezpieczny numer podany przez Androsa. Andros nie był zadowolony ani z pory, ani z tematu rozmowy, lecz w pięciu zdaniach Piatowi udało się załatwić wyjazd z wyspy. Poniedziałek był najwcześniejszym terminem, na jaki Andros mógł się zgodzić. Ustalili godzinę i sygnał. Piat ostrożnie odwiesił słuchawkę, już żałując, że nie udało mu się umówić na wcześniejszy dzień - choćby na niedzielę.

Po odgłosach zorientował się, że Saida i Rashid pieprzą się w drugim pokoju. Poczuł nowy przypływ gniewu i niejasne pragnienie ochrony Rashida przed Saidą, ale zbył je jako przejaw zazdrości podstarzałego faceta. Pokręcił głową, myśląc o własnych porażkach, a potem jak najciszej wrócił do łóżka.

Wkurzało go, że czuje się za nich odpowiedzialny. Wkurzało go wszystko, czego nie wiedział. Bał się może bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, a gdy zapadł w sen, we śnie też się bał.

Bahrajn

Alan Craik i Fidel wylądowali w Bahrajnie po trzeciej miejscowego czasu. Miny mieli ponure. Nie przywitali się z nikim, tylko poszli prosto do biura prawnego, żeby złożyć skargę

na facetów w Kandaharze, których usiłowali aresztować. Potem Alan udał się do własnego dowódcy, żeby wyjaśnić, dlaczego został wyrzucony z Afganistanu.

Mike Dukas wyleciał z Tel Awiwu o czwartej trzydziści tego samego popołudnia. W Rzymie był o dziewiątej, a w Neapolu po jedenastej. Przytuliwszy się do Leslie w ciepłe własnego łóżka, pomyślał, że nie powinien się stąd ruszać przez cały tydzień.

Godzinę później Abe Peretz wybrał się w podróż do Kairu. Żonie powiedział, że ma nadzwyczajne spotkanie na Cyprze.

17.

Tel Awiw

W sobotę rano Ray Spinner znów został zaproszony do miejscowej siedziby Mossadu. Zaskoczyło go to, bo był szabas. Ale w Izraelu mieszkało pełno zsekularyzowanych Żydów, którzy robili w szabas rozmaite rzeczy, może więc nie miał się czemu dziwić. Poza tym pochlebiało mu, że został zaproszony na herbatę z „szefem naszego wydziału współpracy z zagranicą”, który „chciałby z panem pogawędzić”. Może pogawędka to nie jest praca i w związku z tym była dopuszczalna w szabas.

Zaprowadzono go do ładnego, nowoczesnie urządzonego pokoju na piątym piętrze, gdzie na balkonie ze wspinałym widokiem na miasto i Morze Śródziemne ustawiono stół. Obrus jaśniał bielą, markiza, która wydymała się lekko od morskiej bryzy, osłaniała od mocnych promieni słońca. Sztućce lśniły. Tace z kanapkami i ciastami tworzyły kolorowe wyspy na biało-srebrnym oceanie stołu.

- Możemy oczywiście zaproponować panu coś mocniejszego niż herbata, jeśli pan woli - rzekł szef wydziału współpracy.

Trzymał Spinnera za prawy łokieć, nie tyle zaborczo, ile raczej troskliwie. Drugi mężczyzna - zwalisty, koło pięćdziesiątki, cichy i stał skryty w cieniu w pokoju.

- Nie, nie... herbata wystarczy.

Spinner nie miał wyrobionego zdania na temat herbaty, ale w ogóle mało interesował się jedzeniem i piciem.

Usiedli, Spinner i szef wydziału naprzeciw siebie, a zwalisty mężczyzna między nimi twarzą do słońca i morza.

- Zdaje się, że mamy wspólnych znajomych - powiedział szef wydziału. Młoda kobieta, która pojawiła się znikąd, nalewała herbatę, podczas gdy inna proponowała śmietankę, cukier, cytrynę... - Znam, oczywiście, pańskiego zwierzchnika. - Jak się okazało, miał na myśli młodszego zastępcę sekretarza obrony, który był o tyle wyżej w hierarchii, że Spinner nigdy go nawet nie widział. - Zapatrujemy się podobnie na wiele spraw.

Miał gardłowy akcent, ale mówił bardzo wyraźnie i zrozumiale.

Pogawędzili o Waszyngtonie i o amerykańskiej polityce. Zwalisty mężczyzna przeważnie milczał, lecz szef wydziału był czarujący i wziął na siebie ciężar prowadzenia rozmowy. Wypytywał Spinnera uprzejmie o jego życie. Spinner opowiedział kilka zabawnych historyjek, które krążyły po jego biurze na temat Demokratów. Wszyscy się śmiali. Wszystko to było bardzo kulturalne i w odróżnieniu od nocy, którą Spinner spędził z Elaną, bardzo odprężające.

- Zastanawiam się... - rzekł szef wydziału. Popatrzył na towarzysza, a potem na Spinnera.

- Zastanawiam się, czy moglibyśmy skorzystać z pańskiej uprzejmości, panie Spinner...

- Ray, proszę...

- Ray, dziękuję, tak, zastanawiam się, czy moglibyśmy prosić o... „poradę”? Może to zbyt duże słowo. Na pewno macie odpowiednie wyrażenie?

- Wymienienie się spostrzeżeniami?

- Właśnie! Otóż to. „Porada” brzmi zbyt oficjalnie, za bardzo kojarzy się z pracą. - Opowiedział dowcip, potem zjadł ciastko i odwrócił się bokiem do Spinnera tak, by rozkoszować się widokiem, i zwierzył się z pewnym smutkiem w głosie: - Mamy dylemat, Ray. Czy „dylemat” to odpowiednie słowo?

- Tak, dylemat.

Spinner nigdy w życiu nie użył tego słowa.

Szef wydziału westchnął ciężko.

- Dowiedzieliśmy się, że pewien Amerykanin nawiązał kontakt z jednym z najbardziej niebezpiecznych przywódców palestyńskich terrorystów. - Zdawał się szczerze rozżalony i zagubiony. Nabierał na widelec okruszki z talerza. - Jest to dla nas wielkim dylematem, ponieważ myśleliśmy, że rozumiemy się z naszymi amerykańskimi przyjaciółmi... naszymi braćmi, Ray, spójrzmy prawdzie w oczy: jesteśmy sobie bliżsi niż przyjaciele... i dlatego rani nas, gdy dowiadujemy się takich rzeczy. Możliwe, że ten człowiek jest tylko czarną owcą,

ale... oficjalnie reprezentuje Stany Zjednoczone. - Podniósł wzrok. - Wiesz coś na temat Służby Dochodzeń Kryminalnych Marynarki Wojennej?

Owszem, i Spinner wiedział o niej aż nazbyt wiele.

- Ten człowiek jest agentem specjalnym, jak ich nazywają. Zjawił się tutaj i narobił nam kłopotów, musieliśmy podjąć niezwykle starania, aby go usatysfakcjonować. Ale zdaje się, że wciąż jest niezadowolony, ponieważ teraz spotyka się z naszymi wrogami. - Szef wydziału pokręcił głową - To boli, Ray, naprawdę boli.

- Czy przypadkiem ten człowiek nie nazywa się Dukas?

Szef wydziału współpracy popatrzył na Spinnera. Zwalisty mężczyzna spojrzał na szefa, a potem na Spinnera.

- A więc go znasz?

- Znam... ale pośrednio.

- Czy to spotkanie... wybacz, ale nazwę rzecz po imieniu... czy ta zdrada jest dla niego typowa? Czy jest tego rodzaju człowiekiem?

Spinner pomyślał o Dukasie, który wykopał go z Marynarki Wojennej, o Dukasie, któremu wysłał wiadomość o Salemie Qatibie.

- Obawiam się, że tak.

Szef wydziału współpracy spojrzał na zwalistego mężczyznę i z rezygnacją w głosie powiedział do niego:

- No widzisz?

Posłużył się angielszczyzną, co mogłoby się wydać trochę dziwne, gdyby Spinner w ogóle zwrócił na to uwagę. Potem szef wydziału odwrócił się znów do Spinnera i pochylił się, zniżając głos:

- Tutaj więc jest nasz... - Machnięciem ręki odprawił jedną z kobiet, a potem odczekał, aż zwalisty mężczyzna zamknie drzwi na taras. - Tutaj mamy dylemat. Nawet naszym przyjaciołom, naszym braciom nie możemy pozwolić na osłabienie naszego bezpieczeństwa narodowego. Tego nie wolno nam tolerować. Musimy wykonać jakiś gest, rozumiesz? Wy mówicie „wysłać czytelny sygnał”?

- Tak, wysłać czytelny sygnał.

- Otóż, musimy wysłać temu Dukasowi czytelny sygnał. A także jego zwierzchnikom, jeśli nie jest po prostu czarną owcą. Ale... - Wydał wargi i mlasnął językiem o zęby. - Chcielibyśmy, aby nasi prawdziwi przyjaciele zrozumieli to, co zrobimy. Chcemy, żeby wiedzieli, iż ufamy im na tyle, że nie zawahamy się uczynić tego, co jest w naszym

przekonaniu słuszne. Tak więc, drogi przyjacielu, chcielibyśmy prosić cię o radę. Czy możemy wysłać temu Dukasowi sygnał i wciąż liczyć na zrozumienie naszych przyjaciół?

- Oczywiście.

Mimo to odpowiedź Spinnera nie zabrzmiała tak pewnie, było w niej drobne wahanie.

- Tak myślisz?

- Ale to oczywiście zależy od tego, jaki to będzie sygnał. To znaczy, chyba nie mówi pan o...

- Pozwól, że będę z tobą zupełnie szczery. - Szef wydziału zerknął na zwałistego mężczyznę. - Palestyńczyk, z którym Dukas ma się spotkać, jest terrorystą. Figuruje na naszej liście szczególnie groźnych przestępców, których mamy zabić, gdziekolwiek ich znajdziemy. Jeśli możemy go zabić, zrobimy to. Czy jesteś zaszokowany?

Spinner pokręcił głową. Starał się myśleć jak neokonserwatysta i wierzyć w takie akcje odwetowe. „Zło trzeba wyeliminować”, jak ujął to szef McKinnona. A mimo to... Gdzieś w głębi, w mechanizmie umysłu Spinnera coś trzeszczało, jakby do skrzyni biegów dostało się ziarenko piasku.

- Jeśli możemy schwytać Palestyńczyka podczas tego spotkania, to tak zrobimy. Jeśli nie, to go zabijemy.

Szef wydziału spojrzał Spinnerowi w oczy. Spinner myślał, że wie, o co jest pytany, i powiedział:

- Rozumiem. - Potem ujrzał dylemat rozmówcy w jaśniejszym świetle i pojął, o co tak naprawdę chodzi, dlatego dodał: - A co z Dukasem?

- Ach, to sedno sprawy. Nie chcemy zrobić mu krzywdy. Jesteśmy od tego jak najbardziej dalecy! Uczynimy wszystko, co w naszej mocy, aby włos nie spadł mu z głowy. Ale... - Głęboko spojrzał mu w oczy. - Wiesz, jak to bywa. W takich sytuacjach wiele może pójść nie tak. Nie jestem w stanie przewidzieć przyszłości, nie mogę składać takich obietnic, jakbym był bogiem. Dukasowi może się coś stać.

- Ale świadomie podejmuje takie ryzyko, prawda? Jest profesjonalistą.

- Dobrze to ująłeś. Też tak myślimy, ale nie chcielibyśmy urazić naszych przyjaciół i nie chcielibyśmy stracić ich przyjaźni. Bo mogłoby do tego dojść, gdyby coś potoczyło się nie po naszej myśli.

Spinner leciał teraz na automatycznym pilocie, mówiąc to, co jego zdaniem rozmówca chce usłyszeć. Był w tej technice mistrzem.

- Jeśli zrozumieją sytuację, to na pewno nie ma takiej obawy.

Wciąż jednak coś mu trzeszczało.

- Uspokoileś mnie. Dzięki tej rozmowie poczułem się lepiej. - Spojrzał na zwałistego mężczyznę obok. - A ty? - Mężczyzna kiwnął głową. Szef wydziału pochylił się znów w stronę Spinnera. - Zgadzasz się zatem, że możemy podjąć działania zgodne z naszymi interesami: schwytać albo zabić Palestyńczyka, uczynić wszystko, co w naszej mocy, by nie skrzywdzić Amerykanina?

Spinner znów się zawahał. Myślał teraz o tym, gdzie jest, na którym terytorium. Doszedł do wniosku, że to, co mówi się w luźnej rozmowie, nie jest wiążące.

- Oczywiście - odparł.

Ale myślał też, że może, delikatnie i w białych rękawiczkach, Izraelczycy próbują go wrobić. Przez dziesięć lat służył w Marynarce Wojennej, pełnił funkcję osobistego asystenta albo piarowca ale, chcąc nie chcąc, otrząsał się trochę z problemami wojskowych za granicą: czy nie było wykładów o kontaktach z agentami obcych wywiadów i o próbach werbunku?

- Zgadzasz się więc, że mamy... wybac mi, jesteś młodym człowiekiem i to słowo może cię rozbawić, ale siedzisz tu z nami jako przedstawiciel wszystkich naszych przyjaciół w Ameryce... a więc mamy twoje pozwolenie?

Tym razem Spinner naprawdę się zawahał, uzmysławiając sobie, że w rozmowie doszło do jakiegoś przesunięcia. Co napisał McKinnon? „W nic nas nie angażuj”. Ale nie angażował w to nikogo prócz siebie. Wiedział, że nie ma prawa udzielać żadnych „pozwoleń”, bo nie ma odpowiedniego statusu. Jednocześnie bardzo mu schlebiało, że tak go postrzegają, że uznają go za człowieka, który przybył do Izraela z nowym rodzajem misji. Poza tym odegrałby się na Dukasie. Ale słowo „pozwolenie” brzmiało jakoś dziwnie w to słoneczne popołudnie. Zdumiało go też, że tak po prostu rozmawiali o zabiciu kogoś. Jak zabezpieczyć własny tyłek, a zarazem się zaangażować? Nie da rady.

- Obawiam się, że musiałby pan skonsultować to z moim szefem - odparł.

- Oczywiście, oczywiście! A więc się rozumiemy. To zresztą to samo. Czuję się teraz lepiej, znacznie lepiej!

Szef wydziału współpracy roześmiał się, zwałisty mężczyzna otworzył drzwi, pojawiły się kobiety, które zebrały brudne naczynia i przyniosły słodkie wino oraz likiery.

- Dość już pracy na dzisiaj! - wykrzyknął szef wydziału. Uniósł kieliszek. - Za przyjaźń.

Spinner wyszedł pół godziny później. Jedna z kobiet wyciągnęła spod stołu magnetofon. Szef wydziału i zwałisty mężczyzna popatrzyli na siebie i ten drugi wzruszył ramionami.

Ray Spinner szedł bez specjalnego celu i nie bardzo zdając sobie sprawę, gdzie jest. Jako człowiek zwykle mało refleksyjny prowadził teraz bolesną wyprawę w głąb duszy i nie do

końca wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Jego wątpliwości zrodziły się z podejrzania, że Mossad usiłował go zwerbować. Nie paskudnie i nie brutalnie - nie przekupstwem ani groźbami. Ale w przyjazny, niemal otwarty, lecz zarazem podstępny sposób. Raz za razem odtwarzał w myślach scenę z szefem wydziału współpracy i drugim facetem i ciągle łamał sobie głowę nad momentem, gdy wysoki funkcjonariusz Mossadu poprosił go o pozwolenie. Jego! Nawet w chwilach największego zaślepienia i megalomanii Spinner zdawał sobie sprawę, że nie ma uprawnień do wydawania jakichkolwiek pozwoleń w obcym kraju.

I jeszcze to traktowanie go jak VIP-a. Spotkanie z agentami. Zwiedzanie gmachu Mossadu.

Odwał tu kawał dobrej roboty, nie miał co do tego wątpliwości. Za pośrednictwem Habakuka dotarł do dwóch ludzi, którzy sprzedali mu ważne informacje na temat kryptologii. Właściwie obie te sprawy wcale się nie łączyły. To, czego dowiedział się o kryptologii, uzyskał jako szpieg, natomiast Mossad potraktował go jako kogoś zupełnie innego. Był honorowym gościem. Ponieważ był... kim? Dżentelmenem, kimś wyjątkowym, kto „rozumie”. A w każdym razie tak musieli sądzić w Mossadzie... i czy nie było to prawdą? Ale czy nie było również prawdą, że jest tylko cienkim w uszach pracownikiem niskiego szczebla, którego McKinnon wysłał do Izraela, żeby zrobić na złość CIA?

Coś się nie zgadzało. W prawdziwym życiu nie ma takich sprzeczności. A może jednak?

Gdzie się podziała ta jasność, którą Strauss dostrzegał w Platonie? Gdzie ten rozumny, klarowny, filozoficzny porządek? Dlaczego czuł się, jakby znalazł się po gorszej stronie sprawiedliwości, która służy tylko przyjacielom, a jest „paskudna” - słowo samego Straussa - dla wszystkich pozostałych w świecie, gdzie „pokój” zawsze trzeba opatrywać cudzysłowem?

Molivos, wyspa Lesbos

Dzwoniący telefon znowu wyrwał go ze snu. Piat zaklął, spojrzął na zegarek i wygramolił się niezdarnie z łóżka. Podłoga ziębiła go w stopy, poruszał się jak odurzony narkotykami. Czuł się stary.

Drzwi do drugiego pokoju były otwarte. Przez nie zobaczył Saidę śpiącą na kanapie i chrapiącą cichutko, jej kręcone włosy rozsypane na obu poduszkach. Rashid spał w odległym kącie pokoju, skulony niczym embrion, plecami do kanapy.

Piat odebrał telefon.

- Tak?

- Jack?

- Cześć, Barry.

Piat potarł ręką twarz.

- Ledwo cię słyszę, Jack. Mów głośniej!

Barry sprawiał wrażenie podekscytowanego, prawie szalał z radości.

- Mam gości. Niedźwiedziu.

Piat mówił dalej półszepem i zabrał się do przygotowywania kawy.

- Mam, Jack. Mam!

- To świetnie. Niedźwiedziu.

Piat znalazł puszkę po Medaglia D'Oro, w której trzymał kawę. Puszka była pusta.

Zajrzał głęboko do złocistego wnętrza, jakby liczył, że znajdzie choć odrobinę, która go ocali.

- Inskrypcję, Jack. Odczytałem inskrypcję.

- To świetnie. Niedźwiedziu.

Jerry zakatalogował już ekspertyzę Barry'ego jako załatwiony interes: Barry powiedział, że inskrypcja jest autentyczna. Jej treść mogła być interesująca jedynie z akademickiego punktu widzenia. A on nie miał kawy.

- Cholera, Jack! Chryste, pocilem się nad tym całym dniami. I... - Barry zmienił ton głosu, jakby się z nim droczył. - Wiem, skąd pochodzą te inne zdjęcia, Jack. Ile to dla ciebie warte? Co?

Do tej pory Piat nie zastanawiał się nad tym szczególnie. A powinien.

- Przepraszam, Niedźwiedziu. Dopiero się budzę.

- Jedna z tych twoich panienek, Jack? Wstydz się. To ważne! Będę najślawniejszym lingwistą na świecie!

Jerry uświadomił sobie, że Barry pewnie znowu jest na haju. Poza tym marzły mu nogi. W drugim pokoju zapanowało jakieś poruszenie. Spróbował się skupić. Odwrócił głowę od słuchawki i stłumił ziewnięcie. Postarał się wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu.

- To wspaniale, Niedźwiedziu. Naprawdę wspaniale. Co jest w tej inskrypcji? I jak... - w pełni dotarło to do Piata dopiero w tej chwili - jak... skąd... skąd wciąłeś resztę napisu? Przecież miałeś tylko jedną stronę? - Piat przypomniał sobie zdjęcia, które przekazał Barry'emu. - Bo ja nie mam zdjęć drugiej strony.

- A ja owszem, Jack - odparł zadowolony z siebie. - Mam zdjęcia całej inskrypcji. Jestem jedyną osobą, która ma całość, Jack. - Barry roześmiał się z nieskrępowanym dzieciennym triumfem. - Zakasuję tych w Cambridge i Yale na amen. Ha!

Piat zastanawiał się, z iloma ludźmi Barry zdążył się podzielić się swoim sukcesem w ciągu ostatnich kilku godzin. Wyjrzał przez okno. Za długo spał.

- Skąd wzięłeś inne zdjęcia, Niedźwiedziu?

- Muszę być *fair*, Jack. Jestem ci winien przeprosiny. Naskoczyłem na ciebie bez powodu. Szczerze mówiąc, mógłbym zachować tę informację dla siebie, póki nie wyciągnąłbym od ciebie więcej forsy, ale oskarżyłem cię niesprawiedliwie.

Barry przybrał teraz dobrze znany Piatowi ton arogancji.

Jerry pomyślał, że Barry przygotowuje się do nowej roli sławnego lingwisty.

- Doceniam to. Nie oszukałbym cię, Niedźwiedziu.

- W obecnej chwili bardziej martwi mnie - powiedział ostrożnie Barry - że moje drugie źródło może mieć lepszy dostęp do samego obiektu niż ty.

Piat nawet bez kawy wiedział, do czego to wszystko zmierza.

Saida wysunęła głowę zza framugi drzwi. Uśmiechnęła się. Wyglądała bardzo dobrze jak na kobietę, która właśnie obudziła się w obcym łóżku. Piat złapał się na tym, że też się uśmiechnął. Jej głowa zniknęła i usłyszał, jak dziewczyna drepcze na bosaka do łazienki. Zastanawiał się, czy jest naga.

- Wątpię, Niedźwiedziu. Właściwie powiedziałbym, że to bardzo mało prawdopodobne.

- Masz go? Boże, Jack! Masz go?

- Dziś będę miał, Niedźwiedziu.

Właśnie w tej chwili Piat pomyślał, że już wie, gdzie jest puchar.

- To wspaniale, Jack. Uspokoileś mnie. To naprawdę super. Może...

Barry robił się nieufny, Piat słyszał to w jego głosie. Miał go już powyżej uszu.

- Skąd pochodzą pozostałe zdjęcia, Niedźwiedziu?

- Czemu po prostu nie zadzwonisz do mnie, kiedy będziesz miał puchar? I wtedy porozmawiamy.

- Wolałbym dowiedzieć się tego teraz, Niedźwiedziu.

- Nawet nie zapytałeś o inskrypcję.

- O niej też wolałbym usłyszeć teraz.

Barry znów zaczął się droczyć.

- Myślę, że powinienem zachować to dla siebie do momentu, gdy będziemy mieli równe pozycje negocjacyjne, Jack.

- Niedźwiedziu - powiedział Piat z całą stanowczością. - Posłuchaj mnie. Pozycje negocjacyjne się nie zmieniają. Wiem, gdzie jest puchar, i mogę go mieć, kiedy tylko zechcę.

Usłyszał plaskanie bosych stóp w korytarzu obok kuchni. Saida zatrzymała się, prawdopodobnie tuż za zamkniętymi drzwiami.

Pieprzyć ją, pomyślał Piat. Miał tylko nadzieję, że nie usłyszała ostatniego zdania i nie uciekła.

- Mogę kupić go dzisiaj i jeszcze tego wieczoru sprzedać. Nie potrzebuję przekładu inskrypcji, zdjęć ani nic innego, Niedźwiedziu. To ty chcesz zobaczyć puchar. I to ty mnie potrzebujesz. A ja mogę sprzedać towar bez tłumaczenia inskrypcji. Kapujesz?

Za ostro, pomyślał Piat wsłuchując się w ciszę po drugiej stronie. Czekał, aż Barry się rozłączy. Pokręcił głową, ganiąc się za własną nieporadność.

- Nie... nie zrobiłbyś mi tego, Jack?

- Nie, Niedźwiedziu - powiedział, pomyślał zaś: zrobiłbym to, gdybyś mnie naprawdę wkurzył, kolego. - Po prostu mnie wkurzyłeś.

- Na to wygląda, na to wygląda - stwierdził tonem urażonego nastolatka. - Boże, Jack... to dla mnie tyle znaczy, rozumiesz? To mój bilet na wyjazd z tej zatęchłej dziury. Nasz wspólny bilet. Ale powinienem ci to powiedzieć tak czy inaczej. Przepraszam, Jack.

Przeziąłem...

- Nie przejmuj się, Niedźwiedziu.

- Jeden zestaw zdjęć ma bibliista z chrześcijańskiego uniwersytetu w Teksasie.

- Już mi to mówiłeś.

- Tak. Dostałem je od znajomego z Cambridge. A Teksasńczyk dostał je z... gotowy, Jack? Z Izraela. Od rządu.

Piat pokiwał milcząco głową.

- Skąd wiesz?

- W pierwszym e-mailu do mojego kolegi gość dołączył całą oryginalną wiadomość - wyjaśnił Barry z pogardą.

Piat roześmiał się razem z nim.

- To bardzo ciekawe.

- Też tak pomyślałem. Ale jest jeszcze jeden zestaw zdjęć.

Piat był teraz ożywiony i w pełni skupiony.

- Wal.

- Są pornograficzne, chłopie! Serio. Pojawia się na nich, jakbyśmy powiedzieli, „niegrzeczna dziewczynka”, która zabawia się z pucharem. A jakie ma cycki! W każdym razie, puchar jest widoczny akurat z tej strony, której mi brakowało. Miałem już większość inskrypcji, nawet udało mi się poprawnie odgadnąć jedno ze słów, Jack, taki jestem dobry, ale

wciąż brakowało mi czterech słów, nazwy własnej i całej jednej sceny, po prostu na tych twoich zdjęciach ich nie widać. Boże, jakie to było frustrujące! I wtedy inny znajomy zgłosił się do mnie z tymi trzema zdjęciami. Co za fart!

Piat pomyślał, że wie, czyje cycki są na zdjęciach. Ich właścicielka podsłuchiwała właśnie pod drzwiami. Poczul chłopięcą pokusę, żeby je otworzyć.

- Jaki znajomy, Niedźwiedziu?

- Facet, którego poznałem w Yale. Hiszpański dżentelmen. Żaden poważny historyk ani lingwista, ale kupuje rozmaite starocie, to arystokrata. Przysłał mi te zdjęcia. A dostał je od uczonego z Egiptu.

„Kupuje rozmaite starocie”. Piat rozumiał, co Barry ma na myśli. Nie drażył więc tematu. Egipt oznaczał Uniwersytet w Kairze, gdzie zdobył wykształcenie Jasser Arafat. Uczelnia palestyńska.

Te rewelacje niczego nie zmieniały - co najwyżej znalazł następnego potencjalnego kupca. Jeśli uda mu się wydostać puchar od Saidy. Postawił zmarzniętą prawą stopę na lewej.

- Co jest w tej inskrypcji, Niedźwiedziu?

- Już myślałem, że nigdy nie zapytasz! - Barry zdążył zapomnieć, że zamierzał zachować te informacje dla siebie. - Przypuszczam, że nie chcesz słuchać o tym, jak ją rozszyfrowałem, ani w jakim jest dialekcie...

- Przy piwie, Niedźwiedziu. Obgadamy to, kiedy się spotkamy.

- To była najlepsza robota, jaką w życiu wykonałem, Jack. Jakby to wszystko po prostu na mnie czekało. Śniłem o tym pucharze, Jack. Czuję się, jakbym trzymał go w rękach i z niego pił.

Piat też śnił o pucharze kilka razy. Ale się nie przyznał.

- To traktat, tak jak przypuszczałem. O Boże, żałuję, że nie zobaczę twojej miny, kiedy to usłyszysz, Jack, bo to jest zupełnie niesamowite. Chodzi o traktat z królem, którego z dużym prawdopodobieństwem można utożsamić z Odyseuszem...

Nagle Jerry zrozumiał, dlaczego Barry tak się emocjonuje.

- Żartujesz.

- Nie żartuję! - zapewnił radośnie Barry, gdy Piat zareagował dokładnie tak, jak tego po nim oczekiwał.

Odyseusz! A to dopiero, pomyślał Piat i się roześmiał. Nie uwierzył tak naprawdę Barry'emu, ale przyjemnie było wyobrazić to sobie przez chwilę.

- Ten puchar to po prostu cud za cudem, Jack. Semickie symbole w piśmie linearnym B. Odyszeusz. A ten traktat... Zawarto go dla uczczenia wojny, bitwy albo większej potyczki. Sojusznicy. Danajowie i Peleset...

- Pamiętam tę część, Niedźwiedziu.

- I lud Jahwe, Jack. Przeciwko Egipcjom. A lud Jahwe daje ziemie Grekom i Peleset.

Piatowi zaszumiało w uszach. Nie usłyszał ani słowa z dosłownego tłumaczenia Barry'ego. Zapomniał o roztroprnym Odyszeuszu. Zapomniał o swoich zimnych stopach i o braku kawy. Teraz widział już cały obraz: agentów i zbirów w pogoni za pucharem i wiedział już, o jaką stawkę toczy się gra.

Istny Armageddon, pomyślał.

Wrócił do teraźniejszości i przerwał Barry'emu w pół słowa.

- Król kier, Barry.

Było to hasło, jakim posługiwali się w zamierzonych czasach podczas ich pierwszej operacji.

- Co? Jack... o, do cholery. Dobra, cześć.

Rozłączył się błyskawicznie.

Piat zastanawiał się, komu jeszcze Barry opowiedział o swoim lingwistycznym odkryciu. Spojrzał na zegarek, a potem za okno. Świeciło słońce. Otworzył drzwi. Saida zniknęła, jeśli w ogóle się tam czaiła, a kiedy zajrzał do pokoju, wkładała właśnie przez głowę bluzkę, starając się sprowokować Rashida, który leżał odwrócony do niej plecami.

Rzeczywiście fantastyczny biust. Piat odkaslnął.

Saida nie podskoczyła, tylko się odwróciła.

- Dzień dobry.

- Gdzie jest puchar, Saido?

- Powiedziałeś coś o siedmiuset pięćdziesięciu tysiącach dolarów.

- To moja oferta. Ale pod warunkiem, że najpierw zobaczę towar.

- Coś mi mówi, że nie masz takiej forsy, mój drogi.

Mimo to uśmiechnęła się do niego.

Piat nie odwzajemnił uśmiechu.

- Będę ją miał, kiedy sprzedam puchar. Posłuchaj mnie, złotko. Jestem gotów oddać ci prawie połowę tego, co dostanę. Nikt inny na świecie nie zaproponuje ci tak dużo. Nie rób się za bardzo pazerna, bo tylko na tym stracisz.

- Ale teraz ci się spieszy. Właśnie rozmawiałeś przez telefon z kupcem.

- Nie, to był tylko mój rzeczoznawca. Ale mam kupca.

- Ona nie może sprzedać czegoś, co do niej nie należy. - Rashid nie spał. Siedział teraz z rękami skrzyżowanymi na piersiach i płaczącą miną. - Puchar należał do Salema.

Saida ledwo raczyła na niego zerknąć.

- Czyli mojego narzeczonego. Rashid powiedział mi, że go zabili. Wiedziałam o tym od początku.

- Czyżby? - pomyślał Piat.

- Puchar należał do Salema. Nie jest twój, ty... - tu Rashid posłał jej wiązaną arabskich wyzwisk, ale Saida przerwała mu i go przekrzyczyła.

- Czy myślałeś o Salemie, kiedy się kochaliśmy? - spytała po angielsku.

Uśmiechnęła się do Piata.

Rashid uderzył pięścią w ścianę.

Piat, stojąc przed nimi boso i w samych gatkach, nie czuł się na siłach, by wydawać polecenia, był jednak wściekły i postanowił z tego skorzystać.

- Włóż coś na siebie, Saido. Spójrzcie na mnie, oboje. Spójrzcie na mnie! Mamy tylko kilka godzin, może mniej, zanim ktoś wykombinuje, gdzie mieszkam. A ci ludzie nie zawahają się wdrzeć tutaj z bronią w rękę. Kapujecie? Saido, możesz przyjąć moją ofertę albo ją odrzucić. Znikam stąd za godzinę, z pucharem albo bez.

- Może mam lepszą propozycję. - Saida wyduła wargi, wbijając się w dzinsy. - Gdzie są ci Izraelczycy? Myślę, że ich wymyśliłeś, żeby mnie nastraszyć.

Piat wycofał się do drzwi.

- Dobra, jak sobie chcesz. Umywam ręce. Ale masz ten pieprzony puchar w swoim plecaku i kiedy cię złapią, nawet nie będą cię musieli torturować, żeby go znaleźć.

Rashid gwałtownie odwrócił głowę, spoglądając na plecak.

Saida wybuchnęła płaczem.

- Wy sukiny! - Oplotła plecak ramionami. - Mam dość. Dość! Dość pieprzonych Izraelczyków i Hamasu, i dżihadu, i osadników, i Autonomii Palestyńskiej. Chcę się z tego wyrwać! Chcę gdzieś wyjechać i ułożyć sobie życie. Zapomnieć o wojnie. Mieć fajne rzeczy. Saleem obiecał, że mnie zabierze. Do Ameryki! To moje. Wy skurwiele. Wy...

Znów przeszła na arabski, wplatając od czasu do czasu francuskie słowa, które Piat rozumiał aż nazbyt dobrze.

Nie odpowiedział jednak, tylko wrócił do sypialni i zaczął wrzucać do torby swoje rzeczy.

W ciągu niespełna pięciu minut ogolił się, ubrał i spakował wszystko, co zamierzał zabrać. Musiał jeszcze odkopać paczuszkę, którą ukrył. Potrzebował na to następnej godziny. A potem zadzwonić do Androsa, żeby potwierdzić plan ucieczki z wyspy.

Nadal chciał zobaczyć puchar. Nie z chciwości - mógł żyć splukany. Chodziło o coś innego. O to, że później by żałował.

I nie pobiegnie już nigdy do Thermi. Trampki postawił w kącie, już mu się nie przydadzą, tak samo jak szorty, które wciąż moczyły się w wiaderku w kuchni.

- Czemu miałabym ci ufać? - spytała Saida, stając w drzwiach.

Piat wzruszył ramionami.

- Nie powinnaś. Ale gdybym musiał odpowiedzieć, powiedziałbym, że mam pistolet i mogłem ci zabrać plecak, kiedy tylko chciałem.

Opierała się plecami o framugę, z plecakiem w ramionach, zupełnie bezbronna.

- Mam też inne rzeczy. Salem mówił, że to nasz „fundusz na podróż”.

Piata ścisnęło w żołądku, gdy powiedziała „inne rzeczy”.

Rashid przepchnął się obok niej i wszedł do pokoju.

- To nie należy do niej.

- A do kogo? - spytał spokojnym głosem Piat. - Bądźmy wreszcie poważni, Rashidzie.

Komu chcesz oddać te przedmioty?

Rashid nie znalazł na to pytanie odpowiedzi. Wyglądał, jakby niczego w ogóle nie miał.

- Ona jest jak trucizna - syknął.

Piat skinął na plecak. Teraz nie mógł się już powstrzymać, nawet gdyby do pokoju wparowali wszyscy agenci Mossadu i otworzyli ogień ze swoich uzi.

- Pokaż, co tam masz, Saido.

Podeszła do łóżka i otworzyła plecak. Wyciągnęła szarą papierową torbę, tekturową tubę i pudełko. Piat podświadomie wyczuł, gdzie jest puchar: w pudełku rozległ się cichutki metaliczny brzęk, gdy je podniosła. Tuba miała nieodpowiedni kształt.

Saida otworzyła pudełko i podała mu puchar, jakby wręczała podarunek, domagając się jego uwagi.

- Salem powiedział, że to największe znalezisko od czasów Troi. - Uśmiechnęła się półgębkiem, wzruszyła ramionami. - Proszę.

Piat nie widział nic innego w pokoju. Naczynie było mniejsze, niż się spodziewał, mimo że znał jego wymiary. Na stopce widać było małą lśniącą plamkę, gdzie złoto ocierało się o teksturę pudełka.

Przywiozła to wszystko autokarem, pomyślał i westchnął.

Niello było niemal doskonałe, miało kształt spirali wokół brzegu i schodziło w dół czaszy. Symbole zostały wryte na złotym pasie między emalią a tłem scenek. Na jednej z nich przedstawiono postać króla, wyraźnie Greka, który siedział na tronie z włócznią w dłoni. Ten sam mężczyzna został ukazany również w momencie, gdy powala wojownika na rydwanie, przeszywając mu szczękę włócznią. Brutalna scena została oddana z niezwykle realistycznym realizmem. Poniżej trzech mężczyźni walczyli z lwem. Jeden z wojowników miał kosmatą brodę, długie szaty i tiarę, a dwaj pozostali byli odziani w mykeńskie tuniki i hełmy. Hełm pierwszego zrobiono z zębów odyńca, a drugiego z brązu i ozdobiono rogami. Wszyscy trzech trzymali ciężkie tarcze w kształcie ósemki.

- Czy jest... wspaniały? - spytała.

- Największe znalezisko od czasów Troi.

Piat wyciągnął ręce i wziął puchar. Był ciężki. Złoto zawsze było zaskakująco ciężkie.

- I za to zabili Salema? - spytał Rashid.

Saida wzięła głęboki oddech.

- Zabili Salema... och, Rashidzie, zabili Salema za to, że ich okradał.

- Skąd wiesz? Nawet nie wiedziałaś, że nie żyje.

Piat wolał nie słuchać następnych rewelacji z ust Saidy. Podejrzewał, co mogła powiedzieć, a gdyby to zrobiła...

- Co tam jeszcze masz? - zapytał szorstko. Ciekawiło go, jak przy pucharze wypadnie „fundusz na podróż”.

Z papierowej torby Saida wyciągnęła przedziurawione zęby odyńca.

W ciągu kilku sekund Piat zorientował się, że jest ich zbyt dużo jak na naszyjnik.

- Cały hełm.- Pokręciła głową. - Niegorszy od tego z Dendros.

Wysypał zawartość torebki na łóżko: dziesiątki zębów, każdy przedziurawiony u dołu i u góry. I maleńka, piękna złota sowa jako zwieńczenie.

Na świecie było mniej niż dziesięć hełmów z zębów odyńca. Większość należała do prywatnych kolekcji, nie dałoby się ich podrobić i każdy handlarz kupiłby taki bez mrugnięcia okiem.

Ten cały Saleem naprawdę znał się na rzeczy, pomyślał.

A Piat wiedział nawet, gdzie może go sprzedać, nie opuszczając Lesbos. I podobnie jak Saleem potrzebował pieniędzy na podróż.

- Mogę załatwić ci dwadzieścia tysięcy dolarów za hełm - powiedział do Saidy. Widząc jej minę, wytłumaczył: - Za zęby. W torebce.

Pokiwała głową.

- Dobrze.

Zdawało się, że uszła z niej cała życiowa energia. Patrzyła na Rashida, a ten wpatrywał się w ścianę, nie na puchar ani na zęby odyńca.

- Co jest w tubie?

Pokręciła głową.

- Salem to zapakował.

Podawała mu pojemnik.

Piat otworzył plastikowe wieczko i wyciągnął twardy, metalowy przedmiot owinięty folią bąbelkową i włożony dodatkowo w starą reklamówkę. Miał jakieś czterdzieści pięć centymetrów długości.

Miecz. Wykuty z brązu, ozdobiony niello, srebrem i złotem podobnie jak puchar. Miał ciężką rękojeść z rzeźbionego mlecznego kamienia. Brąz był pokryty zieloną patyną i czarnymi liszajami w miejscach, gdzie srebro stopiło się z metalem i utleniło, lecz złoto i srebro lśniły, jakby ktoś je odczyścił. Na klindze były trzy głębokie szczyrby, a spory kawałek głowicy został odłupany.

Piat domyślał się, że ten sam artysta, który ozdobił puchar, wykonał też ostrze.

Pokręcił głową usiadł ciężko na brzegu łóżka i popatrzył na Saide.

- Nigdy nie dostaniemy za te rzeczy tyle, ile naprawdę są warte - powiedział z większą szczerością, niż zamierzał. Wskazał mieczem na Rashida. - Może... może on ma rację.

- W jakim sensie? - zapytała z hardą miną.

Piat popatrzył znów na klingę. Nie potrafił się oprzeć i zacisnął dłoń na rękojeści.

- Daj mi chwilkę, żeby moja naturalna chciwość mogła dojść do głosu, dobrze? - Miecz był doskonale wyważony. - Pomyślałem, że wszystkie te rzeczy powinny się znaleźć razem w muzeum. Ale nie jest to luksus na który moglibyśmy sobie pozwolić, nawet gdybyśmy byli tego rodzaju ludźmi.

Pomyślał o tym, co mówi napis na pucharze, i aż się wzdrygnął.

Żaden zabytek z taką inskrypcją nie mógłby spokojnie leżeć w muzeum, badany przez uczonych w zaciszu pracowni. Połałaby się krew. Na szczęście, potrzeby Piata i mniejsze zło były akurat zbieżne.

Saida nie usiłowała nawet zrozumieć, co znaczył jego komentarz.

- Tylko jeśli muzeum nam zapłaci.

- Salem pragnął, żeby Palestyńczycy mieli wielkie muzeum - oświadczył Rashid. -

Rozmawiałem z nim o tym.

- A mnie powiedział, że będziemy żyli w Ameryce i opływali w luksusy - odparła Saida.

- Mam dość gadania. My, Palestyńczycy, nigdy nic innego nie robimy. Ile?

Piat kiwał przez chwilę głową. Musieli się wydostać z miasta, a potem z Lesbos, mógłby to sobie załatwić za własne pieniądze. Za dwadzieścia tysięcy mógł zabrać także ich dwoje.

- Chcesz powierzyć mi sprzedaż tych rzeczy? Czy nie? Jak powiedziałem. Możesz przyjąć moje warunki albo je odrzucić. Trzeciej możliwości nie ma.

- Dobrze, zgoda.

Saida dochodziła do siebie. Posłała Piatowi zalotny uśmiech.

Rashid stęknął z bólu albo obrzydzenia.

Piat przystąpił od razu do dalszych wyjaśnień, utkwivszy wzrok w klindze miecza.

- Muszę załatwić pewną sprawę. Zostawię to wszystko tutaj, w twoim plecaku, tobie.

Potem wspólnie wybierzemy się na krótką wycieczkę i sprzedam hełm. Zęby odyńca.

Dobrze? A później załatwię transport, umówię się na sprzedaż pucharu i wydostaniemy się stąd. Wy dwoje możecie obserwować transakcję. Połowa forsy będzie dla mnie. - Znów pokiwał głową. - To tyle.

- Dokąd wyjedziemy? - spytała Saida.

- Czy to ważne?

- Powiedz.

Tupnęła nogą.

Rashid w ogóle nie uczestniczył w dyskusji. Piat wciąż był zbyt zauroczony mieczem, by zwracać na chłopaka uwagę.

- Z klasztoru Ypsilou popłyniemy łodzią do Turcji. Ypsilou znajduje się na wybrzeżu, mój znajomy zabiera tam na pokład pasażerów. Transakcji dokonamy w Izmirze albo w Stambule. Potem każde z nas ruszy w swoją stronę. Pasuje?

Saida przekrzywiła głowę.

- Kiedy?

Piat zawahał się... i powiedział prawdę.

- W poniedziałek. W poniedziałek wieczorem... do tego czasu będziemy się musieli gdzieś zadekować. Nie uda mi się załatwić transportu na wcześniejszy termin.

Chociaż spróbuję, dodał w myślach.

Pokiwała głową, jakby rozumiała.

Piat zapakował miecz, wsunął go do tuby i zamknął plastikowe wieczko.

- Wrócę za godzinę. Jeśli was nie zastanę, uznam, że od tej pory radzicie sobie na własną rękę.

Saida się uśmiechnęła.

- Nigdzie się bez ciebie nie ruszę - powiedziała. Zabrzmiało to jak kwestia z amerykańskiej opery mydlanej. Piat zastanawiał się, czy mówiła to też Salemowi. Zerknął na Rashida. - W porządku, mały?

- Jasne. - Rashid wziął głęboki wdech, jakby zamierzał coś powiedzieć, a potem zrezygnował. - Jasne.

Piata korciło, żeby zlekceważyć środki ostrożności i załatwić wszystko jak najszybciej, ale była to jedyna pokusa, której nigdy nie ulegał, pomaszerował więc skrupulatnie wybraną trasą: kupił w sklepiku batonik Cadbury i przemierzył miasto, dwukrotnie zbaczając z drogi, żeby się przekonać, czy ktoś go nie obserwuje.

Wydawało mu się, że jest sam.

Wcześniej czy później Izraelczycy, którzy ścigali ich w nocy, zdołają namierzyć albo jego, albo pożyczoną ciężarówkę. Molivos było małym miastem.

Czas stąd prysnąć, pomyślał.

Wstąpił do kawiarenki internetowej, zapłacił, siadł przy komputerze i przeczytał pocztę. Odpowiedział na trzy wiadomości, w dwóch przypadkach podając nowy adres e-mailowy.

Z automatu telefonicznego zadzwonił do Androsa, mając nadzieję, że uda mu się przyspieszyć rejs do Turcji, ale oczywiście nikt nie odebrał.

Zimny wiatr przyklejał mu włosy do twarzy i ziębił kostki pod skarpetkami, gdy okrążał cypel. Maszerował skrajem skalistej plaży, aż doszedł do rury ściekowej, a potem wspiał się wąskim żlebem na małe poletko osłonięte od wiatru przez duże, stare drzewa. Miasteczko wznosiło się teraz przed nim kolejnymi rzędami krytych terakotową dachówką domków które przypominały czerwone stopnie schodów do piaskowej cytadeli na szczycie wzgórza. Pod jego stopami leżały olbrzymie płyty skały wulkanicznej połączone przez człowieka lub naturę tak, że tworzyły posadzkę o powierzchni dwudziestu metrów kwadratowych. Klepisko domu. W jednym rogu pozostały resztki fundamentów. Jerry zagłębił rękę w naturalnej szczelinie, i wydobyl blaszane pudełko.

Pudełko było otwarte. Serce zaczęło walić Piatowi jak młotem.

Foliowa torebka, która zabezpieczała zawartość, pozostała nienaruszona, jeśli nie liczyć małej, okrągłej dziurki. W środku znajdowało się gniazdo pełne maleńkich polnych myszy ułożonych na miękkim posłaniu ze strzępów papieru i plastiku, które kiedyś były ostatnim czystym paszportem Piata. Ogarnęła go fala bezsilnej wściekłości, w pierwszym odruchu chciał zdeptać gryzonie na kamieniu, wrzucić je do morza.

Powstrzymał się jednak i ostrożnie włożył torebkę z powrotem do pudełka i umieścił je tam, gdzie przedtem. Maleńkie nagie myszki wydawały cieniutkie, płaczliwe piski, które, miał wrażenie, niesły się za nim na wietrze przez całą drogę do miasta.

Kiedy dotarł do domu, Saida płakała - cienko i piskliwie jak tamte myszy.

Rashid zniknął.

Rashid wsiadł do autokaru do Mityleny, czując na plecach wzrok wszystkich ludzi, którzy mogli go śledzić. Do nich dodał właśnie Amerykanina, Jacka. Jacka, który rozmawiał z nim jak z dzieckiem, ale nauczył go tylu rzeczy, które miały mu się przydać. Jacka, który miał się stać następną ofiarą Saidy. Nawet w autokarze Rashida kusiło, żeby wysiąść, wrócić i zrobić... coś. Dla Jacka.

Ostatecznie jednak uciekał od Jacka tak, jak uciekł od Salema. Tak to odczuwał, a zdrada Amerykanina zdawała się nawet gorsza. Co Jack mu zrobił? A on, Rashid, hipokryta nad hipokrytami, przespał się z Saidą. Och, co za rozkosz, podszeptała zdradziecka część duszy, gdy to sobie przypominał, a sumienie upomniało go: jak mogłeś tak zdradzić Salema. Kiedy autokar zawiózł go do Mityleny, znalazł automat telefoniczny i zadzwonił na jeden z ustalonych numerów. Ali odebrał po pierwszym sygnale. Był zły, potem wyrozumiały i znowu zły, w czym przypominał Rashidowi matkę. Rozkazał Rashidowi aby pozostał na miejscu, dopóki nie zjawi się po niego inny agent. Zasugerował, że Rashid zostanie ukarany za swoją nieobecność. Rashid czuł, że zasługuje na karę.

A potem zaczął wyjaśniać, gdzie był.

Saida miała prawo jazdy i kartę kredytową, Piat wysłał ją więc, żeby wypożyczyła samochód w miejscowym oddziale Avis. Musiał zakładać, że jej wszystkie transakcje bankowe są monitorowane, ale musiał zaryzykować. Zdawał sobie sprawę, że znalazł się w stanie permanentnego kryzysu, który każe mu podejmować kolejne ryzykowne posunięcia, i w końcu któreś z nich się na nim zemści. Uzmysłowił sobie, że po prostu reaguje na poszczególne zagrożenia, tracąc możliwość ich przewidywania i unikania.

Znał to uczucie.

Czekając na Saidę, zastanawiał się, czy dziewczyna w ogóle wróci, i popijał ouzo. Pomyślał, że bez niej i bez pucharu miałby mniej kłopotów: ucieczka stałaby się łatwiejsza, a on sam nadal pozostałby biedny. Miał czas, żeby zastanowić się nad inskrypcją na pucharze i nad tym, co by się stało, gdyby zabytek trafił do różnych ludzi i Izraelczyków, Palestyńczyków, Amerykanów. Albo dostał się Hamasowi, Iranowi, Rosji czy Chinone. Tym

wszystkim, którzy maczali palce w „stabilizowaniu sytuacji na Bliskim Wschodzie”. Ostatnią szklankę anyżówki wychylił bez wody.

Naprawdę powinien komuś o tym powiedzieć. Roześmiał się, wyobrażając sobie, jak dzwoni do oficera dyżurnego Agencji: „Hej, pamiętasz mnie? Zamordowałem jednego ze swoich kumpli? Tak, właśnie”. Tak, właśnie. Te mosty były spalone.

Myślał o różnych ludziach, których znał na różnych placówkach na świecie. Żaden z nich nie zdawał się zbyt przydatny, a mało który w ogóle zechciałby z nim gadać. Przy którejś szklance ouzo pomyślał o kurtce Rashida, która nie tak dawno wisiała na krześle w kuchni. I o naszywce. Pióro i błyskawica. Piat znał ten symbol, widywał go wielokrotnie. Szyfrant Marynarki Wojennej. Salem Qatib był szyfrantem w marynarce.

I wtedy pomyślał, że wie, do kogo zadzwonić. I jak jeszcze może się pozbyć dzieciaków. Ciemna strona duszy podpowiadała mu, że gdyby pozbył się dzieciaków we właściwym momencie, miałby puchar tylko dla siebie.

Saida pojawiła się w drzwiach cała w uśmiechach i blond loczkach.

- Poszło jak z płatka! - zawołała od wejścia.

Naprawdę lubił ten dom i to miasteczko, i bieganie na szczyt góry. Sprawiało mu przyjemność, że dzielił dom z Safoną i Alkajosem, Achillesem i Bryzejdą. A potem pomyślał: wracam. Z początku uważał, że ta myśl jest głupia, lecz im dłużej się zastanawiał, tym łatwiejsze wydawało mu się rozwiązanie. Bez obojga dzieciaków nikt by się nim nie interesował. Przyczai się na jakiś czas. Wkrótce powinien mieć pieniądze, mnóstwo pieniędzy. Wracam. Za każdym razem, gdy o tym myślał, czuł się lepiej. Mogło mu się udać. Przy odrobinie szczęścia.

Zostawił wszystkie swoje książki, buty do biegania, szorty. Zabrał trzy zmiany ubrań, trochę bielizny i egzemplarz *Iliady*.

- Chodźmy - powiedział.

Piat prowadził. Samochód był mały, lecz nowy i miał zryw, którego brakowało staremu nissanowi. Przejechał przez akwedukt w Therze i skręcił na zachód, w głąb wyspy. O trzeciej był w Kalonis. Nikt ich nie śledził.

Postawił samochód na parkingu nowoczesnego supermarketu o parę ulic od centrum biznesowego. Obok stał ciężki terenowy mercedes z hiszpańskimi tablicami, posezonalny turysta z UE. Oba skojarzenia przypomniały mu, ile unijnych pieniędzy trafia do Grecji, nagle kraj zmodernizował się i zeuropeizował.

Zaprowadził Saidę do nocnego klubu, gdzie przez cały dzień serwowano śniadania. Jego jedyny konkurent w handlu antykami na wyspie już tam na niego czekał: poważny starszawy Anglik z pretensjami do manier brytyjskich wyższych sfer. Piat przypuszczał, że Teddy urodził się w Essex, a może nawet na londyńskim East Endzie. Choć oczywiście dla niego nie miało to znaczenia.

- Dziwaczny wybór restauracji, staruszku - rzekł Teddy. - Byłoby nas stać na coś znacznie lepszego.

Piat wzruszył ramionami.

- Mnie się podoba - powiedział. - Musisz być bardzo zadowolony z pogody, jaka panuje tej zimy, dobra na łódkę.

Teddy miał mały żaglowiec, o którym ciągle wspominał.

- Wspaniała, po prostu w dechę. Opłynąłem całą wyspę. Ci biedni dranie pływający po kanale La Manche nawet nie wiedzą, jakie mam szczęście. A ty? Wypuszczasz się ostatnio na morze?

Piatowi przypomniał się „rejs” zodiakiem z wymiotującym Rashidem. Starał się nie myśleć, co oznacza dezercja chłopaka. Pokiwał głową.

- Troszeczkę. Trafiłem akurat na gorszą pogodę.

Piat złapał się na tym, że imituje wystudiowaną kadencję głosu rozmówcy.

Teddy nie zwracał najmniejszej uwagi na Saidę, co potwierdzało przypuszczenie Piata, że Anglik, mimo że żonaty, jest zupełnie nieczuły na wdzięki kobiet.

Teddy pochylił się nad stołem.

- Czy ten... hełm... to rzeczywiście hełm, George?

Piat otworzył różowy plecak Saidy i wyciągnął papierową torebkę. Zaczął wyjmować po kolei zęby, układając je w koncentryczne kręgi na okrągłym blacie, aż w torebce pozostała tylko sowa. Wreszcie położył w środku złotą figurkę - hełm sprzed trzech tysięcy lat.

Teddy aż westchnął z wrażenia.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. W gotówce.

Teddy popatrzył na niego.

- Hm... chciałem się potargować, staruszku. Ale przypuszczam, że nic z tego?

Piat starał się ukryć swoją pogardę.

- Jest wart pół miliona. Nie mam czasu, żeby go sprzedać samemu. Pięćdziesiąt tysięcy, w gotówce.

Teddy pokiwał głową. Nie mógł oderwać wzroku od hełmu. Miał zarobić mnóstwo pieniędzy i najwyraźniej myślał, że jest w tym jakiś haczyk.

- Skąd pochodzi?

Piat pokręcił głową.

- Lepiej, żebyś nie wiedział.

Teddy pokiwał głową, jakby dzięki temu czuł się ważniejszy.

- Skąd wiesz, że jest autentyczny?

Piat wzruszył ramionami.

- Nie znam nikogo, kto umiałby coś takiego podrobić, Teddy, ale jeśli ci się nie podoba...

Teddy uniósł obie dłonie w geście kapitulacji. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął zużytą brązową kopertę.

- Część jest w funtach. Za co przepraszam. Ale suma się zgadza: dwie godziny temu sprawdziłem kurs w Internecie. Wyjeżdżasz, prawda?

Piat podniósł głowę znad gotówki, zaskoczony, że tak łatwo go przejrzeć, a tym bardziej, że przejrzął go Teddy.

- Zawsze byłeś wobec mnie w porządku, George, myślę więc, że powinienem ci powiedzieć, że zwrócono się do mnie z pytaniami.

- O mnie?

Teddy pokiwał głową, wyraźnie zawstydzony tematem.

- O ciebie i inne... sprawy.

Skinął lekko na Saidę, która zdawała się zahipnotyzowana widokiem banknotów.

Piat poczuł, że drżą mu ręce. Zamachał do jedynej kelnerki i zamówił szkocką z wodą. Teddy poprosił o wino. Saida wciąż wpatrywała się w rosnący stosik banknotów.

Kelnerka widziała zbyt wiele transakcji narkotykowych, by szczególnie się nimi zainteresować. Leniwym krokiem oddaliła się w stronę baru.

- Co im powiedziałaś, Teddy?

- Ja? Zupełnie nic. Nawet nie wiem, gdzie mieszkasz. Szczerze mówiąc, wszystkie te pytania sprawiły, że z zaskoczeniem zdałem sobie sprawę, jak mało o tobie wiem. - Teddy zaczął zbierać zęby dzika ze stołu. Pozostawił tylko złotą sowę, na środku blatu, gdzie mógł ją dobrze widzieć. Popatrzył na Piata i wzruszył ramionami. - To oczywiście nie moja sprawa. Jak powiedziałem, staruszkule, zawsze byłeś wobec mnie w porządku.

Piat skończył liczyć pieniądze. Ostatnie cztery tysiące były w małych nominałach. Wyraźnie pozbawił Teddy'ego całej gotówki, lecz wkrótce Anglik już nigdy nie będzie się musiał tym martwić. Piat schował wszystko z powrotem do koperty, włożył ją do kieszeni tweedowej marynarki i wstał, podając Teddy'emu rękę. Teddy też był „w porządku”.

- Za godzinę wypływam do Turcji - oznajmił Piat.

Saida drgnęła z zaskoczenia.

- Mówiłeś... - Zamachała rękami. Potem zobaczyła minę Piata. - Och, chciałam pójść jeszcze na zakupy.

Teddy pokręcił głową i uściśnął mu dłoń.

- Powodzenia, George.

- Dzięki, Teddy. Hełm nie narobi ci kłopotów, mogę ci obiecać przynajmniej tyle. Do widzenia.

Wyszedł z Saidą na zimowe słońce i poprowadził ją w stronę budki telefonicznej.

- Powiedziałeś mi, że jedziemy do Turcji dzisiaj. A mnie mówiłeś, że w poniedziałek!

- Wygada się komuś. Kapujesz?

Saida zamrugnęła i popatrzyła na niego uważnie, gdy szli obok siebie. Piatowi nie spodobało się to spojrzenie. Sugerowało, że właśnie uznała, że jest bystrzejszy, niż do tej pory myślała.

Stała na zewnątrz, gdy usiłował się dodzwonić na oba numery, które miał do Androsa. Nikt nie odbierał. Wydęła kokieteryjnie wargi, kiedy dzwonił do informacji międzynarodowej. Za sześć euro w drobniakach dowiedział się o numer, którego potrzebował, i wysłuchał nagranych głosu, który poinformował go, że biuro Służby Dochodzeń Kryminalnych w Neapolu jest zamknięte w weekendy i że może zadzwonić znowu w poniedziałek w godzinach od dziewiętej do siedemnastej. Właśnie gdy miał zamiar odwieść słuchawkę, inny elektroniczny głos oznajmił, że w nagłych przypadkach można się skontaktować z oficerem dyżurnym pod innym numerem.

Piat wychylił się z budki.

- Masz jakieś drobne? - spytał Saidę.

Oficer dyżurny odebrał po pierwszym sygnale. Miał młodzieńczy, pełen entuzjazmu głos. Piat pomyślał, że przydałaby mu się w końcu odmiana.

- Weekendowy oficer dyżurny biura Służby Dochodzeń Kryminalnych Marynarki Wojennej w Neapolu. To bezpieczne połączenie. W czym mogę pomóc? - powiedział.

- Muszę się skontaktować z agentem specjalnym Mikiem Dukasem - wyrzucił pośpiesznie Piat, bo wiedział, że tylko tak zdoła coś ugrać. - W pilnej sprawie operacyjnej.

- O kurde - zareagował chłopak.

- Al Craik jest w złej formie. Rose naprawdę się martwi.

Mike Dukas był w domu, trochę zdezorientowany tą zmianą i rozstrojony, bo czuł, że zmarnował ostatni tydzień. Chciał zwierzyć się jej ze swoich problemów, ale w zamian usłyszał o kłopotach Ala Craika.

- Jak źle to wygląda? - spytał.

- Coś się stało w Afganistanie, Rose myśli, że Al ma depresję... no wiesz, taką prawdziwą.

- Sam też nie tryskam humorem. Porozmawiam z nim przy kolacji. To dzisiaj, prawda? - Wybierali się całą grupą do neapolitańskiej restauracji, Craik stawiał. Dukas westchnął. - Czy teraz mogę wreszcie wylać swoje żale?

- Właśnie po to są żony?

Opowiedział jej o wszystkim. Leslie była dobrym słuchaczem, umiała zadawać pytania.

- Rozwiązałeś sprawę, ale nie masz dowodów - podsumowała.

- Właśnie. Myślę, że ci czterej faceci z biura w Jaffie są zbirami na usługach Mossadu, którzy w jakiś sposób dorwali Salema Qatiba i go zabili, ale nie wiem jak i dlaczego. Poza tym nie wiem, jak się nazywają i gdzie teraz są. Też mi sprawa.

- Dlaczego mieliby go zabijać?

- Prawdopodobnie nie zrobili tego celowo. Sam nie wiem. Kiedy pojechałem na miejsce nielegalnych wykopalisk... to, które nagle zmieniło się w nową osadę, dwie przyczepy i kilku facetów z karabinami AK-47... pogadałem z ludźmi, którzy kierowali buldożerami. Te maszyny musiały być przedpotopowe. W każdym razie, ci sami faceci rozkopywali też, górna warstwę na początku wykopalisk.

- Powiedzieli ci to?

- Nie od razu i nie za darmo.

- A potem wszystko zakopali z powrotem, żeby Izraelczycy mogli postawić osiedle?

No tak, ciężki sprzęt w służbie obu narodów. Przypuszczam, że kiedy się jest Palestyńczykiem, trzeba brać każdą robotę, jaka się nadarzy. Ale mówili o tym dosyć otwarcie. Pierwszy raz rozkopali ziemię dla jakichś ludzi z Hamasu. Kopanie to nic wielkiego: Autonomia wydaje na nie licencje. Ale tu chodziło o Hamas, czyli organizację, która nie cieszy się specjalną sympatią władz. W każdym razie, zrobili swoje, a potem wkroczyło mnóstwo miejscowych z łopatami, a ci z buldożerami zostali na miejscu, bo później mieli wszystko zasypać. Ale wtedy pojawili się izraelscy żołnierze, zrobiła się wielka

afery i teren wykopalisk zamknięto. Po paru dniach Izraelczycy wrócili i zapłacili im za zakopanie wszystkiego i wyrównanie terenu pod tak zwane osiedle.

- To wszystko?

- To byłoby wszystko, gdyby zabrakło mi forsy. Ci od buldożerów nie chcieli podać żadnych szczegółów: kto, dlaczego i tak dalej. Pokazałem im zdjęcie Qatiba z naszych akt: nigdy go nie widzieli, nigdy o nim nie słyszeli. Miałem ze sobą policjantkę z Tel Awiwu i faceta z policji palestyńskiej, kogoś w rodzaju łącznika i tłumacza. Robotnicy powitali ich z równym entuzjazmem jak plażowicze burzę śnieżną. Odszedłem więc dalej, cały czas powtarzając, jak im dziękuję, żeby oddalić się trochę od tych dwojga, bo liczyłem, że któryś z robotników za mną pobiegnie. Nagle zupełnie znikąd pojawił się taki drobniutki Palestyńczyk, a z nim dzieciak, na oko jakieś dwanaście lat, który mówił po angielsku. W każdym razie dało się go zrozumieć. Ci dwaj z kolei okazali się bardzo bezpośredni: za tysiąc dolarów facet wszystko mi opowie.

- Co znaczy „wszystko”?

- Pytam faceta: „Coś ty, u diabła, za jeden?” A on mi na to: „Byłem jednym z kopiących. Wszystko widziałem”. No dobra, ale nie wyskoczę z tysiąca dolców tylko za to. Targujemy się więc i dalej gadamy, a ten dzieciak jest naprawdę dobry. Wreszcie dałem im trzysta dolców i obiecałem resztę, jeśli informacje będą tego warte.

- Tysiąc dolarów? Łaziłeś tam z tysiącem dolarów w kieszeni?

- Kotku, byłem w miejscu, gdzie ludzie mogliby mnie zabić po prostu za samą obecność, dlatego więc miałbym się przejmować, ile noszę ze sobą kasy? Zresztą to nie były moje pieniądze. W każdym razie, facet widział, jak zjawili się Izraelczycy i zaczęli wszystkich bić, jak popadnie. Facet i reszta robotników rozbiegli się na wszystkie strony, a żołnierze ganiali ich i bili kolbami karabinów. Facet mówi, że wskoczył do rowu i przeczołgał się pod płachtami brezentu aż na sam koniec terenu wykopalisk, gdzie gość, który prowadził te wykopaliska, nikogo nie wpuszczał i wszystko robił sam w towarzystwie seksownej młodej kobiety.

Leslie się uśmiechnęła.

- „Seksownej”? To jego słowo?

- Dzieciak przetłumaczył to jako „bezbożna”, a facet nawijał tylko po arabsku, ale myślę, że kobieta po prostu nie nosiła na głowie chusty i pokazywała dużo ciała. No więc pokazałem mu zdjęcie Qatiba, a on odpowiedział: „Tak, to on. To ten facet, który mówił nam, gdzie kopać”. I to by się zgadzało, bo Qatib był archeologiem. Ale z drugiej strony, miałem tylko to jedno zdjęcie, równie dobrze facet mógł mnie więc robić w konia. - Dukas westchnął.

Popatrzył na Leslie i puścił do niej oko. Od jakiegoś czasu nie uprawiali seksu, bo lekarz uznał, że tak będzie lepiej dla dziecka. Perskie oko było swego rodzaju prywatnym dowcipem: tyle gadania i żadnego seksu. - Gdybym miał pięć różnych zdjęć, mógłbym urządzić rzetelne okazanie.

- Dostałeś to, za co zapłaciłeś - zauważyła.

- A, właśnie. Zapytałem go jeszcze, dlaczego do tego miejsca w rogu, nikt nie miał dostępu. A on gada i gada, i cały czas gestykuje. Staliśmy za taką wydumą, żeby nikt nas nie widział, bo facet bardzo się bał tego palestyńskiego gliniarza. W każdym razie, sedno sprawy jest takie... jeśli tylko dzieciak dobrze to przetłumaczył, bo kto wie... mężczyzna, którego zidentyfikował jako Qatiba, znalazł oddzielną budowlę, którą chciał zachować tylko dla siebie. Była na planie okręgu i spiczasta, a buldożer odłamał czubek. To wszystko, co facet o tym wie, z wyjątkiem tego, że Qatib, jeżeli to był Qatib, i bezbożna kobieta często przebywali w środku i wśród robotników plotkowało się, że coś wynoszą. Nie wiadomo, co tam znaleźli ani jak dużo wynieśli, ale musiało to być coś ważnego, bo przed najazdem Izraelczyków zjawili się trzech facetów z Hamasu i zaczęli bić Qatiba. Dlatego facet przypuszczał, że Qatib coś wyniósł, bo te wykopaliska prowadził Hamas, on miał więc być człowiekiem Hamasu, a ich okradał, sprawili mu więc niezłe manto. Potem nadjechali Izraelczycy i kilku z nich od razu poszło do tej spiczastej budowli, gdzie siedzieli Qatib i ci trzej z Hamasu, i wyciągnęli go, to znaczy Qatiba, na zewnątrz, a stary mówi, że był zakrwawiony od stóp do głów. Ale szedł o własnych siłach. Wyglądał, jakby przepuszczono go przez maszynkę do mielenia mięsa, ale jakoś się trzymał. I Izraelczycy z nim odjechali.

- To nie takie wspaniałe informacje.

- Cóż... i tak, i nie. Kiedy wróciłem do Tel Awiwu, zadzwoniłem do takiej fajnej babki i Uniwersytetu Michigan, którą wcześniej poznałem... uprawialiśmy archeologiczny seks przez telefon... i opisałem jej tę stożkową budowlę, a ona mówi: „Och, tolos”. Czyli jednoosobowy grobowiec jak na przykład w *Iliadzie*.

- Boże, grecki!

- Owszem, grecki.

- Tak jak mówił ci Triffler.

- Dokładnie tak jak Triffler powiedział mi po śledztwie w Atenach masz rację. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale rozmawiałem z nim wczoraj przez telefon przed odlotem i sprawa rzeczywiście wygląda intrygująco. Podobno w kręgach handlarzy i archeologów aż huczy od plotek o jakimś greckim znalezisku.

- W każdym razie, ten drobnutki Palestyńczyk siedzi skulony w rowie przy tolosie, a kilku izraelskich osiłków i jakiś waźniak... mój informator uważa, że to waźniak, bo rozdzierał rąki na prawo i lewo... wyciągnęli faceta, który mógł być Qatibem, z tolosa i też zaczęli go prac. Od razu, na miejscu. Potem zawlekli go do samochodu i odjechali.

- A co z bezbożną kobietą?

- Mój informator nie wie. Nie widział jej. W każdym razie facet siedział pod brezentem i modlił się tylko, żeby nie rozjechał go buldożer. Ale nic z tych rzeczy, późnym popołudniem ludzie wrócili do kopania, tylko że teraz to byli inni ludzie, a ten sam izraelski waźniak nimi komenderował. Mój informator odczekał więc, aż się ściemniło, a potem uciekł. Do tego czasu tamci zdążyli sprowadzić generator prądu, rozstawić reflektory i robota szła na całego.

- Co się stało z tolosem?

- Nie wie. Ludzie wchodzili do środka i coś wynosili, ale nie sądzi, żeby było tego dużo. Myślę, że tę część mógł zmyślić, bo wtedy siedział pod brezentem.

- Dałeś mu ten tysiąc?

- Uznałem, że nawet jeśli to nie jest prawda, to tysiąc należy mu się za tak sprawnie zmyśloną historię. Jeśli to była prawda, to jest warta znacznie więcej. - Dukas trzymał nogi Leslie na kolanach i masował jej łydki. - A sporo elementów układanki pasuje. Ta kobieta... nieodnaleziona przez policję właścicielka mieszkania, w którym byłem. Wątek grecki. Pobicie Qatiba, który z pewnością był mocno pokiereszowany, gdy Al widział zwłoki. Plotki o ważnym greckim znalezisku w ateńskich kręgach archeologów i handlarzy. I ten facet, który w rozmowie z Trifflerem wspomniał o jakiejś inskrypcji.

- Ale dlaczego martwego Qatiba przetrzymywali w izraelskiej bazie wojskowej w Jaffie? Dukas milczał. Pokiwał głową na boki, zamruczał przeciągle.

- Zaczniemy od Jaffy. Tam znaleziono zwłoki. To sugeruje, że jacyś mało rozgarnięci faceci zabili go na miejscu: przywieźli tam Qatiba tam żywego, a potem zmarł. A tamci chcieli sprawą zatuszować. Myślę, że zwinęli go z wykopalisk. I wiedzieli, kim był. - Dukas poprawił się na siedzeniu, wciąż trzymając na kolanach jej nogi. - Poszlaki są słabe, wiem. Ale pewien facet, którego poznałem w Bośni, Eshkol, pracuje w sekcji do walki z nielegalnym handlem antykami prowadzonym przez Autonomię Palestyńską. Eshkol mógł być nawet tym waźniakiem, który objął kierownictwo nad wykopaliskami. Myślę, że to byli jego ludzie, jego faceci od brudnej roboty. Usiłowali wyciągnąć od Qatiba informacje, mimo że znaleźli go ciężko pobitego przez tych z Hamasu. Chociaż nie jestem pewien, czy Eshkol sam zleciłby im tortury, które mogły się skończyć zgonem przesłuchiwanego. Facet ma resztki sumienia.

- I dlatego przyszedł się z tobą spotkać, bo gryzło go sumienie?

Jak na dwudziestojednolatkę z zaskakującą łatwością przyjmowała istnienie sumienia.

Dukas się zamyślił.

- Może tak. Odniosłem wrażenie... byłem zły jak diabli, kiedy jadłem z nim śniadanie, ale czułem... że jest jakoś rozdarty. Jakby ciągnęło go w różnych kierunkach. Z jednej strony kocha ojczyznę i jest Mossadowi wierny jak pies, ale z drugiej, nie podoba mu się, że robią rzeczy, które są złe. Jakby chciał mi pomóc, a jednocześnie nie chciał zdradzić.

- Daje ci więc pomocne wskazówki, ale także organizuje najazdy na wykopaliska i każe torturować Qatiba.

- Tego nie wiemy. Bez względu na to, w jaki sposób dowiedzieli się o wykopaliskach, poprzez informatora, ze zdjęć lotniczych, dzięki fartowi, kto wie? I tak dotarli tam za późno, by zabezpieczyć to, co znajdowało się w tolosie, bo o znaleziskach mówi się w Atenach i nie pochodzą one od Izraelczyków. Dlatego myślę, że ktoś, powiedzmy, że ta kobieta, wyostał się z tymi rzeczami za granicę i usiłuje je sprzedać, a przy okazji zrobił się wokół tego wielki szum. - Ścisnął jej udo i uniósł brwi. - Gdybym wiedział, gdzie są ta kobieta i zabytki, to prawie zrekompensowałoby mi to brak seksu.

Pochyliła się i go pocałowała.

- Może to ci jakoś zrekompensuje ten brak.

Przyłożył palec do jej warg.

- Nic nie dorównuje prawdziwemu seksowi. - Był staromodnym facetem. - Chociaż...

I wtedy zadzwonił telefon.

Dukas jęknął. Leslie wstała, żeby odebrać mimo jego protestów.

- Do ciebie - powiedziała.

- Dick?

Pokręciła głową. Zakryła słuchawkę.

- Nie znam tego głosu. Amerykanin. Facet.

Podala mu aparat.

- Dukas.

- Mike, tu Jerry.

Jerry? Nie znał żadnego Jerry'ego.

- Jaki Jerry?

Zupełnie jak w dowcipie: „Puk, puk! Kto tam?”

- Ostatnio dałem o sobie znać, wysyłając ci pocztówkę ze zdjęciem mustanga i baru.

A, ten Jerry. Słodki Jezu, Jerry Piat, pomyślał zdumiony. Pocztówka nadeszła, bez podpisu, chyba z Singapuru i widniało na niej tylko jedno zdanie: „Nie wiedziałem, że była twoją dziewczyna”. Ponieważ Piat spędził noc z kobietą z którą kiedyś spotykał się Dukas, a potem zabił ją ktoś, kto mylnie wziął ją za Piata. I ponieważ Piat był aresztowany przez SDK i uciekł, gdy dwaj agenci okazali się na tyle głupi, że puścili go na ulicy, nie zauważywszy, że ma ciało biegacza, którego nigdy nie uda im się dogonić.

Ten Jerry Piat. Dawniej agent CIA i przestępca, dziś specjalizujący się w antykach. Prawdopodobnie także zabójca łajdaka, który zasługiwał na śmierć, ale mimo wszystko było to zabójstwo i na dodatek dokonane na terenie obiektu CIA.

- Ach tak - powiedział Dukas z wyraźnym brakiem entuzjazmu w głosie.

- Potrzebuję przysługi.

- Już raz to przerabialiśmy. Wystawiłeś mnie do wiatru.

- Hej, zaraz, dostałeś to, czego chciałeś. Zresztą nie było w tym nic osobistego.

- O tak, i to zmienia postać rzeczy. Przepraszam, ale nie robię przysług facetom ściganym przez policję.

Zapadła krótka cisza. A potem Dukas usłyszał bardziej gniewny, ostrzejszy głos:

- Mam coś, na czym ci zależy.

No nie, to musiała być ściema. Nie było mowy, żeby Jerry Piat wiedział, na czym zależało Dukasowi.

- Gówno prawda.

- Nie spławiaj mnie, Dukas! Mam coś cholernie ważnego i tobie albo komuś, z kim możesz się skontaktować, bardzo na tym zależy. Dukas... to duża sprawa.

- Jak duża? - Znowu zaległa cisza. Linia telefoniczna nie była zabezpieczona, a Piat nie jest głupcem. Właściwie Dukasowi przypomniało się, że wbrew sobie nawet go lubił. - Dobra, powiedz mi.

- Nie mogę powiedzieć ci wiele, sam wiesz dlaczego. To rzecz, przedmiot. Powstał w tej samej kulturze, z której wywodzą się twoi przodkowie. Ale zarazem pochodzi z zaskakującego miejsca... z ojczyzny Samson. Czytujesz Biblię?

Dukas nie czytywał Biblii. Nawet jej nie miał. Ale przypomniał mu się cytat... nie, tytuł książki: *Niewidomy w Gazie*. Skąd mu się to przyplątało? Czy to książka o Samsonie?

- Masz na myśli miejsce, gdzie działo się mnóstwo biblijnych wydarzeń.

- Część z nich.

Grecy. Gaza. Do cholery! - myślał gorączkowo.

- Jakiego rodzaju to jest przedmiot?

- Cenny przedmiot. Bardzo cenny przedmiot. Ale jego prawdziwa wartość tkwi w inskrypcji, która się na nim znajduje, a która może podzielać na niektóre kraje basenu Morza Śródziemnego tak jak złote tablice na mormonów. Myśl o międzynarodowych reperkusjach, Mike.

Dukas dopiero co opowiadał Leslie o braku dowodów w sprawie, a Triffler mówił mu właśnie o inskrypcji i przewróceniu do góry nogami historii Izraela.

- Czy ten przedmiot to niedawne znalezisko?

Ton głosu Piat zmienił się, stał się podejrzliwy, a zarazem pobrzmiwał w nim podziw.

- Wiesz więcej, niż dajesz po sobie poznać.

- Czy ten przedmiot trafił do ciebie z kobietą?

Nastąpiła cisza, a potem Piat powiedział:

- Mogę zakończyć tę rozmowę w tej chwili. Jaja sobie robisz?

- Po prostu odpowiedz „tak” lub „nie”. Może jednak zrobię ci przysługę.

- Tak, jest kobieta. I co z tego?

- Gdzie jesteś?

Piat roześmiał się niezbyt przyjemnie.

- O, jasne! Stać cię na coś lepszego, przyjacielu.

- Ustalmy spotkanie, wtedy porozmawiamy o przysłudze. Nic więcej nie załatwię przez telefon.

Piat znów się zawahał, a potem mruknął: „cholera”. Nagle zaczął mówić głośniejszym głosem, jakby zbliżył słuchawkę do ust.

- Dobra. Dzień i godzina?

- To zależy. Jestem w Neapolu. Przecież wiesz.

- W poniedziałek. Uda ci się dotrzeć na miejsce do poniedziałku.

- Gdzie?

Piat milczał, prawdopodobnie tak jak Dukas - zastanawiał się, jak niebezpieczna jest otwarta linia telefoniczna. Sam pewnie dzwonił z automatu - ryzyko podsłuchu było niewielkie. Na pewno nie użył telefonu komórkowego. Tak więc problem sprowadzał się do telefonu Dukasa. Na pewno myślał teraz, że telefon Dukasa jest regularnie sprawdzany, ryzyko też więc jest małe. I najwyraźniej uznał, że warto spróbować.

- Na greckiej wyspie Lesbos jest miasto o nazwie Kalonis. Znajduje się mniej więcej pośrodku wyspy. W centrum miasta jest plac, rodzaj skweru. Po jednej stronie stoi coś w rodzaju altany. Po przeciwnej stronie jest wykopalisko przygotowane z myślą o turystach. Spotkamy się na terenie wykopaliska. Jest małe, zobaczysz mnie.

- Co, u licha?

- Hm, interesują się mną inni ludzie. Będę też potrzebował sygnału ostrzegawczego i awaryjnego spotkania.

A więc Piat ma kłopoty. Oczywiście, w przeciwnym razie po co by dzwonił? Na pozór Dukas był jedną z ostatnich osób, do których Jerry Piat mógłby się zwrócić, ale wybór wydawał się logiczny, skoro ktoś siedział Piatowi na ogonie.

- Sygnałem ostrzegawczym będzie bejsbolówka - ustawił Dukas. - Włożona na głowę, to znak, że miejsce jest spalone. Jeśli jeden z nas pojawi się w bejsbolówce, to znaczy, że ma ogon i odwołuje spotkanie. Gdzie spotkanie awaryjne?

Zaległo milczenie. Cisza w słuchawce trwała tak długo, że Dukas zapytał:

- Jerry?

- Tak, wciąż tu jestem. Zastanawiam się.

Kwestia zaufania. Nawet kiedy już do mnie zadzwonił, zastanawia się, na ile może mi zaufać, pomyślał Dukas.

- Pieprzyć to. Dobrze, słuchaj. Spotkanie awaryjne wieczorem na plaży przy klasztorze Ypsilou - powiedział Jerry. - Znajdziesz go. Jeśli będziesz musiał. Jest na mapach. Kup sobie jedną na lotnisku. - Zachichotał. - A później... przeniosę się w inne miejsce. Do Izmiru. W Turcji. Wiesz, gdzie jest Izmir?

- Byłem tam.

- Stary turecki fort, obok portu.

- Dobrze. Znajdę go, jeśli będę musiał. Czas? - spytał Dukas.

Znowu nastąpiła cisza.

- Dobra. Czternasta zero cztery dla pierwszego spotkania, pięciominutowe okienko. Dziewiąta wieczorem dla spotkania awaryjnego. Dwadzieścia cztery godziny później w Izmirze, a potem co dwadzieścia cztery godziny w Izmirze, póki się nie zejdziemy.

- Oby to było warte zachodu.

- Jest.

- Powiesz, o jaką przysługę ci chodzi? Dasz jakąś wskazówkę?

Piat się roześmiał.

- Pogadamy - powiedział i się rozłączył.

Dukas spojrział na Leslie. Słuchała jego rozmowy i marszczyła brwi, próbując się domyślić, o co chodzi.

- Co to było?

- Głos z przeszłości. Obawiam się, że usłyszę go również w przyszłości.

Odkładając słuchawkę, Piat czuł się lepiej. Trochę za dużo wypaplał, ale nie było najgorzej, biorąc pod uwagę okoliczności. Spełnił coś w rodzaju patriotycznego obowiązku i może nawet mu się to opłaci.

Saidzie znudziło się wydymanie ust i zaczęła się puszyć. Piat wyszedł z budki i usiadł obok niej na ławce po drugiej stronie ulicy.

- Kiedy dasz mi pieniądze? - zapytała.

- Kiedy tylko chcesz. Nawet teraz, jeśli nalegasz.

Odwróciła się i spojrzała na niego uważnie spod gęstych, ciemnych brwi.

- Nie zawsze robisz to, czego oczekuję.

- Chcesz dostać pieniądze teraz?

- Chcę pójść na zakupy. Ale wiem, że to głupie. - Uniosła ręce w obronnym geście, jakby uprzedzała jego reakcję. - Potrzebuję paru rzeczy. Więc... co teraz robimy?

Piat pomyślał o wszystkich swoich kruchych planach - spotkaniu z Dukasem, Androsem, kupcem z Południowej Karoliny. O sprzedaży pucharu. O sprzedaży Saidy.

- Teraz? Teraz czekamy. - Wziął ją za rękę i wstał z ławki. - Musimy zniknąć na parę dni.

Otworzyła szeroko oczy, ścisnęła jego dłoń i się uśmiechnęła.

Piatowi nie podobało się to, co sobie pomyślała. Mimo że miała rację.

Zaprowadził ją z powrotem do samochodu, lecz po drodze wstąpiła jeszcze do drogerii.

Piat oparł się pokusie kupienia papierosów. Znowu.

O piątej po południu byli znowu w trasie i najważszą drogą na wyspie jechali powoli pod górę ku szczytowi tutejszego Olimpu. Niech Rashid i jego kumple przeszukują sobie wyspę. Piat wątpił, by udało im się go znaleźć w ciągu dwóch dni. A potem... potem każdy ruch będzie niebezpieczny.

- Dokąd jedziemy? - spytała radośnie Saida.

Odgrywała teraz rolę pięknej asystentki.

- Do XII wieku - odparł enigmatycznie i dodał gazu przed zakrętem.

Gdy Piat zaparkował wóz u celu podróży, Shlomo Eshkol ze swoimi ludźmi wylądował na lotnisku w Mitylenie. Piat rozpoznałby mężczyzn, którzy wyszli Eshkolowi na spotkanie, i przeraziłby się, widząc nadciągające posiłki.

Ale nie było go tam i nic o nich nie wiedział. Zresztą i tak już się bał.

Neapol

Dante e Beatrice znajduje się przy Piazza Dante, z dala od największych turystycznych szlaków, ale jeszcze w mieście. Jest to od dawna restauracja dla okolicznych mieszkańców, a zarazem coś znacznie ważniejszego. Alan Craik chodził tam jako dziecko, gdy jego ojciec stacjonował w Neapolu, i lokal stał się częścią jego osobistego mitu - miejscem, gdzie mógł siedzieć jak dorosły, gdzie wypił pierwszy łyk wina i patrzył, jak rodzice starają odnieść się do siebie z szacunkiem i szukają zagubionej miłości. Ostatecznie ponieśli klęskę, ale nie w restauracji.

Rose zarezerwowała miejsca dla dziewięciu osób, ich stół zajmował środkową część sali. Alan już jako dorosły wiele razy odwiedzał lokal przy różnych okazjach i właściciele albo rzeczywiście go pamiętali, albo cudownie udawali. Kiedy zjawił się o szóstej, miał posępną minę i przygarbione plecy. Został powitany dosłownie z otwartymi ramionami, jego dzieci były podziwiane, a żonie prawiono komplementy. Dwie ciężarne kobiety przy jednym stole to powód do radości. Ponure przewidywania Carol Triffler, że ciemnoskórzy klienci nie będą mile widziani, okazały się niesłuszne: jeśli wzbudziło to jakąś reakcję, to została ona umiejętnie stłumiona.

Alan bez większego powodzenia usiłował nie zachowywać się jak ponurak i zamówił zestaw dań, który powinien pozostawić niezatarte wrażenia: mieszankę *antipasti*, później risotto z przegrzebkami, następnie *osso bucco* z botwiną w oliwie i czosnku, a potem *insalata italiana*. Na stole stały cztery butelki wina - dwie est! est! est! i dwie gattinara. Kolacja mogła być cudowna.

- Wyglądasz fatalnie - powiedział Dukas, próbując okazać w ten sposób współczucie.
- Nic mi nie jest.
- Kiedy się ostatnio wyspałeś?
- Nic mi nie jest, Mike.
- Czy ty w ogóle sypiasz? - Craik rzeczywiście wyglądał okropnie. Jakby się zestarzał i stracił energię do życia. - Co się dzieje, Al?
- Napijmy się wina.

- Ale powiedz mi, co się dzieje. - Dukas wstał i pociągnął Alana za ramię. - Musimy pójść do toalety - oznajmił głośno i wyprowadził go z sali.

Przystanęli w słabo oświetlonym kącie za lśniąca ścianą w kolorze karmelu obok toaletach.

- Jesteś niezłe podłamany - stwierdził współczująco.

Wtedy Alan opowiedział mu o Afganistanie, o starcu, który zmarł podczas tortur, o ceglanej wieży do wieszania ludzi. O kacie w amerykańskim mundurze, który odmówił podania nazwiska i stopnia.

- Tak - podsumował - jestem podłamany.

Dukas przygryzł wargę.

- Może powinieneś darować sobie tę imprezę i porządnie się wyspać.

- Zamęczyci staruszka na śmierć, Mike! Był tak przerażony, że serce mu wysiadło.

Przestraszyli go na śmierć. Tak wygląda nasza słynna wojna z terroryzmem?

- Po jedenastym września, Al, ludzie są...

- Ciągle ten jedenasty września, na litość Boską! Wiesz, co facet, który zabił tego staruszka, odpowiedział na moje argumenty, że torturując tego człowieka, łamią reguły? - zapytał gniewnie. „Reguły się zmieniły!” Nagle wszystko, co wbijano nam do głów, straciło ważność? Tortury są w porządku, do diabła z Konwencją Genewską, jeśli oni mogą to robić, to my też? - Skrzyżował ręce na piersi, jakby się obejmował. - Wiesz, że nie na tym polega zdobywanie informacji.

- Ludzie się boją.

- Gówno prawda.

- To wojna, Al.

- Gówno, nie wojna! Pchła ugryzła słonia, a słoń wypowiada wojnę i mówi, że reguły się zmieniły? - Wytknął Dukasa palcem. - Spójrz na Izraelczyków, oni toczą pieprzoną wojnę. Im dłużej walczą, tym jest gorzej i tym bardziej Palestyńczycy ich nienawidzą. Chcesz, żebyśmy stali się tacy sami? - Wcisnął ręce do kieszeni. - Afganistan, zgoda. Mieliśmy rację, że tam weszliśmy, tylko że nie uderzyliśmy dość mocno. Powinniśmy zetrzeć sukinsynów w proch i się wycofać. Wiesz, że teraz ludzie gadają, że wkroczymy do Iraku? Po jaką cholere? Żeby wojna trwała wiecznie?

- Rzucił Dukasowi spojrzenie, twarz wykrzywił mu gniewny, niemal opętańczy grymas. - „Reguły się zmieniły”. Ale nie dla tego marynarza!

- Zamierzasz się wycofać?

- Nie wiem, co zrobić! Ja nie...

Zakrył prawą dłonią oczy. Oparł się o ścianę, próbując zapanować nad nierównym, urywanym oddechem.

- Prowadziliśmy zimną wojnę, a stawką... - Zrobił pauzę, wziął głęboki wdech, i Stawką było życie na całej planecie. Zima jądrowa. - Popatrzył na Dukasa... Wy tłumacz mi, do cholery, dlaczego reguły zmieniły się po jedenastym września? Jaka teraz jest stawka?

Dukas pozwolił mu się jeszcze pożalić, a potem powiedział:

- Chodź, odwiozę cię do domu. Będziesz się mógł wreszcie wyspać.

- Nie! - Craik wyprężył się i odsunął od ściany. - Zaplanowałem tę kolację. Nie zrezygnuję z niej. Zależy mi na tym, żeby żyć... żyć...

- Normalnie?

Craik potoczył wzrokiem po ciasnym pomieszczeniu.

- Normalnie - powtórzył, jakby nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa. - Normalnie. - Z trudem wziął się w garść, a potem uśmiechnął się i położył Dukasowi dłoń na ramieniu. - Tak, bądźmy normalni.

Roześmiał się trochę sztucznie.

Przy stole jedli, pili i żartowali, śmiech Craika brzmiał trochę maniakalnie. Nawet kilkunastoletnia córka Trifflerów przyłączyła się do biesiady, zachęcona może nie tyle smakowitością potraw, ile radosnym nastrojem. Dukas i Rose paplali o jedzeniu i gotowaniu i w pewnym momencie poszli do kuchni, żeby zobaczyć, jak przygotowuje się którąś z potraw. Triffler, wciąż pod wrażeniem podróży do Aten, opowiadał o *Iliadzie*, a potem o filmowych herosach. Carol Triffler i Leslie rozmawiały o dzieciach, Bushu, znowu o dzieciach, o jedenastym września, i znowu o dzieciach i pieniądzach.

Wszystko dobrze się układało aż do siódmej trzynastie. Wtedy pojawił się kelner w towarzystwie mężczyzny, którego większość z nich nie znała. Mężczyzna skinął w stronę Mike'a Dukasa. Kelner zbliżył się i szepnął coś Dukasowi do ucha. Dukas odwrócił się, spojrzał na nowo przybyłego, i wciąż przeżuując ostatni kęs, rzucił serwetkę na stół, a potem przeprosił towarzystwo.

Rose popatrzyła na Alana, który wzruszył ramionami i pokręcił głową. Leslie miała ponurą minę, ale uśmiechnęła się cierpko i powiedziała:

- Prawdopodobnie któraś z dziewczyn Mike'a.

Wiedziała, że mąż w poniedziałek wyjeżdża - wiedziała nawet, że na grecką wyspę o nazwie Lesbos - ale nic o tym nie mówiła. Jeśli w ogóle o czymś wtedy myślała, to raczej o tym, że facet o imieniu Jerry znowu zadzwonił.

Podjęli rozmowy i wrócili do jedzenia, ale gdy po pięciu minutach Dukasa wciąż nie było, radosne pogawędki zaczęły się rwać i zalegały chwile niezręcznej ciszy. Triffler starał się ożywić nastrój i opowiadał właśnie dowcip, który niedawno usłyszał, gdy zbliżył się do niego kelner. Z drugiego końca stołu Alan widział, jak kelner szepnął coś Trifflerowi do ucha, a Triffler złożył serwetkę, położył ją obok talerza i zażartował:

- Puenta za parę minut.

A potem odszedł razem z kelnerem.

- Kiedy wzywają twojego męża, to jest w porządku - powiedziała Carol Triffler. - Ale kiedy wzywają mojego, zaczynam się martwić.

- Dokąd tata poszedł? - spytała nastolatka.

- Gdybym wiedziała, tobym się nie martwiła. A może jednak. - Odwróciła się i spojrzała tam; gdzie zniknęli obaj mężczyźni. - Takie jest życie w marynarce - mruknęła Rose. Puściła oko do Leslie. - Założę się, że jakaś sprawa SDK.

Znów zaczęli rozmawiać, choć starszy syn Craików, Mike, nie poprawił im nastroju, gdy zapytał, dokąd wszyscy wychodzą. Lubił zarówno Dukasa, jak i Trifflera i siedział właśnie między nimi, dlatego teraz został sam, oddzielony od reszty dwoma pustymi krzesłami.

- Zaraz wrócą - zapewnił Alan. - Jedz swoją botwinę.

W tym momencie kelner zjawił się znowu i szepnął coś Alanowi do ucha. Alan osłupiał, a potem na jego twarzy odmalowała się panika. Rzucił serwetkę na stół, zrobił do żony minę, jakby pytał: „Jak ja przez to wszystko przebrnę?” A potem wyszedł.

Przy stole zostały trzy kobiety, kilkunastoletnia dziewczyna i dwoje dzieci. Najmłodsze zaczęło się mazgać. Mike Craik oświadczył, że nie lubi botwiny. Leslie zakręciły się łyż w oczach.

Rose poklepała ją po dłoni.

- Musisz się po prostu przyzwyczaić - poradziła. - Musisz się nauczyć cieszyć życiem bez nich. - Wzięła kieliszek. - Wypijmy za coś!

W niszy przy wejściu do restauracji stali Dukas i Triffler w towarzystwie Amerykanina, który okazał się oficerem dyżurnym SDK. Wszyscy mieli ponure miny. Alan dołączył do nich, popatrzył na każdego po kolei i zorientował się, że Triffler i dyżurny czekają, aż Dukas zacznie mówić. Dukas spojrzał na niego i ważąc słowa jak lekarz informujący rodzinę o niepowodzeniu operacji ich bliskiego, oznajmił:

- Abe Peretz został postrzelony. Nie wiadomo, czy z tego wyjdzie.

Alan nic nie rozumiał.

- W Tel Awiwie?

- W Kairze. Pojechał na spotkanie w sprawie mojego śledztwa, bo mnie nie chcieli puścić.

- Na spotkanie? Z kim?

- Z przedstawicielem Autonomii.

Alan się skrzywił. Dukas wyjaśnił na swoją obronę:

- Wszystko było przygotowane. Mieliśmy ekipę wywiadowczo-rozpoznawczą, zabezpieczone miejsce spotkania. Nikt nie wie, co się naprawdę stało, ale wygląda na to, że snajper zajął pozycję, zanim ktokolwiek tam dotarł. Trafił ich oboje.

- Chryste.

- Dick leci do Kairu. - Triffler był niezadowolony, ale pokiwał głową. - Ja muszę wrócić do Tel Awiwu. - Dukas spojrział na Alana z troską w oczach. Abe Peretz był ich wspólnym przyjacielem. - Plan operacyjny znaleźliśmy tylko ja Abe i szefowa ekspozytury CIA. Albo zatem Palestyńczycy sami zorganizowali zamach, albo... - Zrobił posępną minę. - Mamy przeciek.

- Możliwe, że stali za tym Egipcjanie - powiedział Triffler. Mruknął na stronie do Alana:

- To oni zorganizowali rozpoznanie.

- Dlatego lecisz do Kairu. Znasz kairskich gliniarzy, pracowałeś tam.

- Znam jednego kairskiego gliniarza - uściślił. - Ale tak, panie Dukas, lecę do Kairu.

Dukas zwrócił się do Alana.

- Powinienem się spotkać w poniedziałek z pewnym facetem. Na greckiej wyspie. Teraz się nie wyrobię. - Zawahał się. Spojrział Craikowi w twarz, w jego niespokojne oczy. - Możesz mnie zastąpić?

- Dlaczego? - zapytał takim tonem, jakby naprawdę chciał powiedzieć: „Właśnie wróciłem z piekła, jestem na przepustce i zasłużyłem na nią bo dostaję świra”.

- Ponieważ facet jest ścigany i podejrzliwy jak cholera, musi więc to być ktoś, kogo on zna z widzenia. A ciebie zna. - Dukas nie próbował się nawet uśmiechnąć. - Pewnie go pamiętasz. Parę lat temu usiłował cię zastrzelić w Dżakarcie.

Po chwili Alan sobie przypomniał.

- Ten facet.

Rzeczywiście ktoś próbował go zastrzelić w Dżakarcie.

- Tak, ten. - Dukas patrzył na niego błagalnie.

- Nigdy go nie widziałem, Mike.

- Ale on widział ciebie. I miał możliwość dobrze ci się przyjrzeć. Przez pół godziny miał cię na celowniku. Na pewno cię zapamiętał.

- Ale ja...

Craik wzruszył ramionami, zmarszczył brwi.

Dukas myślał jednak teraz przede wszystkim o Abie Peretzu i powrocie do Tel Awiwu i nie zamierzał przyjmować odmowy bez względu na to, jak Al Craik był z maltretowany. To było jego śledztwo, czuł się odpowiedzialny. Doszło do przecieku, jego przyjaciel został postrzelony podczas wykonywania zadania na jego prośbę i Dukas nie zamierzał przyjmować tego ze spokojem. Spojrzał na oficera dyżurnego.

- Komandor Craik ma rezerwową odznakę SDK. Trzeba ją jak najszybciej aktywować.

- Wprowadzisz mnie w szczegóły? - spytał Alan.

Dukas popatrzył na zegarek. Było za późno, by udało mu się polecieć do Tel Awiwu jeszcze tego wieczoru.

- Obu wam zrobię odprawę. - Westchnął. - Powiedźcie o tym żonom dopiero w domu, dobra? Nie chcę zostać zlinczowany we włoskiej restauracji.

Tego dnia Izraelczycy, przy użyciu czołgów, urządzili najazd w pobliżu Betlejem, raniąc czterech Palestyńczyków.

Część III

18.

Tel Awiw

W niedzielę rano Spinnera obudził telefon. Miał męczącą noc: dręczyły go koszmary, niejasne obawy, rozszalała wyobraźnia. Chyba po raz pierwszy w życiu przekonał się, co znaczy zwątpienie we własne siły. Teraz dzwonek telefonu wyrwał go z niespokojnej drzemki i ocalił przed snem o porażce, o którym natychmiast zapomniał.

- Tak?

Miał zachrypnięty głos.

- Dzień dobry, panie Spinner. Przepraszam, że nachodzę pana tak wcześnie, ale... jestem przyjacielem przyjaciół, z którymi spędził pan ostatnie dni. Nazywam się Asher Rabin, nie poznaliśmy się, ale słyszałem o pani wiele dobrego. Czy moglibyśmy się spotkać?

„Przyjaciół przyjaciół”. Czyli albo Habakuka, albo Mossadu. W tej akurat chwili nie chciał mieć do czynienia ani z jednymi, ani z drugimi. Usiłował się otrząsnąć z resztek złego snu, które ciążyły mu jak wyrzut sumienia.

- Spotkać się? Kiedy? - zapytał.

- Teraz, jeśli pan może. Mam panu do powiedzenia coś ważnego.

- Właśnie dopiero się obudziłem, nie jestem...

- Przepraszam, że zrywam pana z łóżka. Ale to naprawdę bardzo ważne.

Spinner zgodził się zejść do recepcji tak szybko, jak będzie mógł, ale nie spieszył się: wziął długi prysznic i ogolił się bez pośpiechu. Czuł się chory, choć właściwie nie miał tego stanu z czym porównać, bo zawsze był okazem zdrowia. Ubrał się niedbale, odwrócony plecami do lustra. Zwykle lubił podziwiać swoją szczupłą sylwetkę i mięśnie wyrobione od podnoszenia ciężarów. Teraz po prostu włożył na siebie żółtą koszulkę polo i drelichowe spodnie i zszedł na parter.

Asher Rabin okazał się szczupłym, dość młodym facetem, miał okulary w czarnych oprawkach, w stylu lat pięćdziesiątych. Sprawiał wrażenie zbyt chuderlawego i wyształconego jak na agenta Mossadu, więc musiał być przyjacielem Habakuka, ale uściśnął

Spinnerowi rękę i powiedział, że przyszedł na osobiste polecenie dyrektora. A więc Mossad. Miał suchą chłodną dłoń, mówił amerykańską angielszczyzną prawie bez obcego akcentu.

- Kawa - zagaił. - Obaj potrzebujemy kawy, mam rację, Ray? Mogę się do pana tak zwracać? Nie w hotelu, tutejsza kawa jest paskudna.

Wyprowadził Spinnera na ulicę i po krótkim spacerze znaleźli się na tyłach Audytorium Manna, gdzie weszli do kawiarni o nazwie En Avant, bardzo wyraźnie wzorowanej na francuskim bistro.

- Kawa po francusku - powiedział Asher. - Mam nadzieję, że lubisz. Ja piję ją hektolitrami. Ale jeśli ci nie odpowiada, mają też *americano*, *machiato*, co tylko chcesz. Pijesz soki? Mają tu ze świeżych owoców... z pomarańczy, papai... Ja zamówię, poczekaj...

Odgrywał rolę gospodarza. Spinner był mu wdzięczny. Mruknął, że napije się *americano*, klapnął na krzesło przy stoliku na chodniku i spojrzał w głąb ulicy. Dzień był pochmurny, ale ciepły, a barwy dziwnie jaskrawe mimo braku słońca. W niedzielę w Tel Awiwie tętniło życie, po szabasie czuło się zastrzyk energii. Obok przemaszerowały trzy zjawiskowe dziewczyny, jedna zlustrowała go wzrokiem, powiedziała coś i wszystkie się obejrzały. Spinner poczuł się lepiej. Przynajmniej one uważały, że jest w porządku.

- Kawka! - oznajmił Asher Rabin.

Postawił dwie duże filiżanki, dwie szklanki soku z papai oraz talerz croissantów i bułeczek maślanych. Naczynia były ciężkie i białe, prawdopodobnie z autentycznego bistro. Wypieki wyglądały apetycznie. Asher zaproponował masło, dżem i miód, lecz Spinner pokręcił tylko głową i wypił jedną trzecią kawy, czekając, aż doda mu energii. Westchnął.

- Przyszedłem tak wcześnie - powiedział Asher - ponieważ, przykro mi to mówić, ale mam niezbyt dobre wiadomości.

Spinner, z croissantem przy ustach, podniósł wzrok. Zreflektował się, uznawszy reakcję za nadmierną i ugryzł rogalik.

- Nie chodzi o ciebie! - pośpieszył z zapewnieniem Asher. - Między nami wszystko jest w najlepszym porządku. Traktujemy cię jak cennego przyjaciela, nic się pod tym względem nie zmieniło... właśnie dlatego tu jestem. Nie chcieliśmy, żebyś usłyszał to najpierw od kogoś innego. - Zamieszał kawę i wziął bułeczkę. - Chodzi o to spotkanie w Kairze, o którym cię powiadomiliśmy. O które pytaliśmy. Wiesz. - Rozerwał bułeczkę na pół. Spinner poczuł w nozdrzach jej zapach. - Niestety, nie poszło najlepiej.

Spinner, przeżuując i usiłując przełknąć zbyt duży kęs croissanta, poczuł ciarki na grzbiecie.

- Co to znaczy?

- Poinformowaliśmy cię, że chcemy podjąć pewne działania. Zaaprobowałeś ten pomysł. Choć oczywiście nie wyszedł od ciebie i nie ponosisz, broń Boże, żadnej odpowiedzialności! Nie, nie, Ray, wierz mi, że całą odpowiedzialność bierzemy na siebie! My tylko przedstawiliśmy ci sytuację, a ty się zgodziłeś.

- Zgodziłem się na wysłanie Dukasowi ostrzeżenia. - Przypomnił sobie, jakie czuł opory. - Nie wyraziłem żadnej zgody! Nie jestem do tego upoważniony.

Asher przełamał kawałek bułki, który trzymał. Nie zjadł jeszcze ani kęsa.

- Przykro mi to mówić, ale Amerykanin został ranny.

- Dukas?

Asher pokręcił głową, ale nie wyjaśnił.

- Te rzeczy zawsze są ryzykowne. Mamy bardzo określone reguły w tych sprawach i musisz mi wierzyć, że były przestrzegane. Snajperka dokładnie wiedziała, kto jest jej celem i w jakiej minimalnej odległości oraz pod jakim kątem powinien stać Amerykanin, by mogła oddać strzał. Niestety, pocisk bardzo niefortunnie zmienił tor lotu po uderzeniu w ciało Palestynki.

Spinner odłożył jedzenie.

- Jak bardzo źle to wygląda?

- Kobieta, którą mieliśmy zabić, nie żyje. Amerykanin jest w szpitalu i leży na intensywnej terapii.

Spinner zamknął oczy. Zrobiło mu się niedobrze.

- Ale to nie był Dukas?

- Inny Amerykanin, z ambasady. Słuchaj, Ray, to nie twoja wina. Nie przejmuj się, dobrze? Strasznie nam przykro, że Amerykanin został ranny. Powzięliśmy wszystkie środki ostrożności... kierujemy się tymi samymi wytycznymi co wojsko Stanów Zjednoczonych... ale pociski zachowują się nieprzewidywalnie, gdy uderzają w kość. Poza tym Palestynka miała kamizelkę, podejrzewamy, że z płytkami. Może jedna z płytek zmieniła tor lotu kuli. Zrobilibyśmy wszystko, żeby cofnąć to, co się stało, Ray! Uwierz mi! - Spojrzał Spinnerowi w oczy. - Wierzysz mi, Ray, prawda?

Spinner zwymiotował. Tak od razu, na stół.

W Mitylena Eshkol z zespołem Mossadu spędził noc w skromnym hoteliku nad brzegiem morza. Żaden z nich nie spał zbyt wiele. Stawka była teraz wysoka, a do pilnej konieczności znalezienia dziewczyny i pucharu Eshkol dodał inną, na którą nie chciał zwracać uwagi Tar-Salomanowi - konieczność wzięcia w karby czterech mężczyzn z Działu Eksploracji Morskiej.

Teraz siedział w samej bieliźnie, z głową schyloną nad laptopem, przeglądając tajną korespondencję, którą właśnie ściągnął z Internetu, i starał się zrozumieć operacje i dochodzenie związane ze śmiercią Salema Qatiba - te, które od niej doprowadziły, i te, które były jej konsekwencją.

Energiczne pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia.

- Shlomo?

Do pokoju zajrzał Viseman.

Eshkol machnął ręką żeby wszedł.

- Nawet nie jestem jeszcze ubrany - mruknął.

Viseman nie krył zadowolenia.

- Trafiłem na transakcję karty kredytowej tej dziewczyny - oświadczył z triumfem.

- I?

- Wczoraj w południe wypożyczyła czerwone renault L5 z oddziału Avis w Molivos.

Eshkol jedną ręką wkładał już spodnie, a drugą wystukiwał numer w komórce. Podniósł wzrok na Visemana.

- Dobra robota. Idź po płaszcz.

Tel Awiw

Dukas przyleciał do Tel Awiwu wkrótce po południu i pojechał prosto do ambasady, łąsząc ze sobą własne urządzenie STU z neapolitańskiego biura, żeby móc prowadzić bezpieczne rozmowy telefoniczne bez konieczności błagania o udostępnienie aparatu. Atmosfera w ambasadzie zdawała się naelektryzowana, może z powodu postrzelenia Abe'a Peretza po budynku kręciło się więcej ludzi, niż zwykle w niedzielę. Odnosił również wrażenie pewnej oziębłości. Osoby, które poprzednio mu się kłaniały na korytarzach, teraz oglądały się za siebie z minami, które nie były już przyjazne, lecz raczej podejrzliwe, niepewne, a nawet wrogie. Prawdopodobnie wszyscy wiedzieli już, że Peretz został

postrzelony zamiast niego, może go więc obwiniali. Była to również mentalność obłąkanej twierdzy: nie należał do ich grona.

Dukas nie zdążył nawet usiąść: na biurku leżały cztery świstki z wiadomością, że dzwonił „Pan Spinner”, a także kartka A4 z napisaną markerem instrukcją: „Przyjdź do mojego gabinetu, od razu!” i nazwiskiem szefowej ekspozytury CIA. Ona zatem też była w pracy. Może zawahałby się, czy spełnić polecenie, ale w drzwiach pojawił się jasnooki nieuśmiechnięty facet, który powtórzył, że szefowa chce się z nim natychmiast widzieć.

- Żałuję, że wróciłeś - powiedziała. Była zmęczona, jakby się postarzała. - O mały włos nie cofnęłam ci pozwolenia.

- Przykro mi z powodu Abe'a Peretza. Dlatego wróciłem.

- Cóż, wszystkim nam tutaj jest „przykro”. Słuchaj, nawet cię lubię, byleś wobec mnie szczerzy i masz tu robotę do wykonania. Ale to akurat jest nasza działka. Peretz jest dyplomatą. To nie jest sprawa Marynarki Wojennej, Mike, tylko moja i Biura.

- Peretz też służył w marynarce.

- Jeśli dorzucisz do tego jeszcze ćwierć dolca, możesz dostać cygaro. Słuchaj uważnie! Amerykański dyplomata. Duma Stanów Zjednoczonych. Międzynarodowy incydent. Nie wtrącaj się, dobrze?

Zapytał, czy powiadomiono żonę Peretza. Okazało się, że tak, ale nie zamierzała lecieć do Kairu, żeby przy nim być. Dukas zmarszczył brwi, westchnął, zdjął z nogawki jakiś pyłek. Podniósł na nią wzrok.

- Abe jest moim przyjacielem.

- Jeszcze ćwierć dolca i miałbyś następne cygaro. Przykro mi, że muszę być tak bezwzględna, ale sprawa dotyczy czegoś znacznie większego niż przyjaźń. W zależności od tego, kto strzelał, musimy zrewidować nasze stanowisko wobec Izraela albo Autonomii Palestyńskiej? Przykro mi, Mike, naprawdę przykro... ale musisz się wycofać.

- Wciąż prowadzę dochodzenie w sprawie Salema Qatiba.

- Myślę, że może już niedługo.

- Co? Będę ci przeszkadzać samą swoją obecnością?

Przesunęła parę rzeczy na biurku. Potarła czoło.

- Wysłaliśmy Peretza, bo go zaproponowałeś. To było twoje spotkanie.

Dukas nie wytoczył oczywistych zastrzeżeń, że przecież sama zaakceptowała operację, to CIA ją przygotowało, a on nie miał tu nic do powiedzenia.

- Chodzi ci o to, że ludzie mnie obwiniają. Ci z Biura? Też bym tak reagował na ich miejscu. Nie będę rzucać się w oczy, dobrze?

Podpierała teraz głowę ręką, z palcami na skroni i kciukiem na policzku

- Dlaczego w ogóle wróciłeś?

- Peretz brał udział w śledztwie w sprawie Qatiba. A ja za nią odpowiadam.

Też jest zmęczona, pomyślał. Ciężka robota.

- Trzymaj się z dala od linii ognia - powiedziała. - Jak się wychylisz to oberwiesz. -

Uniosła oczy znad biurka. - Izraelczycy przebakują o wydaleniu cię z kraju.

- Dlaczego?

- Przypuszczam, że wiedzą że to ty stoisz za Peretzem. Twierdzą że „zakłócasz spokój”. -

Uśmiechnęła się z zalem. - Dużo bym dała, żebyś dla mnie pracował, Mike. Ale tak nie jest, a my zwieramy szyki.

- Mam więc „nie wściubiać nosa”, jak się kiedyś mawiało.

Jak się mawiało.

Wrócił do tymczasowego gabinetu, spojrzął na wiadomości o telefonach od Spinnera i zaczął się zastanawiać, o co facetowi może, do cholery, chodzić. Było dziwne, że ktoś taki jak on dzwoni w niedzielę z Waszyngtonu. Popatrzył na godziny telefonów: zaczęły się o drugiej trzydzieści W nocy, czasu waszyngtońskiego, a ostatni miał miejsce pół godziny temu wciąż była dopiero szósta trzydzieści w Dystrykcie Kolumbii. Cóż, Spinner to tylko zwykły szaraczek. Do diabła z nim.

Dukas siedział za biurkiem, zastanawiając się, co powiedzieć Bei Peretz. Nienawidził takich telefonów. Ale trzeba to było załatwić. Zagryzł więc zęby i wykręcił numer Peretzów. Czekał i czekał. Potem, gdy był już gotów odłożyć słuchawkę, ktoś odebrał i Dukas usłyszał nieznany mu kobiecy głos:

- Szalom, dom Peretzów.

- Jestem ich przyjacielem. Mogę rozmawiać z panią Peretz?

Przykro mi, ale nie chce z nikim rozmawiać. Pańska godność?

Przedstawił się i spytał, z kim ma przyjemność. Po zadziwiająco długiej chwili wahania kobieta powiedziała:

- Jestem sąsiadką. Nazywam się Esther.

Dukasowi przypomniała się kolacja u Peretzów i to, co mówił o Esther Abe.

- Tak, pamiętam - odparł.

Zabrzmiało to jakoś głupio. Ale Abe uważał, że właśnie przez Esther psuło się ich małżeństwo.

- Proszę spróbować zadzwonić we wtorek. Może wtedy... jeśli wiadomości będą dobre.

- Jeśli Bea potrzebuje pomocy... czegokolwiek, co mógłbym zrobić... myślałem, że wybiera się do Kairu...

- Na razie nic nie wiadomo. Przekażę jej, że pan dzwonił, panie... Dukas.

Siedział z głuchą słuchawką przy uchu i marszczył brwi. Był zły na Beę, że nie poleciała do Kairu. Ale po co? Nie ma nic głupszego niż bezsensowne przesiadywanie w szpitalu. A Bea musiała myśleć także o dwóch córkach. Mimo to... był zły.

Kair

Gdy tylko Dick Triffler wysiadł z samolotu linii Neapol-Kair i postawił stopę na korytarzu, został odciągnięty na bok i trafił w objęcia drobnego, podekscytowanego Egipcjanina. Triffler poznał sierżanta policji al Fawziego al Mubaraka, gdy pracował nad inną sprawą - zawsze dobrze się dogadywali, ale nie aż tak, jak sugerowałyby uściski. Mimo to znajomość z miejscowym gliną przekonany, że są najlepszymi kumplami, miała swoje zalety.

- Przyjacielu! - wykrzyknął al Fawzi. - Przyjacielu! - Triffler, mimo że był znacznie wyższy, obawiał się, że zostanie wycalowany, jednak al Fawzi przycisnął tylko podbródek po kolei do jego obojczyków: gest przypominał trochę ten, jaki francuscy generałowie wykonują podczas przypinania orderów. - Mój drogi przyjacielu!

- Cieszę się, że cię widzę.

Dla Trifflera wylewnym gestem przyjaźni był raczej mocny uścisk dłoni. Zresztą tak wczesnie rano nie potrafił wykrzesać z siebie entuzjazmu. Dał się poprowadzić przez korytarz, a potem zewnętrznymi schodkami na płytę lotniska, gdzie w cieniu samolotu stał czarny samochód. Al Fawzi zaczął wymachiwać rękami na dwóch innych facetów, również gliniarzy, którzy prawdopodobnie też jakoś się nazywali, ale Triffler nie zrozumiał jak, o co zresztą chyba nikt nie miał do niego pretensji. Jeden z Egipcjan wsiadł za kierownicę, drugi obok niego, a al Fawzi otworzył Trifflerowi tylne drzwiczki.

- Masz bagaże? - spytał al Fawzi.

Triffler poklepał torbę na ramieniu.

- Tylko to. Nie lubię taszczyć ciężkich tobołów.

Właściwie torba nie była wcale lekka (Triffler zawsze dobrze się ubierał), a w drugiej ręce trzymał laptopa.

Al Fawzi krzyknął coś po arabsku i obaj gliniarze wyskoczyli z wozu, jakby znaleźli węża na przednim siedzeniu. Jeden otworzył bagażnik, a drugi zabrał Trifflerowi bagaż, jakby miał zamiar z nim uciec.

- Takich ludzi teraz dostaję - westchnął Al Fawzi. - Ignorantów. - Krzyknął na nich i obaj zrobili zawstydzone miny.

- Wsiadaj, wsiadaj, przyjacielu. - Usadowili się na tylnej kanapie, samochód ruszył z piskiem opon, Al Fawzi wrzasnął i wóz zatrzymał się gwałtownie. Al Fawzi znowu ryknął i samochód ruszył mniej więcej w tempie raczkującego dziecka. - Myślą, że to tor wyścigowy, a nie lotnisko.

Zapytał, czy Triffler coś jadł, czy chce się wyspać, wziąć kąpiel a może miętówkę?

- Opowiedz mi, co się stało - poprosił Triffler.

Nie chciał przebywać w Kairze dłużej, niż to konieczne.

- Paskudna sprawa. - Al Fawzi skrzywił się, nastroszywszy wąsy. - Wszystkim zajmuje się wasza ambasada. Komisarz kazał mi się nie wtrącać. W mojej własnej specjalizacji, w sprawie zabójstwa!

Przez chwilę Triffler myślał, że „zabójstwo” oznacza, że Peretz zmarł. Dopiero potem uświadomił sobie, że Egipcjanin ma na myśli ofiarę po stronie palestyńskiej. Triffler wiedział już, że była to kobieta, a nie największy ważniak, Poborca Podatkowy, na którego liczył Dukas.

- Byliście na miejscu pierwsi? - spytał.

- Oczywiście, trzy radiowozy w ciągu dwóch minut. Wrzawa! To centrum handlowe, późnym popołudniem, dzikie tłumy, mnóstwo ludzi robi zakupy, a ta Palestynka eksplodowała jak fontanna na pustyni, wszędzie krew. Potem wasz człowiek pada na ziemię, też krwawi. Ludzie myślą, że może bomba, ale nie ma wybuchu. Oczywiście bzdura: dwoje ludzi, a oni myślą, że bomba? Histerycy. Potem ktoś zadzwonił i w dwie minuty przyjechały trzy radiowozy, ale moi ludzie nie mogą się dostać do ciał, bo na miejscu są już agenci służby bezpieczeństwa, którzy biegają dookoła jak kurczaki z odrąbanymi łbami. Z bronią, z komórkami przy uszach i nic tylko krzyczą. Jeden wielki chaos, przyjacielu.

- Wiesz, co się tam działo?

Al Fawzi znów się skrzywił.

- Teraz wiem. Aż do północy nie wiedziałem kompletnie nic, dopiero wtedy wprowadzono mnie w sprawę, co zresztą było śmiechu warte. Bez urazy, przyjacielu, ale usłyszałem, że twój kraj zorganizował spotkanie z Autonomią Palestyńską w moim kraju i skończyło się rozlewem krwi. Czy poinformowano mnie o tym zawczasu? Nie. Czy

poinformowano mojego komisarza? Nie. A kogo poinformowano? Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Dlaczego, z szacunku dla suwerenności Egiptu? Nie. Dlatego, że wasz człowiek potrzebował ochrony ze strony egipskiej służby bezpieczeństwa. Czy policję wprowadzono w sprawę? Nie. - Potrząsnął głową. - Jadę do centrum handlowego, ci ze służby bezpieczeństwa wyglądają, jakby powariowali, rozkazałem więc rozstawić policyjne barierki i wezwać pomoc medyczną. Karetki przyjechały tuż po mnie. Chaos, przyjacielu. Potem dowiaduję się, że sześciu agentów bezpieczeństwa Autonomii Palestyńskiej też biega dookoła: szukają sprawcy. Tymczasem sprawca był już wiele kilometrów dalej i wracał do Izraela.

- Snajper był z Izraela?

Al Fawzi roześmiał się bez cienia humoru.

- Zapanowanie nad sytuacją trwało godzinę. Mnóstwo czasu, żeby sprawcy mogli uciec. Po pierwsze, tym ze służb bezpieczeństwa pomyliły się ciała... Palestynka z Amerykaninem... i przez pierwsze pół godziny, z dwóch różnych szpitali, dostaję raporty, że Amerykanka nie żyje. Gdyby była facetem, wciąż nie mielibyśmy pewność, kto jest kto.

Do tego czasu byli już daleko poza lotniskiem i jechali w kierunku Kaim. Al Fawzi zapytał:

- Chcesz zobaczyć miejsce przestępstwa teraz?

- Na razie opowiadaj.

- Snajper był w wieżowcu, osiemset pięćdziesiąt metrów dalej. Na wprost, ma się rozumieć. Miał widok z góry, pod kątem, ale tak, że widział dziedziniec. Właściwie strzał byłby niemożliwy, gdyby tego ranka wokół pawilonu restauracyjnego nie porozstawiano krzeseł i stołów. Wasi zamierzali się spotkać w miejscu, gdzie... dach dawał schronienie.

- Pod samym murem. A tak musieli się spotkać pośrodku dziedzińca?

- Dalej od muru, tak. W każdym razie, nikt na miejscu nie usłyszał huku wystrzału. W końcu to Kair, hałaśliwe miasto. Skutery, samochody, autobusy. I jeszcze samoloty nad głową. Jeden wystrzał osiemset metrów dalej, kto by usłyszał? - Gestykując pokazał, jak to wyglądało. - Tutaj jest pawilon, tu Palestynka. A tutaj, trzy metry dalej, twój Amerykanin. Strzał padł z tej strony... i trafił Palestynkę w okolice lewej łopatki, dość wysoko. Miała na sobie kamizelkę z... wiesz, dodatkowym wzmocnieniem...

- Z płytkami?

- Tak, więc przypuszczamy, że pocisk odbił się od jednej z płytek. Prawdopodobnie przy wylocie, a nie przy wlocie. Rozległe uszkodzenia. Całe serce praktycznie w strzępach. Potem ta... płytka i większa część kuli... kawałek się oderwał i utkwiał gdzie indziej w jej ciele, ale

nieważne... w każdym razie płytka i część kuli trafiły waszego człowieka w prawy bok, w pierwsze żebro.

- On na pewno też miał kamizelkę kuloodporną.

- Tak, też z tymi, no, płytkami. Rozległe urazy od uderzenia. Taka kamizelka ratuje życie, ale za cenę rozległych obrażeń, tak? Trzy zmiażdżone żebra, a część pierwszego żebra zupełnie przebita. Kula znowu pęka i jeden kawałek... jak to się mówi? Fika? Jak akrobata?

- Koziółkuje?

- A tak, więc kawałek koziółkuje, trafiając kolejne organy. Prawe płuco, wątrobę. Inny odłamek wyrywa cały organ... nie znam angielskiego słowa...

Pokazał na brzuch, krzyknął do tych z przodu. Tamci też nie znali angielskiego słowa.

Triffler jednak mógł się domyślić:

- Śledzionę?

- Wewnętrzny krwotok! Rozległe urazy! I tak dalej! Duży kawałek kuli utkwiał w żebrze po lewej stronie, ledwo ominąwszy serce i rozmaite żyły, i tym podobne.

- Nabój pięćdziesiąt milimetrów, tak?

Al Fawzi pokiwał głową.

- Mamy broń. Snajper ją porzucił. Najpierw pokażę ci, gdzie siedział, dobrze? Bardzo kompetentny zamachowiec. - Dorzucił wyrażenie z hollywoodzkich filmów: - Prawdziwy zawodowiec. - Z goryczą pokiwał głową. - Izraelczyk.

Tel Awiw

Dukas zatelefonował do biura w Neapolu i zapytał, czy dzwonił ktoś o nazwisku Spinner. Usłyszał, że nie. Dziwne, pomyślał, skąd Spinner wiedział, że powinien zadzwonić do Tel Awiwu? Zadzwonił jeszcze do Leslie w domu: nie, nikt o nazwisku Spinner nie telefonował również tam.

- Jak ci idzie? - spytała.

- Stoję w miejscu. Powiedziano mi, żebym się wycofał.

- No to wycofaj się w moją stronę.

Poszedł po kawę i przy ekspresie znalazł jakiś rodzaj ciastek śniadaniowych, które teraz były czerstwawe i nieforemne, jakby ktoś na nich usiadł. Mimo to na pewno zawierały mnóstwo dobrych składników, takich jak tłuszcz i cukier, więc je wziął. Potem zabrał się do

jedzenia, starał się nie myśleć o tym, jak jest zmęczony, sporządził listę spraw do załatwienia i nawet przystąpił do załatwienia pierwszej z nich, dzwoniąc do Biura Bezpieczeństwa Narodowego w Atenach. Nie udało mu się połączyć z facetem, o którego mu chodziło, tylko z oficerem dyżurnym. Powiedział mu, że musi się skontaktować z pułkownikiem Kritikiou w ważnej sprawie. Dukas mówił po grecku dość marnie, ale umiał się dogadać - efekt starań babci, która uważała, że angielski to język ludzi ulicy. Oficer dyżurny powiedział, że jest niedziela, ale jeśli sprawa jest pilna, powiadomi pułkownika i...

Ktoś oddzwoni.

Dukas spojrział na swoją listę. Tak naprawdę chciał uzyskać tylko dwie rzeczy, zanim da sobie spokój z Tel Awiwem: dowiedzieć się, kto strzelał do Abe'a i skąd zamachowcy wiedzieli o kairskim spotkaniu. Siedział za biurkiem, rozmyślając nad tym, że szanse na jedno i drugie są marne, a potem zastanawiając się, czy powinien zadzwonić do Miriam Gurion i powiedzieć jej o Peretzu - czy moralnie jest dzwonić do kochanki żonatego mężczyzny z wiadomością że tamten został postrzelony? Wtedy zadzwonił telefon i Dukas odebrał, spodziewając się Kritikiou z Aten. Był zawiedziony, gdy okazało się, że to Spinner. Ku jego zaskoczeniu, Spinner płakał. Poza tym był w Tel Awiwie. A dokładnie po drugiej stronie ulicy od ambasady.

Agiassos, wyspa Lesbos

- Po prostu myślałam, że będzie bardziej...

Saida zamachała rękami, jakby chciała dać upust swojemu zdenerwowaniu. Owijający ją ręcznik załopotał przy tym, obnażając jej szczupłą talię i część piersi.

- Nowocześnie? - spytał Piat.

Siedział w bokserkach na łóżku, czytając lokalną grecką gazetę i rozkoszując się smakiem resztek kawy.

- Romantycznie? - odparła, odwracając głowę, jakby pytanie było odpowiedzią.

Właśnie. Piat też myślał, że noc w jednym z najlepiej zachowanych starych miast Grecji będzie romantyczna. Podniósł wzrok znad gazety, żeby przyjrzeć się Saidzie owiniętej ręcznikiem i okolonej blaskiem zimowego słońca wpadającego przez balkonowe drzwi ich pokoju. Drzwi i balkon zostały zrobione w XVIII wieku. To, co znajdowało się pod

ręcznikiem, powstało później, lecz obecność Saidy w tym pokoju powinna wydawać się nieskończenie romantyczna. Czy jakoś tak.

Piata kusiło, by zapytać, co jej zdaniem jest romantyczne. Ale właśnie takie pytania i potrzeba ich zadawania sprawiły, że ostatnie godziny zmieniły się w koszmar.

- Jack? - spytała, odrzucając głowę do tyłu i spoglądając na niego przez nagie ramię. - Jack? Powinnam być trochę bardziej interesująca od lokalnej gazety, jak sądzę.

Kiedy stanęła tak, w pozie modelki prezentującej długą nogę, jeszcze wyraźniej uświadomił sobie, że dziewczyna jest w ciąży. Nie chodziło o jeden szczegół, ale staniki, które nosiła, sugerowały, że nie zawsze miała tak duże piersi, a kremowość skóry przypominała mu inne ciężarne kobiety, które znał. Jej brzuch był trochę zaokrąglony. Ale to akurat mogło wynikać z braku ćwiczeń.

Wczoraj przy kolacji zapytała go, kiedy będzie mogła wybrać się na zakupy.

Po kolacji spacerowali brukowanymi, stromymi uliczkami, lecz nie okazała żadnego zainteresowania witrynami starych sklepów, tkaninami i ceramiką. Zadawała pytanie za pytaniem, a każde z nich sprowadzało się do jednego: „Co o mnie myślisz?”

Kiedy znaleźli się w starodawnym hotelu, gdzie mieli dzielić łóżko, Piat nie wyobrażał już sobie z nią seksu.

Choć właściwie było wręcz przeciwnie. Dłonie paliły go, by dotknąć jej piersi, przycisnąć kciukami sutki, chciał rozchylić nogą jej uda, obrócić się...

- Powiedz mi jeszcze raz, ile pieniędzy będę miała - poprosiła w ciemności.

- Dwadzieścia milionów dolarów.

- Ha! - powiedziała triumfalnie i przycisnęła wargi do jego ust.

Jego ciało w ogóle nie zareagowało. Saida próbowała je pobudzić z nadzwyczajną cierpliwością przez następną godzinę.

- Słyszałam, że to się facetom zdarza - powiedziała kilkakrotnie, jakby do tej pory w to nie wierzyła.

Ładnie wyglądała.

Ładnie pachniała.

Ciało Piata nie chciało mieć z nią nic wspólnego.

W końcu oboje usnęli. Piat wzdragał się i budził za każdym razem, gdy jej dotknął. Ona z kolei przytulała się do niego, szukając bliskości. A dwukrotnie obudził się i stwierdzał, że dziewczyna płacze cichutko przez sen.

Tak więc teraz, gdy siedział na łóżku w białźnie i patrzył, jak Saida się wdzięczy, jeśli to było dobre słowo, powinna wzbudzić w nim większe podniecenie niż lokalna gazeta z

opowieściami o kradzieżach, zemście i ludzkiej dobroci, które zdawały się wyjęte wprost z XIX stulecia.

- Chodźmy na obiad - zaproponował.

Ateny

Dwaj niscy mężczyźni i wysoka kobieta w kurtce motocyklowej czekali na schodkach przed drzwiami ateńskiego domu. Wąska uliczka cuchnęła moczem i czosnkiem. Wysoka kobieta cały czas zasłaniała ręką nos.

- Nikt nie podchodzi - powiedział starszy z mężczyzn.

Kobieta przepchnęła się do przodu, przyklękła i wyciągnęła z kieszeni pęk narzędzi.

- Zróbcie mi więcej miejsca.

- Po prostu je otwórz - mruknął zgryźliwie młodszy z mężczyzn.

Pomysł włamania się do mieszkania w świetle dnia wyraźnie nie mu się nie podobał.

Kobieta wsunęła wytrych do zamka, pomanipulowała nim, a potem obróciła gałkę.

Obaj mężczyźni wkradli się do domu jak duchy. Kobieta wyciągnęła wytrych z dziurki od klucza, kawałkiem szmatki wytarła gałkę i zamek i dopiero wtedy weszła do mieszkania, które śmierdziało bodaj jeszcze bardziej niż ulica. W brudnych, urządzonych tanimi meblami wnętrzach cuchnęło zgnilizną i haszyszem.

- Kto może mieszkać w takim chlewie? Facet przypomina raczej narkomana niż uczzonego - burknęła pod nosem, gdy rozglądała się dookoła.

Potem wyjęła z kieszeni aparat cyfrowy i zaczęła robić zdjęcia wszystkich powierzchni.

Starszy mężczyzna wyłonił się z sypialni.

- Zniknął. Wyprowadził się, wygląda, jakby wyniósł się stąd wczoraj.

Młodszy wskazał biurko, gdzie między rzędkiem aluminiowych puszek a styropianowym pojemnikiem z resztkami starego posiłku była spora pusta przestrzeń i wiązka kabli oraz porozrzucane dyskietki.

- Komputer też zabrał. I większość dyskietek. Mam wziąć te, które zostawił?

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami.

- Przejrzenie ich zajmie nam całą noc i nic nie znajdziemy, ale weź je.

Westchnął i sięgnął po telefon komórkowy.

Wysoka kobieta zerknęła do dwóch koszy na śmiecie. Były puste.

- Nie wydaje ci się to dziwne, Raz? - spytała.

Starszy mężczyzna gdzieś dzwonił.

- Co jest dziwne? Zapach?

- Kosze na śmieci. Mieszkanie przypomina chlew, ale kosze są puste. - Wzruszyła ramionami, a potem pstryknęła palcami. - Daj mi pięćdziesiąt euro.

- Po co? - spytał, ale wręczył jej kilka banknotów, czekając na zrealizowanie połączenia.

Kobieta wzięła pieniądze i wyszła z domu.

Starszy mężczyzna przyłożył telefon do ucha. Robił znajomemu przysługę, która już przybrała postać czegoś większego i niebezpiecznego.

- Shlomo? Nic tu nie ma. Mieszkanie jest wyczyszczone. Bardzo profesjonalnie. -

Przyglądał się jak młodszy mężczyzna spycha zawartość biurka, z wyjątkiem styropianowego pojemnika, do plastikowej torby. - Wątpię. Zabierzemy wszystko, co może się okazać przydatne. Jasne. Robiłem już takie rzeczy nie raz, Shlomo. - Zatrzasnął telefon.

Kobieta wróciła po pięciu minutach.

- Właśnie kupiłam wszystkie śmieci na tej ulicy. Załatw mi kogoś, kto pomoże je sortować.

Agiassos, wyspa Lesbos

Zimowe słońce świeciło na błękitnym niebie. Obiad w tawernie składał się z doskonałych miejscowych potraw, które Saida zbyła lekceważącym mianem „jedzenia wieśniaków”. Potem Piat zaprowadził ją w dół po stromym zboczu do bizantyjskiego kościoła, który był głównym powodem istnienia miasteczka. Saida zaskoczyła go, wyjmując chustę i zakładając ją na głowę, gdy wchodzili do świątyni.

Piat nigdy wcześniej nie widział kościoła zwanego Panagia ti Vrefokratpousa, drugiej pod względem znaczenia świątyni Świętej Marii Panny w Grecji. Podobnie jak w przypadku biegu do gorących źródeł zachował sobie tę przyjemność na koniec. Wkroczył do środka i w zimnym, pachnącym kadzidłami mroku natychmiast oślepl. Potknął się i Saida wzięła go za rękę. Podeszli do pierwszego rzędu ławek, podczas gdy jego oczy przyzwyczajały się do ciemności. Ruszył w głąb nawy, znów się potknął i spojrzał na posadzkę. Była ułożona z białych i czarnych kwadratowych płyt marmuru o szerokości około pół metra. Wzdłuż nawy

biegła wyłobiona w grubych kamiennych płytach przez stopy dziesiątków tysięcy pielgrzymów bruzda, głęboka na siedem albo nawet dziesięć centymetrów.

Piat nigdy wcześniej nie widział tak dosłownego fizycznego świadectwa potęgi wiary.

Saida uklękła na poduszce i zaczęła się modlić, czym znowu go zaskoczyła.

Zostawił ją w ławce i zbliżył się do rzędu ikon w głębi świątyni. Sezon turystyczny jeszcze się nie zaczął, ikony wisiały więc za ołtarzem. Nie miały żadnych zabezpieczeń. Był z nimi sam na sam.

Niemal od razu rozpoznał ikonę, która została podobno namalowana przez świętego Łukasza. Tak zwaną Ikonę Jerozolimską. Różniła się od reszty nie tylko wiekiem, ale i wykonaniem.

Wspaniała, pomyślał.

Miała w sobie to coś, co zachwycało go w pucharze Saidu: artyzm, doskonałe rzemiosło i historia łączyły się w nich w jedno. Ryszard Lwie Serce oglądał tę ikonę. Podobnie jak Fryderyk Barbarossa. A teraz wisiała przy ołtarzu niezabezpieczona nawet drucikiem.

Cesarz Manuel Komnen rozkazał wywieźć ją z Jerozolimy, gdy Bizancjum, choć na krótko, dzierżyło władzę w mieście. Nakazał przenieść ją do nowo wybudowanej świątyni na Lesbos. Tysiąc lat temu.

Piat zerknął na trzy pozostałe ikony. Żadna nie miała takiej wartości, choć były także stare i bardzo dobrze namalowane. Ikona Jerozolimka przyćmiewała je swoim blaskiem, jako dzieło sztuki i niemy świadek historii.

- Mój ojciec umie lepiej malować świętych - kpiąco szepnęła mu do ucha Saida.

Kiedy się odwrócił, stała już po drugiej stronie ołtarza i zapalała świeczkę. Brzęk dwóch euro, które wrzuciła do skrzynki na datki, odbił się echem od wysokiego sklepienia. Jedną dłonią osłoniła płomień przed zimową bryzą i zbliżyła się do kapliczki Marii Panny, elegancja jej ruchów zdradzała długie lata praktyki.

Skłoniła na chwilę głowę, wstała i otrzepała ręce.

- Jesteś chrześcijanką - powiedział Piat.

- Pochodzę z chrześcijańskiej rodziny. Zaskoczony? Znasz całą historię wzdłuż i wszerz!

- Roześmiała się. - Wielu Palestyńczyków to chrześcijanie. Wszyscy w mojej wiosce.

- Twojej wiosce? - zapytał machinalnie.

- Betlejem.

Piat się skrzywił.

- Prawosławna? - wyszeptał.

- Ateistka. Ale moja matka i siostry tracą na to wszystko dużo czasu. Ale to miejsce...
słuchaj, chodźmy stąd, dobrze?

Ruszyła nawą, a on podążył jej śladem, pozostawiając za plecami jedyną zapaloną świeczkę w kapliczce.

Zostawił ją przed witrynami zamkniętych sklepów, narzekała, że znowu nie może zrobić normalnych zakupów. Piat obszedł mury świątyni, wciąż mrużąc oczy przed światłem, aż dotarł do budki telefonicznej na placu. Trzy razy próbował się dodzwonić do Androsa. Tak jak się spodziewał, nikt nie odbierał. Nie zostawił żadnej wiadomości.

Nad miasteczko nadciągały chmury, błękit nieba przysłaniała ciemna kurtyna. Robiło się coraz chłodniej. Piat pomyślał, że stracił tu za dużo czasu. Gdzieś tam w dole, u podnóża góry, znajdowali się ludzie, którzy szukali Saidy, a może nawet jego. To samo przeczucie, które towarzyszyło mu przez całe dorosłe życie, podpowiadało, że pościg jest blisko. Nie miał czasu do stracenia.

Jeszcze raz zadzwonił do Androsa. Potem zatelefonował jeszcze do jego zaniedbywanej od dawna żony. Tam też nikt nie odbierał.

Zadrżał na zimnym wietrze i ruszył szukać Saidy.

Kair

Strzał oddano z jedenastego piętra biurowca oddalonego o ponad pół kilometra od miejsca, w którym znajdowali się wtedy Abe Peretz i Palestynka. Triffler, zaznajomiony z nowoczesną bronią, nie był zaskoczony tą odległością. Stojąc przy oknie, z którego strzelano, i spoglądając w dół przez warstwę smogu na niewyraźny kształt centrum handlowego, powiedział:

- Powinni przewidzieć, że snajper odda stąd czysty strzał. Nigdy nie pozwoliłbym na spotkanie o wysokim ryzyku w tamtym miejscu.

Al Fawzi nie wiedział, że to było spotkanie o wysokim ryzyku, Triffler zresztą też nie zdawał sobie z tego wcześniej sprawy. Teraz jednak nie miał najmniejszych wątpliwości.

- Bardzo profesjonalna robota - ocenił al Fawzi.

Nosem buta wskazał otwór wycięty przez snajpera w szybie, teraz zasłonięty plastikiem. Sprawca albo sprawcy zsunęli dwa biurka tak, że strzelec mógł się wygodnie położyć na blatach. Lufa była prawdopodobnie podparta na dwójnogu.

- Zostawił broń?

- Tak, tak. Mają ją wasi ludzie. Dopiero od trzeciej w nocy, jak słyszałem. Mnie... mnie, wydziałowi zabójstw, policji kairskiej... nie pozwolono jej dłużej przetrzymywać, ale mam krótki raport na jej temat. To M82A1 produkcji amerykańskiej.

Na to poszły dolary z naszej pomocy zagranicznej, pomyślał Triffler, al Fawzi ma prawdopodobnie rację, że to byli Izraelczycy.

- I nikt ich nie widział?

- Zupełnie nikt.

- Myślałem, że sobota to dzień pracy.

- Dla wielu tak, ale akurat tutaj nie.

Biuro było małe i dość nędzne. Należało do agencji turystycznej, która bukowała wycieczki w głąb kontynentu dla europejskich dzieciaków, które chciały tanio zwiedzić Afrykę. Jednak Internet sprawił, że firma straciła rację bytu i zaczęła masowo tracić klientów.

- Ktoś słyszał wystrzał?

Pocisk karabinowy kaliber 50 milimetrów narobiłby w zamkniętym pomieszczeniu tyle huków co salwa armatnia, pomyślał. Ale może nie, gdyby tłumik wystawiono za okno. Al Fawzi powiedział, że ludzie coś słyszeli, ale myśleli, że to samochód, odrzutowiec albo głośna muzyka.

- Chcesz zobaczyć miejsce zbrodni?

- Oczywiście.

Zawieźli ich tam ci sami dwaj gliniarze w cywilu, al Fawzi wciąż na nich krzyczał. Kazał im zaparkować w miejscu zarezerwowanym dla straży pożarnej i zostać przy samochodzie, podczas gdy on i Triffler weszli do środka. Triffler nie był zbytnio zaskoczony wyglądem centrum handlowego, spędził raz w Kairze trzy tygodnie i miał pojęcie o architekturze miasta. Budowniczy starali się odtworzyć atmosferę bazaru na świeżym powietrzu, na posadzkach i mozaikach, na murach dominowały motywy palm i wielbłądów. W rzeczywistości był to jednak amerykański pasaż handlowy, który załamywał się w czterech rogach i pożerał własny ogon, tworząc zamknięty dziedziniec o długości około siedemdziesięciu metrów i szerokości trzydziestu. W parterowej zabudowie mieściły się sklepy z elektroniką, odzieżą, filmami i muzyką, przeznaczone dla średniozamożnych klientów. Wschodni kraniec dziedzińca został odgradzony policyjną taśmą, a tuż za nią stało dwóch mundurowych gliniarzy, którzy unieśli ją, aby al Fawzi i Triffler mogli przejść.

Triffler naszkicował sobie dziedziniec, zaznaczając pawilon restauracyjny ze stolami i krzesłami. Odszedł od muru na tyle, by zobaczyć biurowiec, z którego oddano strzał, i zapisał

odległość, kręcąc przy tym głową. Spotkanie powinno się odbyć właśnie pod osłoną muru. Zastanawiał się nawet czy zamachu nie dokonali sami Palestyńczycy, bo zorganizowanie spotkania akurat w tym miejscu było głupie, jeśli komuś nie zależało na tym, by jego uczestnicy stali się łatwym celem.

Kontury obu ciał zostały wymalowane sprejem na płytkach posadzki, były jednak wystylizowane, podobne do obrysów rzeźb na średniowiecznych nagrobkach - stopy razem, ramiona wzdłuż boków, wszystko bardzo schludne i równiutkie. Al Fawzi wzruszył ramionami.

- Służba bezpieczeństwa zabrała rannego Amerykanina i ciało Palestynki, jeszcze zanim zdążyliśmy je obrysować. Błąd w sztuce.

- To jest więc tylko przypuszczalne położenie ciała.
- Obrysy są zgodne z rzeczywistością.
- Mniej więcej.
- Więcej, nie mniej.

Triffler nie dał się do końca przekonać, ale odmierzył krokami odległości i zanotował wszystko na swoim szkicu. Zatrzymał się w miejscu, gdzie musiał stać Abe Peretz tuż przed trafieniem. Spojrzał na zasnuty smogiem biurowiec. Snajper musiał użyć celownika optycznego z soczewką wielkości reflektora samochodowego. Łatwizna.

Tel Awiw

Siedzący naprzeciw biurka Ray Spinner wyglądał prawie zupełnie tak, jak Dukas go zapamiętał z ich jedynejszego spotkania: jak facet z wielkim ego, któremu wciągnęło dupsko w wyżymaczkę. Teraz Spinner miał tę samą oszołomioną minę, ale był nie tyle wściekły, ile zagubiony. I roztrzęsiony.

Spinner zaczynał mówić trzy razy, zanim zdołał wykrztusić słowo. Potem wreszcie wydusił:

- Muszę i panem porozmawiać.

To zdawało się dosyć oczywiste. Dukas pokiwał głową. Zerknął także na ścienny zegar, bo nie chciał poświęcać na tę sprawę zbyt dużo czasu.

- Zostałem... - Spinner zmarszczył brwi, jakby poczuł ból w żołądku. - Myślę, że zostałem... - Spuścił wzrok na swoje rozdygotane palce. - Przez kogo? Widzi pan, wysłano mnie tu tydzień temu, żebym zrobił pewne rzeczy. Zrobiłem dokładnie to, co mi kazał szef!

Dukas nie miał pojęcia, co znaczą „pewne rzeczy”, ale wiedział, że jeśli jedzie się do obcego kraju „zrobić pewne rzeczy”, trzeba zaliczyć pewne bazy.

- Twój szef w Departamencie Obrony? - zapytał.

Wiedział, że po wywaleniu z Marynarki Spinner wylądował na czterech łapach w Departamencie Obrony.

Spinner pokiwał głową.

- Chodzi zatem o sprawy państwowe? I oczywiście masz zgodę Izraela.

Spinner pokręcił głową.

- Ale cię zadeklarowali?

- Co znaczy „zadeklarowali”?

- Lepiej powiedz mi, jakie „rzeczy” miałeś tu zrobić.

- Niech pan posłucha, teraz tamte bzdety nie mają znaczenia! Liczy się to, że zrobiłem coś naprawdę głupiego, naprawdę... o Jezu... naprawdę wycięli mi numer, naprawdę spieprzyłem sprawę. Przeze mnie postrzelono faceta!

- Co, tutaj?

- Nie, nie, w Kairze. Nie wiem, jak się nazywa. To Amerykanin. Z ambasady...

Dukas wyskoczył zza biurka tak szybko, że Spinner aż drgnął, lecz Dukas ruszył nie na niego, tylko do drzwi. Kiedy je zamknął, przysunął swoje krzesło blisko Spinnera, ale tak, by patrzeć mu w twarz.

- Powtórz - powiedział.

- W Kairze postrzelono Amerykanina. - Wciąż wlepił wzrok w roztrzęsione palce. - Nie tak miało być. Ale oni... ja... - Odwrócił głowę, głos mu drżał. - O cholera!

Dukas przesłuchiwał wielu ludzi. To, czy darzył ich sympatią, czy nie, nie miało znaczenia. Spinnera bardzo nie lubił, ale wiedział, że w tej chwili musi postępować łagodnie.

- Opowiedz mi o tym, Ray - poprosił.

W szpitalu, do którego przywieziono Peretza, pozwolono Trifflerowi popatrzeć na rannego tylko zza drzwi. Widział przede wszystkim rurki i aparaturę. Lekarz, który mówił dobrą angielszczyzną, powiedział mu, że Peretz może przeżyć, ale będzie „innym człowiekiem”.

- Jak to innym?

- Wewnątrz dużo stracił.

Może pustym człowiekiem.

Al Fawzi zabrał Trifflera do kawiarni przeznaczonej wyłącznie dla mężczyzn, posadził obu podwładnych przy osobnym stoliku i powiedział:

- Co o tym sądzisz?

- Ktokolwiek to zrobił, musiał znać szczegółowy plan spotkania. - To było jak strzelanie do krowy na podwórzu. - To mogli być Palestyńczycy, którzy postanowili zabić jedną ze swoich.

- Kobieta była kochanką wysoko postawionego Palestyńczyka. A także jego asystentką. Mało prawdopodobne. To zrobili Żydzi.

- Nie mamy na to dowodów. - Mimo to, pomyślał, zamachu dokonali albo Palestyńczycy, albo my, albo ktoś trzeci. Nie wydaje mi się, żebyśmy to byli my. A może? Zapytał Al Fawziego: - Jakies prawdopodobieństwo powiązań z Al-Kaidą?

Wszyscy doszukiwali się teraz powiązań z Al-Kaidą. Gdyby miała powiązania z Al-Kaidą, to może my to zrobiliśmy. Nie chce mi się wierzyć, żebyśmy posuwali się do takich rzeczy, ale może teraz tak jest. myślał gorączkowo. Lecz bardziej prawdopodobne wydawało się, że to Palestyńczycy.

Albo Izraelczycy.

Co sugerowało wywiadowczy przeciek jak z przeciętej tętnicy. Ale dlaczego? Dlaczego akurat podrzędne spotkanie w zakurzonej centrum handlowym, na które żadna ze stron nie wydelegowała swoich najważniejszych ludzi?

Wolał, żeby się okazało, że to Palestyńczycy. Wtedy nie byłoby mowy o przecieku, Palestyńczycy wykorzystaliby informacje, do których mieli dostęp, a on sam nie musiałby kwestionować działań oraz intencji Amerykanów albo Izraela.

- Potrzebujemy więcej faktów - powiedział.

Al Fawzi uraczył go miną, która mówiła: „Możesz sobie pomarzyć”.

Tel Awiw

Spinner drżał i oddychał, zachłystując się powietrzem.

- Podjęli mnie jak honorowego gościa, częstowali winem i słodyczami i powiedzieli, że w Kairze ma dojść do tajnego spotkania. Powiedzieli, że pan ma się spotkać z jakimś ważniakiem z Autonomii Palestyńskiej, który jest ich wrogiem i terrorystą, i czy nie uważam, że to paskudne zachowanie jak na Amerykanina? A ja powiedziałem... - Zakrył ręką twarz. - Powiedziałem, że jasne, że paskudne. Bo przedstawili to jako sprawę Izraela, sprawę ich bezpieczeństwa narodowego, a pan nawiązywał z tamtym współpracę, więc co, do cholery, miałem powiedzieć? - Teraz nawet nie zerkał na Dukasa. Może tak się wstydził, że w tej chwili nikomu nie byłby w stanie spojrzeć w twarz. - Naciskali na mnie, że niby powinienem... zaaprobować... Poprosili mnie o „pozwolenie”. Ale nawet ja wiedziałem, że to przegięcie!

- Pozwolenie na co, Ray?

- Na wysłanie panu ostrzeżenia. Przez zrobienie czegoś Palestyńczykowi, kiedy pan z nim będzie rozmawiał. Na spotkaniu. Nie sądziłem, że mają na myśli... Do cholery, wiedziałem, co mają na myśli. Ale pomyślałem, że to jakiś palestyński drań, terrorysta. A gdyby zobaczył pan, jak go rozwalają to...

- To co?

- Zrozumiałby pan, że to ostrzeżenie.

- I że nie powinienem im wchodzić w paradę?

- Chyba tak.

Dukas odchylił się do tyłu. Popatrzył na Spinnera, a potem na własne ręce. Otrząsnął się z gniewu i obrzydzenia. W tej chwili osobiste odczucia nie miały znaczenia.

- Złożysz zeznanie? - zapytał.

Spinner pokiwał głową.

- Nagram je na magnetofonie. - Wyjął małe urządzenie z teczki i położył je na biurku. Podyktował do mikrofonu godzinę, datę i miejsce, a także nazwisko swoje i Spinnera. - Opowiedz mi wszystko jeszcze raz.

Spinner powtórzył swoją historię, tym razem trochę szybciej, nie tak emocjonalnie. Teraz jednak Dukas przerywał mu pytaniami.

- Kto? - dociekał. - Kto cię wykorzystał?

- Ci, no... To brzmi wręcz niewiarygodnie, gdy teraz o tym myślę. Mossad?

- Wykorzystał cię Mossad.

- Tak. To było w ich siedzibie. Zaprosili mnie na lunch. Z szefem wydziału współpracy z zagranicą i jeszcze jednym facetem. To oni powiedzieli mi o spotkaniu. W Kairze.

- Co masz na myśli, mówiąc „Mossad”, Ray? Co to słowo dla ciebie znaczy?

- Izraelska organizacja szpiegowska, prawda?
- Od jak dawna jesteś w Izraelu?
- Przyleciałem tu we wtorek.
- Żeby spotkać się z Mossadem?
- Nie, to było później.
- Po co tu zatem przyjechałeś?
- Nie mogę o tym rozmawiać.

Dukas chciał na niego nakrzyczeć, ale się powstrzymał.

- Dobra. Ktoś, kto przedstawił się jako szef wydziału współpracy z zagranicą Mossadu, i drugi mężczyzna rozmawiali z tobą na obiedzie w siedzibie Mossadu o spotkaniu w Kairze. Jakim spotkaniu?

Wtedy Spinner powtórzył cały przebieg rozmowy, tym razem był już mniej roztrzęsiony, ale nadal często się zaciął.

- Skąd wiedzieli o tym spotkaniu? - spytał następnie Dukas.
- Nie powiedzieli mi.
- Ale poprosili o twoje „pozwolenie”.
- Po tym, jak zapytali, czy aprobuję albo się zgadzam, nie pamiętam dokładnie, a ja...

Cholera, przedstawili to w taki sposób, że wszystko wyglądało tak rozsądnie.

- Ray, to oficjalne zeznanie, a nie prywatna rozmowa. W przeszłości doszło między nami dwoma do pewnego spięcia. Czy wyraziłeś zgodę albo aprobatę dlatego, że uznałeś, że przyda mi się nauczka?

- Ale nie postrzelenie.
- Ale może, jak kogoś zastrzelą na moich oczach. Może to byłaby dla mnie nauczka.
- Cóż... Nie mówili nic o strzelaniu.
- Dlaczego myśleli, że to ja tam będę?
- Nie powiedzieli. Zdawali się całkiem pewni swego.

Wtedy Dukas kazał mu opowiedzieć wszystko jeszcze raz, a następnie zapytał:

- Kto doprowadził do nawiązania kontaktu... ty czy Mossad?
- Mossad. Zaprosili mnie.

Dukas starał się nie okazywać niedowierzania.

- Ray, Departament Obrony nie zadeklarował twojego pobytu w Izraelu. Skąd Mossad wiedział, że tu jesteś?

- No bo... wie pan.
- Nie, powiedz mi.

- No więc wy... w świecie szpiegów takie rzeczy się po prostu wie. Zresztą Mossad jest najlepszy. Najlepszy na świecie. Przypuszczam, że namierzili mnie na lotnisku.

Siedzieli teraz znowu oddzieleni biurkiem. Dukas pochylił się do przodu i przemówił niskim, spokojnym, ojcowskim głosem:

- Ray. Ray... naoglądałeś się za dużo filmów. Odpowiadasz mi Jamesem Bondem. Funkcjonariusze wywiadu i kontrwywiadu są takimi samymi ludźmi jak ty. Zakładają portki w ten sam sposób, po jednej nogawce naraz, zdarza im się puścić baka, płacą podatki. I nie mają trzech metrów wzrostu. Mossad nie namierzył cię na lotnisku, bo jeśli ktoś im o tobie nie powiedział, mogli wiedzieć o tobie tyle co gówno w przeręblu. Zastanów się więc, skąd Mossad wiedział, kim jesteś i dlaczego postanowili zaprosić cię na obiad?

Spinner nie wiedział. Powiedział to z taką mocą, że Dukas mu uwierzył.

- Dobrze - podjął Dukas. - Co robiłeś w dniach poprzedzających ich zaproszenie?

Spinner uchylał się i kluczył, ale nie był w stanie uciec od pytania. Czuł się, jakby grał w piłkę w wąskim korytarzu: Dukas zawsze wyrastał przed nim jak obrońca, którego nie dało się w żaden sposób okiwać.

- Z kim się widziałeś, Ray? Z kim rozmawiałeś?

- Z nikim.

- Daj spokój. Nie przyjechałeś tu na zwiedzanie kraju. Przyjechałeś, żeby zdobyć informacje dla swojego szefa, a szef nie powiedział ci, żebyś stał na środku ulicy w Tel Awiwie i pytał o to przechodniów. Kazał ci pójść do Iksa i porozmawiać z Igrekiem, prawda, Ray? Prawda? Dał ci do kogoś kontakt, mam rację? Do kogo?

Spinner kilkakrotnie powtórzył, że nie może tego Dukasowi powiedzieć, lecz Dukas oświadczył, że teraz sprawa dotyczy ranienia amerykańskiego dyplomaty i jeśli mu tego nie powie, to będzie miał do czynienia z ludźmi, którzy okażą mu znacznie mniej cierpliwości. Zarówno CIA, jak i FBI będą chciały wiedzieć to wszystko ze szczegółami i jeśli Dukasowi się nie uda, to tamci wyciągną ze Spinnera prawdę. Jeśli będzie trzeba, potraktują to jako element wojny z terroryzmem, co znaczy, że nie będą się patyczkować i jeśli zechcą, wyślą nawet Spinnera na przesłuchanie do Egiptu.

- Ze mną pójdzie ci najłatwiej, Ray. Wyrzuć to z siebie.

- Nie mogę. To mnie może kosztować robotę.

- Jeśli mi nie powiesz, może cię to kosztować przednie zęby. Albo jajca. Ray! Spójrz mi w oczy. Powiedz mi!

W końcu Spinner opowiedział o kontakcie o kryptonimie Habakuk, który jest izraelskim patriotą i przekazuje informacje zaprzyjaźnionym ludziom w Waszyngtonie.

- I zażądał od ciebie pieniędzy?

- Tak. Trochę.

- I zapłaciłeś mu. Miałeś pieniądze. Od swojego szefa? Całkiem sporo pieniędzy, prawda? - Dukas odchylił się do tyłu, splótł dłonie i popatrzył na Spinnera. - Ray, powiem ci coś, co wiem tylko dzięki wieloletnim doświadczeniom w, jak to nazwałeś, „świecie szpiegowskim”. Będziesz zdumiony. Habakuk jest agentem Mossadu.

- Nie. Niemożliwe.

- Tak. Bez dwóch zdań.

- Nie. Habakuk pracuje dla żydowskiego komitetu politycznego w Stanach. Jest intelektualistą.

Dukas uśmiechnął się, jakby miał do czynienia z piętnastoletnią dziewczyną, która mówi, że się zakochała i będzie ze swoim chłopakiem do końca życia.

- Co takiego sprzedał ci Habakuk?

Spinner zawahał się, ale powiedział:

- Dowód, że tego Qatiba zabito dlatego, że był szyfrantem.

- Dowód! Dowód to rzadkość. Jakiego rodzaju dowód?

- Facet z izraelskiego wywiadu. Wyłożył mi to wszystko jak na tacy: że Palestyńczycy chcieli wydobyć od Qatiba amerykańskie szyfry, żeby je potem sprzedać Al-Kaidzie.

- Facet?

- Izraelczyk?

- A nazywał się jakoś?

- Shlomo. Nie podał nazwiska.

Dukas myślał o Salemie Qatibie, kryptologii i przekupnym oficerze wywiadu, który twierdził, że Qatiba zabito dla szyfrów. Właściwie Dukas był teraz pewien, że Qatib został zamordowany z powodu znalezisk archeologicznych, czemu więc ktoś miałby wciskać zagubionemu amatorowi takie bezczelne kłamstwo? Zaczął się zastanawiać, kto byłby zainteresowany ukrywaniem informacji na temat archeologii i zabytków, co z kolei doprowadziło go z powrotem do Mossadu i jedyne Shloma, którego znał.

- Opisz mi tego Shloma.

- Taki mocno zbudowany. Jasne włosy. Nie jakiś brzydki, ale o grubych, wyrazistych rysach. I ma chyba złamany nos.

Dukas przewertował papiery na biurku i wyciągnął wydruk starego zdjęcia Eshkola, które Pigoreau przysłał mu z Hagi. Położył je przed Spinnerem.

- Jak ten?

Mina Spinnera powiedziała mu praktycznie wszystko - przerażenie, strach, szok.

- To agent specjalny Mossadu Shlomo Eshkol. Z kim jeszcze skontaktował cię Habakuk w sprawie tych dowodów?

- Z... kobietą. Szyfrantką. Potrzebowała pieniędzy ze względu na sytuację osobistą.

- Poszła z tobą do łóżka?

Spinner wyglądał teraz jak mały, przestraszony chłopiec.

- Widzisz, miałeś rację, Ray. Namierzyli cię. Ta kobieta też była z Mossadu. Zostawiłeś ją może samą z twoimi rzeczami... paszportem, dokumentami, laptopem? I po nocy spędzonej z nią kierownictwo Mossadu zaprosiło cię na obiad, racja?

- Dlaczego?

- Bo trafiła im się gratka. Wyobraź sobie... ktoś tak naiwny, że nie został zadeklarowany, bez przykrywki łązi zadowolony po mieście i ma dojście do nowych decydentów w Departamencie Obrony. Jezu, musieli rwać sobie włosy z głowy i zadrećzać się, że może jesteś podstawiony. Bóg świadkiem, że ja bym tak zareagował. To po prostu wydawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Ale pogłótkowali i w końcu doszli do wniosku, że warto spróbować, nawtykali ci więc głupot, a ty wysłałeś to prosto do swojego szefa. Byłeś dla nich jak dar od Boga, Ray.

Spinner wybuchnął płaczem.

Agiassos, wyspa Lesbos

Siedzieli w swoim pokoju, podczas gdy na dworze lało. Piat usadowił się w jedynym wygodnym fotelu, usiłując czytać grekę w egzemplarzu *Aeneam Tacticum* znalezionym w jedynej czynnej księgarni, ale czytał przede wszystkim angielskie tłumaczenie. Był zaskoczony, że nikt, kogo znał, nie wspominał nigdy, że to pierwsza książka o szpiegostwie. Napisana w 360 roku przed naszą erą.

Saida miała stos czasopism z artykułami o modzie i plotkami, a także pięć wydań „Economist”. Leżała na brzuchu na łóżku. Przemoczone sandały rzuciła w dwa różne kąty pokoju, a sama kiwała uniesionymi nogami i podjadała czekoladki z papierowej torebki. Wyraźnie uważała, że czytanie jest zajęciem towarzyskim, bo co jakiś czas czytała jakiś akapit na głos, a to o obecnej sytuacji w życiu miłosnym Britney i Justina, a to kąśliwy komentarz o amerykańskiej polityce wobec Iranu. W końcu popatrzyła na Piata.

- Co czytasz?

- Klasyczną grecką książkę o sztuce wojennej - odparł.

- Nie obchodzi cię to, co się dzieje w prawdziwym świecie?

Piat miał na języku kilka złośliwych odpowiedzi, ale powstrzymał się i spróbował spojrzeć na siebie jej oczyma. Po chwili ciężkiej ciszy powrócił do lektury.

- Nie - powiedział wreszcie.

Przy kolacji nagle sięgnęła ręką przez stół i złapała go za nadgarstek.

- Myślisz, że jestem głupia.

Piat nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Słuchaj - zaczęła. - Nie obchodzą mnie twoje greckie książki. Ani puchar. Może trochę bardziej tamta ikona w cerkwi, co? Ale nie jestem głupia.

Piat poczuł się nieswojo, jakby musiał się bronić.

- Nigdy nie mówiłem, że jesteś głupia.

Nawet jemu wydało się to żałosne.

- To wszystko, co lubisz? Ten głupi nędzny hotelik z zaciekiem na suficie, brukowane ulice, wieśniacy... wychowałam się w takim miejscu. Może nie tutaj, ale naoglądałam się dość wieśniaków, że wystarczy mi na resztę życia. A ceramika? W Betlejem robi się piękną ceramikę. Sama potrafię wytoczyć ładną cienką filiżankę. I co z tego? Mogę się za to modlić w starym kościele, a mojego brata mogą zabić Żydzi.

Piat odchylił się do tyłu.

- Dobrze, rozumiem.

- Myślisz, że jestem chciwa, i rzeczywiście tak jest. Chcę czegoś innego, czegoś błyszczącego i czystego. - Uśmiechnęła się z wyrazem szczerzego rozbawienia w oczach. - Dobra, hotel nie jest taki głupi, przyznaję. Ale widzisz, o co mi chodzi?

Piat odchylił się, wypił resztę swojego wina i napełnił oba kieliszki. Byli jedynymi klientami w hotelowej jadalni, właściwie jedynymi ludźmi.

- Pracowałem kiedyś w Afryce - powiedział. - Nie, posłuchaj, to będzie zabawne. I chyba zgodne z tym, co mówiłaś. Poznałem tam takiego faceta, starego Afrykańczyka, który wynajmował się jako przewodnik myśliwych z Wielkiej Brytanii i Ameryki. No, wiesz: białych facetów, którzy chcieli ustrzelić lwa albo słonia, albo jakąś dorodną antylopę. W każdym razie, ten Afrykańczyk śmiał się z nich, bo zawsze mieli wielkie, drogie sztucery, czasami bardzo kosztowne antyki. Ciężkie stare strzelby szybkostrzelne z rzadkimi nabojami. I mówił mi, że zawsze udaje, że jest pod wrażeniem tych flint i ogromnych nabojów.

Saida pokiwała głową, żeby dać do zrozumienia, że słucha jego historii.

- A tak naprawdę miał ich za idiotów. Tłumaczył mi, że każdy kłusownik na świecie wie, że najlepiej polować słonie karabinem AK-47 z grupą dwudziestu kumpli.

- Zabijałeś słonie?

Była oburzona.

- Nie. - Pokręcił głową. - Daj mi spróbować jeszcze raz.

- Dobrze - powiedziała podejrzliwie.

Była wyraźnie zadowolona, że z nią rozmawia. Widział to. Dołała mu wina. Ale nie podobało jej się zabijanie słoni.

- Pracowałem kiedyś na Dalekim Wschodzie.

- A jest jakiś kontynent, na którym nie pracowałeś? - spytała.

- Nie lubię marznąć. W każdym razie, byłem... pieprzyć to, byłem w Birmie. I pracowałem z ludźmi z pewnego plemienia, którzy żyli, jakby czas zatrzymał się jakieś dwanaście tysięcy lat temu. I musieliśmy się często przemieszczać to tu, to tam. Gdzieś po drodze nauczyłem się ich języka na tyle, że mogłem im opowiedzieć, że w Stanach Zjednoczonych ludzie wybierają, się na wakacje, na kempingi.

Zaczął się śmiać, zanim doszedł jo puenty, a ona śmiała się razem z nim.

- Kapuję - powiedziała z odchyloną głową.

- A oni w kółko chcieli o tym słuchać.

- Oczywiście, że tak!

- I pewnego dnia, kiedy zapytałem, gdzie się podziła jedna z rodzin, które z nami podróżowały, a wódz roześmiał się i mówi... - Piat aż się opluł ze śmiechu - mówi, po angielsku: „Są na wakacjach”.

Rechotali tak głośno, że właściciel wyszedł z kuchni zobaczyć, co się dzieje. Popatrzył na nich z satysfakcją, a potem znowu zniknął.

Tel Awiw

Za trzecim razem Spinner podał więcej szczegółów - opisał Habakuka, sposób, w jaki się komunikowali - ale starał się omijać temat Elany, kobiety, z którą spędził noc. Z Elaną chodziło o seks, a Spinner miał się za przystojniaka - Dukas wiedział, że jego męska duma została głęboko zraniona, gdy okazało się, że dziewczyna, która nie mogła mu się oprzeć, jest agentką obcego wywiadu. Poza tym historia zdawała się spójna i kompletna, lecz Dukas był

pewien, że to jeszcze nie wszystko. Przesłuchanie trwało krótko, na tak wczesnym etapie zawsze można się dowiedzieć czegoś więcej. I wtedy Spinner napomknął coś o Alu Craiku, i Dukas nastawił czujnie uszu.

- Skąd wiedziałeś, że Al Craik był w Tel Awiwie, Ray?

- Chodziło o tę sprawę z Qatibem. Pamiętasz, że to ja byłem tym mądralą, który wysłał ci tamtego e-maila w imieniu mojego szefa?

- Tak, ale wtedy nie chodziło jeszcze o Alę Craika. Skąd o nim wiedziałeś?

- Po prostu wiedzieliśmy. Dostaliśmy chyba jakiś raport.

- Jaki raport?

- Dostajemy rozmaitego rodzaju raporty. W końcu to biuro wywiadowcze.

Dukas powstrzymał się od reakcji na to twierdzenie.

- Dostawaliście raporty bezpośrednio stąd.

- No, tak. Właśnie tak dowiedziałem się o Habakuku.

- To Habakuk poinformował was o Craiku?

- Eee... no chyba tak.

- A skąd Habakuk o nim wiedział?

- Habakuk ma swoje źródła. Nie mówił nam wszystkiego.

- Ale żeby Habakuk wiedział o Craiku, musiałby być dosyć blisko tego śledztwa.

Powiedziałeś, że jest intelektualistą. Wykładowcą akademickim.

- Zbierał różne informacje.

- Od Mossadu, jasne, żeby was nimi potem karmić. Ale informacje o Craiku nie mogły pochodzić z Mossadu. Skąd je miał?

Spinner siedział z łokciami na poręczach i splecionymi dłońmi. Zagłębił się w fotelu, jakby nie wiedział, gdzie się podziać z zakłopotania.

- Od kogoś.

- Tak, od kogoś. Ray, nie chciałbym znowu powtarzać, co mogą zrobić z tobą ludzie z CIA, FBI i służby bezpieczeństwa. Wyśpiewasz im wszystko jak na spowiedzi albo nie opuścisz murów tej ambasady. Niczego nie ukryjesz. No, Ray... wiesz coś o tym źródle, prawda? Mów.

Spinner zacisnął wargi. Popatrzył na niego udreńczonymi, zaczerwienionymi oczyma.

- Chcę wreszcie zrobić coś, jak należy.

- Tak, wierzę ci. Wierzę, że właśnie dlatego tu przyszedłeś. Zostałeś wykorzystany, spieprzyłeś sprawę, wykonałeś idiotyczną misję, na którą nikt przy zdrowych zmysłach nie powinien cię wysyłać. A teraz chcesz to naprawić. To dobrze. Mów, Ray.

Spinner westchnął.

- Jest źródło o kryptonimie Debora.

- Tak, dobrze.

- Myślę, że to kobieta. Miała najprawdopodobniej dosyć bliskie, osobiste kontakty z Craikiem, kiedy tu był. Relacjonowała takie rzeczy, których inaczej nie mogłaby wiedzieć. Sposób, w jaki pisała, sugerował, że jest Amerykanką. Ale tutaj jest mnóstwo Amerykanów.

Dukas odruchowo przyłożył rękę do krtani, bo poczuł, jak ściska go w gardle.

- Tak?

- Myślałem, że jest może narzeczoną albo żoną kogoś, kogo Craik zna, z kim utrzymuje kontakty towarzyskie. To był właśnie ten rodzaj bliskości. Ale Habakuk nie chciał mi o niej nic powiedzieć. Twierdził, że to jego najcenniejsza zdobycz. Chciałem spotkać się z nią osobiście, ale się nie zgodził.

Dukas czuł, że ma wypieki na twarzy, serce biło mu jak młotem.

- Debora - powiedział Spinner. Uśmiechnął się półgębkiem. - Sprawdziłem w Internecie żydowskie imiona. Deborah znaczy „pszczoła”. Pracowita pszczołka.

Dukas schował twarz w dłoniach.

- O mój Boże - jęknął.

Mitylena, wyspa Lesbos

- Kim jest ten Amerykanin, Shlomo?

Nawet przez telefon podniesiony głos Davida Tar-Salomana był tak piskliwy, że świdrował w uszach. Odkąd został awansowany ponad głowę Eshkole, przestał się w ogóle miarkować i kontrolować. Zawsze był wściekły. A jego wściekłość prowadziła do błędów.

Shloma przypomniawszy sobie scenę w albańskim deszczu. Ten sam ton. Ta sama złość. A ja muszę po nim sprzątać, myślał. Mówił cierpliwie jak ojciec napominający nastolatka zdolnego do niebezpiecznych zachowań:

- Amerykanin w Atenach był kiedyś uczonym, nazywa się Oldfather, na imię ma Barrymore. Dawniej współpracował z Amerykańską Szkołą Archeologii w Atenach. Pełniejsze dane masz w faksie. Natomiast Amerykanin tutaj, na Lesbos, nazywa się Jack Furman. Ani w Waszyngtonie, ani w Tel Awiwie i Atenach nie można znaleźć żadnych dokumentów, które świadczyłyby, że ten człowiek w ogóle istnieje. Wiemy o nim tylko tyle, że co jakiś czas kupował bilety na prom z Lesbos do Aten i z powrotem, dlatego sądzę, że

nazwisko jest fikcyjne, a tak naprawdę to ten sam facet co Barrymore Oldfather. Rozumiesz wszystko, co mówię, Davidzie?

- Ben-Raz mówi, że mieszkanie w Atenach zostało profesjonalnie wyczyszczone.

Wczoraj. A zespół na Lesbos powiadomił mnie, że wielokrotnie sygnalizowali ci, że ten Amerykanin jest profesjonalistą, a ty ignorowałeś ich doniesienia.

Eshkol odetchnął głęboko, starając się uspokoić.

- Przykro mi, że uznałeś za konieczne rozmawianie z moimi ludźmi za moimi plecami, Davidzie.

- Shlomo, to sprawa najwyższej wagi, musimy działać szybko! Ten cały bajzel wymyka się nam spod kontroli. A teraz na każdym rogu natykamy się na Amerykanów! Nie rozumiesz, Shlomo? Posłuchaj! Ten Amerykanin w Tel Awiwie? Spinner? Wszedł dziś rano do ambasady. Co o tym myślisz?

Shlomo zastanawiał się przez chwilę.

- Potrzebuje paszportu?

- To oni za tym stoją, Shlomo! Amerykanie! Ben-Raz przegrzebał śmieci z mieszkania tamtego Amerykanina w Atenach. Znalazł szkice tłumaczenia napisu na pucharze.

Shlomo skinął na Visemana, żeby przyniósł mu kawy. Wolną ręką zaczął notować.

- Jak dużo udało im się odczytać?

- O wiele za dużo! Więcej niż nam! - Tar-Saloman krzyczał.

- I co tam jest?

- Nie musisz tego wiedzieć - odparł prędko Tar-Saloman.

- Davidzie. Davidzie, to ja prowadzę śledztwo w tej sprawie.

- Treść inskrypcji jest dla tego śledztwa nieistotna. Liczy się to, że Amerykanin miał dostęp do całego pucharu. Albo do tych samych zdjęć co my, a także do tych, których nie mamy. Myślę, że raczej to drugie, Shlomo! Myślę, że nasz człowiek w Teksasie przekazał zdjęcia Amerykanom. To amerykańska operacja. Chodzi im o to, żeby nas zdyskredytować...

- Davidzie, weź się w garść.

Eshkole zaskoczył jego własny ton.

- Stul pysk! Zamknij się i wykonuj rozkazy! Zdobądź puchar. Dorwij dziewczynę.

Zakończ tę sprawę, rozumiesz? Posprzątaj wreszcie ten bajzel.

W domyśle: „Bajzel, którego narobiłeś”.

- Davidzie, dlaczego na litość boską, Amerykanie mieliby dążyć do zdyskredytowania Izraela?

- Chcą nas ukarać za zatrzymanie ich człowieka. A teraz w odwecie za postrzelenie ich oficera w Kairze.

- Czego sam sobie życzyłeś.

Shlomo umiał panować nad emocjami, ale kończyła się jego cierpliwość.

Tar-Saloman nawet się nie zająknął.

- To była operacyjna konieczność, Shlomo. Chcę dorwać dziewczynę i puchar. Natychmiast. Wszelkimi dostępnymi środkami.

- Posłuchaj mnie, Davidzie. Kiedy Amerykanie mieli to ukartować? Spójrz na kolejność zdarzeń! Weź pod uwagę motywy. Amerykanie musieliby mieć całą siatkę szpiegowską wewnątrz Mossadu, żeby zawczasu wiedzieć, kogo pojmiemy i dlaczego. Walczysz z wiatrakami. Musieliby zaplanować operację, jeszcze zanim aresztowaliśmy ich człowieka. To niemożliwe, Davidzie.

- Dorwij dziewczynę. Zdobądź puchar. Wszelkie środki dozwolone. To rozkaz. Wykonaj go albo oddam sprawę Dovowi i niech on ją załatwi.

Eshkol skrzywił się ze wstrętem.

- Na razie nawet nie wiem, gdzie dziewczyna jest. A poza tym, Davidzie, Dov nie potrafiłby jej znaleźć, nawet gdyby leżała goła w jego pokoju.

Połączenie zostało gwałtownie zerwane.

Tel Awiw

- To żona Peretza.

Krew odpłynęła Dukasowi z twarzy i był teraz blady jak ściana. Stał w gabinecie szefowej ekspozytury CIA i opierał się plecami o drzwi, żeby nikt nie wszedł do środka.

- Jest u mnie w biurze facet, zostawiłem go pod opieką strażnika ambasady. Mówi, że strzelali ludzie z Mossadu, a informacje o spotkaniu dostali od Bei Peretz. - Opowiedział jej, że był u Peretza w mieszkaniu wieczorem przed operacją. - Zostawiłem mu swój egzemplarz planu. W rogu strony napisałaś moje nazwisko. Jakimś sposobem trafił w ręce Bei, a ona przekazała go Mossadowi. Dlatego myśleli, że to ja wezmę udział w spotkaniu.

Opierała się łokciami o biurko, z palcami wczepionymi we włosy. Jęknęła głośno. Wyglądała jak postać z mitologii, jak meduza z węzami zamiast włosów.

- O Chryste. J-- Opadła na oparcie fotela. - Jesteś pewien?

- Wierzę facetowi. To egoistyczny dupek, ale mu wierzę. Mossad od tygodnia robił mu wodę z mózgu. Facet ocknął się dziś rano, kiedy usłyszał, że Peretz został postrzelony. - Opowiedział jej, co Spinner zrobił i gdzie był. - Może poświadczyć, że to Mossad zlecił zabójstwo w Kairze, opisał „Deborę” na tyle dokładnie, że ją zidentyfikowałem, jeszcze zanim wspomniał o tej pszczoł⁸. To żaden dowód, ale jak często możemy liczyć w takich sprawach na dowody?

Sięgnęła po telefon.

- Każę ją zgarnąć.

- Już jej pewnie nie ma. - Kiedy z ręką na telefonie popatrzyła mu w oczy, wyjaśnił: - Ci w Mossadzie nie są na tyle głupi, żeby spuścić Spinnera z oka. A facet nie zauważyłby, że ktoś go śledzi, nawet w pustym autobusie. W chwili, gdy przekroczył bramę ambasady, już wiedzieli, co się święci. Byliby niespełna rozumu, gdyby jej jeszcze nie zabrali. - Wzruszył z rezygnacją ramionami, - Dzisiaj rano zadzwoniłem do niej do domu, żeby powiedzieć to, co się zwykle mówi w takich sytuacjach... że mi przykro z powodu Abe'a i tak dalej... Telefon odebrała kobieta, która przedstawiła się jako „Esther”. Przypuszczam, że pilnuje Bei albo się nią opiekuje z ramienia Mossadu. Bez problemu udałoby jej się wyprowadzić ją z domu.

- Mimo wszystko spróbujemy. - Zadzwoniła, gdzie trzeba i uniosła dłoń, żeby jeszcze został. Kiedy odłożyła słuchawkę, powiedziała: - Jestem ci wdzięczna. Osobiście wdzięczna. Ale teraz chciałabym, żebyś opuścił kraj.

- Naraziłem się czymś?

- Weźmiemy Spinnera w obroty. Nie chcę, żebyś był w pobliżu. Powiedziałam ci, że jeśli się wychylisz, dostaniesz po głowie. - Spojrzała na zegar stojący na biurku. - Zamierzam poprosić ambasadora, aby skrócił ci pozwolenie na pobyt do godziny ósmej jutro rano. Wcześniej będziesz miał kilka samolotów. Wsiądź do jednego z nich, Mike, dobrze?

Uśmiechnął się półgębkiem.

- Dobrze.

Kiedy wrócił do swojego gabinetu, Spinnerowi towarzyszyli już dwaj młodzi mężczyźni. Wyglądali jak większość agentów FBI - podgolone po bokach włosy, garnitury jak z lat siedemdziesiątych i odpowiednio srogie miny, jakby aspirowali do roli następnego J. Edgara Hoovera. Spinner stał już między nimi, gotowy do wyjścia. Dukas zagroził im drogę. Spojrzał Spinnerowi w oczy i nagle zrobiło mu się go żal. Jego życie miało się niedługo bardzo skomplikować.

⁸ Po angielsku słowo „pszczoła” (bee) brzmi podobnie do imienia Bea (przyp. tłum.).

- Wiem, że to było dla ciebie trudne - powiedział Dukas. - Ale dobrze się spisałeś. To najlepsze, co w życiu zrobiłeś.

Odsunął się na bok.

Zabrał się do spisywania tej części zeznań, która mogła się natychmiast przydać Kasserowi w centrali SDK. Był w połowie roboty, kiedy zadzwonił telefon.

- Zniknęła - oznajmiła szefowa ekspozytury. - Obie córki również. - Zawahała się. - Przykro mi, że tak to się skończyło.

- Tak... to rzeczywiście przykre. - Opowiedział jej o Miriam Gurion i poprosił, żeby do niej zadzwoniła, kiedy się ze wszystkim upora. - Kobieta jest w porządku. Zrób mi tę przysługę, dobrze?

- Dlaczego ja?

- Chyba dlatego, że myślę, że też jesteś w porządku.

Zrobił dla niej kopię kasety z przesłuchaniem Spinnera i wrzucił ją do koperty. Kiedy wypisywał na kopercie jej nazwisko, zabrzączał telefon. Głos w słuchawce poinformował go, że ma rozmowę na bezpiecznej linii i może odebrać w sekretariacie. Dzwonił Kritikiou z Aten. Przez chwilę Dukas miał w głowie zupełną pustkę, dopiero potem przypomniał sobie, o co chodzi.

- Pułkowniku Kritikiou! Dzięki, że oddzwoniłeś. Moja greka jest okropna. Przepraszam, że nękam cię w niedzielę. - Zobaczył, że urzędnik przy centrali telefonicznej marszczy brwi, bo mówił w języku, którego nikt w telawiwskiej Ambasady nie mógł zrozumieć. - Mam nadzieję, że mnie pamiętasz.

- Gdybym nie pamiętał tygodni, które spędziliśmy razem w Bośni, Michael, nie pozwoliłbym ci ścigać mnie w domu ani w niedzielę, ani w inne dni tygodnia. Twoja greka jest bardzo dobra, choć chyba nigdy nie zrozumiesz różnicy między językiem oficjalnym i nieoficjalnym. Mówisz do mnie jak do członka rodziny.

- Tylko taki język słyszałem u siebie w domu,

- Cóż, nie szkodzi. W naszej branży wszyscy jesteśmy jedną wielką rodziną.

Roześmiali się. Obaj byli cynikami.

Kiedy przeszli do sedna sprawy, Dukas oznajmił: - Chcę zdeklarować agenta. Chodzi tylko o spotkanie na greckiej ziemi. Sprawa dotyczy kradzieży zabytków, ale nie z Grecji. Z Palestyny. To nie ma nic wspólnego z greckim bezpieczeństwem narodowym. - Powiedział mu o zbliżającej się podróży Ala Craika na Lesbos, zapewnił, że to tylko krótkie spotkanie pro forma. - Nie będzie żadnego przekazywania informacji. To tylko spotkanie kontaktowe. A

osoba, z którą Craik miał się zobaczyć, nie jest obywatelem Grecji. W ogóle sprawa nie ma nic wspólnego z Grecją.

- To dlaczego mi o tym mówisz, Michael?

-Ponieważ tak się powinno to załatwiać. „Regulaminowo”.

Znów obaj się roześmiali.

Dukas wrócił do wklepywania fragmentów przesłuchania na laptopie, a potem posprzątał gabinet, usuwając wszelkie ślady swojej bytności. Rozglądał się właśnie po raz ostatni po pokoju, gdy zadzwonił Triffler ze sprawozdaniem z Kairu. Dukas wysłuchał go, podziękował i powiedział, żeby wracał im domu.

- Myślałem, Mike, że będziesz chciał, żebym tu został, dopóki nie zbiorą wszystkich faktów.

- Już po wszystkim. Poproś swojego kumpla w Kairze, żeby przysyłał ci następne wyniki na bieżąco. Poza tym mamy się nie wtrącać do dochodzenia, równie dobrze możesz więc wrócić do domu. Ja zresztą też.

Na koniec wstąpił do innego biura i sprawdził w Internecie rejsy samolotów, którymi mógłby wrócić do Neapolu.

Eressou, wyspa Lesbos

Rashid siedział na podłodze dwuizbowego domku wynajętego w Skala Eresson. Żałował, że wrócił do swoich.

- Potrzebujemy broni - mruknął Al Dahgma.

Rashid starał się go ignorować i czytać swoją książkę, byle nie brać udziału w tym, co się działo.

Franji, ten starszy, ten, którego Rashid już nienawidził - za dużo wody kolońskiej, za dużo poszturchiwania, za dużo gniewu - powiedział ostrożnie:

- Ktoś przyjedzie dziś wieczorem z bronią i nowymi rozkazami od pułkownika. Tylko tyle musimy wiedzieć. - Franji miał wyraźnie na myśli: „Tylko tyle wy dwaj musicie wiedzieć”.

Rashid nie wiedział, którego z nich mniej lubi i bardziej się boi. Al Dahgma był gniewny i niebezpieczny. Pan Franji był starszy, ostrożniejszy i znacznie bardziej bezwzględny. Uderzył Rashida w twarz, gdy ten wrócił.

Franji podszedł teraz i stanął nad chłopakiem.

I Opowiedz mi jeszcze raz o swoim amerykańskim przyjacielu.

Rashid nie podniósł wzroku.

- On nie jest moim przyjacielem.

- Powiedziałeś, że uratował cię przed Izraelczykami. Dlaczego? Dlaczego miałby to robić? Żydzi i Amerykanie dzielą wspólne łoże. Dlaczego więc twoim zdaniem Amerykanin cię uratował? Może chciał, żebyś dla niego pracował?

Rashid wpatrywał się w książkę, mimo że przez ostatnią godzinę nie zdołał przeczytać nawet zdania.

- Powiedziałem wam o miejscu spotkania. Przekazałem wam wszystko, co wiem. A gdybym dla niego pracował, to po co miałbym wracać?

- Żeby nas szpiegować, gówniarzu, i donosić o naszych poczynaniach.

Rashid podniósł wzrok, ale zareagował zbyt wolno i ręka Franjiego uderzyła w książkę, która trzasnęła go w policzek. Głowa Rashida odskoczyła do tyłu, objając się o ścianę. Chwycił się oburącz za czaszkę, żeby stłumić ból.

- Jakich poczynaniach? - prychnął. - Gdybym wam tego nie powiedział, nie wiedzielibyście nawet, gdzie jest!

Franji uderzył go jeszcze raz, otwartą dłonią w ucho. Krew napłynęła Rashidowi do nosa, w głowie zadzwoniło.

- Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, Amerykanin i dziewczyna zniknęli stamtąd, zanim tu dotarłeś. Gdzie teraz są? Gdzie są?

Po każdym pytaniu walił Rashida w twarz.

Rashid zwinął się w kłębek na podłodze, próbując się osłonić.

Al Dahgma wstał.

- Tracisz tylko czas. On nic nie wie. Jest pupilkiem pułkownika, nie wbiłby nam noża w plecy.

Franji zostawił Rashida.

- Na pewno coś wie - prychnął z odrazą.

Al Dahgma wzruszył ramionami.

- Cokolwiek wie, jest to bez znaczenia. Podał nam ich plan podróży. Musimy się przygotować do schwytania dziewczyny.

Franji przemierzył pokój, usiadł na jedynym krześle, zapalił papierosa.

- Mamy inną misję.

Al Dahgma drgnął.

- Co znowu?

- Żydowscy agenci zabili wczoraj w Kairze kogoś z naszych. Pułkownik mówi, że mamy zabić żydowskich agentów tu, na wyspie. - Franji zamachał papierosem. - Tak szybko, jak to możliwe.

Al Dahgma się ożywił.

- Od początku tak mówiłem. Będziemy potrzebowali broni. A gdzie są ci agenci?

Franji zaciągnął się głęboko i popatrzył tępo w przestrzeń.

- Będziemy musieli ich znaleźć.

Znów się zaciągnął.

Jego młodszy towarzysz zaczął chodzić w tę i z powrotem.

- Przybyli tu w poszukiwaniu dziewczyny. Na pewno.

Franji kiwnął głową.

- Tak mówi pułkownik. Musimy wywabić ich z ukrycia. - Odwrócił się i spojrzał na Rashida. - Chyba nawet wiem jak.

Agiassos, wyspa Lesbos

Kiedy wreszcie się ze sobą przespali, podparła się na łokciu i pochyliła nad nim głowę, tak że jej włosy laskotały go po twarzy.

- Posłuchaj mnie, dobrze?

Piat wciąż się zastanawiał, jak doszło do tego, że jego ciało zareagowało zupełnie inaczej niż poprzednio.

- Zamieniam się w słuch.

- Jak bardzo źle wygląda moja sytuacja?

Mówiła trzeźwo i chłodno, jakby seks pozbawił ją wszelkich złudzeń.

- Jeżeli uda nam się wydostać jutro z wyspy... - Piat zastanawiał się, czy nie skłamać, ale ostatecznie się rozmyślił. Okoliczności i tak przemawiały przeciwko kłamstwu. - Nie wiem, Saido. Ale mnóstwo ludzi poszukuje pucharu. A my od dwóch dni tkwimy w tym samym miejscu.

Pokiwała głową.

- Czy wciąż mogę się łudzić, że dostanę mnóstwo pieniędzy? Czy to już przegrana sprawa?

- Sprawa nie jest przegrana. Ale jutro może być ciężko.

- A puchar? Czy naprawdę jest wart tyle forsy?

- Pojutrze w Izmirze mamy się spotkać z kupcem, kochanie. I owszem, puchar naprawdę jest tyle wart.

Piat nie chciał teraz myśleć, że być może sprzeda ją Dukasowi za paszport, a dopiero potem sprzeda puchar.

- Boję się - wyznała i wtuliła się w niego. - Naprawdę nie wymyśliłeś tych wszystkich pieniędzy tylko po to, żeby mnie przelecieć?

Piat znów spróbował spojrzeć na siebie jej oczyma. Milczał przez dłuższą chwilę, oceniając przepaść między nimi. Pomyślał o wydaniu jej Mike'owi Dukasowi.

- Nie - odparł.

Raczej na odwrót, pomyślał.

Objęła go.

- Boję się - powtórzyła.

Ja też, pomyślał Piat. Wyciągnął szyję, żeby zerknąć na zegarek, który położył na nocnej szafeczce.

Eressou, wyspa Lesbos

Rashid zbudził się, słysząc samochód przed domem. Nie spał dobrze, bo bał się swoich towarzyszy i twarz bolała go bez względu na to, jak układał głowę.

Franji podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, a potem wymknął się za drzwi. Na dworze rozległy się rozmowy po arabsku, potem dźwięk otwieranych i zatraskiwanych drzwiczek, a wreszcie Franji wrócił do domu, prowadząc za sobą wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę.

- To Gunaym - powiedział, wskazując przybysza.

Al Dahgma podszedł bliżej i uściśnął mu dłoń. Przybysz się nie uśmiechnął.

- A kto tam jest na podłodze?

- Gówniarz, którego zwałił nam na łeb pułkownik.

Gunaym podszedł i przykucnął obok Rashida.

- Nieładnie byłoby nie powitać nowego towarzysza - stwierdził. Przyłożył dłoń do twarzy Rashida i chłopak drgnął. - Zdaje się, że coś go boli.

Rashid podniósł wzrok i zobaczył, jak Franji macha ręką.

- On się nie liczy. Myślę, że może próbować nas zdradzić, dlatego usiłowałem wpoić mu trochę dyscypliny.

Gunaym spojrział znowu na Rashida, a potem wstał.

- Jeśli nas zdradził, to powinien być martwy, a jeśli potrzebuje dyscypliny, powinien czytać Koran. Nie rozumiem, jak ma się do tego bicie.

Franji zaprotestował, lecz przybysz po prostu uniósł rękę.

- Teraz to jest operacja bojowa, przyjaciele. Przejmuję dowodzenie i odpowiedzialność za wszystkie jej aspekty. Zrozumiano?

Popatrzył na Franjiego i al Dahgmę.

Al Dahgma pokiwał potakująco głową.

Franji zaprotestował.

- To moja operacja.

- Już nie - odparł przybysz. - Pomóżcie mi wnieść resztę rzeczy. - Odwrócił się do Rashida. - Ty też.

Rashid podniósł się i wyszedł za Gunaymem w mrok. W samochodzie leżały dwie narciarskie torby i Gunaym podał mu jedną. Chłopak wziął ją za uchwyt i zaniósł do domu, była ciężka i wybrzuszona z jednej strony tak, że obijała mu się o udo, kiedy szedł. Nie musiał czekać na jej otwarcie, żeby domyślić się, co jest w środku.

Nowy dowódca przyniósł drugą torbę narciarską i dwie walizki z bagażnika. Rzucił je na łóżku i otworzył. Tak jak Rashid się spodziewał, w ciężka narciarskiej torbie był karabin.

Gunaym położył karabin na materacu razem z dwoma automatycznymi berettami i zaczął rozdawać towarzyszom magazynki z amunicją.

- Czy któryś z was przeszedł przeszkolenie z bronią palną?

Oślupiały Rashid pokręcił powoli głową. Franji nieznacznie skinął, a al. Dahgma potaknął z entuzjazmem i zaczął rozkładać jeden z pistoletów, demonstrując swoje obycie z bronią.

- Ruger - powiedział podekscytowany.

Gunaym się uśmiechnął.

- Dobrze. W takim razie ty i ja weźmiemy karabin i pistolety. Wiecie, gdzie znajdziemy Izraelczyków, jak sądzę?

Franji wskazał podbródkiem Rashida.

- Powiedział nam, gdzie Amerykanin i dziewczyna zamierzają wsiąść na łódź do Turcji. O Izraelczykach nic nie wiemy. Ale mam pomysł, jak ich znaleźć.

Gunaym pokiwał głową.

- Jesteście tu od trzech dni i nie macie pojęcia, gdzie są Izraelczycy? - spytał. Zaczął rozkładać swój karabin.

- Izraelczycy nie mieli nic wspólnego z moją operacją.

Franji wyraźnie się bronił. Rashid przyjął nowy obrót wypadków z mieszaniną radości i lęku.

Gunaym znów pokiwał głową.

- To zmień nastawienie. To operacja bojowa. Mamy zabić izraelskich agentów. Jeśli przy okazji zdołamy odzyskać puchar, to tym lepiej. Jeśli nie, to trudno. Zresztą wszystko jest w rękach Allacha. - Skupił się na wyjmowaniu ciężkiej sprężyny na trzonie z komory zamka. - Opowiedz, jaki macie plan.

Franji wskazał na Rashida.

- Wyprowadzimy go jak kozła na postronku i zwabimy lwa.

Gunaym spojrział na Franjiego, a potem na Rashida i podrapał się po brodzie.

19.

Tel Awiw

Dochodziła czwarta nad ranem. Dukas został wyciągnięty ze snu tak, jak wyciąga się z ziemi dżdżownicę.

- Tysiąc sześćset czterdzieści trzy - wychrypiał numer swojego pokoju.

- Proszę czekać - usłyszał kobiecy głos z obcym akcentem. Głos był władczy, dość głęboki, ale na pewno kobiecy. - Proszę czekać na połączenie z ważną osobą.

A odchrząnięcie się, pomyślał z odrazą, jeszcze zanim się do końca obudził. Przypuszczał, że to ktoś z Mossadu albo ministerstwa spraw zagranicznych z wiadomością, że powinien spieszyć z Izraela jak najszybciej.

Ha, ha, pobite gary, już i tak zwijam manele, pomyślał.

- Agencie specjalny Dukas!

Tym razem głos był męski, z cięższym akcentem i zły jak żmija z ułamanym zębem jadowym. Złość sączyła się przez linię telefoniczną jak trucizna.

- Tu pułkownik Mahmud Hamal! Prawdopodobnie zna mnie pan pod przydomkiem Poborca Podatkowy - powiedział z bezbrzeżną odrazą.

Zanim Dukas zdążył zareagować, Hamal wypluł z siebie rwący potok słów:

- Wy sługusy Mossadu, słyszycie mnie? Tu Hamal! Zamordowaliście moją kobietę, moje serce, wy skurwiele, wy brudne świnię, wy parszywe psy! Wy... Żydzi! Dukas, słyszysz mnie? Słyszysz, co do nich mówię?

- Nie jestem sługusem Mossadu, pułkowniku.

- Powiedz, że to nie ty zorganizowałeś spotkanie, na którym moja kobieta, moje serce, została zabita!

- Nie wiem nic o żadnym spotkaniu.

- Wiesz wszystko! Masz mnie za głupca? Za dziecko? - Hamal krzyczał. - Przekroczyłeś granicę i pojechałeś do Tel Sharm Heir'at! Podpytywałeś robotników! Szukasz zabójców Salema Qatiba! Co? Myślisz, że zgodziłem się na spotkanie i rozmowę o zabytkach, i nie wiem, że ty za tym stoisz?

- Jakie spotkanie?

Zaległa cisza. Kiedy Hamal znowu się odezwał, mówił znacznie spokojniej.

- Wiesz jakie - powiedział z naciskiem. - Spotkanie w Kairze. Twój człowiek, czarny, był dzisiaj w Kairze i zadawał pytania. Wiem, że to ty, agencie specjalny Dukas. Teraz mam ci coś do powiedzenia, ale najpierw chcę usłyszeć, że nie zorganizowałeś tego spotkania, żeby zabić mnie albo moją kobietę. Powiedz to!

- Nie, nie zorganizowałem żadnego spotkania, żeby zabić pana czy kogokolwiek innego.

- Jeśli to nie ty i nie wasze CIA, to Żydzi. A teraz mówię im: zapłacicie krwią. Za nią zapłacicie dziesięć razy. Słyszycie, Żydzi? Dziesięciu z was!

Dukas słyszał jego oddech, prawie dyszenie.

- Dziesięciu - powtórzył Hamal, teraz prawie szeptem. - A zacznę od tych czterech na Lesbos.

Dukas zmarszczył brwi. Czy Hamal mógł rzeczywiście wiedzieć, że na Lesbos są agenci Mossadu? Jerry Piat powiedział, że ktoś go ściga... czy chodziło mu o Mossad? Dukas zastanawiał się teraz szybko, co to oznacza dla Craika, który był w drodze na wyspę.

- Dukas?

- Tak, pułkowniku.

- Teraz mam wiadomość dla ciebie. Teraz powiem ci, kto zabił Salema Qatiba. To nie byłem ja ani moi ludzie. Mówię ci to, bo chcę, żebyś zobaczył, jak załatwia się sprawy tu, gdzie jesteś. Salem Qatib okradał swoich szefów w Hamasie. Ukradł im Bóg wie ile zabytków. Złapaliśmy go, owszem. Przesłuchaliśmy go, tak. Pobiliśmy go, to prawda. Ale żył, kiedy Żydzi przyjechali i go zabrali, i to Żydzi uznali, że ma umrzeć. Myślą, że są Bogiem.

Dukas zastanawiał się, jakie to dziwne, że Mossad prawie na pewno to wszystko słyszy. A raczej usłyszysz, bo prawdopodobnie rozmowy były nagrywane automatycznie i odsłuchiwane dopiero dzień albo dwa później. Czy wtedy też będzie słychać tyle jadu i nienawiści, ile on słyszał na żywo?

- Ale pan nie jest z Hamasu - zauważył Dukas ostrożnie.

- Hamas czasami dogaduje się z nami, gdy obie strony mogą na tym skorzystać.

- Płaci wam haracz. - Kiedy nie padła żadna odpowiedź, zapytał: - Skąd Mossad wiedział o wykopaliskach?

Hamal prychnął.

- Szpieg Mossadu im doniósł. Przyznaję, są wśród nas szpiegzy Mossadu. To nieuniknione. Ta gnida, ten wór gnoju wiedział o wykopaliskach i znał specjalny numer, pod który miał się zgłaszać z informacjami. I zadzwonił.

- Skąd pan to wie?

Hamal wrzasnął do telefonu:

- Myślisz, że po tym, jak zabili mi kobietę, będę udawał, że nic się nie stało?! W waszej Biblii jest historia, agencie specjalny Dukas, o człowieku, który obalił podpory domu, ponieważ został zhańbiony! Powiedziałem, niechaj mój dom się zawali, ale znajdę zdrajców i zmuszę ich do mówienia! Jeden z nich okazał się tym, który zadzwonił i wydał Qatiba. Przyznał się.

- Z kim w Mossadzie się skontaktował?

- Myślisz, że taki nędzny śmieć mógł to wiedzieć? Myślisz, że Mossad mu ufał? Na pewno nie, agencie specjalny Dukas. Kontaktował się z jakimś Izraelczykiem bez nazwiska albo występującym pod fałszywym nazwiskiem. Ale wiem, że ten Izraelczyk służy w Sekcji Szesnastej. Znasz Sekcję Szesnastą, jak sądzę.

Shlomo Eshkol. David Tar-Saloman. Tak, znam Sekcję Szesnastą, pomyślał Dukas.

- Teraz podam ci ten numer telefonu, agencie specjalny Dukas. Podam ci go i sam podążysz tym tropem, aż znajdziesz właśnie tego człowieka w Sekcji Szesnastej, który zabił Salema Qatiba. I powiem ci coś jeszcze: przyjechali samochodem, było ich czterech i zabrali Qatiba z terenu wykopalisk. I go zabili. Zabili go torturami, bo był tylko palestyńskim psem. Torturowali go, bo chcieli się dowiedzieć, co znalazł. I torturowali go, aż skonał.

Następnie Hamal podał mu numer telefonu. Dukas zapisał go i odczytał, a Hamal potwierdził, że dobrze zanotował. A potem rzucił coś, co zabrzmiało jak arabskie przekleństwo, i się rozłączył.

Dukas powinien wtedy od razu skontaktować się z Tedem Kasserem, ale podniósł słuchawkę i wykręcił numer, który podał mu Hamal, numer, który informator Mossadu wydał w trakcie tortur. Odebrała kobieta, która powiedziała coś, chyba po arabsku. Jest tylko sekretarką, pomyślał, odbiera zgłoszenia od informatorów. Mogła jednak przekazać wiadomość. Dukas rzekł więc:

- Tu agent specjalny Dukas ze Służby Dochodzeń Kryminalnych Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Proszę powtórzyć Shlomowi Eshkolowi, że musi ze mną porozmawiać. Proszę mu powiedzieć, że chcę się spotkać.

Potem się rozłączył, myśląc, że teraz zadzwoni do Kassera i jeśli zdoła go przekonać, że to, co powiedział Hamal, jest prawdą, sprawa będzie skończona. A potem odwoła wyjazd Craika na Lesbos i Jerry Piat będzie sobie musiał radzić sam.

Kasser miał w domu bezpieczny telefon, jeden z przywilejów stanowiska. Ale rozwiązanie miało także swoje wady: ludzie tacy jak Dukas dzwoniли do niego, gdy myślał, że jego dzień pracy dobiegł już końca. W Waszyngtonie był właśnie wieczór. Dukas wyłożył mu wszystko, łącznie ze sprawą Spinnera i kategorycznie stwierdził, że trop szyfrów to bzdura.

- Nie pozwól im zmienić żadnych szyfrów. To bez sensu. Nie chodzi w ogóle o kryptologię.

- Ludzie z Departamentu Obrony twierdzą, że mają na to solidne argumenty, Mike.

- Mają solidne argumenty, bo jeden facet serwował im kłamstwa Mossadu na złotym półmisku! Ted, oni się po prostu mylą!

- Próbowalesz kiedyś przekonać fanatyka, że się myli?

- Poproś, żeby przedstawili dowody. Nie mają czego pokazać.

- Już trąbią wszystkim o „lepszych źródłach” i „informacjach z pierwszej ręki”. Mnóstwo ludzi im wierzy.

- Ted, na litość boską, istnieje coś takiego jak prawda.

- Prawdą jest to, o co się najbardziej zażarcie forsuje, przecież wiesz, Mike. A ci faceci mają za sobą kancelarię wiceprezydenta. Czy jesteś w stanie, w tej sekundzie, udowodnić, że w sprawie Qatiba nie chodzi o szyfry?

- Jezu, nie mogę udowodnić, że chodzi w niej o kreacjonizm, ale na pewno mogę wykazać, że chodzi o zabytki i pieniądze.

- Możesz to udowodnić? Na mur beton, zgodnie z kryteriami sądowymi?

Dukas tracił już cierpliwość.

- Przecież nie idziemy z tym do sądu!

- Ale musisz przekonać kilku bardzo sceptycznych ludzi.

- Wobec czego są tak cholernie sceptyczni? Czy kiedykolwiek, do licha, udało nam się zebrać informacje wywiadowcze, które na sto procent ostałyby się w sądzie?

- Właśnie stąd bierze się ich sceptycyzm. Twierdzą, że mają solidne dowody, a my kombinujemy. Interpretujemy. Spekulujemy.

- Gówna prawda!

- Mamy tu nowy świat, Mike. W tej sprawie musimy dysponować dowodami. Dostarcz mi dowody. Dobrze? Dostarcz je albo marynarka wyda paręset milionów dolarów z powodu skutecznej akcji dezinformacyjnej Mossadu.

Dukas westchnął.

- Cóż. - Spojrzał na zegarek. Zbliżał się świt. - Kiedy?

- Pojutrze ma się odbyć zebranie „komitetu do spraw oceny wyników wywiadowczych”. To też pomysł kancelarii wiceprezydenta. Myślę, że zwycięży to, co ten komitet uzna za prawdę. Musisz się jeszcze pomęczyć przez te parę dni, Mike.

Dukas zamierzał dać sobie spokój z Jerrym Piatem i Lesbos. Ale teraz musiał porzucić ten pomysł. Jerry Piat mógł dostarczyć informacji, które pozwoliłyby ostatecznie połączyć wszystkie elementy układanki i skonstruować spójny, logiczny wywód.

Dukas położył nogi na łóżku i pomyślał o zadaniu, jakie powierzył Alowi Craikowi. Z powodu jednego telefonu zmieniło się ono z prozaicznego spotkania kontaktowego w misję wysokiego ryzyka. Zanosilo się na powtórkę zlecenia, jakim Dukas obarczył Craika w Tel Awiwie i Peretza w Kairze. Jeśli Hamal zamierzał spełnić swoją groźbę i zabić agentów Mossadu na Lesbos - a wydawało się logiczne, że ludzie, którzy ścigali Piata, są właśnie z

Mossadu - to jakiegokolwiek spotkanie z Piatem jest bardzo ryzykowne i niesprawiedliwie byłoby posyłać na niego Craika. Dukas westchnął, położył rękę na telefonie i zastanowiwszy się krótko nad najlepszym planem działania, zadzwonił do biura SDK w Neapolu. Była tam czwarta nad ranem i oficer dyżurny, który odebrał telefon, sprawiał wrażenie trochę zaspanego. W biurze miał do dyspozycji połówkę i prawdopodobnie się na niej zdrzemnął. Dukas kazał mu sprawdzić godzinę przylotu Craika, a potem wysłać kogoś z biura w Atenach na lotnisko, żeby zawrócił Craika do domu.

Szczęściarz, pomyślał, bo sam zabrał się następnie do szukania połączeń lotniczych, które pozwoliłyby mu dostać się do Aten, a potem na Lesbos. To on prowadził dochodzenie, było więc logiczne, że powinien spotkać się z Piatem sam. Okazało się, że może dotrzeć na wyspę o piętnastej trzydzieści pięć miejscowego czasu, za późno na pierwsze spotkanie, ale na tyle wcześnie, by zdążyć na spotkanie awaryjne. Spotkanie awaryjne miało się odbyć wieczorem, co oznaczało, że musi zostać na Lesbos do rana i dopiero wtedy złapać samolot do Neapolu, a więc w domu będzie najwcześniej o godzinie... Skrzywił się z obrzydzeniem.

Jeszcze raz sprawdził rozkłady przelotów w nadziei, że może jednak uda mu się zdążyć na spotkanie o drugiej. Nic z tego. W zimie samoloty lądowały w Mitylenie na Lesbos tylko o szóstej trzydzieści rano, a potem dopiero po południu.

I wtedy uświadomił sobie, że Craik, aby zdążyć na pierwsze spotkanie, musiał wylądować na Lesbos rano, w związku z tym wylatywał z Aten około... o, cholera, za dwadzieścia minut.

Znowu zadzwonił do Neapolu. Oficer dyżurny skontaktował się już z biurem w Atenach. A tamci próbowali dodzwonić się do Craika na pager, zanim wsiądzie do następnego samolotu.

Dukas spojrzął na zegarek. Miał godzinę, żeby się spakować i znaleźć na lotnisku, jeśli chciał zdążyć na lot do Aten. Gdyby nikomu nie udało się skontaktować z Craikiem, który w związku z tym pojechałby na ryzykowne spotkanie, Dukas mógł przybyć parę godzin później i wysłuchać opowieści o tym, jak strasznie wszystko się pochrzało.

Eressou, wyspa Lesbos

Gunaym łagodnie obudził Rashida. W nocy, po rozłożeniu i wyczyszczeniu broni, a także po sprawdzeniu sprzętu komunikacyjnego, rozłożył swoją karimatę obok chłopaka i

jego obecność pomogła Rashidowi zasnąć. Teraz potrząsał jego ramieniem tak długo, aż Rashid otworzył oczy.

- Modlisz się? - zapytał.

- Kiedyś się modliłem - odparł Rashid, przecierając oczy.

Zaraz potem spojrział na Gunayma, spodziewając się potępienia.

- Chciałbyś się ze mną pomodlić? Jest piękny ranek.

Zwinąwszy karimatę, Gunaym podniósł się jednym płynnym ruchem, umył w zlewie ręce i ruszył do drzwi.

Rashid wyszedł za nim. Różowa poranna zorza oświetlała wszystko, sprawiając, że samochód, dom i żwir na podjeździe wyglądały równie pięknie.

Gunaym skierował się w stronę plaży, która zakrzywiała się łagodnym łukiem od północy, znikając z pola widzenia ponad dwa kilometry dalej. Zrzucił klapki, rozwinął karimatę na wilgotnym piasku i uklęknął, siadając na stopach. Rashid schylił się, żeby uklęknąć na piasku, lecz Gunaym wskazał mu miejsce na swojej karimacie.

Modlili się razem, zwrócenii twarzami do Mekki i różowego nieba na wschodzie.

Kiedy skończyli, Gunaym zwinął matę.

- Chodź, zrobimy sobie spacer - powiedział.

Gunaym szedł szybkim krokiem po mokrym piasku na południe, w stronę wylotu strumyka u podnóża góry wznoszącej się pięćset metrów nad poziomem morza. Rashid podążał za nim skrajem plaży.

- Dlaczego przyłączyłeś się do Amerykanina? - zapytał ni stąd, ni zowąd Gunaym.

- Na początku... na początku mi groził. Powiedział, że to przeze mnie obserwują go Izraelczycy.

Gunaym odwrócił się i spojrział na niego.

- I to była prawda?

- Tak. Nawet nie wiedziałem, że za mną chodzą. - Rashid wziął wdech, żeby mówić dalej, ale zawahał się, bo nie był pewny, co powiedzieć. I po co w ogóle te pytania. W końcu wrzucił ramionami. - To znaczy, wiedziałem. Zaczynałem ich zauważać. Ale śledziłem... Amerykanina.

- A potem?

- Polubiłem go. Uczył mnie wielu rzeczy. Pokazał, jak unikać inwigilacji. To dobry człowiek. Był dla mnie miły.

Gunaym pokiwał głową.

- Amerykanie są miłymi ludźmi. - Zwolnił kroku i spojrzął w morze. - A potem z nim zostałeś?

- Tak.

- Dlaczego do nas wróciłeś?

- Amerykanin zabrał Saidę. Wie pan...

- Jasne. Wiem, kim jest Saida.

Gunaym przełożył karimatę przez ramię i ruszył dalej.

- Ona... my... ja... przespaliśmy się ze sobą. Saida wiedziała, przez cały czas, że Salem nie żyje. Ale to było złe. A potem... potem pomyślałem, że pójdzie do Amerykanina, a on chce nas tylko ze względu na pieniądze. A może myślałem...

Nagle uzmysłowił sobie, że tak naprawdę myślał, że Amerykanin będzie wolał Saidę od niego, tak jak Salem. Na myśl o tym poczuł się mały. Zastanawiał się, czy Amerykanin w ogóle o nim myśli.

Gunaym przyglądał mu się uważnie.

Rashid nie chciał mówić już nic więcej. I tak powiedział za dużo.

Byli daleko od domku, prawie u podnóży zwodniczo odległej góry. Rashid zapytał:

- Zabije mnie pan?

- Nie - odparł Gunaym. - Teraz nie. - Wzruszył ramionami. - Możliwe, że zrobiłbym to wcześniej. Czy teraz będziesz pracował dla nas?

Rashid pokiwał powoli głową.

Gunaym odwrócił wzrok, śledząc mewę w locie.

- To może być nasz ostatni poranek na tej ziemi.

Rashid przygotował się na religijne obietnice zbawienia. Słyszał je już od przyjaciół matki działających w Harnasie. Gunaym sprawiał takie wrażenie.

- Jeśli tak, to będę za tym tęsknił.

Gunaym nabrał garść piasku i rzucił go na wiatr.

Kiedy wracali plażą do domku, Gunaym powiedział Rashidowi, czego po nim oczekuje.

- Codziennie będziesz jechał do innego miasteczka. Molivos, Eressou, Kalonis, Mityleny, jeśli zajdzie taka potrzeba. Potem będziesz siadał w kawiarni i czekał. Franji nie jest głupcem, Rashidzie. Ściągniesz uwagę Izraelczyków. Wtedy pójda za tobą.

Na samą myśl Rashida przeszły ciarki.

- Jestem przynętą.

- Tak.

Gunaym wzruszył ramionami.

- A co z plażą? Dziś wieczorem?

- Będziemy tam. Ale nie spodziewam się, że twój Amerykanin po prostu wpadnie nam w ręce. Muszę przygotować jakiś podstęp, żeby go zwabić.

Rashid zamilkł, zamykając się w sobie.

Wreszcie, gdy widać już było domek, Gunaym położył mu dłoń na ramieniu.

- Ci mężczyźni, ci czterej. To oni zabili Salema. Nie tacy jak oni, nie inni agenci, lecz właśnie ci czterej. Torturowali go, a potem zabili.

Rashid przekrzywił lekko głowę i uważnie spojrzął Gunaymowi w twarz.

- Wie pan to? Czy pułkownik Hamal kazał panu to powiedzieć?

- Poleciał mi to powiedzieć. Tak. Schwytaliśmy człowieka, który szpiegował na rzecz Mossadu. Powiedział nam wszystko.

Rashid zadrżał pomimo jasnego zimowego słońca. W ciągu ostatnich kilku dni przeżył dość, by domyślić się, co to zdanie może znaczyć. Rashid Pomyślał: informator stracił życie tak jak Saleem. I po co?

Wszyscy są tacy sami, uzmysłowił sobie po chwili.

- Zrób to, a pomścimy Salema - powiedział Gunaym.

Po raz pierwszy pomszczenie Salema nie wydało mu się dobrym pomysłem. Czy śmierć informatora pomściła śmierć Salema? Czy to miało jakieś znaczenie? Starał się nie zdradzić swoich myśli wyrazem twarzy.

- A Saida? I Amerykanin?

Gunaym wzruszył ramionami.

Nad Morzem Egejskim

Gdzieś we mgle na północy, za lewym skrzydłem znajdował się wietrzny Ilion, lecz Alan Craik nie był w stanie go dojrzeć. Zobaczył flotyllę fregat i przestarzałych barek desantowych płynącą w szyku poprzez archipelag, zobaczył Chios za prawą burtą: nagie wulkaniczne góry wznoszące się nad spienionym morzem, ale nie widział Troi. Szkoda, pomyślał.

Alan spał, jadł i przemieszczał się z lotniska na lotnisko jak na automatycznym pilocie. Był rozczłuszczony i ta złość niszczyła jego wizję świata. Trzymał na kolanach otwarty

egzemplarz Iliady z mapką, ale nie chciał jej czytać - czytanie Iliady wydawało mu się nieistotne. Wszystko wydawało się nieistotne.

Wyspa Lesbos wyglądała bardziej przygnębiająco niż stały ląd, brzegi miała bardziej strome, a roślinność uboższą. Samolot nadleciał nad wyspę od strony Molivos i Alan wyjrzał przez okno, żeby dojrzeć mury twierdzy wyraźnie widoczne w różowawym świetle wschodzącego słońca. Za fortecą ziemia była zielona nawet w zimie, lecz na południe, za prawą burtą widział, że zachodnia część wyspy przypomina raczej pustynię. W przewodniku turystycznym wyczytał, że to przez wiatry z Afryki.

Włożył Iliadę Fidela z powrotem do plecaka. Skupił się na bolących uszach, przełykając ślinę i powstrzymując się od oddychania przez nos, a jednocześnie patrzył na tureckie wybrzeże przesuwające się za oknem, widział powiększające się łodzie w kanale i starał się odepchnąć od siebie wspomnienia z Afganistanu. Reguły się zmieniały, przypominał sobie.

Interkom w kabinie zatrzeszczał, a potem rozbrzmiał komunikat po grecku i po niemiecku. Alan odgadł, że to ostrzeżenie przed lądowaniem. Ponieważ w ogóle nie odpiął pasa podczas rejsu, nadal oglądał świat za oknem. Miał wrażenie, jakby leciał na tylnym siedzeniu S-3, tylko że fotel był mniej wygodny.

Poczuł podmuch bocznego wiatru, gdy pilot skręcił, podchodząc do lądowania, a zaraz potem dało się zaobserwować trochę powolną reakcję maszyny. Zorientował się, że będą lądować z boczną poprawką, pod kątem od osi pasa. Najwyraźniej w Mitylenie był tylko jeden pas startowy. Stłumił odruch pochylenia ciała tak, jak wyobrażał sobie drogę lądowania, i starał się zachowywać jak zwykły, obojętny pasażer.

Pilot zszedł do lądowania jak zawodowiec: wysunął podwozie, zrównał się z osią pasa i posadził maszynę jednym ruchem sterów. Robił to milion razy, pomyślał Alan, powinienem się rozluźnić. Powinienem być w Neapolu z Rose i dziećmi. Dlaczego tu jestem?

Samolot zatrzymał się obok niskiego terminalu. Bo obiecałem Mike'owi, że mu pomogę. Bo nie umiem odmawiać. Bo Abe został postrzelony, myślał. Miał tylko bagaż podręczny, szybko więc minął sektor kontroli bagażowej i wszedł do hali terminalu, rozglądając się w poszukiwaniu stoiska wypożyczalni samochodów, a jednocześnie zaczął się zastanawiać nad zakupami. Miał mnóstwo czasu, po spotkaniu mógł znaleźć jakiś bazar.

Stoisko Avis okazało się zamknięte. Była siódma trzydzieści dwie, a Alan był jedynym z niewielu podróżnych na lotnisku. Wszedł do kawiarni, zamówił ciastko i kawę i spróbował zająć się lekturą. Co kilka sekund zerkał w stronę wypożyczalni, która ciągle pozostawała nieczynna.

Wreszcie Alan zobaczył, jak wysoki młody mężczyzna otworzył drzwi i podniósł metalową żaluzję z logo Avis. Alan podszedł, rzucił swoje prawo jazdy na kontuar i powiedział:

- Mam rezerwację.

Pracownik wypożyczalni wziął dokument i rozpoczął żmudny proces wprowadzania danych do komputera. O ósmej czterdzieści jeden Alan odłożył bagaż i westchnął, wyrażając w ten sposób tłumioną złość i napięcie. Nagle wstrzymał oddech: patrzył właśnie na jednego z mężczyzn, którzy porwali go w Izraelu z ulicy i przetrzymywali w pokoju z łóżkiem oraz oknem, które było zamknięte ciężką metalową żaluzją. Przykuli go kajdankami do rury i zostawili samego. Później zjawili się dwaj mężczyźni, rostry blondyn z blizną na brodzie został przy drzwiach, a znacznie niższy facet z dużą głową i dużą ilością, że we włosach przyniósł ze sobą krzesło.

Obaj byli wcześniej w suwie, którym go porwali. Alanowi zaczęły dygotać ręce. Nie podobało mu się to, tak jak nie podobali mu się ci faceci.

Alan wyprostował się powoli. Postawny blondyn był o pięć metrów dalej, siedział w poczekalni wpatrzony w telewizor. Pracownik wypożyczalni powiedział coś o prawie jazdy i Alan odwrócił wzrok, lecz wcześniej napotkał spojrzenie blondyna. Alan aż drgnął. Podpisał coś, co podsunął mu facet z wypożyczalni. Ledwo panował nad ręką. Zerknął jeszcze raz w stronę poczekalni, czuł łomoczący puls pod krtanią.

Ateny

Agent SDK Howard Greenspan stał dokładnie na środku drogi, którą wylewał się tłum ludzi z bramy przylotów ateńskiego lotniska. Greenspan był niski, ale szeroki jak szafa, w liceum grał w futbol na pozycji obrońcy. Miał się spotkać z Mikiem Dukasem i niech go diabli, jeśli pozwoli komuś zepchnąć się na bok.

Dukas zobaczył go z odległości dziesięciu metrów, rozpoznał w nim jednego ze swoich ludzi i przypomniał sobie nazwisko. Zbliżył się do niego i właśnie miał zamiar powiedzieć coś przyjaznego, gdy Greenspan chwycił go za ramię i krzyknął:

- Nie udało nam się złapać Craika w Atenach, ale chce, żeby pan natychmiast do niego zadzwonił!

Dukas nie bardzo rozumiał, o co chodzi, ale wyjaśnili to sobie, gdy wyszli z tłumu i Greenspan podprowadził go do automatu telefonicznego, który zajął dla niego inny agent specjalny. Inni podróżni patrzyli na niego wilkiem, ale się nie przejmował.

- Jest na linii w tej chwili?

- Nie, siedzi przy budce i czeka. Widzi pan, nie zdążyliśmy spotkać się z nim tutaj, w Atenach...

Dukas już to raz słyszał i nie potrzebował powtórki. Wziął słuchawkę od drugiego agenta, który powiedział:

- Uznaliśmy, że automat telefoniczny to najlepsze, na co nas w tej sytuacji stać.

Chciał przez to powiedzieć, że linia nie jest bezpieczna, ale w pilnych sprawach trzeba zaryzykować. Facet miał już dla Dukasa kartę. Dukas wstukał długi numer i przed pierwszym sygnałem usłyszał trzask podnoszonej słuchawki, tak jak Craik siedział tuż przy telefonie.

- Tak?

- Cześć, Alan, tu Mike.

- Oj, człowieku. Mamy problem.

Craik ma głos reanimowanego trupa, pomyślał Dukas, facet u kresu sił.

- Nie, teraz udało mi się z tobą skontaktować i nie mamy problemu. Jesteś wykończony. Wracaj do domu.

- Nie rozumiesz, Mike. Pojawił się nowy czynnik. Właśnie widziałem jednego z tych, którzy porwali mnie w Tel Awiwie. On tu jest, Mike.

- Gdzie go widziałeś?

- Tu! Na Lesbos, na lotnisku! - Dukas miał wrażenie, że Alan jest bliski załamania. - Obserwuje ludzi, którzy wylatują, a nie przylatują. Myślę, że mnie widział. Ja wiem, że on tu jest, ale oni też wiedzą, że ja tu jestem.

- To jeszcze nie wszystko. - Dukas streścił mu to, co usłyszał od Hamala. - Mówił o czterech facetach z Mossadu na Lesbos, Al. To cały zespół.

- Jak czterech faceci, którzy capnęli mnie w Tel Awiwie.

- Tak, do cholery. I jak czterech faceci, którzy zabili Salema Qatiba.

- Jesteś pewien, że to jeden z nich?

Był pewien. Bardziej niż pewien.

- Oddałbym małeńki kawałek ciała, żeby dowiedzieć się, czy są tam wszyscy czterej.

- Gdybym sprowokował ich, żeby zaczęli mnie śledzić...

- Nie, nie...

- Wtedy mógłbym ich zidentyfikować, przynajmniej niektórych. Im więcej ich zidentyfikuję...

- Nie, nie, to zbyt ryzykowne...

- Tym więcej będziesz miał argumentów dla Kassera.

Dukas się zawahał. Craik miał rację: identyfikacja Izraelczyków uwiarygodniłaby wyniki śledztwa. Mimo to pro forma powiedział:

- Nie jesteś wyszkolonym agentem. - Miało to znaczyć, że zależy mu na zidentyfikowaniu Izraelczyków, ale Craik nie był w najlepszej formie ostatnim razem, gdy go widział. - Al, to rodzaj zadania, nad którym musiałbym się naprawdę mocno zastanowić, zanim zleciłbym je któremukolwiek ze swoich ludzi.

- Nikt nie może ich zidentyfikować oprócz mnie.

Craik jechałby na samej adrenalinie: chciał się odegrać na facetach, którzy capnęli go w Tel Awiwie, bardziej niż wrócić do domu i odpocząć. Nie po raz pierwszy Dukas pomyślał, że Craik zachowuje się, jakby był szurnięty.

- Mike?

- Myślę.

- Przestań myśleć, na litość boską, i zastanówmy się nad planem. Jak mam się z tobą kontaktować?

- Nie musisz. Lecę na Lesbos.

- Po jaką cholere? Spotkam się z twoim facetem.

- Masz ogon, spotkanie spalone.

- Ale jest jeszcze awaryjne, to o co chodzi? Słuchaj, pójdę wynająć samochód. Potem zacznę jeździć dookoła, zorientuję się, kto siedzi mi na ogonie. Zostawię ci wiadomość w wypożyczalni samochodowej, dobrze?

- Wiesz, na czym polega rozpracowywanie ogona w pojeździe?

- Jezu, Mike, myślisz, że co robiłem przez ostatnich dziesięć lat?

- Chodzi o to, żeby tamtym łatwo było cię śledzić.

- Tak, mamusiu.

- W ten sposób nie będziesz miał możliwości dokonać identyfikacji.

Dukas czuł się, jakby wysyłał swoje dziecko pierwszy raz do szkoły, co było absurdalne, bo Craik brał udział w niejednej zadymie. Ale właśnie na tym polegał problem: Craik miał do czynienia z przemocą, podczas gdy w tym przypadku potrzeba było cierpliwości, chłodnego profesjonalizmu i roztropnego, uważnego unikania wszelkich napiętych sytuacji.

- Tylko bez brawury - ostrzegł go Dukas.

- Czy to znaczy, że twoim zdaniem zrobię coś głupiego?

Dukas wyczuł kipiący pod powierzchnią gniew i postanowił odpuścić.

- Nie kombinuj i nie reaguj agresją, dobrze?

- Ale mówisz, że mogę się tego podjąć.

Dukas westchnął.

- Mówię, że nie podoba mi się to, ale się zgadzam, pod warunkiem, że będziesz cholernie ostrożny. Poza tym czuję się jak ostatni dupek, że w ogóle cię tam wysłałem. Rose mnie zabije.

Następnie uzgodnili, jak się będą komunikować - Alan miał kupić na lotnisku telefony komórkowe i jeden z nich zostawić Dukasowi w wypożyczalni samochodów - i jak się spotkają. Potem Dukas odwiesił słuchawkę, spojrzął na zegarek i zaczął się zastanawiać, co będzie robił przez następne pięć godzin. Cóż, krótka wizyta w ateńskim biurze prawdopodobnie dobrze podziałałaby na morale. A potem mógłby zadzwonić do pułkownika Kritikou i powiedzieć mu, że ma drugiego agenta do zadeklarowania: Michaela Dukasa.

Okazało się, że pułkownik Kritikou ma dla Michaela Dukasa niespodziankę: skoro na Lesbos miało się znaleźć dwóch amerykańskich agentów, uznał, że sprawa może wyglądać poważnie, i domagał się, aby po dotarciu na wyspę Dukas spotkał się z przedstawicielem greckiego wywiadu.

Mitylena, wyspa Lesbos

Alan zostawił dla Dukasa komórkę w wypożyczalni samochodów, wziął kluczyki i wyszedł głównymi drzwiami terminalu na jasne zimowe słońce, starając się nie rozglądać dookoła.

Samochody wypożyczalni stały zaparkowane w długim szeregu tuż po lewej stronie od głównego wyjścia i Alan ruszył tam, szukając swojego wozu, a jednocześnie próbując odgadnąć, gdzie mógł się ustawić członek grupy inwigilacyjnej tak, aby podążyć za nim,

kiedy będzie wyjeżdżał z parkingu. Plac parkingowy znajdował się na otwartej przestrzeni, i pozbawionej drzew, za którymi można by ukryć samochód, Zanim więc Alan znalazł swój wóz, jego podejrzenie padło na białego džipa suzuki zaparkowanego samotnie niecałe sto metrów na północ.

Alan bez pośpiechu załadował plecak do bagażnika, ustawił lusterka i zdjął grubą marynarkę. Potem wsiadł, zapuścił silnik i sprawdził światła oraz hamulce.

Biały džip nie ruszył się z miejsca. Za kierownicą siedział jakiś facet. Tylko tyle Alan był w stanie dostrzec. Jeśli miał do czynienia z klasyczną inwigilacyjną „banką”, mógł się spodziewać jeszcze trzech albo czterech pojazdów gotowych podążyć jego śladem i zluzować poprzednika.

Jeśli nie padł ofiarą własnej wyobraźni.

Wrzucił bieg i wyjechał wypożyczonym volkswagenem na drogę, skręcił w lewo w kierunku centrum Mityleny i powoli dodał gazu.

Biały džip ruszył z miejsca parkingowego i przyspieszył.

Alan zaczął nucić sobie pod nosem. Podczas rozpoznawania grupy inwigilującej należało się kierować określonymi regułami, a domysł Alana nie spełniał uznanych kryteriów wywiadowczych. Ale lepszy rydz niż nic. Craik zwolnił przed rondem i pojechał drogą z kierunkowskazem do centrum Mityleny. Wcześniej nie zamierzał się tam zatrzymywać, ale teraz reguły się zmieniły.

Dwie przecznice dalej Mitylena zmieniła się z europejskiego miasta z szerokimi trasami przelotowymi i dobrze oznaczonymi zjazdami w miasteczko, które planem zabudowy przypominało Alanowi Afrykę. Nagle ulice zrobiły się tak wąskie, że nawet jego volkswagen zdawał się za duży, z oczywistych względów wszystkie jezdnie były jednokierunkowe, a natłok pieszych sprawiał, że samochód stawał się mało skutecznym środkiem transportu.

Kiedy wreszcie Alan zatrzymał wóz na parkingu na zachód od portu, zdążył wcześniej dwukrotnie okrążyć port, a potem nie mógł jeszcze znaleźć wjazdu na parking. To by było na tyle, jeśli chodzi o „naturalne zachowanie”. Ale turyści naturalnie błędzą, pomyślał.

Potem wstąpił do pierwszego otwartego sklepu, jaki znalazł: był to spożywczy, z działem wielobranżowym, gdzie sprzedawano różne rzeczy potrzebne przyjezdnym, i mieścił się na skraju portu tak, że przyciągał uwagę turystów jadących w dół zbocza z parkingu. Alan wszedł tam z zamiarem kupienia lornetki. Ale wystarczył jeden rzut oka na lśniący aparat cyfrowy i wpadł na lepszy, choć bardziej ryzykowny pomysł, dzięki któremu śledztwo Dukasa mogło sporo zyskać. Kupił też baterie, angielskie czasopismo i mapy. Każda piędź, ziemi na Lesbos i każda miejscowość, bez względu na to jak mała, miała swoją własną mapę

dokładną, kolorową, z dwujęzycznym opisem grecko-angielskim. Pomyślał, że wyspa powinna się reklamować sloganem: „Lesbos - wyspa stworzona do operacji szpiegowskich”.

Kupił także żółty marker.

Włożył swoje nowe rzeczy do plecaka i pomaszerował skrajem portu w stronę przystani promów. Była dziewiąta czterdzieści pięć. Z Piatem miał się spotkać w Kalonis, mieście oddalonym od Mityleny o czterdzieści pięć do sześćdziesięciu minut jazdy samochodem, o drugiej po południu. Po odjęciu czasu na możliwe potknięcia i wypadki losowe miał dwie godziny i czterdzieści minut na opracowanie swojego planu i wcielenie go w życie.

Zamierzał złamać każdą zasadę postępowania w przypadku inwigilacji.

Mike pewnie nie byłby zadowolony.

Godzinę później siedział na ławce i patrzył na panoramę portu w Mitylenie. Przyglądał się średniowiecznej wieży po prawej stronie, wartym dobrych kilka milionów dolarów jachtów i kutrom, następnie bazie wojskowej wspomnianej w przewodniku, przystań i promów po lewej, stanie się końcu masywnym fortyfikacjom na szczycie starożytnego akropolu o gęsto zalesionych zboczach. Miasto wisiało nad portem jak sierp księżycy.

Grubawy mężczyzna w płóciennej kamizelce łowieckiej obserwował go z otwartych drzwi kawiarni po drugiej stronie ulicy. Nie spuszczał Alana i oczu w ciągu minionej godziny, gdy ten spacerował po nabrzeżu i włóczył się po krętych uliczkach nad portem.

Płócienna Kamizelka był facetem o okrągłej głowie, i brał udział w porwaniu w Tel Awiwie,

Mężczyzna z okrągłą głową pochylił się do przodu jak ksiądz nakazujący pokutę. Miał nieświeży oddech. Powiedział:

Postawił nas pan w... trudnej sytuacji. Mówił po angielsku wyraźnie, tylko z lekkim obcym akcentem, miał głęboki głos. - Chcemy, aby pan wiedział, że w zamierzeniu to wszystko... nie miało z panem nic wspólnego.

Pochylił się jeszcze bliżej. Światło z jedynej w pokoju, nagiej żarówki odbiło się od jego łysiny.

- Co się stało, to się nie odstanie. I bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby nie robił pan z tego specjalnej afery. Jesteśmy po tej samej stronie. Toczymy wojnę. Zdarzają się różne rzeczy, rozumie pan? Ludzie popełniają błędy. Reguły się zmieniają.

Alan rozpoznał go od razu, na pierwszy rzut oka. Miał więc już dwóch z czterech facetów, którzy go porwali.

Wstał, zarzucił na grzbiet plecak i przespacerował się wzdłuż brzegu i kierunku przystani promów, w końcu znalazł tawernę, w której mimo pory dnia i martwego sezonu turystycznego roilo się od klientów. Usiadł, zamówił croissanta, espresso i wodę mineralną, a potem rozłożył mapę Kalonis, gdzie miał się spotkać z Piatem. Centrum Kalonis było rozplanowane prosto i nowoczesnie: rondo, park otaczający rzymskie ruiny i altana pośrodku. Kiedy przyniesiono Alanowi croissanta, ten zdążył już oznaczyć żółtym markerem trasę do ruin, zlokalizować parking na zachód od parku i zakropkować drogę, jaką przed samym spotkaniem zamierzał przemierzyć na piechotę, serię zakrętów w lewo wśród sieci uliczek. Miał nadzieję, że śródmieście Kalonis będzie wyglądać jak w Mitylenie, z mnóstwem sklepików dla turystów, dzięki którym jego marszruta może się wydawać sensowna.

Płócienna Kamizelka minął tawernę, idąc bulwarem od strony portu.

Alan zjadł łączywie croissanta. Zamówił go tylko dla niepoznaki, ale rogalik pachniał tak świeżo i smakowicie, że się na niego skusił i nie pożałował. Kawa też była dobra.

Płócienna Kamizelka stał teraz oparty o latarnię przy porcie. Alan przypomniał sobie, jak patrzył na jego buty w pędzącym po telawiwskich ulicach wozie. Z uśmiechem dopił kawę.

Przy stoliku obok flirtowała para Greków. Alan pochylił się do nich.

- Przepraszam?

- Tak?

Oboje popatrzyli na niego jednocześnie, jakby byli jedną osobą. Dziewczyna uniosła brwi. Wyglądała bardzo młodo.

- Czy mogliby państwo popilnować przez chwilę mojego plecaka? - spytał.

Oboje roześmiali się i pokiwali głowami. Wszedł do tawerny z aparatem w kieszeni marynarki, usiadł na jednym z klozetów w łazience, przejrzał instrukcję obsługi, włożył baterię i włączył aparat.

Wrzucił opakowanie do kosza na śmieci i przeszedł przez tawernę z aparatem zawieszonym na szyi. Zatrzymał się na szczycie schodków prowadzących w dół na taras, ustawił obiektyw na maksymalne powiększenie, wykadrował tak, żeby było widać mężczyznę z okrągłą głową i część latarni, a potem cyknął dwa zdjęcia.

Pstryk, pstryk. Chcesz zmienić reguły? Ja też, pomyślał i od razu poczuł się lepiej.

Płócienna Kamizelka zauważył go, gdy opuszczał aparat, i jego twarz poczerwieniała ze złości widocznej nawet z odległości dwudziestu metrów. Alan popatrzył na niego z obojętną miną, podszedł do swojego stolika i wziął plecak. Dwoje młodych Greków poprawną angielszczyzną z wyraźnym obcym akcentem zaprosiło go, aby się do nich przyłączył, a na zachętę wskazali nieotwartą butelkę wina. Alan wymówił się wcześniejszymi

zobowiązaniami, podziękował, a potem z plecakiem na ramieniu opuścił tawernę i ruszył pod górę, oddalając się od Płóciennej Kamizelki.

Gdzieś po drodze skręcił nie tam, gdzie powinien, i zdał sobie sprawę, że idzie w zupełnie złym kierunku - w nieznanym mieście łatwo było zablądzić, lecz na szczęście trudno było zgubić z oczu tak charakterystyczny element krajobrazu jak port i pół godziny później znalazł się przy swoim volkswagenie. Zegarek wskazywał jedenastą dwadzieścia jeden.

Gdy skręcił na autostradę, biały džip suzuki jechał osiem samochodów za nim.

Kalonis, wyspa Lesbos

Rashid siedział w tawernie przy głównym placu miasteczka Kalonis, z puszką coca-coli i czasopiśmem na stoliku. Po lewej stronie od niego, w samochodzie stojącym na parkingu osłoniętym drzewami siedział Franji i palił papierosa. Franji był głównym elementem „planu ewakuacyjnego” Rashida. Chłopak nie cierpiał tego wyrażenia, bo sugerowało desperację.

Został tu przygnany jak bezbronne jagnię. Mógł tylko beczeć i liczyć na cud.

Mimo to jego mózg wciąż funkcjonował i Rashid zaczął układać własny plan. W kieszeni miał szwajcarski scyzoryk, który kupił po przyjeździe do Kalonis. Teraz zdjął kurtkę Salema i zaczął odpruwać naszywkę ze stopniem wojskowym. Kiedy to robił, myślał o Salemie, który na pokładzie okrętu starannie przyszywał ją do kurtki. Gdy oderwał naszywkę od grubego wełnianego materiału, był zmarznięty na kość. Schował naszywkę razem ze scyzorykiem do kieszeni, teraz był gotowy.

Potem skorzystał z jedynej połączenia internetowego w tawernie i wysłał wiadomość do Saily.

Martwiła go myśl, że będzie tu uwięzany przez wiele dni, samotny w turystycznym miasteczku i że musi czekać, aż zjawi się wróg i połknie przynętę...

Wyciągnął z kieszeni książkę i spróbował skoncentrować się na czytaniu, mimo że le Carre i szpiegowskie gry straciły dla niego większość uroku. Po jakimś czasie zamówił obiad i następną colę.

Bee, bee.

Po nocy i części poranka w amerykańskiej ambasadzie Ray Spinner czuł się jak wyżęta i powieszona na wietrze szmata. Częściowo brało się to ze zmęczenia - przez całą noc nie zmrużył oka, odpowiadając na pytania - ale w dużej mierze przyczyny były mentalne, może nawet duchowe. Czuł się poniżony i głęboko zawiedziony własnym postępowaniem. Zaskakująco, jedynym pocieszeniem okazały się słowa Dukasa, że złożenie zeznań to najlepsza rzecz, jaką Spinner zrobił w życiu. Ale zdawało się, że nikt inny nie podziela tego zdania: ponurzy faceci z CIA, FBI i służb bezpieczeństwa na zmianę ośmieszali go, wykrzykiwali pytania, przezywali głupcem, naiwniakiem, a nawet zdrajcą. Szybko zdał sobie sprawę, że nienawidzą tego, co reprezentuje - jego pentagońskiego biura, które nazywali bandą tępych urzędasów, amatorów i Jamesów Bondów od siedmiu boleści. Pomysł działania za plecami agencji wywiadowczych, który zdawał się tak atrakcyjny, gdy przedstawiał go McKinnon, został opluty, rozdarty na strzępy i wdeptany w ziemię.

Teraz Spinner był w swoim hotelowym pokoju i pakował się do wyjazdu. Jeden z surowych facetów z ambasady siedział na fotelu w pokoju i czytał albo udawał, że czyta, bezpłatną broszurę o atrakcjach miasta (po angielsku i po hebrajsku). Spinner składał koszulę, żeby włożyć ją do torby na garnitury, która leżała otwarta na łóżku. Wciąż zerkał na faceta z ambasady, brakowało mu zwyczajnie rozmowy, chciał się upewnić, że jednak nie jest wyżętą szmatą. Odchrząknął.

- Jak się dostaniemy na lotnisko? - zdołał wydusić.

Facet podniósł wzrok. Był niższy niż pozostali, szerszy w barach, miał słowiańską twarz. Spojrzał na Spinnera, jakby nigdy wcześniej nie widział go na oczy i zastanawiał się, co tu robi.

- Samochodem ambasady - odparł i wrócił do lektury.

- Chcą mieć pewność, że tam dotrę.

Facet znów podniósł wzrok.

- Jesteśmy w obcym kraju.

Spinner zapakował koszulę do torby i wziął się do składania następnej.

- Śledził nas samochód, prawda?

- Jeden z naszych.

- Nie, ten za nim.

Facet znów popatrzył na Spinnera, tym razem najwyraźniej dostrzegając w nim człowieka.

- Możliwe.

Mossad. Jego „przyjaciele” z Mossadu. Zastanawiał się, co by zrobili, gdyby udało im się do niego dostać.

Spinner skończył pakować ubrania, a potem porozsuwał i pozamykał szuflady biurka, aby upewnić się, że niczego nie zapomniał. Rozejrzał się po pokoju. Na nocnej szafeczce leżał jego egzemplarz *Miasta i człowieka* Straussa. Uświadomił sobie, że nie otworzył książki, odkąd wysiadł z samolotu. Zamachał nią.

- Potrzebujesz czegoś do czytania?

Facet znów podniósł na niego wzrok i skrzywił się kwaśno.

- A o czym?

Spinner rzucił książkę w jego stronę, ale tak, żeby wylądowała na łóżku i tamten nie musiał jej łapać.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Jaka jest fabuła?

- Właściwie nie ma fabuły. - Spróbował się uśmiechnąć. - Trzeba czytać między wierszami, żeby zrozumieć, o co biega.

Wcześniej wysłał McKinnonowi e-maila, w którym poinformował, że wszystko, co napisał o kryptologii, było błędem. Odpowiedź nadeszła natychmiast: „My nie popełniamy błędów. A kiedy nam się to zdarzy, to przestają być błędami”. McKinnon nie napisał, że go zwalnia, ale Spinner domyślał się, że właśnie to go czeka.

Facet z ambasady podniósł książkę Straussa i otworzył ją na stronie tytułowej. Spinner zamknął torbę na suwak, zajrzał do maleńkiej łazienki i poklepał się po kieszeniach, sprawdzając, czy ma bilet i paszport. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że wszystko to ma jego opiekun. Wziął torbę z łóżka i postawił przy drzwiach, potem zarzucił na ramię podręczny bagaż i stanął wyczekująco.

- Gotowy - oznajmił.

Facet podniósł się powoli, czytając Straussa. Stał tak przez jakieś dwadzieścia sekund, przerzucając kartki i marszcząc brwi, aż dotarł do strony, na której Spinner podkreślił fragmenty żółtym markerem. Wreszcie cisnął książkę na łóżko.

- To gówno chyba nie dla mnie - powiedział.

Spinner podniósł torbę.

- Zareagowałem dokładnie tak samo.

Myśl, że jego greccy przodkowie biegali po zalanej słońcem ziemi w samej bieliźnie, o mało go nie rozśmieszyła, gdy szedł po płycie lotniska na Lesbos. Było cholernie zimno, a słońce, schowało się za grubą warstwą chmur, porywisty wiatr z Azji sprawiał, że Dukas żałował, że nie ubrał się ciepiej.

Przygarbił się i przyśpieszył kroku, kierując się do wejścia terminalu.

Mimo że nie spodziewał się nic innego, wkurzało go, że młody mężczyzna, który miał przynajmniej dość taktu, by zrobić zawstydzoną minę, czekał na niego przy punkcie kontroli paszportowej. Był to smagły Grek i dwudniowym zarostem, ubrany jak międzynarodowy gwiazdor kina: w blezer, T-shirt z grubo tkanej bawełny, dżinsy i kosmiczne okulary przeciwsłoneczne. Widząc go, Dukas poczuł się stary i zaniedbany w swoim płaszczu i koszulce polo, a jego dwudniowy zarost wydawał mu się niechlujny. Angielszczyzna Greka była dobra, ale nie lepsza od domowej greki Dukasa, przeskakiwali więc w rozmowie z języka na język. Nazywał się Darcouri, służył w greckiej marynarce wojennej w stopniu porucznika i zakwaterowano go w stacji anten na wschodniej części wyspy.

- Pułkownik Kritikiou powiedział, że pan tu będzie.

Młody człowiek zrobił zdumioną miną.

- Ja? Powiedział, że ja tu będę?

- Powiedział „ktoś”.

- Aha, więc w porządku. - Błysnął zębami, uśmiechając się z ulgą. - Dobrze, jestem kimś.

- Jego śmiech wydawał się zaskakująco głęboki w zestawieniu z młodą twarzą pod burzą czarnych włosów.

- Powiedzieli panu, o co tu chodzi, poruczniku?

- Tu? Ach, tu. O spotkanie, jak słyszałem.

- Jest pan z wywiadu?

Darcouri pokiwał z powagą głową a potem znów się roześmiał.

- Z wywiadu elektronicznego, tak. Ale...- Wzruszył ramionami, unosząc przy tym ręce, a potem spojrzał na Dukasa bystrymi oczyma, które nie były tak naiwne, jak się z początku zdawały. - Umiem rozpoznać czarnego kota od białego nawet po ciemku.

- Dobrze. Jeśli będziemy potrzebować kota, to liczę na pańską ekspertyzę. W pozostałych przypadkach... proszę posłuchać, wiem, że to nie jest dla pana łatwe, ta sytuacja... ale chcę wykonać swoją robotę i wrócić do domu.

- Ja też. - Uśmiechnął się szeroko. - Jestem świeżo po ślubie.

Dukas zachichotał bez humoru.

- Ja też. - Darcouri poprowadził go obok stanowisk odprawy celno-paszportowej, a potem w głąb korytarza, gdzie w drzwiach biura czekała kobieta w średnim wieku, która zerknęła do paszportu, przystawiła pieczętkę, spojrzała przelotnie na Darcouriego i machnięciem ręki przepuściła ich dalej. - Zrobili panu odprawę? - spytał Dukas, a gdy młody człowiek nie zrozumiał angielskiego rzeczownika, dodał po grecku: - Powiedzieli panu, co jest grane?

Jak się okazało, otrzymał rozkaz, że ma towarzyszyć amerykańskiemu oficerowi, który wybiera się na zadeklarowane spotkanie z innym obcokrajowcem, i że ma dopilnować, aby nic więcej się nie stało, a interesy narodowe Grecji zostały uszanowane.

- Boże, jeżeli potrafi pan to wszystko zrobić, powinien pan zostać ambasadorem - mruknął Dukas. Teraz on prowadził Darcouriego w stronę wypożyczalni samochodów. Zanim tam dotarli, przystanął i odwrócił do młodego Greka tak, że tamten musiał się gwałtownie zatrzymać. - Mam na wyspie jeszcze jednego agenta. Wie pan o tym chyba: obaj jesteśmy zadeklarowani. Usiłujemy się spotkać z innym Amerykaninem, który na informacje na temat zabójstwa pewnego Amerykanina w Izraelu. W spotkaniu chodzi wyłącznie o informacje.

Nie wspomniał o Hamalu ani czterech Izraelczykach, którzy tu przyjechali, ani o szemranej przeszłości Jerry'ego Piata. Jeśli wszystko pójdzie gładko, Darcouri nie potrzebował wiedzieć nic więcej, a jeśli coś nie wyjdzie, dowie się o tym prędko. Darcouri pokiwał głową i Dukas ruszył dalej.

Podał swoje nazwisko kobiecie za kontuarem i pokazał jej paszport. Nie była ładna, lecz przykuwała uwagę - wysoka brunetka o oliwkowej cerze i ogromnych oczach. Położył na ladzie swoją kartę kredytową. Grecki agent wywiadu przystanął z tyłu, jakby transakcje handlowe budziły w nim zażenowanie. Kobieta uraczyła Dukasa służbowym uśmiechem i zaczęła wprowadzać dane do komputera, a drugą ręką wyciągnęła kluczyki i kopertę. Popatrzyła na ekran komputera, wyjęła zza ucha ołówek, podrapała się nim w głowę, wetknęła go z powrotem za ucho i z jakiejś szuflady pod ladą wyjęła pakunek.

- Dla pana - oznajmiła, nie spojrzawszy na niego.

Dukas podpisał jakiś papier, a potem znowu czekał, gdy wklepywała coś do komputera. Rozglądał się w poszukiwaniu inwigilatorów, zastanawiając się, czy jego nowy grecki anioł stróż umiałby ich rozpoznać - czarne i białe koty to jedno, a agenci Mossadu to zupełnie co innego - potem pomyślał o pułkowniku Hamalu i morderczej goryczy w jego głosie. Dukas nie chciał katastrofy. Wolałby, żeby nie doszło do jakiejś międzynarodowej wymiany ognia, w trakcie której jego grecki opiekun wezwałby policję, a potem wszyscy trafiliby do aresztu

aż do czasu, gdy pomoc konsularna przybyłaby z Aten, żeby wyjaśnić sprawę. Tylko bez przemocy, jesteście Grekami, pomyślał.

I w sumie racja. Czemu urocza grecka wysepka miałaby się stać miejscem załatwiania porachunków trzech obcych wywiadów?

Dukas patrzył na turystów, którzy przylecieli z nim samolotem, a teraz z pośpiechem opuszczali terminal. Ich twarze były pełne nadziei, niektóre uśmiechnięte. Tydzień w raj. Jeśli nikt nie zacznie strzelać.

Znów ruszył przodem, idąc do samochodu. Jedna osoba wydała mu się podejrzana i obserwował ją, gdy szli. Darcouri niczego nie zauważył. A może był po prostu ostrożny?

W samochodzie Dukas otworzył paczkę, którą zostawił mu Craik, był tam telefon komórkowy i mapa wyspy. Pośrodku niedużej wioski Craik zakreślił kółko.

- Dobra mapa - zauważył Dukas po grecku.

- Robimy najlepsze mapy na świecie.

Darcouri miał na myśli to, że Grecy są narodem kartografów, potomkami Odyseusza.

Dukas wyjechał z parkingu i włączył się do ruchu. Kiedy zostawili za sobą lotnisko i znaleźli się na drodze biegnącej wzdłuż brzegu, Darcouri powiedział:

- Myślę, że ktoś nas śledzi.

- Może tylko pana - odparł Dukas. - Jakiś zazdrosny mąż.

Darcouri uznał, że to bardzo zabawne.

Autostrada Mitylena-Kalonis, wyspa Lesbos

Biały džip suzuki trzymał się daleko z tyłu, często znikając we wstecznym lusterku na kilka minut za zakrętami wijącej się po zalesionych wzgórzach szosy. Alan jechał ostrożnie, tylko trochę szybciej, niż zalecały ograniczenia prędkości, powinien być zatem najwolniejszym pojazdem na drodze, lecz biały džip suzuki wciąż pozostawał z tyłu.

Mimo że Alan nie potrzebował paliwa, zatrzymał się na stacji benzynowej w miejscu, gdzie od autostrady odchodziła boczna droga, która prowadziła w stronę południowego wybrzeża wyspy. Kiedy wyjeżdżał ze stacji, džip zniknął. Przez następnych dwadzieścia kilometrów nie potrafił stwierdzić, czy ma na ogonie inny samochód. Szosa biegła teraz prosto po płaskim terenie, między gajami oliwnymi i pastwiskami dla owiec i kóz a potem opadała łagodnie w stronę wybrzeża w pobliżu Kalonis. Nowy samochód, jeśli w ogóle ktoś

za nim jechał, mógł trzymać się daleko w tyle na prawie pustej jezdni i obserwować Alana nawet z odległości dwóch kilometrów.

Alan szukał pretekstu, żeby się zatrzymać. Na próżno. Wybrzeże w okolicach Kalonis zamierało wraz z końcem sezonu i oprócz stacji benzynowych wszystkie przydrożne sklepy, warsztaty garncarskie, bary i tawerny były pozamykane na głucho.

Teraz nie miał pewności, czy powinien stawić się na spotkanie z Piatem, czy zrezygnować. Gdyby zdecydował się na nie w obecnej sytuacji, nie wiedziałby, czy ktoś go śledzi, czy nie - stanowczo złe rozwiązanie. Gdyby zrezygnował, wysłałby czytelny sygnał... ale im dłużej się zastanawiał, tym mniej czytelny zdawał mu się ten sygnał. Możliwe, że Piat po prostu poczułby się zlekceważony.

Z drugiej strony, mógł zaprowadzić ludzi, którzy go śledzili, prosto do Piata.

Dzień nie zapowiadał się na tak łatwo, jak przewidywał Mike.

Zagęszczenie sklepów, hotelików i tawern wzdłuż autostrady zwiększyło się, w końcu Alan skręcił nagle w głąb lądu i niespodziewanie po obu stronach jezdni wyrosły rzędy domów mieszkalnych. Był w Kalonis. Spojrzał na mapę, rozłożoną na fotelu pasażera, i starał się dopasować greckie tablice z nazwami ulic do ich angielskich odpowiedników na planie. Czynność ta pochłonęła go do tego stopnia, że pięć minut później zorientował się, że w ogóle przestał zwracać uwagę, czy ktoś go śledzi. Tymczasem przez ostatnie dwa zakręty towarzyszył mu czerwony citroen C3. Równocześnie zauważył błękitną tablicę parkingową, którego szukał.

Nie mógł jeszcze odetchnąć z ulgą, ponieważ postój na parkingu oznaczał dopiero początek skomplikowanej marszruty przed spotkaniem z Piatem. Parking był prawie pusty i Alan zastanawiał się, czy właśnie nie popełnił błędu, bo wcześniej na pewno minął lepsze miejsca do parkowania, lecz teraz nie mógł się już wycofać: rezygnowanie z pustego parkingu wyglądałoby głupio. Zaparkował.

Na placu stał jeszcze tylko jeden samochód, biały citroen. Miał naklejki miejscowej wypożyczalni, a w kabinie siedział mężczyzna, który nawet nie spojrzał na Alana.

Czerwony citroen zniknął. Możliwe, że w ogóle go nie śledził. Alan zawiesił na szyi aparat, zarzucił na ramię plecak i spojrzał na zegarek.

Dwunasta trzydzieści sześć, kilka minut przed czasem, jaki przeznaczył na pokonanie wyznaczonej trasy.

Jestem za bardzo zmęczony, żeby to dobrze zrobić, pomyślał.

Ruszył zaplanowaną trasą starając się nie wpatrywać się zbyt długo w tabliczki z nieznanymi nazwami ulic.

Pomaszerował ulicą po prawej stronie od parkingu. Na pierwszym skrzyżowaniu natknął się na czerwonego citroena, który parkował właśnie po przeciwnej stronie jezdni, o wiele za blisko, by Alan mógł się czuć spokojny. Z samochodu wysiadła ładna kobieta w średnim wieku, zobaczyła go, spojrzała na niego jeszcze raz, a potem pochyliła się i powiedziała coś do mężczyzny w aucie. Ani mężczyzna, szczupły młody facet ze śmiesznym wąsem (natychmiast ochrzczony jako Wąsik), ani kobieta nie wydali mu się znajomi, lecz ich reakcja była charakterystyczna. Zostawił oboje za plecami i zgodnie z planem skręcił w lewo, w uliczkę prowadzącą do dzielnicy handlowej.

Pilnował się, żeby nie oglądać się za siebie. Jednocześnie starając się nie przyglądać niczemu zbyt długo, szukał miejsca, dzięki któremu ten etap marszruty mógł się wydać usprawiedliwiony, chociaż po tym, jak włął prawie prosto na parę z czerwonego citroena, nie był pewien, czy zachowywanie pozorów ma nadal sens.

Po drugiej stronie ulicy, znajdowała się cukiernia. I była otwarta. Rześkie powietrze niesło zapach pieczonego cukru i Alanowi zaburczało w brzuchu, mimo że zjadł wcześniej croissanta. Przystanął przed cukiernią na krawężniku, rozglądając się na boki. W głębi ulicy, przed nim, stał barczysty blondyn z lotniska (Alan przezwiał go Dużym Blondynem), który teraz miał na sobie drogą skórzaną marynarkę i torbę z kamerą cyfrową na ramieniu. Po przeciwnej stronie, blisko skrzyżowania stał Wąsik. Alan zaszedł do cukierni i bez pośpiechu zaczął wybierać ciasta i ciasteczka.

Opuścił cukiernię, trzymając papierową torebkę w lewej dłoni i kończąc jeść miodowe ciasteczko. Ruszył na wschód, od miejsca spotkania oddzielało go teraz kilka ulic. Na rogu przeszedł przez drogę przelotową którą wjechał do miasta, i zatrzymał się na wysepce między pasami, aby wyjąć z torebki kokosowe ciasteczko i rzucić okiem za siebie.

Kobieta z czerwonego citroena znajdowała się teraz na zachód od niego, idąc powoli wzdłuż drogi przelotowej. Alan zwinął torebkę, włożył ją do plecaka, wytarł ręce w serwetkę i pstryknął kobiecie cztery zdjęcia. Po trzecim zdjęciu kobieta zawahała się i zarumieniła.

Alan łamał ustalone reguły, dawał do zrozumienia swoim inwigilatorom, że ich widzi, prowokując ich, żeby coś na to poradzili. Sprawiało mu to satysfakcję.

Kiedy znowu ruszył przed siebie, zauważył, że kobieta stara się teraz trzymać znacznie dalej od niego. Alan musiał się zatrzymać i czytać wszystkie nazwy ulic. Oboje szli bardzo wolno.

W końcu dotarł do następnej ulicy i skręcił. Zbliżając się do kolejnego skrzyżowania, zwolnił kroku i zrobił kilka zdjęć starych kamienic z wystającymi drewnianymi balkonami i czwarte zdjęcie Dużemu Blondynowi, który właśnie wyglądał zza rogu. Duży Blondyn

oddalił się pośpiesznie, maszerując na wschód z wyprężoną klatą i uniesionymi barkami. Duży Blondyn chciał chyba w coś przygrzmocić, żeby wyładować złość.

Alan przeszedł za nim przez ulicę i skierował się na północ. Znalazł duży, nowoczesny sklep spożywczy przy jednej z głównych ulic, zboczył z obranej trasy i wszedł do środka, bo wszystkie inne lokale po drodze od cukierni były zamknięte. Niezbyt dobrze wybrał sobie miejsce na przystanek. Wziął butelkę san pellegrino limonata i zbliżył się do lśniącej automatycznej kasy, gdzie wcisnął kilka guzików i zapłacił starannie przeliczonymi euro. Zdumiała go tak zaawansowana technika w małym miasteczku. Przez szklaną witrynę zobaczył parking, na którym Duży Blondyn i kobieta z citroena klócili się, wymachując rękami. Z gestów domyślił się, że jedno z nich powinno wejść za nim do sklepu. Przez szybę cyknął im zdjęcie i ruszył dalej w drogę. Gniew nadal go nie opuszczał, tlił się gdzieś w środku, lecz z każdym zrobionym zdjęciem Alan czuł się lepiej.

Kalonis, wyspa Lesbos

Piat, jadąc na spotkanie w Kalonis, był zdenerwowany. W środku dnia prowadził samochód wypożyczony na kartę kredytową i wiedział, że gdzieś na wyspie zaciska się pętla.

Nie powinien umawiać się z Dukasem w tak tłoczonym miejscu.

Zjeżdżając ze zbocza Olimpu, niczego nie zauważył. Przyglądał się każdej bocznej drodze, często zerkał we wsteczne lusterko, a jednocześnie tłumaczył Saidzie podstawowe zasady rozpoznawania inwigilacji. Wciąż niczego nie dostrzegł. Wcale go to nie uspokajało.

Zaparkował samochód przy supermarkecie w Kalonis. Instynkt agenta operacyjnego podpowiadał mu, że już raz się tu zatrzymał i nie powinien robić tego po raz drugi, lecz żadne inne miejsce parkingowe w Kalonis nie zapewniało tak dogodnego dostępu i dróg ucieczki.

- Wiesz, co robić, tak? - zapytał.

Saida obserwowała ulicę za nimi.

- Mam tutaj siedzieć, a ty idziesz zrobić coś niebezpiecznego.

- Jeśli nie wrócę w ciągu dwudziestu minut według zegarka na tablicy rozdzielczej... dwudziestu minut, dobrze? Masz stąd odjechać. Pojedziesz do klasztoru i zrobisz to, co ci mówiłem.

- Zgoda - odparła tonem, który sugerował, że nie ma zamiaru wykonywać jego poleceń.

- Saido...

I - Słuchaj, Jack. Nie poradzę sobie bez ciebie.

Pochyliła się, jakby chciała go pocałować.

- Poradzisz sobie. Cholera, nie mamy czasu na...

Pochylił się do okna.

Odepchnęła go.

- Uważaj na siebie, Jack. Potrzebuję cię przy sprzedaży pucharu.

Zamknęła okno.

Piat pomaszzerował do swojego punktu obserwacyjnego trasą, którą przećwiczył kilka miesięcy wcześniej, ponieważ przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka, a każdy spacer po mieście staje się przygotowaniem do manewrów antyinwigilacyjnych. Jeszcze zanim dotarł na miejsce, wiedział, że znalazł się w czyjejs „bańce”. Nie był to instykt, lecz doświadczenie. Czuł w pobliżu obecność ekipy inwigilacyjnej i wiedział, że za kilka sekund jego mózg połączy w jedno wystarczająco dużo danych, żeby mógł sobie w pełni uzmysłowić to, co już wiedział.

Jego punktem obserwacyjnym był balkon kawiarni internetowej znajdującej się na końcu ulicy, przy której wyznaczył spotkania. Kawiarnia miała tylne wejście dla klientów, którzy wiedzieli, gdzie je znaleźć. Z balkonu miał widok na jedną trzecią śródmiejskich ulic. Spojrzał na zegarek. Trzynasta pięćdziesiąt dwie.

Zamówił neskę.

Sto metrów dalej kobieta z drogą torebką na ramieniu stała niezdecydowana na rogu dwóch ulic. Wahala się tylko przez moment, patrząc uporczywie na północ. Nie pasowała do otoczenia. Nosila zbyt ciemne i eleganckie ubranie. Była za mało ruchliwa. Piat przyjrzał jej się przez lornetkę. Słuchawka. Bingo.

Sytuacja wymagała najwyższej czujności. Znowu podniósł lornetkę do oczu i spojrzał na północ, usiłując zobaczyć to, co obserwowwała kobieta. Widok przesłaniała mu jednak sąsiednia cerkiew.

Opuścił lornetkę. Zerknął na miejsce spotkania, zespół rzymskich ruin pośrodku parku. Wciąż puste. Popatrzył na zegarek, założył nogę na nogę, po chwili ją zdjął i zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie na kobietę. Zdążyła przejść przez ulicę i wpatrywała się teraz w witrynę zamkniętego sklepu. Cel jej obserwacji, jeśli Piat trafnie odczytywał sytuację, znajdował się gdzieś na północy i zbliżał się do niej.

Piat jeszcze raz spojrzał przez lornetkę w tamtą stronę.

Ostatnio widział Alana Craika w celowniku karabinu snajperskiego w Dżakarcie cztery lata temu. Widok w lornetce niewiele się różnił od tamtego. Craik szedł zbyt szybko, by nie zwracać na siebie uwagi, i miał na głowie bejsbolówkę, która oznaczała, że jest inwigilowany.

Piat wiedział, że Dukas i Craik się przyjaźnią. Tak więc Craik przyjechał zamiast Dukasa, miał świadomość, że jest śledzony, a mimo to przyszedł. Próbował coś w ten sposób zasygnalizować?

Piat zobaczył, że na stoliku pojawiła się jego kawa. Craik wciąż był dość daleko od miejsca spotkania, a Piat i tak nie zamierzał już na nie iść. Ale chciał się lepiej przyjrzeć ludziom łączącym za Craikiem.

Znów podniósł lornetkę do oczu. Zza cerkwi wyłonił się zwalisty blondyn, w którym Piat rozpoznał jednego z mężczyzn, którzy śledzili Rashida w Atenach.

Pora się zbierać, pomyślał Piat. Miał nadzieję, że wszyscy oni spędzą cały dzień na obserwowaniu Craika, bo gdyby zobaczyli jego albo Saidę, sytuacja by się zmieniła. Na gorsze.

Alan minął cerkiew, wciąż miał trochę za dużo czasu, wciąż szedł trochę za szybko, wstąpił więc do sklepu papierniczego niecałe sto metrów od miejsca spotkania. Kupił notatnik, kilka długopisów i dwie książki po angielsku, bo zapowiadał się długi dzień.

Ze schodków przed sklepem zobaczył mężczyznę w ciemnych okularach, który właśnie podnosił się z ławki ustawionej za stanowiskiem archeologicznym. Alan rozpoznał go jako trzeciego z facetów, którzy porwali go w Tel Awiwie. Przypomniał sobie, jak wpatrywał się w jego buty, gdy leżał z głową przyciśniętą do podłogi suwa. Ciemne Okulary złuzował kobietę w średnim wieku.

Nie podnosząc wzroku, Alan ruszył prosto w jego stronę, bo Ciemne Okulary stał teraz dokładnie w miejscu spotkania. W kieszeni marynarki Alan włączył aparat i ustawił obiektyw na maksymalne zbliżenie. Przeszedł obok kawiarni-ogródka i zauważył młodego mężczyznę, który siedział przy stoliku i czytał *Szpiega doskonałego* le Carrego. Ich spojrzenia spotkały się na moment.

Coś jeszcze w wyglądzie przystojnego młodzieńca wydało mu się dziwne, ale uświadomił to sobie, gdy było już o wiele za późno, aby cokolwiek zrobić. Nastolatek miał na sobie kurtkę US Navy.

Rashid obserwował, jak wysoki Amerykanin wszedł do sklepu z przyborami do pisania, a potem wyszedł. Nie pasował do otoczenia, wyglądał raczej jak ktoś, kto przyjechał w

interesach, ale był ubrany jak turysta, ale włosy miał krótko ostrzyżone jak żołnierz. Ani odrobinę nie przypominał Izraelczyka. Oczywiście Amerykanin. Amerykanin spojrział mu przelotnie w oczy i ruszył dalej, a Rashid odetchnął z ulgą. Znow zaczął udawać, że czyta.

Podniósł wzrok, zerknął na plecy Amerykanina, który teraz szybko się oddalał, a następnie spojrział w stronę, z której Amerykanin przyszedł.

Jeden z potężnych facetów, których spotkał podczas deszczowej nocy w Mitylenie, obserwował Amerykanina. Rashid nie był pewien. Nie mógł być pewien w stu procentach. Ale wysoki, postawny, miał okrągłą głowę i grubą płócienną kamizelkę i nawet z odległości pięćdziesięciu metrów Rashid był... prawie pewien.

Chciał się skryć. Stłumił pierwszy odruch, żeby natychmiast wycofać się do wnętrza kawiarni, i siedział nieruchomo, dopóki mężczyzna w płóciennej kamizelce nie skręcił i nie zniknął mu z oczu.

Potem Rashid wziął swoją torbę i uciekł.

Alan przemierzył park, nie spoglądając na mężczyznę, który go teraz śledził. Szedł, patrząc na mapę, zatrzymując się tylko raz, żeby zerknąć na zegarek. Trzynasta pięćdziesiąt osiem. Zmieścił się w pięciominutowym okienku, był na czas.

Ruszył w dół po schodkach, które prowadziły do rzymskich ruin.

Piat wrócił do samochodu inną drogą, zbacając na północ, żeby nie natknąć się na kogoś z zespołu inwigilującego Craika.

Manewr powinien być skuteczny.

Wsiadał właśnie do auta, gdy zobaczył plecy elegancko ubranej kobiety. Rozmawiała przez komórkę.

- Cholera! - zaklął i wrzucił wsteczny bieg.

Profesjonalizm wziął jednak górę nad paniką i Piat powoli wycofał, a następnie bez pośpiechu skręcił w lewo na bulwar.

- Ta kobieta? - spytała Saida.

- Tak. Widzisz ją?

- Obserwuje nas. A teraz biegnie.

Piat skręcił na północ na pierwszym skrzyżowaniu, szybkość liczyła się teraz bardziej niż ostrożność.

Alan przeszedł przez rzymskie ruiny samotnie. Nie spodziewał się, że Piat się zjawi, a mimo to poczuł zawód, gdy dotarł do schodków po drugiej stronie. Wciąż ścisnął w dłoni aparat.

Miał irracjonalną pokusę, żeby zaczekać dłużej albo jeszcze raz przemierzyć ruiny. Głupota. Przecież założył czapkę, sygnał, że jest spalony. Piat i tak się tu nie zjawi?

Wspiąwszy się po schodkach, zgaął, gdzie powinien się znajdować Ciemne Okulary, i odwrócił się o czterdzieści pięć stopni w lewo. Bingo. Patrzył teraz prosto na niego, z odległości dziesięciu metrów. Ciemne Okulary miał pochyloną głowę i przyciskał do ucha telefon, zdawał się zupełnie nie zauważać Alana, całkowicie skupiony na rozmowie. Podniósł z ławki torbę i ruszył prosto na Alana.

Alan uniósł aparat do oka i pstryknął facetowi cztery zdjęcia, ostatnie z odległości niecałych trzech metrów. Kiedy tamten zorientował się, co się stało. Alan już go minął, a następnie przyspieszył kroku i obejrzał się za siebie.

Ciemne Okulary stał, jakby go zamurowało, z poczerwieniałą twarzą.

Alan szedł teraz bardzo szybko, czując palące gorąco między łopatkami. Słyszał, jak facet wykrzykuje coś po hebrajsku do telefonu.

Alan czekał na odgłosy bieganiny. Gdy tylko usłyszał, jak tamten ruszył, sam puścił się sprintem przed siebie.

Nie przejmował się resztą zaplanowanej trasy. Popędził prosto przez bulwar na parking.

Wskoczył do samochodu i przekręcił kluczyk. Ciemne Okulary był o całą przecnicę dalej. Kiepski na dłuższych dystansach. Alan wrzucił wsteczny bieg i na pełnym gazie wyjechał z parkingu. Nie zwrócił uwagi na mężczyznę, który siedział w białym citroenie.

Minął białego dzipa suzuki, który stał pusty przy krawężniku.

Jadąc ulicą przejrzał zdjęcia w aparacie. Trzej ustrzeleni.

Został jeszcze jeden.

Małeńka wioską którą Craik zaznaczył na mapie jako miejsce spotkania z Dukasem, znajdowała się na osobnym wzgórzu, na północ od Kalonis. Przez jej środek przebiegała droga przelotową od której odchodziło sześć uliczek. Tam, gdzie przelotówka spotykała się z dwiema środkowymi uliczkami, uformował się placik podobny do wybrzuszenia na cielsku węża, który zjadł solidny posiłek: droga wpadała do wioski, rozszerzała się z obu stron, a potem znowu zwężała i biegła dalej. Porucznik Darcouri, grecki anioł stróż Dukasa, stwierdził, że Grecja jest pełna takich pięknych wiosek, na co Dukas odparł, że ma nadzieję, że przynajmniej w części z nich ulice są szersze, bo inaczej wszyscy kierowcy samochodów

mają przerąbane, a potem wjechał w jedną z nich. Uliczka po trzydziestu metrach zwężała się jeszcze bardziej i zakręcała pod górę, jakby biegła starym szlakiem dla kóz.

- Bardzo malowniczo - powiedział Dukas, wysiadając i sprawdzając, czy uda mu się znaleźć lepsze miejsce do zaparkowania.

- Pięknie - zauważył Darcouri. Miał na myśli manewr parkowania. Musiał wysiąść od strony kierowcy, ponieważ drzwiczki pasażera znajdowały się o pięć centymetrów od białej ściany chałupy. - Na piątkę z plusem.

Zeszli na plac. Dukas wyjaśnił, że ma się tu spotkać ze swoim partnerem i że chciałby porozmawiać z nim parę minut na osobności.

- Nie musisz słyszeć wszystkiego, o czym gadamy?

- Oczywiście, Michael. - Mówili już sobie po imieniu. - Jestem tu tylko w charakterze obserwatora.

- Dobrze. Poczekał tutaj. - Dukas wskazał mu tawernę z trzema stolikami, a sam ruszył przez jezdnię w stronę placu gdzie stało parę ławek i rosły trzy drzewa, których korony ugięły się na wietrze. Craik siedział na jednej z ławek. Dukas usiadł obok niego, wpakował ręce do kieszeni płaszcza i rozprostował nogi. - Rozmawiałeś z Piatem czy odwołałeś spotkanie?

- Odwołałem. Byłem spalony, uczepili się mnie jak rzep psiego ogona. - Craik skinął głową w kierunku tawerny. - To twoja grecka niańka?

- Piat stawia się wobec tego na spotkanie awaryjne, a ja zajmę twoje miejsce. Pojedź do hotelu, połóż się do łóżka.

- Po co... żeby gapić się w sufit?

Craik miał ręce skrzyżowane na piersi i spuszczoną głowę.

- Al... wracaj do domu.

- Następny samolot jest dopiero jutro rano.

- Al, już cię nie potrzebuję.

- Ale może ja tego potrzebuję. - Craik wyciągnął ręce, jakby trzymał w nich może piłeczkę pingpongową. - Jednego udanego zadania. Chcę się tylko raz przekonać, że to, co robię, jest pożyteczne i słuszne.

Dukas wstał. Spojrzał na przyjaciela.

- Nawet jeśli ta akcja pójdzie najlepiej, jak tylko się da, to i tak nie będzie to wiele. Spotkamy się z Piatem, który może coś wie, a może nie. Może przekaze nam dziewczynę jako świadka. A może nie. Może się nawet nie zjawi.

- Ale my wykonamy swoją robotę, jak należy.

Dukas się uśmiechnął.

- My nie zmieniliśmy reguł, jeśli o to ci chodzi.

Wyciągnął rękę. Craik przyjął ją, wstał i uśmiechnął się tak jak za dawnych lat

- Ja zmieniłem. - Pokazał mu aparat. - Nie chcę się zmienić w jednego z nich.

- Nie pozwoliłbym ci na to. - Dukas poklepał go po ramieniu. - Chodźmy napić się greckiej kawy. I może zjemy coś słodkiego.

Ruszyli do tawerny. Izraelski obserwator złożył gazetę i oddalił się pośpiesznie.

Na południu wyspy Lesbos

Wiatr wiał z południowego wschodu. Nadlatywał z pustyni, przez bagna w delcie Nilu, przez setki kilometrów morza i dziesiątki wysepek, bez odrobiny wilgoci. W lecie potrafił być gorący, niszczyć uprawy oliwek i winogron. W zimie był lodowaty. Teraz wiał przez najbardziej wysunięty na południe kraniec Lesbos, świszcząc między wulkanicznymi skałami i rzędami wiatraków na polu.

Piat siedział oparty plecami o gładką metalową wieżę jednego z wiatraków, która wznosiła się aż do wielkich śmigieł obracających się w ciemności nad jego głową. Ruch skrzydeł był ledwo słyszalny, lecz turbina wewnątrz słupa dudniła o jego plecy: łup, łup, łup. Saida leżała skulona w jego ramionach, z głową na jego barku wciśnięte w jego ciało. Czuł bicie jej serca, szybsze od pracy turbiny. Łup, łup, łup.

- Zimno mi - poskarżyła się kolejny raz.

Uniósł rękę nad jej głową i spojrzał na zegarek, starając się nie wzbudzać niepokoju dziewczyny swoim zainteresowaniem czasem. Już i tak denerwowała się za nich dwoje.

- Zapaliłbym papierosa - rzucił.

Patrzył teraz na mapę klasztoru, gdzie powinien się spotkać z Dukasem. I Androsem. Jeśli wszystko się uda.

Klasztor mieścił się w kraterze wulkanu, który wznosił się pięćset metrów nad poziomem morza, masywny cypel między dwiema plażami. Odchodzący od głównej drogi stary żwirowy trakt, tak wąski, że zmieścił się na nim tylko wóz konny, rozwidlał się mniej więcej na jednej trzeciej wysokości góry. Dróżka odchodząca w lewo pięła się aż do starych kamiennych schodów do klasztoru, odnogą skręcającą w prawo wiła się po północnym zboczu, to

wznosząc się, to opadając, aż w końcu, po kilkuset metrach zbiegała na piaszczystą północną plażę.

- Chciałabym, żebyśmy byli wreszcie bezpieczni - powiedziała.

Piat odliczał ostatnie pięć minut, jakby przyglądał się budzikowi o poranku, zanim trzeba będzie pójść do pracy. Jeszcze przez pięć minut są bezpieczni.

Cztery.

Trzy.

Dwie. Złożył mapę i schował ją razem z latarką do plecaka.

Jedna.

A potem siedzieli znów w czerwonym samochodzie. Mieli do przejechania sześćdziesiąt kilometrów, by zdążyć na łódź, która powinna czekać przy brzegu.

Po nierównej gruntowej drodze wyjechali z pola wiatraków na główną autostradę. Na stromym zakręcie pod górę, gdy zbliżali się do grzbietu centralnego masywu wyspy, Piat zatrzymał wóz, wyłączył silnik i zaczął nasłuchiwać. Lśniące oczy Saidy popatrzyły na niego w mroku. Uśmiechnął się do niej.

- Tylko my - powiedział i ruszył.

Pięć minut później jechali w dół zbocza z umiarkowaną prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nie było więcej samochodów na drodze. Zbliżali się do patrolu policyjnego, który zawsze stał przy skrzyżowaniu u podnóża góry. Teraz Saida siedziała za kierownicą.

Samochód wypożyczyli na jej kartę kredytową. Piat wielokrotnie rozważał kwestię, jak rozwiązać problem patrolu, myślał nawet o tym, żeby objechać wyspę dookoła, byle tylko uniknąć policyjnej kontroli, zastanawiał się, kto powinien prowadzić. Ostatecznie najprostsze rozwiązanie wydało mu się najlepsze. Czemu nie miałyby poprowadzić własnego samochodu?

Zdenerwowanie Saidy udzielało się także jemu.

Zatrzymała wóz za wcześnie i zbyt gwałtownie, trzy metry przed czekającym policjantem, a potem podjechała na pierwszym biegu, zbyt mocno wciskając pedał gazu.

Opuściła szybę w okienku.

Policjant zajrzał do środka.

- Dobry wieczór - powiedział po grecku, a potem powtórzył powitanie po angielsku, zwracając się do Saidy.

- Jest za zimno, żeby był dobry - odparła. - Nie marznie pan?

Zmiana nastąpiła tak gwałtownie. Najpierw ledwo była w stanie prowadzić samochód, a po chwili bezbłędnie odgrywała swoją rolę. Piat zaczął się uspokajać.

Grecki gliniarz się roześmiał. Zerknął na Piata i coś w jego zmrużonych oczach sprawiło, że Piatowi znów skoczyła adrenalina.

Spojrzał policjantowi prosto w oczy, uśmiechnął się z wysiłkiem i pokiwał głową.

Facet nas szuka, pomyślał, a może to tylko paranoja.

Gliniarz wyprostował się i poklepał dach samochodu.

- Wiatr nie oszczędza nikogo, co? Proszę jechać ostrożnie, dobrze?

Przepuścił ich, dając znak latarką.

Saida ruszyła powoli i odjechała.

Piat obserwował patrol w bocznym lusterku, ale nie widział nic prócz niewyraźnej smugi światła, gdy gliniarz z latarką odszedł od jezdni. Nie widział, jak policjant wsiadł do radiowozu i nie widział, jak kontaktuje się z kimś, przez telefon komórkowy, ale wyobrażał sobie takie rzeczy. Pomyślał, jak sam przeszukałby wyspę.

Za oknami, rachityczne sosny ustąpiły miejsca drzewkom oliwnym. Saida jechała zbyt szybko, zbyt gwałtownie brała zakręty.

Kiedy zbliżali się do szczytu następnego wzgórza, pierwszego z widokiem na morze po północnej stronie wyspy, Piat położył dłoń na jej ramieniu.

- Zatrzymaj samochód na szczycie.

Wykonała polecenie bez pytania.

Otworzył drzwiczki i owionął ich mroźny wiatr. Piat wysiadł i podszedł do skraju szosy, lecz nie słyszał nic poza świstem wichru i szumem drzew. Nadciągające chmury zasłoniły księżyc, było ciemno. Poniżej migotały światełka wiejskich chałup w dolinie. Światła przybrzeżnych miasteczek jaśniały pomarańczową łuną w oddali.

Za Piatem dwie pary samochodowych reflektorów zaczęły się posuwać ku szczytowi góry, który niedawno pokonali. Kiedy się im przyglądał, dołączyła do nich trzecia para.

Poruszały się szybko, agresywnie biorąc zakręty. Trzy samochody. Jeden za drugim, na pełnym gazie.

Saida wzięła go za rękę. Wskazała punkt, gdzie dwie pary świateł zniknęły właśnie za zakrętem, a trzecia wciąż była widoczna.

- Po nas?

- Owszem.

Teraz nie myślał już, że to paranoja. Wiedział, że te trzy samochody to pościg, i był przekonany, że wie czyj.

Saida zadrżała.

Klepnął ją w pośladek, nie przyjęła tego z zadowoleniem.

- Rozchmurz, się - powiedział. - Trzeba się trochę napracować na te dwadzieścia pięć milionów dolarów.

Wziął od niej kluczyki, poczekał, aż zatrzasnęła drzwiczki, i zjechał ze szczytu wzgórza w dolinę. Kiedy przyśpieszał, biorąc zakręt, próbował sobie wyobrazić, co by było, gdyby faceci ścigający Saidę mieli jeszcze jeden samochód, przed nimi. Nie sądził, aby mieli dostateczną liczbę ludzi, a poza tym nie mógłby na to właściwie nic poradzić.

Chyba że chodziło im tylko o to, by wystawić go snajperowi. Albo wprowadzić na minę.

Wszystko jest możliwe.

Piat przerabiał już to wszystko wcześniej i wiedział, że gdy w grę wchodzi tak wysokie stawki, ludzie i państwa zapominają o zasadach i robią, co tylko mogą, byle zdobyć pieniądze albo władzę. Karabiny, bomby, straty wśród ludności cywilnej. Piat robił to przez lata.

Zredukował bieg z czwórki do dwójki, dodał gazu na granicy poślizgu i poczuł, jak wcisnęło go w fotel, gdy pokonał wzniesienie i zjechał w dół. We wstecznym lusterku zobaczył światła pościgu na szczycie wzgórza, gdzie się wcześniej zatrzymali.

- Są bliżej? - spytała Saida. - Zbliżają się!

- Nie - odparł.

- Nie mógłbyś zjechać z drogi i się ukryć? - zapytała; - Tak jak poprzednim razem?

- Nie.

- Możesz...

Jej głos przechodził w piskliwy krzyk.

Położył rękę na jej kolanie.

- Cicho, Saido.

Cofnął dłoń, żeby wrzucić wyższy bieg.

- Wciągnąć ich w zasadzkę? - podjęła. - Oni mnie zabiją!

Wyciskał z samochodu, ile się dało, ale nie zdobył takiej przewagi, by mógł wyłączyć światła i odjechać. A tym razem musiał się trzymać tej jednej drogi. Zerknął na fosforyzującą tarczę zegarka, miał zmęczone oczy i musiał wysilić wzrok, żeby odczytać godzinę. Nie było dość czasu na zgubienie ogona. Opony zachręściły na żwirze pobocza, szybko więc odbił w stronę jezdni.

- Zabiją nas oboje, kochanie. Nie tylko ciebie. Jest ich co najmniej trzech albo czterech, a ja nie jestem na tyle dobry, żeby urządzić im zasadzkę. Może są kiepscy w prowadzeniu inwigilacji, ale na zabijaniu znają się znacznie lepiej.

Zerknął na nią i zobaczył, że wpatruje się w pustą ciemną szosę za tylną szybą. Zmienił pas, wjeżdżając na część drogi przeznaczoną dla ruchu w przeciwnym kierunku, a jednocześnie dodał gazu, wchodząc w wiraż. Było to niebezpieczne tylko w takim wypadku, gdyby ktoś nadjechał z naprzeciwka.

- Za dziesięć minut będzie po wszystkim - powiedział.

- Tak? - spytała.

- Nie - odrzekł. - Skłamałem, żebyś poczuła się lepiej.

- Jack? Zamknij się. Przez ciebie jeszcze bardziej się denerwuję.

Zobaczył, że się uśmiechnęła.

Musiał gwałtownie skręcić, by ominąć trzy owce na jezdni, potem zaczął zwalniać przed zakrętem w stronę klasztoru.

- Jack? Widziałeś w Kalonis Rashida? - wyrzuciła z siebie szybko.

Piat zredukował bieg najpierw raz, potem drugi i zgasił światła przed zakrętem.

- Co? Rashida?

- Chciał do nas wrócić. Przesłał mi e-maila. A ja...

Zawahała się, gdy Piat wykręcił, stawiając samochód na jednym z pięciu miejsc parkingowych u podnóża szlaku do klasztoru.

Wysiadł, wyciągnął z plecaka latarkę, rozejrzał się po parkingu, a potem podszedł do miejsca, skąd szlak biegł pod górę ku klasztorowi i plaży po drugiej stronie. Wulkan wznosił się wysoko nad nimi, tak że nie docierał tu nawet zapach morza, a zimny wicher uderzał o skały z całym impetem i odbijał się we wszystkich kierunkach.

Dostrzegł świeże ślady opon i stóp, ale zbyt wiele ich było, by mogły cokolwiek znaczyć.

- Rashid chce wrócić? - odezwał się nagle, gdy dotarło do niego, o co chodzi. - Napisałaś mu, że będziemy w Kalonis?

- Ty też go lubisz! - odparła.

- Do cholery - zaklął, spoglądając na drogę, z której zjechali. - Weź swój plecak. Musimy się zbierać.

Przystanął w ciemności, wsłuchując się w wycie wiatru. Sięgnął pod fotel samochodu i wyciągnął pistolet, który nosił od czasu nieprzyjemnego spotkania z dwoma zbirami na promie. Sprawdził magazynek i bezpiecznik, a potem wetknął pistolet za pas.

- Myśli, że go zabiją - powiedziała.

- Sam mogę go zabić. Chodź.

Piat pociągnął ją w kierunku stromego szlaku. Obserwując teren, myślał o Rashidzie, Saidzie, Izraelczykach, Palestyńczykach. Zobowiązaniach. Dwudziestu pięciu milionach dolarów. Armageddonie.

Trzydzieści metrów ponad szosą szlak się rozwidłał. Po lewej stronie, biegł pod górę i zmieniał się w strome schody wykute w wulkanicznej skale. Poszczególne stopnie ledwo widoczne, przypominało zygzakowatą linię, która zakręcała i znikwała w ciemności. Trzysta metrów wyżej światła klasztoru lśniły jak złote gwiazdy. Po prawej stronie, podobne do łatwej drogi do piekła przedstawionej na ilustracjach w umoralniających książeczkach dla dzieci, łagodnie w dół zbocza biegła poprzez suchą wysoką trawę i rumowiska dróżka w kierunku plaży i morza. Samo morze słychać było teraz od czasu do czasu, gdy wiatr cichł, by zaraz potem znów przybrać na sile.

Piat przystanął, wciąż trzymając Saidę za rękę. Nasłuchiwał odgłosów silnika i wpatrywał się w ciemność za nimi w poszukiwaniu świateł samochodów. Znów zerwał się wiatr. Piat kątem oka spostrzegł, że coś poruszyło się w mroku. Skierował tam światło latarki.

Strzęp materiału przyczepiony do gałęzi dzikiego drzewka oliwnego, która wyginała się na wietrze jak ramię wskazujące kierunek. Kawałek czarnej wełny z trzema czerwonymi szewronami, białym piórem i błyskawicą.

Piat od razu zorientował się, co to jest, kto to tu zostawił i dlaczego. „Jack, nie idź tędy. Od Rashida”. A może: „Ratuj mnie, Jack”.

Saida chwyciła go za ramię.

- To naszywka Salema.

Drżał jej głos.

- Wiem. - Zawodowa uprzejmość, jeśli nawet nic innego, wymagała, by zrobił coś dla Dukasa. - Nie ruszaj się stąd - szepnął jej do ucha.

Oczami wyobraźni widział „przyjaciół” Rashida czyhających na szlaku.

Zbiegł z powrotem do samochodu. Przez cały czas obserwował drogę po prawej stronie, obawiając się nagłego błysku świateł. Musieli już być w dolinie. Kiedy dotarł do auta, pierwsza para świateł pojawiła się na szczycie ostatniego wzniesienia i ruszyła w dół. W zimnym powietrzu wyraźnie usłyszał zmieniane biegi, potem wiatr znów się wzmógł, gdy druga i trzecia para świateł ruszyły w dół.

Otworzył tylne drzwiczki i wyciągnął spod siedzenia swoją bejsbolówkę. Zamknął drzwiczki i nasadził czapkę na antenę. Na dokładkę opuścił jeszcze osłony przeciwsłoneczne

na przednią szybę. Żałował, że nie ma czasu napisać wiadomości, ale miał nadzieję, że w razie czego Dukas bez trudu odczyta znaki.

Potem znów ruszył pod górę. Miał wrażenie, że światła pościgu są bardzo blisko, ale uznał, że w rzeczywistości muszą być prawie kilometr dalej. Saida czekała na szlaku prowadzącym na plażę, złapał ją więc za ramię i pociągnął w drugą stronę.

- Tędy! - krzyknął przez wiatr, ruszając w kierunku klasztoru.

- Ale... Rashid... to on musiał zostawić naszywkę - upierała się Saida.

- Ale nie jest sam.

Piat pociągnął mocniej, w końcu ruszyła z miejsca, a on zaczął się wspinać po schodkach. W chwilę później zobaczył światła pierwszego samochodu wjeżdżającego na parking. Reflektory dwóch następnych dawały tyle światła, że Piat widział przed sobą cień Saidy.

- Ale musisz go zabrać... on chce... dokąd idziemy?

Dziewczyna już dyszała z wysiłku.

Piat przyciągnął ją do ziemi i zakrył ręką usta. Przykucnęli na schodach.

- Posłuchaj mnie. Rashid zostawił naszywkę, żeby dać nam do zrozumienia, że tu jest.

Jest tutaj z paroma wrednymi sukinsynami. Ci ludzie mają broń, Saido. Ciebie też szukają. I mnie. A teraz, kiedy zgasną te światła na dole, zaczniemy jak najszybciej i jak najciszej iść na górę. Kiedy powiem „padnij”, masz paść na ziemię. Dobrze?

Jej twarz była tylko niewyraźną jaśniejszą plamą w ciemności, lecz głos wibrował pełen jadu i oburzenia.

- Zamierzasz odejść i zostawić go na pastwę tych... tfu!

Poniżej zgasły ostatnie światła. Dały się słyszeć niesione wiatrem niskie męskie głosy.

- Tak. A teraz ruszaj - szepnął jej do ucha i pociągnął ją do góry.

Wspięli się po długich schodach na podest z kamienną wazą wykuta w skalnej ścianie, teraz pełną kwiatów. Piat przykucnął. Zdał sobie sprawę, że gdzieś po drodze wyciągnął pistolet.

Saida skuliła się i przywarła do ziemi.

Usłyszeli chrzęst żwiru i stukot potraconego kamyczka, który potoczył się żłebem daleko pod nimi. Potem nastąpiła cisza. Piat podczołgał się do krawędzi schodów, żeby lepiej widzieć i mieć lepszą pozycję do strzału, gdyby okazało się to konieczne.

Nie widział i nie słyszał na zboczu żadnego poruszenia.

Wiatr przycichł i Piat usłyszał kolejny, nadjeżdżający z oddali samochód.

Chłód ciągnący od kamiennej platformy przenikał przez marynarkę i dzinsy. Piatowi zaczęły dzwonić zęby, zacisnął je mocno.

Piętnaście metrów poniżej szedł mężczyzna. Uniósł rękę, zacisnął pięść i potrząsnął nią w powietrzu. Dwaj inni ludzie wyminęli go i zbliżyli się do rozwidlenia szlaków pod schodami.

Piat zastanawiał się, czy ich nie zastrzelić. Zgadywał, że to Izraelczycy, których widział w Atenach. Mieli bojowe przeszkolenie i było to widać po ich ruchach. Trafiłby jednego, gdyby ręka za bardzo mu się nie trzęsła. Dwóch, gdyby miał dużo szczęścia. A potem reszta by go dorwała.

Nie strzelił.

Znów zerwał się wiatr. Wiał teraz z innej strony, zapowiadając nadciągającą burzę. Pistolet mroził mu dłoń jak lód. Wiatr ucichł i Piat słyszał teraz głosy mężczyzn na dole, choć nie rozróżniał słów ani języka.

Zobaczył jaśniejszy owal twarzy, gdy mężczyzna na dole odwrócił się i popatrzył na schody. Piata ścisnęło w żołądku.

Znów rozległ się warkot silnika, lecz Piat nie śmiał odwrócić głowy, żeby sprawdzić, czy pojawiły się światła.

Facet przy wejściu na schody powiedział coś, a potem wszyscy trzej ruszyli ścieżką prowadzącą na plażę i wkrótce zniknęli w ciemności. Piat czekał, policzył powoli do stu, a potem podniósł się z ziemi i przykucnął.

- Dalej! - szepnął do Saidy.

Zerknął na szosę i zobaczył następny samochód z szerzej rozstawionymi światłami, który pokonywał właśnie ostatnie wzgórze, kilka kilometrów dalej. Wtedy drugi wóz pojawił się z przeciwnej strony, zbliżył się szybko i z piskiem opon skręcił na wysypyany żwirem parking. Trzasnęły drzwiczki, nienaturalnie głośno z takiej odległości.

- Dalej - szepnął znowu, lecz Saida już wspinała się po schodach, widział tylko jej czarną sylwetkę na tle skały.

Dotarła do następnej platformy, gdy w dole znów rozbrzmiał trzask drzwiczek. Piat obejrzał się i zobaczył osobę w łopoczącym płaszczu przebiegającą przez drogę. Po chwili słyszał już tylko szybki tupot nóg na żwirze.

Piat wyminął Saidę i ruszył pod górę tak szybko, jak pozwalała mu odwaga. Znów zerwał się wicher, zagłuszając wszystko oprócz własnego świstu, i tym razem towarzyszył im przez cały czas, gdy Piat pokonywał dwie kondygnacje schodów, a potem trzecią, czując, jak wali mu serce, a kolana bolą z wysiłku. Saida zostawała w tyle. Na czwartej platformie padł

na ziemię i poczekał, spoglądając zza krawędzi w dół. Byli w połowie drogi do zakrętu, za którym schodów już nie widać ze ścieżki na plażę, dalej chowały się bowiem za zboczem góry.

Saida przepchnęła się obok niego, stęknęła i osunęła się na ziemię.

Piat obserwował, jak wóz z szerokim rozstawem reflektorów wjeżdża na parking. Był teraz zbyt wysoko, by widzieć cokolwiek, gdy zgasły światła. Miał nadzieję, że sam też jest niewidoczny dla tych na dole.

Odwrócił się, żeby popędzić Saidę, i przekonał się, że dziewczyna jest już w połowie drogi do następnej platformy. Podążył jej śladem.

Pokonali jeszcze trzy kondygnacje. Piatowi kręciło się w głowie ze zmęczenia. Na każdej z platform zaskakiwało go, gdy Saida, dysząc, wspinała się dalej i nie dawała mu się wyprzedzić. Kiedy dotarli do większej platformy, naturalnej półki skalnej z wyciosanymi w kamieniu dzbanami na kwiaty i skapującą wodą która na wiosnę zamieniała się w strumyk, przed sobą Piat zobaczył morze. *Thalatta, thallata!* Przypomnił mu się okrzyk radości dziesięciu tysięcy wojowników z *Anabasis*, gdy udało im się uciec przed Persami.

Odetchnął i spojrzał na morze, szukając świateł, jakichkolwiek świateł, kiedy na plaży rozległ się wyraźny huk wystrzału. Z oddali zabrzmiał jak salwa armatnia, a potem zaczął odbijać się echem od ścian wulkanu i skalnych urwisk ciągnących się wzdłuż północnego wybrzeża. Potem słychać było następne strzały, ich huk mieszał się z dudniącym echem, aż wreszcie morskie ptaki, które obsiadły zbocze wulkanu, żeby przeczekać tu noc, wzbiły się z krzykiem i piskiem w powietrze.

Lesbos

Alan dociskał pedał gazu, by nie stracić prędkości, gdy volkswagen wjeżdżał pod górę.

- Ścieżka do klasztoru będzie po lewej stronie u podnóża grani. - Grecki oficer na tylnym siedzeniu pochylił się do przodu. - Jedź pan za szybko jak na te drogi.

- Śpieszy nam się - wyjaśnił Dukas, nie odwracając głowy.

Kiedy dotarli do szczytu wzniesienia, zobaczyli w oddali światła samochodu nadjeżdżającego z naprzeciwka. Alan przyhamował i zredukował bieg, zbliżając się do zakrętu.

- Jesteśmy Piatowi coś winni? - zapytał.

- Nie, nic - odparł Dukas. - A co?

- Po prostu myślę na głos - wymamrotał Alan.

- Nie chodzi o Piata. - Dukas zerknął na Greka, wyraźnie ważąc słowa.- Chodzi o faceta z US Navy, który został zamordowany.

Alan mruknął i uważnie obserwował nadjeżdżający samochód. Wciąż był prawie kilometr dalej i chyba zwalniał albo zatrzymał się u podnóża wulkanu.

- Tam jest ten klasztor?

Alan skinął na światła samochodu w oddali.

Grecki oficer znów pochylił się do przodu. Pokazał ręką do góry, wysoko, prawie przy samej krawędzi przedniej szyby.

- To jest klasztor...

Alan oderwał wzrok od szosy i zobaczył skupisko żółtych świateł wysoko nad nimi.

Greki dodał:

- Ale tamten samochód jest właśnie przy zakręcie.

Światła wozu w oddali zgasły.

Alan pokonał trzy ostatnie zakręty i znaleźli się w dolinie. Dodał gazu.

- Mike? - spytał.

Dukas wyglądał przez przednią szybę.

- Tak?

- Masz jakiś plan?

- Znaleźć Piata i z nim pogadać.

Alan pokonał łagodny łuk i zwolnił przed wjazdem na szlak do klasztoru. Na niewielkim, wysypanym żwirem parkingu stały już trzy samochody. Alan zredukował bieg i zaklął, zatrzymując wóz między czerwonym renaultem a krawędzią stromego urwiska.

Dukas od razu wyskoczył z volkswagena. Poświecił latarką w okna czerwonego samochodu, a potem na bejsbolówkę zawieszoną na antenie. Alan, nie zwracając uwagi na greckiego oficera, podszedł do przyjaciela.

- Silniki są wciąż ciepłe! - powiedział Dukas, przekrzykując wiatr. - Piat odwołuje spotkanie - dodał, przygarbiając plecy.

Alan zadarł głowę i spojrzał na górę. Było zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć.

- To już koniec? - spytał.

- Na dzisiaj chyba tak.

Alan skinął na suzuki z napędem na cztery koła.

- Napatrzyłem się już dzisiaj na ten wóz. Izraelczycy.

Dukas pokiwał głową.

- A ten z czapką na antenie jest Piata?

- Mam nadzieję.

Dukas przysiadł na zderzaku dżipa.

- To kto przyjechał w tym trzecim? - Alan podszedł do czerwonego citroena zaparkowanego obok suzuki. - Ten też już widziałem. Znowu Izraelczycy?

- Nie mam pojęcia.

Dukas patrzył na drózkę pod górę.

Grecki oficer wysiadł z wozu. Powiedział coś, ale wicher porwał jego słowa. Kiedy ruszył w ich stronę, wiatr zelżał, a potem nagle zupełnie ucichł.

- Pieprzony Piat - mruknął Dukas.

- Słyszałem wystrzał - krzyknął Grek.

Pokazał ręką do góry, na zbocze wulkanu.

Ledwo skończył, rozległa się seria wystrzałów, a po chwili echo, które przetoczyło się jak grzmot pioruna podczas letniej burzy.

Dukas zaklął i wstał. Pobiegł przez szosę, kierując się w stronę wąskiego szlaku.

- Mike! - zawołał Alan. - Co jest... Jezu... Mike!

Dukas wdrapywał się już na górę.

- Kto tam strzela? - spytał Darcouri.

- A jak pan myśli?

Młody Grek miał surową minę.

- Myślę, że wykroczyliście daleko poza to, na co zezwala rząd Grecji.

Wyciągnął komórkę i mówił coś szybko do telefonu, numer musiał być już zapisany w pamięci aparatu. Miał napięty i wzburzony głos. Alan przebiegł przez szosę i pokonał pierwsze wzniesienie na szlaku, aż dotarł na płaską polanę, do rozwidlenia dróg. Jedna ścieżka prowadziła do wykutych w skale schodów po lewej stronie, druga, szersza biegła wśród wysokich traw w kierunku plaży. Dukas klęczał na szlaku po prawej stronie, zasłaniając dłonią światło latarki. Podał Alanowi skrawek tkaniny.

- Szyfrant marynarki wojennej.

- Salem Qatib.

Znów rozległy się strzały, tym razem bliżej, a potem okrzyk bólu, który wkrótce przeszedł w niemal dziecinny wrzask domagający się pomocy.

Alan przykucnął obok Dukasa na ścieżce.

Co to znaczy?

- Nie mam pojęcia.

Znowu rozległ się wrzask.

- Chłopak.

- Jaki chłopak?

- Palestyńczyk. To naszywka z kurtki. Widziałem dzisiaj taką, ale byłem zbyt zajęty, żeby zwrócić na to uwagę. Ten chłopak zostawił tu tę naszywkę...

Dukas uciszył go gestem ręki i zaczął nasłuchiwać. Wiatr zelżał, lecz szum morskich fal to wzmagął się do huku, to przycichał. Wrzask się urwał.

- Tak, może to ten chłopak. Są tu Izraelczycy. Piat. Dlaczego więc nie Palestyńczycy? - Wyłączył latarkę. - Podejdę zobaczyć, co się tam dzieje.

Dukas wstał. Możliwe, że zachichotał albo coś mruknął, lecz zagłuszył go ryk morza.

Alan zerknął do tyłu na pogrążony w ciemnościach parking.

- Ten Grek zadzwonił z komórki do swoich. Rozniesie się niezły smród.

Wyminął Dukasa i ruszył ścieżką w kierunku plaży.

Nie uszedł nawet pięćdziesięciu metrów, gdy natknął się na pierwsze ciało. Facet nie żył, leżał jak długi z twarzą przy ziemi. Alan nie potrzebował latarki, żeby go zidentyfikować. Od wczesnego ranka oglądał tę samą zwałistą postać w czerwonej bejsbolówce. Przeszukał pobieżnie zwłoki, odwrócił je na plecy, znalazł ranę postrzałową w klatce piersiowej, a potem pistolet w kaburze przy kostce. Wziął broń, sprawdził bezpiecznik i magazynek, a potem komorę, gdy Dukas podszedł do niego od tyłu.

- Jeden z Izraelczyków - powiedział Alan z beznadzieją w głosie. - Zasadzka. Co za cholerna strata.

- Są na plaży.

Alan wciąż siedział w kucki przy zwłokach.

- Czy tu naprawdę chodzi o dokonanie aresztowania, Mike? Przyjechałeś, żeby aresztować ludzi, którzy zabili Salema Qatiba?

- W idealnym świecie, tak - odparł Dukas. - Nam o to właśnie chodzi. Ale tamci uganiają się za jakimś pieprzonym pucharem.

Alan podał Dukasowi portfel zabitego.

- Mam tego po dziurki w nosie, Mike. Chyba z tym skończę.

Dukas wsłuchiwał się w coś na wietrze. Godziny spędzone na pokładach lotniskowców zrujnowały Alanowi słuch. Słyszał tylko szum morza, lecz Dukas wyprężył się jak aporter. Nagle przyłożył dłonie do ust i zawołał:

- Hej! - Puścił się ciężkim truchtem po ścieżce, a Alan pobiegł za nim. Dziesięć kroków dalej Dukas zatrzymał się znowu i krzyknął: - Eshkol!

Do Alana doleciał czyjś głos. Dukas musiał usłyszeć więcej, bo ruszył szybciej przed siebie, zostawiając Alana w tyle.

Dukas znów zawołał.

- Eshkol! - Nasłuchiwał przez chwilę. - Schodzę na plażę! - A potem, w odpowiedzi na coś, czego Alan nie słyszał, dorzucił: - Oficer amerykański! Nie strzelać! Niech nikt nie będzie na tyle głupi!

Potem krzyknął coś po grecku i może jeszcze po hebrajsku.

Ruszył znowu przed siebie i zniknął w ciemności.

Alan stał w miejscu. Opadło go poczucie beznadziei i głębokie zmęczenie, świat zaczął się rozmazywać. Poruszając się z trudem, jakby powietrze miało gęstość smoły, z zapomnianym pistoletem zwisającym luźno w ręce, ruszył wreszcie w kierunku skał, a potem w dół na plażę - od zwłok do zwłok, jak się okazało, w sumie czterech martwych mężczyzn, których znalazł za późno.

Dukas, starając się robić jak najwięcej hałasu, ruszył w stronę plaży. Celowo strącał kamyki po drodze i stawiał ciężko stopy, żeby żwir chrzęścił pod podeszwami. Dwa razy zawołał: „Eshkol!” i przystawał, w końcu z ciemności dobiegała go odpowiedź. Przez pierwszych kilka metrów słyszał za plecami kroki Craika, które potem zaczęły cichnąć, jakby Alan oddalił się w stronę skał po lewej stronie.

Zszedł na plażę, czując, jak żwir pod stopami zmienia się w piasek. W wyciągniętej na bok prawej ręce trzymał zgaszoną latarkę. Chciał by, kiedy ją zapali, strzelający do niego trafił go w ramię, a nie w pierś. Piasek był ubity, a więc wilgotny: zaczynał się odpływ.

- Eshkol! Jestem na plaży.

Włączył latarkę, poczekał na wystrzał. Ktoś zawołał, ktoś inny odkrzyknął coś w odpowiedzi. Oba głosy były gniewne, drugi zachrypnięty i dyszący. Dukas skierował błąd, słaby snop światła przed siebie i zobaczył leżącego na piasku człowieka, a dalej niewyraźną stojącą postać, a za nią coś niższego, czarnego - klęczący człowiek czy skała? Zgasił latarkę i ruszył do przodu.

- Dukas. Stój.

Zatrzymał się. Rozbłysło jaskrawe światło. Skrzywił się i zmrużył oczy, gdy padło prosto na jego twarz. Światło przesunęło się wzdłuż jego ciała od góry do dołu, nie natrafiło na broń i zgasło. Potem usłyszał chrzęst stóp na mokrym piasku. Starł się przyzwyczaić wzrok do

nagłej ciemności, lecz zdołał zaledwie rozpoznać jaśniejszy odcień nieba, gdy przesłonił mu je ciemniejszy kształt: Eshkol, w jakimś obszernym ubraniu, chyba w płaszczu, stanął metr przed nim.

- No i co? - zagadnął Dukas.

Widział odrobinę jaśniejszy od tła owal twarzy. Usłyszał, jak Eshkol westchnął.

- Niezła jatka, Michael.

- Ilu?

- Myślę, że trzech Palestyńczyków. I czterech moich. Został mi jeden, który jeszcze żyje, ale bardzo krwawi.

- Przy samochodach zostawiłem oficera greckiego wywiadu, który zadzwonił po swoich. Nie masz zbyt dużo czasu. Z tym rannym jest bardzo źle? Musi trafić do szpitala?

Eshkol znowu westchnął.

Ktoś się wykrwawia, a on stoi i дума, pomyślał Dukas. Po chwili zrozumiał: Eshkol zastanawiał się, jak uciec z rannym towarzyszem i trzema martwymi ciałami, skoro czasu było mało. Martwi Palestyńczycy mogli sobie zostać.

- Mogę ci pomóc - zaproponował Dukas.

- Tak, jasne, pamiętam, jak wygląda twoja pomoc, Michael.

- Zdaje się, że to raczej ty mi nie pomogłeś.

- Nie chcę twojej pomocy.

- Przykra sytuacja dla Mossadu, jeśli ty i twoi ludzie wylądujecie w greckim więzieniu.

- Swoje sprawy załatwiam sam.

Dukas przygarbił się, zziębnięty. Czuł, że jeszcze trochę, a zacznie drżeć. Teraz lepiej zrozumiał to, co Craik starał się wyrazić podczas ich rozmowy w Neapolu: ten brak nadziei, dotkliwy jak zimno i głód. Westchnął i pomyślał, że Eshkol odczyta to jako zniechęcenie.

Może zresztą to było zniechęcenie.

- Nie uda ci się zdobyć tego, po co się zjawileś - powiedział. - Facet, który miał być na plaży, nie przyszedł. Albo leży tu gdzieś martwy.

Eshkol milczał.

- Przypuszczam, że twojemu pucharowi wyrosły nóżki, Eshkol. Myślę, że powinieneś sobie darować tropienie go.

- Nie wiem, o jakim pucharze mówisz.

Dukas prychnął.

- Jasne. Słuchaj, Eshkol, w całym tym pieprzonym bajzlu interesuje mnie tylko jedno: chcę napisać raport o śmierci Salema Qatiba. Mam głęboko w dupie, czy w Izraelu mieszkali

Trojanie, plemię Dana czy Minnesota Vikings, kiedy Izrael nie był jeszcze Izraelem, a król Salomon miał osiemnaście owiec, glinianą chatkę i żadnej świątyni! Obchodzi mnie natomiast, co się stało z Salemem Qatibem i czy zabiliście go z powodu tego, co ukradł, czy z powodu amerykańskich szyfrów. To wszystko. Wszystko!

- Co właściwie chcesz?

- Mówię, że czas ubić umowę.

Eshkol się zawahał. Zerwał się wiatr i Dukas usłyszał płacz, nie Eshkola, lecz kogoś za jego plecami: w ciemnym kształcie, który wcześniej widział, rozpoznał teraz siedzącego na piasku człowieka, który płakał.

- Co za co? - spytał Eshkol.

- Przeszłość Izraela za czterech facetów, którzy zabili Salema Qatiba.

- Za późno - odezwał się Craik zza jego pleców. - Nie żyją. Wszyscy oprócz tego, który właśnie się wykrwawia.

Dukas postąpił krok do przodu.

- To prawda? - Widział teraz zarys twarzy Eshkola, ciemniejsze plamki w miejscu oczu. - To właśnie ci czterej?

- Palestyńczycy ich zastrzelili.

- Och, czyżby?! Ale dogodny zbieg okoliczności!

- To była zasadzka! Tamci mieli karabin! Pieprz się, Dukas! Trafiliśmy z glockami na coś takiego... myślisz, że to „dogodne”, że czterech ludzi zginęło, próbując zdjąć palestyńskiego snajpera z karabinem?

Dukas skrzyżował ręce na piersi, chcąc się choć trochę ogrzać.

- Tak właśnie myślę. Zobaczę, co wykaże grecka ekspertyza balistyczna. - Zrobił jeszcze krok do przodu, zbliżając się do Eshkola na tyle, że mógłby go dotknąć, i podstawił mu palec pod sam nos. - Czas ucieka, na litość boską! Jeśli nie możesz mi dać czterech zabójców, to daj mi chociaż nazwiska! Motywy! Fakty!

Eshkol przekrzywił głowę - przysłuchiwał się płaczowi na plaży, czy może patrzył na coś? Dukas spojrzał w tamtą stronę. Czy ktoś jeszcze tam był? Na przykład facet, który dostał kulkę i krwawił, ale może wciąż miał pistolet?

Odwrócił się do Craika.

- Zobacz, kto tam jest. Nie chodzi mi o tego, który płacze... tam jest ktoś jeszcze. - Popatrzył na Eshkola. - Tak?

- Powiedziałem ci, że mam jednego człowieka, który się wykrwawia.

I czekasz, aż się wykrwawi, pomyślał Dukas, a ty nie będziesz się musiał przejmować eliminowaniem świadków. Bardzo profesjonalnie.

- Myślę, że ma pistolet - rzucił do Alana. Usłyszał za plecami kroki, a potem kątem oka zobaczył, jak Craik zbliża się do brzegu morza. Spojrzał znów na Eshkola. - Idziesz na ten układ?

- Czyli na co? - spytał chrapliwie Eshkol.

- Już powiedziałem: nazwiska, fakty, motywy. - Zanim Eshkol zdążył odpowiedzieć, dodał: - Podpisane zeznanie. Dopilnuję, żebyś trafił w bezpieczne miejsce, gdzie mógłbyś je złożyć.

- W twoim biurze w Neapolu? - stwierdził Eshkol. Wykonał jeden z tych swoich gestów, prawdopodobnie towarzyszyła mu także odpowiednia mina. Dukas nie musiał jej widzieć, by rozumieć gorycz Izraelczyka. - A co ja będę za to miał? - spytał Eshkol.

- Stany Zjednoczone poprą każdą historyjkę o pucharze i wykopaliskach w Tel Sharm Heir'at, jaką Izrael uzna za korzystną. Najprościej byłoby powiedzieć, że puchar jest falsyfikatem, podobnie jak zdjęcia. Zasięgnęliśmy opinii ekspertów, gadu-gadu, pla-pla-pla... zręczna podróbka, ale nie nabierze się na nią nikt, kto zna się na epoce. Inskrypcja to czysta fikcja. Możemy podsunąć odpowiednie materiały mediom, a nawet wydrukować je w prasie naukowej, jeśli to was uszczęśliwi. Puchar nigdy nie istniał, a mit Izraela pozostanie nietknięty.

Eshkol uśmiechał się cynicznie.

- A dziewczyna, która go ma? A facet, który jej pomaga? Jakiś Amerykanin... amerykański zawodowiec, Michael. Coś mi tu śmierdzi, myślę, że to w ogóle robota waszych służb.

- Tak, jasne, a ja jestem tak naprawdę weteranem CIA z Zatoki Świń. Możesz zapomnieć o dziewczynie i tamtym facecie.

- Tak, póki nie sprzedadzą pucharu, a potem wszyscy na świecie zobaczą go na ekranach telewizorów!

Słaby snop światła z latarki błysnął przy brzegu, a potem zaraz zgasł. Eshkol odwrócił głowę, lecz po chwili spojrzął znowu na Dukasa.

- Powinieneś się modlić, żeby go sprzedali! - warknął Dukas. - Wiesz, ile to cholerstwo jest warte, lepiej ode mnie! Myślisz, że za taką forszę... mówimy o milionach dolców... myślisz, że kupiec pochwali się później całemu światu i zrobi wystawę? Puchar po prostu zniknie! Lepszym wyjściem byłoby tylko przetopienie go na sztabkę złota!

- Właśnie to zamierzamy zrobić.

- No cóż...

Dukas widział, że Craik odszedł od czarnej plamy przy brzegu i zbliża się teraz do klęczącej postaci na plaży. Usłyszał ich głosy. I łkanie.

- Jeśli dorwiemy dziewczynę i Amerykanina... - zaczął Eshkol, gdy Craik zawołał:

- Słyszycie?

Eshkol odwrócił głowę, a Dukas nastawił uszu. Craik był bliżej wody, może coś słyszał, ale on... Po chwili też to usłyszał - cichutkie bębnienie fal o kadłub pontonu, gdzieś na ciemnym morzu.

- Tam! - zawołał Alan.

Możliwe, że wskazał ręką kierunek, ale Dukas nie widział go dość wyraźnie. Zobaczył za to małe światełko posuwające się po wodzie, a zaraz potem drugi, znacznie dalej od brzegu. Wciąż słychać było płynący ponton, a teraz także warkot silników większej jednostki. Obie łodzie wypływały w morze.

- Możesz pomachać swojemu pucharowi na pożegnanie - powiedział Dukas.

Eshkol wpatrywał się w ruchome światełko. Jego barki drgnęły. Dukas położył mu rękę na ramieniu, poczuł napięte mięśnie. Wiedział, że Eshkol zaciska w kieszeni pistolet.

- Jeśli wyciągniesz tę spluwę, Craik cię zastrzeli - ostrzegł. - Co z naszym układem?

Craik i ten drugi zbliżali się teraz powoli. Dukas dopatrzył się zarysów twarzy na wysokości barków Craika - ten drugi był niższy. Palestyński chłopak? Eshkol zdawał się ich ignorować, patrzył tylko w miejsce, gdzie powinien leżeć jego ranny towarzysz. Wreszcie powiedział:

- Mówisz, że nie obchodzi cię, co ten puchar oznacza, Michael, ale mnie owszem. Bardzo mnie to obchodzi. Daj słowo, że wasz rząd udowodni, że puchar jest fałszywy.

- A ty, że zeznasz prawdę o Salemie Qatibie.

Dukas wyjął z kieszeni swój mały magnetofon, ten sam, na którym nagrał wyjaśnienia Spinnera całe wieki temu. Włączył go, podał godzinę, datę i miejsce, oraz nazwiska ich obu.

Odgłosy pontonu ucichły. Dukasowi wydawało się, że wciąż je słyszy, ponieważ dobiegało do niego niskie rytmiczne dźwięki, które wkrótce zmieniły się w łopot śmigieł helikoptera.

- Masz około minuty. Mów, a potem się zmywaj.

Eshkol wyciągnął rękę z kieszeni. Nie trzymał pistoletu, tylko latarkę.

- Ja mówię o Izraelu, a ty gadasz o swoim głupim śledztwie!

- Mówię o prawdzie.

Eshkol przygarbił się, jakby się osłaniał przed wiatrem.

- O prawdzie. - Pokręcił głową, potem przysunął do siebie magnetofon i pochylił się nad mikrofonem. - Mówi agent specjalny Shlomo Eshkol z Instytutu Wywiadu i Zadań Specjalnych. Oświadczam, że czterej ludzie pracujący pod przykrywką Działu Eksploracji Morskiej Izraelskiej Służby Oceanograficznej zabili Palestyńczyka Salema Qatiba. Zrobili to, próbując wyciągnąć od Qatiba informacje na temat jego nielegalnych działań, które polegały na prowadzeniu wykopalisk archeologicznych z ramienia Hamasu. Qatib był przestępcą, a swoją pracą wspomagał finansowanie terroryzmu, ale jego śmierć była niezamierzona.

Odepchnął magnetofon i ruszył w kierunku wody. Dukas zaszedł mu drogę i rzucił:

- Nazwiska! Chcę mieć nazwiska!

- Zabiłbym was obu albo sam zginął, zanim wydałbym ich nazwiska, Michael! Popelnili błąd, ale nie zamierzam pozwolić na to, żebyście się potem przerzucali z nami ich nazwiskami. Weź, co ci dałem, albo idź do diabła.

- Powiedz przynajmniej, że Qatib nie został zabity z powodu kryptologii.

- Do cholery... kryptologia! Boże, to był tylko głupi wykręt! Kryptologia w ogóle nie miała z tym nic wspólnego! Pozwolisz mi teraz odejść, Michael?

Dukas zrobił krok w tył.

- Dobrze - ustąpił. - Możesz się dalej uganiać za tym pucharem.

Eshkol włączył latarkę. Dawała cienki snop mocnego światła, które wrzynało się w ciemność. Poświecił na Craika, potem na wystraszonego chłopca, a później przeszedł trzy kroki w kierunku wody i zniknął, gasząc latarkę. Jego buty chrzęściły jeszcze przez moment na piasku, a potem słychać było już tylko szum wiatru. Po długiej chwili latarka znowu rozbłysła, jej biały snop oświetlił plażę nad wodą. Rozległ się wystrzał, latarka zgasła, a Eshkol zniknął znowu w nagłej ciemności.

Craik podszedł do Dukasa, wciąż obejmując chłopca ramieniem, i we trzech stali tak na mroźnym wietrze, wśród szumu morza, podczas gdy helikopter krążył im nad głowami, szukając miejsca do lądowania.

Dymisja Dyrektora Mossadu

Jozue Ben-Levi, dyrektor Mossadu pod dwoma rządami, przejdzie na emeryturę z końcem przyszłego miesiąca. W publicznym oświadczeniu Ben-Levi wyjaśnił, że decyzję podjął ze względu na stan zdrowia i chęć poświęcenia większej ilości czasu rodzinie. Według źródeł zbliżonych do środowiska izraelskiego wywiadu Ben-Lewiego zastąpi pułkownik Benjamin Galid z SOI.

„Jane's Defence Weekly” 14.01.2002

Z uchwały Kongresu USA w sprawie dodatkowych wydatków budżetowych:
poz. DoDNav547.1. Na zmianę szyfrów marynarki wojennej
- 153 600 000 dol.

Coda

Izmir, Turcja, 24 godziny później

Fort janczarów, który broni portu w Izmirze od północy, nie jest właściwie taki stary jak inne budowle wokół Morza Śródziemnego. Został wzniesiony pod koniec XVII wieku na rozkaz ambitnego agi. Rzeźbiona marmurowa brama jest świadectwem wierności budowniczego Allahowi, bastiony zaś są przykładem wykorzystania najnowszych europejskich wzorców w architekturze fortecznej.

Od czasów Ataturka nie stacjonuje tu żaden garnizon. Pod każdą z ceglanych ścian spoczywają kupki ciemnoczerwonego pyłu, zachodni bastion zapada się razem z wybrzeżem, a pirs, gdzie wylądowywano zaopatrzenie dla garnizonu, osuwa się do morza, wykorzystywany od czasu do czasu tylko przez ciekawskich turystów pływających łódkami i garstkę przemysłowców. Marmurowy łuk stoi wciąż nienaruszony, a w deszczowe zimowe wieczory w wartowniach przy bramie wciąż jest sucho.

Tej nocy lało jak z cebra.

- Jestem zaskoczony, że zaczekałeś! - zawołał Dukas, idąc ostrożnie po ścieżce do bramy.

Trzymał latarkę i poruszał się jak człowiek u kresu sił.

Piat podał mu rękę.

- Jestem zaskoczony, że się zjawiałeś - odparł. - Gdzie Craik?

Dukas wzruszył ramionami.

- Co dla mnie masz?

Piat się roześmiał się głośnym i piskliwym rechotem.

- Nic - powiedział. - Może tylko przeprosiny.

- Tak? - Dukas był bardziej zaintrygowany niż zły. - Gdzie dziewczyna?

- Zniknęła - odparł. Potem znów się roześmiał i tym razem zabrzmiało to bardziej szczerze. - Zabrała mojego laptopa i związała. Sprzedała puchar kupcowi, którego sam nagrałem. Za marny milion dolców.

- Jezu - mruknął Dukas. - Myślałem, że jest wart z dziesięć milionów.

Piat wzruszył ramionami, był to gest ledwo widoczny na jasnoszarym tle marmurowego łuku.

- Kupiec powiedział jej, że to falsyfikat. - Pociągnął z butelki. - Tak w każdym razie słyszałem.

Dukas pokiwał w zamyśleniu głową.

- Myślisz, że wypłynie jeszcze na rynku?

- Nie ma mowy. Gdyby był fałszywy... to może. Ale nie jest.

Piat usiadł na kamiennej ławce postawionej tu przez agę janczarów.

- Przecież tego nie wiesz.

- Nie wiem, czy Ziemia jest okrągła, ale jestem tego cholernie pewien.

Dukas spostrzegł łódź o długim, niskim kadłubie przycumowaną do resztek kamiennego nabrzeża. Kątem oka starał się obserwować pokład.

- Wolałbym, żebyś dostał te dziesięć milionów.

Piat znowu się roześmiał.

- Ja też. Ale nie zamierzam robić z tego tragedii. Sam chciałem sprzedać dziewczynę tobie. Po prostu mnie ubiegła. I zostawiła mi drobną pamiątkę, wypijmy więc za jej zdrowie. Jesteśmy kwita.

- A czego chciałeś? - spytał Dukas. - Kiedy do mnie zadzwoniłeś?

- Chciałem dostać swoje życie z powrotem - odparł Piat. - A właściwie zabezpieczyć sobie to, życie, które mam. Zamierzałem wymienić tę parę dzieciaków na paszport. - Wykonał niewyraźny gest ręką. - A poza tym kogoś ostrzec.

- Nie ma mowy, żebyś załatwił ci paszport. - Dukas uniósł rękę, uprzedzając protesty Piata. - Świat się zmienił, Jerry. Wątpię, czy udałoby mi się załatwić paszport dla ciebie, nawet gdybyś przyprowadził mi ben Ladena.

- Hm - mruknął Piat. - No to do diabła z tym. Co się stało na plaży?

Tym razem to Dukas wzruszył ramionami.

- Palestyńczycy i Izraelczycy powybijali się nawzajem.

Piat znów pociągnął z butelki. Dukas wyczuł anyżkowy zapach ouzo. Piat podał mu butelkę, a Dukas ją przyjął.

- Jak w moralitecie - zauważył Piat.

Po chwili się roześmiał.

- Zamierzasz wypić całą butelkę? - Dukas oddał ją właścicielowi. - Chyba nie widzę morału.

Piat wzruszył ramionami.

- Nie? Cóż, może to moral nie dla ciebie. Muszę wracać na pokład.

Dwa dni później Piat był z powrotem na wzgórzu i biegł do Thermi.